



ZŁODZIEJ LUSTER

MARTIN SEAY

*Znakomita powieść z elementami thrillera,
zjawiskami nadprzyrodzonymi i fascynującym wątkiem
przygodowym rodem z powieści lotrzykowskiej...
Prawdżiwie arcydzieło o współczesnym wyświewku.*

„PUBLISHERS WEEKLY”

ZŁODZIEJ LUSTER

MARTIN SEAY

Przełożyła Aleksandra Wolnicka

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Spis treści

<u>Okładka</u>	<u>Strona tytułowa</u>	<u>Strona redakcyjna</u>	<u>1</u>	<u>SOLVTIO</u>	<u>2</u>	<u>3</u>	<u>4</u>	<u>5</u>	<u>6</u>	<u>7</u>	<u>8</u>	<u>9</u>	<u>10</u>	<u>11</u>	<u>12</u>			
<u>13</u>	<u>SEPARATIO</u>	<u>14</u>	<u>15</u>	<u>16</u>	<u>17</u>	<u>18</u>	<u>19</u>	<u>20</u>	<u>21</u>	<u>22</u>	<u>PREPARATIO</u>	<u>23</u>	<u>24</u>	<u>25</u>	<u>26</u>	<u>27</u>	<u>28</u>	<u>29</u>
<u>30</u>	<u>31</u>	<u>SVBLIMATIO</u>	<u>32</u>	<u>33</u>	<u>34</u>	<u>35</u>	<u>36</u>	<u>37</u>	<u>38</u>	<u>39</u>	<u>40</u>	<u>CALCINATIO</u>	<u>41</u>	<u>42</u>	<u>43</u>	<u>44</u>	<u>45</u>	
<u>46</u>	<u>47</u>	<u>48</u>	<u>REDVCTIO</u>	<u>49</u>	<u>50</u>	<u>51</u>	<u>52</u>	<u>53</u>	<u>54</u>	<u>55</u>	<u>56</u>	<u>COAGVLATIO</u>	<u>57</u>	<u>58</u>	<u>59</u>	<u>60</u>		
<u>Podziękowania</u>																		
<u>przypisy końcowe</u>																		

Tytuł oryginału:

THE MIRROR THIEF

Redakcja językowa: Robert Sudół

Projekt okładki: Katarzyna Bućko

Zdjęcia na okładce:

© Evannovostro/Shutterstock

© ESB Professional/Shutterstock

© Rachel Roberts/EyeEm/Getty Images

Korekta: Piotr Królak

Redaktor prowadzący: Małgorzata Głodowska

Copyright © 2016 by Martin Seay.

First published in the United States by Melville House Publishing.

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-501-5

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla

Kathleen Rooney

Pamięci

Joego F. Boydstuna

„Czy zdarzyło ci się widzieć podobne miasto? – pytał Kubłaj Marka Polo, wysuwając zdobną pierścieniami dłoń spod jedwabnego baldachimu cesarskiej galery, by wskazać mosty wyginające się nad kanałami, pałace książęce o zanurzonych w wodzie marmurowych progach, krzątanie lekkich stateczków, które krążą zygzakiem, popychane długimi wiosłami, krypy, z których na placach targowych wyładowuje się kosze jarzyn, balkony, altany, kopuły, dzwonnice, ogrody na wyspach, zieleniejące w szarości laguny.

(...)

– Nie, najjaśniejszy panie – odrzekł Marko. – Nigdy nie wyobrażałem sobie, że może istnieć podobne miasto”.

ITALO CALVINO, *Niewidzialne miasta*,
przełożyła Alina Kreisberg

Słuchaj. Oto, co widzisz:

Wysokie okno skrzynkowe. Sięgające podłogi kotary z zielonego brokatu, rozsunięte na boki. Przez szczelinę między nimi sączy się do środka szara poświata. Lambrekin z chwostami, pod nim firanka. Wiatr telepie szybą, wydyma zasłony.

Krzesła. Biurko. Komoda. Masywna szafa – w tych starych budynkach nigdy nie ma szaf wnękowych. Bielone ściany. Wypolerowany parkiet, zbyt śliski, żeby chodzić po nim w samych skarpetkach. Stoliki nocne, lampki z falbaniastymi abażurami. Biały aparat telefoniczny. Tandetny żyrandol: szmaragdowe szklane płatki, matowe czterdziestowatowe żarówki. Hotelowe gównno. To samo można znaleźć w każdym hotelu. Byle gdzie.

Łóżko, naturalnie. Podwójne, trochę większe od standardowego. Z baldachimem. W kącie ozdobne poduszki spiętrzone niczym tort weselny. Płócienna pościel. Wszystkie koce, jakie właściciel miał na stanie. *Coperte, per favore! Più coperte!* Mimo to nadal jest zimno.

Coperta. Policzmy. Dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć: obalić. Albo dwadzieścia: oddychać, ukryć się, wymiatać kurz. Choroba. Słabość serca. Po hebrajsku: *מטמ*, czyli sto dwadzieścia cztery, co może oznaczać latarnię albo lampę. Opuszczenie. Przemijanie. Może zwłokę. Jak długą?

Na komodzie rozłożone ubrania: luźne szare spodnie, czarne skarpetki, błękitna koszula z bawełny oksfordzkiej. Kapelusz. Portfel. Garść dziwnych monet. Na podłodze nowiutkie białe trampki oraz walizka. W kącie, oparta o ścianę, twoja laska z metalową gałką.

Jeszcze minuta i usiądziesz. Wstaniesz z łóżka. Podejdiesz do okna. Przygotuj się, że twoje spojrzenie powędruje daleko ponad dachami. Omiecie srebrzystą Calle dei Botteri z jednej strony, Calle dei Morti z drugiej i pustoszejące *campo* pomiędzy nimi. Będziesz tak stał i patrzył. Jak co dzień.

Nikt w tym mieście nie powinien cię znać. Jesteś tu obcy, choć w wyobraźni miliony razy przemierzałeś jego ulice. Jesteś turystą. W dużej mierze właśnie dlatego przyjechałeś. Ktoś tutaj jednak wie, kim jesteś, i idzie po ciebie. Jak robak sunący w górę nogawki sprawia, że trudno ci się skoncentrować. Chcesz go wypatrzyć, zanim zastuka do twoich drzwi, wyodrębnić jego sylwetkę z wielkopostnego, nie tak znowu gęstego tłumu. Wygolona głowa. Rytmiczny krok. Muskularna budowa ciała. Łatwo będzie go rozpoznać. Wystarczy podejść do okna i zaczekać.

Ale jeszcze nie teraz. Może za chwilę. Nie najlepiej się czujesz. To nawet nie jest ból, tylko taki dziwny ciężar. Warstwy koców unoszą się i opadają.

Na ścianie nad zagłówkiem wisi oprawiona w ramki reprodukcja. Z tej perspektywy widzisz ją do góry nogami, niewyraźnie. To jakaś bura akwarela. Rozchybotane łodzie. Maźnięte farbą niebo. W głębi bazylika San Giorgio Maggiore. Widok najprawdopodobniej z Riva degli Schiavoni. Na białym marginesie czarne inicjały: J.M.W. Turner. Koleś nie potrafił odpuścić: obraz wygląda tak, jakby próbował go wymazać wilgotną szczoteczką do zębów.

Turner. To będzie pięćset pięć. Naczynia do picia. Uznawać za perwersyjne.

Kolejny powiew wiatru: dygoczą otwierane pionowo szyby. Trzy dni chłodu, końcówka sezonu. Podczas odpływu kanały wysychają, stępki gondoli grzęzną w szlamie. Jakby z całego miasta spuszczano krew. Wczoraj w południe można było przejść niemal suchą nogą z Fondamenta Nuove na Murano. Wyobraź to sobie: brodenie w błocku pod białymi murami San Michele. Chryste, co za smród. Oślizłe robale i muszle ślimaków. Czarna breja wciskająca się między palce stóp.

Za uchylonym oknem opasła ceglana dzwonnica kościoła San Cassiano ciemnieje na tle szarych deszczowych chmur. Poniżej rozpadające się kamienice: spod łuszczących się kolorowych stiuków wyziera czerwona cegła. Pod okapem dachu gruchają gołębie; w ich białawych odchodach na parapecie tkwią przyklejone kłaczki pierza. W górze mewy szybują na podobieństwo latawców, poruszają tylko łebkami. Są tak białe, że wydają się wycięte z jakiegoś innego nieba.

Czym było dawniej to miejsce? Każde miejsce było kiedyś inne.

Na ścianie na wprost okna wisi lustro. Duże, w ciężkiej drewnianej ramie. Nic szczególnego. W zupełności ci wystarcza. W pewien zwariowany sposób od niego wszystko się zaczęło.

Jak wygląda lustro? Jakiego jest koloru? Kto tak naprawdę przygląda się lustrom? Jak zresztą można im się przyjrzeć? Wiadomo, że taki przedmiot istnieje. Jasne. Ale czy rzeczywiście go widzimy? Z lustrem jest trochę jak z Bogiem. A może nie. Lustro to lustro. Niewidzialny banał. Narzędzie służące do niewidzenia.

Tego mniej więcej od początku pragnęłaś – zobaczyć lustro. Tylko tego. Niezbyt wygórowane żądanie, do cholery. Prawda?

Znowu te dzwony. Gdy w jednym kościele cichną, w drugim zaczynają bić, więc trudno policzyć uderzenia. Na pewno jest już bardzo późno. Dziewczęta w bibliotece prawdopodobnie się martwią. Zastanawiają się, gdzie jesteś. Czy dziś jest ten dzień. No cóż, moje panie, niewykluczone, że tak.

Po oknie – komoda. Ubrać się. Coś przegryźć. Może zatelefonować. W dwa miejsca. W Vegas jest teraz noc. Na Wschodnim Wybrzeżu nie weszło jeszcze słońce. Zaczekaj chwilę. Nie śpiesz się. Masz czas, żeby wszystko uporządkować. Kilka mocnych kart do rozegrania bez względu na to, co myśli twój znajomy na zewnątrz – żołnierzyk jak z obrazka, wywączający twój trop w załomach wąskich

uliczek. Tak bardzo się starał. Dotarł aż tutaj tylko po to, żeby cię zabić.

Masz mnóstwo czasu, aby się z nim uporać, z całą resztą również. Masz czas podejść do okna i przez nie wyrzeć. Tymczasem lepiej pomyśl. Złóż wszystkie elementy w jedną całość, najlepiej jak potrafisz. Zamknij oczy. Słuchaj. Znajome głosy. W tym też, jak we wszystkim, tkwi pewne oszustwo. Nigdy nie jest za późno na naukę. Przypomnij sobie, ile zdołasz. Resztę dopowiedz.

Żałujesz jak diabli, że nie wzięłeś ze sobą tej przeklętej książki.

SOLVTIO

13 marca 2003

„Wszystkie miasta są geologiczne; nie można zrobić trzech kroków, aby nie napotkać ducha noszącego w sobie cały prestiż swoich legend. Poruszamy się w zamkniętym krajobrazie, którego obiekty stale ściągają nas w przeszłość. Zmieniające się kąty widzenia, uciekająca perspektywa pozwalają dostrzec oryginalne założenia przestrzenne, lecz obraz pozostaje niepełny. Należy go szukać w miejscach magicznych, znanych z bajek i surrealistycznych wizji: w zamkach, w ciągnących się bez końca fortyfikacjach, w zapomnianych barach, w przepastnych pieczarach, w lustrach kasyn”.

IWAN SZCZEGŁÓW, *Receptariusz nowej urbanistyki*

Kawałek dalej, przy bulwarze Las Vegas Strip, znów walczą piraci: ostatnie wystrzały z armat rozbrzmiewają akurat w chwili, gdy wysiada z taksówki przy krawężniku. Most Rialto mężczyzna przechodzi przy akompaniamencie dalekich braw. Przedwieczorna bryza niesie ze sobą woń siarki, nadającą powietrzu posmak piekła. Mężczyzna marszczy nos, zwalcza odruch, który każe mu splunąć.

Wyobraź go sobie na ruchomym chodniku: niskiego, barczystego. Wiek około czterdziestu lat, śniada skóra usiana czarnymi piegami. Sportowe okulary przeciwsłoneczne, nowe džinsy, skórzana kurtka i niebieskoszary podkoszulek. Na świeżo wygolonej głowie bejsbolówka z logo Redskins, daszek opuszczony nisko na oczy. Stopy mężczyzny przemierzają szorstką nawierzchnię ruchomego chodnika, wymijają turystów, którzy ustawiają się do zdjęć i tłoczą przy barierkach. Gdzieś w dole niewidoczny gondolier zawraca łódź, śpiewając wysokim, czystym głosem: *O mia patria si bella e perduta!* Z zachodu uderza nagły powiew wiatru i pieśń nikt nie słyszy, słaby sygnał radiowy.

Mężczyzna – na imię mu Curtis – przemyka pod łukami gotyckiego portyku i wchodzi do hotelu. Mija automaty do gry, kieruje się ku windom. Podmucha perfumowanego powietrza z klimatyzatorów podnosi włoski na spoconym karku, przyprawia o gęsią skórę. Curtis idzie dalej, omiatając spojrzeniem stoły do blackjacka, uważnie przyglądając się graczom. Jest spięty, niespokojny; boi się, że coś mu umknie.

Wcisną przycisk dwudziestego dziewiątego piętra i winda zaczyna się wznosić. Przez chwilę jest sam. W metalowych drzwiach o miedzianym zabarwieniu drży jego odbicie. Mężczyzna zdejmuje okulary przeciwsłoneczne i zastępuje je ochronnymi w czarnej oprawie. Z wewnętrznej kieszeni wyciąga kartę-klucz.

W jego apartamencie są dwa telewizory, trzy telefony i łożo z baldachimem. Wysokie, zasłonięte kotarami okna wychodzą na południe, na bulwar. Nad rozkładaną kanapą w części wypoczynkowej – położonej nieco niżej w stosunku do reszty pomieszczenia – wisi zagadkowy, ponury obraz. Na przymocowanej do ramy mosiężnej tabliczce widnieją inicjały: J.M.W. TURNER. Ten pokój o powierzchni nieco ponad sześćdziesięciu metrów kwadratowych należy do najmniejszych, jakie hotel ma do zaoferowania. Curtis woli nie myśleć, ile jego pobyt tutaj kosztuje Damona. Ale Damon nie może mieć mu tego za złe: obaj wiedzą, że Curtis jest tam, gdzie być powinien.

Sprawdza telefon i faks, lecz nie ma żadnych nowych wiadomości. Z kieszeni kurtki wyjmuje nowe opakowanie pocisków grzybkujących z podwójnym ładunkiem prochowym i chowa je do niewielkiego sejfu w szafie. Na

wierzch kładzie rewolwer z krótką lufą. Ściemnia się: miasto znika za szybą, jego widok zastępuje lustrzane odbicie hotelowego pokoju. Curtis gasi górne oświetlenie i spogląda przez okno na bulwar, na hotele Harrah's i Mirage, na dzwonnice i turkusowy kanał w dole. Pojawia się przeblysk wspomnienia sprzed trzech lat: Stanley stoi przechylony przez balustradę, poniżej kołyszą się zacumowane gondole. Na kościstej głowie Stanleya tkwi przekrzywiony tweedowy kaszkiet. Rozgestykulowane drobne, sękaty dłonie tną powietrze. Nisko na zachodnim niebie wisi nów – blady rożek na czarnym tle. Stanley recytuje wiersz. „Spłoń, złodzieju obrazów, w morzu zapomnienia!” czy coś w tym rodzaju. Wspomnienie znika, zanim Curtis zdoła je umiejscowić. Wszędzie zapalają się światła, drżą w buchającym od ziemi ciepłe. W oddali majaczy niebieskawy promień Luxoru, jaśniejsza smuga na niebie barwy indygo. Curtis rozmyśla o domu; zastanawia się, czy nie powinien zadzwonić, ale różnica czasu między Las Vegas a Filadelfią wynosi trzy godziny – Danielle na pewno już śpi. Rozbiera się więc do bokserek, składa ubranie, próbuje znaleźć coś ciekawego w telewizji, lecz na wszystkich kanałach wyświetlane są grafiki komputerowe rakiet Cruise i obracające się trójwymiarowe mapy Zatoki Perskiej. Wreszcie odkłada pilota i robi na wykładzinie serię pompek oraz przysiadów, podczas gdy na szerokim ekranie telewizora gadające głowy nadal gładzą, spekulując na temat nadciągającej wojny. Pod wpływem zakłóceń ich rozedrgane podobizny zastygają co pewien czas, tworząc cyfrową mozaikę.

Po skończonych ćwiczeniach Curtis wyłącza dźwięk w telewizorze i ponownie otwiera sejf. Leży tam jego obrączka, obok pudełka z amunicją; Curtis wsuwa ją na palec, zdejmuje, wkłada do ust i ssie, postukując metalem o wewnętrzną stronę zębów. Wyjmuje broń z kabury, rozładowuje ją i sprawdza bębenek, po czym celuje w migoczący ekran i „na sucho” pociąga za spust, sto razy prawą ręką, osiemdziesiąt razy lewą. Pod koniec pieką go mięśnie przedramion, palce wskazujące ma obolałe, opuszki otarte. Broń jest nowa; Curtis nie zna jej tak dobrze, jak powinien.

W żołądku wciąż odczuwa skutki długiego lotu i poprzedzających go nieprzespanych godzin. Coś się w nim przewraca i bulgocze. Curtis chowa obrączkę do sejfu razem z rewolwerem i wchodzi do luksusowej łazienki, całej w marmurach, siada na sedesie i przetrząsa przybory do golenia w poszukiwaniu obcinacza do paznokci. Ręce cuchną smarem, są splekane od suchego powietrza i Curtis po raz pierwszy tego dnia przypomina sobie – naprawdę sobie przypomina – jak to jest być na pustyni.

Później tego samego wieczoru, wracając z kolacji, spostrzega przy stole do blackjacka dziewczynę Stanleya.

Przystaje na moment i mruga zaskoczony, po czym powoli obchodzi główną salę kasyna zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Przez cały czas stara się mieć dziewczynę po swojej „lepszej” stronie, aby móc ją śledzić kątem oka. Po drodze bierze jeszcze piwo imbirowe, żeby zająć czymś ręce. Ona rozgląda się po sali, ale nie patrzy na niego.

Zatoczywszy kąt o mierze dwustu osiemdziesięciu stopni, przystaje obok automatu do gry w pokera. Przełamuje rulon ćwierćdolarówek, zwilża wargi napojem z plastikowego kubka. Wcześniej obawiał się, czy ją rozpozna – na wszelki wypadek ma przy sobie jej zdjęcie, bo widział ją przedtem tylko raz, przed prawie dwoma laty, na ślubie swojego ojca – teraz dziwi się, że jej twarz od razu wydała mu się znajoma. Ciągle wygląda jak studentka, choć z pewnością zbliża się do trzydziestki. Przypomina Curtisowi białych studentów z College Park, którzy przyjeżdżali metrem, żeby posłuchać zespołu jazzowego jego ojca, koncertującego w Adams Morgan albo na U Street. Jest opanowana, elegancka i trochę nieufna. Zahartowana przez życie – przy czym tych parę nokautów, które zaliczyła, nie wynikało z pechowego zbiegu okoliczności, tylko z błędnych decyzji. Jest szczupła, ma lekko kręcone brązowe włosy i duże, szeroko rozstawione oczy. Powinna być ładna, ale nie jest. Wygląda jak chybiona wizja piękna. Jakby naszkicował ją ktoś, kto piękna nigdy nie widział, a znał je wyłącznie ze słyszenia.

Curtis obserwuje ją przez blisko godzinę: ruchliwe oczy dziewczyny, ludzi przesuwających się za jej plecami. Czeka, żeby się poruszyła albo żeby gdzieś w tłumie zmaterializował się Stanley. Stanley się nie pojawia, a dziewczyna ani drgnie. Na sto procent liczy karty, lecz stara się to ukryć: gra bardzo ostrożnie, w zasadzie nie zmienia stawki. Robi wrażenie roztargnionej, jakby tylko zabijała czas.

Automat rozdaje karty i Curtisowi trafiają się trzy damy. Od razu wymienia jedną z nich, żeby nie zwracać na siebie uwagi dużą wypłatą. Dziewczyna ma tę samą strategię co on. Wie, że jest śledzona?

Curtis wyczuwa ruch po prawej stronie: jakiś starszy mężczyzna w sportowej marynarce, szczupły i żyłasty, przechodzi szybkim krokiem przy ścianie działowej, bordowej z wytłaczanym wzorem. To nie Stanley – jest zbyt niezdarny, zbyt nerwowy – jednak dziewczyna przerywa grę, jej oczy się rozszerzają. Przez chwilę ze zmarszczonym czołem śledzi wzrokiem mężczyznę, potem osuwa się na oparcie krzesła. Krupier coś do niej mówi – chyba chce ją zachęcić do dalszej gry – na co ona rzuca mu gniewne spojrzenie. Ułamek sekundy później wszystko wraca do

normy.

Curtis już wie, że zostanie ją tutaj, ilekroć zajdzie taka potrzeba. Ona też szuka Stanleya.

Opuszcza posterunek i wraca do siebie. W pokoju czeka na niego faks: odręczny rysunek na hotelowym papierze firmowym przedstawia ciemnoskórego muskularnego mężczyznę odbywającego stosunek analny ze starszym facetem o przesadnie wyeksponowanych semickich rysach. Rysunkowy Curtis ma ponurą, zdeterminowaną minę; jego twarz i ramiona zostały wycieniowane gęstymi, ukośnymi kreskami. Spod pomarszczonych powiek przerażonego Stanleya tryskają łzy w kształcie przecinków. U góry kartki Damon napisał wersalikami: „BIERZ GO!!!”, a u dołu: „ZUCH CHŁOPAK!!!!!!”.

Curtis zgniata faks i wyrzuca go do kosza na śmieci. Po chwili wyjmuje go stamtąd, drze na kawałeczki i spuszcza w sedesie.

4

Tej nocy pada deszcz. Curtis się budzi. W drzwiach łazienki odbija się światło błyskawicy. Curtis przewraca się na bok, żeby się jej przyjrzeć, i zaraz znowu odpływa. Pamięta, że przez sen słyszał bębnienie kropel o szybę, ale rano po deszczu nie ma śladu, ani odrobiny wilgoci.

Wybiera numer, zanim przyjdzie mu do głowy spojrzeć na zegarek – jest piątek, w Waszyngtonie dochodzi południe – a Mawiyah odbiera niemal od razu. Curtis! – mówi z uśmiechem w głosie. *As-Salaam-Alaikum*, bracie! Nie rozpoznałam twojego numeru na wyświetlaczu. Sprawileś sobie nowy telefon?

No tak, odpowiada Curtis. Właśnie sobie przypomniałem, jaki mamy dzień. Dziw, że zastałem was w domu. Sądziłem, że o tej porze będziecie już w drodze do świątyni.

Tak się składa, że dziś rano mamy małą obsuwę. I dzięki Bogu, bo inaczej byś się do nas nie dodzwonił! Jak się masz?

W porządku. Ale nie chcę zawracać ci głowy. Chętnie pogadałbym z tatą. Jest gdzieś w pobliżu?

Curtis słyszy stłumione stuknięcie, gdy Mawiyah odkłada na bok słuchawkę. Jej krzykliwy głos oddala się, staje nierozpoznawalny, gdy ona krąży po domu. Curtis czeka; w tym czasie jego umysł wyświetla kolejne obrazy. Najpierw jej zdjęcie wywieszane przed biblioteką w Dunbar – o sześć lat starsza od niego, wciąż była tam legendą. Curtis mijał tę fotografię cztery razy w tygodniu w drodze na treningi, a po raz piąty – w drodze na mecz (grał w obronie). I drugie wspomnienie: gdy wiele lat później Mawiyah śpiewa *Let's Get Lost* w małym klubie przy Osiemnastej Ulicy. Zamyka oczy, żeby nie raziło jej błękitne światło reflektorów, a za nią, w półmroku, wsparty na kontrabasie stoi ojciec. Świeżo po

wyjściu z więzienia, jeszcze nie całkiem trzeźwy. Wtedy wciąż była Norą Brawley, a ojciec Donaldem Stone'em. Curtis przyjechał na ten koncert prosto z lotniska. Był w zielonym mundurze piechoty morskiej, na przepustce z zatoki Subic, niedospany i wykończony długim lotem. Przypomina sobie dotyk spotniałej butelki piwa w dłoni i to, jak stopniowo wszystko zdawało się tracić pion. Stanley też gdzieś tam stał, niewidoczny w ciemnościach. Curtis pamięta jego głos niczym niedokończony wątek muzyczny.

Słyszysz ciężkie kroki ojca, rezonujące przez drewno podłogi, blat stołu i obudowę aparatu telefonicznego. Synku!

Cześć, tatusiu.

Spryciarz z ciebie. Dzwonisz dokładnie wtedy, kiedy wiesz, że nie będę mógł długo gadać. Oddzwonię do ciebie z komórki.

Nie trzeba. Mam tylko jedno szybkie pytanie. Próbuję się skontaktować ze Stanleyem.

Curtis wyczuwa pęczniejącą między nimi bańkę milczenia. Ze Stanleyem? – powtarza ojciec. Ze Stanleyem Glassem?

Tak, tato. Ze Stanleyem Glassem. Muszę go namierzyć. Może masz jego numer telefonu albo...

Po jaką cholere chcesz gadać ze Stanleyem Glassem, mały?

Po prostu... próbuję komuś pomóc, tatusiu. Jeden mój znajomy go szuka. Facet, o którym ci mówiłem – ten sam, który ma mi załatwić robotę w The Point.

Gdzie? Myślałem, że miałeś pracować w...

Spectacular. Zgadza się, to jedno i to samo. Wszyscy, którzy pracują w tym kasynie, nazywają je The Point, bo...

Dobra, dobra. A czego ten twój znajomy chce od Stanleya Glassa? Nigdy nie słyszał o biurze numerów? Znajdzie go w książce telefonicznej Filadelfii, wystarczy tylko...

Nie wydaje mi się, aby Stanley był nadal w Philly, tato. Ani w Atlantic City. Myślę, że jest tutaj.

Zaraz, czekaj. Tutaj, czyli gdzie?

W Vegas, odpowiada Curtis. Dzwonię z Las Vegas.

Ojciec bierze głęboki wdech, wypuszcza powietrze ustami. Curtis popełnił błąd, wciągając go w swoje sprawy. Posłuchaj, tato, mówi. Wiem, że nie masz teraz czasu rozmawiać...

Nie utrzymywałem ostatnio ze Stanleyem bliskich kontaktów, stwierdza ojciec. To wielki człowiek, Curtisie, i wspaniały przyjaciel. Niewielu ludzi znam dłużej od niego, ale nie rozmawiałem z nim, odkąd pobraliśmy się z Mawiyah. Nie oceniam go i nie mam do niego żalu, ale faktem jest, że...

Wiem, tato.

Daj dokończyć. Jest faktem, że Stanley to nałogowy hazardzista. A Mawiyah

i ja jesteśmy teraz porządnymi muzułmanami. Przynajmniej staramy się być. Prorok – niech będzie błogosławiony – w swoich naukach surowo zakazuje...

Wiem o tym wszystkim.

Wiem, że wiesz. Ale musisz mnie zrozumieć. Stanley bez przerwy uprawia hazard. Jest jak chodzący automat do gry. Przebywać z nim oznacza z nim obstawiać. Dlatego nie możemy się spotykać. Kocham go jak brata, ale...

Posłuchaj, tato, przeze mnie się spóźnisz. To nic ważnego. Rozumiem cię i...

Ważne, żebyś mnie zrozumiał, Curtis.

Rozumiem cię. W porządku? Przepraszam, że zawracałem ci głowę. Muszę kończyć. Pożegnaj ode mnie Mawiyah.

Curtis się rozłącza. Przez chwilę gapi się na nową komórkę, rozmyślając o swojej bezgranicznej, jak widać, głupocie i braku wycucia. Nadal nie zadzwonił do żony.

Żeby się uspokoić, ścieli wielkie hotelowe łóżko, naciąga prześcieradło i wygładza pościel. Daje mu to ukojenie i coś w rodzaju łatwej satysfakcji. Na zewnątrz wymyte deszczem miasto tętni życiem w świetle poranka, wymyślając się od początku przed kolejnym dniem.

Kursujący po Las Vegas Strip zabytkowy autobus zabiera Curtisa spod Harrah's, z przystanku oddalonego o niespełna czterysta metrów od jego hotelu. Curtis płaci dwa dolce, siada z przodu i rozgląda się bacznie po mijanych obiektach: kasyno Slots–A–Fun, billboard Crazy Girls, wielkie niebieskie macki zjeżdżalni wodnych aquaparku Wet'n'Wild. Zgarbione żółte dźwigi strzegą grobowca hotelu Desert Inn, stalowe belki kołyszą się nad kopcami jasnej ziemi. Faceci z węzami strażackimi polewają wodą wszystko, co znajduje się w zasięgu ich wzroku, walcząc ze wszechobecnym kurzem. Na próżno: ziemia wchłania całą wilgoć, przesyca nieruchome powietrze zapachem krzemionki.

O tej porze w autobusie jest jeszcze niemal pusto i cicho, jeśli nie liczyć usypiającego pomruku diesla. Curtis odwraca się na siedzeniu, wykręca do tyłu szyję, żeby w przemytym deszczem porannym powietrzu dojrzeć zarys Mount Charleston. Na szczycie góry wciąż zalega sporo śniegu. Nawet z tej odległości jest wściekle biały w oślepiającym słońcu: wygląda jak szczelina w horyzoncie, miejsce pozostawione celowo do wypełnienia.

Mount Charleston znika za trójnogą wieżą hotelu Stratosphere i Curtis odwraca się twarzą do kierunku jazdy. Minęli już wszystkie wielkie kasyna, przy ulicach ciągną się teraz motele, kaplice ślubne oraz sklepy z bielizną. Ten odcinek bulwaru aż do centrum zawsze kojarzy się Curtisowi z zatoką Subic i mostem, którym się wjeżdża do Olongapo – rzecz jasna z pominięciem cuchnącej fekaliami rzeki, budek cinkciarzy i chłopców zebrzących o kilka centavo. Na posterunku jest za to kilku umęczonych roznosicieli ulotek o martwym spojrzeniu; popijają kawę z papierowych kubków, a u ich stóp leżą pękate torby. Wiatr goni po chodnikach wczorajsze prospekty i foldery reklamowe zachęcające do korzystania z usług sex clubów, agencji towarzyskich i burdeli w Pahrump. Palmy przeredzają się, stopniowo wypierane przez billboardy: to miasto reklamuje się samo przed sobą. Curtisa zdumiewa nagły dreszcz radości; bierze głęboki wdech, powstrzymuje wypływający mu na wargi uśmiech. „Co się dzieje w Vegas, zostaje w Vegas”. Jest sam i grozi mu niebezpieczeństwo. Po raz pierwszy od lat czuje, że żyje.

Autobus wysadza go w pobliżu Fremont Street, głównej ulicy śródmieścia, od niedawna zamkniętej dla ruchu kołowego. Nad nią rozciąga się stalowe rusztowanie upstrzone koncertowymi głośnikami i kolorowymi światełkami. W tej chwili światełka są pogaszone, a głośniki milczą. Boczными uliczkami ciągną na pierwszą zmianę nieliczne ranne ptaszki: kelnerzy i tancerki w cywilu, z uniformami upchniętymi w plecakach i workach. Curtis wciąż jeszcze funkcjonuje według czasu filadelfijskiego; głupio mu, że tak wcześnie się zerwał. Stanley, gdziekolwiek jest teraz, z całą pewnością śpi.

Czwartą Ulicą zmierza do restauracji hotelu Gold Spike. Jest rozbawiony i odrobinę rozczarowany tym, że od jego ostatniej wizyty cena śniadania złożonego z dwóch jajek wzrosła ponad dwukrotnie i wynosi teraz dolar dziewięćdziesiąt dziewięć. Składa zamówienie przy ladzie, zajmuje miejsce w boksie pod oknem i przez zakurzoną szybę spogląda na ciężarówki dostawcze, taksówki oraz samochody opancerzone.

Odkąd był tu po raz ostatni, minęły prawie trzy lata. W lecie 2000 roku, po powrocie z pierwszej misji bojowej na Bałkanach, Curtis został czasowo oddelegowany do bazy piechoty morskiej w Twentynine Palms, do pomocy przy szkoleniu z udziałem różnych rodzajów wojsk. Pół roku zgrzytającego w zębach piasku, osmalonych skał i słońca wystawiającego ich wytrzymałość na próbę. W oczach dowództwa Curtis był weteranem wojennym, który w 1991 roku służył w Zatoce, a potem walczył z partyzantką w Kosowie i Somalii. Chcieli, żeby podzielił się swoim doświadczeniem z kompletnie zielonymi rekrutami. Curtis okazał się fatalnym nauczycielem: niechętnie wracał do operacji, które swoim zdaniem zawałił, i nie potrafił przekazać chłopakom niczego, co osobiście uznałby za mądre. Usiłował nauczyć ich rzeczy, które jemu samemu przez lata wpajano – metod kontrolowania dróg na obszarze działań wojennych, zabezpieczania tyłów, obchodzenia się z jeńcami – lecz wszystko, co mówił, brzmiało sucho niby tekst z podręcznika, jak te sztapkowe nudziarstwa, których wysłuchiwał na swoim pierwszym obozie szkoleniowym w 1984 roku. Widział, że jego słowa do nikogo nie trafiają. Nikt zresztą nie miał ochoty roztrząsać, co zrobić w przypadku, gdy pięćdziesięciu irackim żołnierzom przyjdzie do głowy poddać się czteroosobowemu oddziałowi zwiadowczemu albo kierowcy cysterny z wodą. Ludzie zawsze przygotowują się na najgorsze, na groteskę już nie. Ciekawe, ilu z tych świeżo upieczonych marines jest teraz na pustyni? W Kuwejcie albo w Arabii Saudyjskiej czeka na dźwięk gwizdka rozpoczynającego drugą połowę meczu?

W Twentynine Palms Curtis ponownie spotkał się z ludźmi poznanymi w szkole żandarmerii wojskowej w Leonard Wood, swoimi rówieśnikami. W poszukiwaniu rozrywek zbliżyli się do siebie podczas weekendowych wypadów do San Diego, Tijuany i Las Vegas. Damon zawsze organizował te do Vegas: przez pustynię sunęły wówczas wozy kempingowe pełne marines, którzy następnie zajmowali całe piętra w Circus Circus albo Plaza, wznosili nad stołami do gry w kości okrzyki nawiązujące do motta piechoty morskiej – *Semper fidelis* – i garściami rozdawali ciulane przez podatników dolary dziewczynom z Palomino i Glitter Gulch. Wyprawy Damona nieodmiennie przyciągały nowe twarze – młodszych, nieznaną Curtisowi chłopaków – i wszyscy oni mówili wyłącznie o Damonie. Cholera, emocjonowali się, przecież to największy szajbus w całym oddziale żandarmerii! Ale Damon wcale nie był szajbusiem. Stale trzymał nerwy na

wodzy, kontrolował siebie i swoje otoczenie, pociągał za sznurki. Był zawsze opanowany, podczas gdy reszta przepuszczała kasę i obrzygiwała własne buty.

To się wydarzyło podczas ostatniego wypadu. Przechodzili akurat większą grupą przez któreś z tych wielkich kasyn – Caesars albo Tropicana – strasząc cywilów i robiąc sobie jaja z lotników z bazy Nellis, gdy w pewnym momencie Curtis poczuł klepnięcie w ramię. Odwrócił się i zobaczył Stanleya: chudego, zmizerniałego, lecz wciąż w znakomitej formie. Kiedy Curtis objął go niezgrabnie, poczuł pod palcami gibkie, silne ciało. Na pytanie, co go sprowadza do miasta, Stanley tylko dziwnie się uśmiechnął; mogło to oznaczać zarówno „Naprawdę musisz dociekać?”, jak i „Nigdy nie zgadniesz”. Rozmawiali przez chwilę o tacie Curtisa, o wojsku i wspólnych znajomych ze Wschodniego Wybrzeża. Potem zmienili temat i Curtis, niezłe już wstawiony, zaczął gubić wątek. Stanley opowiadał mu o jakiejś partyjce blackjacka rozgrywanej w Barbary Coast – o czymś, co się tam wydarzyło, albo z czym mu się ona skojarzyła – następnie zaś przeszedł do historii angielskiego magika nazwiskiem Flood i jego słynnej sztuczki, w której przypadkowe przedmioty w niezwykle sposób przesuwają się równolegle względem siebie, jakby były połączone niewidzialnymi żyłkami. Curtis spodziewał się, że Stanley wyjaśni mu, na czym polegał sekret owego triku albo jaki miał on związek z tamtą partyjką blackjacka, lecz Stanley nic takiego nie powiedział; umilkł niespodziewanie i tylko przyglądał się Curtisowi, jakby czekając na jego reakcję.

Wspomnienie tamtego spotkania wstrząsa teraz Curtisem, siedzącym w boksie restauracji hotelu Gold Spike, wycierającym złożonym na pół tostem rozlane żółtko. Mrozi mu krew w żyłach, odbiera apetyt. Trudno powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Z jednej strony irytuje go myśl, że kompletnie nie zrozumiał człowieka, którego zna prawie od urodzenia. Ale nie o to chodzi, w każdym razie nie tylko o to. Coś jeszcze zatruwa mu tamto wspomnienie: jakieś koszmarne przeczucie, irracjonalne i niepokojące. Przeczucie zagrożenia ukrytego w jasnym świetle dnia. Bliskość oszusta. Jakby to nie Stanleya spotkał w kasynie tamtego wieczoru. Albo, co gorsza, jakby to z nim samym stało się coś złego i przestał być sobą.

Naturalnie, w owym czasie niczego podobnego nie doświadczył: moment jak moment, krępujący i tyle. Przez krótką chwilę stali w milczeniu; Curtis, spuściwszy głowę, przestępował z nogi na nogę. Potem podszedł do nich Damon i Curtis przedstawił go Stanleyowi.

I tak to wyglądało – pierwsze spotkanie tych dwóch. Wtedy wydawało się, że to drobiazg. Rzecz kompletnie bez znaczenia. Teraz Curtis z trudem potrafi odtworzyć wszystko, co później nastąpiło.

Resztę wydarzeń tamtego wieczoru zatarł w jego pamięci alkohol, jednak w głowie Curtisa zachował się wyraźny obraz Damona siedzącego przy stole, gdzie

minimalna stawka wynosiła dwadzieścia pięć dolarów: skupiony, z roziskrzonym wzrokiem, uśmiecha się krzywo do swoich kart, a nad nim stoi pochylony Stanley i szepcze mu coś w wygoloną podstawę czaszki, z dłonią opartą na jego ramieniu.

W rezultacie Curtis dochodzi do wniosku, że w pewnym sensie sam jest sobie winien.

Pierwsza zmiana zaczyna się w południe, więc Curtis rusza Fremont Street, spod El Cortez w kierunku Plazy, wstępując po drodze do każdego napotkanego kasyna. Gada z krupierami i dealerami, kelnerkami i barmanami, obsługą sal, ochroniarzami, z każdym kierownikiem stołów i szefem zmiany, ze wszystkimi, którzy chcą go słuchać. Zmienia wersję w zależności od słuchacza, zaczynając zwykle od słów: „Szukam przyjaciela, zatrzymał się gdzieś w mieście, a ja mam do niego pilny interes”. Wszystkim rozdaje numer swojej komórki, czasami wciska też kilka dziesiątek, gdy jego zdaniem może to przynieść pożądany skutek. Parę osób twierdzi, że widziało Stanleya w ostatnim tygodniu. Wszyscy powyżej czterdziestki zdają się go kojarzyć.

Początkowo Curtis obawiał się działać otwarcie, zostawiać za sobą tak wyraźny ślad, ale potem mu przeszło. Jeśli nie będzie widoczny, niczego nie zyska, zwłaszcza że zostało mu tak niewiele czasu. Nigdy zresztą nie przepadał za podchodami; kto jak kto, ale Damon powinien o tym wiedzieć. Według Curtisa to zwykła strata czasu – lepiej od razu powiedzieć, o co chodzi, niż czekać i patrzeć, jak się sprawy potoczą. Jeżeli Damon ma z tym problem, mógł zadzwonić do kogoś innego. W Vegas Curtis niczego złego nie zrobił, więc nie ma potrzeby się ukrywać. Przynajmniej na razie.

W każdym kasynie, do którego zagląda, robi rundę wokół stołów. Już tradycyjnie obchodzi je zgodnie z ruchem wskazówek zegara, wypatrując w tłumie łysej głowy Stanleya, jego wąskich ramion i zakrzywionego nosa. Na razie nie przynosi to żadnych rezultatów, lecz Curtis stale ma wrażenie, że coś mu umyka. Zardzewiał i wciąż nie dowierza swojemu wzrokowi.

Z kasyna Main Street Station wychodzi z dwoma rulonami ćwierćdolarówek w kieszeni i łapie autobus do Stratosphere, skąd rozpoczyna długą wędrówkę w kierunku południowym. Tym razem ma lepszy czas, szybciej namierza właściwych ludzi: kierowników stołów z kiepską fryzurą, barmanów w średnim wieku, parkingowych, którzy patrzą mu prosto w oczy. Gotówka Damona prędko się rozchodzi, ale teraz Curtis ma poczucie, że w końcu coś za nią kupuje.

Nikt nie zadaje mu trudnych pytań, mimo to nadal trzyma się swojej bajeczki. Ćwiczy w myślach wyimaginowany dialog, ilekroć przechodzi z jednego kasyna do drugiego albo przecina bulwar. Wspomina South Philly, gdzie przed dziesięcioma dniami siedział z Damonem w Penrose Diner. Kołysał kubkiem, na którego dnie wirowały fusy trzeciej z rzędu kawy; białą niczym kość ściankę kubka znaczyła brązowa parabola. „Nie proszę, żebyś kłamał. Po prostu nie komplikuj. Jak cię ktoś przyciśnie, mów, że chodzi o niespłacony dług. W sumie to prawda, no nie?”. Damon ma równo przystrzyżone żółtawe włosy. Są dłuższe niż Curtis

kiedykolwiek widział u niego – trochę ponad centymetr. Beżowy garnitur w pepitkę jest wygnieciony, jakby kumpel w nim spał, choć najwyraźniej od dawna nie zmrużył oka. „Cała sztuka polega na tym, żeby nie wyskakiwać ze wszystkim naraz. Rozumiesz? Dasz im trochę, a oni uznają, że już wiedzą, co trzeba”. Załzawione ciemne oczy są czujne, przypominają naoliwione łożyska kulkowe. Przy jednym mankiecie rękawa koszuli z czarnej popeliny tkwi obsydianowa spinka, przy drugim wiszą splątane nitki po jej oderwanej towarzyszce. „Możesz się na mnie powołać, jeżeli uznasz, że to ci ułatwi sprawę. Nikt tam nie ma pojęcia, co się wydarzyło w Atlantic City. A jeśli nawet, nie powiąże jednego z drugim”. Nowa komórka leży na podłużnej nieopisanej kopercie. Wewnątrz tkwi wydruk biletu elektronicznego (UA 2123, PHL 07:00 – LAS 09:36, 13/03/2003), w który zawinięto trzy czek podróżne na sto dolarów każdy. „Co powiesz żonie, to już twoja brocha. Posłuchaj, Curtis, na nic się nie narażasz. Nikt tutaj nie łamie żadnych przepisów. Znajdziesz go i zadzwonisz do mnie, ale nie później niż do północy w przyszły wtorek. Bułka z masłem”.

Curtis patrzył, jak audi Damona wykręca na parking i znika przy wjeździe na wiadukt w kierunku mostu Whitmana. Potem skończył swoją porcję szarlotki, a także czekoladową napoleonkę, którą Damon ledwie napoczął, zamówił jeszcze jedną kawę i siedział, czytając gazetę, dopóki nie zaczęły się godziny szczytu – wówczas ruszył do metra. Nazajutrz obudził się o czwartej rano na dźwięk budzika nastawionego przez Danielle. Nasłuchiwał, jak żona się ubiera i wychodzi do pracy, po czym leżał, gapiąc się przez żaluzje na niebo i obserwował, jak czerń przechodzi w czerwień, w żółć, a na koniec w biel. Następnie wstał, umył się i wsiadł w autobus jadący do Collingdale, gdzie kupił broń.

Na południe od Fashion Show Mall kasyna są coraz większe. O tej porze panuje w nich spory ruch, więc wszystko trwa znacznie dłużej. O ósmej Curtis jest już za lotniskiem. Omija lokale, które wydają mu się mało obiecujące, i zużywa kolejne ćwierćdolarówki na autobus, którym dociera od przecznicy do przecznicy, stale w kierunku południowym. Wstępuje do bufetu w Tropicanie, gdzie przy poświacie bijącej od lamp grzewczych i akwariów z rafą koralową wcina antrykot oraz krewetki, a potem jeszcze przez godzinę siedzi nad opustoszałym basenem i patrzy, jak odbicia palm kołyszą się na powierzchni wody marszczonej lekkim wiatrem. Czeka, aż posiłek ułoży mu się w żołądku, po czym zagląda na wschód do Hôtel San Rémo, na zachód do Orleans, na południe do Luxoru i Mandalay Bay.

W trakcie długiej podróży powrotnej do hotelu przysypia na moment i budzi się z nagłym biciem serca. Za brudną szybą autobusowego okna miasto wydaje się jakieś inne, bardziej ruchliwe niż dotąd. Bulwarem ciągnie gęsty strumień pieszych. Śmieją się, pokrzykują i wygłupiają, ulice zaś pełne są wypożyczonych luksusowych aut z opuszczonymi szybami i jazgoczącymi głośnikami. Przy krawężniku na jałowym biegu czekają długie limuzyny, przyczajone

i zdystansowane wobec ludzi na chodniku, których długa procesja odbija się w ich ciemnych, zamkniętych na głucho oknach. Czas zdaje się pędzić w pośpiechu. Curtis myśli o wszystkich okropnych miejscach, w których był, o nocach spędzonych przy ogrodzeniach z drutu ostrzowego na wpatrywaniu się w płonące szyby naftowe i odległe rozbłyski wystrzałów z broni ręcznej. Całkiem to niepodobne do tego, co robi tutaj, zarazem towarzyszyło mu wówczas to samo podniecenie, oczekiwanie na sygnał do działania, poczucie, że gdzieś za tą jasnością coś wzbiera i narasta. Po raz pierwszy od bardzo dawna Curtis ma wrażenie, że znalazł się znowu w prawdziwym świecie, nieludzkim i nieucywilizowanym, gdzie można być każdym albo nikim, gdzie wszystko jest możliwe.

Staje przed drzwiami swojego pokoju, przesuwając kartę-kłucz przez czytnik i w tym samym momencie jego komórka ożywa. Zaskakuje go nieznany sygnał dzwonka: Curtis drga nerwowo, drzwi otwierają się szeroko, karta-kłucz wypada mu z ręki, ślizga się po płytkach posadzki i ląduje wewnątrz ościeżnicy. Curtis schyla się, żeby ją podnieść. Jednocześnie sięga do kieszeni po telefon.

Słyszy podniesiony głos, który z nikim mu się nie kojarzy. Curtis! – mówi ktoś. Jak leci, stary?

W porządku. Co tam?

Wiesz, kto dzwoni? Poznałeś po głosie? To ja. Albedo, chłopie! Pamiętasz mnie? Podobno jesteś w mieście?

Curtisowi nazwisko Albedo – ani Al Beddow – absolutnie nic nie mówi. Koleś na pewno jest biały, prawdopodobnie w jego wieku. Ma południowy akcent, z Karoliny Północnej albo z Wirginii. W tle słychać gwar rozmów. Tak, odpowiada Curtis, przyjechałem na parę dni do Vegas.

No to git, chłopie. Musimy się jakoś ustawić, pogadać. Co teraz robisz?

Ja... Właśnie wróciłem do hotelu.

Do hotelu? Kurwa, stary, dopiero jedenasta! Nie możesz teraz wrócić do hotelu. Słuchaj, jesteśmy właśnie z ekipą w Hard Rock. Bierz dupę w troki i przyjeżdżaj. Wiesz, gdzie to jest?

Curtis wie. Jedną nogą jest już w przedsionku pokoju, z zamkniętym telefonem w dłoni. Usiłuje sobie przypomnieć, do kogo należy ten głos. Może do kogoś, z kim dzisiaj rozmawiał? Albo do kogoś, kto bardzo uważa na słowa ze względu na towarzystwo, w jakim się znajduje. Curtis zamyka oczy, próbuje sobie wyobrazić tego Albeda – półmrok, głośna muzyka, zgłębienie podniesionych głosów (może któryś z nich należy do Stanleya?) – lecz centralny punkt obrazka zieleje pustką, jest niczym próżnia w zasnutym dymem powietrzu i Curtis szybko się poddaje.

Wchodzi głębiej do ciemnego przedsionka, sprawdza jeszcze faks i lampkę przy automatycznej sekretarce. Gdzieś dalej na korytarzu rozlega się trzaśnięcie

drzwiami i Curtis czuje się naraz nieswojo, jak intruz w przestrzeni dzielonej z innymi. Choć ich nie widzi, uświadamia sobie ich bliskość. Ktoś tu wchodził, kiedy go nie było: naturalnie sprzątaczką. Przez ułamek sekundy ma wrażenie, że jest w stanie odczytać sekretną historię nakładających się na siebie zapachów: płynów do mycia, perfum, potu. Potem jego nos przestaje je rozpoznawać; zlewają się ze sobą i rozplywają w powietrzu. Na południu, w odległości jednej przecznicy od Las Vegas Strip, coś się dzieje, trwa wielkie otwarcie nie wiadomo czego. W ciągu minuty snop światła reflektora obrotowego czterokrotnie wpada do pokoju przez rozsunięte zasłony, wydobywając z mroku meble, które zaraz znikają, by po chwili ponownie się pojawić. Za każdym takim obrotem niebo nad miastem błękitnieje, przypomina twardą, płaską, nieprzejrzystą taflę, pokój zaś zdaje się spłaszczać; wygląda wtedy niczym swoja własna diorama.

Po kilku takich obrotach Curtis wyciąga rewolwer i sprawdza go w padającym z korytarza bladym świetle. Potem szybkim krokiem idzie do windy; drzwi pokoju zatrząskują się za nim ze szczękiem.

Hard ROCK Hotel & Casino znajduje się na Paradise Road, między bulwarem a kampusem Uniwersytetu Nevady w Las Vegas – to niedaleko, lecz Curtis woli nie ryzykować, że się rozminą z Albedem. Wskakuje do taksówki i w ciągu kilku minut jest na miejscu.

Był tu już wcześniej, krótko i po pijaku, więc niewiele pamięta. Budynek jest nieduży, kredowo biały, z półokrągłym dachem, podświetlony od dołu jaskrawofioletowymi reflektorami; kiedy taksówka skręca na wysadzany palmami podjazd, stojący przy krawężniku billboard reklamowy błyska i rozjarzone diody tworzą napis: „OZZY OSBOURNE!”. Strumień rozbawionych imprezowiczów – tancerek i barmanów po skończonej zmianie, grubych ryb z wybrzeża – wlewa się do środka przy świetle neonowych strun olbrzymiej gitary.

Ledwo Curtis przechodzi przez drzwi z klamkami w kształcie gitar Gibsona, już wie, że Stanleya tutaj nie znajdzie. Wewnątrz są sami młodzi w typie studentów MBA, kolesie z college’u na przedłużonych feriach świątecznych: jeśli nie liczyć Ozzy’ego, Curtis jest tu prawdopodobnie najstarszy wiekiem. Przeciskając się przez zatłoczone lobby, mijają manekin Britney Spears w obcisłym sweterku, perkusję za szkłem i żyrandol zrobiony z błyszczących saksofonów. Z głośników pod sufitem ryczy Aerosmith. W okrągłym kasynie Curtis przystaje, żeby przeczytać napis wydrukowany na blacie jednego ze stołów do blackjacka, na suknie w kolorze owoców morwy: u góry, nad fragmentem tekstu piosenki, której nie rozpoznaje – jest tam mowa o farcie – widnieje informacja, że krupierzy muszą dobierać do miękkiej 17. Stanley za żadne skarby świata nie zbliżyłby się do tego lokalu na odległość mniej niż stu metrów.

W pobliżu baru w kształcie dysku jest jeszcze głośniejsze. Gwar rozmów, dźwięki automatów do gry, muzyka z głośników – wszystko to zlewa się ze sobą w nieokreślony jazgot, nowy rodzaj ciszy. Curtis dopiero po pewnym czasie zdaje sobie sprawę, że w odległości kilku metrów od niego ktoś wykrzykuje jego imię: długowłosy biały facet. Podarte dżinsy, koszulka Guns N’ Roses, kurtka motocyklowa. Szczerzy zęby w uśmiechu na tle roziskrzonego telewizora z płaskim ekranem i wymachuje ręką z rozcapierzonymi palcami. Wygląda to tak, jakby trzymał w dłoni garść wodorostów. Curtis jest pewien, że nigdy go wcześniej nie widział.

Z bliska Albedo przypomina krzyżówkę Cheta Bakera z Jimmym Buffettem. Czubki palców ma zabarwione na żółtobrązowo. Uścisk jego dłoni jest zdecydowany, lecz lekki niby dotyk macek jakiegoś zwierzęcia i Curtis szybko cofa rękę. Rzadkie brązowe włosy są ściągnięte w zakręcony kucyk, na skroniach przyprószone siwizną. Zacerwienione oczy łzawią, a całe ciało cuchnie whisky

i marihuaną.

Albedowi towarzyszą przy barze dwie młode kobiety – blada blondynka i śniada brunetka, prawdopodobnie o latynoskich korzeniach; obie mają wyszywane cekinami bluzki z odsłoniętymi plecami. Poza zmęczeniem i brakiem większych oczekiwań wobec życia z ich twarzy nie sposób niczego wyczytać. Kobiety przesiadają się, zostawiając między sobą dwa wolne stołki; Albedo wali Curtisa w plecy i sadza go po swojej prawej stronie. Potem opada ciężko na miejsce, a jego palce przesuwają się – ospale, niczym palce pijaka – po obu bokach Curtisa, muskając ukryty pod kurtką rewolwer. Curtis wie, że coś jest nie tak; że powinien czym prędzej się stąd wynieść.

Albedo zamawia dla niego piwo – coronę – i przedstawia Curtisa kobietom jak starego znajomego. Byliśmy razem na pustyni, mówi. Podczas pierwszej wojny w Iraku. Imiona kobiet brzmią egzotycznie i obco. Curtis natychmiast je zapomina; słucha Albeda jednym uchem, w jego głowie trwa gonitwa myśli. Usiłuje się opanować.

Śledzisz wiadomości z Iraku? – zagaduje go Albedo. Nie do wiary, co się tam wyprawia.

A co? Zaczęło się?

Lada moment się zacznie, stary. Z powagą kiwa głową, jakby miał jakieś tajne informacje na ten temat. Wiesz, co ci powiem? – mówi, unosząc do góry butelkę. Lepiej my ich, niż oni nas. Mam rację, brachu?

Curtis przytakuje, w milczeniu sączy piwo.

Próbowałem właśnie opisać moim dwóm młodym towarzyszkom, ciągnie Albedo, z których żadna nie ma szczęścia być obywatelką naszej wspaniałej ojczyzny, cały ten pierdolnik, z jakim mamy dziś do czynienia na Bliskim Wschodzie. Już pierwsza wojna – nasza wojna – była kompletnym idiotyzmem. Bez dwóch zdań. Ale to już przechodzi przysłowiowe ludzkie pojęcie. Dobrze mówię, Curtis?

Curtis bierze swoje piwo, obraca podkładkę tak, aby umieszczony na niej tekst znajdował się w jednej linii z krawędzią kontuaru, i odstawia butelkę na miejsce. Nie chce rozmawiać ani myśleć o wojnie. Porąbana sytuacja, mówi.

Święte słowa, chłopie. Delikatnie rzecz ujmując.

Na kontuarze pojawia się paczka papierosów i srebrna zapalniczka z logo kasyna Binion's. Albedo teatralnym gestem przypala papierosa. Odchyła się do tyłu, balansując na dwóch nogach stołka; Curtis musi wykręcać szyję do tyłu, żeby nie tracić go z oczu. Blondynka z lewej strony popatruje to na Albeda, to na Curtisa; marszczy przy tym brwi, jakby ze wszystkich sił próbowała zrozumieć ich rozmowę. Ma w sobie coś, co kojarzy się Curtisowi z Bałkanami, chociaż nie do końca; wreszcie dochodzi do wniosku, że to Ukrainka, może Słowaczka. Uspokoił się, chłodno ocenia sytuację. Jego butelka jest wciąż w trzech czwartych pełna.

Jak ci się wiedzie w cywilu, Albedo?

Świetnie, stary. Naprawdę świetnie. Każdego dnia rozkoszuję się wolnością. I wierz mi, nie ma jak Vegas. Tyle się tutaj dzieje. Mnóstwo możliwości dla takich jak my. Mogę zadzwonić tu i tam, dopóki jesteś w mieście. Przedstawiłbym cię paru ludziom. Pasuje?

Pewnie, czemu nie. Długo tu jesteś?

Albedo szczyrzy w uśmiechu zęby jak rekin. Wystarczająco długo, żeby zaliczyć najlepsze laski, przyjacielu. I dowiedzieć się wszystkiego, co trzeba. W tym mieście liczą się szacunek i wiarygodność, stary.

Tak jak gdzie indziej.

Jasne, stary, jasne. Masz rację. Ale tutaj przede wszystkim. Tutaj jest zresztą inaczej. Wszystko w zasięgu ręki, drzwi stoją przed człowiekiem otworem. Żadnych antydemokratycznych bredni, jak to bywa gdzie indziej. Żadnych sztucznych barier. Nie trzeba mieć znajomych w tajnych stowarzyszeniach i wymieniać z nimi sekretnych uścisków dłoni ani tańczyć, jak ci zagrają. Wszystko jest tym, czym się wydaje.

Co teraz robisz?

Że jak? Znaczy się, za kasę? Albedo uśmiecha się krzywo, kręci głową, jakby to było durne pytanie. Robię mnóstwo różnych rzeczy, stary. Biorę, co mi wpadnie w ręce. A że ostatnio sprawy znacznie przyspieszyły, jest tego całkiem sporo. W związku z tym mam robotę do odstąpienia.

Coś na stałe?

Częściowo. Parę razy w tygodniu robię za szofera. Wożę po mieście te oto piękne panie – te dwie i jeszcze kilka ich koleżanek po fachu. Jeździmy w różne miejsca. Zarabiam dość, żeby się utrzymać, pracując dwie noce na tydzień po osiem do dziesięciu godzin jako szofer i ochroniarz. Kurde, cholerni parkingowi wyciągają tu rocznie sześciocyfrowe sumy. To miasto to żyła złota, chłopie. Oczywiście dla właściwego człowieka. Żyła złota, mówię ci.

Curtis odpowiada bladym uśmiechem. Cała ta gadanina jest kompletnie bez sensu, ale fajnie się patrzy, jak tamten szarżuje, serwując swoje głodne kawałki. Koleś zarzuca wędkę, nie mając zielonego pojęcia, jakiej przynęty użyć, żeby ryba połknęła haczyk. Curtis zaczyna myśleć, że może jednak nic mu tutaj nie grozi. Chyba że Albedo gra na zwłokę, usiłuje go zwabić w pułapkę. Odwraca głowę i rozgląda się po rozwrzeszczanym tłumie. Gdzieś w głębi automat do gry wygrywa metalicznie własną wersję *Tequila*; znajoma melodia przebija się przez otaczający zgiełk niczym światło przez dziurkę w kartce papieru po nakłuciu jej szpilką. Butelka Curtisa jest już w połowie pusta.

Młoda Latynoska uśmiecha się do niego i Curtis odwzajemnia się uprzejmym skinieniem głowy. Jest ciekaw, co ona i ta druga robią tutaj z Albedem, zamiast w tym czasie nieźle zarabiać; zaraz jednak przychodzi mu do głowy, że

może właśnie w tej chwili zarabiają. Dziewczyna nachyla się do niego. Podobają mi się twoje okulary, mówi. Z każdą kolejną sylabą Curtis czuje na szyi delikatne chuchnięcie.

Dziewczyna mówi z niekiepskim akcentem; musi mieszkać w Stanach od dłuższego czasu. Ja noszę soczewki, dodaje. Dla Curtisa to żadne zaskoczenie – jej tęczówki błękitem dorównują płynowi do mycia szyb. Dziewczyna wyciąga rękę do jego twarzy. Mogę przymierzyć? – pyta.

Curtis podaje jej okulary. Masz słabe szkła, mówi ona, oddając je z powrotem.

Nie są korekcyjne.

Tak jak moje soczewki, zwierza się dziewczyna. Też nie są korekcyjne. Ospale trzepocze wytuszowanymi rzęsami.

¿*De dónde eres?* – pyta ją Curtis.

Z Kuby.

Nigdy by się tego nie domyślił, chociaż wyraźnie słyhać to w jej głosie, w tym, jak przeciąga samogłoski, opuszcza „s” i wymawia „korekcyjne”. Zastanawia go, dlaczego trafiła tutaj, zamiast do Miami, Tamy albo Nowego Jorku, ale brakuje mu słownictwa i ochoty, żeby dalej zgłębiać ten temat. ¿*De qué región?*

Santiago de las Vegas. Wiesz, gdzie jest Santiago de las Vegas?

Está cerca de la Habana, ¿verdad?

Tak. Byłeś kiedyś na Kubie?

Sí, przytakuje Curtis, *he estado en Cuba*. Nie mówi jej jednak, gdzie był ani po co. Gdyby nie to, że się wycofał, nadal mógłby tam siedzieć. Curtis myśli o tym przez chwilę. Przypomina sobie słoneczny kwietniowy poranek sprzed roku na wzgórzach nad zatoką Granadillo. Widok na położony w dole obóz. Pomarańczowe kombinezony niczym nadziane na druty kwiaty kaktusa.

Dobrze mówisz po hiszpańsku, zauważa dziewczyna. Nie jest zbyt przekonująca; jej uśmiech zaczyna blednąć. Jej palce dotykają teraz uda Curtisa, stopa ociera się o jego kostkę. Ruchy te są automatyczne, jakby wyuczyła się ich z filmu instruktazowego, co w zasadzie nie musi być wcale takie dalekie od prawdy.

Curtis poklepuje błędzącą po jego udzie dłoń i ponownie odwraca się do Albeda, który tymczasem usiłuje wytłumaczyć blondynce, kim jest Condoleezza Rice. Curtis stuka go w ramię.

Co jest, stary? – pyta Albedo. Chcesz jeszcze jedno piwo?

Jak się dowiedziałeś, że jestem w mieście?

Albedo wygląda na zaskoczonego, zakłopotanego; prycha teatralnie. To żadna tajemnica, mówi.

Fakt. Nie tajemnica. Ale jak się o tym dowiedziałeś?

Wpatrują się w siebie. Twarz Albeda jest pusta, jakby znieruchomiła między różnymi minami. Na szyi pulsuje gruba żyła; Curtis podświadomie liczy kolejne uderzenia: raz-dwa, trzy-cztery, pięć-sześć.

Damon, mówi wreszcie Albedo. On mi powiedział. Wczoraj wieczorem do mnie zadzwonił. Podał mi numer twojej komórki.

Curtis mruży oczy. A skąd ty właściwie znasz Damona?

O co ci chodzi? Z wojny w Zatoce, stary. Tak samo jak ty. O czym ty gadasz?

Ja znam Damona z Leonard Wood, odpowiada Curtis. W czasie wojny byłem u Saudyjczyków. On pływał na „Okinawie”. Nie byliśmy razem w Zatoce.

Albedo zgniata niedopałek papierosa, pociąga z pustej butelki, odchyła się jeszcze bardziej do tyłu, żeby znaleźć się w martwej strefie Curtisa. Jak sobie chcesz, stary, mówi. Ja znam go z Zatoki.

Curtis czeka, aby tamten nachylił się znów do przodu. Albedo przestaje udawać zdumionego, w jego wzroku kryje się wyzwanie. Nie jest tak pijany, jak Curtis przypuszczał. Okej, odzywa się Curtis. Skąd my się znamy?

Albedo spogląda na niego, wzrusza ramionami, odwraca głowę. Jego palec wskazujący wystrzeliwuje w górę niczym oko na szypułce ślimaka. Jedna corona, rzuca do barmana.

Znamy się?

Albedo odwraca się ku niemu ze śliskim uśmiechem na twarzy. No, mówi, teraz już się znamy. Prawda? Barman, dla tego dżentelmena jeszcze jedno...

Nie, dzięki. Wystarczy.

Ej, spoko. Wyluzuj, Curtis. Przyjaciel Damona to chyba twój przyjaciel, no nie?

Curtis dopija piwo, odsuwa butelkę i wyciera wilgoć ze swoich spierzchniętych palców. Czy Damon ci powiedział, po co tu przyjechałem?

Tylko że robisz coś dla niego w The Point. Szukasz gościa, który ma w kasynie niespłacony dług. Nic poza tym.

Nie mówił, kogo szukam?

Czarne oczka Albeda drgają nerwowo w oczodołach. Chyba nie, odpowiada po chwili. Nie wydaje mi się. Kogoś, kogo bym znał?

Nie. Nikogo, kogo byś znał.

Znam wielu ludzi, Curtis.

W to akurat nie wątpię.

Albedo odbiera piwo od barmana, wyciąga zapalniczkę i przypala kolejnego papierosa. Osłania ogień stuloną dłonią. Przyglądają się sobie z Curtisem badawczo przez gęstniejącą smuzkę dymu. Curtis czuje, że jego oczodoł zaczyna lekko drzeć i wypełniać się łzami. Obraca się na stołku, odsuwa do tyłu i przekłada dłoń Kubanki na jej podolek. Dziewczyna drga nerwowo jak wyrwana ze snu.

Dobranoc, zwraca się do niej Curtis. Miło było cię poznać.

Albedo też się podnosi, wymachując papierosem, i pokaśluje, z trudem łapiąc oddech. Zaczekaj, Curtis! – woła. Pali się gdzieś?

Będę się zbierał.

O czym ty gadasz? Noc jeszcze młoda!

Mam za sobą długi dzień.

Ale ja mam ci coś do pokazania. Coś bardzo ciekawego.

Może następnym razem.

Albedo śmieje się i kiwa głową. Dobra, dobra, mówi, próbując jednocześnie zatarasować Curtisowi przejście. Curtis przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą; zaczyna się zastanawiać, w które miejsce najlepiej uderzyć.

Weź przynajmniej mój numer, stary.

Już go mam. Wyświetlił mi się w komórce.

Przygląda im się kilka siedzących przy barze osób. Albedo zerka na boki, po czym uśmiecha się, odpręża, nieszkodliwy i całkiem rozbrojony. Dobra, mówi, rób jak chcesz, kemosabe. Ranisz moje serce, stary. Mimo wszystko powiem ci to samo, co wcześniej Damonowi. Znam to miasto, a ono zna mnie. Mogę ci otworzyć mnóstwo drzwi. Nie ściemnam, stary. Zapytaj Damona, jak mi nie wierzysz.

Tak zrobię.

Albedo schodzi mu z drogi. Szybkim ruchem unosi do ust dużą prawą dłoń, wtyka papierosa między wargi, potem opuszcza rękę i wyciąga ją przed siebie. Curtis gapi się na nią przez moment, oceniając dzielącą ich odległość. Nad wysuniętą ręką majaczy twarz Albeda, pusta, czujna. Dopiero teraz wydaje się Curtisowi znajoma. Nigdy wcześniej nie spotkał się z tym człowiekiem, ale w swoim życiu poznał wielu takich jak on – w Iraku, Mogadiszu, Guantánamo – i za każdym razem gorzko tego żałował.

Chce uścisnąć Albedowi dłoń, patrząc mu prosto w oczy, ale jest zbyt zmęczony i roztrzęsiony, żeby to zrobić: ostatecznie spogląda w dół, na jego rękę. Dobranoc, mówi i zdobywa się na uścisk. Dzięki za piwo.

Odwraca się na pięcie i odchodzi. Do wyjścia zmierza akurat grupka koleśków wzrostu koszykarzy; Curtis wchodzi pomiędzy nich i niesiony prądem płynie w kierunku saksofonowego żyrandola, a potem dalej, do lobby i na zewnątrz. Za plecami słyszy jeszcze głos wstawionego Albeda – „Nigdy nie znajdziesz tego, kogo szukasz, żołnierzu, jeśli nie potrafisz wytrwać na posterunku dłużej niż do drugiej w nocy!” – po czym zagłuszają go zdania wykrzykiwane jakies pół metra nad jego głową. Po kilkunastu krokach Curtis przepycha się między studenciakami w koszulkach polo i znika: znów jest anonimowy, znowu wtapia się w tłum. Ludzie rozglądają się, patrzą na wszystkie strony. Czuje ich spojrzenia, spływające po nim niczym woda po wosku.

Nagle grupa idących przed nim osób zwalnia kroku, żeby przyjrzeć się

połyskującemu czernią i chromem harleyowi na podwyższonej platformie. Curtis odwraca się na ułamek sekundy. Albedo wciąż tkwi tam, gdzie przedtem, między dwiema kobietami, obserwuje salę przez zmrużone powieki. Wielką dłoń przyciska do lewego ucha, w drugiej trzyma komórkę. Potrącany przez przechodzących, chwieje się niby ukwiał, nie ruszając z miejsca choćby o milimetr. Gdy Curtis znów spogląda przed siebie, przejście jest wolne, rusza więc żwawo lekkim krokiem na ulicę, prosto w światła neonów, na czyste, nocne powietrze.

Jakieś półtora kilometra za hotelem Harmon taksówka skręca w Las Vegas Strip. Curtis wciska dwadzieścia dolców w szczelinę nad plastikową szybą oddzielającą kierowcę od pasażera i wysiada, choć auto jest jeszcze w ruchu, po czym śpieszy w stronę bliźniaczych spłaszczonych kopuł Aladdina, pod łukiem wielkiej podkowy, przez centrum handlowe Desert Passage. Zygzakiem wymija zakupowiczów, w ogólnym chaosie zdobień i szyldów kątem oka rejestruje szczegóły: łukowate sklepienia, portyki, mozaiki niby drogocenne klejnoty, przepierzenia i treliáže, ośmioramienne gwiazdy. Szeroki wybór fajek wodnych, „Paszminy u Tiny”, salon mody „Napoleon”, sklep odzieżowy „Dobre Oko”. Ze sztucznego nieba pada sztuczny deszcz. Wzory mnożą się jakby w panice przed pustką: geometryczne, roślinne, nieskończenie wyszukane. Każda powierzchnia zdaje się lekka niby piórko, wręcz nieważka, ażurowa, podziurawiona niezliczonymi otworkami.

Curtis skręca w prawo przy sześciometrowej szklance koktajlowej – w pierwszej chwili bierze ją za neonowy minaret – i wychodzi na parking przy Audrie Street, w odległości jednej przecznicy od bulwaru. Jest sam, wystawiony na cel i doskonale widoczny pod buczącymi torami kolejki jednoszynowej. Zmierza do tylnego wejścia hotelu Paris, a stamtąd przeszklonym łącznikiem do Bally’s. Przechodzi przez kasyno i wylania się na Flamingo Road, gdzie wskakuje do następnej taksówki. Nie sądzi, aby ktokolwiek go śledził, jednak woli nie ryzykować ; wydaje przy tym mnóstwo kasy Damona, ale pieprzyć to – pieprzyć Damona, że nasłał na niego jakiegoś podejrzanego typa, w dodatku w ogóle go nie uprzedził. Curtis wyciąga komórkę i wybiera jedyne imię na swojej liście kontaktów.

Nie jest pewien, czy numer, który dostał od Damona, to telefon do domu, czy do pracy, stacjonarny czy komórka. Włącza się automatyczna sekretarka – żadnego powitania, tylko pojedyncze piknięcie. Damon, tu Curtis. Właśnie spotkałem się z niejakim Albedem, koleś twierdzi, że cię zna i że kazałeś mu się ze mną skontaktować. Nigdy go wcześniej nie widziałem ani o nim nie słyszałem. Liczę, że do mnie oddzwonisz i dowiem się, o co chodzi. Typ wydał mi się podejrzany. Okej? Jest piąta rano twojego czasu. Sorry, jeśli cię obudziłem. To na razie.

Na wszelki wypadek – a także aby mieć więcej czasu do namysłu – Curtis każe się zawieźć aż na lotnisko i dopiero tam mówi taksjarszowi, żeby zawrócił na północ. Auto sunie ślamazarnie w korku, jaki tworzy się tutaj zwykle zaraz po dwunastej w nocy; Curtis poprawia czapkę, rozsiada się wygodnie i opiera głowę o panel boczny. Wpatruje się w wyświetlacz telefonu, dopóki nie zgaśnie niebieskie podświetlenie. W żołądku paskudnie go ściska, jakby zjeżdżał windą

ekspresową.

To jeszcze niczego nie oznacza. Nie musi niczego oznaczać. W każdym razie niczego złego. Jeżeli nawet Damon wykonał jakieś ruchy, nie informując o nich Curtisa – no cóż, nie byłby to pierwszy raz. Ten facet nie ujawniłby nikomu swojej listy zakupów: u niego zawsze wszystko musi być ściśle tajne. Curtis dostaje przez to szału, ale między innymi właśnie z tego powodu tak go uwielbia. Damon jest fantastycznym kompanem i dlatego Curtis w ogóle zgodził się tutaj przyjechać. Z nim każde nudne przedsięwzięcie może stać się przygodą, o jakiej opowiada się wnukom; niepełne wtajemniczenie jest w tym przypadku wliczone w cenę. Zgoda na udział we wspólnej akcji oznacza zgodę na skok na główkę, dobrowolne zawierzenie. Do tej pory Curtis powinien już się do tego przyzwyczaić.

Nie każdy jednak uważa to za urocze. „Slim Shady” – tak brzmi ksywka nadana Damonowi przez Danielle, i to wcale nie dlatego, że kumpel Curtisa jest wyjątkowo podobny do Marshalla Mathersa. „Ten porąbany łajdak, twój kumpel” – mówi o nim zawsze, gdy jest pijana, czyli ostatnio dość często.

Curtis przyciska kciukiem klawiaturę komórki. Wyświetlacz znów się rozjaśnia: jest druga zero sześć w nocy. Trzy strefy czasowe stąd na wschód Danielle prawdopodobnie właśnie wychodzi do pracy. To dobry moment, żeby ją złapać, ale Curtis nie potrafi się przemóc, żeby wybrać jej numer; nie wyobraża sobie, co miałby jej powiedzieć. Nie jest już nawet wściekły. W każdym razie nie bardzo. Odkłada telefon, wciska kciuki w oczodoły. Taksówka zwalnia, zatrzymuje się na skrzyżowaniu i rusza, gdy światła się zmieniają; Curtis kołysze się w przód i w tył na siedzeniu siłą inercji. Odwraca się do okna i otwiera oczy.

To ich pierwsze poważne rozstanie, odkąd się pobrali. Curtis już wcześniej ją zostawiał – kilka razy, niedługo po tym, jak zamieszkali razem – lecz wtedy zawsze do niej wracał: był w domu, zanim zdążyła się przebrać w piżamę. Nie miał wówczas dokąd pójść, żadnego miejsca, gdzie mógłby się zadekować. Tym razem miejsce się znalazło, więc odszedł.

Żeby nie rozpamiętywać tamtej awantury, stara się myśleć o lotnisku: o bezsennych godzinach spędzonych na miękkich fotelach przy bramce w hali odlotów, wśród zbieraniny podróżnych oczekujących na przesiadkę. Tak się skoncentrował na monotonnym strumieniu wiadomości płynących z zawieszzonego pod sufitem telewizora, że prawie nie zauważył wschodu słońca, którego blask rozjaśnił szyby za jego plecami, odbijając się w wodach Delaware. Na jego oczach kolejna wojna stawała się rzeczywistością.

To była jedna z jej skrywanych bolączek. „Dlaczego po prostu nie przyznasz, że cię to gnębi?” W porządku. Miała rację. Nerwowość i wybuchowość, koszmary senne i nieprzespane noce, z których się otrząsał po Iraku, Mogadiszu, Kosowie – za każdym razem i bez żadnego problemu – powróciły, to fakt. „Widuję to samo dzień w dzień w wydziale do spraw weteranów, kolego. To zupełnie normalne.

Zbliża się wojna, a ty nie możesz znieść, że nie weźmiesz w niej udziału”. Ale to nie wojna tak rozstraja Curtisa, tylko wszystko inne. Denerwuje go wszystko oprócz wojny. Z nią potrafi sobie poradzić. Dla niego wojna ma sens.

„Ta przysługa, o którą poprosił cię Damon – nie tak znajduje się pracę, Curtis. Czy ty w ogóle siebie słyszysz? Masz polecieć do Las Vegas i węszyć po kasynach; to nie jest dla ciebie odpowiednia droga. Jeżeli nie chcesz myśleć o przyszłości, pomyśl o mnie, dobrze? Wiedz, do cholery, że nie zamierzam tu tkwić przez następne trzydzieści, czterdzieści lat i patrzeć, jak żyjesz z renty. Słyszysz, co do ciebie mówię? Nie tak postępuje dorosły mężczyzna. Nie w prawdziwym świecie”.

Prawdziwy świat: do tego zwykle sprowadzają się jej argumenty. Typowy schemat obrony. W dodatku Danielle wypowiada te słowa takim tonem, że nie sposób zakwestionować ich znaczenia. Lecz Curtisowi właśnie to, o czym mówi żona – listy motywacyjne i życiorysy, zajęcia w szkole pomaturalnej, refinansowanie kredytu hipotecznego – wydaje się oderwane od rzeczywistości o całe lata świetlne. A w każdym razie o dziesięć tysięcy kilometrów. Dobija go myśl, że podobne kwestie stanowią chleb codzienny każdego dojrzałego Amerykanina. Zarazem nie może się pozbyć wrażenia, że w zamartwianiu się takimi sprawami – zwłaszcza w obliczu kolejnej wojny – jest jakaś nedorzeczna bezmyślność. W jego odczuciu to zwykła dziecinada, idiotyzm, jak te zabawy w odgrywanie ról, w których Curtis nigdy nie uczestniczył i z których dawno wyrósł.

Naturalnie wojna to także gra i on dobrze o tym wie. Ale przynajmniej na wojnie stawka jest wyższa, horyzont możliwości znacznie szerszy, a cele bezpośrednio równie oczywiste jak biała linia na zielonej murawie. Człowiek zbiera się w sobie, idzie na wojnę albo wojna przychodzi po niego, żyje albo umiera. Curtis zastanawia się, czy jeszcze kiedykolwiek poczuje, że naprawdę żyje.

Oczy mu się zamykają; siłą woli zmusza się, by je otworzyć. Przez przejście dla pieszych przy hotelu Flamingo przebiega grupka dzieciaków prowadzona przez półnagiego chłopaka z niebieskimi włosami, w winylowych spodniach. Na jego chudej szyi dynda na sznurku świetlik chemiluminescencyjny. Chłopak tańczy, wykonuje piruety, a świetlik pojawia się i znika niczym światło ostrzegawcze. Curtis przypomina sobie kolumnę irackich jeńców z rękoma skrępowanymi plastikowymi kajdankami, których w 1991 roku przeprowadzali przez oczyszczone pole minowe na południe od Al Burgan: to, jak wymacywał w piasku bezpieczny szlak, wypatrując kręgów chłodnego, zielonego światła w przedwieczornym powietrzu czarnym od dymu z płonących szybów naftowych. Zaraz też napływa inne wspomnienie: jak dwa dni wcześniej lądował na lotnisku imienia McCarrana. Z pustyni – z kompletnej nicości – wzbily się ku niemu niezliczone światła, jakby miasto w całości było z nich zbudowane. A źródło tej jasności było dokładnie przy

bulwarze Las Vegas Strip.

Budzi go taksówkarz. Drzwi otwierają się i Curtis staje pod zadaszonym portykiem swojego hotelu. Rozespany skubie portfel, patrząc, jak tylne światła taksówki oddalają się i znikają pod białym łukiem mostu Rialto. Przez chwilę po prostu stoi, pozwalając, aby ludzie go wymijali. Potem kręci głową i schodzi im z drogi. Wyrzucony na mieliznę chodnika odwraca się, żeby spojrzeć na otaczające go budynki. Widzi blanki, całe rzędy rozet trójlistnych i czterolistnych. Złożone znaki zodiaku wokół niebieskiej tarczy zegara. Ponad zegarem elektroniczny billboard kasyna wyświetla na cały Strip zapętlone wiadomości. Ich fragmenty odbijają się w przyciemnianych szybach hotelu.

Kiedy Damon poprosił go, żeby odszukał Stanleya, Curtisowi od razu przyszedł do głowy ten hotel, zanim jeszcze nawet kumpel skończył mówić. Z niewiadomych powodów nie potrafi sobie teraz przypomnieć, dlaczego już wtedy o nim pomyślał. Zupełnie jakby sama jego obecność tutaj mąciła mu głowie – jakby idea tego miejsca mogła istnieć wyłącznie poza nim.

Pod koniec tamtego pierwszego wypadu do Vegas Curtis i Stanley przywędrowali tutaj pieszo. Stali na moście i patrzyli na ciemne sylwetki gondoli przesuwających się na tle zielonych butelek z piwem Corona wyświetlanych przez podwodne reflektory. Na wschodzie majaczył nów – przesłonięty przez cień Ziemi, a mimo to nadal widoczny. Stanleyowi usta się nie zamykały. Curtis był bardzo pijany. Pamięta, że trzymał się sztywno jednej z dwóch bliźniaczych białych kolumn na chodniku biegnącym wzdłuż bulwaru i robił głębokie wdechy, żeby się nie porzygać.

„Doża przywiózł je obie z Grecji. Mam na myśli prawdziwe kolumny, nie te główniane podróbki tutaj. To musiało być gdzieś w dwunastym wieku. No więc doża – taki król, rozumiesz? – przywiózł je z wyprawy przeciwko Bizancjum. Kampania okazała się kompletną porażką, w dodatku przywlekli ze sobą zarazę. Lud się wkurzył, zbuntował i zamordował dożę. Przez lata obie kolumny po prostu leżały sobie na nabrzeżu. Co pewien czas ktoś proponował: »Słuchajcie, a może by je gdzieś postawić?«. Były jednak tak wielkie, że nikt nie miał pomysłu, jak tego dokonać. W końcu znalazł się pewien główniarz, inżynier i mówi: »Spoko, postawię wam te kolumny, gdzie chcecie, pod warunkiem że pozwolicie mi grać między nimi w kości. Ludzie się zgodzili i w ten sposób kolumny stanęły sobie na środku Piazzetty. Tam właśnie wszystko się zaczęło, młody. A teraz szybki przeskok naprzód o czterysta lat z hakiem, do roku tysiąc sześćset trzydziestego ósmego. Nad Canale Grande otwiera się pierwsze kasyno. Mam na myśli pierwsze nowoczesne kasyno, takie, jakie obaj znamy. Kasyno jako biznes. Kasyno jako instytucja. Instytucja, która mnie chowała i żywiła przez ostatnie czterdzieści lat, całe moje dorosłe życie. Kiedy patrzę na inne koszmarki stawiane przy tym bulwarze – podróbki Paryża, Nowego Jorku – myślę sobie: co to, kurwa, ma być?

Ale to tutaj – to ma jakiś cholerny sens. To święte miasto, synu. Jeruzalem hazardzisty”.

Czy Stanley naprawdę tak powiedział? Czy może Curtis ulepił to wspomnienie z innych na wpół zapomnianych rozmów, którym przysłuchiwał się latami jednym uchem, dodając szczegół zapamiętany z własnej wycieczki do Włoch w – kiedy to mogło być? – 1998? Dlaczego zresztą słowa Stanleya miałyby mieć jakiegokolwiek znaczenie? Jaki to ma związek z jego obecną sytuacją? Dokąd miałby go doprowadzić ten trop?

„Niech to szlag, młody – zapomniałem o najważniejszym! Dlatego w ogóle zacząłem ci opowiadać tę całą zwariowaną historię. A więc słuchaj: doża przywiózł z Grecji trzy kolumny. Nie dwie – trzy. Robotnicy portowi dali ciała i jedna wpadła do wody. Nadal tam leży, zanurzona w szlamie na dnie laguny. Zapamiętaj dobrze tę lekcję, synu: zawsze są trzy kolumny. Ilekroć ci się wydaje, że widzisz coś do pary – cokolwiek by to było – zacznij się rozglądać za trzecim, brakującym elementem. Bo najprawdopodobniej go znajdziesz. Niniejszym powierzam ci ten oto wielki sekret”.

Curtis ziewa, zawraca w stronę wejścia. Powłócząc nogami, w nakrytym kopułą hotelowym lobby mijają złoconą fontannę w kształcie sferycznego astrolabium i kieruje się w stronę wind. Nagle zwalnia kroku i staje.

Na ścianie w recepcji wisi staroświecka mapa perspektywiczna: wyspa w kształcie indyczej nogi widziana z lotu ptaka, wyczarowana na papierze przez starożytnego kartografa, który nigdy nie oderwał się od powierzchni ziemi, zawłaszczona przez jakiegoś wziętego konsultanta od wystroju wnętrz i umieszczona w pozłacanej ramce. Roi się na niej od wysokich żaglowców, pałaców oraz krytych kopułami kościołów najeżonych dzwonicami i wieżyczkami. Grubszy, zachodni kraniec wyspy przecina kanał w kształcie odwróconej, niebieskiej litery S. W każdym rogu obłoczki zwieńczone główkami cherubinów ślą miastu sprzyjające wiatry. Z góry spogląda na nie kilku brodatych bogów. MERCVRIVS PRECETERIS HVIC FAVSTE EMPORIIS ILLVSTRO. Curtis przez dłuższy czas gapi się na mapę; dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że szuka na niej Stanleya, jakby spodziewał się ujrzeć go na maleńkiej *piazza*, wałęsającego się z krzywym uśmiechem na wargach. Za kontuarem recepcjoniści mierzą Curtisa niespokojnym wzrokiem. Ten kręci głową, odwraca się i odchodzi.

Ale tym razem nie w kierunku wind, tylko w stronę wielkiej galerii. Przechadza się między kolumnami z marmuru, pod pedantycznie wykonanymi podróbkami fresków: przedstawione w skróconej perspektywie pulchne aniołki śmigają wśród białych cumulusów. Curtis ma uczucie, że na coś natrafił, tylko nie bardzo wie, na co. Gumowe podeszwy jego butów poruszają się bezdźwięcznie po kamiennych płytkach tarasu ułożonych w sześciokątny wzór. Mija wejście do muzeum – „Wystawa SZTUKA NA PRZESTRZENI WIEKÓW przedłużona do 4

maja!” – i wchodzi do położonego w głębi kasyna.

Znajduje ją bez większego trudu, samotną przy stole do blackjacka, gdzie stawka minimalna wynosi dwadzieścia pięć dolarów, obok stołu do bakarata. Ma na sobie dzinsy i luźną różową bluzkę bez rękawów; włosy upięła do góry klamrą. Ona i krupier – krępy chłopak o południowoazjatyckich rysach – wpadli w zgodny rytm: prawie się nie odzywają ani na siebie nie patrzą, po prostu przesuwają karty i żetony. Dziewczyna gra na dwa pola, ma przed sobą ładny zielono-czarny stosik i wygląda na to, że na dziś wieczór dała sobie spokój ze Stanleyem.

Curtis bierze plastikowy kubek soku pomarańczowego i przygląda im się zza automatów do gry. Hotelowym długopisem pisze coś na odwrocie jednej z otrzymanych od Damona wizytówek z logo kasyna Spectacular. Potem przysuwa się bliżej i staje tuż za dziewczyną. Ona jest w niezłej formie: prosta jak struna, plecy i ramiona ma ładnie umięśnione. Stanley zawsze mu powtarzał, że zawodowi hazardziści powinni być wysportowani; muszą być gotowi godzinami ślepieć w bezruchu w oczekiwaniu na właściwe rozdanie. Curtis usiłuje przypomnieć sobie, od jak dawna tych dwoje gra w jednym zespole.

Krupier – na jego identyfikatorze widnieje imię MASUUD – spogląda na niego. Po chwili znowu podnosi wzrok i Curtis robi krok naprzód, sięga do kieszeni dzinsów. Obstawia dwieście dolarów Damona i siada o kilka miejsc na prawo od niej, dość daleko za załomem stołu, a zarazem dość blisko, żeby mieć ją w polu widzenia. Początkowo nie odrywa oczu od kart, ale po jakichś dwunastu rozdaniach zostaje zaledwie z dwoma zielonymi żetonami, a ona wciąż go nie poznaje; nawet na niego nie spojrzała.

Przy kolejnym rozdaniu ona decyduje się nie dobierać kart przy dwunastu i szesnastu punktach, podczas gdy krupier ma ósemkę; Masuud odkrywa szóstkę, a potem dobiera waleta i przegrywa. Gdyby to było moje kasyno, myśli Curtis, od razu bym ją stąd wyprowadził. Zerka w jej stronę, odbierając swój pojedynczy żeton; zaryzykowała całe czterysta dolarów.

Dzięki, zwraca się do niej. To było odważne zagranie.

Dziewczyna wzrusza ramionami. Fajnie, że wyszło.

Jak ci dzisiaj idzie?

Nie od razu mu odpowiada, nawet nie podnosi głowy. W porządku, mówi. A tobie?

Dziś wieczór nieszczególnie, stwierdza Curtis. Jakoś nie mogę się rozkręcić.

No cóż, mówi ona i wreszcie patrzy mu prosto w oczy. Mam nadzieję, że szczęście zacznie ci w końcu sprzyjać. Jej twarz nic nie wyraża. Znowu pochyla się nad kartami.

Kolejne trzy zakłady i Curtis jest splukany. Ostatni banknot w portfelu przeznaczona na napiwek dla Masuuda i oddala się, wraca do swojej kryjówki wśród automatów. Zastanawia się, czy nie skoczyć do kasy – wymienić kolejny czek od

Damona i zaraz wrócić – ale woli nie tracić jej z oczu. W tym momencie jest już prawie pewien, że da radę ją przeczekać. Chociaż dochodzi czwarta rano, kasyno tętni życiem; Curtis stale zapomina, że trwa weekend.

Wychodzi tylko do Oculus Lounge, żeby nabrać wody z lodem do pustego kubka. Gdy wraca na salę, widzi, że Masuud klaszcze, odbiera napiwek i odchodzi. Zastępuje go Filipinka w średnim wieku; zaczyna się cmentarna szychta. Dziewczyna Stanleya gra jeszcze kilka kolejek – z uprzejmości, żeby nowa krupierka się rozgrzała – po czym wstaje, przeciąga się i rusza do kasy wymienić żetony.

Curtis czeka, aż ona spienięży wygraną, przechodzi między stołami do gry i zrównuje się z nią przy automatach. Zachodzi ją z lewej strony. Znowu się spotykamy, mówi.

Zerka na niego. Jej usta wyginają się w bladym uśmiechu, ale nie zwalnia kroku.

Chyba nieźle ci dzisiaj poszło, zauważa Curtis.

Uhm.

Wszystko wygrałaś w blackjacksa?

Uhm, przytakuje. Słuchaj: nie szukam dziś towarzystwa. Okej? Bez urazy.

Nie obraziłem się. Masz na imię Veronica, prawda?

Dziewczyna gwałtownie staje. Curtis zachodzi jej drogę, zwraca się twarzą do niej. Ona podnosi ręce, po czym opuszcza je na biodra. Chciałabym przejść, mówi.

Możemy chwilę porozmawiać?

Co to ma być? – syczy. Wargi wykrzywia jej sztuczny uśmiech. Jesteś z ochrony? O, Chryste. Dobra, pokaż jakiś identyfikator. Potem chcę rozmawiać z kierownikiem zmiany. To jakieś kretyństwo.

Curtis robi krok do tyłu, unosi w górę otwarte dłonie. Nie jestem ochroniarzem, mówi.

Więc o co chodzi?

Nie pamiętasz mnie, prawda?

Veronica patrzy na niego. Mruży powieki, jakby było ciemno, jakby oboje znajdowali się pod wodą. Po chwili jej oczy się rozszerzają. Omiata spojrzeniem jego kurtkę i pasek. Jej źrenice powiększają się, krew odpływa z twarzy.

Czekaj, mówi on. Nie zamierzam...

Jesteś ze Wschodniego Wybrzeża, zgadza się? Z Atlantic City.

Curtis przecząco kręci głową. Nie, z Philly.

Dziewczyna lekko się cofa: nie rejteruje, tylko zmienia pozycję. Przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Oddycha szybko, płytko. No więc? – odzywa się. Czego chcesz?

Szukam Stanleya.

Prycha pogardliwie. Na ułamek sekundy kieruje wzrok w dół, na wzorzystą wykładzinę. Tak? – mówi. To witaj w cholernym klubie, koleś.

Nie wiesz, gdzie on jest?

Nie mam pojęcia. Jasne? Sto lat go nie widziałam, w ogóle się nie odzywał. Nie wiem, gdzie go znaleźć. Rozumiesz? Zresztą nawet gdybym wiedziała – a nie wiem – to wierz mi, nie dowiedziałabyś się tego ode mnie. Dotarło? Wystarczająco jasno się wyraziłam?

Zaraz, czekaj, nie tak ostro. Ja wcale...

Kto cię przysłał?

Curtis mruga zdezorientowany. Nie podoba mu się, jak to wygląda, ale taka jest prawda. Dotychczas nie myślał o sobie jak o posłańcu.

Kto cię tu przysłał? – pyta znowu dziewczyna. Dla kogo pracujesz?

Ja... Dla nikogo nie pracuję. Przyjechałem tu z własnej woli. Znam Stanleya od lat.

Gówno prawda.

Okej, posłuchaj. Znam Damona Blackburna ze Spectacular. To mój dobry przyjaciel. Prosił, żebyśmy pomogli mu odnaleźć Stanleya.

Veronica się uspokaja. Jest teraz bardziej wkurzona niż przestraszona. I robi się zgryźliwa. No, no, mówi. Damon Blackburn. Co ty nie powiesz. Jaki ten pieprzony świat mały.

Ale ja naprawdę znam Stanleya, przekonuje Curtis. Nie ściemniam. Znam go całe swoje życie. Kumpłował się z moim ojcem.

Dziewczyna ponownie mruży oczy; widać, że usiłuje coś sobie przypomnieć.

Badrudin Hassan, mówi Curtis. Dawniej nazywał się Donald Stone. Ty i ja też się już spotkaliśmy, parę lat temu. Na jego ślubie.

Veronica kiwa głową. W porządku, mówi. Zgadza się. Słuchaj, ten cały Damon Blackburn powiedział ci, dlaczego szuka Stanleya? Nie wspomniał o tym przypadkiem?

Curtis staje szerzej, równo rozmieszcza ciężar ciała na stopach. Pewnie, odpowiada. Kilka miesięcy temu Stanley przyszedł do The Point i zaciągnął w kasynie kredyt na dziesięć tysięcy. Damon mu go udzielił. Stanley nie zwrócił dotąd ani centa i za cztery dni niespłacony dług zostanie zgłoszony do sądu. Damon nie chce, żeby któryś z nich miał przez to kłopoty. Woli sam skontaktować się ze Stanleyem i zaproponować mu jakieś rozwiązanie.

Veronica otwiera usta, z niedowierzaniem albo z obrzydzeniem. Siedzi w tym już zbyt długo, żeby kupić historyjkę Damona. Znacznie dłużej niż Curtis. Wie tyle, co on. Curtis nie ma nad nią żadnej przewagi, żadnego asa, który mógłby wyciągnąć z rękawa. Czyli chodzi o niespłacony dług, powtarza ona. Tak ci powiedział Damon?

Dokładnie tak.

I o nic więcej?

Curtis patrzy na nią przez chwilę, wzdycha. No dobra, mówi, prawda jest nieco bardziej skomplikowana.

Żadne ani drgnie. Wokół przelewają się strumienie ludzi, w plastikowych kubelkach pobrzękują monety. Stłumiony świergot i popiskiwanie automatów do gry wypełniają klimatyzowane powietrze na podobieństwo ptasich treli. Spod sufitu obserwują ich malutkie, nieruchome soczewki.

Skończyliśmy na dzisiaj? – pyta ona. Damon chce, żeby Stanley do niego zadzwonił. O to chodzi?

Tak. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś mu to przekazała następnym razem, gdy go zobaczysz.

Nie sądzę, aby Stanleyowi było teraz śpieszno rozmawiać z Damonem Blackburnem, odpowiada. Myślę, że wolałby raczej tego uniknąć. Lepiej, żebyś o tym wiedział.

To może porozmawia ze mną, podsuwa Curtis. Zna mnie. Przecież rozsądny z niego gość.

Veronica wybuchła śmiechem. Rozsądny! – parska. A to dobre. Rozsądny.

Curtis wolnym ruchem sięga do wewnętrznej kieszeni kurtki po wizytówkę Damona. Podaje ją. Na odwrocie jest numer mojej komórki, mówi. Z numerem pokoju. Zatrzymałem się w tym hotelu. Przekaż Stanleyowi, żeby do mnie zadzwonił. Może zdołam mu jakoś przemówić do rozumu.

Powodzenia, odpowiada dziewczyna. Powodzenia, koleś. Żebyś się nie przeliczył.

Krzyżuje ramiona na piersi, spogląda w głąb sali. Nieopodal przy stoliku do gry w kości stoi starsza para; mężczyzna zaśmiewa się z czegoś, kobieta wymachuje rękami i pohukuje: „Uuu, uuu, uuu!”. Oboje dobrze po siedemdziesiątce, pijani.

Veronica się uśmiecha. Stanleyowi kompletnie odbiło, mówi. Wiesz o tym, prawda?

Tak, słyszałem.

Dziewczyna nie odrywa wzroku od starszej pary. Wygląda teraz na zmęczoną, całkowicie wyczerpaną. Curtis przypomina sobie, że też się tak czuje. W wyciągniętej ręce nadal trzyma wizytówkę.

Ona w końcu się odzywa. Czy Damon przysłał tu kogoś jeszcze?

Curtis się zastanawia. Nie, odpowiada po chwili. Tylko mnie.

Veronica opuszcza ręce. Wyciąga jedną i wyjmuję z jego palców wizytówkę. Omiata spojrzeniem twarz i klatkę piersiową Curtisa, a potem jeszcze raz przygląda się badawczo jego twarzy.

Na imię masz Curtis, mówi. Prawda?

Raz czy drugi nie trafia kartą do czytnika i na moment nieruchomieje poirytowany. Potem zamyka oczy i przesuwając krawędź karty wzdłuż palca wskazującego lewej ręki, żeby naprowadzić ją na szczelinę. Drzwi odblokowują się ze stłumionym szczęknięciem.

Żadnych faksów, żadnych wiadomości. Curtis odkłada broń, rozbiera się do bielizny i pada na olbrzymie łóżko. Jest za bardzo zmęczony, żeby spać. I zbyt nakręcony. Myśli o zbyt wielu rzeczach na raz. Jego mózg pracuje na wysokich obrotach, ale bieg jakoś nie chce wskoczyć. Budzik na stoliku nocnym żarzy się niczym rozpalony węgiel. Zostało mu dziewięćdziesiąt jeden godzin. Z każdą sekundą ma coraz mniej czasu.

Podnosi się, przechodzi do łazienki, obmywa twarz oraz ręce. Woda ma posmak kamienia, trudno mu się namydlić. Nie to, co w domu, gdzie mydła nie sposób spłukać do końca. Curtis nanosi go trochę na szorstką skórę głowy, na powieki. Wciera mocno.

Ta dziewczyna – Veronica – nie sprawia wrażenia kogoś, kogo można łatwo przestraszyć. Mimo to dzisiejszej nocy, gdy pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu, jej przerażenie wyglądało na niewspółmierne do opisanych mu przez Damona okoliczności. Ciekawe, co ona właściwie wie, a czego nie wie? Ta myśl trochę go martwi, a trochę podnieca. Słusznie zrobił, przyjeżdżając tutaj.

Reflektor, który wcześniej omiatał jego pokój, został zgaszony i wewnątrz rozjaśnia teraz migotliwa poświata zza okna. Curtis wkłada jeden z białych hotelowych szlafroków, siada przy stole w części wypoczynkowej i spogląda na miasto. Kolumny samochodów suną w dół Las Vegas Strip i dalej, na zachód, autostradą międzystanową: w kasynach skończyła się nocna zmiana, ludzie wracają do domów. Jest tak jasno, że księżyc mógłby wziąć wolne, mimo to świeci nadal, tym większy, im bliżej ma do linii horyzontu. Pod nim majaczy Mount Charleston – zamglony zarys w otaczającym blasku. Curtis wyobraża sobie łagodne światło padające na ośnieżony wierzchołek góry, zimny wiatr smagający jej szczyt. Przed nim rozpościera się miasto gorejące na pustyni. Przypomina rozjarzony fluorescencyjny ślad na wodzie, jaki pozostaje za przepływającym statkiem. Blask ognia prześwitujący przez miedzianą siatkę albo przetartą czarną zasłonę.

Za szybą tworzą się jaskrawe smugi: to poranne samoloty startują i lądują na lotnisku imienia McCarrana. Curtis ziewa i patrzy, jak ich światła pozycyjne – niewyraźne czerwone i zielone ogniki – przecinają jasny promień reflektora z hotelu Luxor. Przymyka suche powieki i bez żadnego powodu wyobraża sobie miasto jako żywe stworzenie: lotnisko to paszcza, którą zasysa z nieba gwiazdy, by wypluć je jak łupiny. Ulice i autostrady to żyły oraz jelita, Strip zaś to tętnica,

ewentualnie jelito grube.

Niedługo potem budzi go dźwięk przychodzącego faksu. Noc za oknem błękitnieje. Obolałe czoło spoczywa na chłodnym drewnie blatu. Curtis wstaje chwiejnie od stołu, jednym szarpnięciem zaciąga zasłony, zrzuca biały szlafrok i wali się na łóżko, nie zaprzatając sobie głowy faksem. Niczego nie pamięta, gdy znowu otwiera oczy parę minut przed dwunastą w południe.

Nie pamięta też żadnych snów ani żeby w ogóle coś mu się śniło. Budzi się, chwytając ustami powietrze, jakby dopiero się zdrzemnął. Spogląda na budzik, przeklina i zsuwa się z łóżka. Wkłada dzinsy podniesione z podłogi. Staje na środku pokoju. Oddycha ciężko z uczuciem, że się spóźnił, że przespał coś bardzo ważnego. Stopniowo dociera do niego, że nie ma racji. Przypomina sobie wydarzenia minionego dnia, jakby dotyczyły kogoś innego. Przysiada na krawędzi łóżka i powoli ściąga spodnie.

Odsuwa zasłony. Światło jest przymglone, płaskie. W dole gęste sobotnie tłumy przetaczają się przez chodniki i mosty, fotografują dzwonnice, łodzie oraz bliźniacze kolumny. Curtis włącza telewizor: Bush spotkał się z Blairem na Azorach, uratowano porwaną dziewczynkę, w Chinach wybuchła jakaś nowa epidemia. Bomby na razie nigdzie nie spadają.

Stoi pod prysznicem, gdy nagle rozlega się dzwonek jego komórki; nie udaje mu się w porę odebrać. Owija się ręcznikiem i kapiąc wodą na dywan, ze zdumieniem stwierdza, że ma trzy nieodebrane połączenia: od Danielle, Albeda i od ojca.

Wiadomość zostawiona przez Danielle jest fałszywie optymistyczna, stonowana, podszyta strachem. Nie chciałabym psuć dobrej kłótni, mówi, ale zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz mógł. Żebyś wiedziała, że żyjesz i nie siedzisz w pace. Po prostu staram się jakoś zaplanować swój tydzień. Kocham cię, Sammy D. Nie rób nic głupiego.

Curtis usuwa nagranie i w słuchawce rozbrzmiewa głos Albeda. Mam nadzieję, że się wczoraj wyspałeś. Sen dodaje urody. Moja dziewczyna Espeja była ciężko zawiedziona, żeście się lepiej nie poznali. Cieszę się jednak, że nam dwóm udało się trochę nadrobić zaległości. Pogadać o dawnych czasach, powspominać. Słuchaj, znalazłeś już tego swojego dłużnika? Bo chyba mam jakiś trop. Zadzwoń do mnie.

Potem ojciec: mam nadzieję, że nie wpakowałeś się w jakieś tarapaty, mały. Myślałem o tym, co mi wczoraj powiedziałaś, i coś sobie przypomniałem – nazwisko człowieka, z którym powinieneś się skontaktować. W dawnych czasach, gdy Stanley i ja jeździliśmy jeszcze do Vegas, spotykaliśmy się z pewnym Japończykiem, którego Stanley znał z Kalifornii. Nazywał się Walter Kagami. Był wtedy szulerem – zawodowym hazardzistą jak Stanley – ale chyba to rzucił. Kiedy ostatni raz o nim słyszałem, wciąż mieszkał w Vegas i prowadził jakiś lokal.

Nieduże kasyno o nazwie Quicksilver, jeśli dobrze pamiętam. Wydaje mi się, że nigdy nie spotkałeś Waltera. Zresztą i tak byś tego nie pamiętał, byłeś wtedy bardzo mały. Ja sam od lat nie zamieniłem z nim słowa, ale przyszło mi do głowy, że Stanley może być z nim w kontakcie. Mam nadzieję, że to ci pomoże. Tak czy inaczej, kocham cię, synu. Mawiyah cię pozdrawia. Uważaj na siebie.

Curtis rzuca ręcznik na podłogę, chwytą długopis i blok listowy. Zapisuje nazwisko Kagamiego i nazwę kasyna. Przetrzęsa szuflady w poszukiwaniu książki telefonicznej, gdy jego wzrok pada na wczorajszy faks. U dołu kartki widnieje logo hotelu i kasyna Spectacular.

Rozprostowuje faks na biurku i poznaje zamaszyste pismo Damona:

Albo al be

Beddow a bedo w porzo.

Skorzystaj z jego pomocy.

Possstępy???????

Pod tekstem znajduje się kolejny rysunek przedstawiający Curtisa: wybałuszonymi oczami, przerażony wpatruje się w wielki zegarek na lewym nadgarstku, a prawą ręką histerycznie wali konia. Źrenica lewego oka jest groteskowo przekrzywiona. Olbrzymi ejakulujący penis jest starannie zaczerwioniony, odtworzony w najdrobniejszych szczegółach.

Wychodząc, Curtis spuszcza porwaną na strzępki kartkę w toalecie.

Taksówkarz, który przyjeżdża, słucha w radiu jazzu – *Invisible* z pierwszej płyty Ornette’a Colemana – dzięki czemu Curtis trochę się rozluźnia. Wyciąga wygodnie nogi, kiedy auto skręca w prawo na bulwar; w taksówce czuć papierosami i miętą.

Kierowca pochodzi z Europy Środkowej, jest pod sześćdziesiątkę, gęste włosy ma białe jak gips. Prowadzi ostrożnie, z wyczuciem. Bije od niego pewność siebie, której Curtis szczerze mu zazdrości. Na identyfikatorze widnieje imię „Saad”; nazwiska nie sposób odczytać, nie gapiąc się dłużej na kartonik, a Curtis nie chce się gapić.

Jak leci? – zagaduje go taksówkarz.

Nie za dobrze, odpowiada Curtis. Jakoś nie mogę się rozkręcić.

Taksówkarz kieruje oskarżycielski palec w stronę mijanego z lewej strony hotelu Mirage. Mądrze robisz, wynosząc się ze Strip, synu, mówi. Bardzo mądrze.

Tak?

Mówię prawdę. Zawsze dobrze jest zmienić lokal. Ludzie stale gadają: mam szczęście, mam pecha. Ale miejsca też mają szczęście albo pecha. Dotyczy to również kasyn. Tylko ludzie o tym zapominają. Jeśli kasyno ma fart – albo krupierzy są, jak wy to mówicie, fartowni – trzeba się przenieść gdzie indziej. Zostać dłużej w takim lokalu byłoby zwykłą głupotą.

Pewnie masz rację.

Stoją na czerwonym świetle na Industrial Road. Obok nich przejeżdżają wynajęte autokary. W radiu utwór Ornette’a Colemana przechodzi gładko w kawałek Arta Peppera. Curtis znowu spogląda na identyfikator. Na imię masz Saad? – dopytuje.

Zgadza się.

Jesteś muzułmaninem?

Kierowca rzuca mu ostre spojrzenie w lusterku wstecznym: stalowe źrenice, zmrużone oczy w otoczeniu pajęczyny zmarszczek. Dlaczego o to pytasz, przyjacielu? – mówi. Jesteś może z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego? Myślisz, że za pomocą taksówki wysadzę jakieś wasze kasyno?

Nie, skąd. Po prostu... Mój tata jest muzułmaninem i za nic nie postawiłby stopy w tym mieście.

Ach, rozumiem! Islam zakazuje hazardu.

Saad wrzuca kierunkowskaz, zjeżdża na północny pas autostrady międzystanowej. Jestem muzułmaninem, przyznaje. Mimo to czasami lubię sobie pograć w ruletkę. A kiedy indziej w wideopokera. Sporadycznie lubię też napić się wina. I nie modlę się tak często, jak powinienem. Może więc nie jestem

przykładnym muzułmaninem. Mówisz, że twój ojciec to muzułmanin?

Owszem.

Jak Malcolm X?

Właściwie tak.

Albo Muhammad Ali? Kareem Abdul-Jabbar?

Raczej jak Ahmad Jamal.

Ahmad Jamal! No tak! Znakomicie. A może jak Tupac Shakur?

Nie, śmieje się Curtis. Nie jak Tupac Shakur. Nie wydaje mi się zresztą, aby Tupac był muzułmaninem. Chociaż mógł mieć matkę muzułmankę.

Lubisz jazz? Saad sięga do radioodbiornika, podkręca głośność. Cool jazz? Bebop?

Pewnie. Mój tata gra jazz. Na kontrabasie.

Saad wystukuje na wytartej kierownicy kilka akordów do wtóru z Phyllym Joe Jonesem, potem znowu otwiera usta. Pracowałem na Strip tamtej nocy, kiedy zastrzelili Tupaca Shakura, mówi. Byłem niecałe półtora kilometra od miejsca, gdzie zginął.

Serio?

Nie słyszałem strzałów, ale widziałem nadjeżdżający radiowóz. I karetkę. A potem czarny wóz, cały podziurawiony. Coś okropnego.

Curtis nie odpowiada. Wygląda przez okno, ale niczego nie widzi. Wspomina. Treningi szybkościowe z drabinką koordynacyjną na boisku w liceum Dunbar. Zapach zdeptanej świeżej trawy. Dobiegające zewsząd wycie syren. Radiowozy pędzące Florida Avenue w kierunku Adams Morgan. Krążące w powietrzu helikoptery. Wicedyrektora wybiegającego z budynku szkoły, machającego do trenera Bannera. Od tamtego dnia minęło ponad dwadzieścia lat. W tym miesiącu będzie dwadzieścia dwa.

Wielu przyjeżdża do tego miasta, żeby umrzeć, mówi Saad.

No tak. Ale Tupacowi chyba nie do końca o to chodziło. Myślę, że chciał się tylko załapać na walkę Tysona.

Może i tak. Kto to może wiedzieć?

Saad znowu włącza kierunkowskaz; taksówka zjeżdża na bulwar Lake Mead i skręca w prawo, ku Nellis i Sunrise Manor. W oddali połyskują białe iglice świątyni mormonów. Za nimi widać zarys Mount Frenchman.

Może to dowód sprytu twojego ojca, mówi Saad, albo jego mądrości, że myśli o takich sprawach. To miasto wyrosło na hazardzie. Dobrze mówię? Hazard opłaca te wszystkie budynki, drogi i ludzi. Nawet mnie. Wszystko. A gdzie jest hazard, tam zawsze jest śmierć. Rozumiesz?

Uhm.

Dlatego go uprawiamy. Żeby stawić czoła temu, co niepewne. Skonfrontować się z nieznanym, z wielką niewiadomą. Stawiamy zakłady. Koło się

obraca. Co się wydarzy? Hazard przygotowuje nas na śmierć. Pozwala nam ją przećwiczyć. W tym tkwi jego siła.

Fundujesz takie kazanie wszystkim swoim pasażerom, Saad?

Saad rechocze – ma gardłowy śmiech palacza – i wali dłonią w kierownicę. Tylko tobie, przyjacielu! Tylko tobie. Bo poważny z ciebie człowiek. Zajmują cię poważne sprawy. Wiem, że tak jest. Widzę to w twoich oczach.

Curtis uśmiecha się, nie odpowiada.

Weź na przykład tego gościa, który zmarł tutaj w ubiegłym roku, Saad podejmuje przerwany wątek. Tego Anglika. Gwiazdę rocka.

Nie wiem, o kogo chodzi.

Miał ksywkę The Ox. „Ten, który ani drgnie”.

Z półki pod radiem dobiega ściszonej metalicznej wersji *Marsylianki*: sygnał komórki Saada. Przepraszam, mówi taksówkarz i odbiera telefon. Zaczyna po angielsku, szybko przechodzi na arabski. Curtis stara się śledzić rozmowę, lecz wkrótce się poddaje; niektóre zwroty wydają mu się znajome, ale nie potrafi sobie przypomnieć, co znaczą. Taksówka przejeżdża wolno przez światła na Pecos Road, nad betonowym tunelem wyschniętej rzeki. Po bokach widać coraz mniej zabudowań. Z góry dobiega niski ryk silników odrzutowych. Curtis opiera się na siedzeniu, stara się zrelaksować, zastanowić. Z powrotem skupić myśli na Stanleyu.

Jednak Stanley mu się wymyka, zdaje się być wszędzie. W rezultacie Curtis gubi się i zaczyna rozmyślać o sobie. O swoim ojcu. I o Kagamim. Los Angeles, późne lata pięćdziesiąte; Art Pepper wlecze się do studia nagraniowego wytwórni Contemporary – biały ćpun z wyschniętym saksofonem, z korkiem sklejonym plastrem. „Pepper też służył w żandarmerii wojskowej, mały. Podczas wojny był w Londynie strażnikiem więziennym”. Na północy wznoszą się w niebo pomarańczowe słupy ognia. O drugiej po południu niebo jest wypalone na czarno. Deszcz zanieczyszczony ropą. *Ijlis*. Siadaj. *Inhad*. Wstań. *Sa tuffattash ilaan*. Zostaniesz teraz przeszukany.

Saad wciąż gada przez telefon, coraz bardziej ożywiony wtrąca angielskie i francuskie słowa: pomarańczowy alert, Air Canada, *maison de passe*, Flamingo Road, *dépanneur*, dobry Boże, Aladdin, *une ville lumière*, to kretyn, daj sobie z nim spokój. Dokładnie nad nimi przelatuje F-15; Curtis nie widzi maszyny, ale rozpoznaje ją po dźwięku silników. Są teraz na południe od bazy lotniczej, zbliżają się do północno-wschodniego skraju doliny. Rzędy białych, zdobionych sztukateriami domów krytych pomarańczową dachówką mnich-mniszka przysiadły na wprost u podnóża gór, stłoczone na granicy terytorium federalnego.

Gdy skręcają w boczną uliczkę przy stacji benzynowej Terrible Herbst na rogu North Hollywood Boulevard, Curtis zastanawia się, czy Saad nie jest przypadkiem roztargniony i czy nie przegapili właściwego zjazdu. Wokół ciągną

się teraz anonimowe wille; domy są większe i nowsze, rozrzucone dalej od siebie. W pewnej chwili nie widać już nikogo; od głównej drogi odchodzą same strome podjazdy, zamknięte na głucho bramami. Auto redukuje bieg, gdy taksówka wspina się pod górę, obok nieczynnej żwirowni i starej cementowni, drogą, która przecina wyschnięte koryto rzeki, wije się wśród osuwisk i skarp umocnionych gabionami. Jeszcze jeden przyprawiający o zawrót głowy zakręt i pokonują szczyt wzniesienia. Pod nimi rozciąga się teraz cała dolina: morze dachów i palm, wysokościowce przy Las Vegas Strip oskrzydłone bryłami Luxoru i Stratosphere, a daleko na horyzoncie majaczące śniegi Mount Charleston, zawieszane w powietrzu niczym białe kleksy. Sama góra jest niewidoczna w popołudniowej mgle.

Przed nimi migają światła drogowe – to dwupasmowa droga z szerokim poboczem, jadące nią samochody ciągną na przyczepach jachty z włókna szklanego – lecz zanim do niej dotrą, Saad skręca ostro w lewo, w nową, wąską drogę dojazdową oznaczoną tablicą z żółtego wapienia z napisem: QUICKSILVER CASINO & RESORT. Niewielki parking ma kształt półksiężyca i doskonale wpasowuje się w łuk wzgórza. Jest zastawiony może w jednej czwartej, głównie cadillacami i lincolnami – tu i ówdzie widać pojedynczego lexusa i mercedesa – stłoczonymi w górnej jego części. W dół zbiega, na podobieństwo nagich korzeni, biegną rampy dla wózków inwalidzkich. Wszystkie miejsca parkingowe dla niepełnosprawnych są zajęte.

Taksówka omija parking i zajeżdża pod samo wejście: masywny dębowy portyk podtrzymują grube kolumny z gładkich kamiennych kul. W jego cieniu czeka gromadka starszych białych kobiet z włosami ufarbowanymi niebieską płukanką; ze skrzyżowanych na piersiach przedramion zwisają torby do gry w bingo oraz plastikowe kubelki na monety. Zielono-biały afisz przy wejściu głosi: ZNAJDŹ SWÓJ GARNIEC ZŁOTA W KASYNIE QUICKSILVER! 17 MARCA OBCHODZIMY DZIEŃ ŚWIĘTEGO PATRYKA.

Saad kończy rozmowę. Jesteśmy na miejscu, przyjacielu, oznajmia. Myślę, że to kasyno przyniesie ci szczęście.

Jest dalej, niż sądziłem, mówi Curtis, wydłubując z portfela gotówkę Damona.

Dalej nic już nie ma. Ziemia federalna, a potem jezioro. I tyle.

Nie wiedziałem, że tu można cokolwiek budować.

Saad wzrusza ramionami. Ile jesteś gotów zapłacić? – pyta retorycznie. Kogo znasz? Na tej zasadzie można robić, co tylko się chce.

Curtis podaje mu zwinięte w rulonik banknoty ponad oparciem fotela, Saad zaś przyjmuje je dobrze wyćwiczonym gestem, przyglądając mu się w lusterku wstecznym. W jego oczach tli się konspiracyjny uśmiech, jakby połączyła ich jakaś tajemna wiedza o świecie.

Curtis otwiera drzwi, wysiada, wkłada głowę przez otwarte okno. Słuchaj,

Saad, rzuca, masz może wizytówkę?

Gdy taksówka odjeżdża, Curtis spogląda na wizytówkę: jest na niej nazwisko SAAD ABOUGREISHA i numer telefonu.

Chodnik, który z okien auta wyglądał jak spojone zaprawą murarską kamienne płyty, w rzeczywistości okazuje się sprężystym kompozytem wykonanym z kawałeczków gumy; ugina się lekko pod stopami. Curtis kołysze się na piętach w przód i w tył; bada podłoże, wspomina wykładzinę w sali do fizjoterapii Szpitala Marynarki Wojennej w Bethesda, gdzie po raz pierwszy zobaczył Danielle.

Pudełkowaty autobus hotelowy z logo kasyna Quicksilver – stylizowanym indiańskim piktogramem przedstawiającym kruka w locie: rozwarty dziób, błysk w lśniącym ślepiu – zajeżdża na miejsce zwolnione przez Saada. Z autobusu, z pomocą opiekunów – młodych dzieciaków o szerokich uśmiechach i gromkich głosach – wysiada grupa starszych ludzi. Stojące w cieniu portyku kobiety cierpliwie czekają, aby wsiąść. Curtis przez chwilę obserwuje tę scenę, niepewny, czego tu właściwie szuka. Potem odwraca się i wchodzi do środka.

Jak na lokalne kasyno Quicksilver to lokal wysokiej klasy: niewielki, rustykalny, bardziej country club niż salon bingo czy centrum handlowe. Budynek przypomina Pałac Klifowy Indian Anasazi przebudowany przez Franka Lloyda Wrighta: odsłonięte belki stropowe, smukłe wapienne bloki. Całość wzniesiono wokół dawnego kamieniołomu albo kopalni odkrywkowej – w tym miejscu znajduje się obecnie dziedziniec ze stawem, wodospadem i zasilaną przez pompę cyrkulacyjną fontanną pośrodku. Przez okno wykuszowe w głównej sali kasyna widać drzewa z gatunku *Arbutus menziesii*, jałowce, pergole porośnięte glicynią i passiflorą oraz górujące nad nimi kwiatostany kilku agaw amerykańskich. Pół tuzina tłustych perliczek skubie gumowe chodniki; poza nimi na dziedzińcu nikogo nie ma.

Kagami się spóźnia – utknął na jakimś spotkaniu – więc Curtis częstuje się sokiem grejpfrutowym i dla zabicia czasu rozgrywa partyjkę blackjacka. Wyrozumieli krupierzy o dziecinnych twarzach powoli rozdają karty. Największym zainteresowaniem cieszą się automaty i wielka sala do gry w bingo; stoją tam tylko cztery stoły. Jedynym towarzyszem Curtisa jest starszawy dżentelmen w jedwabnym szaliku i masce tlenowej. Za barem, położonym niżej w stosunku do reszty sali, znajduje się część wydzielona dla grubych ryb. Panuje tam półmrok, a ruch jest większy, niż można by się spodziewać po lokalu położonym tak daleko za miastem. Oglądani z góry gracze przypominają wieloryby: wschodnioazjatyccy ważniacy, na których kasyna najwięcej zarabiają. Od czasu do czasu ponad dobiegające z głośników dźwięki fletu w stylu New Age wznoszą się ich radosne

okrzyki i pohukiwania. Ktoś pokroju Stanleya Glassa w ciągu godziny rozniósłby to miejsce w drobny mak, dochodzi do wniosku Curtis. Pewnie dlatego właściciele kasyna zatrudnili w charakterze kierownika kogoś takiego jak Walter Kagami.

Przepowiednia Saada się sprawdza: Curtis jest o niemal czterysta dolarów do przodu, gdy czuje na swoim ramieniu delikatny dotyk. Pan Stone? Pan Kagami bardzo przeprasza za spóźnienie. Dołączy do pana za kilka minut. Zechce pan zaczekać na niego w biurze?

Gabinet Kagamiego jest nieduży, zagracony, upchnięty z dala od głównej sali kasyna. Ładne dębowe biurko. Dywanik w stylu Indian Nawaho na porysowanym parkiecie. Panoramiczne okno z widokiem na południe, na Boulder Highway i dalej, w stronę Henderson i zapory. Umywalka i wąska szafka. Mała rozkładana kanapa. Na fragmencie gołej ściany między dwoma przeładowanymi regałami wiszą stare fotografie. Na jednej z nich Curtis dostrzega roześmianą twarz ojca. Wygląda na to, że zrobiono ją w Tropicanie; stroje i oprawki okularów wskazują na późne lata siedemdziesiąte, chociaż z hazardzistami to akurat różnie bywa. Tata Curtisa pozuje obok wyniosłego Stanleya, Azjaty, którym zapewne jest Walter Kagami, oraz kilku facetów, których Curtis nie rozpoznaje; pośrodku zaś stoi Sammy Davis Junior. Curtis mruga, nachyla się bliżej, dotyka ramki. Uśmiecha się z goryczą, myśląc o Danielle i przezwisku, które mu nadała. Zaraz jednak uśmiech znika, a Curtisa ogarnia niepokój. Odczuwa skrępowanie. I sztuczność. Jakby odgrywał z góry narzuconą rolę na użytek niewidocznej publiczności. Albo swój własny.

Przenosi wzrok na zapchane półki. Seria podręczników do matematyki i fizyki w tandetnych miękkich dwubarwnych okładkach. Opasłe ilustrowane dzieła na temat sztuki i archeologii amerykańskich Indian. Książki poświęcone historii, ekonomii i architekturze Las Vegas. Atlas ptaków zachodnich Petersona. Atlas samolotów wydany przez oficynę Jane's. Wszystko, cokolwiek napisano o liczeniu kart, łącznie z piętnastoma różnymi wydaniem *Beat the Dealer* Edwarda Thorpa, w większości sprzed poprawionego wznowienia z 1966 roku.

Za jego plecami rozlega się głos. Od tej książki wszystko się zaczęło, wiesz?

Drzwi gabinetu znajdują się w jego martwej strefie, dlatego Curtis nie zauważył wejścia Kagamiego. Przeklina się w duchu, usiłując ukryć zaskoczenie. Przeczytałem ją dawno temu, mówi i odwraca się. Stary egzemplarz ojca. Ale niezbyt dobrze pamiętam jej treść. Nigdy nie miałem głowy do takich rzeczy.

Wiesz, co się teraz z nim dzieje? Mam na myśli Edwarda Thorpa.

Curtis kręci głową.

Spróbuj zgadnąć. No, śmiało – strzelaj w ciemno.

Pożółkłe kieszonkowe wydanie, które oglądał, wystaje nieco z półki. Curtis popycha palcem splekany grzbiet i wsuwa książkę, aby stała równo ze swoim rodzeństwem. Pracuje na Wall Street? – rzuca.

No, widzisz? – śmieje się Kagami i wchodzi do pokoju. Zawsze byłeś bystrzakiem.

Kagami jest mniej więcej wzrostu Curtisa: krępy, w niezłej formie jak na swój wiek. Musi być o kilka lat starszy od ojca, chociaż na to nie wygląda. Szare spodnie w jodełkę, brązowa tweedowa marynarka, płowa koszula, klasyczny krawat ze złotą spinką. Okulary pokerzysty z przydymionymi szklami. Na palcach obu dłoni ciężkie sygnety. Gdy podają sobie ręce, po przyjacielsku ściska przedramię Curtisa. Kiedy ostatni raz cię widziałem, mówi, miałeś jakieś sześć lat. Dobrze wyglądasz, naprawdę. Słyszałem, że się ożeniłeś.

Tak, proszę pana. W przyszłym miesiącu minie rok.

Nadal służysz w piechocie morskiej?

Właśnie przeszedłem w stan spoczynku.

Moje gratulacje! To świetnie. Wszystko wskazuje na to, że udało ci się w samą porę.

Kagami cofa się i przygląda Curtisowi. Podobno parę lat temu mocno oberwałeś. W Bośni, prawda?

W Kosowie.

Wygląda na to, że już doszedłeś do siebie.

Tak, przyznaje Curtis. Trochę to trwało. Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać tak bez uprzedzenia, panie Kagami.

Walter! Na Boga, mów mi Walter! Cieszę się, że wpadłeś. Tylko nie wiem, czy będę mógł ci pomóc. Szukasz Stanleya Glassa?

Tak. Chciałbym mu przekazać wiadomość od jednego znajomego i słyszałem, że jest gdzieś tutaj. Wiesz może, jak mogę go złapać?

Kagami przechodzi za biurko, wygląda przez okno. Do pokoju wlewa się słoneczny blask i gdy mężczyzna zbliża twarz do szyby, na spotkanie wychodzi mu jego własne odbicie. Nie wiem, jak się skontaktować ze Stanleyem, mówi. Ale z pewnością kręci się gdzieś w tej okolicy. Raptem przed tygodniem jedliśmy razem kolację.

Mówił, jak długo zabawi w mieście?

Nie. Tylko, że czeka na odpowiednie połączenie. I coś o tym, że musi wracać na Wschodnie Wybrzeże. Akurat tamtego popołudnia on i Veronica przylecieli do Vegas. To musiała być środa. Dziewięć dni temu. Pamiętam, bo nasza kelnerka miała czarną smugę na czole i Stanley z tego zażartował. Tak czy inaczej, zaoferowałem im darmowy apartament i powiedziałem, że mogą zostać przez cały tydzień, ale rano już ich nie było. Nie powiedzieli, dokąd się wybierają.

Kagami przechyla się lekko w bok, jakby usiłował dojrzeć coś, co znajduje się w dole. Veronica chodziła tu do college'u, mówi. Była krupierką w The Rio, a wcześniej chyba w Caesars. Stanley mógł się zatrzymać u jej rodziny.

Rozmawiałem z nią wczoraj wieczorem. Twierdzi, że nie wie, gdzie jest

Stanley. Sama też go szuka.

Wierzysz w to?

Curtis stara się odnaleźć w odbiciu na szybie oczy Kagamiego – daremnie. Nie wiem, przyznaje. Nie wiem, czemu miałyby kłamać.

Wydawała się jakaś spięta, kiedy ją ostatni raz widziałem. Jakby czymś się denerwowała.

Wiem, też odniosłem takie wrażenie. A jak się zachowywał Stanley?

Kagami milczy przez chwilę. Potem wybucha śmiechem i odwraca się twarzą do Curtisa. Jak się zachowywał Stanley? – powtarza. Posłuchaj no, chłopcze. Skoro nie mogę ci powiedzieć, gdzie jest Stanley, mogę cię przynajmniej zaprosić na porządny posiłek. Piętro wyżej mamy tu najlepszą restaurację w całej Nevadzie. Ja stawiam. Te garkuchnie przy Strip wpędzą cię do grobu.

Korytarz za drzwiami biura Kagamiego prowadzi ich do przeszklonej windy w stylu art nouveau, która wjeżdża na szczyt skalistego zbocza. Ściany kabiny są ze szkła ołowiowego, od góry zdobi je maswerk z witrażem w jaskrawych odcieniach zachodzącego słońca; winda wwozi ich gładko na wycięty w skalnej ścianie taras położony jakieś sześć metrów wyżej.

Bardzo przyjemne miejsce, Walterze. Od dawna tutaj pracujesz?

Działamy od dwóch lat. Jestem tu, odkąd otworzyliśmy podwoje.

Jak interesy?

Fatalnie. Może nie zauważyłeś, ale większość gości jest starsza ode mnie. A ze mnie też żaden młodzieniaszek. Na szczęście nasz właściciel to kompletny świr. Multimilioner z Doliny Krzemowej. Zamierza prowadzić przynoszące straty kasyno przez dziesięć albo i piętnaście lat: tak długo, aż miasto się rozrośnie i wchłonie tę okolicę. To młody facet, uważa, że starczy mu kasy, żeby tyle pociągnąć.

Myślisz, że ma rację?

Kagami się śmieje. To zależy, odpowiada. Jak ze wszystkim: trzeba umieć wykorzystać nadarzącą się okazję. Jeśli widzisz, że okno się otwiera i uda ci się przez nie wskoczyć, zanim się zamknie, odniesiesz sukces. Miasto rzeczywiście gwałtownie się rozwija, to nie ulega wątpliwości. Ale jest coś jeszcze: brakuje nam wody. Ludzie wciąż o tym zapominają. Mam na myśli całą dolinę. Poziom jeziora Mead jest najniższy od trzydziestu lat. Klimat się zmienia i wody nie przybędzie. W końcu wszystko wyschnie na pieprz. Zakładając oczywiście, że utrzymamy się dość długo, żeby to było nasze zmartwienie. I że wcześniej trzęsienie ziemi nie zmiecie nas na północne Hollywood.

Tu na górze są trzęsienia ziemi?

Żadnego jeszcze nie było. Ale jedno wystarczy, żeby było po nas. Znajdujemy się około dwustu metrów od uskoku Sunrise, który jest aktywny. Widziałeś te wielkie otoczaki na kolumnach przy wejściu – tam, gdzie zatrzymują

się autokary z domu opieki? Musieliśmy zacementować już pięć cholernych gładów, żeby się nie wysunęły. Jeżeli kiedyś ziemia naprawdę się zatrzęsie, a doktor Richter zafunduje nam więcej niż piątkę, będziemy mieć tutaj istną kręgielnię.

Cholera.

Właśnie, mówi Kagami. A zresztą... Tak sobie myślę, że nie dożyję czasów, kiedy to miejsce zacznie przynosić jakikolwiek dochód.

Wyciera dłonie w marynarkę, wyciąga rękę i dotyka krystalicznie czystej szklanej ściany windy. W dole widać świątynię mormonów, wystającą ku górze tym wyraźniej, im wyżej się wznoszą. Wokół pną się w górę dachy nowo wznoszonych domów: widać surowe deski, odsłonięte poszycia dachowe, równe rzędy warstw izolacyjnych.

To pierwsza uczciwa robota, jaką dostałem, odkąd skończyłem dziewiętnaście lat, mówi Kagami. Dawniej byłem szulerem, tak jak Stanley. Ale to ciężka harówka, w końcu przestałem dawać radę. Próbować wyżyć z dwuprocentowej przewagi nad kasynem – to już nie dla takiego emeryta jak ja. Chyba że ma się do dyspozycji zgraną ekipę. Ale ekipy zawsze się w końcu rozpadają.

Curtis przestępuje z nogi na nogę. Nie wiem, jak Stanley to wytrzymuje, mówi.

No cóż – Stanley ma Veronicę. Poza tym nie potrafi robić nic innego. Kagami uśmiecha się do siebie. Stanley ma nadnaturalny dar, dodaje. Ale nie słyszałeś tego ode mnie.

Drzwi windy się rozsuwają, a oni wchodzą do ciasnego przeszklonego pomieszczenia, za którym ciągnie się ścieżka z gumowanej wykładziny udającej kamienne płyty, obsadzona rozmarynem i drzewami anielskich tręb, całymi w świeżych pąkach. Na skraju tarasu mieści się maleńka restauracyjka. Drewniany szyld głosi: RAVENCREST, krucza grań. Lekki wiatr porusza białymi obrusami.

Kagami idzie wolno, ręce trzyma w kieszeniach. A jak się ma stary Donald? – zagaduje. Od lat go nie widziałem.

Znakomicie. Tyle że nie ma już na imię Donald.

Racja, zapomniałem. To jak się teraz nazywa?

Badrudin Hassan. Kilka lat temu ponownie się ożenił. I znowu koncertuje. Islam i drugie małżeństwo zdają się mu służyć.

Podobno wziął sobie za żonę jakieś młodziutkie maleństwo?

Nie wiem, czy maleństwo, ale tak, jest od niego młodsza.

Kagami chichocze, kopie skalny odłamek i strąca go ze ścieżki. A co u ciebie, chłopcze? – pyta. Co taki młodzieniec jak ty robi na emeryturze? Pracuje czy gra w golfa?

Curtis się uśmiecha. Przyjaciel załatwia mi posadę, mówi. Szefa ochrony.

Sam jest kierownikiem zmiany w nowym kasynie w Atlantic City. Poznaliśmy się w wojsku.

Znam go?

Nazywa się Damon Blackburn. Pracuje w Spectacular.

To w Marina District, prawda? Kagami otwiera drzwi restauracji i przepuszcza Curtisa przodem. Czy to przypadkiem nie ten twój znajomy szuka Stanleya? – pyta.

Tak, przyznaje Curtis. On.

Kierownik sali uniżenie wita Kagamiego, po czym sadza ich przy stoliku na skraju tarasu. Curtis ze zwięzłego menu w skórzanej oprawie wybiera stek klubowy i osłaniając oczy daszkiem z dłoni, spogląda w dół na dolinę. Gdzieś wyżej na grani nawołuje się para kruków. Z początku Curtis nie może ich dostrzec; potem jeden z ptaków sfruwa w dół i przysiada na dachu restauracji. Świątynia mormonów jest teraz widoczna jak na dłoni. Położona nieco na północ, z sześcioma wieżyczkami i brązowymi łatami dachowymi, z tej perspektywy przypomina martwego żuka. Złote wierzchołki iglic skrzą się pomarańczowo w świetle zachodzącego słońca.

Kagami gawędzi z kelnerem, zamawia przystawki oraz wino. Kelner przytakuje i odchodzi, Kagami zaś spogląda na swojego towarzysza i nachyla się nad blatem. Posłuchaj, Curtis, mówi. Muszę cię o to zapytać. Nie żałujesz, że ominie cię cała ta przygoda? Mam na myśli Irak.

To wojna już się zaczęła?

Nie wiem. Ale wygląda na to, że niedługo się zacznie. Domyślam się, że znasz sporo chłopaków, którzy tam teraz są.

Curtis popija łyk wody, potem jeszcze jeden. Jest lodowata, ale szklanka nie zdążyła jeszcze pokryć się rosą. Drugi kruk dołącza do pierwszego na dwuspadowym dachu.

To skomplikowane, mówi. Pewnie, pod wieloma względami żałuję, że mnie tam nie będzie. Do tego się szkoliłem. Do tego szkoliłem innych. Chciałbym tam być i móc się zatroszczyć o swoich ludzi. Ale zasadniczo – ze względów, które mają dla mnie znaczenie – cieszę się, że wojna mnie ominie. Nie jestem już taki młody. Mam żonę, o której muszę myśleć. Kiedy oberwałem w Kosowie, moje spojrzenie na parę spraw znacząco się zmieniło.

Myślisz, że byłbyś tam teraz, gdybyś nie odszedł do cywila?

Trudno powiedzieć. Prawdopodobnie tak.

Byłeś kimś w rodzaju wojskowego policjanta, prawda?

Tak, służyłem w żandarmerii.

Stacjonowałeś na Filipinach?

Dawno temu. Kiedy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku tata wyszedł z więzienia, złożyłem wniosek o przeniesienie do drugiego pułku

marines. Chciałem być bliżej niego.

Czyli stacjonowałeś w Port Lejeune?

Zgadza się.

Byłeś kiedykolwiek w zatoce Guantánamo?

Curtis czuje, jak zaciska mu się żołądek – wysoko, tuż pod żebrami – i mimowolnie wciąga powietrze. Nie uchodzi to uwagi Kagamiego, który właśnie na coś takiego czekał. Tak, przyznaje Curtis. Krótko.

Wraca kelner, stawia przed nimi półmisek ze smażonymi kromkami chleba, kilkoma papryczkami jalapeño nadziewanymi kozimi serem i pieczoną malutką dynią. Otwiera butelkę wina i napelnia kieliszki. Słońce odbija się w okularach Kagamiego; Curtis w ogóle nie widzi jego oczu.

Kagami czeka, aż kelner odejdzie, po czym dopytuje. Dawno?

Jakiś rok temu zostałem tam tymczasowo odkomenderowany. Na pół roku.

Z powodu jeńców?

Osadzonych, owszem. Mieli ich przenieść do nowej bazy.

Do Camp Delta.

Właśnie.

Kagami odkrawa kawałek dyni, bierze do ręki kromkę smażonego chleba. I jak tam jest? – dopytuje się. W tej bazie? Wymawia słowo „baza” z taką miną, jakby dotykał padliny.

Curtis unosi kieliszek, upija trochę wina, potem pociąga łyk wody. Klatki ze stalowej siatki, mówi. Dwa i pół na dwa i pół metra, wysokie na niecałe dwa. Są sedesy, prycze, umywalki. Wydzielony teren do gimnastyki.

Całkiem luksusowo.

W Camp X-Ray były przenośne toalety, a spało się na ziemi, więc mamy pewien postęp. To są źli ludzie, Walter. Naprawdę źli.

Słyszałem, że zamykają tam też dzieciaki. Dwunasto-, trzynastoletnich chłopaków.

Młodociani przebywają w osobnym obozie, mówi Curtis.

Jeden z kruków zatacza łuk nieopodal i ze stukotem ląduje pośrodku oddalonego o kilka metrów stolika. Kelner cierpliwie przegania go ścierką, więc ptak przeskakuje na skalną ścianę przy krawędzi tarasu. Z bliska jest znacznie większy, niż Curtis sądził. Razem z Kagamim przyglądają mu się przez chwilę.

Posłuchaj, odzywa się wreszcie Curtis. Nie wydaje mi się, aby obecny stan rzeczy komukolwiek odpowiadał. Mnie też się nie podoba. To między innymi dlatego zdecydowałem się odejść z wojska.

Przedtem nikomu tego nie powiedział; jest zaskoczony, słysząc własne słowa. Wsadza do ust nadziewaną papryczkę, czuje pieczenie na podniebieniu i w zatokach.

Nie próbuję cię przesłuchiwać, synu, zastrzega Kagami.

W sumie niewiele wiem, ucina Curtis. W zasadzie Guantánamo to baza marynarki wojennej, ale armia odpowiada za bezpieczeństwo w obozie. Zajmowałem się tylko logistyką transportową. Nie miałem wiele do czynienia z osadzonymi.

No tak. Teraz to już nie twoje zmartwienia, prawda? Ty dołączysz do nas w branży hazardowej.

Fakt. Nareszcie jakaś uczciwa fucha.

Kagami się śmieje. W ochronie widuje się teraz sporo byłych wojskowych, mówi. Wielu służyło dawniej w żandarmerii. Twój kumpel ze Spectacular – Damon, tak? Też był żandarmem?

Owszem. Później trafił do batalionu ochrony piechoty morskiej, osłaniał nasze placówki dyplomatyczne w Boliwii i Pakistanie.

Brzmi poważnie.

Damon to bystry facet. Nie mogę się doczekać, kiedy będziemy razem pracowali.

Cieszę się. Wiesz, dodaje Kagami, mam wrażenie, że nie powiedziałeś mi, dlaczego twój znajomy chce się skontaktować ze Stanleyem Glassem.

Kagami się uśmiecha. Powolnymi ruchami rwie na strzępy kromkę smażonego chleba; na jego talerzu lądują kawałki wielkości pięciocentówek. Oczywiście skrywa mu odbijający się w szklach okularów zachód słońca, ale po tonie jego głosu Curtis wnosi, że tamten zna już odpowiedź na swoje pytanie. Dotarli do niego nowiny od kogoś z Atlantic City, a reszty się domyślił. Prawdopodobnie wiedział wszystko, odkąd weszli do restauracji. Cała ta gadanina o Guantánamo miała wytrącić Curtisa z równowagi, podnieść mu lekko ciśnienie. Kagami wiedział, że to jego słaby punkt. Skąd?

Kelner przynosi im dania główne, rozkłada stolik i stawia na nim tacę. Kagami zamówił duszoną kaczkę w sosie z jeżyn; stek Curtisa podano z miseczką parującej tradycyjnej meksykańskiej pozole. Wszystko jest bardzo smaczne.

Przez pewien czas jedzą w milczeniu. Curtis powoli przeżuwa, opiera widelec o brzeg talerza i spogląda na dolinę. Postanawia trzymać się scenariusza, sprawdzić, jak daleko w ten sposób zajędzie. Damon usiłuje wyjaśnić pewne nieporozumienie, odzywa się. Dwa miesiące temu udzielił Stanleyowi w kasynie kredytu w wysokości dziesięciu tysięcy. Kredyt do dziś jest niespłacony. Od wtorku wieczorem – czyli od północy czasu wschodniego – będzie kwalifikowany jako zaległy dług. To kiepska wiadomość zarówno dla Damona, jak i dla Stanleya. Damon chce jakoś rozwiązać ten problem.

I dlatego poprosił cię, żebyś tu przyjechał.

Tak.

Kagami zdejmuje okulary i przeciera szkła skrajem obrusa. Curtis, mówi, obaj wiemy, że to nie ma najmniejszego sensu. Dziesięć kawałków to nie majątek,

zwłaszcza dla takiego kasyna jak Spectacular. Poza tym jest ogromna różnica pomiędzy długiem zaległym a nieściągalnym. Twojemu przyjacielowi nie oberwie się za to, że udzielił kredytu takiemu gościowi. To oczywiście miłe, że martwi się o Stanleya, ale w naszej branży Stanley to już celebryta, cholerna chodząca instytucja. Jak kraj długi i szeroki, kierownicy kasyn i agenci kredytowi będą mu szli na rękę, byleby tylko zaszczycił ich lokal swoją obecnością, bez względu na to, u kogo akurat figuruje na czarnej liście. Kasyna kochają zawodowych graczy. To oni nakręcają biznes. Są jak święci. Dowodzą, że zbawienie naprawdę jest możliwe.

Curtis patrzy na niego w milczeniu. Wie, że to jeszcze nie koniec; nie ma innego wyjścia, jak czekać na ciąg dalszy. Spod któregoś ze stolików wyłania się kruk i wkrótce ponownie znika im z pola widzenia. Wiatr się zmienia. Znad gór niesie się ryk silników nisko przelatującego A-10; myśli Curtisa znów biegną ku Zatoce, ale tylko na chwilę.

Kagami z powrotem wkłada okulary. Słyszałem ostatnio ciekawą historię, mówi. Jakies dwa tygodnie temu grupa szulerów wzięła na cel kasyna w Atlantic City. Jak się można spodziewać, szefowie tych kasyn milczą na temat wygranych, ale plotkuje się o sumach przechodzących ludzkie wyobrażenie. Tak czy inaczej, kierownicy stołów, podliczając wypłaty, już pod koniec nocnej zmiany mogli się zorientować, że coś jest na rzeczy. Wiesz, jak często szulerom zdarza się wykręcić taki numer i nie wpaść przy liczeniu kart, Curtis?

Nie mam pojęcia.

Nigdy. W całej swojej karierze słyszałem może o trzech czy czterech takich przypadkach. I zawsze chodziło o pojedyncze kasyno. Tymczasem ci goście w ciągu dwunastu godzin obrobili cztery albo pięć. To bezprecedensowe wydarzenie.

Kagami unosi kieliszek i dolewa sobie wina z butelki. Wspominam o tym w tej chwili, mówi, ponieważ tak się akurat składa, że kasynem, które najwięcej wtedy straciło, był właśnie Spectacular. Ciekawe, prawda? Ale według mnie najdziwniejsze jest co innego: że było to także ostatnie kasyno na liście naszych szulerów. Obrobili je dobrych kilka godzin po pozostałych. Coś ci to mówi, Curtis?

Nie przerywaj, odpowiada Curtis. Idzie ci naprawdę nieźle.

Mam informacje z pewnego źródła, że ochrona w The Point zawczasu dostała cynk o planowanej akcji. Sądzieli, że są dobrze przygotowani. Wszystkie ręce na pokład i tak dalej. Rzecz jasna w Atlantic City prawo nie zezwala odmawiać przyłapanym na liczeniu kart wstępu do kasyna, jak to się dzieje tutaj. Ale, o czym zapewne wiesz, istnieją inne zabezpieczenia. Z tego, co słyszałem, załoga Spectacular wytoczyła najcięższe działa: obniżono limity stołów, przetasowywano talie i tak dalej. Wkurzyli w ten sposób całą masę ludzi, a mimo to zostali okantowani. Według mnie – a mówię z perspektywy kierownika kasyna –

kiepsko to wygląda.

Owszem, przyznaje Curtis, można tak powiedzieć.

Kagami uśmiecha się i kręci głową. Zdradzę ci pewien sekret, mówi. Zazdroścę tamtych jak cholera. Wiesz, że sam kiedyś montowałem takie ekipy. Niektóre były całkiem niezłe. Ale to, co zrobili ci goście! Zupełnie jak jeden z tych numerów, o których kręci się filmy w Hollywood. To był ostatni weekend karnawału, prawda? Duży ruch przy stołach. Podobno zjawili się znikąd. Śledzili tasowania, przekładali talie w odpowiedni sposób. Obstawiający stale zamieniali się miejscami z liczącymi karty i obserwatorami. Byli kompletnie niewidoczni. Nawet w swoich najlepszych czasach nie byliśmy aż tacy dobrzy.

Kagami strzela palcami, jakby nagle coś sobie przypomniał. Ale, ale! – woła. Wiesz, kto mógłby zmontować taką ekipę?

Nie każ mi tego mówić, Walter.

Cholerny Stanley Glass, ot co! A ty mi wmawiasz, że twój kumpel, Damon Blackburn z Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, pożyczył Stanleyowi – notorycznemu hazardziście powiązanemu z ekipami wyćwiczonych w liczeniu kart szulerów, o jakich właśnie mowa – dziesięć tysięcy z kasy własnego kasyna raptem półtora miesiąca przed tym, jak dostali w dupę? Tak się zastanawiam, czy przypadkiem Damon nie boi się trochę utraty posady.

To całkiem możliwe, przyznaje Curtis.

Wiem z poczty pantoflowej, że w The Point już lecą głowy. Policja z New Jersey szuka podobno jednego z krupierów, który miał dyżur owej feralnej nocy. Kierownik sali z miejsca stracił pracę, dzień później to samo spotkało szefa ochrony. Nie przypuszczam, abyś to ty miał zapełnić ten wakat, co?

Curtis zmusza się do kwaśnego uśmiechu.

Naturalnie nic z tego nie wyjdzie, jeśli zabraknie Damona i jego poparcia. Na razie jakoś się uchował. Ale jeśli w środę rano nazwisko Stanleya pojawi się na liście dłużników Spectacular, rozzwonią się alarmy w całym kasynie i Damon będzie mógł zacząć się pakować. Ponieważ dobrze znasz Stanleya – on i twój tata to starzy kumple, prawda? – Damon chce, żebyś go wytropił i przypomniał mu o uregulowaniu długu, zanim będzie za późno. W nagrodę dostaniesz ciepłą posadkę. Dobrze kombinuję, Curtis?

Tak. Mniej więcej tak to sobie Damon wykombinował.

Curtis obraca ciemną zawartością kieliszka. Nie jest już zdenerwowany, tylko skrepowany. Czeka, żeby Kagami zakończył swoją przemowę, a tymczasem wraca myślami w przeszłość, wspomina wyraz twarzy Danielle, gdy usłyszała, że Curtis ma pracować dla Damona. I minę ojca, stojącego przed laty za szybą z pleksi w waszyngtońskim więzieniu, kiedy usłyszał, że Curtis rzuca szkołę i ma zamiar się zaciągnąć.

Kagami śmieje się i wyciera usta serwetką. Bardzo ładnie, mówi. Pozwól, że

teraz wyłożę kawę na ławę, dobrze? A jeśli to nie jest jedno wielkie nieporozumienie? Jeśli Stanley nie odbiera telefonów od Damona, bo właśnie go wyrolował? Może to on oskubał The Point i pozostałe kasyna? Zmontował ekipę i wykorzystał pieniądze z kasy Spectacular na sfinansowanie całej akcji? Już wcześniej robił takie rzeczy, chłopcze. I to nie raz.

Pewnie, przytakuje Curtis. Trzydzieści lat temu. Tyle że Stanley nie pracuje już z dużymi międzynarodowymi ekipami. Sam to przyznałeś: nie musi tego robić, bo ma Veronicę. Poza tym Stanley i Damon to kumple. Dobrze wiesz, że Stanley jest lojalny. Naprawdę myślisz, że wykorzystałby w ten sposób Damona? To nie w jego stylu.

Zgoda. Wiem też, że Stanley nie wkręca ludzi w takie gówno. Ale czy ten Damon nie nastąpił mu czasem na odcisk?

Nic mi o tym nie wiadomo.

To mnie akurat nie dziwi, bo skąd miałbyś wiedzieć? Gadałeś wyłącznie z Damonem. Mam rację? Kiedy ostatni raz widziałeś Stanleya, synu?

Curtis wbija wzrok w talerz. Przypomina sobie Stanleya siedzącego na ławce nad brzegiem Tidal Basin w Waszyngtonie, rozkładającego wachlarz z kart przed małymi kuzynami Mawiyah. Mawiyah i tata Curtisa pokrzykują na nich z roweru wodnego, udając święte oburzenie. Na powierzchni wody unoszą się grubą warstwą płatki kwiatów wiśni. Obok, z lewej strony Curtisa, siedzi niewidoczna roześmiana Danielle. Palce dłoni ma splecione z jego palcami. Ładnych parę lat temu, odpowiada wreszcie.

Kagami przez chwilę wpatruje się w słońce. Wiesz, że bardzo się zmienił?

Jak to?

Po pierwsze, jest chory. Nie wiem, co mu dolega, ale kiedy widziałem go tutaj w środę, chodził o lasce. Kiepsko wyglądał.

Stanley nigdy w życiu nie chorował.

Po drugie, ciągnie Kagami, oszalał. Od kilku lat przegrywa olbrzymie sumy. Po prostu przepuszcza wszystko w kasynach. Wymyśla nowe tajemnicze systemy, które nie mają nic wspólnego z rachunkiem prawdopodobieństwa, są kompletnie bez sensu. Strasznie zdziwaczał. Kiedyś bez mrugnięcia okiem przegrał u nas sześć tysięcy. Nie powinienem tego robić, ale odciągnąłem go na bok i zapytałem, co u licha wyprawia. Kazałem mu skończyć z tym metafizycznym bełkotem. I przestać wierzyć w te wszystkie brednie.

Tak mu powiedziałeś?

Dokładnie tak.

I co on na to?

Uraczył mnie opowieścią zen.

Słucham?

O słynnym łuczniku mieszkającym w Japonii. Koleś znany jest na całym

świecie jako jeden z mistrzów w swoim fachu. Ludzie zjeżdżają zewsząd, żeby się u niego uczyć. A on, chociaż jest bardzo stary i od dziesięcioleci trenuje strzelanie z łuku, jeszcze nigdy nie trafił w sam środek tarczy.

To wszystko?

Tak. Stanley lubi opowiadać takie historyjki. To taki nasz wspólny żarcik.

Opowieść o łuczniku jest prawdziwa?

Kagami rzuca Curtisowi poirytowane spojrzenie. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, i zaraz je zamyka. Patrzy na dolinę.

Walterze, mówi Curtis, Stanley stale wciska ludziom takie głodne kawałki. To jego poza. Sam w to nie wierzy.

Kagami wzrusza ramionami. Może na początku to była poza, mówi. A może w tych opowieściach zawsze tkwiło ziarno prawdy. Szczerość. Fantazja. Myślenie życzeniowe. Może ta poza trwa już od tak dawna, że stała się częścią tego, kim naprawdę jest. Do diabła, chłopcze, może wszystko, co robimy, to poza. Któż to wie?

Kagami zanurza kawałek kaczki w ciemnogrnatowym sosie, podnosi go do ust. Liczyłeś kiedyś karty, Curtis? – pyta. Tak na poważnie?

Nie. Wiem, jak to się robi, ale sam nigdy tego nie próbowałem.

Kagami powoli, bardzo powoli przeżuwa mięso, popija łykiem wody i łykiem wina. Kiedy jesteś na fali – a kiedy mówię „na fali”, nie mam na myśli szczęścia, tylko porządne liczenie kart, śledzenie tasowań, słabego krupiera i odpowiednią penetrację talii – nadchodzi taki moment, gdy zyskujesz całkowitą kontrolę nad przebiegiem gry. Wiesz nie tylko, jakie karty dostaniesz ty, krupier, a nawet koleś na lewo od krupiera, grający według strategii podstawowej, ale też jak będą rozgrywane, dopóki nie pojawi się przekładka. Bardzo trudno jest opisać to uczucie. To tak, jakbyś...

W tym momencie Kagami unosi wzrok i gwałtownym gestem wyrzuca w górę ramiona, jakby chciał uchwycić przelatujące słowo. Jego twarz jest zarazem ożywiona i bardzo stara; zachodzące słońce zapala ogień w złotych sygnetach, metalowych oprawkach okularów i rzadkich ciemnych włosach. Za jego plecami z matowego błękitu wyziera kilka gwiazd.

Jakbyś był wszechmocny, kończy. Wierz mi na słowo, chłopcze, to uczucie potrafi porządnie zawrócić w głowie. Łatwo jest dać się zwieść i uwierzyć, że cały świat to jedna wielka rozgrywka blackjacka. Wystarczy ją rozszyfrować, dostrzec wzajemne zależności, nauczyć się czytać karty. Nawet najlepsi gracze – mam nadzieję, że wybaczysz mi ten brak skromności, gdy stwierdzę, że sam do nich należę – bardzo rzadko osiągają taki stan. A Stanley w nim tkwi. Na stałe. I sądzę, że z tego powodu stopniowo traci zmysły.

Curtis nie wie, co ma odpowiedzieć. Kiwa głową, odwraca wzrok.

Plotę bez sensu, mruczy Kagami. Trudno. Nie przejmuj się. Chcę tylko

powiedzieć, że nigdy nie powinno się lekceważyć ludzkiej zdolności do pokładania wiary w najdziwniejsze rzeczy. Rozejrzyj się dokoła.

Wskazuje kciukiem mormońską świątynię. Ci w tym budynku ciągle wierzą, że Amerykę zasiedliło zaginione plemię Izraela. Twój tata uważa, że białych ludzi stworzył jakiś szalony naukowiec. Nigdy nie wiadomo, czego się człowiek uchwyci, kiedy zacznie tonąć, chłopcze. Nie bądź taki pewny, że wiesz, jakim człowiekiem jest teraz Stanley.

Curtis się nad tym zastanawia. Według mnie wygląda to tak, mówi. Może Stanley faktycznie postradał rozum. Może należał do ekipy, która obrobiła The Point, a może nie. Dla mnie nie ma to w zasadzie żadnego znaczenia. Liczy się to, czy Stanley się przede mną ukrywa, czy nie. Jeżeli się ukrywa, za cholerę go nie znajdę. A jeżeli nie, to myślę, że zechce ze mną porozmawiać.

Z gór schodzi nagły podmuch wiatru, trzepocze obrusami, porywa pustą tacę; gdzieś w pobliżu któryś z kruków kracze zaskoczony. Po raz pierwszy od swojego przyjazdu Curtis cieszy się, że ma na sobie kurtkę.

Kagami uśmiecha się ciepło, bez śladu złośliwości, lecz ten uśmiech może skrywać dosłownie wszystko. No cóż, mówi, życzę ci powodzenia, chłopcze. Jeśli Stanley się do mnie odezwie, przekażę mu, żeby do ciebie zadzwonił.

Będę bardzo wdzięczny.

Jeden z kruków przeskakuje na skalną ścianę tuż za plecami Kagamiego i przez pewien czas czyści sobie pióra. Wygląda przy tym na bardzo z siebie zadowolonego. Kracze, a jego krakanie odbija się echem w mroczniejącej dolinie. Potem wzbija się w powietrze, chwilę krąży i wzlatuje wyżej na gań.

Curtis wskazuje ptaka ruchem głowy. Oryginalny dodatek, mówi. Jak je przekonaliście, żeby się tutaj zagnieździły?

Zagnieździły? – parska śmiechem Kagami. Chryste, nie możemy się ich pozbyć! Były tu, zanim położyliśmy fundamenty. Stąd wzięło się nasze logo. Właściciel nazywa tę parkę Bill i Melinda, ale nie powiem ci, które jest które.

Kagami nie podnosi wzroku; jego sztucce cichutko skrobią talerz. Był jeszcze trzeci, dodaje między kęsami. Ale okazał się zbyt agresywny. Lubiał błyszczące przedmioty i pchał się na stoliki. Jak wiesz, niektóre starsze panie noszą nieco krzykliwą biżuterię. Niezły był z niego gagatek. Szef nazywał go Larry Ellison.

I co się z nim stało?

Przyszedłem tu kiedyś o świcie z lusterkiem samochodowym i pożyczonym od kumpla remingtonem kalibru 12. Trach-trach, trach-trach, bęc. Specjalnie dla mnie szef kuchni zrobił ze starego Larry'ego enchiladę w sosie czekoladowym.

Kagami wyciera usta serwetką, uśmiecha się ze smutkiem i kręci głową. Mnóstwo mięsa z jednego ptaka, mówi. Smak co prawda gówniany, ale zawsze zjadam wszystko, co sam zabiłem.

Autobus kursujący co godzinę między kasynem a Las Vegas Strip ma niedługo wracać do miasta, więc Curtis zamawia wodę gazowaną i znajduje cichy kącik w pobliżu sali do gry w bingo, żeby poczekać na jego odjazd.

Ciężkie, pikantne danie zalega w żołądku i Curtis myśli, czy nie skoczyć do łazienki przed podróżą. Próbuje uporządkować wszystko, co usłyszał od Kagamiego – porównać z tym, czego się dowiedział od Veroniki i od Damona, wyłowić sprzeczności oraz zbieżności – trudno mu się jednak skoncentrować w gwarnej kasynie; ostatecznie zagląda do sali, gdzie trwa gra w bingo, skuszony emanującą stamtąd aurą spokoju.

W środku siedzi może ze dwadzieścia starszych kobiet. Większość gra na pięć czy sześć plansz na raz, a niektóre mają ich przed sobą piętnaście albo i więcej, umocowanych klejem w sztyfcie albo kawałeczkami modeliny. Prowadzącą jest młoda dziewczyna w aparacie ortodontycznym na zębach, z czystym, bezosobowym głosem: ogłaszane przez nią liczby przetaczają się przez salę niczym fale przyływu. Powietrze wydaje się tu gęstsze, a przekaz wyraźniejszy. Kobiety siedzą zgarbione jak wieszczki, z powagą kołysząc głowami zdobnymi w błękitnawe i różowawe trwałe. Zręczne sękaty palce przesuwają po planszach markery, tworząc atawistyczne wzory. Liczby są wywoływane i natychmiast wymazywane. Curtis przygląda się temu jak zaczarowany, aż kończy mu się czas i musi pędzić, żeby złapać autobus.

Podczas długiej drogi powrotnej rozmyśla o Stanleyu. Wspomina to, co Kagami powiedział mu o blackjacku – o złudzeniu całkowitej wszechwładzy – i staruszki grające w bingo w cichej sali; jak po mistrzowsku panowały nad planszami i markerami. Wszystko zaczyna mu się układać w rozpaczliwie jasny obraz i gdy autobus zwalnia przed hotelem, Curtis przypomina sobie pewien mecz z końcówki sezonu w trzeciej klasie szkoły średniej – moment, gdy przed pierwszym podaniem rozpoczynającym akcję wyczuł, że szykuje się szarża na rozgrywającego. Wyczytał to z twarzy zawodników drużyny szkoły imienia Banekera, z przyjętej przez nich postawy. Całym ciałem pamięta spokój, jaki go wówczas ogarnął, niespotykaną jasność umysłu. Pustkę, nieważkość. Wszystko poruszało się po torach, które tylko on widział. Wywinął się zewnętrznemu obrońcy ustawionemu na wprost po drugiej stronie linii wznowienia gry i odskoczył do tyłu, gdy tamten upadł. Wyrwał się i pognął tyłem ku szarżującym ze „ślepej strony”, młócąc w powietrzu ramionami. Potem nastąpiło paskudne ścięcie z nóg. Tylny obrońca – z głową w kasku pochyloną w dół, jak nadlatująca rakietka – runął prosto na niego. Kolanem zmiażdżył Curtisowi nadgarstek. Głuchy chrupot pękającej kości wydał mu się czymś doskonałym, jak najbardziej na

miejscu. Co za słodycz! Jakby roztrzaskać młotem opakowanie kredy. Ból go przeobraził, rozświetlił od wewnątrz. Nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, że jego drużyna nie straciła podania ani piłki. Gips na ręce nosił do końca lutego.

Miesiąc po tym, jak mu go zdjęto, Reagan został postrzelony, gdy wychodził z waszyngtońskiego hotelu Hilton, i Curtis wiedział już dokładnie, co zrobi ze swoim życiem.

Winda jeszcze nigdy nie wydawała mu się tak powolna. Wznosi się nieśpiesznie niczym balon; zanim dowiezie go na miejsce, pokona w żółtym tempie dwadzieścia osiem pięter. Stając przed drzwiami pokoju, Curtis ma już rozpięty pasek u spodni. Jednym płynnym ruchem wsuwa kartę do czytnika, spuszcza spodnie i zrywa opaskę ze zdezynfekowanego sedesu. Przez dłuższy czas siedzi w wonnym mroku – w powietrzu czuć siarkowodór, a Curtis ma gęsią skórę i wyciera spotniałą czaszkę – następnie zrzuca marynarkę i wkłada do marmurowej umywalki kaburę z rewolwerem. Zasłony w dalszej części apartamentu są odsłonięte, a przez uchylone drzwi łazienki sączy się do środka wąski strumień światła, wielobarwny i pulsujący. Widząc go, Curtis myśli o lampkach bożonarodzeniowych, choinkach i chyba już po raz dwunasty tego dnia o zatelefonowaniu do żony. Myśli o tym, co jej powie, co ona powie i jak się będzie tłumaczył. Wyobraża ją sobie przy aparacie w aneksie kuchennym. Na przykład podgrzewając mleko, żeby zrobić gorącą czekoladę. Rozchylone poły krótkiego białego szlafroka. Puszyste czerwone skarpety. Rozłożony na komodzie pielęgniarski uniform, wyprasowany na rano. Jednym sztywnym ramieniem Danielle podpira lodówkę, jakby chciała ją domknąć. Muszle porcelanek stukają w słuchawkę. Danielle ściąga brwi. Między nimi tworzy się niewielka pionowa zmarszczka. Tylko tym ją obdarował – zmarszczkami i kilkoma pierścionkami.

„Bardzo mi przykro, Dani. Cholera, pewnie, że za tobą tęsknię. Po prostu nie mogę teraz rozmawiać”. I to by było tyle: Curtis nie ma jej nic więcej do powiedzenia. Nie może jej zdradzić swoich planów, bo żadnego planu nie ma – nie ma go właściwie, odkąd oberwał i odesłali go z Kosowa do domu, czyli odkąd ją poznał. Dwa lata dryfowania, odreagowywania. Najpierw musiałby umieć sam to sobie wytłumaczyć. Spuszcza wodę, rozbiera się, bierze prysznic, kładzie się na łóżku i znów дума o tym samym.

Uporczywe myśli nie opuszczają go, gdy komórka ćwierka, a na wyświetlaczu pojawia się jego domowy filadelfijski numer, ani gdy telefon dzwoni, a potem przestaje dzwonić, rozlega się sygnał i na wyświetlaczu wyskakuje ikonka nieodebranej wiadomości.

Włącza telewizor, wycisza dźwięk i usiłuje się skoncentrować na tekście pełznącym poziomo na pasku u dołu ekranu. Przerzuca kanały – CNN, CNBC, Fox – w międzyczasie przysypiając. Tak mija kilka godzin i Curtis znów czuje głód. Wstaje, ubiera się, zamyka broń w sejfie i zjeżdża na dół, żeby kupić sobie

kanapkę.

Wysiada na pierwszym piętrze, na poziomie handlowym, i przemierza czarną kostkę brukową, kierując się w stronę chłodnego światła bijącego z namalowanego nieba pozbawionego słońca. Przy szerokim końcu krytego hotelowego kanału gondolier zawraca łódź, wyśpiewując swoje kawałki nad głowami pasażerów, którzy filmują go rozkołysanymi kamerami cyfrowymi. Błękit wody jest niezmacony, pusty niczym gotowy do projekcji ekran.

Z prawej strony otwierają się podcienia, którymi można przejść do punktów gastronomicznych. Nie wiecieć kiedy Curtis skręca w złym kierunku. Zdawszy sobie sprawę z pomyłki, nie zawraca, tylko pozwala rzeszy turystów i gości hotelowych nieść się naprzód, aż na wielką, krytą replikę placu Świętego Marka. Potencjalni kupcy oglądają świecidełka rozłożone na stoiskach pod parasolami; kwartet smyczkowy konkuruje z niewidocznym śpiewakiem operowym gdzieś na balkonie; goście ogródków restauracyjnych spożywają na chodnikach gnocchi i sałatkę nicejską. Na wprost niego, pośrodku placu, grupka ludzi otacza żywy posąg.

Curtis podchodzi bliżej. Nieruchoma postać jest ubrana na biało – ma na sobie białą szatę, białą szarfę, okrągłą białą czapkę i wielką białą kokardę – a jej ramiona i twarz pokrywa gruba warstwa białego pudru. Curtis nie jest w stanie odgadnąć płci. Przez kilka minut obserwuje posąg między głowami gapiów, lecz ten ani razu nie mruga powiekami. Jego puste spojrzenie utkwione jest w czymś, czego nikt poza nim nie widzi. Dopiero po dłuższej chwili Curtis orientuje się, że wielu patrzących – jego samego nie wyłączając – swoim bezruchem niemal dorównuje posągowi. Ogarnął ich postępujący paraliż. Otrząsa się i zawraca, skąd przyszedł.

Przemyka mu przez myśl, że mógłby poszukać czegoś dla Danielle – prezentu na zgodę podyktowanego poczuciem winy – ale wszystko jest z importu, ręcznie wykonane i zdecydowanie za drogie. Zresztą i tak żadna z tych rzeczy by jej się nie spodobała. Karnawałowe maski zdobione szlachetnymi kamieniami, oprawione w skórę książki, szklane pelikany. Srebrne lustro w kryształowej ramie. Drewniana marionetka z półmetrowym nosem.

Przeglądając kartę dań w Towers Deli, Curtis zaczyna się denerwować; obawia się, że jest nie tam, gdzie trzeba. Niewykluczone, że Stanley przebywa w tej chwili w budynku, ale tu na górę nigdy by się nie zapuścił. Zwłaszcza że niżej, obok kasyna, również są punkty gastronomiczne. Curtis wycofuje się i wraca po własnych śladach.

Kiedy winda zwozi go na dół, sącząca się z głośników w galerii handlowej muzyka klasyczna przechodzi w balladę Phila Collinsa. Biały szum kasyna otacza Curtisa niczym obłok pary wodnej. Wszystko staje się niewyraźne, perspektywa się zaburza. Biorąc pod uwagę nadciągającą wojnę i fakt, że większość chłopaków na

służbie przebywa obecnie w Kuwejcie albo tkwi w bazie w oczekiwaniu na rozkazy, można by się spodziewać, że ruch będzie mniejszy niż zwykle, lecz sala gier wcale nie świeci pustkami. Co prawda nie widać wojskowych fryzur – na jeża albo na rekruta, czyli góra krótko, a tył i boki wygolone – ale do bankomatów stoją kolejki, a w części dla wysoko obstawiających kręci się sporo graczy. Ludzie regularnie kursują między salą gry a kasą. Tak czy inaczej, to nie jest lokal dla wojskowych, myśli sobie Curtis, więc wojna nie ma tu nic do rzeczy. Przy wejściu do toalety grupa mężczyzn czeka na swoje żony i dziewczyny; grzechoczą monetami w kubelkach albo dla zabicia czasu studiują tabele strategii podstawowej. Większość z nich jest w wieku Curtisa albo młodsza.

Curtis włącza autopilota i okrąża salę w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, wyłapując na znanej sobie trasie detale, które mu wcześniej umknęły: masywne żyrandole, kolory wykładziny, rozmieszczenie kamer monitoringu pod sufitem. Sprawdza stoły, salę zakładów sportowych, zwykle automaty i te, gdzie obstawia się wysokie stawki, stanowiska wideopokera w Oculus Lounge. Nigdzie nie widać Stanleya, podobnie jak Veroniki, przynajmniej w tym momencie.

W San Gennaro Grill Curtis kupuje cheesesteaka Philly i znajduje wolny stolik w pobliżu wejścia do części gastronomicznej. Zjada połowę, popija solidnym łykiem mrożonej herbaty i odsłuchując w komórce wiadomości, bierze się za resztę. Rozlega się głos Danielle, przerywany jego stłumionym chrupaniem. Sammy D., mówi, to znowu ja, twoja żona. Pamiętasz jeszcze, że masz żonę? Kościół, muzyka, kwiaty – mówi ci to coś? Ty miałeś na sobie smoking. Przypominasz sobie? Ponieważ się nie odzywasz, zaczynam podejrzewać, że oberwałeś czymś twardym w głowę. Jest sobota, dziewiąta wieczorem czasu filadelfijskiego, a ja cholernie chciałabym cię usłyszeć, Junior. Wiem, że teoretycznie jesteśmy pokłóceni i chyba nawet rozumiem, że możesz nie mieć ochoty teraz ze mną gadać. Ale przynajmniej zadzwoń i daj mi znać, że u ciebie wszystko w porządku. Jeśli nie możesz...

Danielle przerywa z westchnieniem, po czym znów się odzywa. Posłuchaj, Curtis. Wiem, że nie powinnam ci mówić tych wszystkich rzeczy, ale rozumiesz chyba, czemu to zrobiłam. Po prostu myślałam, że się sprzedajesz jak...

Curtis kasuje wiadomość i kończy połączenie z pocztą głosową. Zegar na wyświetlaczu komórki wskazuje dziesiątą czterdzieści dwie. W Filadelfii dochodzi druga w nocy. Nie przypuszczał, że jest tak późno. Wpatruje się w wyświetlacz, dopóki zegar nie wskaże dziesiątej czterdzieści trzy, potem czterdzieści cztery. Wreszcie znów bierze telefon do ręki, żeby wysłać wiadomość. Wszystko OK, pisze. Przygląda się literom, migającemu kursorowi. Wiadomość wydaje się niekompletna. Niedługo zadzwonię, dopisuje. Kocham Cię.

Dojada sandwicza, dopija mrożoną herbatę i wraca na poziom kasyna. Po raz

kolejny obchodzi stoły do blackjacka; tym razem robi to wolniej, dokładniej. Na sali toczy się nieco ponad pięćdziesiąt rozgrywek z użyciem ośmiu talii kart, do tego na kilku stołach gra się sześcioma i dwiema taliami. Curtis zwraca szczególną uwagę na te ostatnie, przy których zwykle gromadzą się cwaniacy liczący karty, lecz żadna z twarzy nie wygląda znajomo. Od trzech godzin dyżur ma popołudniowa zmiana. Ciekawe, gdzie jest Veronica.

Wraca do Oculus Lounge, znajduje sobie automat do gry w pokera – to odmiana Deuces Wild – skąd ma dobry widok na boki, zatrzymuje przechodzącą kelnerkę i zamawia sok żurawinowy. Wydaje mu się, że to ta sama dziewczyna, która obsługiwała go poprzedniego wieczoru, ale pewności nie ma. Jak wszystkie tutaj, jest wysoka i ładna, o bystrym spojrzeniu. Ubrana w absurdalny bordowo-złoty gorset z szyfonową krezą na biodrach, przypomina trapezistkę. Prawdopodobnie wyciąga rocznie na czysto osiemdziesiąt kawałków z samych napiwków. Szeroki uśmiech na twarzy nosi niby maskę.

Przez dwadzieścia minut Curtis obserwuje salę gier; na przemian rozgląda się i odpływa. Myśli o Danielle. O jej dziwnym, pierwotnym zapachu zmieszonym z wonią potu, środka odkażającego i alkoholu izopropylowego. Oczami wyobraźni widzi własne przedramię zaciskające się wokół jej talii. Czuje ciężar jej bioder i słyszy wydawane przez nią dźwięki.

Z zamyślenia wyrывa go wibrowanie telefonu komórkowego. Curtis drga nerwowo i spogląda na wyświetlacz. Widzi nieznany sobie numer, kierunkowy 609. Może to Damon. Przekłada komórkę do prawej ręki, palcem zatyka lewe ucho.

Halo?

W słuchawce cisza. W tle słychać zgiełk, podniesione głosy, muzykę, dźwięki urządzeń elektronicznych. Inne kasyno. Czyżby w Atlantic City? Curtis wstrzymuje oddech, nasłuchuje.

Nagle głos. Nie sądzę, żeby tu dzisiaj przyszła, kolego. Chyba ją wystraszyłeś.

Albedo, myśli w pierwszej chwili Curtis. Ale to nie Albedo. Głos jest za wysoki, akcent też nie ten: z Ohio albo zachodniej Pensylwanii, nie ze Wschodniego Wybrzeża. Kto mówi? – chce wiedzieć.

Człowiek, którego szukasz. A któż by inny?

Stanley?

Curtis nie potrafi ugryźć się w język, choć wie, że to nie Stanley. Facet jest młodszy, biały, prawdopodobnie nieduży. Ma świszczące „sz”. Curtis nasłuchuje innych charakterystycznych dźwięków, które mogłyby wskazać, skąd tamten dzwoni.

Słuchaj, mówi głos. Oszczędź mi tych bredni ze Stanleyem, dobra? To mnie tak naprawdę szukasz.

Skąd masz ten numer?

Jaja sobie robisz? Daj spokój, Curtis. Ma go każdy barman i krupier blackjacka na Strip.

Czyli koleś jest tutaj, w mieście. Curtis przebiega w myśli listę znanych kasyn, przypomina sobie charakterystyczne dla nich odgłosy, ale nic mu się nie kojarzy. Trzeba grać na czas. Czego ode mnie chcesz, człowieku? – pyta.

Głos tamtego jest napięty, jak zwinięty do ataku wąż; z całych sił stara się zachować spokój. Najbardziej zależy mi, mówi, na rozmowie z Veronicą. Ale wygląda na to, że dziś już nic z tego nie będzie. Przez ciebie.

Kilka kroków przed Curtisem chuda Latynoska w średnim wieku właśnie trafiła jackpota na automacie Double Diamond: podskakuje do góry z wytrzeszczonymi oczami, wrzeszcząc: „Wygrałam, wygrałam, wygrałam, wygrałam!”. Curtis marszczy brwi i głębiej wciska palec do ucha; dopiero po chwili dociera do niego, że słyszy jej głos w słuchawce. Drga na krześle, mruży oczy, czujnym wzrokiem omiata wielką salę.

Człowiek po drugiej stronie ledwo słyszalnie wciąga powietrze. Kiedy znów się odzywa, ma opanowany głos. No, mówi, przynajmniej komuś się dzisiaj poszczęściło. „Sz” w „poszczęściło” wyraźnie świszczuje. Curtis powoli wstaje, usiłując zachować cierpliwość i ostrożność. Zostawia w automacie niewykorzystane pięć dolarów. Nie dostrzega nikogo, kto by go obserwował. Trzeba znów zmusić tamtego do mówienia i szukać w tłumie poruszających się warg. Przestań ze mną pogrywać, stary, rzuca do słuchawki. Lepiej powiedz, gdzie jesteś.

Mężczyzna parska suchym śmiechem. A gdzie twoja kurtka, Curtis? – pyta. Dzisiaj jesteś nieuzbrojony? Może to i dobrze. Veronice nie spodobała się wczoraj ta kurtka, prawda?

Za plecami Curtisa znajdują się automaty z wysokim limitem zakładów i chociaż w tej chwili nikt przy nich nie stoi, tamten może się kryć między nimi. Curtis rusza w ich stronę, lustrując badawczo mijane twarze. Okrągły bar stara się mieć cały czas po lewej ręce. Masz rację, odpowiada. Zostawiłem dziś kurtkę w pokoju, więc możesz się już pokazać. Pogadajmy.

Wchodzi do pomieszczenia z automatami dla wysoko obstawiających, w kilka sekund upewnia się, że teren jest czysty – nie ma tam zbyt wielu graczy – po czym wraca do głównej sali kasyna, wypatrując kontaktu wzrokowego albo niespodziewanego ruchu. Kieruje się ku punktom gastronomicznym. Jego spojrzenie wyłuskuje szczegóły z ruchliwego tła.

To tak nie działa, Curtis, mówi tamten. Nie zobaczysz mnie. Jeszcze nie teraz. Poza tym przecież rozmawiamy, prawda? To ci nie wystarcza?

Przez świst na końcu „zobaczysz” Curtis słyszy wreszcie to, na co czekał: nagranie tłumu skandującego chóralnie „KO-ŁO! FOR-TU-NY!”. Pod koniec

dźwięk cichnie. Facet jest przy automatach i się przemieszcza.

Curtis robi ostry zwrot w lewo i niemal wpada na kelnerkę niosącą tacę z koktajlami, której w ogóle nie zauważył, bo znajdowała się w jego martwej strefie. Dziewczyna w ostatniej chwili zatrzymuje się jak wryta; jego uniesiony łokieć o kilka centymetrów mija jej nos. Kolorowe drinki – dwa truskawkowe daiquiri i jeden śrubokręt – zsuwają się z tacy i lądują na butach Curtisa. Kelnerka zdusza w ustach przekleństwo, przywołuje na twarz zawodowy uśmiech i zaczyna go przeproszać przez zaciśnięte zęby. Z boku nadciąga jej koleżanka oraz kilku woźnych. To moja wina, mruczy Curtis, moja wina. Wymija ich.

Głos w telefonie śmieje się szyderczo. Patrz lepiej przed siebie, radzi.

Curtis liczył, że jego nagły zwrot wypłoszy tamtego, zmusi do zmiany pozycji, ale nie widzi, aby ktokolwiek poruszał się między automatami. Ktoś z obsługi kasyna – jakiś waśniak w garniturze – śpieszy ku niemu poirytowany i zaaferowany, lecz Curtis uprzedza go, zanim tamten zdąży otworzyć usta. Nic mi nie jest, zapewnia. To była moja wina. Przepraszam, ale mam ważny telefon.

Słuchaj, mówi głos po drugiej stronie, najwyraźniej złapałem cię w niewłaściwym momencie. Zaraz się rozłączę. Ale najpierw chcę cię prosić o przysługę. Przekażesz Damonowi wiadomość ode mnie? Halo? Jesteś tam, Curtis?

Podnosi do góry dłoń i ucisza waśniaka, po czym wraca do automatów. Tak, jestem.

Powiedz mu – słuchaj uważnie – powiedz mu z łaski swojej, że wiem, co się wydarzyło w Atlantic City. Wiem, co tam się stało i dlaczego, ale trzymam gębę na kłódkę. Przekaż, proszę, swojemu szefowi, że jestem zawodowcem, skłonny się dogadać, ale wyłącznie na moich warunkach. I tylko jeśli dostanę rozsądną gwarancję bezpieczeństwa. Zapamiętasz to wszystko?

Z jakiego filmu bierzesz te głodne kawałki? – drwi Curtis. Chyba go widziałem.

Jest teraz przy automatach i lustruje tłum. Trzy Japonki grają w Beverly Hillbillies. Jakiś grubas wrzeszczy na żonę; usta ma pełne burrito. Ciężarna dziewczyna w koszulce drużyny Eisenhower Lions siedzi samotnie przy automacie Quick Hit 24 Karat. Niczyje wargi nie poruszają się w rytm słów, które Curtis słyszy. Wszystkie dźwięki toną w ogłupiającym elektronicznym zgiełku.

Facet w telefonie zaraz się rozłączy. Wkrótce się do ciebie odezwę, mówi. Przedstawię ci swoje warunki. Zanim to nastąpi, odpierdol się ode mnie. Zrozumiano? Możesz sobie mydlić oczy Stanleyowi, Veronice i Walterowi Kagamiemu, ale ja wiem, o co tak naprawdę grasz, i nie poddam się bez walki. Przekaż Damonowi...

Na końcu rzędu automatów, jakieś trzydzieści metrów od niego o bankomat opiera się pulchny blondyn w typie członka jakiegoś studenckiego bractwa. Ma na

sobie koszulkę kasyna Mirage i bejsbolówkę; stoi tyłem do Curtisa i czyta przewodnik turystyczny. Wewnątrz przewodnika znajduje się lusterko mniej więcej o wymiarach dziesięć na piętnaście centymetrów, odbijające światło zyrandola. Curtis zamiera, opuszcza rękę z telefonem i robi kilka szybkich kroków naprzód; gość rozplywa się bez śladu.

Sala kasyna jest zatłoczona. Curtis stracił dawną kondycję i dotarcie na miejsce zajmuje mu całą wieczność. Zapędził tamtego w kozi róg, ale jest to bardzo duży kozi róg. Nie widać, żeby facet wszedł na ruchome schody ani do Noodle Asia, więc najwyraźniej musiał umknąć do sali zakładów sportowych. Curtis rozgląda się szybko w prawo i w lewo, po czym tam właśnie się kieruje.

W środku jest ciemniej niż w głównej sali: podstawowym źródłem światła są dziesiątki migających ekranów telewizyjnych i Curtis potrzebuje chwili, żeby wzrok się przystosował. Kilku Australijczyków w napięciu śledzi mecz piłki nożnej; na większości pozostałych ekranów transmitowane są rozgrywki koszykówki NCAA. Daleko w kącie majaczy w telewizorze jasna mapa Iraku.

Przecinając parkiet, Curtis wypatruje bejsbolówki, jasnych włosów i koszulki z logo kasyna Mirage. W głębi pomieszczenia dostrzega sterczący z kosza na śmieci daszek czapki. Wyciąga ją i odkrywa przyszytą od środka jasną perukę. Jednocześnie po swojej lewej stronie rejestruje jakiś ruch: ktoś zmierza do wyjścia.

Koleś porusza się lekko i zwinnie. Curtis dostrzega jego sylwetkę w ostatniej chwili, gdy tamten znika za załomem ściany daleko przed nim. Ma teraz czarne włosy, a na koszulkę naciągnął bluzę z kapturem, zdobną w logo kasyna MGM Grand. Zanim Curtisowi przyjdzie do głowy zerknąć na jego buty, chłopak niknie mu z oczu. Czując się okantowany, Curtis pośpiesznie skręca za nim i wchodzi do pierwszego pomieszczenia po lewej stronie.

Znajduje się w zatłoczonej niewielkiej sali, gdzie jakiś zespół gra salsę. Kolorowe reflektory omiatają parkiet; uśmiechnięci biali ludzie w średnim wieku szurają do taktu nogami i Curtis wie, że to koniec. Nie sposób stwierdzić, w co jeszcze tamten mógł się przebrać. Gdyby tylko Curtis zdążył zerknąć na jego buty! Przez chwilę stoi wściekły i łapie oddech. Lewą stopę ma zmarzniętą, mokrą i lepka w miejscu, gdzie przesiąkły rozlane drinki. Po paru minutach wraca do głównej sali kasyna i wybiera numer, z którego tamten do niego dzwonił.

Nikt nie odbiera. Poczta głosowa jest nieaktywna. Po pięciu próbach Curtis się poddaje, po czym zapisuje numer w pamięci telefonu. Czubkiem palca naciska klawisze. Na ekranie LCD wyświetla się: „Świstak”.

W drodze do wind dzwoni do Damona. Tak jak przedtem, żadnego powitania, od razu rozlega się sygnał. Damon, mówi Curtis, to ja. Chyba powinienes się wytłumaczyć. Właśnie odbyłem zdrowo popieprzoną rozmowę z jakimś gówniarzem, który tutaj, w Vegas, dzwoni do mnie z komórki z numerem

kierunkowym 609 i chce, żebym ci przekazał, że wie, co zaszło w Atlantic City. Żąda, aby mu zagwarantować bezpieczeństwo. Trochę trudna sprawa, bo nie wiem, kim on, do cholery, jest ani o czym mówi. Mam już dosyć tej ciuciubabki, sukinsynu. Jasne? Masz do mnie zadzwonić – na komórkę, koniec z tymi durnymi faksami – i wyjaśnić, co jest grane. Do tego czasu zawieszam wszelkie działania, począwszy od zaraz. Odtąd siedzę nad basenem i wydaję twoją cholerną forszę. Słyszysz? Masz być ze mną szczery, bracie. To wszystko jest popaprane. Na razie.

Karta-klucz przesuwana się przez czytnik i Curtis wchodzi do pokoju. Coś szoruje o płytki podłogowe, coś przykleiło się do wilgotnej podeszwy buta: złożona na pół kartka z hotelowej papeterii. Curtis schyla się, żeby ją oderwać, i czuje lekką woń rumu oraz soku pomarańczowego.

Musimy pogadać

Jestem na górze w pokoju 3113

Wpadnij dziś po 23.30

VERONICA

Jest wpół do dwunastej. Curtis odwraca się w stronę drzwi i nieruchomieje, żeby pomyśleć. Czuje się nagle bardzo szczęśliwy. Znowu jest sobą. Coś się dzieje.

Cofa się, przechodzi przez ciemny pokój i otwiera sejf. Sprawdza bębenek rewolweru – pięć nabojów w mosiężnych łuskach, lśniący cylinder – i przypina kaburę do paska. Skórzana kurtka wisi na oparciu krzesła pod oknem; Curtis wkłada ją, przygląda jej poły, żeby ukryć rewolwer, i odwraca się, żeby ocenić swoją sylwetkę w lustrze na ścianie pokoju.

Druga para oczu wpatruje się w niego. Czarnych oczu w woskowo bladej twarzy.

Odruch każe mu sięgnąć po broń i wycelować w lustrzane odbicie. Curtis klnie, obraca się na pięcie i zerka przez ramię. Kiedy to robi, zjawia z lustra chwieje się i wykoślawia niczym obraz w namagnesowanym odbiorniku telewizyjnym, następnie znika z pola widzenia. Curtisa ogarnia znajome, przyprawiające o mdłości uczucie, jakby jego mózg tracił kontrolę nad ciałem; widzi samego siebie, jak kuca i z obłędem w oczach celuje z rewolweru do ciemnych kątów, choć

dobrze wie, że poza nim w pokoju nikogo nie ma. To tylko wzrok spletał mu figła. Albo umysł.

Prostuje się i chowa broń do kabury. Nadgarstki i żuchwa drżą mu lekko pod wpływem adrenaliny. Odchrząkuje, potrząsa głową i wykrzywia się do swojego samotnego odbicia. Zdarzało mu się to już wcześniej, choć od ostatniego razu minęło sporo czasu. Tuż po powrocie z wojny w Zatoce często widywał duchy: martwe twarze i martwe ciała albo fragmenty ciał – to, co pozostało z nieprzyjaciela, gdy spadły na niego bomby burzące i termobaryczne. W Kuwejcie zabici stanowili problem, coś, w co można było przypadkiem wdepnąć, ale dopiero po powrocie do domu zaczęli go prześladować: widywał zwęglone czaszki wyglądające z okien samochodów, skurczone ramiona na kwietnikach. Długo dręczyły go te przywidzenia, aż pewnego dnia przestały. Wygląda na to, że teraz zmarli powrócili, co zresztą wcale go nie dziwi. Ostatnimi czasy wszystko zdaje się do niego wracać.

Jednak trochę to dziwne, bo twarz w lustrze nie skojarzyła mu się z żadnym wojennym wspomnieniem. Była martwa, to pewne, i wyglądała znajomo, lecz Curtis nie pamięta, aby widział ją gdziekolwiek na polu bitwy. Przypominała raczej twarz Stanleya.

Nie wie, co ma z tym począć, i nie chce teraz o tym myśleć. Ponownie odchrząkuje, przeciera dłońmi twarz. Jest sobą zde gustowany. Na górze czeka Veronica.

Wychodząc, przystaje na moment w progu. Wyciąga rękę i zapala światło. Jeszcze raz się upewnia, że w środku nikogo nie ma. Pokój oczywiście jest pusty. Jego zachowanie nie ma najmniejszego sensu. Mimo to omiata spojrzeniem podłogę z ceramicznych płytek, mahoniową szafę, kratę ochronną z kutego żelaza przed kominkiem, stoły i sofy, a potem zatrzymuje wzrok na oknie, którego szyby odbijają to wszystko, czego nie widać z miejsca, gdzie stoi Curtis: ogromne łóżko, drzwi do łazienki, wreszcie jego własny pomniejszony cień na korytarzu. Elegancko urządzone apartament przywodzi mu na myśl kelnerkę, która przyjęła jego zamówienie w Oculus Lounge, a także pielęgniarki ze szpitala w Bethesda; wszystkie one są dobre w tym, co robią – na tyle dobre, aby pod maską profesjonalizmu umiejętnie skrywać to, że kompletnie im nie zależy. Podobnie rzecz się ma z tym pokojem: jest luksusowy, ale nieprzytulny. Nikt nie poczuje się w nim jak w domu.

Przez krótką – bardzo krótką – chwilę Curtis boi się, że przyjdzie mu tutaj umrzeć.

Pokój zdaje się gotowy na jego odejście, więc Curtis wychodzi. Gasi światło i za jego plecami zapada ciemność.

Na podstawie numeracji pokoi na swoim piętrze wnioskuje, gdzie znajduje się apartament Veroniki, i wybiera klatkę schodową po przeciwległej stronie budynku.

Nieśpiesznie pokonuje kolejne dwa piętra. Drzwi klatki otwierają się na korytarz identyczny jak ten, przy którym sam mieszka. Curtis stąpa nim bezszelestnie, mija windy, odliczając w myślach numery i nasłuchując uważnie. Poza szumem wentylacji niczego nie słychać. Dochodzi do wniosku, że wszyscy goście są na dole w kasynie, lecz w tym samym momencie kilka kroków przed nim otwierają się drzwi i z pokoju wychodzą dwie kobiety w sięgających podłogi futrach. Wymieniają ostatnie słowa z dobiegającym z wewnątrz męskim głosem, po czym drzwi zamykają się za nimi. Obie mają na rękach długie czerwone lateksowe rękawiczki; jedna trzyma w ręku czarną aktówkę. Mijając Curtisa, kobiety uśmiechają się promiennie. Cześć! – mówią.

Odnalazłszy numer 3113, Curtis przystaje na dłuższą chwilę. Czekając. Z końca korytarza dobiega stłumiony dzwonek windy; kobiety w futrach wchodzi do środka. Curtis robi krok w tył, nasłuchuje pod drzwiami pokoju z lewej strony, z prawej, naprzeciwko. Wyłącza się system wentylacyjny nad jego głową. Po kilku sekundach ciszy znowu zaczyna szumieć.

Wreszcie puka. Krążek światła w wypukłym wizjerze ciemnieje. Potem rozlega się szcęk zamka i drzwi uchylają się.

Veronica ma na twarzy bogato zdobioną, złożoną maskę kota. Na ten widok Curtis nie może się opanować: ze świstem wciąga powietrze. Dziewczyna śmieje się nerwowo i cofa w głąb pokoju. Maskę dziwnie wygląda w zestawieniu z jej bosymi stopami, wystrzępionymi nogawkami niebieskich dżinsów i workowatą bluzą z logo kasyna Cypress Bayou. Cześć, Curtis, mówi Veronica. Coś ty taki nerwowy?

Przestraszyłaś mnie.

Przepraszam. Wchodź. Tylko sprawdź, czy drzwi na pewno się zamknęły, okej?

Curtis odwraca się, żeby pociągnąć za klamkę i w tym samym momencie ogarnia go złe przecucie, lecz jest już za późno; słychać szelest materiału, trzask odbezpieczanej broni i lufa pistoletu dotyka jego głowy tuż za uchem. Szybko i sprawnie.

Ręce do góry, słyszy. Nogi szeroko. Palcami na zewnątrz. Rusz się! A teraz pochyl. Oprzyj dłonie o framugę. Wyżej! I ani, kurwa, drgnij.

Curtis czuje ucisk w pęcherzu i kilka gorących kropel na udzie. Walczy ze sobą, aby powstrzymać resztę. Tak samo było za każdym razem, ilekroć do niego

strzelano albo kiedy sądził, że zaraz oberwie. Później zawsze okropnie się wstydził: prześladowało go wspomnienie mokrych ud i pociemniałych od wilgoci spodni. Teraz ze zdziwieniem stwierdza, że uczucie to budzi w nim niemal ulgę. Uspokaja, przypomina mu, że wie, co ma robić.

Curtis? – mówi Veronica. Słyszysz mnie? Wszystko w porządku?

Curtis bierze głęboki wdech, głośno wypuszcza powietrze. Bywało lepiej, rzuca.

Nie zastrzelę cię. Rozumiesz? Muszę cię tylko obszukać. Nie ruszaj się.

Curtis boi się, że dziewczyna będzie go obmacywała z odbezpieczoną bronią w ręce, lecz ona zna się na rzeczy: lufa odsuwa się na bok i słychać szelest, gdy Veronica chowa pistolet za pasek spodni. Potem dotyka go pod pachami, odpina mu kaburę od paska, kładzie ją na podłodze za sobą i stopą przesuwając z płytek dalej na wykładzinę. Następnie metodycznie go przeszukuje: przód, tył, góra, dół, ugniatając i miętosząc każdą kieszeń, zanim do niej sięgnie. W kurtce znajduje szybkoładowacz, a w dzinsach portfel; rzuca je na podłogę obok rewolweru. Potem przesuwając dłońmi po kroczu, nogach i kostkach Curtisa. Robi to wszystko, nie zdejmując z twarzy złotej maski kota.

Wreszcie odsuwa się, zbiera z podłogi jego rzeczy i cofa się w głąb apartamentu, zostawiając Curtisa tam, gdzie stoi. Ten ma ogromną ochotę otworzyć drzwi, wyjść na korytarz i zwać, mimo to ją zagaduje. Hej, mówi, skończyłaś już?

Ściany nieco tłumią jej głos. Tak, odpowiada. Wybacz. Wchodź i rozgość się.

Curtis prostuje się, poprawia ubranie, odwraca się w jej stronę. Zamontowana dokładnie nad jego głową żarówka halogenowa świeci jasnym blaskiem; w drugim końcu pokoju pali się lampa stołowa. Poza tym w pomieszczeniu panuje półmrok.

Curtis robi krok naprzód. Apartament Veroniki wygląda jak lustrzane odbicie jego apartamentu: jest wyżej położony i może odrobinę większy – zamiast jednego łóżka typu king size stoją dwa w rozmiarze queen size – ale to on ma ładniejszy widok z okna. Skrzydło drzwiowe szafy jest uchylone; w środku nie ma ubrań. Curtis rozgląda się za jakimiś bagażami, ale żadnych nie dostrzega.

Veronica siedzi na kanapie w części wypoczynkowej, przed nią na niskim stoliku leży nienaładowana broń Curtisa. Jej pistolet – mały czarny SIG, z powodzeniem mieszczący się w damskiej torebce – spoczywa na poduszce tuż obok, w cieniu, zaledwie kilka centymetrów od jej palców.

Curtis zatrzymuje się w pół kroku. Kocia maska lśni w przyćmionym świetle: złota farba i kryształ górski, pawie pióra przy uszach. Veronica przegląda zawartość jego portfela: wyjmuje legitymację weterana, kartę ubezpieczenia zdrowotnego TRICARE, dokument tożsamości wydany przez stan Pensylwania i pozwolenie na noszenie ukrytej broni. Myślałam, że jesteś żonaty, mówi.

Bo jestem.

Veronica zamyka portfel i oddaje mu go. Spojrzenie oczu ukrytych wśród złotych filigranów wędruje od twarzy Curtisa do jego lewej dłoni. Nie nosi się obrączki, co? – zauważa dziewczyna. Ostatecznie wszystko, co się dzieje w Vegas, zostaje w Vegas, czy nie tak, kowboju?

Curtis nie porusza się i nie odpowiada.

No. Nie zgrywaj obrazonego. Czego się niby spodziewałeś?

Curtis robi krok naprzód i odbiera portfel. Kiedy następnym razem będziesz kogoś przeszukiwać, mówi, zapytaj go, czy ma przy sobie igłę albo jakieś inne ostre przedmioty.

Świetna rada, dzięki. Wiesz, zamierzałam pogadać z tobą o Stanleyu i Damonie, ale skoro wolisz mi zrobić szkolenie dla ochroniarzy, to czemu nie. Tylko wezmę coś do pisania i już robię notatki.

Curtis siada w fotelu i patrzy wprost na nią. Przesuwa palec przed oczami niby miniaturową wycieraczkę. Mogłabyś to zdjąć? – prosi.

Veronica sięga do tyłu i rozwiązuje czarną wstążkę pod kucykiem. Maską opada na kolana. Twarz wygląda koszmarnie. Curtisowi przychodzi na myśl ciężarówka pełna romskich uchodźców, którą zatrzymał kiedyś w pobliżu serbskiej granicy: od tygodni nie spali, bo stale ktoś do nich strzelał, kradli benzynę, gdzie tylko się dało, ukrywali się po stodołach i podróżowali nocą, nie wiedząc, dokąd właściwie jadą. Veronica nie jest może aż tak zmarnowana, ale niewiele jej brakuje.

Stanley kupił mi ją w ubiegłym tygodniu w Nowym Orleanie, mówi ona. To *gatto*. Maską karnawałową. Byliśmy tam w ostatnim tygodniu karnawału.

A ja słyszałem, że byliście wtedy w Atlantic City.

Veronica posyła mu chłodne spojrzenie. W Atlantic City spędziliśmy *vendredi* i *samedi*, mówi. Do Nowego Orleanu pojechaliśmy na Lundi Gras i Mardi Gras. Stanley się wkurzył, bo nie zdążyliśmy zobaczyć parady przygotowanej przez towarzystwo egipskiego boga Thota. Ale co można na to poradzić? Trzeba jakoś zarabiać na życie.

Veronica okręca wstążkę wokół maski, zasłaniając otwory na oczy. Potem przekłada ją do lewej ręki – prawą wciąż trzyma niebezpiecznie blisko broni – i kładzie na stoliku. Wzrok Curtisa przyzwyczaił się już do półmroku. Zauważa na blacie jeszcze dwa przedmioty: prawie pustą szeroką szklankę i cienki brązowy tomik. Książka wygląda znajomo. Curtis usiłuje sobie przypomnieć, gdzie ją wcześniej widział.

Mam propozycję, odzywa się Veronica. Może przestaniesz wreszcie ściemniać i powiesz mi, czego chce Damon.

Curtis podnosi wzrok znad stolika. O ile wiem, chodzi o to, o czym już wspominałem. Damon chce, żeby Stanley się z nim skontaktował...

Nie. Błagam, tylko nie wyjeżdżaj znowu z tym niespłaconym kredytem, który Stanley rzekomo zaciągnął w kasynie, bo to mnie obraża. Wróćmy lepiej do interesów. Co oferuje Damon?

Curtis kręci głową. Nie próbuję cię obrazić, mówi, ale nie mogę zawierać żadnych umów w imieniu Damona. Nie przysłał mnie tutaj, żebym cokolwiek negocjował. Miałem tylko przekazać Stanleyowi wiadomość.

Nie wierzę w to, odpowiada ona. Pochyla się do przodu i marszczy brwi. Wpatruje się w jego twarz, jakby miała zaraz zdjąć mu rzęsę z policzka. Ty nie żartujesz, stwierdza. Stanley zwiął, nie spłaciwszy długu. Dlatego tutaj jesteś. Damon naprawdę tylko tyle ci powiedział?

Nie. Powiedział mi jeszcze o szulerach, którzy zrobili przekręt w The Point.

Powiedział ci, że to Stanley zmontował ekipę?

Nie, mówi Curtis, tego mi nie powiedział. A rzeczywiście zmontował?

Veronica ignoruje pytanie, opada na oparcie kanapy. Jesteś całkowicie pewien że Damon tylko ciebie tutaj przysłał?

Nie, pewności nie mam. Wiem tylko o sobie.

Curtis spogląda na blat stolika, na niewyraźny prostokąt książki na wypolerowanym drewnie. Ktoś inny cię szuka, mówi. Ale to nikt od Damona.

Veronica nieruchomieje. Serio? – odzywa się po chwili. W takim razie mów, co wiesz.

Wpadłem na niego jakąś godzinę temu. Niewysoki gość. Z przerwą między przednimi zębami.

Biały?

Nie jestem pewien. Nie miałem czasu dobrze się przyjrzeć.

Nie wiesz, czy jest biały, ale zauważyłeś, że ma przerwę między przednimi zębami?

Zadzwoił na moją komórkę. Ma świszczącą wymowę.

Kurczę, mówi ona, unosząc w górę brew. Nieźle. Naprawdę jestem pod wrażeniem.

Byłem na dole w kasynie, gdy do mnie zadzwonił. Sam też tam był. Widział mnie, a ja jego nie. Przynajmniej na początku. Kiedy go namierzyłem, natychmiast się zwinął.

Kurewsko urocze. Jak u pieprzonego Foucaulta.

Powiesz mi, co to za jeden?

Foucault? Francuski filozof. Nie żyje. Wyglądał jak Telly Savalas.

Veronica bierze szklankę ze stolika i dopija jej zawartość. Tym razem używa prawej ręki. Curtis trochę się odpręża. Widzi, że dziewczyna usilnie się nad czymś zastanawia, i nie przeszkadza jej w tym. Jego spojrzenie raz za razem wraca do książki. Męczy go ona jak piosenka, której tytuł ma niemal na końcu języka.

To nikt ważny, odpowiada po dłuższej chwili Veronica. Nikt, kim bym się

musiała przejmować.

Jesteś pewna? Wiedział, gdzie cię szukać.

Ale mnie nie znalazł, prawda? Podobnie jak ty.

Słodko uśmiecha się do siebie ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Kołysze się przy tym w przód i w tył, jakby usiłowała nie zasnąć.

Racja, przyznaje Curtis. Ale jedno nie daje mi spokoju: większość znanych mi ludzi raczej nie otwiera drzwi z bronią w ręku, chyba że się czegoś boją.

Zachwycający wyimek ze skarbnicy mądrości ludowej, Curtis. Powinieneś to sobie wyhaftować na makatce.

Też zaczynam mieć wrażenie, że dzieje się coś, o czym nie mam pojęcia. Coś poważniejszego niż karciany szwindel i niespłacone długi. Wiesz, co mam na myśli?

Och, dokładnie wiem, co masz na myśli. Tyle że nie masz zielonego pojęcia, o czym, kurwa, gadasz. Byłabym zresztą bardziej skłonna kupić te twoje dywagacje w stylu panny Marple, gdybym wcześniej nie wyciągnęła ci zza paska rewolweru kalibru.357. Jeżeli czujesz się skołowany, zwróć się z tym do swojego kumpla Damona, bo nie zamierzam ci niczego tłumaczyć.

Rozgląda się teraz po pokoju, patrzy na wszystko, tylko nie na Curtisa, a on dostrzega w tym swoją szansę. Od jakiegoś czasu jest sama i wcale jej się to nie podoba. Dojrzała do tego, aby z kimś pogadać.

Czyli, zaczyna ostrożnie, chcesz mi powiedzieć, że Stanley nie pożyczał w The Point żadnych pieniędzy?

Niczego ci nie chcę powiedzieć. Rusz głową, Curtis. Po co Stanley miałby prosić Damona o pożyczkę? Curtis wzrusza ramionami. A po co ktoś prosi kogoś o pożyczkę? – mówi. Jadłem dziś lunch z Walterem Kagamim. Wiem od niego, że ostatnio Stanleya prześladował niefart. Sporo przepuścił przy stole.

Veronica śmieje się. Walter! – prycha. Chryste. Posłuchaj, Curtis, Walter Kagami to cudowny człowiek. Ale ma skłonność do wygadywania bzdur.

Stanleyowi nie brakuje kasy?

Veronica rzuca mu dziwne spojrzenie. Jakby nie mogła się zdecydować, czy Curtis jest wyjątkowo ostrożny, czy raczej wyjątkowo głupi. Curtis, odzywa się po chwili, właściwie jak dobrze znasz Stanleya Glassa?

Curtis zastanawia się nad tym pytaniem. Nie bardzo wie, jak odpowiedzieć. Traktuję go jak wujka, mówi wreszcie. On i mój ojciec przyjaźnią się od wieków. Moja mama zmarła, jak byłem jeszcze mały, a tata miał problemy. Wtedy Stanley mi pomógł. Odszukał mieszkających w Shaw krewnych mamy, którzy mnie przygarnęli i wychowali. On sam pomagał im finansowo i pod wieloma innymi względami. Sporo mu zawdzięczam.

Czyli jest dla ciebie jak rodzina. Nie jak przyjaciel.

Uważam go za przyjaciela.

Ale nie znasz go od strony zawodowej.

Nie, potwierdza Curtis. W zasadzie to nie.

Przez chwilę Veronica siedzi w milczeniu. Coś sobie układa w głowie. Ty przedstawiłeś go Damonowi Blackburnowi, prawda? – upewnia się.

Curtis przytakuje. Veronica przygląda mu się. Jej twarz jest pusta jak jeszcze jedna maska. Potem bierze do ręki broń.

Curtis przenosi ciężar ciała na palce u nóg, gotów przechylić fotel i sturlać się na podłogę, ale lufa pistoletu jest skierowana w sufit. Veronica zwalnia magazynek, wyjmuje go i odkłada na stolik obok lampy. Następnie opróżnia komorę i kładzie pistolet wraz z nabojami obok magazynka. Prawdopodobnie uważasz Stanleya za zawodowego szulera, mówi. Mylisz się. Hazard nie jest dla Stanleya zawodem. To jego sposób na istnienie w tym świecie. Rozumiesz?

Chyba nie. Veronica poprawia się na kanapie, podnosi stopy z podłogi i krzyżuje nogi. Paznokcie u nóg ma wściekle różowe, wyglądają na świeżo pomalowane. Wiesz, że Stanley nie liczy kart, prawda? – pyta.

Słucham?

Stanley nie liczy kart. Wiedziałeś o tym? Orientujesz się, o co chodzi z liczeniem kart?

Z grubsza rzecz biorąc.

Jakiś czas temu, mówi Veronica, Stanley i ja rozpracowywaliśmy Foxwoods. Wskazałam mu stolik, przy którym gra szła o wysokie stawki. Kiedy wróciłam po dwudziestu minutach, w bucie była już nowa talia, a przed Stanleyem piętrzyła się olbrzymia sterta żetonów. Całkowicie panował nad grą. Ani razu się nie pomylił, dokonując zakładu. W końcu kierownik stołów coś zwęszył, więc Stanley wymienił żetony i zmyliśmy się stamtąd. Zapytałam go, co zostało w talii, kiedy wstawał od stołu, ale nie wiedział. Tylko się ze mnie śmiał. Musisz zrozumieć, że on jest urodzonym graczem. Gość zakończył formalną edukację na piątej klasie! Nie ma żadnej wiedzy o teorii prawdopodobieństwa. Zresztą nawet w to nie wierzy.

W co nie wierzy?

W rachunek prawdopodobieństwa.

Veronica pochyła się do przodu, bierze ze stołu szklankę. Widząc, że jest pusta, zastyga w pół gestu i wpatruje się w nią, jakby nie potrafiła dociec, jak to możliwe. Napijiesz się? – pyta.

Nie, dziękuję.

A mnie mógłbyś nalać? Zrobiłabym to sama, ale nadal się boję, że mnie zastrzelisz.

Curtis bierze od niej szklankę. Przy barku stoi butelka burbona, z szyjki zerwana jest czerwona folia. Nalewa alkoholu na grubość kilku palców, potem wyjmuje drugą szklankę i nalewa sobie. Według Stanleya, ciągnie Veronica, chyba

najnudniejszą rzeczą, jaką można robić przy stole do blackjacka, jest wygrywanie pieniędzy. Uprawianie hazardu, któremu przyświeca jakikolwiek inny cel niż robienie trafnych zakładów przypomina...

Curtis podaje jej drinka.

... przypomina posługiwanie się książką telefoniczną wyłącznie jako zielnikiem. Albo słownikiem angielsko-łacińskim, żeby tłumaczyć z łaciny na angielski.

Moment. Możesz to powtórzyć?

Nieważne. Zły przykład. Chodzi bardziej o coś w stylu optyki Williama Blake'a. „Chroń nas łasko Nadprzyrodzona, przed pojedynczością wizji, snem Newtona”¹. Zgodzisz się?

Nie znam się na tym, mówi Curtis.

W porządku. A co wiesz o sfirot? Albo o gematrii?

Curtis odpowiada zdezorientowanym spojrzeniem.

A o kabale?

Tyle co od Madonny. Nigdy mnie to szczególnie nie interesowało.

Veronica krzywi się i pociąga łyk burbona.

To ma coś wspólnego z Żydami, tak? – próbuje Curtis. Z mistycyzmem.

W oryginalnej postaci jest to tradycja żydowska. Chociaż goje wykorzystują ją do własnych celów co najmniej od piętnastego wieku. Przede wszystkim jednak kabała ma wymiar mistyczny, choć znajduje też zastosowanie w praktykowaniu magii. Właśnie ten aspekt najbardziej interesował Stanleya.

Kiedy słyszę słowo „magia”, zauważa Curtis, coś mi mówi, że nie masz na myśli iluzjonistycznych sztuczek.

Nie. Mam na myśli posługiwanie się talizmanami, magicznymi formułami i zaklęciami przywołującymi byty anielskie oraz demoniczne, aby zaprząć je w służbę człowieka.

Curtis mruga powiekami. Chyba robisz sobie ze mnie jaja, mówi.

Ja nie. Czy Stanley robi sobie jaja? Oto pytanie za cholerne sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów.

Curtis nie wie, co ma na to odpowiedzieć. Odstawia szklankę na stolik. Potem sięga po książkę: format octavo, miękka okładka, szyty grzbiet. Zużyta okładka przypomina w dotyku miękką skórę albo stary banknot dolarowy i ledwo Curtis bierze tomik do ręki, wie, że to własność Stanleya. W ręku książka robi wrażenie grubszej i masywniejszej, niż można by się tego spodziewać. Curtis rozluźnia palce i czuje, jak pod jej ciężarem rozwiera mu się dłoń.

Walter się martwi, mówi. Jego zdaniem Stanleyowi odbiło. Ty zaś twierdzisz, że na starość zrobił się religijny?

Wielu ludzi na starość szuka oparcia w religii, Curtis. Ale oni chodzą do kościoła, a nie rozbijają bank w Caesars Palace. To trochę bardziej skomplikowane.

Veronica nie odrywa oczu od książki. Curtis nie potrafi stwierdzić, co dziewczyna myśli o tym, że wziął tomik do ręki, niewątpliwie jednak tym gestem zwrócił na siebie uwagę. Może Walter ma rację, odzywa się naraz Veronica. Może Stanleya należałoby zamknąć. Może powinien grać w kości w jakimś domu opieki. Niewykluczone, że tak byłoby dla niego najlepiej.

Od jak dawna interesuje się tymi sprawami? Magią? Kabałą?

Veronica uśmiecha się blado. Czasownik „interesuje się” nie jest w jego przypadku precyzyjny. To ja się tym interesuję. Dla mnie to jedyny sposób, żeby zrozumieć Stanleya. Tak się zresztą poznaliśmy. Grał u mnie regularnie, kiedy jeszcze pracowałam w The Rio jako krupierka. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej na temat kontynuacji kabalistycznej tradycji hermetycznej w wydaniu Pica della Mirandoli w myśli wczesnonowożytnej. Ja zaś chciałam się dowiedzieć, jak wykorzystać przemysł hazardowy dla spłacenia swoich kredytów studenckich. Można powiedzieć, że dobraliśmy się jak w korcu maku. Zaiskrzyło momentalnie. Z tym że Stanley nigdy nie zwracał sobie głowy detalami. Tworzenie systemów albo bycie niewolnikiem czyjegoś systemu – to nie jego bajka. Gematria jako taka gównie go obchodzi. Interesuje go tylko to, co może dzięki niej osiągnąć.

A co może osiągnąć?

Jeśli wierzyć tradycji, można dzięki niej rozpoznać ukryte związki między wszystkim, co zostało stworzone, i w konsekwencji odkryć różne imiona Boga. Ponieważ wszechświat powstał na skutek wypowiedzenia przez bóstwo swojego imienia, poznanie imion Boga teoretycznie daje człowiekowi bezpośredni dostęp do esencji boskości oraz moc wykraczania poza przestrzeń i czas. Przydatna rzecz, zwłaszcza gdy trzeba ugościć klientów spoza miasta i potrzebuje się kilkudziesięciu biletów na występ Cirque du Soleil.

Wierzysz w to wszystko?

Skąd, odpowiada Veronica. Ale ciekawi mnie, co się może stać, kiedy ktoś faktycznie w to wierzy. Kiedy byłam na studiach doktoranckich, sądziłam, że tacy ludzie dawno wyginęli, a już na pewno zniknęli z powierzchni ziemi po roku tysiąc sześćset czternastym, kiedy Isaac Casaubon ostatecznie ustalił datę wydania *Corpus Hermeticum*. Tymczasem okazuje się, że właśnie obrabiam z jednym z nich amerykańskie kasyna.

Popija drinka, nie odrywając wzroku od dłoni Curtisa. Ten podąża za jej spojrzeniem utkwionym w książce. W przyćmionym świetle bura okładka wydaje się gładka, lecz Curtis wyczuwa pod palcami tłoczenia i nachyla się ku lampie, żeby odczytać tytuł. ZŁODZIEJ LUSTER. Dawniej wgłębienia w papierze musiały być wypełnione srebrną farbą; trzymając książkę pod odpowiednim kątem, Curtis jest w stanie dostrzec kilka przypominających gwiazdy płatków, które wciąż przylegają do krawędzi liter. Przypomina sobie albo raczej wyobraża opuszki palców Stanleya pokryte ulotnym srebrzystym pyłem, połyskujące w półmroku

zadymionego klubu, jakiejś speluny w Chelsea albo w Bensonhurst, albo w Jackson Heights; roześmiany Stanley przekłada talię kart.

Wiesz, co to jest? – odzywa się Veronica.

Już ją gdzieś widziałem.

To ulubiona książka Stanleya. Ma ją od dziecka. Przez ostatnich kilka miesięcy praktycznie stale ją czytał.

Dziwne, że jej ze sobą nie zabrał.

Owszem. Dziwne.

Curtis otwiera książkę. Na stronie tytułowej widnieje odręczna dedykacja, wypisana spłowiałym niebieskim atramentem, dziwacznym, staroświeckim charakterem pisma.

Dla Stanleya –

żeby nigdy nie zapomniał:

„Natura naturę otacza, natura naturę przewycięża, natura w naturze się raduje i przechodzi w inne natury. Gdzie indziej zaś wszystko raduje się w swoim odbiciu, podobieństwo bowiem uważa się za załączek przyjaźni, o czym wzmiankowali liczni filozofowie”.

Z najlepszymi życzeniami dla współnika w szaleństwie! Niech fortuna pokieruje Cię ku Twemu własnemu opus magnum.

Ukłony,

Adrian Welles

6 marca 1958

Stanley znał tego gościa?

Nie wiem, jak dobrze. Wytropił Wellesa, kiedy jeszcze mieszkał w Kalifornii. Stanley nie opowiadał ci tej historii?

Curtis przewraca kartkę. Poemat zaczyna się od słów: „Odstąpcie, wy czarnopalcy architekci potępienia!”.

Odstąpcie, surowi handlarze zapomnienia,

w afektacji swej na konsekwencje niepomni, odstąpcie!

Zwróćcie się ku żalosnemu klasyfikowaniu, odrętwiałej ontologii,
dumnej koincydencji trybów waszej świeckiej maszyny!

Nikt nie łaknie waszej cierpkiej śliny. Nikt
nie pragnie osuszyć dłoni o karty waszych ponurych katalogów.

Zwróćcie swe oceniające spojrzenia gdzie indziej! Śmiały Crivano,
Złodziej Luster, przemyka niczym żywe srebro po starodawnym bruku,
taszczy swe mroczne brzemię przez trzewia obłoku,
otulony wilgotnym zawojem pachnącej lipą nocy.

Nie zastawiajcie nań swych sideł przyczynowości!

Oszczędźcie mu wściekłego zgrzytania liczydeł!

Pozwólcie mu przejść bezpiecznie, o nędzni królowie zegara słonecznego
(wy wszyscy, którzy polerujecie złoto, by zawstydzić srebro),

gdyż skarb, który dźwiga w swej motylej sakwie,

to nic innego jak najprzedniejsze zwierciadło,

nieznający płci Księżyc!

Dajcie mu przejść niezauważenie,

kwitując jego kroki

jedynie sennym bełkotem

cichym trenem w ciemności

w pustce po sennym marzeniu.

Co to jest, do diabła? – mówi Curtis.

Adrian Welles, odpowiada Veronica – ze znużeniem, automatycznie, jakby mówiła o czymś, co słyszała wcześniej dziesiątki razy albo co wielokrotnie musiała powtarzać – poeta tworzący w latach pięćdziesiątych i na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, luźno związany z bitnikami z Los Angeles.

Curtis przerzuca kolejne stronicie tomiku. Czasami wersy tworzą równe kolumny, czasami rozłazą się po pożółkłych kartkach. Jest już blisko końca książki, gdy jego spojrzenie pada na pewną linijkę – „jego flet wyczarowuje senne żniwo z poletek umarłych” – i niemal słyszy, jak Stanley wypowiada te słowa na głos. Mógłby przysiąc, że kiedyś mu je recytował, ale kiedy, dlaczego – tego nie potrafi sobie przypomnieć i po chwili wspomnienie mu się wymyka. Curtis kartkuje książkę wstecz, jakby chciał wytrząsnąć z niej ponownie znajomy głos, aż dociera do początku; wtedy zatrzaskuje okładkę i ścisną ją obiema dłońmi. Stary papier jest gładki i napięty niczym ludzka skóra. Curtis niemal spodziewa się wyczuć palcami tętno.

Veronica patrzy przez okno. Oczy ma błyszczące, okrągłe, jakby zbierało jej się na płacz albo była bliska paniki, jednak oddycha spokojnie. Podciągnęła nogi na kanapę i skrzyżowała je w pozycji pełnego lotosu. Bezmyślnie szarpie za duży palec lewej stopy, ujawniając go między kciuk i palec wskazujący. Cień palca pojawia się i znika na leżącej obok niej poduszce. Czerwony paznokciec połyskuje niby koralowy paciorek.

Jeżeli chcesz rozgryźć Stanleya, mówi, czego ci bynajmniej nie zalecam, to równie dobrze możesz zacząć od przeczytania tej książki.

Ten koleś – Welles – był bitnikiem?

Raczej protobitnikiem. Starszy poeta, jeden z tych przegranych, którzy na początku pomagali reszcie rozkręcić całą zabawę. Działał w tym kręgu, ale do niego nie należał.

Curtis kręci głową, popija drinka. Burbon powoli go otumania. Curtis ma wrażenie, jakby on sam, ta książka i oczy Veroniki były jedynymi nieruchomymi punktami w tym pokoju. Wszystko inne faluje niczym liście na powierzchni stawu.

Stanley dostał ten tomik od Wellesa?

Veronica zamyka oczy. W pierwszej chwili Curtis przypuszcza, że zasnęła, ale gdy znów je otwiera, spojrzenie jest utkwione w jego twarzy.

Nie wierzę, że Stanley nigdy nie opowiedział ci tej historii, mówi.

SEPARATIO

Luty 1958

„Wszystko zdawało się być w porządku, a zarazem nic w porządku nie było, gdyż pomiędzy lustrem a mną istniał taki sam dystans, taki sam brak ciągłości, którego istnienie zawsze wyczuwałem między czynami popełnionymi przeze mnie dzień wcześniej a moją dzisiejszą ich świadomością”.

ALEXANDER TROCCHI, *Young Adam*

Chmury gromadzą się nisko nad Pacyfikiem, zapewniając miękkie lądowanie zimowemu słońcu, opadającemu za horyzont. O brzeg wałą fale przyboju. Przez krótką chwilę kolumnadę spowija cień, różowawa poświata pada tylko na skrzydlate lwy zdobiące fryz Hotelu Świętego Marka.

Po drugiej stronie Market Street znajduje się nieczynny salon gier hazardowych – spłowiałe litery na południowej ścianie budynku głoszą: FORTUNE BRIDGO – gdzie chłopak rozłożył się ze swoimi kartami. Król kier, siódemka kier, siódemka karo, każda z zagnieceniem biegnącym pionowo przez środek. Trzy niskie daszki przesuwają się gładko po spłaszczonym kartonie opakowania płatków śniadaniowych Wheaties.

Wyobraź sobie, jak kłęczy tam pod półkolistymi łukami: nieduży i muskularny, z krótko przyciętymi kędzierzawymi włosami, góra szesnastoletni, a mimo to już łysiejący. Ubrany jest w niebieskie dzinsy i świeżo skradzione skórzane półbuty na słoninie; rękawy różowej koszuli w kratę podwinął za łokcie. Znoszona robocza kurtka leży w zasięgu ręki, ale chociaż wieczorne powietrze jest chłodne i jego przedramiona pokrywa gęsią skórą, chłopak jej nie wkłada. Zapiaszczony chodnik usłany jest odłamkami stłuczonych szyb i fragmentami stiuków ze zrujnowanej fasady. Chłopak kłęczy na rozłożonym brukowcu, zeszlotygodniowym wydaniu „Mirror-News”. FAISAL I HUSSEIN PROKLAMUJĄ POWSTANIE FEDERACJI ARABSKIEJ, obwieszcza nagłówek. DODGERSI BLISCY ZAWARCIA UMOWY Z COLISEUM. Gazeta jest cała pomarszczona od wody morskiej i pożółkła od słońca.

Od jakiegoś czasu chłopak używa imienia Stanley. Kiedy w kwietniu wskoczył na Staten Island do pociągu jadącego na południe, zaczął się posługiwać przybranym nazwiskiem „Adrian Crivano”. Zajechał na nim aż do Little Rock, gdzie gliny zapuszkowały go dwukrotnie w ciągu pięciu godzin i musiał wymyślić coś nowego. STANLEYA ściągnął z boku zaparkowanej przed warsztatem samochodowym furgonetki producenta narzędzi. Był Adrianem Stanleyem w Oklahomie oraz Missouri, Stanleyem Wellesem w Kolorado i Nowym Meksyku, a gdy wreszcie w połowie grudnia przekroczył granicę stanu Kalifornia, przez moment rozważał, czy nie występować jako Adrian Welles – jak niektóre gatunki pajaków, które wabią swoją zdobycz, upodabniając się do niej – lecz ostatecznie doszedł do wniosku, że wynikłyby z tego same problemy.

Większość jego przybranych nazwisk pochodzi z książki ukrytej w wewnętrznej kieszeni kurtki, tomiku poezji, który czytał już tyle razy, że zna na pamięć każde słowo. Książka jest dziwna; nie można powiedzieć, żeby wszystko zrozumiał. Ale niewątpliwie nauczyła go jednej cennej rzeczy: nazwanie czegoś po

imieniu daje człowiekowi nad tym czymś całkowitą władzę. Dlatego trzeba być bardzo ostrożnym. Chłopak nie używa swojego prawdziwego imienia, nigdy tego nie robił.

W miarę, jak pustoszeje plaża, wypełnia się nadmorski deptak. Cienie przechodniów wydłużają się, tworzą efekt stroboskopowy, dzięki czemu przesuwane przez chłopaka karty zdają się momentami zawisać w powietrzu.

To wszystko twoje myśli, nie jego. Umysł chłopaka rejestruje wyłącznie regularnie wykonywane ruchy, nieprzerwany szelest kart. Pamięć to nie tylko nawyk, ale i umiejętność. Chłopak jest jeszcze młody. A ty, co pamiętasz?

Słońce zaszło. Potężny wał chmur przesłania teraz góry, gasi światła Malibu po drugiej stronie zatoki. Wesołe miasteczko na molo w Ocean Park jest o tej porze roku ciche i puste, zamknięte na czas remontu, ale Aragon Ballroom, gdzie odbywa się występ Lawrence'a Welka, pęka w szwach: ciągną tam tędy rotarianie z Reseda i Van Nuys ze swoimi żonami, zajeżdżają chryslerami i buickami, śpiesząc przez nędzne ulice w nadziei, że zobaczą potem swoje twarze w telewizji. Jakies półtora kilometra na południe deptak roi się od całkiem innej klienteli – robotników z pola naftowego, spawaczy z zakładów Douglasa, załóg pogłębiarek z nowej przystani, lotników na przepustce z bazy sił powietrznych Edwards – szukającej innego rodzaju rozrywek.

W kieszeni na piersi Stanley ma zwitek banknotów – jednodolarówki oraz dwa piątaki – i przyjmuje drobne zakłady od przystających przechodniów. Obraca ich pieniędzmi uważnie, starannie ocenia ryzyko, żeby zbyt wiele nie stracić. Szybko namierza cel: pleczystego amatora podrasowanych samochodów z włosami zaczesanymi w kaczy kuper. Koleś jest trochę za stary na taką fryzurę. Holuje go wyglądająca na łatwą nastolatka w apaszce i rybaczkach. Facet ma dość w czubie, żeby kozakować i przepuścić nieco kasy, a zarazem jest na tyle trzeźwy, żeby zachować czujność. Stanley odchyła się do tyłu, strzela knykциями prawej dłoni.

Jakies piętnaście metrów od niego pod latarnią pali papierosa młody mężczyzna; nagle rusza w stronę podcieni. Chociaż nie pił, stawia starannie odmierzone, niepewne kroki i na skraju promenady zaczepia kaczy kuper z jego podfruwajką. Przez chwilę coś do nich mówi, gestami wskazuje Stanleya, po czym pokonuje do końca dzielącą ich odległość i chwiejnie się zatrzymuje, ciskając w mrok rozżarzony niedopałek.

Chcesz jeszcze raz spróbować, kolego? – zagaduje Stanley, nie podnosząc głowy znad trzech kart.

Czuję, że teraz będę miał fart, odpowiada młody człowiek. Odegram się.

Wyciąga z kieszeni banknot dolarowy z deklaracją BOGU UFAMY i rzuca go na ziemię; jednodolarówka sfruwa na leżący przed Stanleyem karton po płatkach.

Młodzieniec – na imię mu Claudio – jest szczupły i kanciasty, ma wielkie ciemne oczy, a na głowie klasyczny pompadour; nosi wąski krawat, świeżą koszulę i szaro-brązową sportową marynarkę, która skrywa głębokie zagniecenia materiału. Palcami prawej dłoni nerwowo postukuje o kciuk, po kolei, z góry na dół i z powrotem.

Stanley wygładza dolara na chodniku, obok układa jeden ze swoich banknotów i wprawia w ruch karty. Jego dłonie leniwie unoszą się i opadają. Karty

nieruchomieją. Claudio wybiera jedną z czerwonych siódemek i banknot jednodolarowy niknie w kieszeni Stanleya.

Zagram jeszcze raz.

Dziewczyna kaczego kupra podchodzi akurat w momencie, gdy Claudio traci drugiego dolara; jej facet dobija do nich z pewnym opóźnieniem. Oboje patrzą, jak Claudio wygrywa następny zakład, po czym znów dwukrotnie przegrywa. Kaczy kuper zaczyna okazywać zainteresowanie grą.

Lewa, rzuca Claudio.

Nie, środkowa, podpowiada mu kaczy kuper. Środkowa to walet.

Stanley odwraca leżącą z lewej strony siódemkę i zgarnia dolara.

Dość tego, mówi Claudio. Basta. Na kartonie po płatkach kładzie pięciodolarówkę, na co kaczy kuper unosi ze zdumieniem brwi. Stanley dokłada od siebie piątaka, odkrywa karty – król w lewej ręce, obie siódemki w prawej – i zaczyna grę.

Kaczy kuper pokazuje palcem, szepcze coś do dziewczyny.

Claudio wpatruje się uważnie w trzy zgięte prostokąty, mruga, kręci głową.

Ta z prawej, podpowiada kaczy kuper.

Stanley posyła mu gniewne spojrzenie.

Claudio zagryza wargę, rozgląda się. Z prawej, powtarza cicho.

Stanley odwraca króla, podaje Claudiovi oba banknoty, patrzy na kaczy kuper. Słuchaj, koleś, mówi. Wyskakuj z kasy albo trzymaj tę cholerną gębę na kłódkę.

Kaczy kuper sięga po portfel.

Z łatwością odnajduje króla i Stanley pozwala mu wygrać parę dolarów. Mogę na niego postawić? – pyta Claudio. Na jego wygraną?

Stanley odchyła się, odwraca wzrok, udaje, że się namyśla. Kawalek w dół deptaka, obok wózka lodziarza, stoi dwóch wyrostków z napomadowanymi włosami; przyglądają im się. Lekko przygarbieni palą papierosy, mają twarde twarze i głodne spojrzenia.

W porządku, odpowiada. Ale nie wolno ci się odzywać. Niech sam decyduje.

Claudio kładzie na kartonie kolejnego piątaka. Kaczy kuper chwilę się waha, po czym dokłada pięć dolarów.

Stanley pokazuje mu karty: król i siódemka kier są w prawej ręce, król leży na wierzchu. Podczas tasowania zamienia je miejscami tak szybko, że nawet baczny obserwator by się nie zorientował. Karty śmigają mu w rękach jak mewy w powietrzu. Stanley rozkłada je na kartonie i podnosi wzrok.

Ta z prawej, oznajmia kaczy kuper.

Stanley odwraca kartę. To siódemka.

Cholera! – denerwuje się kaczy kuper.

Co?! – dziwi się Claudio. Jak to możliwe?

Kaczy kuper spogląda na Claudia, na Stanleya i znowu na Claudia.

Moja forsa! – jęczy Claudio.

Przy kolejnej próbie Stanley znów zabiera im po piątku. Claudio przeklina grę, przeklina kaczy kuper i zataczając się, odchodzi. Kaczy kuper gapi się na niego skołowany, jego usta poruszają się, lecz nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Stanley korzysta z okazji, żeby się rozejrzeć. Dwóch wypomadowanych wyrostków zniknęło z promenady. Zbiera karty i przykuca na piętach, jakby chciał wstać i odejść. Hej! – woła kaczy kuper. Zaczekaj no, koleś!

Muszę spadać, mówi Stanley. W tej okolicy kręcą się policyjne szpicle.

Jeszcze jedna runda. Podwojenie albo nic.

Stanley znowu klęka, rozkłada karty i zabiera tamtemu dziesiątaka.

Kaczy kuper rzuca mu wściekle spojrzenie. Najrozsądniej byłoby się teraz zmyć, ale Stanley nie jest gotowy, żeby odejść. Posmakował krwi: ten dureń to cel idealny.

Niefart, przyjacielu, mówi. Ostatnia runda? Podwojenie albo nic?

Kaczy kuper kilkakrotnie wciąga głęboko powietrze, postukuje stopą, pociera pięścią o otwartą dłoń. Wygląda doprawdy komicznie, ale Stanley zachowuje kamienny wyraz twarzy. Na odwrocie dłoni tamtego widnieje nieudolny tatuaż przypominający kruka. Ilekroć mężczyzna wypuszcza powietrze z płuc, czuć od niego alkohol.

No chodź już, Mike, odzywa się dziewczyna. Idziemy.

Przegrałeś dwadzieścia dolców, stary, mówi Stanley. Jesteś pewien, że chcesz teraz odejść od gry? Posłuchaj, tym razem dam ci fory.

Pokazuje tamtemu karty – króla schowanego za siódemką karo – i zaczyna je przesuwac. Zamienia je miejscami tak wolno, że dziecko by się zorientowało. Przyglądasz się uważnie, Mike? – pyta. Ostatnia szansa. To naprawdę dobra inwestycja, kolego.

Kaczy kuper odrywa wzrok od kart, mruży oczy i znów spogląda w dół na karton. Ze zwitka banknotów wyciąga dwie dziesiątki. Środkowa, mówi. Ta pośrodku.

Na pewno?

Tak.

Stanley bierze od niego dwa banknoty, rozprostowuje je i górną krawędzią powstałego w ten sposób prostokąta odwraca środkową kartę. Jest nią siódemka karo.

Co jest, kurwa, rzuca kaczy kuper. Rozdyma nozdrza, zaciska dłonie w pięści.

A to pech, mówi Stanley, patrząc w bok. Deptakiem nadchodzi cholerny gliniarz w cywilnym ubraniu.

Karty i pieniądze znikają w kieszonce na piersi; Stanley zarzuca kurtkę na

ramię. Dziewczyna jest przestraszona, rozgląda się z wytrzeszczonymi oczami, ale kaczy kuper nie przestaje pyskować Stanleyowi. Lepiej się stąd zmywajcie, rzuca Stanley. Idźcie w drugą stronę.

Odwraca się na pięcie i odchodzi. Claudio jest tuż za nim, nadbiega z naprzeciwka, mija Stanleya i wpada wprost pod nogi kaczego kupra, przewracając go na ziemię. Wygrałeś? – pyta go. Odzyskałeś moją kasę?

Stanley słyszy krzyki i odgłosy szamotaniny, gdy kaczy kuper popycha Claudia na innego przechodnia. Ale się nie odwraca. Prędko skręca dwa razy w prawo i wypada na Speedway, gdzie przecina drogę jadącemu wolno desoto, aby przebiec na drugą stronę wąskiej ulicy.

Znajduje się teraz dokładnie za nieczynnym salonem FORTUNE BRIDGO, poza zasięgiem wzroku tych na deptaku. Kilka przecznic przed nim nad ulicą wznosi się bielona, zadaszona kładka dla pieszych, łącząca dwa nie pierwszej młodości hotele na poziomie pierwszego piętra. W głębi za nią, widoczny jak przez dziurkę od klucza, błyska neon na Windward Avenue. Piesi tłoczą się w ciasnym przejściu – ciemne, podświetlone od tyłu sylwetki mijają się i zachodzą na siebie – ale nikt nie zwraca uwagi na Stanleya. Zwalnia więc kroku, czeka, aż desoto i rząd ciągnących za nim aut przejadą, po czym skręca w lewo w pierwszą boczną uliczkę.

Horizon Court jest poprzecinany skrzyżowaniami w kształcie litery T – Speedway tu, Pacific Avenue tam – i jak wszystkie pobliskie ulice oświetlony centralnie od góry przez zwisające z grubych przewodów elektrycznych lampy jarzeniowe. W pół drogi między przecznicami rozciąga się strefa mroku, gdzie kilka dni wcześniej Stanley rozbił latarnię za pomocą procy i kawałka różowego kwarcu w kształcie kurzego jaja; teraz śpieszy w to miejsce – „niczym żywe srebro po starodawnym bruku”, myśli – i upewniwszy się, że w okolicy jest czysto, wślizguje się w ciemniejący otwór drzwiowy nieczynnego sklepu.

Gdy jest już w środku, blokuje drzwi, wciskając sosnową deskę pomiędzy kłamkę z kutego żelaza a szorstką betonową posadzkę. Potem zapala japońską zapalniczkę kieszonkową swojego ojca, przykłada płomień do knota świecy umieszczonej w pustej puszcze po parówkach i w ciemne kąty wkrada się słabe żółte światło.

Do tej pory Stanleyowi nie udało się ustalić, co tu się dawniej mieściło. Zakurzona lada ze szklanym blatem oraz pozostałe na ścianach mocowania dziś już nieobecnych gablot przywodzą mu na myśl należący do jego stryjecznego dziadka salon jubilerski w Williamsburg – widział go raz jako dziecko i ponownie przed rokiem, kiedy pomagał go okraść – lecz Stanley wcale nie jest przekonany, że faktycznie sprzedawano tu biżuterię. Na zapleczu znajdują się dwa stoły warsztatowe z wywierconymi na wierzchu otworami grubości palca do mocowania ciężkich narzędzi, a z ciemnych kątów wyzierają różne dziwne przedmioty:

małeńkie śrubki, kawałki półkolistego drutu, kupki błyszczącego białego proszku, który według Claudia jest mielonym szkłem, choć Stanley nie ma pojęcia, skąd kumpel miałby się na tym znać.

Na półtorakilometrowym odcinku nabrzeża między Rose Avenue a Washington Boulevard pełno jest opuszczonych budynków – zdelegalizowanych salonów bingo, zadłużonych fabryk, pustych magazynów nieczynnych przedsiębiorstw – lecz Stanley wybrał na kryjówkę akurat ten konkretny sklep, ponieważ jest mały, centralnie położony i nie rzuca się w oczy, a okno na zapleczu wychodzi na parking. Po dwóch dniach obserwacji i dwóch bezsennych nocach, które spędził, bawiąc się w kotka i myszkę z nadzorującymi rejon gliniarzami i dygocząc z zimna na plaży, rozbił latarnię i łomem wyważył drzwi do sklepu, po czym wraz z Claudiem zakasali rękawy i wzięli się za przystosowywanie pomieszczeń do swoich celów: osłonięci kurtkami powybijali szyby w oknach, przesunęli jeden ze stołów warsztatowych pod tylną ścianę, przygotowując sobie drogę ucieczki i wybili dziurę w panelu gipsowym, żeby ukryć w niej swój skąpy dobytek.

A teraz Stanley bierze do ręki świecę i przykłęka przy tej dziurze. W środku, upchnięty tak, żeby go nie było widać, znajduje się plecak wojskowy jego ojca. Zanim Stanley wyciągnie go i rozepnie, odkręca manierkę i wypija trochę wody. Plecak jest starannie spakowany i zawsze gotowy do drogi, na wypadek gdyby trzeba było szybko się ulotnić. Jest w nim wszystko, co Stanley posiada: koc, żywność w puszkach, zmiana odzieży. Teraz wypakowuje część rzeczy, żeby ukryć w głębi gotówkę. Przelicza pieniądze, choć wie dokładnie, ile ich jest: pięćdziesiąt dziewięć dolarów. W ciągu dwóch godzin potroili z Claudiem wykorzystywaną w przekręcie kwotę początkową i nikt ich nie przyskrzyił. Na razie.

Tyle że Claudio powinien już tu być. Stanley nie ma zegarka i nie liczył czasu, ale pozbycie się kaczego kupra i dotarcie do bazy nie powinno zająć kumplowi więcej niż kilka minut. Możliwe, że Stanley nie usłyszał potrójnego pukania – ich umownego sygnału, żeby odblokować drzwi. Możliwe, ale mało prawdopodobne.

Stanley wygładza banknoty i wraz z trzema kartami do gry wciska je pomiędzy dwie puszki sardynek – w kieszeni na wszelki wypadek zachowuje piątaka i parę jednodolarówek – po czym ponownie pakuje plecak. Przed zapięciem wyciąga jeszcze z kieszeni *Złodzieja luster* i układa na wierzchu. Nieruchomieje na chwilę, wyczuwając pod przetartym płótnem plecaka znajomy kształt książki, uspokojony jej niemą obietnicą, że wkrótce wszystko diametralnie się zmieni. Następnie wciska plecak za gipsowy panel i zdecydowanym dmuchnięciem gasi płomień świecy.

Stanley woli nie mieć za plecami przejeżdżających samochodów – kaczy kuper mógł tymczasem wsiąść do swojego podrasowanego wozu – biegiem pokonuje zatem trzy przecznice dzielące go od Windward Avenue, przecina ulicę i skręca w prawo w kierunku oceanu. Jego spojrzenia wtórują rytmowi kroków, przeskakują od twarzy widocznych za szybami nadjeżdżających aut do twarzy spacerowiczów kursujących między ulicą a deptakiem i z powrotem. Światła ulicznych latarni otaczają mgliste aureole; niemal wszyscy praworządni obywatele wrócili już do swoich domów, z ciemności zaś wypełzają dobrze mu znane typy spragnione nocnych rozrywek: hałaśliwi marynarze i żołnierze, uliczne piękności polujące na klienta, odpicowani czarnoskórzy kanciarze, narkomani o zapadniętych policzkach szukający działki. Stanley studiuje bacznie ich twarze w świetle neonu JEZUS CIĘ OCALI migającego na budynku ośrodka pomocy społecznej: skryte pod kapturami oczy płoną w czerwonej poświacie, nosy niczym wskazówki zegara słonecznego rzucają długie cienie.

Stanley przechodzi przez deptak na plażę, z dala od ciągnących środkiem pieszych, i rozgląda się w obie strony. Nigdzie nie widać kaczego kupra ani jego dziewczyny, bez trudu za to spostrzega Claudia: przyjaciel siedzi zgarbiony na drewnianej ławce jakieś dwieście metrów od niego, jedną przecznicę na północ od kolumnady przy salonie Fortune Bridgo. Nad nim zebrało się trzech chuliganów z zaczesanymi do góry napomadowanymi włosami. W pierwszej chwili Stanley sądzi, że go obezwładnili, później jednak zauważa, jak stoją: zrelaksowani, znudzeni, jakby na kogoś czekali. Claudio kryje twarz w dłoniach, nadal udaje wstawionego. Stanley uśmiecha się pod nosem. Kumplowi daleko do Brando, ale niech Stanleya szlag trafi, jeśli tamten nie potrafi choć trochę grać.

Dwóch z tych wyrostków widział wcześniej, gdy kantował kaczego kupra. Trzeci raczej nie plątałby się sam. To znaczy, że gdzieś musi być jeszcze czwarty – prawdopodobnie poleciał po posiłki. Przywlecze ich tutaj i całą bandą zmuszą Claudia, aby ten doprowadził ich do Stanleya, bo chcą mu odebrać dzisiejszy łup. Prosta akcja. Stanley od początku stanowił ich cel.

Zapina kurtkę, żeby ukryć pod nią jasną koszulę, i rusza w ich stronę. Wie z doświadczenia, że ludzie rzadko zwracają na coś uwagę – a jeśli nawet, i tak pozostają na to ślepi – więc niezbyt się martwi tym, że zostanie dostrzeżony. Mniej więcej w połowie drogi zbacza w lewo na plażę, następnie znów skręca w prawo i znalazłszy się poza kręgiem światła ulicznych latarni, idzie równoległe do deptaka. Brzeg zasnuwa lekka mgła: na wierzchu piasek jest szorstki i zlepiony, głębiej – w miejscach, gdzie zapadają się jego nowe buty – suchy i sypki. Stanley przystaje na moment, schyla się i zanurza dłoń w piasku. Nabiera garść drobnych

ziarenek, potem jeszcze jedną, i przesypuje je do prawej przedniej kieszeni swoich džinsów. Do lewej wkłada złożony banknot jednodolarowy.

Mgła gęstnieje i trudniej teraz dostrzec podświetlone neonami sylwetki ludzi przechadzających się nadmorską promenadą. Mimo to Stanley wciąż jest w stanie wypatrzyć w odległości niecałych trzystu metrów nadciągającą wypomadowaną kawalerię. Wygląda na to, że bandziorów jest sześciu albo siedmiu; przeciskają się przez tłum na rogu Brooks Avenue. Reakcje tych, których przy tej okazji potrącają, pozwalają śledzić ich przemarsz. Stopniowo ścisk się zwiększa i tamci zwalniają. Stanley kalkuluje, że dotrą tu góra za cztery minuty.

Hej, chłopaki, mówi, podchodząc swobodnym krokiem do ławki, na której siedzi Claudio. Pozwólcie, że wybawię was z kłopotu i zajmę się moim kumplem.

Zaskoczenie. Trzech baranów gapi się na niego. Dwóch stojących z prawej strony odwraca się do trzeciego, najwyraźniej przywódcy – nieco starszego i bardziej od nich krępego, śniadego, z cienką różowawą blizną, która przecina brew i biegnie aż ku linii włosów. Jego dłonie także znaczą głębokie nacięcia, co według Stanleya oznacza jedno z dwojga: albo koleś często walczy na noże, albo jest w tym dość kiepski. Jego przydupasy wyglądają na żółtodziobów: jeden ma oczy zaczerwienione od wączania kleju i zasmarkany nos; drugi to przyszczaty albinos.

Stanley odpycha ich na bok i potrząsa Claudia za ramię. Kurde, stary, ale się narąbałeś, mówi. Może któryś z was pomógłby mi postawić go na nogi?

Nie tak szybko, dupku, powstrzymuje go przywódca bandy.

Stanley ignoruje go i podciąga Claudia do pozycji stojącej.

Chsedodomu, bełkocze Claudio. Mdłymie.

Słuchaj no, mówi przywódca i kładzie ciężką łapę na ramieniu Stanleya. Widzieliśmy dzisiaj wasz mały przekręt. Powiedz kumplowi, żeby się nie wysiłał i nie zgrywał pijanego. Mamy do pogadania.

Stanley nie strąca spoczywającej mu na ramieniu ręki, ale też nie nieruchomieje. Z tego, jak tamci się zachowują, można wnioskować, że z tuzin razy oglądali *Szkolną dżunglę*, mimo to stara się stłumić kpiący uśmiezek. Tak? – mówi. No to gadaj.

Wiesz, kim jesteśmy, ciulu?

Obraca się na pięcie i staje twarzą do niego. A powinienem? – pyta.

Ano powinieneś, kurwa. Jesteśmy Psy z Wybrzeża.

Stanley powoli mierzy go wzrokiem od stóp do głów. Psy z Wybrzeża, powtarza.

Zgadza się. To nasz teren. Nikt tu nie działa bez naszej zgody. Ile dziś zgarnęliście?

Stanley odwraca wzrok, wzrusza ramionami. Dwadzieścia, mówi.

Gówno prawda.

To ile chcecie?

Wszystko, cioto. Nie poprosiłeś nas o zgodę. Jeśli chcesz działać na deptaku, to od tej pory będziesz nam płacił połowę zysków. A teraz wywróć te cholerne kieszenie.

Dokybla, bełkocze Claudio, opierając się całym ciężarem na Stanleyu. Muszedokybla.

Stanley patrzy przywódcy prosto w oczy. Potem spogląda przez jego ramię na resztę gangu – są coraz bliżej, zostały dwie przecznice. A jeśli ci powiem, żebyś się pocałował w dupę? – rzuca.

Wtedy będziemy musieli wam przywalić. Teraz i za każdym razem, jak was tu zobaczymy. Ciebie i tego twojego pedała.

Właśnie, dodaje albinos, przysuwając się bliżej. Stanley czuje na karku jego oddech. Nie chcemy tutaj pedałów.

W głosie chłopaka słychać podniecenie, jakby to był jego ulubiony temat, ale nie szkodzi: Stanley już wie, jak ma to rozegrać. Dobra, kolego, mówi. Tylko pozwól mi zatrzymać parę dolców. Mój kumpel i ja nic dziś nie jedliśmy.

Sięga do kieszeni, wyklada na dłoń dolara i wywraca kieszeń. Potem popycha lekko Claudia, aż ten z jękiem uwiesza się na amatorze wączania kleju. Stanley nabiera garść piasku z drugiej kieszeni, błyskawicznie zamienia dłoń i lewą podaje hersztowi banknot jednodolarowy. Kilka ziarenek przesypuje mu się przez palce, ale nikt nic nie zauważa.

Resztę mam w skarpetce, mówi i opiera stopę na ławce.

Chłopak sięga po banknot i nieufnie zamiera. Nie ruszaj się, palancie, mówi.

Albinos właśnie dostrzegł w odległości jednej przecznicy swoich kumpli; podnosi rękę do góry i otwiera usta. Stanley ciska przywódcy piaskiem w oczy, odbija się od ławki i łokciem wali albinosa w twarz. Trafił, z nosa bucha krew. Stanley czuje w łokciu bolesne mrowienie. Szef sięga do kieszeni kurtki motocyklowej po nóż i zaczyna nim na oślep wymachiwać: jego dłoń mierzwi Stanleyowi włosy. Stanley robi szybki przysiad – tak jak go uczył tata – i kopie tamtego w jaja. Z oddali słyszy krzyki i szurgot zapiaszczonych butów na drewnianych deskach.

Claudio nagle ożył: pięścią wali amatora kleju w brzuch, a gdy ten zgina się wpół, łapie go za łeb i z całej siły spycha w dół wyprostowaną ręką. Obaj suną przez deptak niczym orbitujące wokół siebie gwiazdy w układzie binarnym. Stanley opuszcza bark i naciera nim na tyłek amatora kleju. Wiej, wrzeszczy do Claudia. Wiej, wiej, wiej, wiej!

Gdy Stanley mija go w pędzie, na twarzy Claudia odmalowuje się konsternacja – nie zauważył dotąd nadbiegającej hordy – lecz dzięki swojej zwinności i dłuższym nogom szybko zrównuje się ze Stanleyem. Ten trzyma się deptaka, wymija przechodniów, zygzakiem przebiega skrzyżowania, pozorując

skręt. Chuligani są daleko w tyle, lecz nie rezygnują. Claudio z łatwością by ich przegonił – jego prababka była czystej krwi Indianką, a jej plemię słynęło ze znakomitych biegaczy, tak przynajmniej twierdzi, chociaż ledwo wygląda na Meksykanina, a co dopiero na Indianina – lecz Stanley nie jest taki szybki. Gumowe podeszwy jego nowych półbutów dodają mu prędkości, czuje jednak tworzące się na piętach pęcherze. Twarze mijanych przechodniów przelatują obok niby odbicia w krzywym lustrze lunaparku: zaszokowane, gniewne, roześmiane. Po raz pierwszy w życiu Stanley prawie ma nadzieję, że natkną się gdzieś na policjanta.

Ale glin nigdzie nie ma, a wypomadowani zaczynają ich obszcze kiwać. Najpierw robi to tylko kilku, lecz po chwili dołącza do nich cała grupa. Rytmiczny chór basowych warknięć i opętańczych szczeknięć, zsynchronizowanych i niesynchronizowanych, rozbrzmiewa echem w kolumnadzie. Typowa zagrywka małomiasteczkowych rozrabiaków, durna i tandetna, ale autentyczny dreszcz strachu pełźnie Stanleyowi po kręgosłupie aż do kości ogonowej i chłopak zaczyna zwawiej ruszać nogami.

Przy znaku stopu na rogu Pacific Avenue skręca w lewo na skrzyżowaniu. Biegnie teraz środkiem ulicy, jadące w przeciwnych kierunkach auta mijają go z obu stron. Kierowcy wrzeszczą na niego. Ktoś trąbi. Claudio stanął jak wryty na chodniku, zaskoczony jego pomysłem. Stanley ogląda się za siebie, upewnia się, że tamten biegnie za nim, a gdy znów odwraca głowę, przed sobą z lewej strony widzi dziewczynę kaczego kupra, która z obnażonymi zębami i wyciągniętym oskarżycielsko palcem stoi na przednim siedzeniu podrasowanego forda model A. Wygląda, jakby powoziła rydwanem. Przebiegając obok, słyszy szcęk otwieranych drzwiczek od strony kierowcy, a następnie głos. Hej! – krzyczy kaczy kuper. Do ciebie mówię!

Stanley gwałtownie hamuje, obraca się wokół własnej osi i przebiega kilka kroków do tyłu, czekając na Claudia, wciąż pędzącego chodnikiem. Kaczy kuper stoi na środku ulicy i wymachuje trzymaną za szyjkę pustą butelką, oświetlony reflektorami nasha, który zatrzymał się za jego roadsterem. Nieco dalej za nimi w świetle ulicznych latarni Stanley dostrzega ciemne sylwetki Psów z Wybrzeża na tle sklepowych witryn. Jeden z chuliganów utknął za otwartymi drzwiczkami wozu kaczego kupra. Klnie, usiłując się przedostać, na co kaczy kuper wali go w ramię pustą butelką. Kierowca nasha próbuje się wycofać.

Stanley i Claudio pokonują trawiaste rondo i parking, kierując się w stronę najbliższego skrawka ciemności. Skręcają w prawo, potem w lewo. Przed nimi, przy szerokiej ulicy, ciągną się zabudowania mieszkalne: niskie podniszczone bungalowy, przekrzywione ganki ze stalowymi rurami zamiast poręczy. Miejskie światła drżą w nasiąkniętym wodą powietrzu, niebo w górze ma kolor wodorostów; Stanley widzi na jego tle poszarpane korony palm, a jakieś pół kilometra dalej

wieże wiertnicze na polu naftowym. Za jego plecami nie słyhać teraz żadnego dźwięku z wyjątkiem jednostajnego szumu dalekich aut. Stanley zwalnia. Kręci mu się w głowie, stracił poczucie orientacji.

Kto tak szczekał? – dopytuje się Claudio. Nawet nie ma zadyszki.

A jak myślisz? Ci, którzy nas gonili.

Claudio patrzy na niego. Przecież leżeli na ziemi, mówi.

Nie tamci, głupku. Bandziory, które nadleciały zaraz potem. Nie widziałeś ich?

Claudio marszczy czoło, rzuca sceptyczne spojrzenie za siebie. Jakie bandziory? – pyta.

Aleja krzyżuje się z przodu z mniejszą ulicą i Stanley sprawdza narożną tabliczkę: to Cordova Court, prowadzi do Rialto Avenue. Znajdują się w odległości zaledwie jednej przecznicy od Windward, ale okolica wydaje się całkiem inna, spokojniejsza. Może w połowie tutejszych zabudowań pali się w środku światło, gdzieś w ciemności migoczą jedynie ekrany telewizorów. Gdzieś z prawej strony sączy się z głośników cool jazz. Przez otwarte okno Stanley słyszy stłumiony kobiecy śmiech.

Nawiasem mówiąc, to było niezłe zagranie, mówi. To, jak chwyciłeś tego gnojka za łeb. Zręczne.

Podobało ci się?

Nie, odpowiada Stanley. To się nazywa sarkazm. Stary, trzeba coś zrobić, żebyś trochę zmężniał.

Claudio otwiera usta, aby zaprotestować, gdy z tyłu za nimi rozlega się tupot butów, a potem głos, bełkotliwy i nieludzki, coś jak wycie psa rodem z filmów grozy. Stanley i Claudio zawracają i puszczają się biegiem przez zarośnięte trawniki. U Stanleya włącza się widzenie tunelowe, przed oczami robi mu się białe, w uszach rozbrzmiewa głucho echo własnych kroków, jakby wsłuchiwał się przez pustą puszkę po kawie. Cordova Court zawija w prawo, lecz Stanley biegnie dalej przed siebie, w stronę ciemnego, nachylonego ku ziemi budynku. Chwyta Claudia za rękaw i pociąga go za sobą, zerkając przy okazji przez ramię, aby sprawdzić, czy Psy dotarły już do zakrętu. Nie.

Po lewej stronie bungalowu znajduje się niskie drewniane ogrodzenie z podgniłych desek połączonych drutem. Stanley przeskakuje nad nim, traci równowagę i pada plackiem w zachwaszczonym ogrodzie; kolana zapadają się w miękkiej ziemi, treliaż z drzewa cedrowego pęka pod naporem jego barku. Za nim Claudio pokonuje ogrodzenie niczym antylopa, jednym zwinnym skokiem, i z gracją ląduje, lecz Stanley chwyta go za stopę i przewraca.

Z ulicy dochodzi kolejny skowyt: tamci są coraz bliżej, trudno powiedzieć, ilu ich nadciąga. Stanley nakrywa Claudia własnym ciałem, zasłania mu dłonią usta. Wkrótce słyszy tamtych, jak przeszukują pobliskie podwórka, słyszy, jak do

siebie szepczą. Pierś Claudia równomiernie wznosi się i opada. Chrapliwy oddech Stanleya i jego walące niczym młot serce tworzą hałaśliwy kontrapunkt.

Na ganku sąsiedniego domu zapala się światło, potęgując panujące w ogrodzie ciemności i wydobywając z mroku sylwetki dwóch Psów przemykających na tle nierówno przystrzyżonego żywopłotu z bukszpanu. Słychać skrzypienie drzwi, a potem męski głos. Kto się tam płacze?

Trzeszczą tratowane przez uciekających krzaki. Stanley wie, że im się upiecze, o ile zdołają wytrwać jeszcze kilka minut na leżąco, w bezruchu. Wypuszcza z płuc powietrze, żeby się uspokoić. Kiedy znów go nabiera, jego nozdrza wypełnia bogactwo zapachów, które natychmiast rozpoznaje, lecz w pierwszej chwili nie potrafi ich nazwać ani umiejscowić: rozmaryn, chrzan, czosnek, mięta, werbena cytrynowa, pomidory koktajlowe, zapach roślin przygniecionych ciężarem ciał. Z braku słów umysł Stanleya przywołuje obrazy kuchni – babci smażącej latkes, matki krojącej w kostkę jagnięcinę, gara bulgoczącego sosu przyrządzonego przez sąsiadkę, której nazwiska ani imienia Stanley już nie pamięta – a spod nich wyłania się wspomnienie dłoni dziadka, rozcierających gorzkie zioła na Paschę. Zupełnie jakby ten niespokojny kawałek ziemi, oddalony o całą szerokość kontynentu od miejsca jego narodzin, w jakiś sposób go rozpoznał i przyjął. Witaj, mówi do Stanleya. Tyle na ciebie czekaliśmy.

Przepelnia go taka radość i pewność, że musi z całej siły zagryźć klapę marynarki Claudia, żeby się nie roześmiać, nie krzyknąć. Czarne oczy kumpla rozszerzają się ze zdumienia, lecz z ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Gładką dłonią dotyka policzka Stanleya, przesuwając ją po zmierzwionych włosach przyjaciela, układa głowę w zagłębieniu nad jego obojczykiem. Wsparta o czoło Stanleya szyja chłopaka jest ciepła, wilgotna od mgły. Stanley przysuwa się bliżej i leżą tak, zda się, całą wieczność, o wiele dłużej, niż wymagałaby ostrożność.

Następny tydzień przynosi deszcz, który splukuje pozostałości lutego i wymywa do czysta nadbrzeżne ulice. Stanley i Claudio spędzają całe dnie zawinięci w koce w swoim azylu w nieczynnym sklepie, czytając dla zabicia nudy. Książki i czasopisma opierają o wzgórek ze swoich splątanych nóg. Claudio przerzuca kartki kolorowych magazynów, które Stanley podprowadził dla niego z kiosku na Market Street – „Photoplay”, „Modern Screen”, „Movie Mirror” – wertuje je, jakby szukał wskazówek. Od czasu do czasu odzywa się, aby donieść Stanleyowi o jakimś nowym odkryciu. Tab Hunter ma tego samego agenta co Rock Hudson, oznajmia. I Rory Calhoun. Myślę, że żaden z nich naprawdę się tak nie nazywa.

Stanley czyta *Złodzieja luster*. To tomik wierszy, ale opowiada pewną historię: alchemik i szpieg zwany Crivano kradnie zaczarowane lustro, za co wrogowie ścigają go przez ulice nawiedzonego miasta. Stanley dawno przestał śledzić ten wątek, uznając go w najlepszym razie za tanią rozrywkę, w najgorszym zaś za sprytny wybieg, który ma ukryć prawdziwy wymiar książki, skrywany potężny sekret. Nic – jest tego absolutnie pewien – nie może być tak zagmatwane bez powodu.

Czyta, a jego wzrok podąża za kolejnymi wierszami poematu niczym igła za żłobieniami na płycie gramofonowej, rozbijając je na poszczególne litery i przegrupowując na powrót w równe kolumny. Tym, czego szuka, jest klucz: pęknięcie w fasadzie książki, luźna nić, która pomoże mu spruć zasłonę. W poszukiwaniu nowych sensów stosuje najrozmaitsze sztuczki: czyta na ukos i na wspak, analizuje białe znaki zamiast tekstu, lecz słowa zwierają szyki niby kamyki mozaiki albo przestępcy podczas policyjnego okazania, kpiąc sobie z niego niefrasobliwym wyglądem. I wciąż są tak samo podejrzane.

Na drugiej zadrukowanej stronie tomiku – „Poemat epicki pióra Adriana Wellesa, Seshat Books, Los Angeles, copyright 1954” – widnieje krótka dedykacja: wiadomość od ofiarodawcy do obdarowanego, jakiegoś Alana. Stanley nie zdołał dotąd odczytać nachylonego, zadzierzystego charakteru pisma; jedno ze słów wygląda jak „homar”, inne jak „nagi”. Stanley dawno zrezygnował z prób ich odszyfrowania. Wydrukowane nad dedykacją nazwisko autora – Adrian Welles – zostało ukośnie przekreślone czarnym tuszem. Wcześniej Stanley zwykł wracać do tej strony i rozmyślać, dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego, jednak ostatnio już się nad tym nie zastanawia.

Czasami zdarza mu się zamykać oczy oraz książkę, której grzbiet wspiera się o wzgórek jego splecionych dłoni, i wyobrażać sobie ciemną postać – Wellesa, Crivana, samego siebie – odzianą w nieprzemakalny płaszcz i kapelusz,

przemykającą przez okoliczne ulice w pogoni za czymś niezbadanym niby błędny ogień w rozmytym krajobrazie. Rozkoszuje się tym wyobrażeniem tak długo, jak się da, dopóki nie opadną go inne myśli. A jeśli Welles się stąd wyniósł? Jeżeli nie żyje? Pozwala wówczas książce otworzyć się w dowolnym miejscu i czyta pierwszy wers, na jaki padnie jego wzrok, w nadziei, że odnajdzie w nim wskazówkę, dokąd ma się udać, co powinien zrobić. Wie, że w tym działaniu nie ma ani krzty logiki – czy też raczej jest to logika obowiązująca w książce, a nie w prawdziwym życiu – ale nie szkodzi. Tego właśnie szuka: miejsca, gdzie książka i rzeczywistość nakładają się na siebie.

Czasem jakaś linijka jasno wyznacza kierunek: „Szukam cię w nieustannym karnawale, o zamaskowany Crivano, szukam na brzegu”. Częściej bywa odwrotnie: „Mąż Omfale wydał wyrok! Dłonie swe kalasz sztuką tajemną, lecz trzciny szepczą o wstydzie tego, co złoto pozyskuje!”. Czasem jakiś fragment przyciąga jego uwagę z powodów, których Stanley nie potrafi nazwać –

Aqua alta: stopy Crivana

łączą się ze stopami jego wodnego sobowtóra.

Nie patrz na swoich sprzymierzeńców,

łotrów, co na kolumnach zawiśli!

Dwugłowy, zanurzony w dwóch światach,

ze wzrokiem spuszczone w dół

znajduje swoje milczące odbicie w morzu.

– i wabi go, każąc mu czytać aż do ostatniej strony, do ostatniego wersu. Pod spodem widnieje data: 17 lutego 1953, a dalej dwie nazwy własne: to miasto i ten stan. Oto mapa, która go tutaj przywiodła.

Ilekoć Stanleya i Claudia znuży lektura, ilekoć znużą się samymi sobą i sobą nawzajem, idą do kina. Te w Santa Monica, wyświetlające najnowsze hollywoodzkie premiery, są najlepsze, jeśli chce się zobaczyć pełne przepychu, wzruszające melodramaty, które tak lubi Claudio. Stanley woli jednak seanse w Fox na Lincoln: kino jest bliżej, bilety za pół ceny, a pokazywane tam westerny i horrory klasy B bardziej odpowiadają jego gustom.

Sęk w tym, że podczas deszczu kino Foxa nie jest bezpiecznym miejscem.

Stanley i Claudio odwiedzają je kilka dni po swojej przygodzie z Psami; przechodzą przez Abbot Kinney Boulevard i Electric Avenue, Czwartą Ulicą dochodzą do Vernon, szukając schronienia pod koronami eukaliptusów i kauczukowców. Mimo to, zanim zobaczą przed sobą neon kina, obaj zdążą przemoknąć do suchej nitki. Kiedy zaczyna się seans, Stanley trzęsie się z zimna w fotelu kinowym. Jak zwykle rozprasza go przypominający serię z karabinu maszynowego stukot projektora, migotanie wyświetlających się na ekran obrazów.

Tego dnia pokazują film katastroficzny: wybuch wulkanu wypłasza gigantyczne skorpiony z podziemnej nory, te zaś atakują Mexico City. Stanley wybrał ten tytuł, bo gra w nim wielu meksykańskich aktorów, których Claudio powinien dobrze znać; poza tym sam chce zobaczyć skorpiony w akcji. Generalnie nie przepada za siedzeniem w kinie, ale stwory w rodzaju Ymira z *20 Million Miles to Earth* czy ten dinozaur z *The Beast of Hollow Mountain* zwyczajnie go fascynują. Gdy po raz pierwszy ujrzał na ekranie potwora – w kinie Lido na Fordham Road wyświetlano film *Mighty Joe Young*; Stanley miał wtedy osiem lat, ojciec zostawił go samego na czas schadzki z dziewczyną przecznicę dalej – natychmiast odgadł, co wprawia go w ruch: instynktownie wyczuł obecność niewidzialnych dłoni, które wlewały życie w figurki między kolejnymi ujęciami. Od razu wiedział, że udało mu się odkryć coś ważnego, mały sekret otwierający drogę do wielkich tajemnic. Oszustwo nie kryło się w sztucznych potworach ani nawet w terkoczącym projektorze, tylko w jego własnej głowie, i to przez cały czas. Zwiódł go jego własny wzrok.

Dzisiejszy seans rozpoczyna się od pokazu tandetnie sfingowanej kroniki filmowej, podczas której widownia ogląda archiwalne zdjęcia wulkanów. Następnie na ekranie pojawiają się główni bohaterowie: sypiący dowcipami amerykański geolog i jego urodziwy pomagier, Meksykanin. Stanleya uwodzi ich opanowanie, fascynują śmiałe i swobodne rozmowy. Na pewien czas daje się wciągnąć akcji filmu, bo ostatecznie czy on i Claudio nie są jak ci dwaj odkrywcy na obcej ziemi? Wystawieni na niebezpieczeństwa, mogą polegać wyłącznie na sobie nawzajem. Stanley na poły żałuje, że film nie może być taki aż do samego końca: mężczyźni zmieniliby się za kierownicą jeepa, pokonywali spalone dżungle i tłące się wzgórze pod dziwnym światłem ołowianego nieba, zabójcze skorpiony pozostałyby zaś w ukryciu, nienazwane i niewidoczne, choć ich obecność wciąż byłaby wyczuwalna, kładąc się tajemniczym cieniem na egzotycznym krajobrazie.

Wkrótce jednak pojawia się główna bohaterka – a oprócz niej, jakżeby inaczej, dzieciak z psem, obaj uroczy i niesforni – i Stanley traci zainteresowanie filmem. Kiedy skorpiony wreszcie atakują, nie poprawia to wcale sytuacji. Z początku robią całkiem niezłe wrażenie – są realistyczne i przerażające – lecz filmowcy pracowali najwyraźniej na raptem kilku ujęciach i na ekranie raz po raz

widać to samo nieudolne zbliżenie głowy skorpiona, który z wybałuszonymi oczami toczy jad z pyska. Powtarza się ono tak często, że Stanley traci rachubę. Producentom musiało zabraknąć kasy, bo w ostatniej części filmu w większości przypadków zastąpili modele skorpionów ich czarnymi sylwetkami nałożonymi na ujęcia uciekających w panice Meksykanów.

Stanley w zasadzie przestał zwracać uwagę na ekran. Usiłuje sobie przypomnieć, czy aktor grający amerykańskiego geologa jest tym samym, który wcielił się w geologa w filmie *Dzień końca świata*. Zastanawia się, czy to tylko zbieg okoliczności, czy może koleś faktycznie ma coś wspólnego z geologią, gdy wtem czuje na karku rozżarzony papieros. Odruchowo uderza się dłonią w kark i odwraca głowę, ale za nim nikogo nie ma. Kiedy rozgląda się po na wpół wyludnionej widowni, osłaniając szeroko rozwarte źrenice przed jasnością bijącą z ekranu, w oparciu jego siedzenia trafia drugi niedopałek. Obok ramienia Stanleya strzelają pomarańczowe iskry i dopiero wtedy ich widzi: sześciu Psów rozsiadło się kilka rzędów za nimi po drugiej stronie przejścia. Włosy albinosa jaśnieją w padającym z projektora rozedrganym snopie światła, lecz poza tym Stanley nie jest w stanie dostrzec żadnej twarzy. Kilku bandziorów oparło nogi w brudnych trampkach All-Stars na siedzeniach przed sobą, wszyscy natomiast palą albo właśnie przypalają papierosy, gotując się do kolejnej salwy.

Stanley otwartą dłonią wali Claudia w kolano, kciukiem wskazuje za siebie. Wstają i przechodzą do przodu; zgięci w pół przebiegają pod ekranem i opuszczają kino wyjściem po przeciwległej stronie sali. Odczekują jakiś czas w holu, chcąc się przekonać, czy Psy za nimi nie wyjdą; wychodzą, ale najwyraźniej nie żywią do nich aż takiej urazy, żeby ich ganiać w taką ulewę. Stanley mruganiem strząsa z powiek krople deszczu i zerka przez ramię w oczekiwaniu na lukę w sznurze ciągnących jezdnię samochodów: Psy kulą się pod markizą kina, ich sylwetki wydają się bezkształtne i niewyraźne w zacinającym deszczu. Otaczają ich obłoczki nieświeżych oddechów.

Od dzisiaj, mówi Claudio, uważam, że powinniśmy oglądać filmy tylko w Santa Monica.

Jest nagi. Podświetlony od dołu płomieniem świecy stoi na palcach na zapleczu nieczynnego sklepu przy Horizon Court. Stanley rozciągnął kawałek szpagatu pomiędzy dwoma wspornikami i zadzierzgnął węzły marynarskie; Claudio właśnie rozwiesza na nim przemoczone ubranie. Stanley opiera się w rogu o ścianę rozdrażniony i podniecony, owinięty wojskowym kocem swojego ojca: jego fiut trze o szorstką tkaninę. Nie daj sobie w kaszę dmuchać takim lamusom, mówi. Dzisiaj po prostu mieliśmy pecha. W domu w podłą pogodę też robiliśmy to samo – oglądaliśmy kiepskie filmy. Mogłem się domyślić, że te debile będą się kręcić w pobliżu kina.

Oni nam nie odpuszczą.

Czy ja wiem? Raz ich wkurzyliśmy, ale wyszli przez nas na głupków. Jeśli będziemy się trzymać z daleka, zostawią nas w spokoju.

To jak zamierzasz odstawiać teraz ten swój przekręt? Jak zdobędziemy pieniądze?

Pieniądze? Stanley śmieje się i kręci głową, jakby miał do czynienia z dzieckiem. Pieniądze to największy przekręt ze wszystkich, stary. Nadają się tylko do tego, żeby dzięki nim zarabiać więcej pieniędzy. Wszystko, za co trzeba zapłacić, można też ukraść.

Claudio rzuca mu sceptyczne spojrzenie, wyciera mokre ręce o swój zapadnięty brzuch.

O co chodzi? – chce wiedzieć Stanley. Jeżeli mi nie wierzysz, wymień jakąś rzecz. Cokolwiek zechcesz, przyniosę ci to w ciągu godziny. Nawet dwie sztuki. No dalej, sprawdź mnie.

Przyskrzynie cię.

Nie dam się przyskrzynić. Śmiało, mów, co byś chciał. Zegarek? Taki bajerancki? Załatwię nam obu po bajeranckim zegarku. Do pary.

Nie powinienesz nawet wychodzić za dnia. Musisz obciąć włosy, wyglądasz jak przestępca.

Akurat, odpowiada Stanley. Wyglądam jak uczciwy amerykański chłopak. Niechętnie przygląda zmierzwiom kędziory.

Wyglądasz jak mała. Brudna amerykańska mała.

Claudio szczyrzy się przebiegle, robi krok do przodu, chwytając Stanleya garścią za włosy i pociąga. Koc zsuwa się na podłogę. Stanley opęda się od Claudia, odpycha go, po czym przyciąga do siebie wijące się ciało chłopaka.

Deszcz ustaje dopiero po dwóch dniach. W tym momencie Stanley odbija się już od ścian, tak go korci, żeby się trochę przejść. W chłodnym porannym powietrzu odprowadza Claudia do ronda. Dzielą się ukradzionym śniadaniem złożonym z biszkoptów z galaretką i pomarańczy. Są już niedaleko, gdy na przystanek podjeżdża autobus do Santa Monica; Claudio wciska niedojedzony owoc w lepką dłoń Stanleya i biegnie. Po drugiej stronie Maine odwraca się i uśmiecha; Stanley odpowiada mu uśmiechem. Krótki, niemy dialog toczący się nad ruchliwą ulicą wyraża wiele, ale nie wzajemne zaufanie. Claudio znika za autobusem, jego cień przemyka za oknami pojazdu. Zajmuje miejsce. Stanley obserwuje jego ostry profil – raz po raz zasłaniany przez tłoczących się w przejściu pasażerów – dopóki autobus nie ruszy.

Wraca wówczas nad ocean, przecina deptak i schodzi na plażę. Przełyka ostatnie lśniące cząstki pomarańczy i wylizuje palce do czysta. Potem drze skórę na kawałki i wyrzuca je w górę, wabiąc gromadkę mew na piaszczystej łasze; te chwytają je w locie i odlatują, by zaraz wypuścić je do wody, gdzie z kolei rzucają się na nie inne mewy. Napowietrzony ocean ma kolor nieba. Jego powierzchnia jest

matowa, tylko tu i ówdzie połyskuje srebrzyście. Białe grzywacze załamują się jakieś sześćdziesiąt metrów od brzegu z odgłosem przypominającym trzask bata, na ułamki sekund drążąc w pianie głębokie rozpadliny. Ich dyspeptyczne pomruki odbijają się echem na plaży.

Stanley ociera usta, czuje na swoich palcach zapach olejku cytrusowego i myśli o zimowych zbiorach w Riverside. W pierwszym tygodniu pracy zjadł chyba tyle owoców, ile sam ważył: słodkich klementynek, cudownie słodkich pomarańczy, nowelin większych niż kule do gry w bocce. W ubiegłym miesiącu – po tym, jak razem z Claudiem nawiali z gajów pomarańczowych i namówili komiwojażera firmy Fuller Brush, aby ich podrzucił do Los Angeles – zgodnie przysięgli sobie nigdy więcej nie tknąć cytrusów. A teraz znowu za nimi zatęsknili.

Stanley poznał Claudia w mieszanej ekipie zrywaczy. Z początku nieszczególnie przypadł mu do gustu. Dzieciak wydawał się zbyt gładki do pracy przy zbiorach, zbyt nieufny. Do zrywania owoców nadawał się jeszcze mniej niż on sam. Stanley doszedł do wniosku, że Claudio nawiał od kłopotów w domu albo po prostu postanowił zakosztować włóczęgi: marnotrawny wyrzutek z którejś z posiadłości na wzgórzach. Jednocześnie chłopak zrobił na nim wrażenie lepszego cwaniaka: udawał, że ma dwie lewe ręce, żeby się wykpić od najgorszej roboty, pewien, że go nie wywalą, bo szef ekipy nie znał hiszpańskiego i potrzebował go na tłumacza. Najpierw nawzajem siebie ignorowali, ale wszyscy pozostali biali w ich ekipie byli starsi od Stanleya, w dodatku milkliwi, zaś Meksykanie wyraźnie trzymali się z dala od Claudia. Koniec końców zaczęli więc ze sobą rozmawiać.

Stanley nigdy nie zadawał pytań, historię Claudia poznawał zatem powoli i niekoniecznie w porządku chronologicznym. Najmłodszy z trzynaściorga dzieci dwóch różnych matek, dorastał niewidoczny w dostatku dużego domu na przedmieściach Hermosillo. Jego ojcem był słynny generał – walczył z Pancho Villą pod Celaya i z Cristeros w Jalisco – wśród braci zaś miał prawników, bankierów i polityków. Mały Claudio spędzał całe dnie w miejscowym kinie, ucząc się angielskiego od Cary'ego Granta i Katharine Hepburn, podniesionymi rączkami zasłaniając sobie napisy. Rósł, snując po kryjomu plany podróży na północ. Opowiadał te historie Stanleyowi, kiedy pracowali, szeptał mu je do ucha w baraku, a później, kiedy zaczęli się wymykać do ciemnego gaju, żeby planować ucieczkę pod wysrebrzonymi księżycowym światłem liśćmi drzewek pomarańczowych, Stanley leżał nieruchomo i dopóty patrzył na poruszające się usta Claudia, aż przestawał cokolwiek rozumieć.

Stanley bardzo lubi Claudia. Nie ma dosyć jego towarzystwa. W okresach przestoju podczas swojej długiej włóczęgi przez kraj często żałował, że nie ma przy nim nikogo, z kim mógłby przeżywać przygody – nikogo, kto by go wysłuchał i kto uwierzyłby w to, co Stanley opowiada o sobie – aż pewnego dnia napatoczył się ten dziwaczny Meksykanin i okazało się, że pasują do siebie jak ulał. Wspaniale

jest mieć współnika. Dzięki niemu to, co niemożliwe, stało się możliwe.

Są jednak rzeczy, które Stanley nadal woli robić sam.

Kiedy pomarańczowa skórka znika i mewy się rozpraszają, Stanley bierze głęboki wdech i zawraca w stronę deptaka. Przedpołudniowe słońce wisi wysoko nad miastem: budynki, uliczne latarnie i palmy rzucają na chłopaka swoje ukośne cienie, niby tunele na piasku. Witryny sklepowe czernieją pod portykami. Stanley podchodzi bliżej, odczytuje wiszące nad arkadami szyldy: Chop Suey, Hotel Świętego Marka, Center Drug Co. Na rogu Market Street niebieskie i czerwone pasy wiją się wokół białej kolumny; mijając ją, Stanley przygląda kręcone włosy.

Na plażę wylegli okoliczni mieszkańcy zwabieni ładną pogodą – staruszka w długim do ziemi aksamitnym płaszczu garbi się pod parasolką; brodac w zachlapanym farbą drelichu goni po piasku dwie roześmiane kobiety; korpulentny przedstawiciel klasy średniej wyprowadza na spacer szpetnego psa, nucąc mu w jakimś dziwnym języku – lecz Stanley nie poświęca im wiele uwagi, koncentrując się niemal w całości na zabudowaniach: wyłapuje spojrzeniem kształty i tekstury, grę światła na murach i ulicach. Pewne szczegóły przyciągają jego wzrok, by zaraz zlać się z tłem: rząd gotyckich okien, wyzierające spod tynku cegły, maszkarony szczerzące zęby na zwieńczeniach żeliwnych kolumn. Jest tu obecna pustka, w której wypatrywaniu Stanley stale się ćwiczy, coś, co można dostrzec tylko kątem oka, jakby mimochodem. To coś ma związek z przeszłością, z wygasłą świetnością tego miejsca, lecz samo w sobie jest równie niematerialne jak rzucany przez przedmioty cień; majaczy za kurtyną lat niby duch ducha.

To miasto Wellesa, nazwane tak w jego książce, a zatem również miasto Crivana – na tyle, na ile jakiegokolwiek ziemskie miasto może nim być. Stanley uczy się przemieszczać przez nie tak, jak robiłby to Crivano: bezszelestnie niczym kot, na poduszkach stóp. Nie ukrywając się, lecz pozostając niezauważony. Ilekroć ma przed sobą wolną drogę, zamyka oczy i robi kilka kroków na oślep, wyobrażając sobie twardy bruk pod ciżmami i kształt smukłego ostrza na swoim biodrze, szelest muskającego kostki czarnego płaszcza, który wydyma się nocą na wietrze. Noc sama przypomina czarny płaszcz. Stanley nie wie, skąd wzięło się u niego tak wyraźne wyobrażenie Crivana: w swojej książce Welles właściwie nie opisuje jego wyglądu. Stanley uświadamia sobie, że mógł zapożyczyć ten obraz skądinąd: na przykład od Stewarta Grangera w *Scaramouche* albo z jakiegoś żenującego filmu o Zorro oglądanego w dzieciństwie. Otwiera oczy i oślepiony słońcem mruga, korygując kurs.

Przed sobą ma skupisko dawnych salonów Bridgo – niektóre stoją nieczynne, inne przerobiono na salony gier. Ze środka dobiegają młode męskie głosy i gorączkowe podzwanieanie bilardów elektrycznych. Stanley chętnie by tam wszedł i rozegrał kilka partyjek – jest w tym naprawdę dobry – ale w pobliżu z pewnością kręcą się Psy, on zaś nie jest gotowy na kolejną przepychankę. Nie

opracował jeszcze odpowiedniej strategii. Jeśli będzie trzeba, pójdzie na wojnę z gangiem; prawdopodobnie wystarczy zdjąć dwóch albo trzech, żeby reszta się zwinęła. Musiałby jednak poważnie tamtych uszkodzić – żeby wylądowali w szpitalu, może nawet na cmentarzu – aby pozostali zaczęli go traktować na serio, a nie jest pewien, czy zależy mu na kłopotach, jakie niewątpliwie by z tego wyniknęły. Na razie woli się nie wychylać i omijać bandziorów z daleka.

Przechodzi przez Speedway i kieruje się w głąb lądu, mijając podupadłe sklepy i kamienice z pomarańczowej cegły. Ulice są wymyte po deszczu, dziwnie świetliste, gotowe na inspekcję. Królujące zazwyczaj w przylegających do deptaka uliczkach zapachy smażeniny, rozlanego alkoholu, uryny i rzygowin zniknęły, a na pierwszy plan wybijają się teraz subtelniejsze wonie z pól naftowych: przejrzałych owoców i zgniłych jaj. Za Abbot Kinney Boulevard kończą się zabudowania, ustępując miejsca zachwaszczonym trawnikom i ogrodom, do których wstępu bronią połamane sztachety albo podkłady kolejowe. Tutaj wszędzie widać kwiaty i zielone liście, nawet o tej porze roku: mirt i bukszpan, kuflik i oleander, jaśmin i klematis na gankach, kosmos i malwy pod płotem. Rośliny mają długie łodygi, chwieją się niepewnie w piaszczystej glebie, opierają się o szalunek z wdziękiem łobuziaków gotowych bezwzględnie wykorzystać każdy przejaw okazanej sobie życzliwości.

Po drugiej stronie ulicy starzec z rozwianą siwą czupryną pcha staroświecką kosiarkę przez maciupeńki trawnik; mokra trawa oblepia jego stopy obute w sandały. Mężczyzna gapi się na Stanleya; ukryte za grubymi szklami oczy przypominają przecinki. Stanley odwraca wzrok.

Nie ma żadnej możliwości, aby rozpoznać Wellesa. Mógłby go minąć na ulicy – może nawet już to zrobił – i nie zorientować się, z kim ma do czynienia. To oczywisty fakt, lecz Stanleyowi trudno o nim pamiętać. W swoich rojeniach od razu rozpoznaje Wellesa: ich ścieżki się przecinają, spojrzenia krzyżują. Stanley dostrzega szelmowski, ironiczny wyraz twarzy tamtego i z miejsca wie, kto przed nim stoi. Wyobraża sobie, że Welles także go poznaje. Dostrzega w nim swojego sprzymierzeńca. Chłopca, którego szukał.

Stanley zdaje sobie sprawę z tego, że takie myślenie to dziecinada. Powinien zacząć rozpytywać w okolicy, ale nie wie, jak najlepiej się za to zabrać. Zyskał teraz znakomitą przykrywkę – o co niełatwo – i niepokoi go myśl, że miałby się wychylić. Jeśli nie liczyć karcianych szwindli i sporadycznej dorywczej pracy, w ostatnich latach nie miał zbyt wiele do czynienia ze światem praworządnych obywateli – wyprowadzających na spacer psy, koszących trawniki, zajmujących się zwykłymi sprawami. Do tego stopnia, że wydają mu się jakby odrębnym gatunkiem.

Ledwo o tym myśli, słyszy te same słowa wypowiedane głosem ojca i się uśmiecha. Przypomina go sobie, siedzącego w kuchni ich mieszkania przy Division

Street, w pełnym umundurowaniu, popijającego maślaną. Pozostali – dziadek i wujek Stanleya oraz sam Stanley – stali nad nim. Nikt się nie odzywał. Stanley wpatrywał się w odznaczenia na piersi ojca: Medal Kampanii Azjatycko-Pacyficznej, Brązową Gwiazdę. Uderzały lekko o oliwkowy materiał kurtki, ilekroć ojciec wybuchał śmiechem. Pozwolił Stanleyowi podźwigać swój nowiutki wojskowy plecak przez kawałek drogi do stacji metra przy Bedford Avenue, a potem wcisnął mu do ręki garść srebrnych dziesięciocentówek. „Wynieś się stąd jak najszybciej – powiedział. – Zanim te chuje wszystko z ciebie wysą”.

Po tym, jak czerwoni Chińczycy w końcu go zabili, co zresztą ojciec sam przepowiadał, Stanley wiódł w ich dawnym mieszkaniu żywot karalucha: wślizgiwał się tam, ilekroć potrzebował jedzenia i dachu nad głową, by zaraz znów się wymykać i buszować po mieście. Tak wówczas o sobie myślał: karaluch. Wprawiało go to w autentyczną dumę. Rok później, gdy dziadek umarł, a matka na dobre przestała się odzywać, Stanley w ogóle zaniechał powrotów do domu.

Budynek z przodu po prawej stronie jest całkowicie porośnięty pnączami bugenwilli: jedynie zapadnięty ganek i dwie lukarny bronią się jeszcze przed naporem szmaragdowych liści i cynobrowych przylistków. Stanley jest zachwycony myślą, że w samym środku miasta przyroda do tego stopnia zdołała zawładnąć dziełem rąk ludzkich. Coś się porusza w spętanym bluszczem ogrodzie – kot – i Stanley dostrzega nagle z tuzin podobnych mu osobników. Wymizerowany szary pers obserwuje go z ganku. Jest tak chudy, że zdaje się w ogóle nie mieć ciała; widać tylko żółte oczy i zmierzwione futro.

Stanley idzie dalej. Ocean cofa się za jego plecami. Rozmyśla o kotach, o okolicznych anonimowych domach. O Wellesie. I o Crivanie. O czarnych skorpionach i niewidocznych strażnikach nieprzeniknionej dżungli.

Naraz przystaje na chodniku. Zakład fryzjerski, myśli.

Kiedy dwie godziny później na przystanek zajeżdża autobus z Santa Monica, Stanley już czeka przy krawężniku. W palcach ściska pasek ojcowskiego wojskowego plecaka. Łapie Claudia za ramię, gdy ten wysiada, wpycha go z powrotem i sam wskakuje za nim. Płaci za przejazd i przedziera się w stronę wolnego miejsca. Kradzione puszki sardynek grzechoczą w plecaku, kiedy Stanley kładzie go na kolanach. Jedziemy do Hollywood, mówi.

Claudio stoi nad nim w przejściu, z szeroko otwartymi ustami. Wyciąga rękę, aby dotknąć świeżo ostrzyżonej głowy Stanleya. Twoje włosy, szepcze.

Stanley chwyta go za nadgarstek i pociąga na siedzenie. Przestań, warczy. Słyszałeś, co powiedziałem? Jedziemy do Hollywood, stary.

Wyglądasz jak żołnierz, stwierdza Claudio.

Podczas gdy autobus toczy się na południe do ostatniego przystanku i zawraca na północ, Stanley relacjonuje, czego się dowiedział u fryzjera. Okazuje się, że Adrian Welles przeniósł się do fabryki snów: pisze teraz scenariusze do filmów, czasami nawet jakiś reżyseruje. Niedawno skończyły się zdjęcia do jego najnowszej wielkiej produkcji, kręconej zresztą na tutejszym deptaku, i w tej chwili Welles montuje film w Hollywood. Zagrały w nim same gwiazdy, dodaje Stanley. Nawet ja znam parę nazwisk. To może być twoja wielka szansa, młody.

Claudio usiłuje zachować zimną krew. Udaje, że coś sobie rozważa, ale Stanley widzi, że ma gęsią skórę na przedramionach. Z którą wytwórnią współpracuje? – chce wiedzieć.

Chyba z Universal Pictures. Tak przynajmniej powiedział fryzjer.

Nie wydaje mi się, aby Universal Pictures International miało siedzibę w Hollywood, mówi Claudio. Raczej gdzieś poza miastem. Wiemy, jak tam trafić?

Jasne, potwierdza Stanley. Co to za filozofia?

Przesiadają się na Santa Monica Boulevard i jadą dalej w głąb łądu. Mijają białą kanciastą wieżę świątyni mormonów, wytwórnię Fox Studios oraz Country Club i wjeżdżają do Beverly Hills. Stanley nie potrafi zrozumieć, jak to coś można nazywać miastem. Zupełnie jakby ktoś pociął prawdziwe miasto na kawałki i rzucił je z samolotu: dolinę zaśmiecają rozsiane bez ładu i składu wysokościorowce, zaś ulice, sklepy oraz domy obrastają je niczym grzyb. Ilekroć Stanley sądzi, że dojeżdżają do centrum, wychodzi na to, że się pomylił.

Na Wilshire Boulevard zamieniają się miejscami. Claudio siada przy oknie, skąd wypatruje znanych twarzy w przejeżdżających rolls-royce'ach i corvettach; Stanley zsuwa się niżej na siedzeniu i jednym uchem słucha gadaniny kumpla, rozmyślając o tym, co dalej. Powinien skakać z radości, że udało mu się trafić na trop Wellesa, tymczasem źle się z tym czuje i nie wie, dlaczego tak jest. Rzecz nie

w tym, że wątpi w słowa fryzjera – koleś nie miał żadnego interesu, żeby ściemniać – chodzi raczej o to, że uzyskana informacja nie pasuje do obrazu Wellesa, jaki miał w swojej głowie. Trochę go to przeraża. Na litość boską, *kino!* Stanley czuje się zdradzony, chociaż nie umie tego uzasadnić. Myśl, że w swojej książce Welles nie tyle wprowadza czytelnika w błąd co do swojej osoby, ile w ogóle unika mówienia o sobie samym, przyprawia go o mdłości.

Po pół godzinie błędzenia Claudio dostaje wreszcie wskazówki od zagadniętego Meksykanina, który parkuje auta gości hotelu Sunset Tower – przy czym gada z nim o wiele dłużej niż to potrzebne – i prowadzi Stanleya na przystanek jadącego na wzgórze autobusu linii 22. Aby skrócić sobie oczekiwanie, szwendają się po bulwarze. Stanley zwraca Claudiowi uwagę na detale architektoniczne cudaczných fasad starych kin: grube kolumny i głowy faraonów w Egyptian, mauretańskie zdobienia w El Capitan. Claudio słucha, potakuje, ale cały czas zerka nerwowo na białe litery wśród wzgórz, hen na północy, jakby obawiał się, że wchłonie je gęstniejąca mgła.

Kiedy docierają do Teatru Chińskiego Graumana, Claudio drga, mruczy coś po hiszpańsku i wbiega na łaciaty dziedziniec. Stanley podąża za nim niechętnie w odpowiedniej odległości, podczas gdy zgięty w pół kolega z uwagą wpatruje się w płyty dziedzińca, jakby szukał zgubionych monet. Stanley dostrzega odciski w cemencie dłonie i stopy, pozostawione, gdy go wylewano, oraz nagryzmolone obok nazwiska i całe zdania. Na moment wraca myślami do chodnika w rodzinnym City Park, do inicjałów GG + VC wrytych na jego zastygającej powierzchni obok skrzydlatych odcisków nasion klonu. Potem zaczyna czytać napisy pod swoimi stopami, zwalnia kroku, a w końcu całkiem przystaje.

Carmen Miranda. Janet Gaynor. Eddie Cantor. „Twoje zdrowie, Sid”. Mary Pickford. Ginger Rogers. Fred Astaire. Równoległe żłobienia pozostawione przez łyżwy Sonji Henie. „Dla Sida, *tillykke*, zawsze”. Krzywy rysunek okularów Harolda Lloyda. Loretta Young. Tyrone Power. „Dla Sida – idę w ślady ojca”. Przechodząc nad kolejnymi płytami, Stanley wyobraża sobie moment, gdy te napisy były robione: gwiazdy kina śmiejące się pod ostrzałem fotograficznych fleszy, machające utyłanymi w cemencie rękami. Bawiące się w błocie dzieci. A więc tym właśnie jest sława, myśli.

Odwraca się, aby rzucić jakąś uszczypliwą uwagę, lecz wyraz twarzy Claudia zamyka mu usta. Mina przyjaciela mówi wszystko, wyraża taką tęsknotę i taki zachwyt, że Stanley wybucha śmiechem. Aż musi przysiąść – obok odcisków kopyt Championa, wypróbowanego wierzchowca Gene’a Autry’ego – żeby złapać oddech.

Dwudziestka dwójka przystaje na moment przy białej wydmuszce Hollywood Bowl, po czym pnie się w górę suchego zbocza i wysadza ich w pobliżu wejścia do Universal City Studios. Stanley spodziewał się zobaczyć

gęsty strumień samochodów jadących w przeciwnym kierunku – powracających z frontu żołnierzy show biznesu – ale przez bramę nic nie wjeżdża ani nie wyjeżdża. Jedno spojrzenie na budkę strażnika utwierdza go w przekonaniu, że tylko tracą tutaj czas, mimo to podchodzą wraz z Claudiem.

Przepraszam, zagaduje Stanley. Ja do Adriana Wellesa.

Strażnik ma płaski nos i pobrużdżoną zmarszczkami twarz. Wyjmuje zza ucha ołówek, zakłada nim stronę czytanej właśnie powieści Hermana Wouka i spogląda na nich. Spojrzenie ma niebieskie, bystre, obojętne. Do Adriana Wellesa, mówi.

Właśnie.

Chyba go nie znam, odpowiada strażnik. A gdzie ma biuro?

Montuje tutaj swój film. To scenarzysta. I reżyser.

Strażnik powoli kręci głową. To żaden z naszych, mówi. Może wynajmuje którąś z montażowni?

Może.

W takim razie, stwierdza strażnik, dowiedźcie się, który to budynek, a potem poproście tego Wellesa, żeby do mnie zadzwonił i wpisał wasze nazwiska na listę gości. Wtedy was wpuszczę.

Stanley zawczasu starał się wymyślić odpowiedź, gdyby strażnik spytał, czy byli umówieni, ale teraz jest już jasne, że takie pytanie w ogóle nie padnie. „Zawsze poznasz człowieka, który walczył na froncie” – mawiał ojciec; nie powiedział tylko, po czym dokładnie. Mimo to Stanley jest prawie pewien, że ten koleś walczył na froncie.

Nie chcę sprawiać kłopotu, odzywa się. Jeśli pozwoli nam pan rozejrzeć się z kolegą, na pewno go znajdziemy.

Mężczyzna uśmiecha się półgębkiem. Nie byłbym taki pewien, odpowiada. Mam tu do upilnowania trochę ponad osiemdziesiąt hektarów i nie chciałbym was szukać, jak się zgubicie.

Stanley kiwa głową, wbija wzrok w beton. Pozostawione przez elektryczną maszynkę włoski łaskoczą go pod kołnierzem. Podnosi głowę. Proszę posłuchać, mówi. Przejechałem kawał drogi, żeby się zobaczyć z tym człowiekiem. Nie będę pana czarował. Wiem, że pańska praca polega właśnie na przeganianiu takich jak ja. Ale daję panu słowo honoru: jeżeli nas pan wpuści, nie sprawimy żadnych problemów. Zgodna?

Wyraz twarzy strażnika się nie zmienia. Wiecie co? – mówi. Wasz znajomy pewnie i tak niedługo skończy szychtę. Najlepiej będzie, jak umówicie się z nim gdzieś na drinka. Baczne spojrzenie przesuwa się ze Stanleya na Claudia i z powrotem. Albo na koktajl mleczny, dorzuca.

Dziękuję, że poświęcił nam pan czas, mówi Stanley.

Odwracają się z Claudiem i odchodzą. Kilkaset metrów dalej na południe od

Hollywood Freeway odbija jakaś droga i pnie się zachodnim zboczem Cahuenga Peak. Wdrapują się nią pod górę przez zarośla eukaliptusów i trafiają na płataninę spokojnych, wąskich uliczek, przy których w dużych odstępach od siebie stoją domy mieszkalne. Przed jednym z nich, przylegającym tyłem do porośniętej krzakami skarpy, na zachwaszczonym trawniku leży trzydniowa sterta gazet. Stanley wchodzi na ścieżkę z kamiennych płyt, otwiera drewnianą furtkę.

Podwórko za domem zaścielają pogryzione piłki tenisowe i wyschnięte psie kupy, ale nigdzie nie widać psa. W ogrodzeniu jest dziura szeroka na dwie sztachety; po obu jej stronach na szorstkim drewnie desek drżą kłaczki czarnej sierści. Stanley prześlizguje się tamtędy, podczas gdy Claudio przeskakuje górą. Przedzierają się przez jukki i ostnicę, by po chwili znaleźć się na klinowatej skalnej półce nad niewielkim parowem, skąd rozciąga się wspaniały widok na zachodzące za górami słońce, rzekę Los Angeles w jej betonowym korycie oraz wielki owalny teren wytwórni Universal poniżej. Z gęstwiny sumaku podrywa się rozszczebiotane stadko raniuszków i znika gdzieś w dole. W powietrzu śmigają jaskółki powracające na noc do swoich gniazd przy autostradzie. Daleko w dole, pomiędzy bylicy trójzębnej i dębów wirginijskich, wyziera jaśniejszy fragment ogrodzenia z metalowej siatki; niecałe pół kilometra na północny wschód Stanley dostrzega miejsce, gdzie siatka wybrzusza się do środka. Omiata wzrokiem ulice między zabudowaniami wytwórni, lecz nigdzie nie zauważa żadnego ruchu.

Siedzą tak jakiś czas, chrupiąc obite jabłka w coraz głębszym cieniu gór. Potem ciskają ogryzki do parowu i zaczynają schodzić.

Następne pół godziny spędzają ukryci w krzakach, obserwując przez siatkę teren wytwórni, dopóki niebo nie zrobi się granatowe, a za ogrodzeniem nie błysną latarnie. Za wyjątkiem świateł reflektorów omiatających ścianę odległego budynku nigdzie nie widać żadnych oznak życia. Stanley i Claudio zdejmują kurtki, a Stanley wkłada jedną w drugą, przeciągając rękawy kurtki Claudia przez rękawy swojej. Z kieszeni wysypuje się piasek z plaży, pamiątka ich pierwszej nocy w tym mieście, i przez chwilę myśli Stanleya krążą wokół wszystkich miejsc, w których dotąd był, pokonanych odległości. Oddaje obie kurtki Claudiowi i z rozpędu uderza o siatkę, celując prosto w słupek.

Claudio chwyta jego stopę i pomaga mu wybić się w górę. Betonowa podstawa słupka kołysze się, gdy Stanley napiera na siatkę. Kiedy jest już blisko poczwórnej warstwy drutu kolczastego biegnącego wzdłuż szczytu ogrodzenia, Claudio podaje mu ich złączone kurtki. Stanley rozpościera je na trzech dolnych pasmach drutu, przerzuca ciało nad siatką, spada i turla się po pylistym zboczu. Zanim zdąży wstać i się otrzepać, Claudio jest już w środku i podskakuje, żeby ściągnąć kurtki z ogrodzenia.

Mijają okazałą fasadę gmachu sądu – niczego za nią nie ma – i okrążają wybetonowane dno jeziora; jego brzegi są śliskie od czarnych alg. Lekki wietrzyk

powiewa od strony przełęczy Cahuenga, kołysze koronami drzew; przez gęstwinę liści sący się światło rzadkich latarni. Idąc dalej na północ, napotykają kolejne fasady: kryte strzechą chatki rodem z dżungli, zrujnowane górnicze miasteczko, meksykańską wioskę. Tu i ówdzie widać niedopałki i czarne gryzmoły graffiti: najwyraźniej nie oni pierwsi pokonali to ogrodzenie. Gdzieś z oddali pada na nich światło reflektora i omiata ich sylwetki płynnym dwutaktem; zamierają na ułamek sekundy, po czym podejmują marsz.

Wokół nich narasta szum; to może być wodospad albo stłumiony huk jakiejś ukrytej maszynerii, albo po prostu wiatr – nie sposób stwierdzić. Stanley i Claudio przyśpieszają kroku, przedzierają się przez wąski pas drzew i stają twarzą w twarz z kolejnymi dekoracjami, tym razem bardziej wyrafinowanymi: kadłubem parowozu, przedpiersiem średniowiecznej warowni, uroczą miejską uliczką. Hej, szepcze Stanley, przecinając szybko brukowaną jezdnię. To ma być Paryż?

Tak, potwierdza Claudio, rozglądając się nerwowo na boki. Chyba Paryż. A na pewno Europa.

Byłeś kiedyś w Paryżu?

Nigdy.

Skąd wobec tego wiesz, że to Paryż? Nigdzie nie widać wieży Eiffla. Ani tego, no, jak-mu-tam...

Claudio na niego nie patrzy. Sam powiedziałeś, że to Paryż. Ja tylko powtórzyłem po tobie.

Myślimy, że to Paryż tylko dlatego, że tak właśnie wygląda Paryż w filmach? Może filmowy Paryż nie ma nic wspólnego z prawdziwym. Może tamten przypomina Chiny. Jak niby mielibyśmy się o tym przekonać?

Na wprost przed nimi znajduje się okrągła fontanna przyozdobiona figurami czterech skrzydlatych lwów. Jej pusty basen wypełniają szarłaty, które zaplątały się tu z pobliskiej atrapy górniczego miasteczka. Wiatr słabnie, zmienia kierunek i gdzieś z naprzeciwka nadlatuje swąd spalenizny, drażniąc nozdrza Stanleya. Wszystko wygląda na opuszczone, zauważa.

Nikt tutaj nie mieszka. To tylko dekoracje.

No coś ty? Przecież wiem. Nie o to mi chodziło. Chciałem powiedzieć, że nikt z tego od dawna nie korzystał. Jakby cały ten teren zamknięto.

Claudio rozgląda się niespokojnie. Dzisiaj filmy często kręci się w plenerach, mówi. Żeby były bardziej wiarygodne. Czujesz? Chyba coś się pali.

Za kolejnym zakrętem czeka na nich góra poczerniałych płyt gipsowych i poskręcanych dźwigarów: atrapa budynku mieszkalnego po pożarze. Na ulicy i w rynsztokach zalegają hałdy czarnego popiołu i sadzy; pył ten wzbija się z sykiem, ilekroć zawieje wiatr i omiata ich kostki. Ciężko tu oddychać. Stanley spogląda na sąsiadujące z pogorzeliem konstrukcje, żeby się zorientować, co tu kiedyś było – albo miało być – i widzi domy towarowe, kina, teatry, granitowe

podstawy drapaczy chmur. Nowy Jork.

Zostawiają za sobą wypalone zgliszcza i idą dalej, aż dochodzą do gmachu z elewacją z brunatnego piaskowca, z czarnymi poręczami i zakratowanymi oknami. Przekrzywione latarnie oświetlają chodniki. Wygląda to jak lustrzane odbicie Brooklynu, choć w niczym nie przypomina dzielnicy, w której Stanley dorastał. Wie jednak, że gdyby zobaczył to miejsce na ekranie kina, bez dwóch zdań uznałby to za Nowy Jork. Myśli o filmach, które widział i których akcja toczyła się na znanych mu ulicach. Niektóre z nich nakręcono pewnie właśnie tutaj. Z perspektywy czasu wydają się sztuczne i naciągane, lecz Stanley nigdy nie kwestionował ich wiarygodności. Teraz czuje się wystrychnięty na dudka.

Stanley! – syczy Claudio, przyzywając go gestem za przedproże budynku, za którym przykucnął, ale jest już za późno: światło reflektorów pada wprost na Stanleya. Przesuwa się zaraz, pozwalając mu na powrót zniknąć w ciemnościach, lecz już po chwili gwałtownie nieruchomieje. Towarzyszy temu głośny pisk hamulców.

Stanley i Claudio umykają za róg, przebiegają ulicę i kryją się w krzakach za atrapą kościółka z Nowej Anglii. Z tyłu za nimi trzaskają drzwiczki samochodu. I jeszcze jedno. Widzieli cię? – pyta Claudio.

Pewnie, że widzieli.

To co robimy?

Stanley nie odpowiada. Ogrodzenie z siatki jest niedaleko, wątpi jednak, czy zdążą do niego dobiec. Tak czy inaczej, chcąc stąd zwiać, musieliby skoczyć w dół do głębokiego koryta rzeki, a Stanley woli nie robić tego po ciemku. Ale nie ma też sensu cofać się dalej w głąb: jeśli nie będą patrzyli pod nogi, mogą się potknąć albo zapędzić w kozi róg. A drogę, którą tu przyszl, mają odcięta.

Dwa snopy białego światła przesuwają się w dół ulicy zabudowanej gmachami z brunatnego piaskowca: padają z masywnych latarek, takich z ciężkim kwadratowym korpusem. Strażnicy poruszają się jak gliniarze – zachowując między sobą spory odstęp i trzymając latarki z dala od ciał – i Stanley już wie, że ciężko będzie ich zgubić. Nie pamięta, czy strażnik przy bramie był uzbrojony, ale może dać głowę, że ci dwaj są. Nadciągają w mroku z pewnością, jaką daje ludziom broń.

Musimy uciekać, szepcze Claudio. Bo nas znajdą.

Siedź cicho. Jeszcze tu nie skończyliśmy.

I co mi przyjdzie z siedzenia cicho? Nic nie widać, nie wiemy, gdzie się schować. A oni znają to miejsce jak własną kieszeń.

Wiem jedno: zobaczą nas, jak tylko zaczniemy uciekać. Tego właśnie chcą, wykurzyć nas z kryjówek i zastrzelić. Nie przyjechałem z tak daleka po to, żeby wpaść w łapy tych durniów.

Stanley, szepcze Claudio, tego twojego pisarza tutaj nie ma. Nikogo tutaj nie

ma poza tymi dwoma. Będziemy idiotami, jeśli tu dłużej zostaniemy.

Strażnicy zbliżyli się na tyle, że widać już ich twarze: przystojne, opanowane, o zimnych oczach. Każdy ściska w prawej dłoni coś, co wygląda na trzydziestkę ósemkę. Stanley domyśla się, że to gliniarze, którzy dorabiają po godzinach. Nie zawahają się pociągnąć za spust. Mógłby posłużyć się Claudioem jako przynętą, żeby tamci się rozdzielili, a potem osaczyć jednego i odebrać mu rewolwer. Mógłby się też wycofać okrężną drogą do pogorzelniska – z pewnością znalazłby tam coś, za pomocą czego dałoby się rozłupać czaszkę. Choćby kawałek pręta zbrojeniowego.

Pójdę do nich, oznajmia naraz Claudio.

Że co?

Poddam się. Kiedy mnie zaborą, przedostaniesz się przez ogrodzenie. Spotkamy się na drodze. Tam, gdzie wysiedliśmy z autobusu.

Stanley odrywa wzrok od szperających świateł i patrzy na Claudia. Odwaliło ci? – syczy. Jakie „poddam się”? A potem co?

Claudio cały czas obserwuje strażników; Stanley widzi, jak jego ciemne tęczęwki przesuwają się od jednego mężczyzny do drugiego i z powrotem. Jego ciepła prawa dłoń spoczywa ciężko na ramieniu Stanleya. Spojrzenie ma czujne, ale spokojne. Pogadam z nimi, postanawia.

Stanley bierze głęboki wdech. Dzieciaku, mówi, jeśli wezwą gliny, to już po tobie. Odeślą cię z powrotem do Meksyku. O ile dopisze ci szczęście. Tego chcesz?

Nie wezwą żadnych glin.

Tak? A jak do tego doszedłeś, mądralo?

Powiem, że bardzo mi przykro, i będzie po sprawie. Odwraca się do Stanleya i szczerzy zęby w uśmiechu. Mam ładną buźkę, mówi.

Stanley otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale Claudio już wstaje i wychodzi z zarośli. Jak nie zobaczysz mnie za godzinę, mówi, wracaj sam nad ocean. Spotkamy się w bazie.

Idzie teraz środkiem ulicy, z rękami nad głową, szurając stopami. Stanley patrzy, jak się oddala. Światła latarek omiatają chodnik i skupiają się na nim. W ich blasku jego czarną, doskonałą sylwetkę okala biała aureola. Witajcie, przyjaciele, woła Claudio. Chyba się zgubiłem.

Tętno dudni Stanleyowi w szyi i skroniach. Nie śmie nawet drgnąć. Strażnicy podchodzą do Claudia, nikią za kręgiem światła, które pada na jego ciało. Stanley nie słyszy, o czym rozmawiają. Światło jednej z latarek przesuwają się w jego stronę, wzdłuż ścieżki, którą przeszedł Claudio, i pada na krzaki, gdzie Stanley zamiera w bezruchu, z twarzą ukrytą w ściółce z trocin sekwoi.

Jasny promień omiata go raz, drugi, trzeci. Potem zapada ciemność. Stanley odczekuje dobrych trzydzieści sekund, zanim podniesie głowę. Strażnicy schowali broń; jeden świeci latarką na plecy Claudia, podczas gdy drugi staje przed

chłopakiem i kładzie mu dłoń w okolicy karku. Wygląda na to, że niczym nauczyciel tarmosi go za ucho, chociaż gest ten można również odczytać jako pieszczotę. Światło latarki pada na szyję Claudia i sprawia, że nie sposób dostrzec wyrazu jego twarzy. Widać jedynie czarne dziury oczu oraz ust. Po chwili cała trójka zawraca, rusza przed siebie i znika za rogiem.

Stanley czeka na odgłos uruchamianego silnika i szuranie kół na żwirze, czeka, aż blask reflektorów samochodu zblednie w kanionie pustych fasad. Zdaje mu się, że trwa to całą wieczność. Gdy wreszcie wszystko znowu pogrąża się w ciszy i ciemności, wyskakuje z krzaków i pędzi w stronę pogorzelniska, w miarę możliwości wracając po własnych śladach.

Chwilę później jest już w miejscu, gdzie wdarli się na teren wytwórni, lecz po kilku nieudanych próbach zdaje sobie sprawę, że sam nie zdoła pokonać ogrodzenia: nie ma dość siły ani odpowiedniej wagi, aby odgiąć siatkę bez pomocy Claudia. Na południu jest zbyt wiele światła, zbyt wiele zabudowań, kieruje się więc do rzeki, szukając miejsca, gdzie mógłby się prześliznąć dołem. Marnie to wygląda – wzdłuż ogrodzenia na wysokości jakichś dwóch centymetrów od ziemi biegnie drut napinający – w końcu jednak dociera do ciasnego narożnika ze słupkiem, na który można się wspiąć. Przerzuca górą kurtkę, następnie plecak i wzdryga się, gdy ten z łoskotem upada na suchą ziemię. Potem chwyta rękami szorstką siatkę i wbija czubki butów w jej oczka. Przestraszony i niecierpliwy, na samej górze zaczepia nogą o drut kolczasty; rozdziera dzinsy oraz skórę na łydce i na moment znajduje się w pułapce: nie może się wyplątać, a jednocześnie przechyla się w dół pod własnym ciężarem, ryzykując obdarcie nogi ze skóry i twarde lądowanie twarzą w pyle. Na szczęście w porę łapie równowagę, opanowuje oddech – wpatrując się w czerniejący przed sobą grzbiet Mount Lee, która niczym korek zatrzymuje strumień miejskich światła – po czym wyswobadza nogę i zeskakuje z ogrodzenia.

Wraca po własnych śladach, aż jego oczom ukażą się uliczne latarnie, chodnik oraz rozświetlone domy: w ich oknach widać starsze małżeństwa grające w remika i całe rodziny zebrane przed telewizorami. Boczne uliczki prowadzą go do autostrady. Stanley biegnie, czując, jak krew zasycha mu na kostce, niepewny, ile czasu upłynęło: Claudio chciał, żeby spotkali się za godzinę, ale oczywiście żaden z nich nie ma zegarka. Stanley ma wrażenie, że odkąd się rozdzielili, minęła co najmniej godzina.

Dociera na przystanek, ale Claudia tam nie ma. Rzuca plecak na ławkę, siada obok i czeka. Potem wstaje. Za zamkniętą na kłódkę bramą wytwórni nic się nie dzieje, nie widać choćby krótkich błysków reflektorów. Na wschodzie ciemny masyw Cahuenga Peak z wolna nabiera kształtów na szkarłatnym nocnym niebie i kilka minut później wyskakuje zza niego czerwony księżyc, prawie w pełni. Stanley obserwuje jego wędrówkę i to, jak zmienia kolor na żółty, a wreszcie biały.

Ponownie siada, rozpiną plecak i wyjmuję *Złodzieja luster*. Pobliska latarnia daje wystarczająco dużo światła, ale Stanley nie czyta, nie potrafi się skoncentrować. Przez chwilę ma ochotę z całej siły cisnąć książką o bramę wytwórni. Wyobraża sobie, jak tomik wylatuje z jego dłoni i wybucha płomieniem, a ściana ognia wymiata do czysta całą dolinę – ewentualnie dostaje skrzydeł i wzbija się w ciemnościach niczym brunatna sowa, odnajduje Claudia i przenosi go w bezpieczne miejsce. Stanley wierzy, że książka jest zdolna do podobnych wyczynów. Wierzy, że wyczyny, jakie mu obiecała, będą równie wielkie.

Nie rzuca nią jednak. *Złodziej luster* leży zamknięty na jego kolanach, bezwładny niczym zacięty pistolet, Stanley zaś z pamięci odtwarza w myślach treść poematu:

Na zachodzie wznoszą się bliźniacze fantasmagoryczne wieże, z rogu i kości słoniowej, każda zrodzona z czaszki snu. Na wpół przebudzony Crivano śmieje się z surowości ognia. Tak przemówił alchemik: „Kalcynacja wydobywa skarb z każdej rzeczy; niechże cię ona nie znuży!”. W ten li tylko sposób nieczysta substancja może być stopniowo zredukowana do czystej czerwieni:

w piętrowym tyglu

bot – bar – bot

niewidoczna za rozpalonymi do białości drzwiczkami pieca, nową się staje za rozpostartym płaszczem nocy.

Jak poradziłby sobie w takiej sytuacji Crivano? Pytanie to jest głupie z wielu powodów. Po pierwsze, Crivano przyszedłby sam – a na pewno nie przyprowadziłby ze sobą nikogo, kogo żal by mu było zostawić. Stanley może i nie ma takiej wiedzy jak Adrian Welles – na temat historii, alchemii, starożytnych języków czy magii – ale tyle powinien wiedzieć. Powinien umieć postępować jak złodziej.

Autobus w nocy nie kursuje i Stanley zastanawia się, jak wróci nad ocean. Odkłada książkę i znowu wstaje. Krąży nerwowo wokół ławki, od czasu do czasu przystając, żeby zeszkrobać z nogi zaschniętą krew. Nadjeżdża policyjny radiowóz i mijając go, zwalnia. Gliniarze gapią się na niego; Stanley odpowiada im śmiałym spojrzeniem. Auto zatrzymuje się na moment i zaraz odjeżdża. Chłopak głośno przeklina oddalających się policjantów. Potem przeklina Claudia, wreszcie siebie, mamrocząc pod nosem wulgaryzmy podczas kolejnego okrążenia ławki. Po pewnym czasie krzyżuje ramiona na piersi, zgina się w pół i jęczy, zdjęty

dziwnym, całkiem nowym dla siebie uczuciem. Bardziej niż strach przypomina to gwałtowną potrzebę, jakby musiał kichnąć albo natychmiast się wysrać.

Na terenie wytwórni rozbłyskują reflektory. Stanley opada na ławkę i śledzi nadjeżdżające auto. Biały nieoznakowany sedan zatrzymuje się równolegle do bramy. Jego tylne drzwiczki otwierają się i wysiada Claudio. Na moment opiera się o dach, żeby zamienić kilka słów z kierowcą, po czym unosi dłoń w pożegnalnym geście i przechodzi nad niską furtką. Białe auto zawraca, przyśpiesza i odjeżdża, znikając między zabudowaniami wytwórni. Claudio rusza w stronę Stanleya, ręce trzyma w kieszeniach kurtki. Stanley macha do niego. Claudio nie reaguje.

Gdy dochodzi do kręgu światła padającego z latarni na przystanku, Stanley skacze naprzód, chwyta go za ramiona i potrząsa. Niech to szlag, młody! – woła.

Claudio strąca jego ręce, odpycha go od siebie. Stanley robi kilka kroków do tyłu i znów siada na ławce. Claudio wysuwa do przodu podbródek; jego zuchwy drżą z tłumionej wściekłości. Nie dotykaj mnie, do cholery, warczy.

Spokojnie! Po prostu cieszę się, że widzę cię w jednym kawałku. O co ci chodzi?

Claudio odwraca się do niego plecami, potrząsa głową. Ponownie staje twarzą do Stanleya. Film, który kręcił nad oceanem ten twój pisarz, mówi. Jaki miał tytuł?

Nie pamiętam, odpowiada Stanley. Fryzjer chyba mi o tym nie wspominał.

Grały w nim wielkie gwiazdy. Sam tak powiedziałeś, prawda? Nawet ty znałeś ich nazwiska. No to powiedz mi, Stanley, kto grał w tym filmie?

Cholera, młody, nie wiem. Te hollywoodzkie brednie nie mają dla mnie...

Czy jedną z tych wielkich gwiazd nie był przypadkiem pan Charlton Heston?

Stanley przez sekundę się zastanawia. Tak! – mówi. Na pewno grał tam Charlton Heston! Fryzjer powiedział nawet, że go poznał, kiedy ten przyszedł do jego zakładu. Charlton Heston i jeszcze taka słynna aktorka.

Marlena Dietrich? – draży Claudio. Janet Leigh?

Ta druga. Janet. Chyba.

Claudio podchodzi bliżej, staje tuż przed Stanleyem. Oddycha płytko, gwałtownie. Jego bezdenne oczy łypią wściekle na siedzącego Stanleya. Jesteś całkowicie pewien, syczy, że fryzjer mówił o Adrianie Wellesie?

Wracają do miasta na piechotę, kierując się położeniem księżyca, nachyleniem gruntu i sporadycznie mającym pośród drzew napisem HOLLYWOOD. Gdy docierają na Santa Monica Boulevard, są otępiali ze zmęczenia, przeskakują więc przez kamienny mur cmentarza, włamują się do jakiegoś mauzoleum i resztę nocy spędzają, na wpół drzemiąc na twardej, marmurowej płycie, nie zamieniwszy ze sobą ani słowa.

Rano zalega gęsta mgła, lecz szybko znika, unosi się nad miastem niczym kurtyna. Czekając, aż Claudio się obudzi, Stanley przechadza się między grobami, żeby rozprostować zdrętwiałe nogi. Ogląda obrośniętą trawą niskie kwadratowe nagrobki, anioły, posągi i pudełkowate grobowce wyłaniające się spomiędzy ciemnych pni cedrów oraz palm. Nigdy nie wyobrażał sobie, że istnieje takie miejsce. Krzyżuje ramiona, rozciera zziębnięte łokcie i rozmyśla o znanych sobie zmarłych. Ciekawe, co się z nimi stało, dokąd poszli.

W plecaku odnajduje manierkę i prawie czystą ścierkę, po czym przemywa i bandażuje ranę na nodze. Materiał dżinsów zaczyna się już strzępić w miejscu rozdarcia, zbrązowiały od zakrzepłej krwi; będzie trzeba niedługo ukraść nową parę spodni. Przewiązawszy nogę ścierką, wyciąga z plecaka paczkę krakersów, puszkę sardynek oraz *Złodzieja luster*. Siada, je, czyta i nasłuchuje dobiegającego z bulwaru warkotu samochodów oraz nawoływania zagubionych w chmurach mew – odgłosów budzącego się miasta.

Crivano kryje się wśród

kości i węży.

Skrzydła Hermesa niosą go

przez Białą Skałę,

do krainy cieni i snów.

Tam Okeanos, gdzie zatonął Arion!

Takie męczeństwo nie dla Crivana

dzielnego zdrajcy!

Jego flet wyczarowuje senne żniwo

z poletek umarłych.

Gdy Claudio wychodzi wreszcie z grobowca, robi wrażenie osowiałego, czymś zaabsorbowanego, wycofanego, zupełnie jak nie on, lecz Stanley prędko wyciąga go z tego stanu, angażując w rozwiązanie problemu, którym jest dla nich powrót do kryjówki. Kilka przecznic dalej, na progu dwurodzinnego domu, znajdują dwa worki pustych butelek po oranżadzie. Podnoszą je ostrożnie, wzdrygając się, gdy szkło głośniej zabrzęczy, i pędzą na bulwar ile sił w nogach. Dopiero jakieś półtora kilometra dalej znajdują otwarty sklep, za to kaucja za butelki wystarcza im na bilety powrotne i porządne śniadanie.

W miejscu, gdzie Santa Monica Boulevard kończy swój bieg ze wschodu na zachód i skręca ku wybrzeżu, trafiają na tłoczną przydrożną knajpę. Jadłodajnię Barneya. Wstępują tam na kawę i dzielą się porcją naleśników z bekonem. Wśród klienteli przeważają goście w kapeluszach i garniturach: kierownicy produkcji w drodze do pracy w wytwórniach Paramount i Goldwyn, żydowscy lekarze w drodze do szpitala Mount Sinai. Grupka imprezowiczów o oczach półprzetyomnych po całonocnym balowaniu siedzi w narożnym boksie i z lubością, nieśpiesznie zaciąga się papierosami. Przy barze właściciel gawędzi z dwoma szczupłymi mężczyznami w identycznych dwukolorowych gabardynowych kurtkach, ewidentnymi ciotami, którzy stoją tuż obok tabliczki z czarnym napisem na różowym tle o treści PEDAŁOM WSTĘP WZBRONIONY. Stanley i Claudio wymieniają zaskoczone spojrzenia. To ma być dowcip? Czy koleś wie, z kim rozmawia?

Kiedy przy krawężniku zatrzymuje się jadący na zachód autobus linii 75, Claudio zerka za siebie, na budynek restauracji, sztywnieje, spogląda jeszcze raz, żeby się upewnić. Ramón Novarro, szepcze.

Kto?

Ramón Novarro! Tam, właśnie wchodzi do środka!

Claudio wykonuje w tył zwrot, lecz Stanley kładzie mu rękę na mostku i wpycha go do autobusu, zanim kumpel ruszy z kopyta. No, chodźże, młody, mówi. Pora na nas.

Claudio wykręca szyję, a gdy zajmują miejsca, przyciska nos do brudnej szyby. Nie do wiary, ekscytuje się. Ramón Novarro jada śniadania w tej samej restauracji co my. Powinniśmy byli do niego zagadać.

O czym ty, do diabła, chrzaniasz?

O Ramónie Novarro! Gwiazdorze z *Ben Hura!* I *Araba*, i *Romansu królewskiego!* To są filmy o wielkim znaczeniu.

Autobus toczy się naprzód, mija fontanny i pergole Beverly Gardens, Claudio tymczasem w wielkim skrócie przedstawia Stanleyowi karierę Ramóna Navarro i streszcza wątki licznych filmów z jego udziałem, przy czym tak się zapędza, że zlewają się one w jedną epicką, niezwykle złożoną awanturniczą fabułę. Stanley słucha tego wszystkiego jednym uchem. Skulił się na siedzeniu, zamknął oczy i pozwala warkotowi silnika kołysać się do snu. Wyobraża sobie Claudia jako samotnego chłopca w Hermosillo: drobne paluszki kartkujące wyblakłe amerykańskie czasopisma filmowe, czarne oczy rozszerzające się w momencie, gdy w lokalnym kinie gasną światła.

Dochodzi południe, kiedy ponownie widzą ocean. W Santa Monica obrabiają po drodze kilka sklepików spożywczych: Claudio odwraca uwagę właścicieli – „ten Meksykaniec nie rozumie ani słowa po angielsku” – Stanley tymczasem pustoszy półki. W ten sposób szybko uzupełniają zapasy owoców, krakersów i konserw mięsnych. Stanleyowi udaje się nawet podprowadzić kwartę mleka i kilka batoników czekoladowych, lecz nie robi to większego wrażenia na Claudiu. Chłopak jest zmęczony, rozdrażniony. Mgła się podniosła i robi się coraz cieplej.

Claudio popija batona haustem mleka z butelki, podaje ją Stanleyowi. No i co teraz? – pyta.

Nie wiem. Może poleżymy na plaży. Odeśpimy noc. Co właściwie masz na myśli?

Skąd teraz weźmiemy pieniądze?

Claudio wydaje się zubożniały, zachowuje się jak automat, jakby z przyzwyczajenia odgrzewał starą sprzeczkę tylko po to, żeby nie myśleć o czymś innym. Stanley zerka na niego. Pieniądze? – powtarza i potrząsa plecakiem; w środku grzechoczą puszki. Mamy żarcia na dobre trzy dni. Ledwo dźwigam to cholerstwo. Na co ci pieniądze?

Claudio jest czymś wyraźnie skonsternowany. Jego twarz marszczy się, lecz oczy pozostają nieruchome. Potrzebujemy forsy na nocleg, mówi. Porządny nocleg. Żeby się ustatkować.

Ustatkować? – prychnął Stanley. Jakie znowu „ustatkować”? Wiesz w ogóle, co to słowo znaczy?

Wiem. Wiem też, że dłużej tak nie pociągnę.

Stanley łypie na niego, zarzuca plecak na ramię. Tak? Mów za siebie, kolego. Ja żyję w ten sposób, odkąd skończyłem dwanaście lat. Jak ci się nie podoba, trudno. Cholerna ciota.

Claudio blednie, ale nie odpowiada na zaczepkę. Stanleyowi robi się głupio na myśl o własnych słowach. Pomogłem ci, mówi Claudio. Pomogłem ci szukać tego pisarza. Teraz ty móglbyś mi pomóc.

Pomogłeś, akurat. „Nie miałeś chęci” oglądać Hollywood. Tak było? Ależ się poświęciłeś! Jak zdołam ci się odwdziżyć?

Milczące mewy kołują nad nimi w przejrzystym powietrzu; ich doskonale cienie przesuwają się po chodniku niczym wycięte z kartonu sylwetki o nieruchomych skrzydłach, ruchoma dekoracja pokoju dziecięcego. Stanley schodzi z deptaka na piasek. Claudio podąża za nim. Bliżej brzegu wiatr jest chłodniejszy, a plaża praktycznie pusta. Dwie starsze panie niosą naręczą wyrzuconych przez wodę kawałków drewna. Nieco dalej chudy mężczyzna bez koszuli, za to w czarnym berecie, stoi przy sztalugach i maże pędzlem po płótnie. Przed idącymi Stanleyem i Claudiem ucieka stado broźców; co pewien czas ptaki zatrzymują się, jakby na nich czekały, po czym znów podrywają się do biegu.

W kierunku południowym plaża robi się szersza. Gdy są już dostatecznie daleko od deptaka – dostatecznie daleko, żeby żadnemu glinie nie chciało się ich przymknąć za włóczęgostwo – Stanley siada na piasku. Trwa przypyływ: woda się pieni, fale unicestwiają kryte kopułami świątynie i kwadratowe wieże miasta misternie zbudowanego z piasku. Poczerniały kawałek drewna uwiązł na tym, co pozostało z centralnego placu, i Claudio schyla się, aby go podnieść. Wygląda jak spalona deska ze starego statku, pokryta grubą warstwą muszli ślimaków szkarłatników oraz trzonkowców. Musiała długo leżeć w wodzie. Claudio upuszcza ją i kolejna potężna fala zmiata ją do oceanu. W oddali, za linią fali przyboju, morze jest gładkie niby mieniąca się srebrna opaska.

Po pewnym czasie Claudio siada obok Stanleya. Ten otrzepuje dłoń z piasku i wsuwa ją pod koszulę Claudia, dotyka jego wąskich pleców. Kumpel wzdryga się, po chwili rozluźnia. Pomożesz mi zdobyć pieniądze, mówi.

Stanley wpatruje się przed siebie, obserwuje delikatną grę światła na horyzoncie. Ma zmęczone oczy. Chcesz, żebyśmy znowu robili ten przekręt? – pyta. Była z tego niezła kasa.

Gang Psów nie da nam spokoju.

Moglibyśmy się przenieść do miasta. Do Hollywood.

Nie. Wszędzie są jakieś gangi.

Claudio podwija Stanleyowi nogawkę džinsów, odsłania zabandażowaną ranę. Przygląda jej się bez słowa, po czym opuszcza nogawkę. Kładzie dłoń na kolanie przyjaciela i powolutku przesuwa ją po udzie.

Stanley już ma się do niego nachylić, kiedy dostrzega coś w wodzie na prawo od nich. Widziałeś? – pyta.

Co?

Patrz, mówi Stanley i pokazuje ręką.

Trzy czarne kule unoszą się na gładkiej powierzchni mniej więcej w połowie odległości między plażą a linią fali przyboju. Pojawiają się i nikną między grzywaczami. Wyglądają jak kaski nurków wynurzających się co chwila, żeby rzucić okiem na ląd.

Nic nie widzę.

Tam! Jest ich trzy.

Stanley podnosi się, klęka za Claudiem, opiera wyciągniętą rękę na jego ramieniu. Patrz za moją dłoń, mówi. Tam.

Siedzą tak dłuższą chwilę. Ręka Stanleya wznosi się i opada w rytm oddechu Claudia. Jedna z kul znika Stanleyowi z oczu, potem druga i trzecia.

Już ich nie ma. Widzisz?

Claudio milczy. Nic tam nie ma, odpowiada wreszcie.

Stanley odchyła się do tyłu i pada na wznak na piasek. Zamyka oczy. A niech to, mówi, muszę się zdrzemnąć.

Słońce grzeje go w twarz, w powieki. Czuje dłoń na swoim nagim brzuchu. Skąd brałeś pieniądze w Nowym Jorku? – odzywa się Claudio.

Piasek przenosi uderzenia fal i Stanley czuje je pod sobą. Kołyszą go niczym silnik autobusu. Miałem różne sposoby, odpowiada.

To znaczy?

Tutaj i tak są na nic. Żeby taki numer wypalił, trzeba całej grupy ludzi.

A dwie osoby nie dadzą rady? Jesteś tego pewien?

Stanley bierze głęboki wdech, wypuszcza powietrze ustami. Szum poruszanych falami muszli wypełnia jego uszy. Moglibyśmy rolować chlorów.

Kogo?

Chlorów. Pijaków. Namierzasz takiego i zabierasz mu portfel. Proste.

Robi się im krzywdę?

Nie, o ile się nie awanturują. A nawet wtedy z reguły sami się przewracają. Zwykle nie łapią nawet, co się dzieje.

To chyba nie jest dobry pomysł.

W porządku. Daj mi znać, jak będziesz miał lepszy.

Jeszcze się zdziwisz.

Stanleyowi wydaje się, że przysnął tylko na moment, ale gdy budzi się gwałtownie z uczuciem, że spada, ma obolałe gardło i zapiaszczone usta. Wszystko widzi na pomarańczowo. Z przodu jarzy się przeogromne słońce, którego chłodny dysk przecina u dołu linia horyzontu. Claudio gdzieś przepadł.

Z trudem dźwiga się z piasku, z dziko walącym sercem. Trwa odpływ. Kilka metrów w głąb oceanu widać jeszcze białe grzywacze i tuż za miejscem, gdzie się załamują, Stanley dostrzega ciemny kształt – kłodę albo pień wyrzuconej na brzeg palmy. Gdy tak się w nią wpatruje, kłoda niespodziewanie otwiera bystre czarne oczka, porusza się, wygina w łuk i jednym susem znika w głębinie. Kawałek dalej są jeszcze dwie podobne, pływają i baraszkują w czarnej wodzie. Foki. Lwy morskie. Nurkowie Stanleya postanowili dobić do brzegu. Śmieje się sam z siebie, rozespany i półprzytomny.

Na deptaku zapalają się latarnie i ludzie kręcą się pod arkadami. Przechodnie śmieją się, pokrzykują, zbijają w grupki. W cieniu kryje się kilka złowrogich

sylwetek z butelkami; rozglądają się bystro wśród tłumu. Stanley dostrzega dwóch Psów z Wybrzeża włóczących się w okolicy salonu Bridgo: to jacyś świeżo zrekrutowani gówniarze, których twarze nie zna. Przystaje, opiera plecak na ławce i przetrząsa jego wnętrze. Na dnie, między konserwami mięsnymi, spoczywa krótka giętka pałka – dwa zszyte ze sobą zwięzające się kawałki skóry tworzą podłużny woreczek wypełniony grubym śrutem o wadze ćwierć kilograma. Stanley sporządził ją w wolnym czasie kilka miesięcy temu, gdy pracował na ranczu w Kolorado – a może w Nowym Meksyku? Wpycha pałkę z tyłu za pasek niebieskich džinsów i zapina plecak.

Idzie deptakiem, lustrując bacznie tłum wokół, koncentrując się na większych skupiskach; ma przecucie, że Claudio nie będzie sam. Nigdzie go nie widać, ani pod arkadami, ani na żadnej z ławek, więc przy molu Ocean Park zawraca i znów rusza na południe, zaglądając po drodze w boczne uliczki. Kilka przecznic od niego odbija się echem głośny warkot silników, zwiastujący przejazd gangu motocyklowego. To znaczy, że dziś wieczorem Psy będą się trzymać bliżej brzegu i wszczynać bójki, które mogą wygrać. Stanley przyspiesza kroku.

Z naprzeciwna nadmorską promenadą nadciąga paczka kudłatych hipsterów: dwóch brodaczy w sandałach, blondynka o brudnych włosach w czarnym trykocie, białas dźwigający saksofon w pokrowcu oraz Murzyn z trąbką. Już, już mają minąć Stanleya, lecz w ostatniej chwili skręcają w prawo w Dudley Avenue. Blondynka odwraca się jeszcze i kiedy Stanley przechodzi obok, rzuca mu dziwne, porozumiewawcze spojrzenie. On idzie dalej, słysząc w mroku za sobą rozbrzmiewające echem ochryple głosy hipsterów. Przypomina mu się odziane w golfy i palące mentolowe papierosy towarzystwo widywane w Village – z tą różnicą, że ci tutaj są bardziej opaleni, dziksi, zdesperowani. Wspomnienie tego, jak wyglądali, pachnieli i jakie wydawali dźwięki, prześladowuje go przez kilka przecznic; sam nie wie dlaczego.

Rozkojarzony nieomal nie zauważa Claudia, który rozsiadł się na ławce przy Wavecrest Avenue obok smukłego, przystojnego mężczyzny. Ten ostatni ma na sobie wymiętą hawajską koszulę i spodnie, które widziały lepsze dni; mówi po hiszpańsku z płaskim, amerykańskim akcentem. Perorując, śmieje się i gestykułuje lewą dłonią, która co rusz opada lekko na gibkie ramię Claudia. Stanley dochodzi do rogu ulicy i stoi tam, dopóki nie nabierze pewności, że Claudio go zauważył. Dopiero wtedy przechodzi na drugą stronę. Kumpel nie patrzy w jego stronę. Przysuwa się bliżej przystojniaka, błyska oczami i uśmiecha się do niego promiennie.

Lśniący czarno-srebrny montclair z piskiem opon mija znak stopu na Speedway, a przez otwarte okna grzmi z głośników saksofon Chucka Rio. Przystojniak z ławki tańczy na siedząco i podśpiewuje do wtóru melodii, wrzeszcząc „Tequila!” prosto w kipiącą dźwiękami noc. Claudio śmieje się i klepie

go po udzie. Tamten sięga po schowaną w papierowej torbie u swoich stóp butelkę; jego długie palce rozmijają się z szyjką o dobre dwa centymetry. Stanley krzyżuje ramiona na piersi, opiera się o kolumnę i wyrównuje oddech. Jego rozcięta łydka boleśnie pulsuje, opatrunek uciska opuchliznę. Krótka, giętka pałka spoczywa ciężko u nasady kręgosłupa.

Wreszcie Claudio podnosi wzrok i przywołuje go zakrzywionym palcem. Stanley ponownie przecina ulicę i podchodzi wolnym krokiem. Na wargi przykleja uśmiech, czujnie mruży oczy.

Charlie, zwraca się Claudio do przystojniaka, poznaj, proszę, mojego przyjaciela Stanleya. Stanleyu, to jest Charlie.

Encantado de conocerte, Señor, bełkoce tamten i wyciąga niepewnie dłoń. Jego uścisk jest mokry i lepki. Claudio się śmieje.

Miło mi, odpowiada Stanley.

Charlie pracuje w reklamie, informuje go Claudio. Pisze hasła reklamowe.

„Zauważyłeś, ilu twoich sąsiadów kupiło ostatnio meble Hermana Millera?” – recytuje Charlie, naśladując głos spikera radiowego. „W Detroit to żadna tajemnica – konkurencja prędej czy później i tak skopiuje Edsela!”

Stanley przykuca przed ławką i patrzy Charliemu prosto w twarz. Facet ma wybałuszone oczy, źrenice tańczą niby błędne ogniki. Hej, odzywa się Stanley, co ty tam pijesz, Charlie?

Ba-BA ba ba BAA-ba BA-ba! – podśpiewuje Charlie, opryskując Stanleya śliną przy każdym „b”. „Cytryna i sól w martini? *Caramba!*”

Lecz od niego czuć dzin, nie martini: w papierowej torebce tkwi butelka Seagram's. Stanley spogląda surowo na Claudia. Kumpel odwzajemnia spojrzenie, oczy ma okrągłe i szkliste, trudno z nich coś wyczytać. Chodźmy nad ocean, Charlie, mówi. Co ty na to?

Charlie zaprosił mnie do swojej garsoniery, oznajmia Claudio.

Dokąd?

No, ciebie też zapraszam, chłopie, bełkoce mężczyzna. Dwóch do pary, trzech do zabawy. Im więcej, tym weselej. Golniesz sobie?

Nie, mówi Stanley. Chodźmy nad wodę. Woda jest przyjemna i chłodna. Rozbudzisz się.

Świetnie, świetnie, zgadza się Charlie. To świetny pomysł. Uwielbiam wodę, stary. Uwielbiam się tak po prostu zanurzyć i...

Odwraca się do Claudia. Zgadzasz się, chłopie? – pyta. Zgadzasz się? José? Przepraszam! Wybacz. Hm... Jak ty masz na imię? Kasjusz? „Wybladły i chudy”²? Nie. Klaudiusz? K-K-Klaudiusz? Zaraz, czekaj – już mam: „Zanęć dobrze haczyk; niewątpliwie ryba go połknie”³. Chodźmy na plażę. „A potem księżę na dno rzucę morza głębiej, niż sonda kiedy bądź dosięgła”⁴.

Stanley chwyta Charliego za prawe ramię i szarpie nim. Zupełnie jakby

rozciągał ciążutkę: pomimo jego wysiłków facet wciąż siedzi na ławce i znowu sięga po butelkę. Claudio obejmuje dłońmi jego lewą rękę i chwilę później Charlie dźwiga się do pionu.

Prowadzą go przez deptak, w kierunku szumu fal. Obejmują go w pasie, ich ręce stykają się za jego plecami. Nie patrzą na siebie. Dopiero teraz, gdy są tak blisko, Stanley widzi, że Charlie jest porządnie zalany, ledwo się trzyma na nogach. Pod ubraniem wyczuwa anemiczne ciało, samą skórę i kości. Rozczochrane jasne włosy są matowe i brudne. Stanley wie, że gość będzie miał w kieszeni wyłącznie drobniaki. Zastanawia się, dlaczego w ogóle zaczął tę grę.

Przechodzą kilka metrów w głąb plaży. Na granicy światła i cienia Charlie zaczyna im wiotczeć w rękach. Wszystko w porządku, kolego? – zagaduje Stanley.

Tylko nie do wody, jęczy Charlie. Nie jestem gotowy.

Co mówisz?

Powiedziałem...

Charlie zapiera się obcasami, prostuje; stoi teraz na szeroko rozstawionych nogach, z rękoma założonymi za plecy. Przestał bełkotać i mówi z nieskazitelnym bostońskim akcentem z wyższych sfer.

...że nie jestem jeszcze gotowy na kąpiel. Jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Stanley sięga dłonią do tyłu, wsuwa ją pod wyciągniętą ze spodni koszulę i zaciska na plecionej pałce. Drugą ręką puszcza talię Charliego, a ten wali się do przodu jak kłoda, pociągając za sobą Claudia. Stanley nie zdąża wyjąć pałki zza paska, gdy obaj już leżą. W nozdrza uderza go woń spirytusu i jałowca, słyszy bulgotanie alkoholu wylewającego się z upuszczonej butelki. Piasek tłumi chichot Charliego.

Stanley rozgląda się i wpycha pałkę do kieszeni. Teraz siedź cicho, Charlie, okej? – rzuca.

Claudio obraca Charliego na plecy. Ci-cho! – szepcze mężczyzna, pluje piaskiem i ręką gładzi szczupły policzek Claudia. Ciii! „Milczenie jest najlepszym tłumaczem radości”⁵. Prawda, Tadziu? „Mów cicho, jeśli mówisz o miłości”⁶.

Stanley przyklęka obok Charliego i obmacuje mu kieszenie, szukając portfela, czegokolwiek. Z wyjątkiem błękitnej linii horyzontu niebo jest całkiem ciemne. Na jego tle na północy majaczą dziwne sylwetki niedokończonych atrakcji budowanego na moło lunaparku. Stanley przeszukuje Charliego, a jednocześnie próbuje zająć go rozmową. Jak ci się podoba praca w reklamie? – zagaduje.

Nie, nie, nie, nie, nie, odpowiada Charlie. Jestem atman, chłopie. *Atman*. Jestem *anima*, dusza, psyche. Tak jak ty. Jak my wszyscy. Rozumiesz?

Nie piszesz haseł reklamowych?

Już nie, stary. Skończyłem z tym.

No to czym się teraz zajmujesz? Poza piciem?

Jestem poetą, oznajmia Charlie.

Stanley wyjmując rękę z jego kieszeni i mimowolnie wygładza pogniecioną tkaninę. Gdzieś na południu syrena przeciwmgielna wygrywa swoje dwie długie nuty. Ponad miastem zakwitł żółty księżyc w pełni; Stanley widzi przed sobą jego roziskrzone odbicie na falach. No jasne, myśli sobie. To musiało się stać w ten sposób.

Charlie, odzywa się, nie znasz przypadkiem gościa, który nazywałby się Adrian Welles?

Kawalkada motocyklistów pokonuje zakręt przy sklepie Brooksa, gdy Stanley i Claudio zmierzają deptakiem na północ. Dziewczyny w spódnicach z koła i rybaczkach zatykają uszy palcami i gapią się oniemiałe, z otwartymi ustami, podczas gdy snop światła reflektorów omiata wahadłowo budynki, a wystrzały dwucylindrowych silników widlastych przeszywają nadmorskie powietrze. Przed sklepem monopolowym na Breeze Avenue stoją zaparkowane dwa motocykle marki Harley-Davidson; ich chromowane rury i podwozia są tak wypolerowane, że właściwie widać je tylko dzięki zdeformowanym obrazom nocy, które się w nich odbijają. Stanley przyspiesza kroku, nie oglądając się nawet na imponujące maszyny.

Widzisz? – cieszy się Claudio. Genialny ze mnie detektyw.

Masz fart, detektywie, ot co.

Claudio wzrusza ramionami. Nie rozumiem, na czym polega różnica, mówi.

To nawet nie jest fart, ciągnie Stanley. Zdobyłeś informację, na której zależało mnie, a nie tobie. Sam niczego nie zyskałeś. Facet nie miał przy sobie złamanego centa.

Czyli tym razem tobie dopisało szczęście. Bo masz za współnika genialnego detektywa.

Nie gadaj mi o szczęściu, burczy Stanley.

W odległości kilku przecznic przed podupadłym salonem gier zauważa znajome twarze: przywódcę bandy, z którą starli się dwa tygodnie wcześniej, oraz albinosa. Najwyraźniej tym razem wyszli się zabawić, bo obaj są z dziewczynami – szef z cycatą o szczurzej twarzy, albinos z pół-Meksykanką, która wygląda, jakby chodziła jeszcze do szkoły podstawowej – więc nie zwracają większej uwagi na to, co się wokół nich dzieje. Stanley i Claudio z wahaniem przystają, po czym ruszają dalej. Są już blisko tamtych, gdy szef w końcu ich zauważa. Stanley odpowiada mu spokojnym spojrzeniem, minę ma nieprzeniknioną. Oczy tamtego się zwężają. Po chwili posyła Stanleyowi krzywy uśmiech, kiwa głową – wyzywająco, ale z pewnym szacunkiem – i odwraca się do swojej laski. Stanley i Claudio czym prędzej ich wymijają.

Księżyc wisi teraz wyżej i świeci jaśniej, błękitnawo, srebrzyście. Nad dachem Avalon Ballroom majaczą zarysy konstrukcji lunaparku na moło: kolejki górskiej, karuzeli, latający dywan z domalowanymi minaretami i cebulowymi kopułami. Są coraz bliżej. Wskazówki zalanego w trupa Charliego trudno uznać za precyzyjne, ale Stanley dokładnie wie, dokąd idą. Już wcześniej zapamiętał Dudley Avenue i gdy tylko w nią skręcają, z przodu po lewej dostrzega kafejkę, rozświetloną i gwarną. Przechodzą przez ulicę. Stanley pociąga za klamkę i otwiera

drzwi.

Pomieszczenie jest podłużne, oświetlone od góry, z przejściem pośrodku i ośmiokątnymi stolikami po obu stronach. Na części pobielonych ścian krzywymi, czarnymi literami wymalowano różne słowa i zdania, resztę zawieszono wielkimi, zachlapanymi farbą płótnami pełnymi dziwnych zawijasów. W głębi lokalu wystaje bar z wąskim blatem, na którym króluje miedziany ekspres do kawy; za barem znajdują się wiekowa kuchenka, brzęcząca lodówka oraz zgarbiony okularnik w podkoszulku noszącym ślady kawy. Na sali Stanley zauważa hipsterów z deptaka: muzycy siedzą w głębi, blondynka pod ścianą z lewej strony rzuca mu spojrzenie spod ciężkich powiek. Poza tym chyba nikt nie zwraca na nich uwagi. Z każdego miejsca przy każdym stoliku wije się papierosowy dym. Mleczne powietrze zdaje się zastygać i przybierać kulisty kształt zawieszonych pod sufitem białych lamp.

Obok baru ustawiono perkusję. Przed nią, zwrócony twarzą do stolików, stoi młody mężczyzna w dżinsach oraz swetrze i czyta coś na głos ze złożonego na pół notatnika. W prawej ręce ściska ołówek, jakby dopiero zapisał słowa, które wypowiada. Twoimi oczami widzę święte miasto, Hermanie Melville'u, mówi. Ten nów to twój nów, Hermanie Melville'u, a stopy moje zawsze odnajdą twój rytm.

Poezja, myśli Stanley. I zaraz się zastanawia, dlaczego tak pomyślał. Język, który słyszy, w niczym nie przypomina języka znanego mu ze *Złodzieja luster*, a jeśli nie liczyć paru oklepanych wersów, którymi kanciarze z Czterdziestej Drugiej Ulicy wabili studentów Columbii, *Złodziej luster* to jedyne dzieło poetyckie, z którym miał dotąd do czynienia. Jakim więc cudem tak szybko przypiął tym słowom etykietkę poezji zamiast uznać je po prostu za gadaninę jakiegoś nawiedzonego hipstera?

Facet w swetrze nawija jeszcze przez jakiś czas – rozprawiając o Buddzie i Zoroastrze, Sputniku oraz General Motors – i Stanley wyłącza uwagę. Jego spojrzenie wędruje po sali. Trzy czwarte stolików jest zajętych, lecz ludzie wciąż napływają, rozpychają się w poszukiwaniu wolnych miejsc. Dym z papierosów jest niczym opaska na oczy zrobiona z nawoskowanego papieru i Stanley musi mrużyć powieki, żeby coś zobaczyć. Przy stoliku w pobliżu perkusji dostrzega starszego mężczyznę w rogowych okularach i kaszkiecie; facet ma około sześćdziesięciu lat, dwa razy więcej niż pozostali bywalcy tego lokalu. Kiwa głową, zasłuchany w słowa poety. Po jego prawej ręce siedzi groźnie wyglądający typ z czarną brodą i przerzedzoną fryzurą. Krzesło naprzeciwko jest puste.

Stanley szturcha Claudia. Zaczekaj tutaj, mówi. Zaraz wracam.

Przejście wiodące do wolnego krzesła tarasuje czytający mężczyzna; Stanley okrąża go i przechodzi przed samą perkusją. Poeta podnosi wzrok znad notatnika, rzuca Stanleyowi zdziwione spojrzenie, jąka się, przerywa i dopiero po chwili podejmuje przerwana lekturę. Stanley wsuwa się na wolne miejsce przy stoliku.

Brodacz łypie na niego gniewnie, ściąga gęste brwi, spogląda w drugą stronę.

Stanley nachyla się nad blatem do jego starszego towarzysza. Przepraszam pana, szepcze.

Ciii, odpowiada tamten, przykładając palec do ust. Cicho!

Poeta znowu wpadł w rytm; pokrzykuje coś o wieżach i piramidach, o nowym renesansie, o Atlantydzie wynurzającej się z Pacyfiku. Zebrani oklaskują go, wołają „Jeszcze, jeszcze, jeszcze”, ale Stanleyowi wydaje się to sztuczne, przećwiczone. Stuka obcasem w gładką betonową posadzkę, podczas gdy tamten zbliża się do wielkiego finału i wszyscy hipsterzy strzelają do wtóru palcami. Potem znów nachyla się nad blatem stolika. Przepraszam, mówi.

Starszy mężczyzna jeszcze kilka razy strzela wolno palcami, po czym odwraca się do niego, unosząc władczo jedną brew. Młody człowieku, mówi. Jak mogę ci pomóc?

Czy pan się nazywa Adrian Welles?

Brew opada, a twarz mężczyzny kurczy się z irytacji. Brodacz tłumi wybuch śmiechu, wznosi wzrok do sufitu. Mój drogi młodzieńcze, odpowiada ten starszy. Nazywam się Lawrence Lipton.

Mówi to takim tonem, jakby Stanley powinien natychmiast skojarzyć jego nazwisko. Ktoś pochyła się nad jego ramieniem: to poeta chce odzyskać swoje krzesło. Stanley posyła starszemu facetowi błady uśmiech. No to pięknie, mówi. To może chociaż zna pan Adriana Wellesa?

Lipton wpatruje się w niego przez krótką chwilę, zgrywając święte oburzenie, po czym dwukrotnie uderza palcami o biały laminowany blat i odsuwa się z krzesłem od stolika. Ja wszystkich znam, warczy. Omija wzrokiem Stanleya i woła do poety: Tutaj, John! Usiądź na moim miejscu. Muszę zamienić słowo z muzykami.

Gdy Stanley podnosi się, aby go zatrzymać, brodacz delikatnie, lecz stanowczo ujmuje go za ramię. Zaczekaj chwilę, mówi. Adrian Welles zagląda tu czasami. Przychodzi na jazz canto.

Dzisiaj też jest?

Jeszcze nie.

Co to jest jazz canto?

Lipton, akurat okrążający stolik, zatrzymuje się przed perkusją. Obraca się powoli, rozkładając ramiona na podobieństwo magika scenicznego albo gospodarza teleturnieju. Jego otwarte dłonie zdają się ogarniać salę, scenę, całe nabrzeże. *To!* – oznajmia. – To jest jazz canto!

Brodacz wyciąga do Stanleya potężną, kwadratową dłoń. Jestem Stuart, przedstawia się.

Stanley, odpowiada Stanley.

Czego chcesz od Adriana Wellesa, człowieku? Jesteś jego dawno

zaginionym synem albo coś w tym rodzaju? Przychodzisz się upomnieć o swoje dziedzictwo?

Przeczytałem jego książkę, mówi Stanley. Chciałbym go poznać.

To on wydał jakąś książkę?

Po drugiej stronie stołu poeta zajmuje zwolnione przez Liptona krzesło. Kto wydał książkę? – dopytuje się.

Adrian Welles.

Nigdy o nim nie słyszałem.

Mieszka w tej okolicy, wyjaśnia Stuart. Larry go zna. Czytał nam swoje prace zaraz po otwarciu tego lokalu. Musiałeś go widzieć. W pierwszej chwili robi wrażenie odludka, ale jak mu trochę pokadzić, gęba mu się nie zamyka. Aha, Stanleyu, to jest John.

Poeta znużonym gestem podaje mu rękę. Stanley zerka na niego i pośpiesznie ją ściska.

Więc leży ci Welles, tak? – ciągnie Stuart. Kto jeszcze ci leży?

Nie rozumiem pytania, odpowiada Stanley.

Mówię o poetach, człowieku. Kogo jeszcze czytasz?

Stanley spogląda w dół na blat upstrzony woskiem świec. Ma ukruszone krawędzie, w kilku miejscach widnieją przypalone ślady po papierosach. Stanley podnosi głowę i wzrusza ramionami.

Stuart gładzi się po brodzie, śledzi wzrokiem dym wijący się wokół kulistych lamp pod sufitem. Welles jest w porządku, stwierdza. Bystry z niego gość. Ale muszę powiedzieć, że styl ma okropnie staroświecki. Nie zrozum mnie źle, nie mam nic przeciwko T.S. Eliotowi. *Ziemia jałowa* normalnie mnie zachwyciła. Ale to, co robi Welles, to zwykły reakcjonizm, gryzienie własnego ogona. Pewnie, że te wszystkie stare pryki – Patchen, Rexroth, Adrian Welles, Curtis Zahn, cholera, czasami nawet nasz Larry – są jeszcze na chodzie. Mają głowę na właściwym miejscu, ale tam pod żebrami, po lewej stronie, coś jest u nich zdecydowanie nie tak. Chociaż sami o tym nie wiedzą.

Prawie na środku blatu, w miejscu częściowo zasłoniętym przez grubą czerwoną świecę, wycięto fragment laminatu w kształcie rombu, odsłaniając płytę pilśniową. Ktoś nakleił tam znaczek za trzy centy z hasłem WOLNOŚĆ RELIGIJNA W AMERYCE i tuszem dorysował wokół różne symbole: gwiazdy, księżycy, krzyże, znaki Ankh, sigile. Wyglądają znajomo, lecz znaczenie większości z nich nie jest dla Stanleya jasne.

Poezja, którą uprawiają, mówi dalej Stuart, przypomina cool jazz, pojmujesz? To ta sama sytuacja. Nauczyli się tak dobrze artykułować swój problem, że zapominają poszukać rozwiązania. Robi się z tego jakiś koszmarny odlot. My, współcześni poeci, powinniśmy podjąć dzieło w miejscu, w którym przerwał Eliot, zacząć od tego, co powiedział grom. *Śanti śanti śanti*, człowieku.

John kciukiem wskazuje wejście. Skoro już mowa o odlotach, mówi, to patrzcie, kto właśnie przyszedł.

Stuart obraca się w ślad za jego palcem, a Stanley podąża za spojrzeniem brodacza. W drzwiach stoi drobna czarnowłosa kobieta o sennym, zagubionym wyrazie twarzy. Za nią widać faceta z zakrzywionym niczym dziób nosem i niskim, małym czołem, trzymającego rękę na jej karku. Cera mężczyzny jest równomiernie szara, barwy ugotowanego mięsa; w martwej twarzy błyszczą maleńkie oczka. Kobieta – szczupła, o szerokich biodrach i ramionach – ładna, chociaż jej uroda prędko przeminie. Nawet w gęstym dymie Stanley rozpoznaje w nich parę ćpunów. Wyglądają razem jak bruchomówca ze swoją lalką.

To nie on, odzywa się Stanley. Prawda?

Welles? – śmieje się Stuart. Skąd, człowieku. To jakby przeciwieństwo Wellesa.

Co on tutaj robi? – dopytuje się John. Myślałem, że dawno ruszył w drogę. Czy on i Lyn nie mieli wrócić do Nowego Jorku?

Mieli, ale przekonałem go, żeby zostali dłużej i wyjechali już po tarle, odpowiada Stuart. Alex za nic nie zrezygnowałby z darmowej wyzerki.

Po tarle? To jeszcze ze dwa tygodnie.

No coś ty, stary, tarło zacznie się jutro. Dzisiaj jest pełnia, pojmujesz?

Co ty pieprzysz, Stuart. Jutro nie będzie żadnego tarła. Jeszcze za wcześnie. Woda za zimna.

Stuart szczyrzy zęby w uśmiechu. Wszystko ci się pochrzało, stary. Bob, Charlie i ja poszliśmy wczoraj w nocy nad ocean i obcowaliśmy z Neptunem oraz jego nimfami. To informacja potwierdzona przez samego króla. A na jego słowie można polegać jak na Biblii. Jutro zacznie się tarło.

Za plecami Stanleya Murzyn wygrywa na trąbce stłumione gamy; saksofonista ssie stroik saksofonu altowego. Blondynka oraz kilku innych hipsterów gromadzą się wokół baru i siadają na podłodze, plecami oparci o ściany. Lipton daje znak Stuartowi, w jego drugiej ręce trzepocze wymięty arkusz papieru. Oho, mówi Stuart. Przedstawienie czas zacząć.

Podnosi się, z tylnej kieszeni spodni wyciąga notatnik i staje z przodu przed perkusją. Na stojąco jest niższy, niż Stanley by się spodziewał: niewiele wyższy od niego samego. Lipton poklepuje Stuarta po plecach, podchodzi do stolika, żeby zająć zwolnione przez niego krzesło.

Stanley podnosi się, przeciska obok Liptona, dotyka Stuarta w ramię. Potrzebuję twojej pomocy, mówi. Jak znaleźć Wellesa?

Stuart nie podnosi wzroku, kartkuje notatnik. Jeżeli dzisiaj przyjdzie, odpowiada, to cię przedstawię.

A możesz mi powiedzieć, gdzie mieszka? Albo gdzie pracuje? Masz jego numer telefonu?

Nie znam ani numeru, ani adresu, odpowiada Stuart. Wzdycha, zamyka notatnik i patrzy Stanleyowi prosto w oczy. Słuchaj, mówi. Muszę się teraz skupić. Później pomogę ci znaleźć Wellea. Daj sobie na razie na wstrzymanie, okej?

Stanley spogląda w stronę wejścia. Kilka kroków na lewo gapi się na niego blondynka. Jej oczy – ciemnobrązowe, szkliste jak u lalki – są szeroko otwarte. Widok ten jest dla Stanleya tak krępujący, że aż mruga. Wciska dłonie w kieszenie, odwraca się, przechodzi przez salę i staje przy drzwiach.

Claudio dołączył do młodszego grona po drugiej stronie przejścia. Trójka dziewcząt siedzi, a dwaj kołesie wspierają się o oparcia ich krzeseł. Claudio zgrywa nieśmiałego, rozgląda się zażenowany i wzrusza ramionami. Opowiada im jakąś historię, najprawdopodobniej swoje przygody żółtodzioba na pustyni w Arizonie. Obaj kołesie nadstawiają uszu, żeby go lepiej słyszeć, a trzy podfruwajki wyglądają tak, jakby chciały go zabrać do domu, piec mu ciastka i przebierać w fantazyjne stroje.

Stanley czuje, że ktoś przysuwa się do niego z prawej strony: mężczyzna z nosem niczym ptasi dziób. Im jest bliżej, tym większa nieufność ogarnia Stanleya. Uczucie to przenika go na wskroś i jest właściwie całkiem przyjemne – nie zaznał go, odkąd wyjechał z miasta: facet na metr zalatuje oszustem. Stanleyowi jest z tym dobrze, chociaż takie spotkanie może zwiastować kłopoty. Postanawia rozegrać to na spokojnie, unika wzroku tamtego.

Nie widziałem cię dotąd tutaj, zagaduje nieznajomy. Jestem Alex.

Stanley.

Ruchem swojej wielkiej głowy Alex wskazuje na Claudia. Ten przystojny pedałek wszystkich zawojował, mówi. Nie traci chłopak czasu, co?

Stanley uśmiecha się, ale milczy

To twój partner, ciągnie Alex. Dobrze się z nim pracuje?

Stanley uświadamia sobie, że Alex dopiero wszedł; nigdy nie widział ich obu razem, a przynajmniej nic na ten temat nie wiadomo. Odwraca się twarzą do tamtego.

Alex prezentuje mu swój profil starca z gór. Gapi się w przestrzeń przed sobą. Ty i twój przyjaciel ostatnio cienko przedziecie, stwierdza. Zgadłem? Mieszkacie na ulicy.

Mówi z obcym akcentem: angielskim, ale nie do końca, irlandzkim albo szkockim, Stanley nigdy nie potrafił ich rozróżnić. To żaden wstyd, ciągnie Alex. Chociaż takie życie potrafi być bardzo ciężkie. Sam byłem kiedyś włóczęgą i to nie raz. Ale zawsze sam wybierałem taki los. Na pewno mnie rozumiesz. Powiedz mi, twój przyjaciel... to w tych sprawach zawodowiec?

Stanley czuje ukłucie gniewu, ale nie daje tego po sobie poznać, ma opanowany głos i kamienny wyraz twarzy. Nie, odpowiada. A bo co? Byłbyś chętny?

Mógłby sporo zarobić, oznajmia Alex. Oczywiście nie tutaj. Znam wiele takich miejsc.

Nie jest zainteresowany.

Alex zerka na Stanleya. Jego oczy zwięzają się, wyglądają teraz jak przecinki. Jesteś z Nowego Jorku, mówi. Poznaję po akcencie. Z jakiej dzielnicy?

Z Brooklynu.

Flatbush? Borough Park?

Williamsburg.

Żyd?

Tak, odpowiada Stanley. No pewnie.

Włóczyło się trochę, co?

Nie mniej niż ty, jak sędzę.

Święte słowa. Co cię sprowadza do Kalifornii?

Praca.

Jaka konkretnie?

Stanley rzuca mu śmiertelnie poważne spojrzenie. Pałkarza u Dodgersów, mówi.

W pierwszej chwili Alex jest skonsternowany; potem wybucha głośnym śmiechem i nagle wszyscy się na nich gapią. Stanley nie zamierzał zwracać na siebie uwagi. Spuszcza wzrok, zachowuje kamienny wyraz twarzy i czeka, aż ciekawscy się znudzą.

Śmiech Alexa cichnie. Przez krótką chwilę mężczyzna milczy, po czym się odzywa. Tam stoi moja żona. Na imię ma Lyn. Żyjemy w konkubinacie, nie było oficjalnego ślubu. Niemniej jednak jesteśmy małżeństwem.

Nie wskazuje jej Stanleyowi ani nawet na nią nie patrzy. Lyn stoi oparta o ścianę w drugim końcu sali, obok trzech kobiet, które rozmawiają ze sobą na siedząco. Kompletnie ją ignorują, jakby Lyn była niewidzialna.

Za kilka dni stąd wyjeżdżamy, informuje Alex. Jedziemy do Las Vegas. Byłeś tam kiedyś?

Nie wydaje mi się.

Lyn poszuka roboty jako tancerka. Właściwie powinienem powiedzieć: striptizerka. Za parę dolców ekstra pozwoli się wydupczyć. Nic w tym wstydliviego. Każdy orze, jak może. Wszystkich nas to dotyczy.

A ty co będziesz robił?

Jestem pisarzem, odpowiada Alex. Zamierzam pisać.

Po drugiej stronie sali Lipton powiewa w górze papierami, wykrzykując coś w rodzaju powitania. Przy nim stoi Stuart z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Oczy ma zamknięte, nos wycelowany w sufit. Jakiś biały kudłaty studenciak zasiadł przy perkusji, przeciąga miotełkami po największym talerzu i werblu. Blondynka wstaje z podłogi, sunie plecami po ścianie. Ponad jej głową pochyłe

czarne litery głoszą: SZTUKA TO MIŁOŚĆ TO BÓG.

Alex mówi cicho; Stanley wyteżę słuch, zarazem jednak zgrywa niezainteresowanego. Niełatwo zdobyć zapasy na taką podróż, ciągnie Alex. A ty mi wyglądasz na sprytnego i obrotnego chłopaka. Myślę, że moglibyśmy sobie nawzajem pomóc. Mam znajomości, które mogłyby okazać się przydatne.

A ja nie mam żadnych, rzuca Stanley. Tracisz tylko czas, kolego.

Jesteś tu mile widziany, odpowiada Alex. Każdy, kto nie jest ograniczony i konwencjonalny, jest tutaj mile widziany. Ale to nie twój świat. Nigdy nim nie będzie. Podobnie jak twój świat nie jest moim. Takich jak ty nazywa się nieletnimi przestępcami. To głupia etykieta, obraźliwa. Unieważnia całe bogactwo nieudokumentowanych ludzkich doświadczeń i niełatwo jej się pozbyć. Nie proponuję ci zrozumienia. Wiem, że go nie pragniesz. Oferuję ci jednak swój szacunek. Możemy sobie dopomóc. Tego jestem pewien.

Słowa Alexa giną niemal całkowicie w krótkiej fanfarze odgrywanej na dwa rogi; mężczyzna klepie Stanleya w plecy ciężką ręką, uchyla rondo wyimaginowanego kapelusza i oddala się w kierunku muzyków. Perkusista wydobywa z instrumentu rozwibrowany rytm, Stuart zaś – wciąż z zamkniętymi oczami, wymachując przed sobą notatnikiem – zaczyna krzyczeć na całą salę. „Srebro! – woła. – Ciemność! Echo! Ocean! Zabierz to, co twoje, o Pani! Głos swój daję ci w darze”. Sala zdaje się kurczyć, powietrze gęstnieje. Wygolone włosy na karku Stanleya stają dęba jak duchy.

Stuart przemawia prostym, w zasadzie konwencjonalnym językiem, lecz jego głos jest tak melodyjny, hipnotyzujący i całkowicie odmieniony, że Stanley nie pojmuje prawie nic z tego, co słyszy. Czasami rytm wypowiedzianych słów odzwierciedla rytm perkusji, to znów mu się przeciwstawia. Dmący w dęciaki są kompletnie skołowani; pogubili się i wygrywają karkołomne dźwięki w tych krótkich chwilach, gdy recytator przerywa dla nabrania oddechu. Jeden z ulotnych fragmentów przykuwa uwagę Stanleya – „Sięgam po rozżarzony węgiel i ssę poparzone palce” – i wydobywa z zakamarków jego pamięci historię młodego Mojżesza w Egipcie, którą zwykł mu opowiadać dziadek. Stanley wyobraża sobie Stuarta skąpanego w jasności, taszczącego kamienne tablice ze szczytu świętej góry; uśmiecha się pod nosem na tę myśl.

Dym drapie go w gardle, przyprawia o zawroty głowy. Skaleczona noga jest ścierpnięta i drży, Stanley cofa się więc, aby się oprzeć o ścianę przy wejściu do kawiarni. Po drugiej stronie drzwi stoi jakiś mężczyzna – brzuchaty, rudobrody, w średnim wieku, w tweedowym kaszkiecie na głowie i okularach w czarnej oprawce. Przez chwilę obaj mierzą się wzrokiem. Potem odwracają się i patrzą przed siebie, w głąb sali, znieruchomiali niczym atlanci, podczas gdy basowy rytm perkusji pulsuje delikatnie w ich trzewiach i głowach.

Wczorajszej nocy na Abbot Kinney Boulevard spotkałem archanioła Sariela,

mówi Stuart. Sobowtóra Roberta Ryana. Był zmarnowany, nieogolony. Z przodu Lipton kiwa głową w takt muzyki, zaciśniętą pięścią jednej ręki uderza w otwartą dłoń drugiej. Alex znalazł Lyn pod ścianą po lewej stronie sali; zasłania ją swoim ciałem. Na wprost Claudio pokłada się między dwiema hipsterkami; odwraca się i posyła Stanleyowi rozanielony uśmiech. Gówniarz całkiem zapomniał, po co tu dzisiaj przyszliśmy, uświadamia sobie Stanley. A może tak naprawdę nigdy tego nie rozumiał.

Blondynka przeciska się przez salę, kieruje w stronę Stanleya. Przemyka między stolikami niczym papierowy kubek niesiony nurtem kamienistego potoku. Nie odrywa od niego pustego spojrzenia, dopóki nie znajdzie się kilka kroków przed nim. Wówczas gwałtownie skręca, aby wziąć pod rękę rudobrodego mężczyznę. Stanley widzi, jak przytula się do niego, kładzie dłoń na jego brzuchu i wspina się na palce, aby mu coś wyszeptać do ucha. Jej poza – wygięta talia, złęczone, spowite w czerń kolana, wypięty tyłek – przypomina Stanleyowi fotosy *pin-up girls*. Ciekawi go, czy całe to przedstawienie jest wykalkulowane, żeby zrobić na nim wrażenie. Jeśli nie liczyć kilku szybkich mrugnięć powiekami, twarz rudobrodego pozostaje nieruchoma i pozbawiona wyrazu.

Dziewczyna kończy szeptać, cmoka mężczyznę w rumiany policzek i wraca na swoje miejsce w drugim końcu zatłoczonej sali. Dotarcie tam zajmuje jej dłuższą chwilę. Nie ogląda się na Stanleya ani na rudobrodego. Gdy wreszcie się zatrzymuje, rudobrody odkleja się od ściany, odwraca tyłem do wnętrza sali i jednym ruchem otwiera drzwi lokalu.

Stanley obserwuje go przez namalowane na szybie litery ułożone wspak. Facet przystaje przy krawężniku, nabija fajkę, zapala. Następnie przechodzi przez ulicę. Do kosza na śmieci na przeciwległym chodniku przywiązany jest nieduży, krzywonogi psiak; brodacz odwiązuje smycz i razem ruszają w stronę plaży. Znad oceanu w głąb lądu pełźnie strzępiasta mgła i mężczyzna wraz z psem niktą mu z oczu, zanim dojdą do deptaka.

W lokalu murzyński trębacz przestał szukać pauz między strofami Stuarta i wygrywa teraz jakiś niesamowicie zapętlony riff w tle wypowiedzianych przez poetę słów; saksofon altowy wtóruje mu jęklwym ostinato. Częstotliwość uderzeń w wielki bęben narasta, dudnienie jest coraz głośniejsze, aż zlewa się w jeden huk – istne trzęsienie ziemi. Słuchacze mają wrażenie, że z ust Stuarta nie padają już pojedyncze słowa, tylko potoczysty bełkot, brzmiący tak, jakby niósł ze sobą jakiś sens, choć nie sposób się go doszukać. Oczy Stanleya lustrują tłum – John stoi na krześle, Alex wkłada dłoń Lyn pod spódnicę, blondynka zsuwa się plecami po ścianie i znika z pola widzenia – a potem ich powieki się przymykają. Dochodząca z parkietu fala muzyki zdaje się go wciskać w mur. Przestaje odróżniać saksofon od trąbki, trąbkę od perkusji, perkusję od głosu Stuarta. Nagle wszystkie dźwięki znikają, jakby zapadają się w siebie, tworząc jednorodny zgiełk pochłaniający

wszystko.

Chwilę później Stanley siedzi na krawężniku przed kafejką, łapczywie chwytając ustami chłodne powietrze, niepewny, jak się tam znalazł. Muzyka dobiega zza jego pleców w formie stłumionej kakofonii dźwięków, które wyostrzają się, ilekroć ktoś otworzy szerzej drzwi. Palce Stanleya zaciskają się na zabandażowanej nodze: rana na łydce znowu się otworzyła. Brązowy ślad znaczy środek białego opatrunku, u dołu jest szerszy i ciemniejszy.

O tej porze Dudley Avenue aż do deptaka świeci pustkami. W przerwie między zabudowaniami, w blasku latarni ciągnących się przy nabrzeżu, widać pojedynczych przechodniów. Żaden nie wyprowadza psa na spacer. Nad oceanem rozlewa się mgła, za którą nikt nie księżyc w pełni, rozmyty w swojej żółtawej poświacie; wygląda, jakby naciągnięto nań nylonową pończochę. Deptak pustoszeje na oczach Stanleya. W żadnym kierunku nikogo nie widać. Atmosfera jest ciężka, duszna, jak powietrze w dawno niewietrzonym, ciemnym pokoju. Wszystko wydaje się nierealne: przypomina scenografię do filmu zbudowaną wyłącznie na użytek Stanleya i rudobrodego mężczyzny.

Chłopak wstaje z krawężnika, ale kręci mu się w głowie. Zamyka oczy i czeka, aż wirujące pod powiekami wielobarwne plamy uspokoją się, zwolnią i znikną. Dopiero wtedy otwiera oczy i jak najszybciej kuśtyka w stronę plaży.

Z ciemności mrugają grzywacze przyboju, zabarwione na kolor miedzi przez padające z brzegu światła. Uderzenia fal przypominają oddech niewidocznych śpiących. Gdy Stanley dociera do deptaka, jego skórę pokrywa cienka warstewka potu, idzie jednak pewnym krokiem i szybko pokonuje odległość dzielącą go od plaży. Latarnie jarzą się we mgle – przypominają sznur mętnych paciorków łączący Santa Monica z polem naftowym – lecz w ich świetle nigdzie nie widać rudobrodego mężczyzny z psem. Mniejsze i większe grupki ludzi zebrały się na południu przy Windward Avenue oraz na północy przy Avalon Ballroom, ale ten fragment promenady jest niemal pusty. Z prawej strony nadchodzi dwóch motocyklistów w skórzanych kurtkach i obcisłych dzinsach. Liżą lody w rożkach; jeden z nich rzuca Stanleyowi przeciągłe spojrzenie. Wal się, odpowiada mu Stanley.

Motocyklista wzrusza ramionami i odchodzi. Stanley zostaje sam. Ciekawe, która jest godzina. Domyśla się, że musi być już późno, najpewniej po północy. Zastanawia się, czy nie wrócić do kawiarni. Psy z Wybrzeża z pewnością krążą w tej okolicy, szukając kłopotów, a on wolałby się na nich nie natknąć w obecnym stanie. Zresztą rudobrody najprawdopodobniej śpi już smacznie we własnym łóżku.

Stanley stara się sięgnąć wzrokiem jak najdalej na południe i jedna po drugiej dokonać przeglądu sylwetek na deptaku. Ponad dachami sklepów błyskają przyćmione zielone światelka na szczytach dalekich wież wiertniczych. Stanley słyszy warkot podwójnego silnika i widzi światła pozycyjne schodzące w dół w kierunku lotniska; niby zabłąkane komety ciągną za sobą pasma mgły. Stanley obserwuje lądujący samolot. Potem schodzi na plażę, osłaniając oczy dłonią, żeby źrenice się rozszerzyły. Księżyc jest teraz błękitną smużką zawieszoną wysoko nad powierzchnią wody, rozjaśnia swoją poświatą całe zachodnie niebo.

Kiedy Stanley czuje pod stopami twardy, wilgotny piach, osuwa się na kolana i rozgląda po brzegu w obie strony, chłonąc grę światła na granicy lądu i oceanu: biały piasek, czarną wodę, tysiące odbić na falach. To taka sztuczka, której sam się nauczył. Klęcząc, rozmyśla o swojej długiej podróży przez kraj, o prostej zabawie, którą zwykł zabijać czas w wagonach towarowych. Wyglądał wówczas przez szczelinę w przesuwanych drzwiach i usiłował liczyć wszystko, co zobaczył: mosty, drogi, stodoły, przelatujące jastrzębie. Z początku była to konkurencja z udziałem innych znudzonych włóczęgów i robotników sezonowych – wszyscy się w to bawili – lecz wkrótce zaczął odczuwać frustrację i skrepowanie. W liczeniu nikt mu nie dorównywał. Inni wręcz często zaprzeczali, aby coś, co Stanley bez wysiłku zauważył, w ogóle można było wypatrzyć. Kontynuował więc zabawę w ukryciu, grając sam ze sobą. Z czasem stawał się coraz bardziej ambitny:

próbował liczyć słupy telefoniczne, podrywające się do lotu gołębie, przypominające wannę platformy innych pociągów, a raz nawet, podczas wyjątkowo nudnego odcinka, policzył wszystkie podkłady kolejowe między Winslow a Flagstaff. Cała sztuka polegała na tym, aby zsynchronizować wzrok z rytmem rozbłysków światła między mijanymi przedmiotami. Owo pulsowanie stało się dla niego swoistym kodem. Z jego pomocą potrafił odczytać niemal wszystko.

Rok wcześniej, na początku października, podczas niedzielnej partyjki pokera w baraku na ranchu w Nowym Meksyku, a może w Kolorado, przyszło mu na myśl, że mógłby wykorzystać tę samą metodę do liczenia kart w trakcie ich tasowania. Dotychczas jednak, zaprzątnięty innymi sprawami, nie potraktował tego pomysłu poważnie.

Okrągły księżyc podskakuje na wodzie rozbity na miliony owali i półksiężyców tworzących migotliwą siatkę, którą oczy Stanleya muszą stopniowo zmienić w neutralne tło. Niespełna dwieście metrów na południe, gdzieś w połowie drogi do Brooks, z mroku wyłania się bezkształtna ciemna plama: rudobrody i jego pies. Krążą, stale zmieniając kierunek. Stanley rusza naprzód, aby znaleźć się między nimi a deptakiem, przy czym przez cały czas stara się widzieć ich sylwetki na tle nieba. Nie widzi jeszcze rysów mężczyzny, ale zarys postaci jest całkiem wyraźny. Ukryta w kieszeni pałka ociera Stanleyowi udo; wyciąga ją i chowa tam, gdzie przedtem, za pasek spodni.

Powiew wiatru niesie ze sobą słabą woń dymu fajkowego. Mężczyzna podśpiewuje sobie, a może psu, w języku, którego Stanley nie rozpoznaje. Nie jest to hiszpański Claudia ani włoski sąsiadki jego rodziców, ale brzmi dość podobnie. Mężczyzna zmierza teraz wprost na Stanleya, jest coraz bliżej. Stanley w milczeniu utrzymuje stały kurs. Widzi już pomarańczowy żar tytoniu, gdy tamten się zaciąga, i smugę dymu, drżenie powietrza nad główką fajki. Niebo wydaje się takie kruche, jakby spajał je niewidoczny szklany pancerz. Może je roztrzaskać jedno słowo.

Gdy zbliża się na niecałe pięć metrów, rudobrody w końcu go zauważa. Zaskoczony wciąga powietrze i gwałtownie staje. Pies ciągnie smycz, węszy, po czym odskakuje w tył, jakby go wąż ukąsił, i zaczyna szczekać.

Dobry wieczór, odzywa się Stanley. Przepraszam pana.

Mężczyzna przekłada smycz do lewej ręki, prawą chowa za plecy. Na swetrze ma tweedową marynarkę, w ciemności trudno rozpoznać fakturę materiału. Stanley głośno przełyka ślinę.

Nie zauważyłem cię, mówi tamten. Przestraszyłeś mnie.

Proszę się nie bać. Nie mam złych zamiarów.

Głos jest napięty, ale opanowany. Mężczyzna wygląda na zalęknionego. Prawą rękę wciąż trzyma za plecami. Nie powinieneś sam chodzić nocą po plaży, mówi. Tutaj nie jest bezpiecznie.

Stanley wyciąga przed siebie obie ręce, rozpościera palce, lecz mężczyzna wcale się nie odpręża. Kuli się, wycofuje i Stanley jest niemal pewien, że weźmie zaraz nogi za pas. Tyle czasu rozmyślał o tym, co powiedzieć w tej chwili, a teraz nic mu nie przychodzi do głowy. Słowa zdają się przed nim uciekać. Czuje, że jego usta otwierają się i zamykają. Pan Adrian Welles? – pyta.

Mężczyzna zamiera, milczy – nieruchomy cień na tle srebrzystej kurtyny oceanu. Stoją tak obaj, prawie nie oddychając, a czas zdaje się wlec niemiłosiernie. Stanley jest świadomy obecności psa, który warczy i pazurami rozgarnia piasek.

Kim jesteś? – pyta go rudobrody.

Kiedy Stanley znów się odzywa, wydobywający się z jego ust dźwięk całkiem go zaskakuje. W przeszłości zdarzało się, że w momentach paniki głos po młodzieńczemu mu się załamywał; kiedy indziej, gdy Stanley odczuwał smutek albo zmęczenie, brzmiał zaskakująco dojrzałe, niczym zapowiedź starca, którym Stanley pewnego dnia się stanie. Lecz ten, którym teraz przemawia, w niczym nie przypomina tamtych głosów. Należy do kogoś obcego, jakiejś postaci z jego poprzedniego życia. Wsłuchaj się w niego uważnie, bo nigdy więcej go nie usłyszysz.

Czy pan się nazywa Adrian Welles? – pyta Stanley.

Odpowiedź zna z góry i już się nie boi.

Welles cofa się, ściąga i zwija psią smycz. Ręce trochę mu się trzęsą. Jest starym człowiekiem w ciemnościach. Nie zbliżaj się, mówi. Mam pistolet i nie zawaham się go użyć.

Szukałem pana, mówi Stanley. Nie zrobię panu krzywdy. Panu ani pańskiemu psu. Chcę tylko porozmawiać o pana książce.

Welles bierze płytki wdech, wypuszcza powietrze z płuc. O mojej książce, powtarza.

Tak, proszę pana. O pańskiej książce. O *Złodzieju luster*.

Stanley jeszcze nigdy nie wymówił na głos tego tytułu. Teraz żałuje, że to zrobił – te słowa jakoś nie leżą mu w ustach. Wypuszczone w powietrze wydają się martwe, nieadekwatne do tego, co się za nimi kryje.

Kim jesteś? – chce wiedzieć Welles. Kto cię tutaj przysłał?

To ostatnie pytanie wydaje się Stanleyowi co najmniej dziwne. Nikt mnie nie przysłał, odpowiada. Sam przyszedłem.

Welles stawia stopy pewniej na piasku. A potem mówi coś w obcym języku. Brzmi to jak hebrajski. Słucham? – nie rozumie Stanley.

Welles powtarza zdanie. To nie hebrajski.

Przykro mi, panie Welles, ale nie mam zielonego pojęcia, co pan do mnie powiedział.

Jak się nazywasz, synu?

Stanley.

Chodziło mi o nazwisko. Jak ono brzmi?

Stanley nie widzi twarzy tamtego dostatecznie wyraźnie, żeby coś z niej wyczytać. Krótkie palce mężczyzny wciąż odruchowo zwijają psią smycz. Szkła okularów przybrały miedziany odcień światła deptaka, a dolną połowę każdego przecina pionowo ciemny kształt, coś jakby źrenica kota; Stanley rozpoznaje w odbiciu własny cień.

Glass, przedstawia się. Nazywam się Stanley Glass, proszę pana.

Prawa ręka Wellesa wyłania się zza pleców. Mężczyzna wyciera dłoń o marynarkę, opiera na biodrze, po czym pozwala jej swobodnie opaść. Widziałem cię dzisiaj wieczorem, odzywa się. W kawiarni. Dlaczego wtedy mnie nie zagadnąłeś?

Z początku nie wiedziałem, że to pan. Tak przypuszczałem, ale na sto procent nie byłem pewien. Może, hm, popuściłby pan temu psu trochę smyczy, panie Welles?

Plecioną skórzana smycz tak grubo oplata dwa pierwsze palce Wellesa, że pies niemal uniósł się do góry. Zwierzę cofa się i obraca na tylnych łapach jak

fryga, przednimi młóćąc rozpaczliwie w powietrzu. Szczeknięcia zastąpił zduszony charkot. Och, reflektuje się Welles. Rzeczywiście.

Stanley spogląda na ocean, potem spuszcza głowę i patrzy na piasek. Przesłupuje z nogi na nogę. Znowu jest zdenerwowany. Ma tyle pytań, zbudował w umyśle istny labirynt, który zdaje się nie mieć żadnych punktów wspólnych z królestwem ludzkiej mowy. To wszystko jest trudniejsze, niż się spodziewał. Przeczytałem pańską książkę, mówi.

Tak?

I mam w związku z tym kilka pytań.

Dobrze. Słucham.

Tylko nie jestem pewien, jak je zadać.

Za plecami Wellesa cicho mruczą fale. Kawalek dalej w dół wybrzeża rozlega się sygnał syreny przeciwmgielnej. Pewnie rozbrzmiewa przez całą noc, ale Stanley dotychczas tego nie zauważył.

Nie miałbyś nic przeciwko temu, mówi Welles, żebyśmy wrócili na deptak? W nocy na tej plaży roi się od narkomanów i młodocianych bandytów. Lepiej nie pozostawać zbyt długo w ciemnościach.

Hm, pewnie. Nie ma sprawy.

Welles wytycza ukośną ścieżkę, prowadzącą od wody ku promenadzie; w ślad za nim biegnie pies. Stanley przez jakiś czas podąża z tyłu, po czym zrównuje się z mężczyzną. Przykro mi, jeśli nasza znajomość nie zaczęła się najlepiej, mówi Welles. W związku z pewnymi ostatnimi wydarzeniami zaprzęta mnie troska o własne bezpieczeństwo, być może przesadna, choć trzeba przyznać, uzasadniona. W każdym razie mam nadzieję, że mi wybaczysz. Wieczorami wędruję zwykle na południe aż do Windward Avenue i tam zawracam. Dziś jednak, o ile Pompey na to przystanie, powinniśmy chyba udać się na spacer do miasta. Zapraszam cię na małą przechadzkę. Co ty na to, mój stary przyjacielu?

Stanley już otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale orientuje się, że Welles mówił do psa, który obojętnie maszeruje przy jego nodze, kwitując każdy krok cichutkim sapnięciem.

Dochodzą do kręgu światła padającego z ulicznej latarni i szeroka twarz Wellesa nabiera wreszcie charakterystycznych cech: Stanley spostrzega ciemną opaleniznę, mały nos, zmarszczki wokół ust i w poprzek czoła. Duże niebieskie oczy. Włosy oraz brodę mężczyzny znaczy siwizna. Ogólnie rzecz biorąc, w wyglądzie Wellesa nie ma nic szczególnego. Stanley ocenia jego wiek na około pięćdziesiąt lat.

Wychodzą na deptak w miejscu, skąd nadmorska kolumnada ciągnie się daleko na południe. Welles przystaje obok kosza na śmieci, opróżnia fajkę i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjmuje puszkę z tytoniem. Pies tymczasem obsikuje z boku śmietnik, na podobieństwo akrobaty cyrkowego unosząc do nieba

tylną nogę. Ma lśniąca, biało-rudą sierść, wylupiaste oczka i krótki, potwornie brzydki pyszczek, sterczący spomiędzy pary aksamitnych uszu. Wygląda jak Winston Churchill w peruce Maureen O'Hary.

Mówisz, że mnie szukałeś, odzywa się Welles. Nie sądzę, abym cię wcześniej widywał w kawiarni. Mieszkasz gdzieś w pobliżu?

Nocujemy w opuszczonym sklepie przy Horizon Court. Ja i mój kumpel. Jesteśmy w mieście od trzech tygodni. Wcześniej pracowaliśmy przy zbiorze owoców w Riverside.

Ale nie pochodzicie stamtąd?

Nie, proszę pana. Mój kumpel to Meksykanin, gówniarz jeszcze. Ja wychowałem się na Brooklynie.

Na Brooklynie! Z daleka cię do nas przygnało. Ile masz lat, jeśli mogę spytać?

Szesnaście.

Twoi rodzice wiedzą, gdzie jesteś?

Tata zginął w Korei, a matka w zasadzie postradała zmysły. W domu nikt za mną nie tęskni.

Bardzo przykro mi to słyszeć. Gdzie służył twój ojciec?

W siódmej dywizji piechoty. Walczył z Japońcami na Okinawie i na Filipinach, potem ponownie zaciągnął się do wojska. Zginął w bitwie pod Heartbreak Ridge.

Musiał być bardzo odważny. I bardzo kochał swoją ojczyznę.

Był odważny. Był świetnym żołnierzem i lubił to, co robił. Ale na temat ojczyzny niewiele mówił.

Welles uśmiecha się, wkłada fajkę do ust. Pociera zapałkę, pozwala jej się palić przez chwilę, po czym zatacza nią ciasne kręgi nad główką wystruganą z korzenia wrzośca. Gdy tytoń w fajce zaczyna się tlić, ubija go i dokłada kolejną warstwę. Sam też byłem w wojsku, wyznaje. Pod Anzio, latem czterdziestego czwartego roku. Służyłem jednak w rachunkowości – z wykształcenia jestem księgowym – dzięki czemu uniknąłem najgorszych walk. Cieszyłem się bardzo, kiedy wojna dobiegła końca. Głęboko mną wstrząsnęła.

Podnosi wzrok znad fajki i mruży oczy. Już się kiedyś spotkaliśmy, mówi. Grałeś z ludźmi w trzy karty przy deptaku.

Tak. To byłem ja.

Wygrałem od ciebie dolara.

Stanley spuszcza głowę zawstydzony. Mądrze pan zrobił, że pan się w porę wycofał, odpowiada. Nikomu nie pozwalałam wygrać więcej niż dolara.

Jesteś hazardzistą! – domyśla się Welles. Żyjesz ze swojej zręczności i z łaskawości Fortuny. Niech mnie kule biją! Ależ ci zazdroszczę! Od dziecka jedną z moich romantycznych fantazji było zostać szulerem na parowcu

kursującym po Missisipi. Takim w białym lnianym garniturze, z derringierem w kieszeni.

Myli się pan, panie Welles. Te zakłady przy deptaku to zwykle oszustwo. Pewnie, gram trochę w karty, ale żaden ze mnie hazardzista.

Ależ oczywiście, że jesteś hazardzistą, upiera się Welles. To nie ulega wątpliwości. W każdym momencie kontrolujesz rozgrywkę, podczas gdy ten drugi – twój przeciwnik, twój cel – nigdy nie może być pewny tego, co widzi, co myśli ani jak postąpi. Mimo wszystko zdajesz się – z mniejszym lub większym szacunkiem – na łaskę Fortuny. Do tego właśnie sprowadza się hazard, czyż nie?

Stanley marszczy brwi. Chyba tak, przyznaje.

Welles ponownie zapala fajkę, pyka kilka razy, żeby tytoń się zajął, wolnymi ruchami nadgarstka gasi zapalkę i wyrzuca ją, poczerńiałą, do kosza. Przez pewien czas pali w skupieniu, patrząc w ślad za zapalką. Potem wyjmuje z zębów fajkę i wskazuje cybuchem łuki oraz kolumny salonu gier na rogu.

To może cię zainteresować, mówi. Wszystkie budynki przy tej promenadzie pochodzą z tysiąc dziewięćset piątego roku. To oryginalne projekty Abbota Kinneya. Przez lata znacznie się zmieniły – jak to się mówi, popadły w ruinę – ale wciąż można sobie wyobrazić, jak dawniej wyglądały. Spójrz na tę loggię i zwróć uwagę na niecodzienne naśladownictwo bizantyjskiego gotyku. W tym przypadku wzorowano się, jak sędzę, na stylu Bartolomeo Bona. Przejdziemy się w stronę Windward?

Pies szarpie się na smyczy, jakby dobrze znał trasę. Mgła tworzy wokół latarni świetliste aureole; pod nimi kulą się pojedyncze sylwetki. Dwie przecznice przed nimi grupka pięciu znudzonych Psów z Wybrzeża gra na piasku w pikuty. Paru z nich wygląda znajomo: Stanley pamięta ich twarze z kina albo z ulicznego pościgu, nie jest pewien. Śmieją się drwiąco i łypią spode łba na Stanleya, kiedy ten mija ich z Wellesem, przy czym pisarz zdaje się niczego nie dostrzegać.

Po lewej z mroku wyłania się salon Fortune Bridgo i Welles wskazuje Stanleyowi zabite deskami okna. Wybrałeś sobie dobre miejsce na swoje karciane sztuczki, mówi. Wręcz historyczne. Niegdyś należało do samego Billa Harrah. W pewnym momencie – gdzieś w latach trzydziestych – Bridgo stanowiło wielką lokalną atrakcję. Bridgo, Budgo, Tango, wszystkie te odmiany gry w bingo. Znasz bingo?

W zasadzie nie. Słyszałem o nim, ale sam nigdy nie grałem.

Tak też przypuszczałem. Prawdę mówiąc, nie wyglądasz mi na amatora tej gry. Jest dosyć dziwna. Niezwykle autorytarna jak na grę losową. Wpłacasz pieniądze, dostajesz swoje plansze, siedzisz, słuchasz i czekasz na objawienie. Przyjmujesz, co ześle ci los. Co nie powinno zaskakiwać, zważywszy, że początki tej gry splatają się ściśle z początkami państwa włoskiego. Tak czy inaczej, pomimo jej autorytarnego charakteru – a może właśnie z tego powodu, któż to

może wiedzieć? – władze Los Angeles podchodziły do niej dosyć wrogo. Z tego też powodu Bill Harrah ostatecznie przeniósł się ze swoim interesem do Nevady, gdzie odniósł spory sukces. To stały schemat. Tony Cornero – gangster, który również w latach trzydziestych prowadził pływające kasyna na wodach nieopodal stąd – założył później jedno z największych kasyn przy Las Vegas Strip. Byłeś kiedyś w Nevadzie, Stanleyu?

Nie jestem pewien. Może przejazdem.

Dawniej często tam bywałem. W interesach, zaraz po wojnie. Dzisiejsze terytorium tego stanu zajmowały kiedyś wielkie jeziora. Wiedziałaś o tym? Prawdziwe morza śródlądowe. Miało to miejsce w plejstocenie, czyli z perspektywy geologicznej stosunkowo niedawno. Teraz Nevada całkiem wyschła. W zasadzie stała się pustynią. Gdzie się podziały tamte jeziora? Czy pewnego dnia wrócą? Skrećmy tutaj w lewo.

Przechodzą pod portykiem Hotelu Świętego Marka i kierują się w głąb lądu, mijając po drodze domy towarowe, restaurację Forty-Niner, budkę z hot dogami i stoisko lodziarza. Wszędzie jest ciemno, wszystko od wielu godzin już zamknięte. Na wystawie sklepu żelaznego zegar z podświetlaną tarczą wskazuje niemal pierwszą w nocy. Kawalek przed nimi, w cieniu tablicy z hasłem JEZUS TWOIM ZBAWIENIEM, porusza się jakiś kształt: wyjątkowo duży pies albo człowiek na czworakach. Znika, zanim Stanley zdoła go rozpoznać.

A więc, podejmuje rozmowę Welles, co cię sprowadza do Los Angeles?

Stanley dochodzi do wniosku, że niemądrze byłoby powiedzieć prawdę, przynajmniej dopóki nie wykombinuje, jak ma zadać kluczowe pytanie. Tak się jakoś złożyło, mówi. Włóczę się po kraju. Przypadkiem trafiłem do Los Angeles i wpadłem na pomysł, żeby pana odszukać.

No cóż, bardzo mi to pochlebia. Gdzie się natknąłeś na moją książkę?

U pewnego człowieka na Lower East Side.

Na Manhattanie? – dziwi się Welles. Niebywałe. Musisz wiedzieć, że wydrukowaliśmy tylko trzysta egzemplarzy, z których setka wciąż leży na moim strychu. Ciekawe, jakim sposobem jeden z tomików dotarł aż do Nowego Jorku?

Znalazłem go w stercie książek należących do faceta, który właśnie zaczął odsiadkę na Rikers Island. Było tam sporo poezji. Jako że gość trafił do paki za paserstwo, trudno stwierdzić, skąd miał pańską książkę.

Może spodobał mu się tytuł.

Może.

Po rondzie krąży pół tuzina motocykli. Ryk ich silników zagłusza każde słowo, więc Stanley i Welles milkną. Welles porusza się przy krawężniku zgodnie z ruchem wskazówek zegara i przechodzi na drugą stronę ronda. W przeraźliwym zgiełku jego pies napina smycz i odciąga właściciela jak najdalej od ulicy. Spuszcza przy tym łeb i kładzie uszy po sobie.

Kiedy od motocyklistów dzielą ich dwie przecznice, Welles ponownie się odzywa. Głupio mi o to pytać, mówi, ale jestem ciekawy. Powiedziałeś, że w stercie książek, które miał twój znajomy, było kilka zbiorów poezji. Wzięłeś któryś z nich?

Nie, proszę pana. Tylko pańską książkę.

Zastanawia mnie dlaczego. Dlaczego wybrałeś akurat ten tomik, a tamtych nie.

Stanley odpowiada dopiero po kilku krokach. Sam się nad tym zastanawiam, mówi. Pamiętam na przykład, że spodobało mi się to, jak wyglądała. Pozostałe robiły wrażenie tandety. Albo takich, którymi trzeba się koniecznie zachwycać. W każdym razie wydały mi się sztuczne. Pańska książka wyglądała, jakby ktoś własnoręcznie ją zrobił. To mi się spodobało.

Mój wydawca byłby uradowany, słysząc to. Gdyby nie to, że ukrywa się w Meksyku przed wierzycielami, natychmiast przekazałbym mu twoje słowa. Przejdźmy na drugą stronę.

Gdy są na przeciwległym chodniku, Stanley podejmuje przerwany wątek. Było coś jeszcze, mówi. Kiedy otworzyłem pańską książkę, prawie nic nie rozumiałem. Nie wiedziałem nawet, co to właściwie ma być. Widać było, że ktoś się nad nią napracował, poświęcił mnóstwo czasu. Potwornie mnie to wkurzało. No bo tak: ktoś zrobił coś wyjątkowego, a ja przypadkiem znajduję to w stercie śmieci na podłodze w jakiejś melinie i nic z tego nie rozumiem! Szczerze mówiąc, doprowadzało mnie to do szału. Nie mam przy tym na myśli, że uratowałem pańską książkę od zniszczenia czy coś podobnego. Robiła wrażenie, jakby gówno ją obchodziło, co się z nią stanie, czy ktoś ją przeczyta, czy nie. Ale ilekroć ją otwieram, sprawia, że zaczynam myśleć o najdziwniejszych rzeczach pod słońcem, o których nie mam zielonego pojęcia. O których nawet nie słyszałem. I chyba właśnie to nie daje mi spokoju, panie Welles. Mężczyzna śmieje się cicho: to zadowolony z siebie, protekcyjnalny chichot, którego Stanley nie cierpi. Powie mi pan, co pana tak śmieszy? – pyta.

Welles kręci głową. Skręćmy tutaj w prawo, rzuca tylko.

Chodnik oddala ich od Windward Avenue i prowadzi na Altair Place. Mniej tutaj latarni, przesłaniają je palmy i eukaliptusy. Ich cienie sprawiają, że z twarzy Wellesa trudniej cokolwiek wyczytać. Nie śmieję się z ciebie, mówi. Po prostu zaskoczyła mnie twoja charakterystyka mojej książki. Powód, dla którego, jak mówisz, zdecydowałeś się ją przeczytać, jest bardzo podobny do tego, dla którego ja zdecydowałem się ją napisać. Chodziło o fascynację tym, co nieznanne. A konkretnie tym, co niewidzialne. Trzeba było kilku lat i wielu różnych wersji tekstu, żebyśmy zdołali w końcu rozpoznać ów impuls. Dlatego miło mi słuchać tego, co mówisz. Pozwól, że zadam ci jeszcze jedno głupie pytanie. Czy moja książka ci się podoba, Stanleyu?

Stanley nie wie, dlaczego Welles miałby go pytać o coś takiego. Potem nie wie, co odpowiedzieć. Jest świadomy ciszy odmierzonej odgłosem ich kroków, pomrukiwaniami towarzyszącego im psiaka. Prawdę mówiąc, zaczyna, nigdy w ten sposób o niej nie myślałem. Nie wiem, co mam powiedzieć. Przeczytałem ją całą od deski do deski chyba ze dwieście razy i myślę, że mógłbym ją panu wyrecytować z pamięci, tu i teraz. Ale czy mi się podoba?

Doszli do miejsca, gdzie światła latarni nic nie przesłania. Ich blask pada wprost między drzewa. Stanley korzysta z okazji, aby rozejrzeć się po zachwaszczonych podwórkach pobliskich domów. Okolica wygląda znajomo; gdzieś niedaleko ukryli się z Claudiem przed pościgiem Psów.

Czasami mi się podoba, wyznaje Stanley. A czasami jej nienawidzę. Nigdy mi się nie nudzi. Powinienem się chyba przyznać, że przyjechałem tu z tak daleka tylko po to, żeby się z panem spotkać. Wcześniej powiedziałem, że włóczę się po kraju, ale to nieprawda. Włóczenie się byłoby chyba ostatnią rzeczą, jaką robiłem. Z powodów, o których nie chcę teraz mówić, musiałem wyjechać z Nowego Jorku. Postanowiłem wtedy, że pana odnajdę. Zajęło mi to więcej czasu, niż myślałem. Mam nadzieję, że teraz pan się nie zdenerwuje i nie odechce się panu ze mną rozmawiać.

Skądże znowu, skądże znowu, zaprzecza Welles, ale Stanley czuje w mroku bijące od niego skrępowanie. Zastanawia się, czy nie popełnił błędu, rzucając się od razu na głęboką wodę. A potem myśli: pieprzyć to. Boli go noga. Dość ma cackania się z tym facetem.

Welles milczy przez dłuższą chwilę. Fajka mu zgasła. Altair Place przechodzi w Cabrillo Avenue. Na odcinku dzielącym ich od najbliższej przecznicy połowa latarni jest przepalona albo rozbita. Jedna z ocalałych rzuca w dół krąg przytłumionego światła, na granicy którego walczą ze sobą dwa wielkie szczury; pies napina smycz i nadstawia uszu zaniepokojony ich ledwo słyszalnym popiskiwaniami.

Cieszę się, że mnie odnalazłeś, mówi Welles. Martwię się tylko, że się rozczarujesz. Nie jest to łatwe, ale trzeba pamiętać, że książki wiedzą zawsze więcej niż ich autorzy. Są zawsze mądrzejsze. Dziwnie to brzmi, lecz taka jest prawda. Kiedy już się ukażą, dają początek własnym osobliwym ideom. Jeżeli mam być szczery, to od ponad roku nie zaglądałem do *Złodzieja luster*. A gdy ostatni raz to zrobiłem, nie potrafiłem sobie przypomnieć, co właściwie chciałem w wielu fragmentach przekazać. Kilka wersów wciąż pozostaje dla mnie tajemnicą, odkąd je napisałem. Skręćmy tutaj w prawo, w Navarre Court.

Chodniki są tu straszliwie popękane, miejscami zredukowane do kupek gruzu, zarośnięte trawą i pnączami. Parcele po lewej stronie wąskiej uliczki opadają ukośnie w dół; przed jednym z domów pośrodku podmokłego trawnika widać zarośnięty sitowiem staw. Gdy wzrok Stanleya przyzwyczajają się do

półmroku, chłopak zauważa lukę w sitowiu w miejscu, gdzie rośliny położyły się pokotem. Sterczy z niej para ludzkich nóg. Nogi są nieruchome, odziane w czarne buty i ubłocone dzinsy. Kawałek dalej na ulicy stoi zaparkowany motocykl. W domu nie palą się żadne światła. Stanley wyczuwa słodki zapach kwiatów gdzieś w pobliżu, ale ich nie widzi.

Rozumiem, jak się czujesz, ciągnie Welles. I dlaczego tu przyjechałeś. A przynajmniej tak mi się wydaje. Może nie uwierzysz, ale raz sam zrobiłem coś podobnego. Znasz dzieła Ezry Pounda?

Nie, proszę pana.

Nie czytałeś nic Pounda?

Czy on pisze wiersze?

Owszem.

Nigdy nie czytam wierszy, z wyjątkiem tych w pańskiej książce.

Naprawdę? – dziwi się Welles. Wielkie nieba. No cóż. Pound to równie dobry autor, jak każdy inny, żeby od niego zacząć. Na początek musiałbyś prawdopodobnie pożyczyć kilka pozycji z mojej biblioteki.

Parę domów dalej kończy się jakieś przyjęcie: zza żywopłotu dobiega gwar przekrzykujących się głosów i odtwarzana na hi-fi jazzowa wersja utworu *It's Only a Paper Moon*. Na tabliczce przy najbliższym skrzyżowaniu widnieje słowo RIALTO, znane Stanleyowi z książki Wellesa. Na ten widok ciarki przechodzą mu po plecach.

Welles wydłuża krok i wyraźnie przyśpiesza. Kiedy po wojnie byłem we Włoszech, mówi, pojechałem się spotkać z Ezrą Poundem w amerykańskim obozie karnym koło Pizy. Czekał tam na powrót do kraju, gdzie miał być sądzony za zdradę. W owym czasie wszystko wskazywało na to, że zostanie stracony. Chociaż poezja Pounda okazała się dla mnie bardzo ważna w pewnym krytycznym momencie mojego życia, jego postawę podczas wojny uważałem za moralnie wątpliwą. Przypuszczam, że pojechałem do Pizy, szukając wyjaśnienia. Skręć tutaj w prawo.

Wychodzą na Grand Boulevard. Ulica jest teraz szersza, a między palmami rozpycha się niebo ciężkie od mgły.

Nie zdołałem z nim porozmawiać, kontynuuje Welles. Nikogo do niego nie dopuszczali, nawet żandarmerii wojskowej. Widziałem go tylko przez chwilę. Trzymano go w klatce o powierzchni dwa i pół na niecałe dwa metry, o drewnianej konstrukcji, z dachem z papy. Miał na sobie wojskowy mundur, ale odebrano mu pasek oraz sznurówki. W obozie przebywało ponad trzy tysiące jeńców, w większości zatwardziałych przestępców – złodziei, morderców, gwałcicieli – lecz niemal wszyscy poruszali się swobodnie i nocowali w namiotach. Klatek takich jak ta, w której siedział Pound, było zaledwie dziesięć, lecz tylko tę dodatkowo wzmocniono siatką galwanizowaną i perforowaną blachą stalową.

Z powodu tej siatki Pound był nieustannie wystawiony na działanie słońca, wiatru i deszczu oraz na spojrzenia ciekawskich. O każdej porze dnia i nocy można go było zobaczyć, ale nikt nie mógł z nim porozmawiać. W rozumieniu armii język stanowił narzędzie, przy pomocy którego Pound popełnił zbrodnię. Dlatego też jedyny język, do którego miał dostęp podczas uwięzienia, mógł pochodzić wyłącznie z jego umysłu i pamięci. Widząc go, pojąłem, że został ze szczętem pokonany. Wyjechałem z Pizy głęboko rozczarowany i zawiedziony. Dopiero kilka lat później – po tym, jak Pounda uznano za szaleńca i umieszczono go w szpitalu psychiatrycznym Świętej Elżbiety – dotarło do mnie, że to, w jaki sposób został potraktowany, stanowiło w istocie dowód uznania dla jego siły. Przypuszczam, że powinienem się cieszyć, iż nie udało mi się wtedy z nim porozmawiać. W pewnym sensie miałem więcej szczęścia niż ty, jak się obawiam. Skręćmy w lewo w Riviera Avenue.

Są teraz blisko pola naftowego. Stanley wyraźnie słyszy jęk i syk maszyn, w nosie kręci go od zapachów towarzyszących wydobywaniu ropy naftowej: słodkiej woni butanu, cierpkiego aromatu asfaltu, fekalnego odoru siarki. Na pasie zieleni pomiędzy jezdniami porusza się rytmicznie w górę i w dół żuraw pompowy. Jego sylwetka rzuca dziwaczne cienie pod wieże wiertnicze. Światła w tle mrugają, gdy żuraw wznosi się i opada.

Chciałem powiedzieć, podejmuje Welles, że milczenie Pounda było potężniejsze niż jakiegokolwiek słowa. Ale to nie tak. Jego milczenie było bezwartościowe. Stanowiło wyraz bezsilności, jak każde milczenie. Chodziło raczej o obraz tego milczenia. O widok Pounda zamkniętego w klatce. To ze mną pozostało. Wspomnienie, przetworzone niewątpliwie pod dyktando mojej osobistej mitologii. Bo na tym to właśnie polega, prawda? Nasza pamięć języka jest generalnie stała. Ale jak często pamiętamy konkretne słowa? Częściej są to obrazy, jakie one wywołują. Te zaś są ulotne i dlatego przez wieki wymyślono tyle różnych technik ich utrwalania. Z tego samego powodu zwycięzcy tyrani zawsze wypędzali poetów albo wtrącali ich do więzienia – nawet takich poetów jak Pound, wykazujących wielki podziw dla tyranii. Dlatego władcy wyszukiwali i zatrudniali malarzy, rzeźbiarzy, filmowców, architektów. Zatrzymaj się na moment, Stanleyu. Popatrzmy trochę na księżyc.

Stoją na pasie zieleni kilka metrów na wschód od ogrodzonego żurawia. Stanley słyszy cichy warkot silnika elektrycznego, jęk i skowyt pracującej belki. Na drodze wciąż jest niewielki ruch. Dominują policyjne radiowozy; w światłach ich reflektorów kępy trawy rzucają długie cienie, kiedy auta skręcają na bulwar. Psiak Wellesa obwąchuje zarośla płaskim noskiem, gmera wśród ściętych śrub i kawałków rozbitego szkła, podczas gdy jego pan w milczeniu wpatruje się w bladą kulę wiszącą na zachodnim niebie. Im bliżej linii horyzontu, tym robi się ona coraz większa i pomimo mgły widać wyraźnie jej ostre krawędzie.

W książce dużo pan o nim pisze, odzywa się Stanley.

Słucham?

O księżycu. W książce dużo pan o nim pisze.

Tak, zgadza się Welles. Chyba masz rację.

Na przykład w tym fragmencie, kiedy Crivano płynie statkiem. Kiedy ucieka. Odbywa z księżycem całą rozmowę.

Tak. To prawda.

„Mój blask niczego nie skrywa”, recytuje Stanley. „Tyś moim ratunkiem, moim wybawieniem. Szukam cię w nieustannym karnawale, o zamaskowany Crivano, szukam na brzegu”.

Masz dobrą pamięć.

Albo gdy ma ten sen: „Mozolę się ze ślepymi geometrami mocy, o Selene, i z cegieł wyciosanych ze snu wznoszę twoje miasto”.

Welles przekłada smycz z ręki do ręki. Tak, tutaj też, mówi. Masz całkowitą rację.

Księżyc pojawia się nawet na początku. W słowach zaklęcia. „Skarb, który dźwiga w swej motylej sakwie, to nic innego, jak...”

„Najprzedniejsze zwierciadło”. Oczywiście. Bądź co bądź, tomik nosi tytuł *Złodziej luster*. Z tym, że lustra nie należy rozumieć dosłownie, w każdym razie nie tylko dosłownie. Crivano to alchemik. Jego filozofia jest zgodna z myślą neoplatońską, wywodzącą się ze świętych tekstów przypisywanych twojemu patronowi, Hermesowi Po Trzykroć Wielkiemu. W oczach Crivana świat to jedynie odbicie, materialna emanacja idei pochodzącej z umysłu Boga. Tak jak nie jesteśmy w stanie patrzeć prosto w słońce, tak i nie możemy poznać boskiego umysłu. Spoglądamy jednak z łatwością na księżyc, widoczny dzięki odbiciu światła słonecznego. Księżyc stanowi dla alchemika Opus Magnum, pośrednią drogę ku temu, aby odkryć boskie zamiary i samemu stać się Bogiem. Wszystkie zaś zwierciadła mają w sobie cząstkę księżycowej istoty.

Wiem, mówi Stanley. Tyle zrozumiałem. To wszystko jest w pańskiej książce. Czytałem ją.

Ja... nie sądzę, abym wyraził to w książce aż tak czytelnie.

Dla mnie to całkiem jasne. Wystarczy dodać dwa do dwóch. To równa się tamto. Jestem niedouczony, to fakt. Ale nie głupi, proszę pana.

Welles otwiera usta, zamyka je i wzdycha poirytowany. Bardzo cię przepraszam, mówi. Trudno jest mówić o tych sprawach tak, aby nie brzmiało to mętnie albo akademicko. Zwłaszcza że nie mogę przecież wiedzieć, co już wiesz.

Stanley wciska ręce do kieszeni kurtki. Tkanina opina się na plecach, wciska mu pałkę w krzyż. No tak, mówi. Przepraszam. Rzecz w tym, że nigdy nie umiałem zadawać pytań. Dziękuję panu za cierpliwość.

Przecznicę dalej na południe spłoszona para mew podrywa się ze szczytu

wieży wiertniczej. Stanley i Welles podskakują, słysząc ich nagły skrzek i trzepot skrzydeł. Pies nieruchomieje, zadziera łeb do góry. Chodźmy już, mówi Welles. Miejsce, które chcę ci pokazać, jest niedaleko.

Przechodzą przez jezdnię w kierunku wschodnim i ponownie znajdują się w uliczce podupadłych parterowych domów. Na pustych działkach wznoszą się wieże wiertnicze. Czasami stoją wprost na trawnikach. Domy są ciemne, zrujnowane, w oknach mają powybijane szyby. Po lewej stronie ulicy tkwi porzucony kaiser-frazer, zaparkowany byle jak w poprzek krawężnika; otaczają go odłamki szkła i zgniecione pety, opony trzech kół są przecięte. Konkurenci Stanleya z deptaka pozostawili tu swoje znaki, malując prymitywne psy z wyszczerzonymi kłami na drzwiach i masce auta. Pomiedzy rysunkami widać szeroko rozstawione litery, podpis zdradza ciemnotę autorów: D O G E S⁷. Stanley uśmiecha się do siebie.

Rozmawialiśmy wcześniej o wojnach, odzywa się Welles, i o wielkich bitwach. Wierzę, że mogą one przyjmować rozmaite formy. Można wręcz powiedzieć, że w tym momencie przechadzamy się po polu bitwy. Często zdarza mi się myśleć, że owe wojny – te wielkie i te małe – toczy się tak naprawdę o prawo do pamięci. I nie tylko o to, ale też o prawo do zapominania. Wybiórczego zapominania.

Dochodzą do wygiętego w ostry łuk mostu spinającego brzegi kanału. Spoglądając w dół, Stanley dostrzega w stojącej wodzie odbicie otulonego mgłą księżyca, przefiltrowane przez opalizującą glazurę ropy. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej na prawo kanał łączy się z szerszym, biegnącym równolegle do ulicy, którą idą. Przecznice od nich znajduje się drugi most, a potem trzeci i Stanley orientuje się, że otacza ich sieć kanałów, mętnych i zarośniętych, niczym płynne cienie rzucane przez siatkę ulic. Welles prowadzi psa obok poręczy mostu. Stanley podąża za nimi. W dole rezonuje echo ich kroków; Stanley słyszy szmery uciekających gryzoni i rozchodzące się po wodzie kwakanie wyrwanych ze snu kaczek krzyżówek.

Nazwa tego miejsca, mówi Welles, nie wzięła się z egzaltacji. A w każdym razie nie była to egzaltacja bezpodstawna. Niemal każda ulica, którą dzisiaj razem przeszliśmy, i jeszcze wiele innych było kiedyś kanałami. Zamiast ronda przy Windward była laguna. Ulica Rialto, Grand Boulevard, Hotel Świętego Marka: początkowo nazwy te miały opisywać, a nie tylko do czegoś nawiązywać. Jednak w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku władze Los Angeles kazały większość kanałów zasypać – żeby zapewnić lepszy dostęp zmotoryzowanym, jak sądzę – i w rezultacie okolica praktycznie utraciła swój oryginalny charakter. Wspomnienie tego miejsca wciąż było we mnie żywe, kiedy pisałem swoją książkę.

Welles wyjmuje z zębów fajkę, stuka jej główką o otwartą dłoń, po czym

wysypuje popiół do kanału. Z jego kieszeni ponownie wyłania się puszcza z tytoniem. Tradycja intelektualna, której częścią jest Crivano, mówi pisarz, była synkretyczna, millenarystyczna, utopijna. I jak we wszystkich utopiach – weźmy choćby Platona, Augustyna, Morusa czy Campanellę – funkcjonujące w niej metafory nieodmiennie nawiązywały do tego, co miejskie. Dotyczy to całej literatury hermetycznej. Na przykład w *Asklepiosie* przedstawiona jest profetyczna wizja miasta zwróconego w stronę zachodzącego słońca, ku któremu przez lądy i morza podąży cała rasa ludzka, kiedy bogowie egipscy powrócą. Z kolei w *Picatrix* czytamy o mieście Hermesa Trismegistosa zwanym Adocentyn, gdzie wystawianie na widok publiczny magicznych wizerunków – czyli znowu mamy do czynienia z obrazami! – zapewniało wszelkie cnoty i pomyślność mieszkańcom. Architektura owego miasta stanowi odbicie architektury niebios. Pomyśl tylko, co z tego wynika. W idealnym mieście sami stajemy się idealni. To dosłownie niebo na ziemi.

Księżycowe odbicie w wodzie pęka za sprawą przepływającego pod mostem szczura; gładki ślad w kształcie litery V z iście geometryczną precyzją ciągnie się za nim przez całą szerokość kanału. Welles nabija fajkę, czekając, aż szczur odpłynie. Kończy, zapala i upuszcza płonąca zapałkę do wody. W miejscu, gdzie spada, na powierzchni kanału wykwita okrągły, błękitno-zielony ognik; przez chwilę płonie i gaśnie.

Myślimy o miastach jako o miejscach, mówi. Chociaż nimi nie są. Góry to miejsca. Pustynie to miejsca. Tak się składa, że dokładnie w tym momencie stoimy na środku pustyni. Miasta to idee. Niezależne od geografii. Mogą zniknąć nagle albo stopniowo i wyrosnąć tysiące kilometrów dalej – być może odmienione, mniejsze, zawsze niedoskonałe, lecz mimo wszystko wciąż takie same. Zachowujące istotę idei. Jako w górze, tak i na dole, powiedzieliby alchemicy. Aby udoskonalą cuda Jedyne. Według mnie to właśnie jest sedno – prawdziwe jądro – historii Crivana. W każdym razie o tym myślałem, spisując ją. I dlatego chciałem pokazać ci tę okolicę. A teraz powinniśmy już wracać.

Do bulwaru idą po własnych śladach, następnie skręcają w lewo, aby dojść do deptaka. Stanley odtwarza w myślach wszystko, co mu powiedział Welles, szukając punktów zaczepienia dla pytań, na które chciałby uzyskać odpowiedzi. Cieszy go, że gość tak się rozkręcił, zarazem trochę go to denerwuje. Ma wrażenie, że Welles opowiada o innej książce niż ta, którą on czytał. Co to było przed chwilą? – dopytuje się. O moim patronie? Co chciał pan przez to powiedzieć?

Hm? A tak. Hermes Trismegistos. Wiesz, kto to?

Wiem, kim jest w pańskiej książce. Jakimś bogiem albo magiem, który żył dawno temu.

Renesansowi intelektualiści uważali go za egipski odpowiednik Mojżesza. Utożsamiano go z Thotem – dawcą praw, wynalazcą pisma – a także z greckim

Hermesem, posłańcem bogów, bóstwem uzdrawiania, magii i rzeczy tajemnych. Był pośrednikiem pomiędzy światami, posiadał moc przekraczania granic i jako taki został uznany za patrona złodziei, uczonych, alchemików oraz, rzecz jasna, hazardzistów takich jak ty. To miałem na myśli.

Czyli pan go nie wymyślił?

Wielkie nieba, nie! Trzeba było setek ludzi, którzy przez tysiąclecia przekręcali nawzajem swoje słowa, żeby wymyślić Hermesa Po Trzykroć Wielkiego. Głodujących poetów, skulonych na poddaszach. Pijanych bardów płasających przy ogniskach. Znużonych matek kołyszących do snu swoje dzieciątka. Ja tylko dodałem jeszcze jedną cegielkę chaosu do zwieńczenia wysokiej i krętej kolumny.

Wciąż są daleko na południe. Szerokie działki obsiadły duże nadmorskie wille, niegdyś okazałe, teraz wysmagane przez wiatr, chylące się na swoich fundamentach. Te nieliczne, o które jeszcze ktoś dba, wydają się na zasadzie kontrastu jeszcze bardziej zaniedbane: warstwy świeżej farby zdobią zapadniętą werandę, gipsowe cherubiny harczą na ogołoconym podwórku, równe rzędkie aksamitek ciągną się przy pokruszonym chodniku. Przed jednym z domów leży zniszczona łódź – podłużna, czarna, z zębatym metalowym okuciem dziobu, na wpół zagrzebana w piasku – z której zrobiono skrzynkę na kwiaty: z pękniętego kadłuba wylewają się barwinki, nachyłki i ketmia. Ich płatki w świetle ulicznych latarni mają kolor sepia.

Stanley milczy, mimowolnie liczy szerokie deski pod swoimi stopami, świadomie omija wypełnione piaskiem przerwy między nimi. Myśli o linoskoczkach: o tym, że w ich fachu nie należy spoglądać w dół ani rozpatrywać trwałości chroniących ich przed upadkiem zabezpieczeń. Zastanawia się, czy dobrze zrobił, przyjeżdżając tutaj. A Crivano? – pyta.

Crivano?

Jego pan wymyślił. Prawda?

Welles wzdycha, spogląda na ocean. Przy postaci Crivana, mówi, pozwoliłem sobie na pewną swobodę. W zapisach historycznych jest zaledwie cieniem. Postarałem się wypełnić luki z jak największym polotem. Naturalnie tylko dzięki tym ciemnym plamom mogłem w ogóle napisać tę książkę.

Stanley zatrzymuje się. Welles wraz z psem robią jeszcze kilka kroków, po czym również przystają i odwracają się w jego stronę.

Chce pan powiedzieć, że Crivano to autentyczna postać? – niedowierza Stanley.

Historyczna, owszem. Odkryłem na jego temat krótką i dość enigmatyczną wzmiankę w listach siostry Giustiny Glissent, gdy robiłem kwerendę w zupełnie innej sprawie. Oczarowały mnie metaforyczne możliwości, jakie ta postać otwierała.

Nabiera mnie pan, do cholery!

Skądże znowu. Z relacji siostry Giustiny dowiedziałem się tylko, że Rada Dziesięciu wydała latem tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku nakaz aresztowania niejakiego Vettore Crivana, oskarżając go o udział w spisku mającym na celu kradzież tajników wyrobu szklanych zwierciadeł od rzemieślników z Murano na zlecenie nieznanymi cudzoziemskimi mocodawców. W owych czasach oskarżonego o takie przestępstwo niechybnie czekało więzienie albo niewola. Jeśli w jakiś sposób zdołałby jednak uciec z miasta, musiał się liczyć z tym, że Rada pośle za nim skrytobójców. Sprawa była bardzo poważna. Jak z pewnością wiesz z lektury moich dwóch długich wierszy poświęconych historii handlu wizerunkami, mieszkańcy Murano czerpali olbrzymie zyski z tego, iż praktycznie rzecz biorąc, aż do połowy osiemnastego wieku posiadali monopol na wytwarzanie lusterek ze szkła. Można więc założyć, że Crivano nie zdołał wykraść ich sekretów. W innych źródłach odnalazłem informację, że był lekarzem i alchemikiem, doktoryzował się na uniwersytecie w Bolonii. Zdołałem też prześledzić jego rodzinne korzenie: sięgały weneckiej kolonii na Cyprze w czasach sprzed najazdu osmańskiego. Resztę jego biografii – aby posłużyć się twoją frazeologią – zmyśliłem.

W takim razie ile z tego, co znalazło się w książce, jest prawdą?

Naprawdę wołałbym nie analizować tego w tych kategoriach, Stanleyu. Kiedy mówisz „prawda”, zakładam, że chodzi ci o fakty. Istnieją jednak różne rodzaje prawdy. Jestem staroświeckim poetą, który odczytuje swoją rolę tak, jak opisał ją współczesny Crivana, Anglik, Philip Sidney. Według niego poeta o niczym nie zapewnia, a zatem nie kłamie. Na co dzień, jak już mówiłem, jestem księgowym. Przez wiele lat zatrudniony byłem w naszych siłach powietrznych, później w przemyśle lotniczym i kosmonautycznym. Przyznaję, czy raczej obstaruję przy tym, że w moim zawodzie źródło prawdziwej satysfakcji stanowi sztucznie narzucona dyscyplina. Jednak w czasie, który należy do mnie, w ciągu tych kilku godzin oddzielających pracę i sen, wolę oddawać się mniej zdyscyplinowanym zajęciom. Mam więc nadzieję, że rozumiesz ten opór wobec prób wywierania na mnie nacisku w tych pozornie metafizycznych kwestiach. To w najlepszym razie nieistotny spór o szczegóły, który należy traktować jak zwykłą semantykę.

Welles ma pokerowy wyraz twarzy i jest z siebie bardzo zadowolony; jego sprzeciw zawisł przed nim w powietrzu niczym zasłona. Stanley wie, że są w niej otwory, ale jeszcze ich nie dostrzega. Słyszy oddech mężczyzny, swój własny także i naraz dźwięk ten napawa go odrazą: dwie pary zasysających powietrze ludzkich miechów, podczas gdy pod ich stopami pogrążona w półmroku ziemia obraca się w równym rytmie.

Psiak ślini się u jego stóp. Stanley zamyka oczy, zaciska pięści i przenosi ciężar ciała na jedną nogę, aby drugą wymierzyć mu kopniaka. Wyobraża sobie,

jak zwierzę zatacza nad plażą łuk, a smycz furkocze za nim niby ogon latawca. Widzi zaszokowaną minę Wellesa, gdy uchwyt smyczy wymyka się z jego pozółkłych palców.

Ciekawe, czy Welles rzeczywiście jest uzbrojony, a jeśli tak, to jaką ma spluwę. W przypadku grubasów czasami trudno się zorientować.

Stanley prostuje plecy, rozluźnia dłonie i zmusza się do uśmiechu. Welles patrzy na niego wyczekująco. W świetle księżycy obaj przypominają własne posągi z gładkiego marmuru.

Proszę pana, odzywa się Stanley. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, ile prawdy jest w pańskiej cholernej książce.

PREPARATIO

20 maja 1592

„Ujrzawszy w wodzie kształt podobny do niego samego, sam go pokochał i postanowił się z nim złączyć. Natychmiast to uczynił i stworzył nieprawdopodobny Wizerunek, Kształt.

Przyroda, która w tamtej chwili schwyciła przedmiot swojego wielkiego uwielbienia, w pełni go otoczyła i połączyła się z nim, ponieważ darzyli się wzajemną miłością”.

Hermes Mercurius Trismegistus, *Boski Pymander*,
przełożyła Agata Staszewska

Ministrant zapala świece, a kapłan otwiera księgę. Długie knoty błyskają płomieniem i na sklepieniu ponad apsydą wylania się z mroku wizerunek Dziewicy – szara nieruchoma sylwetka na migotliwym złotym tle. Szklane tessery oczu chwytają przyćmione światło i jej spojrzenie zdaje się sięgać najdalszych zakątków świątyni.

Dłoń kapłana kartkuje psalterz; grube stronice wyginają się i opadają. *Venite exultemus Domino jubilemus Deo salutari nostro*, intonuje kapłan. „Przyjdźcie, radośnie śpiewajmy Panu, wznosmy okrzyki na cześć Skały naszego zbawienia: przystąpmy z dziękczynieniem przed Jego oblicze, radośnie śpiewajmy Mu pieśni!”⁸. Za plecami kapłana znajdują się relikwie świętego Donata wraz z kośćmi smoka, którego miał zabić, plując mu w paszczę. Powyżej drewniane sklepienie wznosi się ku górze niczym odwrócony kadłub statku.

Nawet o tej porze, na kilka godzin przed świtem, bazylika nie jest pusta. W nawach mijają się pojedyncze postacie: cierpiący na bezsenność rybacy, hutnicy szkła w drodze do pracy lub z powrotem, zawoalowane wdowy niecierpliwie wyglądające ponownego przyjścia Chrystusa. Niektórzy klęczą i mamrocą modlitwy. W przedsionku świątyni, u podstawy marmurowej kolumny, chrapie samotny pijak.

W południowym krańcu płytkiego transeptu po nierównych kamiennych płytach stąpa mężczyzna. Idzie ostrożnie, powoli, odmierzając kroki cichym stukotem laski. Spuszczone oczy pilnie wpatrują się w mozaiki na posadzce: orły i gryfy, koguty dźwigające spętanego lisa, pawie jedzące z kielicha. W jasnym blasku świec z pszczelego wosku wielobarwne kostki porfiru i serpentynu zlewają się w powierzchnię, która zda się płynąć, falować, rozległa i niezgłębiona. Mężczyzna, niczym polująca na żaby czapla, unosi wysoko stopy obute w czarne buty z marokańskiej skóry.

Wyobraź go tam sobie, między filarami starego kościoła z cegły: chudego i żylastego, w wieku około trzydziestu pięciu lat, odzianego w długą czarną szatę bolońskiego medyka. Widlastą brodę ma mocno przystrzyżoną, rudoblond włosy przycięte krócej, niż tego wymaga obowiązująca moda. Wygląda na jakby mniej brudnego, mniej zapchlonego i zawszego niż ci, wśród których się porusza. Jego aksamitna czapka i brokatowy kubrak świadczą o bogactwie, lecz nie ostentacyjnym. Zużyta, koślawa twarz sugeruje trudny poród i wiele wycierpianych od tego czasu nieszczęść. Jest w nim coś osobliwego, pewien dystans, który znający go ludzie przypisują zwykle erudycji i latom spędzonym za granicą, chociaż zupełnie nie mają racji.

„Morze jest Jego własnością: bo On sam je uczynił – śpiewa kapłan – i stały

ład ukształtowały Jego ręce”². Na zewnątrz nad kanał unosi się mgła – trwają zaślubiny morza z ciemnością. Od ciężkich, drewnianych wrót ciągnie chłodem. Odziany na czarno mężczyzna wzdryga się z zimna i kieruje do wyjścia.

Niechże to zatem będzie on. Crivano, Złodziej Luster. Niech odtąd nosi to miano. Któż inny mógłby je przyjąć?

Przestępując próg świątyni, Crivano słyszy echa *Te Deum* dobiegające z zakonu świętych Marka i Andrzeja oddalonego o jakieś sto metrów na północ. Na zachodnim niebie wciąż wisi jasny półksiężyc; pod nim Campo San Donato jest niemal całkiem wyludnione. Dalej, za szerokim kanałem, płomienie pochodni oświetlają drogę procesji wychodzącej z nowego Palazzo Trevisan. Przy wejściu do położonego na wprost baptysterium ziewający chłopcy wynajmowani do noszenia pochodni wymieniają zaczepki z dwoma prostackimi plebejuszami, strażnikami Ministerstwa Nocy. Crivano schodzi w dół po stopniach kościoła, unosi w górę laskę i jeden z chłopców wkłada woskową świeczkę do swojej latarni z kutego żelaza. Pańskie światło, dottore, mówi.

Szukam ridotto, co się zwie Salamandra.

Oczywiście, dottore. To będzie po drugiej stronie długiego mostu, obok kościoła San Pietro Martire. Chce pan popłynąć?

Przejdę się, mówi Crivano.

Przechodzą przez plac, zmierzają wzdłuż kanału na południe i w miejscu, gdzie ten przechodzi w szerszy kanał, skręcają ku zachodowi. Luka między zabudowaniami powiększa się, otwiera na lagunę i przez moment Crivano widzi światła miasta, odległego o dobre półtora kilometra: słabą poświatę padającą z okien Arsenалу, a dalej pomarańczowy blask na szczycie dzwonnicy na Piazza. Morze jest spokojne. Na wodzie kołysze się kilka łodzi, na dziobach wiszą zapalone latarnie. Crivano zastanawia się, czy jest wśród nich łódź Obizza.

Im bliżej długiego mostu, tym więcej ludzi kręci się po fundamenta. Kupcy śpieszą do przycumowanych na nabrzeżu łodzi, taszcząc tobołki albo pchając ręczne wózki wyładowane artykułami z brązu, majoliki i wrzecionowatymi, szklanymi paciorkami. Zależy im, aby przepłynąć lagunę i dostać się do swoich kramów na Piazza San Marco, zanim ściągną tam świąteczne tłumy. Tydzień wcześniej, kiedy Crivano przybył na Murano, aby spotkać się z pozostałymi spiskowcami, wiele sklepów nad kanałem było zamkniętych z okazji Festa della Sensa, kupcy zaś przenieśli się z towarem do miasta. Tymczasem w dzielnicy Rialto cechy kupieckie musiały się uciekać do pochlebstw i gróźb, aby nakłonić swoich członków, by porzucili zacisze sklepów i wystawiali towary na Piazza. Władzom cechu trudno było przeforsować swoje argumenty i nic dziwnego: kiedy całe miasto to targ, któż zawracałby sobie głowę byle jarmarkiem?

Z najwyższego, centralnego punktu mostu Crivano widzi drżenie powietrza nad budynkami: to ciepło bucha z hut szkła. Raz rozpalone, ich piece utrzymują stałą temperaturę przez wiele tygodni, a nawet miesięcy. Łodzie pod mostem są po brzegi wyładowane ociosanym olchowym drewnem, które wkrótce zostanie

wyładowane na brzeg.

Chłopiec z pochodnią wiedzie go obok kościoła, a potem przez gwarne campiello. Mijani rzemieślnicy są umazani sadzą i mają spocone twarze; oczy zaczerwienione i puste, jakby wracali z pola bitwy. W pobliżu studni jeden robotnik bije i przeklina drugiego, okładając mu twardymi pięściami głowę i ramiona. Napastnik ma na przedramieniu gruby opatrunek; ten, którego bije, jest właściwie chłopcem. Kiedy młodszy upada, starszy kopie go w twarz, dopóki z nosa i ust ofiary nie tryśnie krew. Dopiero wówczas wkracza dwóch osiłków i bez większego przekonania rozdziela walczących.

Tutaj, dottore, mówi chłopak z pochodnią. Oto i Salamandra.

Crivano daje mu kilka miedziaków i odsyła go z powrotem. Budynek niczym się nie wyróżnia: przypomina zwykły dwukondygnacyjny sklep, tyle że zamiast okiennic ma prostokąty z czystego szkła o błękitnawym zabarwieniu, a ze środka przez zasłony sączy się jasne światło. W drzwiach znajduje się małe okienko, a w nim jaskrawopomarańczowy witraż przedstawiający wijącą się salamandrę. Drzwi ustępują pod lekkim dotknięciem.

Crivano nie jest pewien, czego ma się spodziewać – widoku hazardzistów ściskających w rękach noże, dziwek z obnażonymi piersiami – lecz wewnątrz panuje spokój: duże pomieszczenie oświetlają lampki oliwne, a w głębi płonie ogień w kominku. Stara kobieta i człowiek wyglądający na jej dorosłego syna pracują za długim, drewnianym kontuarem; z sufitu gęsto zwisa dzikie ptactwo, kielbasy oraz wędzone szynki. W kącie młody mężczyzna trąca palcami struny cytry, nucąc coś bez słów. Około pół tuzina rzemieślników rozsiadło się przy ośmiu stołach, jedząc i popijając wino z kubków. Crivano natychmiast zauważa dwóch, których szuka, czeka jednak w progu z kamiennym wyrazem twarzy, dopóki stara kobieta nie podejdzie i nie weźmie od niego laski oraz płaszcza.

Skosztujecie zupy, dottore? Mamy też wyborną kielbasę. I bażanta.

Dla mnie tylko wino.

Crivano siada przy pustym stole. Po chwili staje przy nim Serena, hutnik szkła, z kapeluszem w rękę. Dottore, mówi.

Maestro. Przyłączycie się do mnie?

Dziękuję, dottore. Proszę pozwolić, że przedstawię mojego najstarszego syna, Alessandro.

Chłopak ma dwanaście, góra trzynaście lat i poważne oblicze. Mimo młodego wieku jego dłonie i przedramiona znaczą blizny po oparzeniach. Jego ukłon jest pełen godności i szacunku. Jego oczy to oczy mężczyzny. Crivano myśli przelotnie o własnej młodości: kiedy wraz ze Skowronkiem wyruszyli z Cypru do Padwy, obaj byli w wieku tego chłopca. Wątpi, aby któryś z nich był równie opanowany.

Pomagasz ojcu w pracowni? – zagaduje.

Tak, dottore.

Pobiera też nauki u augustianów, dodaje Serena. Bystry z niego żak.

Serena mierzwi kasztanowe włosy syna szeroką dłonią. Przy pierwszych trzech palcach brakuje opuszków; w ich miejscu mienia się pstrokato wieloletnie blizny. Crivano wcześniej tego nie zauważył. Podoba ci się nauka, Alessandro? – zwraca się do chłopca.

Nie, dottore.

Serena wybucha śmiechem. Wolałby robić przy szkle, mówi. Uważa, że lekcje na nic mu się nie dadzą. Czasami przyznaję mu słusność. Ojcowie każą mu się uczyć łaciny i języka dworu. Po co? Już lepiej kupcowi znać angielski, prawda? Albo niderlandzki.

Mówiąc to, Serena posyła w stronę Crivana znaczące spojrzenie, które przyprawia go o dreszcz niepokoju. No cóż, maestro, są to języki arystokracji. A kupcy chcą handlować z arystokratami. Chyba się nie mylę?

Kupcy chcą handlować z tymi, którzy mają dostęp do pieniędzy i rynków zbytu, podkreśla Serena. Tak jak Anglicy. Albo Holendrzy.

Podczas gdy Serena sadowi się na krześle podsuniętym przez syna, Crivano rozgląda się ukradkiem wokół. Zwierciadlnik Verzelin nie ruszył się ze swojego miejsca przy kominku. Siedzi przygarbiony, z głową opartą na stole. Crivano poznaje go po drzeniu nóg.

Serena kładzie na dębowych deskach stołu podłużne zawiniątko. Rysunki, które od was dostałem, dottore, są bardzo dobre, chwali. Przejrzyste i szczegółowe.

Tak. Nie ja je sporządziłem.

Serena się uśmiecha. W takim razie moje uznanie dla kunsztu waszego przyjaciela, mówi. Nachyla się nad stołem. Rozumiem, czemu woli pozostać w cieniu, dodaje. Nie każdy podjąłby się takiej sztuki. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

Nie chcecie tego zlecenia?

Wykonam je, dottore. Muszę jednak starannie dobrać pomocników. Jak dobrze wiecie, wśród naszych patrycjuszy wystąpił ostatnio – jak by to ująć? – znaczny wzrost pobożności. Dość szczególnej pobożności. I naturalnie wszyscy chwalimy za to Pana. Często jednak ze zdumieniem odkrywamy, że praktyki uważane niegdyś co najwyżej za ekscentryczne, zostają teraz okrzyknięte herezją. Doświadczam tego we własnej pracowni. Dlatego muszę zachować ostrożność. Oczywiście przy tego rodzaju zleceniu potrzebny jest jeszcze ktoś biegły w obróbce metali – ktoś godny zaufania. Na szczęście znam takiego człowieka.

Crivano przytakuje. Otwiera usta, aby odpowiedzieć, i w tej samej chwili od strony kominka dobiega głośny okrzyk. Verzelin siedzi wyprostowany na krześle. Szarpie głową w lewo i w prawo, bełkocząc coś niezrozumiale, po czym czoło ponownie opada mu na stół. Cytrzysta rzuca mu szybkie spojrzenie, ani na moment

nie wypadając z rytmu.

Pijany? – pyta Crivano.

Raczej niespełna rozumu.

Crivano spogląda na Serenę; ze wszystkich sił stara się udawać zaskoczenie.

Serena wzrusza ramionami. Tak to już z nimi bywa, mówi.

Z kim?

Ze zwierciadlnikami. Tracą rozum. Nikt nie wie, dlaczego tak się dzieje.

Przypuszczam, że to przechodzi z ojca na syna.

Crivano ponownie przygląda się Verzelinowi. Rzemieślnik szoruje głową po drewnianym blacie, rozlewając przy tym wino. On może jeszcze w ogóle pracować? – wyraża zatroskanie Crivano, jakby właśnie przyszło mu to na myśl.

Serena milczy przez chwilę. Potem rozchyła poły białej tkaniny, w której tkwi podłużny przedmiot.

Wygląda to, jakby odsłaniał wycięty w blacie otwór. Crivano nachyla się nad stołem, podświadomie spodziewając się ujrzeć nogi Sereny, lecz zamiast tego jego oczom ukazują się belki stropu – a zaraz potem, nadzwyczaj wyraźnie, jego własna twarz. Musi się przytrzymać brzegu stołu, żeby odzyskać równowagę.

Śmiało, dottore. Proszę wziąć.

Crivano wsuwa smukłe palce pod materiał i unosi lustro do twarzy. Ma ono mniej więcej pół metra długości i kilkanaście centymetrów szerokości oraz zaokrąglone rogi, zgodnie ze szkicem Tristão. Szkło jest idealnie płaskie, jednolitej grubości i przejrzystości. Crivano nachyla je w stronę ognia, aby sprawdzić jakość srebrzenia, i nie znajduje żadnej skazy. Po drugiej stronie pomieszczenia, na ścianie nad kominkiem, pojawia się refleks świetlny i zaraz znika, gdy lustro w rękach Crivana ponownie zmienia położenie.

Verzelin je zrobił? – pyta Crivano.

Serena gładzi gęstą brodę, mierząc Verzelina znużonym wzrokiem. Zrobił, przyznaje, albo zlecił komuś robotę.

Jest niezwykle. Bez skazy.

Owszem. Prawie.

Czy szkło wychodzące z twojej pracowni jest równie czyste?

Serena chrząka. Czystsze, dottore, mówi. Jeśli sobie tego zażyczę. Ale gdybyście mnie zapytali – czego nie zrobiliście – rzekłbym, że to szkło jest zbyt czyste. Niech wasz przyjaciel chroni je dobrze przed wilgocią, inaczej za rok lub dwa...

Z jego ust wydobywa się dźwięk naśladowujący pierdnięcie.

...będzie po nim. Roztopi się niby jakieś wymyślne słodkości. Zbyt czyste szkło nie znosi wilgoci, dottore. Wasz przyjaciel powinien je przechowywać zawinięte w suszone wodorosty, żeby mu długo służyło. Skoro już tyle płaci.

Crivano słucha jednym uchem. Wpatruje się w odbicie swojej twarzy. Jak

każdy szlachcic posiada niewielkie stalowe zwierciadło, które przez lata nauczyło go rozpoznawać własne rysy. Lecz to szklane lustro z tamtego czyni kłamcę. Dopiero teraz Crivano widzi się takim, jakim go widzą inni, jakim go zawsze widzieli. Zwraca uwagę na kształt głowy, zmiany mimiki, przestrzeń wypełnianą przez jego ciało. Lustruje mapę zniszczeń wytyczoną na swojej twarzy, ciekaw, ile zdołałby z niej wyczytać: oto wyrwa w szczęcie od janczarskiej strzały, ucho nacięte w Silistra przez dziwkę z brzytwą ukrytą w rękawie, przedni ząb ukruszony butem perskiego unbaszi, tuż zanim wypalił muszkiet. Crivano szybko wciąga powietrze, owija lustro w tkaninę i przesuwa zawiniątko w stronę Sereny. Ile potrwa przytwierdzenie ramy? – pyta.

Niedługo. Góra jeden dzień.

Mój przyjaciel nie potrzebuje go aż tak szybko.

Jak już będzie gotowe, mówi rzemieślnik ze smutnym uśmiechem, nie chcę go trzymać w swojej pracowni.

Sięga pod tunikę – Crivano zauważa, że jest całkiem czysta i uszyta z porządnego materiału – i wyjmuje prostokąt białego papieru, złożony i zaklejony błękitną woskową pieczęcią z godłem syreny, znakiem swego rodzinnego warsztatu. Proszę to przekazać waszemu przyjacielowi, mówi. To moja wycena wraz z listą poprawek do projektu, jakich dokonałem. Jeżeli którejś nie zaakceptuje, muszę o tym wiedzieć najpóźniej do jutra przed zachodem słońca. W przeciwnym razie sam ukończę pracę.

Crivano przyjmuje papier, wsuwa go za poję kubraka. W głębi sali robi się zamieszanie: Verzelin wstał od stołu i zatacza się na nogach. Grajek z cytrą odsuwa się na bok i kompletnie go ignoruje, udając, że stroi instrument. Chryste! – wrzeszczy Verzelin i dodaje coś, czego Crivano nie rozumie. Na brodzie dynda mu nitka flegmy, złocąca się w świetle kominka. Crivano spostrzega dwie ciemne plamy na stole w miejscu, gdzie siedział Verzelin. Mniejsza to rozlane wino; większa to, jak się zdaje, kałuża śliny.

Verzelin rusza ku nim, wstrząsając się spazmatycznie przy co drugim kroku. On jest wśród nas, bracia! – syczy i wskazuje Crivana. Obietnice! Obietnice! Obietnice zbawienia!

Crivano patrzy śmiało. Z przodu koszula Verzelina jest cała mokra od potu i śliny. Jakie to niezwykle, myśli Crivano: tyle godzin spędzonych przy piecu, a ten człowiek wciąż ma w sobie tyle flegmy. Nic już go nie uleczy. Mimo to lepiej nie ryzykować.

Verzelin z trudem formułuje słowa, prawie się nimi dławi. Zawołałem! – wyrzuca z siebie. Jestem jego prorokiem! Paw to święty ptak. Czyż nie jest święty? On chodzi naszymi ulicami! Idźcie za nim, bracia!

Wychodzi przez drzwi i znika im z oczu. Crivano mobilizuje się, stara nie pokazać po sobie napięcia.

To, odzywa się Serena, nie jest najlepszy przykład pobożności, o jakiej wspomniałem.

Powinienem z nim pomówić.

To niewiele da, dottorre.

Mam dla niego zapłatę. Za lustro.

Ja mu zapłacę za lustro. A wy mnie za skończoną pracę.

Serena przygląda mu się spod zmrużonych powiek, jakby miał Crivana za głupca, lecz ten już wstaje od stołu. Przyjdę po gotowe dzieło za dwa dni, zapowiada. Zawiadomcie mnie przez umyślnego, jeśli prace się opóźnią. Zatrzymałem się w gospodzie Pod Białym Orłem.

Chwilę trwa, zanim Crivano zapłaci za swoje wino, odbierze płaszcz oraz laskę. Mamrocze pośpiesznie pożegnania i wypada na campiello, lecz Verzelina nigdzie nie widać. W takim stanie nie mógł daleko zajść, ale w którą stronę poszedł? Crivano rozgląda się za chłopcem z pochodnią, który go tutaj przywiódł, lecz ten także przepadł. Mógłby naturalnie wziąć innego, ale nie chce rzucać się w oczy bardziej, niż jest to konieczne.

Decyduje się skrócić w lewo i pójść ulicą Hutników. Jest długa, prosta i rzęsiście oświetlona – nad wejściami do warsztatów wiszą szklane latarnie, ze środka świecą rozżarzone do białości piece – a z lewej strony przylega do niej wąski kanał pełen zacumowanych łodzi. Jeśli Verzelin wybrał tę drogę, nietrudno go będzie wypatrzeć.

Crivano śpieszy przed siebie, ściskając w dłoni laskę. Kątem oka rejestruje kolorowe godła mijanych pracowni: anioła, syrenę, smoka, połykającego dżdżownicę koguta. Wszystkie okiennice są otwarte, a towary wystawione na widok przechodniów i Crivana po raz kolejny zaskakuje widok własnej niespokojnej twarzy.

Sto metrów dalej na fundamenta, tuż za małym targiem rybnym, przed zatrudniającym go warsztatem rodziny Motta – znanych zwierciadlników – chwieje się Verzelin, wrzeszcząc coś do robotników w środku. Witryna i okiennice to jedna wielka wystawa srebrzonych lusterek: owalnych, okrągłych i prostokątnych, kieszonkowych i miniaturowych, z ramami z inkrustowanego drewna, kutego metalu albo chalcedonowego szkła. Każde z nich odbija jakiś fragment Verzelina: zapadniętą pierś, powykręcane członki, nieme „O” pokrzykujących ust.

Schwytalem Pana! – woła. Tak jest, tak się stało, wszyscy Go schwytaliśmy. Ale co z tego, jeśli za Nim nie podążamy? Nikt z warsztatu nie podchodzi do okien, przechodnie omijają mężczyznę szerokim łukiem. Bruk u stóp zwierciadlnika jest obryzgany białą pianą.

Crivano obserwuje go z niewielkiej odległości od strony nabrzeża. Tak jest lepiej, myśli: lepiej, że Verzelin wyszedł przed nim z Salamandry i dał mu czas, żeby pomyśleć. Obizzo zdążył chyba tymczasem przycumować łódź; czeka niedaleko, góra kilometr stąd. Pytanie, jak skierować Verzelina w odpowiednią stronę. Podczas lat spędzonych w Bolonii Crivano miał do czynienia z dostatecznie wieloma szaleńcami, aby przestać się łudzić, że jest w stanie przewidzieć ich działania. W tym konkretnym przypadku z braku lepszych pomysłów postanawia zdać się na intuicję.

Rusza przed siebie nieśpiesznym krokiem, obrzucając rzemieślnika obojętnym spojrzeniem. Verzelin milknie, jego rozgorączkowane oczy napotykają wzrok Crivana. Pociągła, brodata twarz drga i marszczy się w ataku tików. Crivano mija go i idzie dalej wzdłuż fundamenta; żelazna końcówka laski stuka głośno o bruk.

Zbity z tropu Verzelin wyrzuca z siebie potok bełkotliwych słów – niezrozumiałych, zwierzęcych dźwięków – a Crivano przyśpiesza kroku. Z prawej strony pojawia się luka w ciągu zabudowań: to ulica Garnarzy. Crivano skręca w nią. Tu także ulokowały się huty szkła, poza tym dwie osterie i pracownia ceramiki szklonej; inne kramy są ciemne, a ich okiennice – zamknięte. Mniej więcej w połowie ulicy Crivano kryje się w cieniu głębokiej bramy składu kupca bławatnego. Czeka.

Verzelin podąża w ślad za nim. Przy każdym kroku jego ciało wygina się w lewą stronę; rzemieślnik prostuje się wówczas, walcząc z przechyłem niczym okręt płynący pod wiatr. Nieliczni przechodnie na jego widok przyśpieszają, schodzą mu z drogi. Verzelin bez przerwy mruczy coś pod nosem. Paw, mówi, to święty ptak, święty ptak, święty ptak.

Crivano wychodzi z ukrycia na ulicę, prosto w światło księżyca. Mistrzu

Verzelinie, mówi.

Rzemieślnik trzepocze powiekami, mruży oczy. Dottore? – pyta. Dottore Crivano?

Tak. To ja.

Wyczarowałem was, oznajmia Verzelin. Wyczarowałem was ze szkła.

Musimy iść, mówi stanowczo Crivano. Rozumiecie? Musimy jeszcze tej nocy opuścić Murano.

Verzelin gapi się na niego pustym wzrokiem, po czym zaciska powieki i kręci głową jak dziecko, które spróbowało surowej cebuli.

Posłuchajcie mnie. Starsi cechu i Rada Dziesięciu odkryli nasze zamiary. Sbirri już was szukają. Nieopodal czeka łódź, która zabierze nas do Chioggi, ale nie wolno nam zwlekać.

Verzelin krzywi się, spogląda na swoje przestępujące w miejscu stopy. Na jego twarzy Crivano dostrzega całą gamę impulsów zdominowanych przez głębokie znużenie. Podążę, mamrocze Verzelin. Spojrzałem w lustro. I zobaczyłem. Więc podążę.

Crivano odnajduje suche miejsce na rękawie Verzelina i ciągnie, chcąc go przynaglić. Przed nimi rozpościera się szeroki plac – przy studni wstające zwykle przed świtem żony kupców napełniają wiadra – mężczyźni obchodzą go więc po łuku, aż znajdą się na ulicy równoległej do kanału Hutników. Gdzieś w pobliżu pracują już garncarze, nucąc ckliwą pieśń o utopionym żeglarzu, lecz poza tym Verzelin i Crivano mają całą ulicę dla siebie.

Crivano mówi cicho i szybko, przypominając Verzelinowi, co robią i dlaczego. Z Chioggi pożeglujemy do Ragusy, szepcze mu. W Ragusie będzie na nas czekał angielski statek handlowy, który zabierze nas do Amsterdamu. Z Bożą pomocą dotrzemy tam za trzy tygodnie. A wówczas, jak mniemam, cały tamtejszy cech będzie zanosił wyjątkowo żarliwe modły do świętego Antoniego.

Nie chcę, protestuje Verzelin, nie chcę płynąć do Amsterdamu. Pełno tam heretyków. Heretyków!

Wobec tego będziecie musieli ich wszystkich nawrócić, prawda, mistrzu Alegreto?

Drgawki wstrząsające ciałem Verzelina ustąpiły, ale zwierciadnik nadal powłóczy nogami. Jego słowa grzęzną w potoku śliny. Nie mogę pracować, jęczy. Podnosić szkła. Już nie. Moje ręce, dottore! Moje ręce!

Crivano oplata palcami ramię rzemieślnika, zerka przed siebie. Widzi już lagunę i ciche fundamenta, gdzie miał przycumować Obizzo. W Amsterdamie nie będziecie musieli pracować przy szkłe, mówi, ciągnąc za sobą Verzelina. Znajdą wam dobrych czeladników. Doświadczonych. Musicie ich tylko nauczyć, jak się nakłada srebro.

Jestem dotknięty, zawodzi Verzelin. Zobaczyłem! Nie ma czasu, nie ma

czasu. A wy, dottore? Podążacie?

Oczywiście, maestro, odpowiada Crivano. Jakże by inaczej.

W kramie po lewej ktoś otwiera okiennice, lecz Crivano nie ogląda się za siebie. Schwytałem go! – szepcze Verzelin, ściskając dłoń Crivana. W moje szkło! Schwytałem, naprawdę go schwytałem. Podsuń Chrystusowi lustro, dottore! Czyż to nie jest powtórne przyjście? Widziałeś, dottore? Widziałeś? Co z tego, jeśli jest się świadkiem i milczy?

Są już na fundamenta. Laguna rozpościera się przed nimi, czarna i bezkresna, usiana światłami latarni. Cienka świetlista nić łączy stały ląd z Canale Grande. Z pobliskich budynków dolatują pochrapywania, stłumione rozmowy, odgłosy kopulujących par, ale na zewnątrz nie widać nikogo. W odległości stu metrów w kierunku południowym przy nabrzeżu rośnie kępa dębów ostrolistnych; Crivano dostrzega białą szmatę zarzuconą na jedną z dolnych gałęzi. Chodźmy, szepcze i ciągnie Verzelina za rękę. Prędko.

Tak ciężko pracowałem, skarży się Verzelin. Tak ciężko. Teraz to widzę. Paw to święty ptak, dottore. Wystarczy policzyć oka na jego ogonie.

Crivano szybkim spojrzeniem obrzuca okna i balkony, lecz nikt zdaje się ich nie obserwować. Są już prawie przy kępie drzew. Na nabrzeżu przed nimi dwa kocięta tarmoszą porzucony rybi łeb; oprócz nich i powierzchni wody nic się nie porusza. Crivano pozwala Verzelinowi zrobić krok naprzód, po czym kładzie mu delikatnie dłoń na plecach.

Przyozdobiona szmatą gałąź wskazuje drewniany pachołek, do którego przycumowana jest niewielka łódź wiosłowa Obizza. Obizzo usunął z niej miejsca siedzące dla pasażerów; płaskie dno wyściela parciany worek, który tylko częściowo zasłania zwój konopnej liny i nieregularny blok piaskowca. Sam Obizzo kuli się przy sterze, ukryty pod grubym płaszczem i szerokim rondem kapelusza. Kiedy Crivano i Verzelin zbliżają się do dziobu, wstaje i niezgrabnie przełazi przez burtę.

Verzelin gwałtownie nabiera powietrza w płuca i staje jak wryty. Pomimo swojego stanu od razu rozpoznaje Obizza. Ty, mówi.

Crivano obiema rękami unosi laskę i uderza nią poziomo Verzelina w podstawę czaszki. Głowa rzemieślnika odskakuje w przód, mężczyzna chwieje się, Crivano zaś wsuwa mu laskę pod brodę i przykładą w poprzek szyi trochę powyżej jabłka Adama. Następnie zakłada sobie za głowę prawy koniec laski, dociska lewym barkiem i miażdży krtań.

Rzemieślnik walczy, orze palcami powietrze, więc Crivano wolną ręką chwyta go za prawy nadgarstek, wykręca i unieruchamia. Obizzo tymczasem łapie Verzelina za nogi i także je wykręca, krzywiąc się przy tym z wysiłku, jakby ofiara była rozgałęzionym młodym drzewkiem, które Obizzo usiłuje złamać na pół. Uniesiony nad ziemię Verzelin wije się, próbując uchwycić się czegoś swobodną

lewą ręką. Rozlega się suchy trzask – to główka kości udowej wyskakuje z panewki stawu biodrowego – i ciało Verzelina robi się ciężkie, bezwładne.

Zupełnie jak Antajos, przelatuje Crivanowi przez głowę. Jeszcze przez chwilę dociska laskę do szyi, upewniając się, że przylega dokładnie do tętnicy. Wiele lat minęło, odkąd robił to po raz ostatni. Czekaając, aż Verzelin umrze, myśli o tamtych mężczyznach – o ich dotyku, zapachu, chrapliwym, przerywanym oddechu.

Szybciej, no szybciej, do diabła! – szepcze Obizzo. Kapelusz spadł mu z głowy; podnosi go, zakłada, odwraca się i oczami bezpieczeństwa psa spogląda na światła płonące w pobliskich budynkach. Każdy na Murano z miejsca by go rozpoznał.

W porządku, mówi wreszcie Crivano. Bierz go za nogi.

Układają zwłoki Verzelina na dnie łodzi i nakrywają je workiem. Crivano oplątuje rzemieślnika liną – obie nogi, tors oraz ręce, podwójna pętla wokół pasa – i kończy płaskim węzłem.

Obizzo staje przy sterze, długie wiosło trzyma w gotowości. Wystarczy, dottore, mówi. Teraz wysiadajcie i mnie odepchnijcie.

Crivano wyskakuje na nabrzeże i podnosi z ziemi cumę. Tylko na pewno wrzucić go do wody przy San Nicolò, mówi. Zatop go w kanale. Jeżeli nawet lina pęknie, ciało porwie morski prąd.

Kiedy się zobaczymy?

Crivano związa cumę i rzuca ją na dziób sandola. Odszukam cię w Rialto, mówi.

Kiedy?

Crivano nie odpowiada. Patrzy, jak Obizzo manewruje niewielką łodzią. Rękawy jego płaszczu zsuwają się, gdy podnosi w górę wiosło, odsłaniając potężne przedramiona, i Crivano jest ciekaw, jakie bajki opowiada swoim pasażerom, tłumacząc się z poparzeń znaczących jego spaloną piecem hutniczym skórę. Kilka długich pociągnięć wiosłem oraz rzuconych za siebie gniewnych spojrzeń i Obizzo rozplywa się w ciemności.

Gdzieś w górze rozbrzmiewa bezbarwne nawoływanie gęsi. Crivano szuka na niebie jasnych spodów skrzydeł, ale ich nie znajduje. Gdy niebo znów cichnie, ściąga białe płótno z dębowej gałęzi, ściera ślinę Verzelina ze swojego płaszczu i laski i wyrzuca mokrą szmatę do wody. Następnie robi w tył zwrot i wraca na ulicę Hutników. Idzie nią aż do długiego mostu, przyglądając się po drodze mijanym witrynom.

Gospoda, w której się zatrzymał, mieści się na Ruga San Bernardo: za dnia jest tu gwarno, a nocą cicho. Zewnętrzne drzwi nie są zamykane na klucz, schody do wynajmowanych izb prowadzą prosto z przedsionka. Właściciel gospody usłyszy wchodzącego gościa, ale nie będzie pamiętał, o której godzinie wrócił.

Crivano zasuwą rygiel w drzwiach swojej izby, opiera głowę o drewniane deski i głęboko oddycha, świadom galopującego tętna. Potem zapala glinianą lampę na stoliku, wiesza odzienie na kołkach przy łóżku i rozwiązuje sakwę.

Dwie szczypty bazyliowej tabaki wystarczają, aby uspokoić tętno, lecz Crivano nie zmruży oka aż do powrotu do Rialto. Wykonuje kilka ćwiczeń rozciągających, które pamięta ze szkoły pałacowej w Topkapi, po czym siada i przełamuje błękitną pieczęć na liście Sereny do Tristão. Rozpościera zewnętrzny arkusz czerpanego papieru i jego oczom ukazuje się drugi dokument z identyczną pieczęcią; Crivano odkłada go na bok. Wygładza zewnętrzny arkusz, przysuwa go do płomienia lampy i czeka, aż na papierze ukaze się ukryta wiadomość.

Chłodny wiatr podnosi mgłę znad laguny i z boku obok dzioba traghetto wyłania się dzwonnica kościoła San Michele. Jeśli nie liczyć Crivana, jedynymi pasażerami łodzi są dwaj milkliwi kupcy z Tyrolu, ściskający pomiędzy kolanami swoje tobołki. Gondolier nie zabawia ich śpiewem; regularnie przerywa wiosłowanie, aby wydmuchać nos i ciaśniej otulić się płaszczem w przenikliwym chłodzie poranka.

Crivano sam cierpi na lekki katar, poza tym drapie go w gardle, zapewne po nieprzespanej nocy. W minionym roku było ich aż nazbyt wiele: ostatnio w trakcie intensywnych podróży, a wcześniej podczas długich godzin spędzonych na lekturze, gdy przygotowywał się do dysputy i obrony teorii Galena przed nadętymi kanclerzami, którym *Kanon medycyny* Ibn Siny znany był wyłącznie w tłumaczeniu i którzy nigdy nawet nie czytali ar-Raziego. Niejeden świt zastawał Crivana pochylonego nad zagraconym biurkiem lub kończącego jakiś trudny proces alchemiczny w maleńkim laboratorium; tarł wówczas oczy, narzucał pelerynę i wychodził na spacer pod pełną przeciągów bolońską kolumnadą, w ekscytującym, a zarazem nieco melancholijnym poczuciu nietykalności, tak jakby przeczekując noc, odnalazł sposób, aby zatrzymać czas i uwolnić się od ziemskich trosk. Najbardziej radowała go świadomość, że nikt nie widzi, czego dokonał, i nie wie, że zdołał jednak zakosztować uroków wczesnego poranka, którym wzgardzili inni. Pobrmiewało w tym, rzecz jasna, echo innych jego sekretów. Ilekroć Crivano przyglądał się gładkim twarzom o połowę od siebie młodszych studentów, otrząsających się ze snu i śpieszących na wykłady, przygryzał policzek od środka i dumiał nad własną zabójczą obcością: był niczym pajak na kwieciu, kukułcze piskłę w gnieździe.

Po stronie sterburty trzepocze we mgle coś białego. To skrzydła czapli i po chwili Crivano dostrzega ich dziesiątki, gnieźdzących się wśród wierzb przy wschodnim krańcu wysepki San Cristoforo della Pace. Poziom wody jest tu niski, przypływ dopiero się zaczyna: na płycznach widać oblepione śliską zosterą głązy, powietrze przesyca zgniły zapach morza. Crivano przyciska do twarzy nasączoną olejkami miętowym chustkę i obserwuje w oddali dwóch rybaków, uwijających się przy trzciniowym jazie. Kiedy znów zwraca twarz ku dziobowi, kwadratowe wieże Arsenалу są tuż przed nimi, po jednej na każdym brzegu kanału.

Traghetto wysadza swoich pasażerów. Tyrolczycy pospiesznie oddalają się w kierunku południowym, identycznie zgarbieni, dźwigając na ramionach identyczne tobołki. Crivano staje z boku i odprowadza ich wzrokiem, podczas gdy zakatarzony gondolier przyjmuje na pokład nowych pasażerów. Z tyłu mgła już się podniosła i nad horyzontem pojawiło się kilka ośnieżonych alpejskich szczytów

niczym zacieki na starym fresku.

Dolatująca z Arsenалу woń gotującej się smoły przyćmiewa całkowicie wodne miazmaty, Crivano chowa więc swoją chustkę z powrotem do kieszeni kubraka. Kolumny czarnego i białego dymu wznoszą się niby dwie zjawy równoległe do nowej dzwonnicy kościoła San Francesco della Vigna, niemal bliźniaczo podobnej do tej stojącej na Piazza: jest tylko trochę smuklejsza, równie wysoka, a jej ostre, stożkowate zwieńczenie całe już spękało od piorunów. Crivano osłania oczy dłonią i zauważa, że wychodzące na Arsenał okna w murze dzwonnicy zamurowano cegłami, przypuszczalnie po to, aby utrudnić zadanie potencjalnym szpiegom. Crivano i jego współnicy nie są jedynymi cudzoziemskimi wysłannikami, spiskującymi przeciwko Radzie Dziesięciu.

Rozpoczynając długą wędrówkę do dzielnicy Rialto, Crivano stara się iść powoli – zachowuje spokój i czujność, pozwala się nieść wypełniającym ulice tłumom – lecz bolą go głowa i kark, twarze przechodniów nabierają w jego oczach potwornych kształtów i odruchowo przyśpiesza, niebacznym na to, co mijają. Kiedy przechodzi przez most przy Calle Zon, gładka powierzchnia kanału pęka pod naporem bąbli unoszących się z dna. Crivana ogarniają mdłości; przystaje, wsparty o kamienną balustradę. Z dna wzbija się czarny szlam zanieczyszczający szmaragdową wodę i Crivano wyobraża sobie Verzelina w odmętach laguny, uwiązane do kamiennego bloku, nareszcie spoczywającego w spokoju. Śmierć była dla niego jedynym lekarstwem.

Crivano przyciska do twarzy chustkę i oddycha przez nią, a zapach mięty pomaga mu skupić myśli. Nie przewidział, że to wszystko będzie aż tak wyczerpujące: konieczność prowadzenia skrupulatnego wewnętrznego rejestru popełnionych zbrodni, wypowiedzianych kłamstw. Byle drobiazg wystarczy, aby go pogrążyć, jeżeli trafi do niepowołanych uszu. To może być cokolwiek: jakieś niewinne stwierdzenie, które okaże się sprzeczne z tym, co wcześniej mówił.

Co gorsza, Crivano zdaje sobie sprawę, że w trakcie mozolnego snucia spisku wykazuje coraz bardziej niepokojącą tendencję do popadania w apatię, zapominania o celu, który go tutaj przywiódł. Gdy poruczono mu tę misję, rozkaz *haseki sultan* wydawał się całkiem prosty: znaleźć rzemieślników biegłych w wyrabianiu zwierciadeł bez skazy, z których wyspa Murano słynie wśród wszystkich cywilizowanych ludów, a następnie sprowadzić owych mistrzów na dwór sułtana, aby można tam było uruchomić warsztat dorównujący weneckim wytwórcom. Wkrótce jednak Crivano odkrył – ku swemu zaskoczeniu, jeśli nie przerażeniu – że wyrób lusterek to przedsięwzięcie wielce złożone, wymagające współpracy co najmniej dwóch fachowców: hutnika szkła posiadającego gruntowną znajomość receptur oraz technik pozwalających na uzyskanie substancji krystalicznej o niemal doskonałej przejrzystości oraz zwierciadlnika zdolnego z owej substancji uzyskać płaskie tafle pokryte z jednej strony odblaskowym

stopem. Zważywszy na to, że lustra z Murano są coraz bardziej pożądane na europejskich dworach, rzemieślnicy obdarzeni takimi umiejętnościami mogą żądać za swe usługi zapłaty, której wysokość zawstydziliby najzamożniejszego paszę. Skłonienie ich, aby opuścili rodzinną wyspę – wyspę, gdzie co dzień ze wszystkich stron świata ściągają okręty z transportem szczególnych surowców dla hut, w których owi ludzie, podobnie jak od wieków ich ojcowie i dziadowie doskonalili swoje rzemiosło – a więc skłonienie ich, aby porzucili ów raj i zgodzili się zbudować warsztat zwierciadlniczy *ex nihilo* w muzułmańskim kraju, którego mowy ani obyczajów nie znają, stanowiło według Crivana ogromne wyzwanie natury retorycznej.

Okłamał ich zatem. W oparciu o świeżo nabytą wiedzę o wyrobie luster doszedł do wniosku, że Amsterdam – inne miasto kanałów, z rozkwitającymi właśnie hutami szkła – może się okazać kuszącą ofertą dla mieszkańców Murano. I rzeczywiście: hutnik Serena – jakiegokolwiek powody nim kierowały – chętnie przystał na jego propozycję. Podobnie Verzelin – a przynajmniej tak się zdawało, dopóki Crivano nie był zmuszony uznać, że zwierciadlnik jest nie tyle ekscentryczny, co najzwyczajniej szalony. Postradał zmysły za sprawą tajemniczej dolegliwości, która wysssała z jego mózgu wszystkie soki. Dla Crivana to była katastrofa! Biedny głupiec okazał się zbyt nieobliczalny, aby być użyteczny dla *haseki sultan*, a zarazem dość przytomny, aby władze Republiki uwierzyły w jego bełkot o rychłej ucieczce na północ. Zwierciadlnik nie pozostawił im wyboru: sam wydał na siebie wyrok śmierci.

Dla odmiany Obizzo okazał się strzałem w dziesiątkę. Crivano po raz setny się głowi, skąd Narkis go wytrzasnął: zwierciadlnika biegłego w sztuce srebrzenia luster, człeka rozsądnego, w dodatku zbiega, za którego głowę wyznaczono osiemdziesiąt dukatów nagrody. Teraz, po wydarzeniach minionej nocy, jego los splótł się nieodwołalnie z losem Crivana. Oczywiście, jak wszyscy zwierciadlnicy, Obizzo ma nieco choleryczne usposobienie – Crivano woli nie myśleć, jak go udobrucha, gdy tamten wejdzie po trapie na statek i odkryje, że ma być więźniem w mieście całkiem odmiennym od Amsterdamu, do którego się wszak wybierał – ale to drobiazg. Ten człowiek to istny dar niebios. Jaki dokładnie bóg go zesłał, pozostaje, rzecz jasna, tajemnicą.

Kanałem niosą się śmiech i słowa sprośnej piosnki. Crivano odwraca głowę i widzi grupę młodych szlachciców – pijanych, przyodzianych jak Chińczycy, w towarzystwie dwóch zamaskowanych dziewczek – którzy przechodzą przez most i wałą pięściami w ciężkie drewniane wrota starego Palazzo Zon. Młodzieńcy musieli całkiem niedawno paść ofiarą *mattacino*: przez zapach miętowego olejku, którym nasycona jest chustka Crivana, przebija woń piżma. Jeden z fałszywych Chińczyków gapi się na niego skośnymi oczami uczernionymi proszkiem antymonowym. Crivano odwraca się doń tyłem i wraca mostem tam, skąd

przyszedeł.

Na Campo Santa Giustina zatrzymuje się, aby poszukać posągu upamiętniającego bitwę pod Lepanto; jest pewien, że takowy znajdzie, lecz żadnego nie ma. Mury kościoła są spękane, gmach chyli się ku ziemi: Crivano zagłąda do środka przez otwarte drzwi i widzi w przedsionku przechadzającą się parę gołębi skalnych. Sączące się z dziur w sklepieniu blade światło znaczy cętkami kamienne płyty posadzki. Crivano zmusza się do cierpkiego uśmiechu i znów zawraca na południe. Jak szybko czasy się zmieniają. Jak słodko jest zapominać.

Nazajutrz ostatni dzień jarmarku. Przed dwoma tygodniami, w dniu Święta Wniebowstąpienia Pańskiego, Crivano był gościem honorowym na galerze rodziny Contarinich: stał na przybranym girlandami tylnym pokładzie obok samego Giacomo Contariniego, a gdy zbliżyli się do wejścia do laguny, zaoferował starcowi swoje ramię. Patrzył, jak doża Cicogna chwieje się na pokładzie swojego „Bucentaura”, i słyszał jego czysty głos, niosący się ponad falami – „Zaślubiamy cię, o morze, na znak prawdziwego i wiecznego zwierzchnictwa” – podczas gdy doradcy usiłowali utrzymać go w pozycji pionowej na tyle długo, aby zdołał wrzucić pierścień do wody. Później tego samego popołudnia na Lido Crivano przyjął komunię nieopodal strzelnicy, na której przed dwudziestu dwoma laty wraz ze Skowronkiem dowodzili swej wprawy jako łucznicy. Później tkwił bez końca na bankiecie, aby dostąpić zaszczytu króciutkiej audiencji u samego Cicognii. „Republika dziękuje ci, mój synu, za twą pełną męstwa służbę pod jej rozkazami”. Pokurczony sędziwy doża nie miał najwyraźniej pojęcia, kim jest Crivano ani czego miałyby dotyczyć jego męstwo; przysnął, zanim jeszcze słowa uleciały z jego ust, Crivana zaś czym prędzej przegoniono sprzed oblicza władcy – i bardzo dobrze, bo nad dalekimi dachami miasta rozkwitły właśnie pierwsze fajerwerki.

Cieszył się wówczas, że ominęły go huczne obchody na Piazza – ta dziwna mieszanka deprawacji i inwigilacji – teraz jednak łapie się na myśli, że chciałby je zobaczyć, zanim dobiegną końca, zatracić się w tłumie przyciąganym przez to widowisko. Skręciwszy trzykrotnie w złą stronę i znalazłszy się w ślepych uliczkach, Crivano wybiera kanał tuż za apsydą kościoła San Lorenzo – słyszy układających dachówki robotników, którzy podśpiewują gdzieś na górze, ale są zbyt wysoko, aby mógł ich wypatrzeć – i przepycha się wśród Greków w purpurowych płaszczach przez most, aż do fundamenta po przeciwległej stronie. Kawalek dalej znów pokonuje kanał, mija nijaką fasadę kościoła Sant’Antonin i gotyckie pałace na Campo della Bràgora, a gdy jest już pewien, że znowu zabłądził, wychodzi na Riva degli Schiavoni, wprost na rozpościerające się przed nim, połyskujące niczym zasłona ze szklanych paciorków Bacino di San Marco.

Schodzi z drogi przechodniom, żeby popatrzeć na zatokę. Dominującą nad nią monumentalną bazylikę San Giorgio Maggiore ledwo zaczęto budować, gdy

pierwszy raz tutaj przybyli ze Skowronkiem. Dalej na zachód, na wyspie Giudecca, wznosi się zupełnie nowy kościół Najświętszego Zbawiciela, chłodny i majestatyczny. Fasady obu świątyń zbudowano z czystego białego kamienia z Istrii, który niemal oślepia w słońcu. Niemożliwe budowle w niemożliwym mieście. Przypominają mu greckie ruiny widziane w Efezie, lecz nie wydają się przez to mniej obce. Masywne portale zdają się otwierać na świat nieznany dotąd ludzkim oczom.

Obok niego przemyka peota spiesząca na spotkanie nadpływającej karace; jej stępka i wiosła nie zostawiają prawie żadnego śladu na powierzchni wody. Crivana ogarnia nieoczekiwany żal na myśl, że nie może zapomnieć chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał to miasto – i tego, jak walczył ze Skowronkiem o lepsze miejsce przy relingu, kiedy z przodu ukazało się molo – bo teraz mógłby je ujrzeć na nowo, świeżym okiem, i sprawiedliwie porównać z innymi cudami, które oglądał w latach dzielących go od tamtego pierwszego dnia w Wenecji: labiryntem tuniskiej medyny, piramidami na równinie Gizy, wykutymi w żywej skale świątyniami Wadi Araba. Opiera się o pacholek na skraju nabrzeża, zamyka oczy i stara się przywołać uczucie, które towarzyszyło mu podczas wypełnionych oczekiwaniem dni kwarantanny w Malamocco, wspomnienie nadciągającej burzy i siebie samego, stojącego na kamiennym falochronie u wrót laguny. Skowronek był gdzieś z tyłu, śpiewał i błaznował przed młodymi wieśniaczkami – „Mój szlachetnie urodzony przyjaciel i ja udajemy się do Padwy, aby zdobyć zawód medyka. Śmiało, dajcie mi się zbadać!” – podczas gdy sam Crivano walczył z wiatrem, usiłując wśród pędzących chmur dojrzeć zarzysy dzwonnicy.

Sen depcze mu po piętach: Crivano drga, budzi się i widzi, że niebezpiecznie przechylił się do przodu. Chwyta pacholek, aby nie runąć prosto w fale. Laska upada mu ze stukotem na ziemię; Crivano następuje na nią i schyla się, żeby ją podnieść.

Nieopodal na nabrzeżu zebrała się grupa kupców. Obserwują nadpływającą karakę; Crivano podąża za ich wzrokiem. Żaglowiec stracił główny maszt – na wysokości ramienia dorosłego mężczyzny częściowo widać drzazgi, częściowo ślady siekiery, jakby ktoś ściał go, podczas gdy statek umykał przed burzą – a kiedy karaka się przybliżyła, oczom Crivana ukazują się kadłub najeżony strzałami i podziurawiony ołowiem; okolice ścieków pokładowych są zabarwione na rdzawobrunatny kolor.

Chryste, zmiłuj się nad nami, mamrocze jeden z kupców. Piraci znów atakują.

Uskokowie? – dopytuje się jego sąsiad.

A któż by inny, głupcze? Spójrz na tę krew! Na pokładzie tego statku odbyła się istna uczta kanibali, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Kupiec spluwa do wody. Ktoś powinien powiedzieć temu staremu impotentowi Cicognii, że jego

nowa żona zdradza go z samym diablem, mówi. A ich bękarci pomiot rządzi naszymi wodami.

Crivano odwraca się, żeby odejść. Na wprost, przy Riva degli Schiavoni, trupa wędrownych akrobatów fika kozły na fundamentach nowego więzienia. Crivano przepycha się przez tłum na moście wiodącym na molo, mija podcienia Pałacu Dożów i zmierza w stronę dwóch bliźniaczych kolumn. Pomiędzy nimi ustawiono pięć długich stołów obsługiwanych przez zamaskowanych pomocników, którzy potrząsają kośćmi w trzymany w rękach glinianych kubkach. Za każdym stołem czekają chłopcy i kupcy, długa kolejka wije się aż do rzemieślniczych kramów. Nowo wybudowane skrzydło biblioteki tworzy z Piazzetty istny kanion; przez całą jego długość biegną dwa rzędy drewnianych stoisk sięgające aż na Piazza. Beładna tłuszcza przemieszcza się od kramu do kramu: tęgie wieśniaczki z *terra firma*, niemieccy pielgrzymi zaopatrujący się przed wyprawą do Ziemi Świętej, spowite srebrzystym woalem panny w adamaszkowych sukniach. Crivano bierze głęboki wdech, zanim się w nią zanurzy.

Cóż za groteskowa obfitość! Rzeźbione skrzynie i majolikowe naczynia. Torebki i fiolki pachnideł oraz kulki zapachowe. Brewiarze i pornograficzne drzeworyty. Treliaże obwieszane różańcami i fałszywymi perłami. Półki uginające się pod ciężarem obuwia, grzebieni, nakryć głowy, nogawic, zapinek. Sprzedawcy barwników ucierają swoje towary i usypują z nich zgrabne kupki. Złotnicy, kotlarze i blacharze wyrabiają chimery z drutu oraz folii metalowej. Bravi o obojętnym spojrzeniu badają opuszkami palców ostrza noży. Grecy handlują skórą, Lombardczycy kupczą płótnem, Słowianie kramarzą wełną.

Wędrujący wzdłuż stoisk Crivano zdaje sobie sprawę, że zdążył zapomnieć o swoich kłopotach, uwolnił umysł od nieustannej troski o realizację planu, który ostatnio nadaje kształt wszystkim jego dniom, i na krótką chwilę stał się dokładnie tym, na kogo wygląda: włóczącym się bez celu mężczyzną oglądającym towary. Odkąd przed kilkoma tygodniami przybył do miasta, rzadko zdarzało mu się przeżywać podobne momenty i zawsze otrząsał się z tego gwałtownie jak ktoś, kto właśnie sobie przypomniał, że pozostawił sakiewkę bez nadzoru. Teraz uświadamia sobie, że właśnie w takich chwilach jest najbezpieczniejszy: kiedy myszkuje między kramami, zabawia swoich patronów z rodu Contarinich, dyskutuje z uczonymi mieszkańcami na niezobowiązujące, a ciekawe dla wszystkich tematy. Nikt go nie przyłapie na kłamstwie, jeżeli nie kłamie. Ciekawe, czy któregoś dnia zdoła do tego stopnia się zapomnieć – zakopać opasłą księgę zdrad i oszustw – by w obliczu niepodważalnych dowodów własnego zepsucia zareagować szczerym zdumieniem.

Ze schodów bazyliki zbiega dwóch mattacini i z plecionych proc rażą tłum jajkami wypełnionymi piżmem; ludzie, krzycząc i piszcząc, rozstępują się przed nimi. Crivano wykorzystuje tę okazję, aby okrążyć loggettę dzwonnicy i wyjść na

Piazza. Na przestrzeni minionych dwudziestu kilku lat obraz placu – jego ogólnego zarysu i wszystkich detali – był w nim tak żywy, że zwykle zapomina, jak niewiele czasu spędzili tu wspólnie ze Skowronkiem. Wspomnienia stały się dla niego czymś w rodzaju latarni morskiej w czasach chaosu i utrapień, sposobem na odnalezienie własnej drogi w świecie. Teraz jednak po długiej nieobecności z zaskoczeniem odkrywa, jak wiele z tych wspomnień było zwykłą konfabulacją: pewne rzeczy jego umysł pod dyktando wyobraźni uwydatnił, inne pozmieniał albo zwyczajnie pomiął. Crivano nie ma wrażenia, że znalazł się w mieście, które od dawna go prześladowało, lecz w mieście, które prześladowało samo siebie.

Zdążył obejść niemal całą Piazza; dopiero teraz zauważa, jak bardzo się rozrosła. Dawna gospoda dla pielgrzymów została wyburzona – zastąpiła ją Prokuracja Nowa, jeszcze niegotowa, wznoszona w kiczowatym stylu klasycystycznym – sam zaś plac w kształcie wydłużonego trapezu znacznie poszerzono. Tutaj mieszczą się najciekawsze świąteczne kramy: hutnicy szkła wystawiają na długich ławach figurki skaczących delfinów, smoków stojących na zadnich łapach i wijących się węży. Jest nawet szklana armada pod pełnymi żaglami. Crivano podchodzi bliżej, aby móc podziwiać miniaturowy zamek ze szkarłatnymi proporcami, do którego przylega zagajnik filigranowych drzewek oraz fosa z pieniącym się cytrynowym winem.

Wszystko to jednak blednie w porównaniu do cudowności, które zgromadzili na swojej wystawie zwierciadlnicy. Połączyli oni swoje kramy pasażem o belkowanym stropie podtrzymywanym przez drewniane filary, przypominającym odartą z winorośli pergolę, i zawiesili go w całości od środka najrozmaitszymi lustrami. Nad wejściem umieszczono płócienny transparent z hasłem VIRTVTVM SYDERA MICANT, pod którym stoi pięciu krzepkich członków cechu. Czapkują oni przechodniom, gestami zachęcają do wejścia i śpiewają ochryple jednym głosem na melodię zapożyczoną ze starej frotoli, którą zwykł wykonywać Skowronek, choć Crivano nie pomni już jej słów:

Dmuchać to nie sztuka, miłe panie!

Byle pacholek dąć w miechy jest w stanie.

Mamże pokazać rurkę? Jejmość żartować raczy.

Przybywaj na Murano, tam wszystko obaczysz!

Gdy Crivano przepycha się łokciami do środka, otaczają go zewsząd jego własne, dwukrotnie pomniejszone podobizny – z prawa, z lewa, od góry – a obok

pojawiają się inne, jeszcze mniejsze, odbite rykoszetem w zwierciadłach naprzeciwko. Każda mijana lustrzana tafla ukazuje niekończącą się amfiladę szklanych komnat i zamieszkującego pustkę pomiędzy nimi Crivana. Crivano sięga po nasyconą olejkami miętowym chustkę i zmierza czym prędzej do wyjścia.

Tłum ludzi poprzebieranych w kostiumy, sterty lśniących, luksusowych towarów – wszystko to mogłoby być przyjemne, gdyby Crivano zjawił się na jarmarku wypoczęty, lecz w obecnym stanie ducha żałuje, że w ogóle się fatygował. Cały ten rozgardiasz wokół odbiera jako przerażający przegląd chorobliwych zachcianek. W pobliżu wieży zegarowej kupuje sobie coś słodkiego – smażone w głębokim tłuszczu ciastko nadziewane migdałami i posypane cukrem pudrem, które zjada, idąc przy fasadzie bazyliki. Chłonie wzrokiem złoto i marmur, chłodny serpentyn i cielisty porfir, inkrustacje dawnych łupów. Mozaika nad najbardziej na północ wysuniętym portalem przedstawia scenę wykradzenia ciała świętego Marka Ewangelisty niewiernym w Aleksandrii; obraz ten wyzwała w umyśle Crivana istną lawinę wspomnień. Pierwszego spotkania z Narkisem przed niemal trzynastu laty, gdy ten wyrwał go ze snu w jego kwaterze w Divan Meydani: „Przychodzę, *tardżuman effendi*, na rozkaz *haseki sultan*. Otóż poczyniła ona pewną interesującą sugestię”. Tego, jak tydzień później czekał przy obelisku na starym rzymskim hipodromie; w mroku kryli się obcy ludzie, para ich oddechów gęstniała w świetle księżycy. „Umykaj, messer! Diabli depczą mi po piętach!” I tego, jak porwał tłumoczek z drżących rąk Polidora – nieszczęsnego Polidora, złodzieja, niewolnika, kozła ofiarnego – gdy powietrze przecięły pierwsze okrzyki straży.

Kolejne wspomnienie, z ambasady w Galacie, gdzie później tej samej nocy rozwinął zawiniątko i ujrzał starannie złożony płat brunatnej ludzkiej skóry, której powierzchnię wciąż pokrywał rudy meszek. Stary konsul aż pozieleniał na twarzy; jękając się, starannie dobierał słowa: „Bądź pewien, messer, że zostaniesz odpowiednio wynagrodzony za to, żeś odzyskał dla chrześcijaństwa szczątki tak wielkiego bohatera”. Jedno nie ulegało wątpliwości: były to czyjeś szczątki. Nie minął miesiąc od owych wydarzeń, a Crivano przepłynął Złoty Róg na pokładzie lukkańskiej galery w drodze do Rawenny, z ukrytym w kubraku świadectwem przyjęcia w poczet studentów uniwersytetu w Bolonii. Wtedy po raz pierwszy w życiu miał na sobie czarny strój obywatela Republiki. Dopelniła się jego kolejna metamorfoza.

Wcześniej zamierzał wrócić Pod Białego Orła przez Le Mercerie – chciał obejrzeć nowy most na Canale Grande – ale to oznaczałoby jeszcze większy ścisk, a on ma na dzisiaj dosyć tłoku. Przechodzi pod arkadami Prokuracji Starej i podąża długą ulicą Kowali, u wylotu której można wynająć gondolę. Przyśpiesza kroku i prze pod prąd, z nisko spuszczoną głową, laską odganiając prowincjonalne dziewczki, które w dwóch, trzech rzędach ustawiły się wzdłuż ulicy w poszukiwaniu

klientów. Na wysokości Calle del Magazen tłum się w końcu przerzedza i Crivano porusza się z mniejszym wysiłkiem.

Na Campo San Luca jego uwagę przykuwa na moment trupa wędrownych kuglarzy, którzy wystawiają improwizowaną satyrę na alchemika szarlatana. Crivano prędko się orientuje, że to nie byle błazenada: nie ma urwisów, którzy zaczepialiby publiczność, aktor odgrywający rolę szarlatana wykazuje znajomość podstaw łaciny i alchemii, zaś dowcipy, którymi sypie – w tym jawne drwiny z króla Hiszpanii Filipa i Stolicy Apostolskiej – stanowią jedynie pretekst dla całkiem poważnego wywodu mogącego napytać kuglarzom biedy, gdyby ośmielili się z nim wystąpić na Piazza.

„Każdy mniej szlachetny metal – naucza alchemik przebieraniec – dąży ku temu, aby stać się złotem, podobnie jak każdy żołędź dąży ku temu, aby stać się dębem”.

„Do rzeczy! – upomina go inny aktor w masce Uczzonego Żyda. – Z chęcią odszukałbym w lesie owo drzewo, o którym prawisz, dottore, ale ścieżka przez ciebie wskazana coś nazbyt kręta!”.

Alchemik udaje irytację. „Peryfrazy one chronią wiedzę tajemną, mój prosty druhu – tłumaczy – tak jak najśłodszych jagód strzegą liście i ciernie”.

„Waść prawisz o żołędziach i jagodach! – urąga mu Żyd. – Można by mniemać, że z waści nie alchemik, jeno uczona wiewiórka!”.

Crivano wybucha śmiechem na to przekomarzanie, wzdyga się ukłuty celnym ostrzem kpiny z bolońskiej retoryki, wreszcie klaszcze, gdy przedstawienie dobiega końca i alchemik zostaje przegoniony: umyka w stronę Campo San Paternian, a spod szaty sypią mu się fałszywe bryłki złota. Crivano już ma pójść za nim, ciekaw, kim w istocie są owi wyedukowani trefnisie, gdy wśród zebranego za jego plecami tłumy przetacza się zbiorowe westchnienie grozy i słychać przenikliwy kobiecy krzyk.

U wylotu Calle del Forno majaczy ciemny kształt. Jak tylu innych dzisiaj, jest to człowiek w przebraniu, lecz jego kostium trudno nazwać świątecznym: nosi czarny kapelusz z szerokim rondem i długą czarną szatę z woskowanego lnu, na twarzy zaś ma wykutą z brązu maskę Doktora Czarnej Śmierci z długim, zakrzywionym dziobem, przypominającą głowę jakiegoś potwornego egzotycznego ptaka. Kiedy wdziera się na plac, ludzie rozstępują się przed nim, kreśląc przy tym znak krzyża; kilku miota w jego kierunku przekleństwa, nikt jednak nie ośmiela się zastąpić mu drogi. Niektóre twarze wykrzywia dojmujący ból – wspomnienie dawnego cierpienia.

Siedemnaście lat minęło, odkąd miasto po raz ostatni nawiedziła epidemia Czarnej Śmierci. Crivano przebywał wówczas w Konstantynopolu, wie jednak, że zebrała srogie żniwo: co czwarty mieszkaniec stracił życie, w tym niedobitki rodziny Crivana, owa garstka, którym udało się szczęśliwie zbiec z Cypru przed

najazdem sultana. Pamięć zarazy jest tutaj ciągle żywa, znaczy każdą ulicę i każde campo niewidoczną blizną. Podczas karnawału, gdy nie obowiązuje powszechnie przyjęty porządek, kostium Doktora Czarnej Śmierci uznano by co najwyżej za przejaw złego gustu; w czasie Festa della Sensa jest on nie do pomyślenia. Chyba że to jeszcze jedna kuglarska prowokacja. Crivano rozgląda się wokół, wypatrując innych aktorów, lecz w tłumie nikt się nie porusza: zebrani na campo zamarli, skurczyli się w sobie niczym ukwiały w trakcie odpływu.

Odwraca się i staje niemal twarzą w twarz z Doktorem Czarnej Śmierci. Cofa się, aby go przepuścić, lecz postać w kostiumie podąża za nim, z każdym wolnym, równym krokiem skracając dzielący ich dystans niczym zjawą w sennym koszmarze. Z dziurek w zakrzywionym dziobie sączą się smużki dymu z palonej asafetydy; prawa dłoń w rękawiczce trzyma luźno jesionową różdżkę. Fałdy szaty noszą ślady jakichś zaschniętych ciemnych płynów: może to być żółć, może być krew.

Kiedy dzieli ich już tylko kilka kroków, postać w masce gwałtownie staje, milcząca i nieruchoma niby posąg. Crivano ze wszystkich sił wpatruje się w wycięte w masce otwory na oczy – daremnie, bo przesłaniają je dwie blade półkule z dmuchanego szkła. Zszargane nerwy Crivana napinają się niczym szpring w czasie wichury.

Już chce rzucić tamtemu wyzwanie, gdy ruchem szybszym niż mgnienie oka postać przykłada mu do szyi różdżkę. Jej koniec dotyka nagiej skóry Crivana w miejscu tuż nad kryzą, jakby straszdyło chciało mu zmierzyć tętno. Crivano odskakuje w tył, strąca różdżkę laską, po czym przesuwając palce na rękojeść, wykonuje oburącz szeroki zamach i celuje ciężką srebrną gałką w obojczyk Doktora Czarnej Śmierci.

Laska ze świstem przecina powietrze. Crivano zatacza się, z trudem łapie równowagę. Gdy się prostuje, różdżka uderza go w nadgarstek i laska upada na bruk. Crivano odruchowo unosi do góry ręce, aby osłonić twarz. Jest spokojny, odczuwa niemal ulgę na myśl, że znowu musi walczyć. Spuszcza wzrok, aby ukryć swoje zamiary, i ocenia odległości dzielące go od leżącej na ziemi laski i sztyletu w cholewie buta. „Zabij drania, dottore!” – syczy jakiś głos z tłumu. Ponura postać tkwi przed nim jak skamieniała, z rozpostartymi ramionami.

Wreszcie Crivano rusza. Rzuca się naprzód, markuje pchnięcie i stopą przetacza laskę za siebie. Następnie robi krok w tył, wsuwa czubek buta pod gałkę toczącej się laski, jednym ruchem podrzuca ją w górę i chwyta w dłoń. Przepięknie to rozgrywa – jest z siebie bardzo zadowolony – lecz gdy ponownie się zamierza, po Doktorze Czarnej Śmierci nie ma śladu.

Odnajduje jego ciemną sylwetkę w połowie drogi do ulicy Odlewników; postać porusza się nieśpiesznie, długimi krokami, lekko, jakby sunęła nad ziemią. Każda zmiana kierunku odbywa się tak płynnie, że ma się wrażenie oglądania

zawracającego w powietrzu stada ptaków. Crivano, wciąż w pozycji bojowej, z uniesioną w gotowości laską, uświadamia sobie, że wygląda co najmniej śmiesznie. Opuszcza ręce, poprawia odzież i ze stukiem stawia laskę na bruku.

Campo pustoszeje. Ludzie unikają jego spojrzenia, jakby wstydzili się go albo samych siebie, trudno powiedzieć. U jego boku staje sprzedawca wody ze swoją chochlą; Crivano z wdzięcznością pije. Ten psi syn dobrze zrobił, że zwiął, dottore, odzywa się mężczyzna bez większego przekonania. Zrobilibyście z niego miazgę.

Wiesz, kto to był? – pyta Crivano między kolejnymi łykami.

Sprzedawca wody wzrusza ramionami, wyraźnie śpieszno mu odejść. Ktoś bez odrobiny przyzwoitości, burczy. Pewnie ze stałego lądu.

Crivano oddaje mu chochlę. Dopiero przyjechałem do miasta, przyjacielu, mówi. Czarny strój, który nosił ów człowiek – często się takie tutaj widuje?

Nie ostatnimi czasy, dottore, odpowiada sprzedawca wody i kreśli znak krzyża. Nie ostatnimi czasy.

Pomarańczowy promień słonecznego światła przecina izbę niby miecz, a hałas, który Crivano początkowo wziął za stukot podkutych końskich kopyt, przeradza się w walenie do drzwi. Crivano zrywa się nagi z posłania i kładzie rękę na ryglu; w ostatniej chwili przypomina sobie, że skórę znaczą mu wojskowe tatuaże, symbole jego pułku. Zaraz! – woła. Już otwieram.

Walenie ustaje. Crivano ściąga koszulę z kołka, zarzuca na siebie i wciągając nogawice, ogarnia byстрыm spojrzeniem wnętrze izby. Przed pójściem spać pracował przy stole – przez krótki czas, tylko żeby dać wytchnienie oczom; spisana dla Narkisa relacja ciągle tam leży, obok płaskiego drewnianego szablonu, którym posłużył się do zaszyfrowania wiadomości. Crivano wsuwa go pod papier i dopiero wtedy otwiera drzwi.

W korytarzu stoi Anzolo, właściciel gospody Pod Białym Orłem, wpatrzony w oprawiony w ramę drzeworyt na przeciwległej ścianie. Odwraca się natychmiast z wyrazem lekkiego zaskoczenia na twarzy, jakby nie spodziewał się ujrzeć Crivana. Ach, mówi. Dzień dobry, dottore.

O co chodzi, Anzolo?

Przepraszam, że przeszkadzam, ale dottore Tristão de Nis czeka na dole. Chciałby się z wami rozmówić. Podobno go oczekujecie.

Anzolo to znakomity oberżysta – niewzruszonego spokoju mógłby mu pozazdrościć niejeden dworzanin – lecz w tej chwili w jego wzroku maluje się cień niepewności, jakby nie wiedział, jak ma się zachować. Tristão wzbudza takie wątpliwości u wszystkich, z którymi się styka; towarzyszą mu jak gzy bydłu.

Istotnie, przytakuje Crivano. Już schodzę. Przekaż proszę dottore de Nis, że bardzo żałuję, iż musiał czekać. Zajmij się nim, żeby mu niczego nie brakowało. Wieczерzę zjemy w głównej sali.

Po odejściu oberżysty Crivano ponownie rygluje drzwi i przez chwilę stara się zebrać myśli. Nie zdążył się jeszcze otrząsnąć z wyjątkowo wyrazistych snów, które go nawiedziły i w głowie wciąż kotłują mu niespójne obrazy, odpryski odprysków. Są wśród nich widziany na Piazza lustrzany pasaż, matka i młodsza siostra Crivana stojące na białych schodach kościoła Najświętszego Zbawiciela – uśmiechnięte ofiary zarazy z bielmem na oczach – a także ojciec i starsi bracia, skrwawieni i dumni pod Bramą Famagustiańską, wręczający mu suknię uszytą z jego własnej skóry. Crivano zastanawia się, co też owe sny znaczą dla powodzenia jego misji i dlaczego nie jest nimi zaniepokojony.

Bierze ze stołu drewniany szablon i podnosi wieko masywnego kufra z drzewa orzechowego. Wyjmuje zeń swoje rzeczy – koszule i nogawice na zmianę, ciepłe buty i płaszcz z kapturem, rapier oraz nowy pistolet skałkowy

zakupiony w Rawennie – odsłaniając książki. Pod nimi znajduje się dociskana sprężyną listewka zamykająca płytką skrytkę; Crivano otwiera ją i chowa w niej szablon. Następnie z powrotem wkłada wszystko do kufra i zamyka wieko. Mosiężny klucz zgrzyta w zamku, zapadka przesuwana się z cichym szcękaniem.

Crivano wieszka go na szyi na rzemyku i w tej samej chwili powraca wspomnienie Doktora Czarnej Śmierci. Przysuwa nadgarstek do światła, żeby obejrzeć skórę w miejscu, gdzie spadła nań ze świstem jesionowa różdżka. Nie widać żadnego otarcia ani nawet siniaka. Nasuwa się nieuchronne pytanie – może to też mu się śniło? – lecz Crivano zaraz je odpędza. Prostuje palce dłoni, zwracając uwagę na gładki ruch ścięgien pod skórą, i wraca do rzeczywistości.

Na podłodze obok kufra spoczywa jego skrzynka medyka; Crivano wyjmując z niej kwadrat białego płótna i wąski ceramiczny słoik zamknięty szerokim korkiem. Słoik jest do połowy wypełniony suszonym korzeniem ziele zwanego starzec jakubek; Crivano wysypuje zawartość słoika na płótno, robi węzełek i umieszcza z powrotem w skrzynce. Następnie zwija pismo dla Narkisa w ciasny rulon, wkłada do słoika i zatyka korkiem.

Dzwony kościoła Sant’Aponal wybijają pełną godzinę, rozmijając się o kilka dłuższych oddechów z dzwonami położonego nieco dalej na południe kościoła San Silvestro: Crivano nalicza dwadzieścia trzy uderzenia¹⁰. Przeczesuje włosy, przygląda rozwidloną brodę, wkłada buty, kubrak oraz czarną szatę. Róg zasłony uwiązał w dwuskrzydłowym oknie od wschodniej strony; Crivano otwiera je na moment, żeby zasłona opadła swobodnie, i promień słońca znika. Potem podnosi słoik i zapieczętowane pismo Sereny, bierze z kąta laskę i schodzi na dół.

W gospodzie Pod Białym Orłem jest tego wieczoru ciszej niż można by przypuszczać. Większość zajazdów w dzielnicy Rialto odnotowuje w okresie Festa della Sensa podwójną czy wręcz potrójną liczbę gości, lecz Anzolo zadbał o to, aby u niego nie przekraczała ona możliwości służby. Nocleg słono kosztuje, zwłaszcza gdy chce się mieć całą izbę dla siebie, ale gospoda warta jest swej ceny. To Narkis ją polecił. Crivano jest ciekaw, jak o niej usłyszał, skoro prawo zabrania mu spędzenia w mieście choćby jednej nocy.

Niemal wszystkie stoły w sali jadalnej są zajęte. Crivano pamięta większość gości z poprzednich posiłków: dwóch grubych kupców z Frankfurtu usiłuje rozszyfrować bełkot jednookiego kapitana galery, czescy pielgrzymi z obłędem w oczach studiują mapę Jerozolimy, para obdartych młodych szlachciców z Sabaudii konsekwentnie ignoruje parę równie obdartych młodych szlachciców z Mediolanu.

Pośrodku sali siedzi Tristão. Całkowicie pochłania go octavo, które trzyma rozłożone na lewej dłoni; prawa wykonuje automatyczne gesty – przewraca stronicę, sięga po orzech z miseczki, unosi do ust wino, przewraca kolejną stronicę – jakby należała do kogoś innego, jakiegoś usłużnego chochlika. Crivano

podchodzi bliżej, waha się, chrząka.

Tristão mruga i kręci głową; wzrok ma nieprzytomny, jakby wciąż nie mógł się wyzwolić spod władzy książki. Dopiero po chwili spogląda w górę z szerokim uśmiechem i wzdycha z radością. Doktor Crivanus, mówi i wstaje, by go uściskać. Wielceś łaskaw, że zgodziłeś się mnie przyjąć.

Rozmawiają, jak to mają w zwyczaju, po łacinie. Mowa Tristão jest na przemian napuszona, poetycka, to znów wytworna. To łacina wyuczona z ksiąg, odległa od nijakiego i praktycznego żargonu uniwersyteckiego Crivana. Z trzech języków, którymi obaj władają, w tym jednym Tristão czuje się najbardziej swobodnie. W zatłoczonej sali łacina zapewnia im również namiastkę prywatności.

Mogę zapytać, jak się miewa senator Contarini? – zagaduje Tristão, opadając z powrotem na krzesło. Czy bezsenność wciąż nieznośnie wydłuża mu noc?

Nie rozmawiałem ostatnio z senatorem. Mam go odwiedzić jutro. Przekażę mu twoje pozdrowienia.

Będę ci bardzo wdzięczny za fatywę. Zaleciłeś mu kaczeniec, jak mniemam?

Nalewkę z kaczęcia, przytakuje Crivano. Uznałem, że to będzie najlepsze, zważywszy na jego wiek i usposobienie. Cóż tak czytasz?

Tristão odwraca wzrok, uśmiecha się zmieszany. Zęby ma kredowobiałe, nieprawdopodobnie proste. Ach, mówicie o tym? – pyta, gładząc octavo. To Nolanus.

Nolanus?

Tristão otwiera usta, wznosi oczy do góry, zaciska wargi i w milczeniu przesuwa książkę na drugi kraniec stołu.

Z kuchni wyłania się jedna z friulijskich służących Anzola, niosąc słodkie białe wino z Sopron. Zanim napełni kielich Crivana, druga służąca przynosi im jedzenie: młode karczochy, gotowany ryż, lombardzką przepiórkę nadziewaną bakaliami i przyprawami korzennymi. Dziewczęta chichoczą i rumienią się, ilekroć napotkają spojrzenie Tristão, po czym oddalają się pośpiesznie. Och! – wzdycha Tristão, obiema rękami zagarniając do siebie aromatyczną parę. Och, och, och!

Crivano uśmiecha się. Tristão stanowi karykaturę męskiej urody: bujne kędziory, ciemne oczy z gęstą zasłonką rzęs, gładka skóra w odcieniu starego winiaku. Jako uzdolniony medyk ceniony przez miejski patrycjat dawno już wżeniłby się w arystokrację, gdyby nie jego szczególne położenie. „To converso”, wyjaśnił mu Contarini. „Przechrzta z Portugalii. Jak wszyscy Portugalczycy, uważany jest w najlepszym razie za żydowskiego hipokrytę, w najgorszym za ateistę i szpiega sultana. Oczywiście przedstawię was sobie – bez wątplenia macie wiele wspólnych zainteresowań – muszę was jednak przestrzec, dottore, abyście przy nim bardzo uważali. To człek wielkiej mądrości i dobroci, ale nie zawsze kieruje się rozważą”.

Zmawiają krótką modlitwę i kreślą znak krzyża. Kiedy Tristão rozrywa

pieczyście, Crivano otwiera książkę na stronie tytułowej. *De triplici minimo et mensura*, czyta. Kartkuje dalej i natrafia na poemat filozoficzny – autor wyraźnie czerpał z Lukrecjusza, może nie najzgrabniej, ale pomysłowo – następnie zaś na stronę, którą w całości pokrywają figury geometryczne: okręgi i gwiazdy przyozdobione rysunkami kwiatów, liści oraz pszczelich plastrów, wyraźne sigile o znaczeniu magicznym. Crivano z pośpiechem zatrząskuje książkę i przesuwa ją w stronę Tristão. A zatem, pyta, kimże jest ów Nolanus?

To dominikanin, wyjaśnia Tristão między jednym kęsem a drugim, wycierając usta serwetą. Dawno wyrzucony z zakonu. Za nieumiarkowanie i szerzenie heterodoksyjnych poglądów.

A konkretnie?

Sprzecznym z arystotelizmem. Głosił idee heliocentryczne. Mądrość starożytnych Egipcjan. Istnienie nieskończonych światów. Lepiej może nie wspominać tutaj o tych sprawach.

Tristão wkłada do ust kawałek przepiórki, porusza szczęką, podnosi palce do ust i wyjmuje z nich dwie czyste kosteczki. Nolanus, mówi, przez wiele lat tułał się po chrześcijańskich dworach. Był w Pradze u Rudolfa II, w Anglii u Elżbiety, w Paryżu u nieszczęsnego Henryka III. Poszukiwał króla-filozofa. Monarchy otwartego na swoje nauki.

A gdzie jest teraz?

Tutaj. Gości w domu możnego szlachcica Iovanusa Mocenigusa, którego podjął się wykształcić w sztuce mnemoniki praktykowanej przez uczonych mówców starożytności. Dlatego właśnie czytam jego książkę.

Więc ten Nolanus jest też retorem?

Ależ nie, mówi Tristão, odkładając kostki przepiórki na talerz. Nie retorem. Podobnie jak Tomasz z Akwinu uważa sztukę za klucz do pobożności i umiejętności zapamiętywania. Idzie jednak o wiele dalej, jak sądzę, niż ośmieliłby się posunąć Akwinata.

Crivano marszczy brwi, upija łyk wina. Mocenigo, mówi. Zuanne Mocenigo? Należy do stronnictwa doży, prawda?

O ile się orientuję, jaśnie pan Mocenigus w kwestiach racji stanu skłania się ku Hiszpanom i papieżowi.

Jeśli jednak ów Nolanus podąża, jak mówisz, ścieżką wiedzy tajemnej, czy jest rzeczą rozsądną przestawać z tego rodzaju człowiekiem?

Tristão wzrusza ramionami. Z pozoru mogłoby się to wydawać nieroztropne, przyznaje. Możliwe jednak, że to, co nam obu wydaje się nierozważne, w oczach Nolanusa stanowi fundament jego zamierzeń. Wierzy być może, że nowy papież przychyli się do jego nauczania. I nie jest to wcale wykluczone. Bądź co bądź, sam Picus Mirandulanus cieszył się mecenatem papieskim.

Patronem Pico był Aleksander VI, zwraca mu uwagę Crivano. Nie jest to

zatem najlepszy przykład. Tego chciałby Nolanus? Powrotu do czasów panowania Borgiów?

Sam możesz go o to zapytać, jeśli chcesz. Jutro wieczorem ma wystąpić przed zgromadzeniem Accademia degli Uranici i jak zwykle moi szlachetni patroni z rodu Morosinich będą pełnić rolę gospodarzy. Poprosili mnie, abym w ich imieniu przekazał ci zaproszenie. Akademicy to potężni ludzie, Vettorze. Twoja obecność wśród nich spotkałaby się z wdzięcznym przyjęciem. Sądzę, że w ich rękach znajduje się obecnie przyszłość Republiki.

Crivano nabiera na łyżkę ryż – gotowany na rosole wołowym z grzybami – i powoli przeżuwa, próbując sobie wyobrazić, czego w tej sytuacji oczekiwaliby od niego Narkis. Myślimi wraca do Rawenny, gdzie przed pięcioma miesiącami po raz ostatni mogli swobodnie rozmawiać twarzą w twarz. „Najlepszym sposobem na ukrycie spisku, *tardžuman effendi*, jest przykryć go innym, mniej istotnym spiskiem”. Spotkali się wówczas w cichej tawernie nieopodal dawnej katedry ariańskiej. Narkis wyglądał na człowieka w pełni sił, bardzo z siebie zadowolonego; turban i prosty kaftan niczego mu nie ujmowały. „Naraż się na niebezpieczeństwo. Daj władzom coś, co będą mogły odkryć. Stań się jaszczurką gubiącą własny ogon”.

Dochodzi teraz do wniosku, że to dlatego Narkis kazał mu nawiązać znajomość z Tristão: aby mógł się uwikłać w inny spisek i ukryć w ten sposób swoje prawdziwe zamiary. I rzeczywiście, Tristão okazał się bardzo przydatny, niezwłocznie czyniąc z Crivana swojego zaufanego wysłannika do zwierciadlników z Murano. Jego szczególne zamówienie – dość podejrzanym, aby zainteresowała się nim inkwizycja, lecz nie tak groźnym jak oczywista zdrada, której miał się dopuścić Crivano – stanowiło znakomitą przykrywkę i doskonały pretekst do potajemnych spotkań z Verzelinem oraz Sereną. Tak doskonały, że Crivano wątpi, aby Fortunie nie dopomógł w tej kwestii któryś ze śmiertelników. Wciąż nie ma pojęcia, ile dokładnie Tristão wie o jego prawdziwej misji.

Wielki to dla mnie honor przyjąć zaproszenie tak zacnych gospodarzy, mówi.

Jedna z friulijskich służących zjawia się z półmiskiem kandyzowanej skórki cytrynowej i zaczyna sprzątać ze stołu; Tristão zatrzymuje ją delikatnym gestem, nachyla się i gorącym szeptem chwali posiłek. Ona ściąga usta w dzióbek, trzepocze rzęsami i Crivano dopiero teraz zauważa, co znajduje się na talerzu, który dziewczyna ściska tak, że aż jej bieleją kostki dłoni: złożony w całość szkielet pożartej przez Tristão przepiórki, z pękniętą łuską karczocha zamiast czaszki.

Aha, Vettorze, odzywa się Tristão, gdy wstają od stołu – jakby właśnie sobie o tym przypomniał, jakby nie to było powodem ich dzisiejszego spotkania – jak się udała wizyta na Murano?

Była bardzo owocna, odpowiada Crivano. Spotkałem się z hutnikiem szkła, który gotów jest rozpocząć pracę nad ramą.

A samo zwierciadło?

Crivano spuszcza wzrok – myśli o swojej lasce, o słoju – żeby przypadkiem z niczym się nie zdradzić. Widziałem je przez krótką chwilę, mówi. Jest już gotowe. Ma je ów hutnik.

Jakżeż ono wygląda?

W pytaniu pobrzmiwa nuta niepokoju, słyszalnego, choć niewyrażonego, niby drzenie strun rabaabu. Crivano uśmiecha się gładko. Jest doskonale, mówi.

Gdy przechodzą przez sień na ciemniejszą ulicę, wsuwa Tristão do ręki zapieczętowaną wiadomość od Sereny. Doskonale? – powtarza Tristão, chowając pismo za poję kubraka. Jesteś pewien?

Hutnik uważa, że zbyt doskonale.

Chyba nie pojmuję, Vettorze. Jak to: zbyt doskonale?

Według niego czyste szkło jest wrażliwe na wilgoć. Może się okazać nietrwale.

Tristão pochmurnieje. Wyraz jego twarzy świadczy raczej o konsternacji niż o zdenerwowaniu, jakby tak rzadko napotykał w swoim życiu przeszkody, że rozpoznaje je z pewnym opóźnieniem. Zaraz jednak rozciąga usta w charakterystycznym dla siebie promiennym uśmiechu. Przyjacielu! – mówi. To żaden kłopot. Cóż jest zresztą trwałego na tym świecie?

Obejmują się. Ich płaszcze na moment chronią ich przed ulicznym zgiełkiem – są jak dwa czarne owoce wśród miotanych wiatrem liści. A zatem do jutra wieczorem! – woła jeszcze Tristão na odchodnym. Bankiet zaczyna się o zachodzie słońca, a potem symposium! Bądź punktualnie!

Do jutra wieczorem! – woła za nim Crivano.

Tristão, zmierzający w stronę ulicy Bednarzy, przystaje nagle, aby uszczypnąć podbródek i zlustrować dekolt pulchnej kurtyzany, a potem raz jeszcze, aby wymienić uprzejmości z trzema lewentyńskimi Żydami w żółtych turbanach. Cechująca jego ruchy śmiałość zdaje się wynikać nie z pewności siebie, a raczej z niezachwianego przekonania co do ostatecznego losu własnej duszy. Patrząc na niego, Crivano dochodzi do wniosku, że perspektywa gwarantowanego potępienia potrafi dodawać rezonu w takim samym stopniu co perspektywa gwarantowanego zbawienia. Aż nazbyt wyraźnie dostrzega światło, jakim pała Tristão, lecz dotychczas nie zdołał odkryć, co właściwie je podsyca.

Tristão znika za północnym załomem ulicy tonącej w głębokim cieniu. Większość ulokowanych przy niej sklepów jest już nieczynna, inne właśnie się zamykają. Crivano stoi przez chwilę, obserwując mijających go przechodniów, aż ci zlewają się w abstrakcyjną, nieogarnioną masę: chaos kolorów, tkanin, gestów i twarzy. Nagle w masie tej tworzy się szczelina i Crivano w nią wstępuje.

Przechodzi na róg i ulicą Bednarzy kieruje się na południe.

Apteka znajduje się niedaleko stąd, na Campiello Carampane – najnowszy punkt na zaszyfrowanej liście miejsc potajemnych spotkań, którą Narkis wręczył mu w Rawennie, zanim się rozstali. Crivano modli się w duchu, aby Narkis – lub któryś z jego szpiegów; z pewnością ma jeszcze innych szpiegów – zauważył róg kotary, który umieścił między skrzydłami okna, zanim położył się spać. Odtąd ich przedsięwzięcie musi nabrać tempa.

W kościele Sant’Aponal biją w dzwony, dziś już ostatni raz za dnia. Kiedy Crivano dociera do apteki, ich dźwięk właśnie niknie. Przez niedomknięte okiennice widać aptekarza porządkującego swoje szkatuły, słoje oraz pęki ziół, przygotowującego wszystko do zamknięcia na noc. Crivano zatrzymuje się po przeciwnej stronie ulicy i czeka; dla zabicia czasu przygląda się szczyptom i obcęgom w wiadrach ślusarza, gdy ten wtaszcza swoje towary do wnętrza kramu. Nigdzie ani śladu Narkisa, ale też nic w tym dziwnego.

Do apteki wstępuje sługa z pobliskiego pałacu; Crivano podąża za nim do środka, po czym udaje, że przebiera w pęczkach ziół i stertach powiązanych ze sobą suszonych korzeni, czekając, aż aptekarz zrealizuje zamówienie na werbenę. Gdy sługa wychodzi, Crivano zbliża się do lady, pozostawiając zatknięty korkiem słoje zagrzebany wśród ziela. Witajcie, maestro, mówi. Dostanę u was dwuletni lulek czarny dobrej jakości?

Nim skończy mówić, wyczuwa w powietrzu lekki ruch. Światło nieznacznie się zaćmiewa i Crivano już wie – choć nie śmie się obejrzeć – że do apteki wszedł za nim Narkis.

Aptekarz to solidnie zbudowany, skrupulatny Słoweniec w binoklach z grubego flamandzkiego szkła; mówi z naciskiem, otwierając jedną z licznych szkatuł. To być bardzo mocny, co ja wam daję, mówi. Wy nie używać w szczelnie zamknięta izba. Nie wolno nawet otwierać słoje. Wy senny? Wy widzieć dziwne rzeczy, jakby we śnie? Wy wtedy zaraz zamykać słoje i otwierać okno, wy wychodzić na zewnątrz. Wy bardzo, bardzo uważać. Tak?

Naturalnie, maestro, naturalnie, przytakuje Crivano.

Aptekarz wyjmuje ze szkatuły szeroki szklany walec, unosi jego ciasno przylegającą pokrywkę – obaj z Crivanem krzywią się, czując mdłą woń – i sięga pod ladę po pusty pojemnik. Och, przyniosłem własny słoje, maestro, przerywa mu Crivano, po czym sztywnieje w udawanym zadziwieniu. Obmacuje pas i sakiewkę, rozgląda się po ladzie.

Za jego plecami rozlega się głos. Wybaczcie, dottore, czy nie tego szukacie?

Pierwszy raz od trzynastu lat Crivano słyszy z ust Narkisa swój ojczysty język. Narkis wymawia słowa chropawo, z wysiłkiem; brzmi to dziwnie i groteskowo, jakby przemówiło zwierzę.

Crivano odwraca się – pozwalając sobie jedynie rzucić okiem na gładką

twarz i biały turban – aby wyjąć z palców Narkisa pusty słój. Tak, rzuca krótko. Istotnie. Bardzo wam dziękuję.

Aptekarz wytrząsa na wagę kupkę suszonych liści, wrzuca kilka z powrotem do walca, aby uzyskać odpowiednią wagę, i podaje astronomiczną kwotę, a Crivano płaci bez szemrania. Ziele spada na dno słoja, który ponownie zostaje mocno zatkany korkiem. Bardzo wielka moc, mówi jeszcze aptekarz i wygraża palcem. Nie ma żartów.

Nie zaszczyciwszy Narkisa kolejnym spojrzeniem, Crivano opuszcza aptekę i śpieszy z powrotem Pod Białego Orła. Chce czym prędzej oddalić się z miejsca spotkania. Przypuszcza, że jego relacja zostanie odczytana w ciągu godziny – przy pomocy drewnianego szablonu łatwiej odszyfrować wiadomość niż ją zaszyfrować – trudno mu jednak przewidzieć, ile czasu zajmie Narkisowi przygotowanie odpowiedzi. Tymczasem zaś z każdego balkonu i okna przypatrują mu się tysiące oczu będące na usługach Rady Dziesięciu. A gdzieś w wodach laguny wzdęte ciało Verzelina prze ku powierzchni, szarpiąc swoje gnijące pęta.

W marszu Crivano zwraca baczną uwagę na mijane twarze, wypatruje wśród nich znajomych rysów. Jest niemal pewien, że sbirri nie odstępowali go podczas pierwszych kilku dni jego pobytu w mieście – całkiem zrozumiałe środki ostrożności, zważywszy na to, co władze o nim wiedzą – nie sądzi jednak, aby nadal go śledzono. Informatorzy niewątpliwie wciąż obserwują jego poczynania, lecz tego dnia nic nie powinno wzbudzić ich podejrzeń. Crivano jest medykiem, medycy zaś często zaglądają do aptek. Nie ma w tym nic dziwnego.

Dochodzi już do gospody, gdy jakaś postać zwraca jego uwagę: może dwudziestoletnia wieśniaczka stoi oparta o spękany mur przed warsztatem stolarza. Pochyliła się, aby obejrzyć czarne podeszwy swoich stóp; prawą nogę ma zgiętą w kolanie, obok na bruku spoczywa pusty but. Dłonie dziewczyny aż po łokcie są zabarwione na brązowo od jakiejś niedawnej roboty: w garbarni, farbiarni albo w składzie tkanin. Zsunięta z głowy chustka odsłania krótkie rudawe włosy; widać, że zostały ogolone i dopiero odrastają, jakby dziewczyna była leczona na grzybicę albo naraziła się czymś Wielkiemu Inkwizytorowi. Brunatnymi kciukami ugniata przednią część brudnej stopy, nie bacząc na mijających ją zewsząd przechodniów.

Wieśniaczka ma w sobie coś znajomego, chociaż Crivano nie sądzi, aby ją wcześniej widział. Przygląda jej się przez chwilę, po czym podchodzi bliżej i znów przez chwilę ją obserwuje. Bluzka bez rękawów odsłania umięśnione ramiona, spalone słońcem na kolor porównywalny z odcieniem farby. Rysy jej twarzy są chłopiące i twarde. Palce bosych stóp ma podkulone, a paluch zadarty i Crivano zauważyła na podeszwie nieregularny zarys kurzajki. Czy to sprawia ci ból? – odzywa się.

Przez dłuższą chwilę dziewczyna nie podnosi głowy. Dziwnie mi się chodzi, odpowiada.

Są na to leki. Powinnaś je wypróbować, zanim poprosisz balwierza, żeby ją wyciął.

W oczach dziewczyny płonie gniew, lecz nie jest on chyba skierowany przeciwko niemu. A jak miałabym za nie zapłacić? – pyta.

Crivano posyła jej ciepły uśmiech, rozkłada dłonie.

Wieśniaczka gapi się na niego. Potem jej twarz smutnieje. Jeszcze raz spogląda na swoją stopę. Robi się późno, dottore, mówi. Podaj mi cenę za swój lek, a ja podam ci cenę za swoją cipkę. Może się jakoś dogadamy.

Crivano aż rozdziawia usta ze zdumienia. Zaciska zaraz wargi i zgrzyta zębami. Dziewczyna podnosi palce do ust, pluje na nie i przeciera śliną kurzajkę. Spod warstwy brudu wyłania się kostropata, zrogowaciała skóra.

Powiedz mi, dziewczko, własny głos wydaje się Crivanowi wstrętny, czy całe to miasto kurwi się z okazji święta? Czy takie kocmołuchy jak ty ściągają tu z obczyzny? Na Boga, każdy zamtuz stąd do Monachium musi być chyba zamknięty.

Myślę, że ktoś będzie potrafił wam odpowiedzieć na to pytanie, dottore. Ale nie ja. Zapytajcie bawarskiego rajfura, jeśli jakiego spotkacie. Dacie mi teraz swoje ramię?

Znowu podnosi głowę. Przez ułamek sekundy Crivano ma ochotę ją uderzyć, złamać jej tę twardą męską szczękę gałką laski. Zamiast tego podaje jej ramię, a ona wciąga but na stopę. Dziękuję, mówi. I żegnam.

Crivano stoi pod murem i patrzy, jak dziewczyna oddala się, kuśtykając. Jej obwiązana chustką głowa podskakuje w tłumie zdążającym ku Le Mercerie. Na wpół spodziewa się, że wieśniaczka przystanie – żeby złożyć sprośną propozycję grupce kupców, pielgrzymów albo marynarzy, a potem oddalić się z jednym z nich lub ze wszystkimi, zniknąć w bocznej uliczce, jakimś sottoportego albo ciemnej bramie i tam oddać im na uciechę swoje młode ciało – lecz ona nigdzie nie zbacza, prze naprzód i w końcu znika mu z oczu.

Później, już w gospodzie, idąc schodami na górę do swojej izby i swoich książek, Crivano przypomina sobie pewien poranek sprzed lat. Wybrał się wtedy wraz z braćmi na konną przejażdżkę gościńcem wiodącym do Larnaki, na południe od Nikozji. Po drodze natknęli się na gromadkę cypryjskich dziewcząt z wozem zaprzęgniętym w osiołka, wiozącym na targ pęki lawsonii do wyrobu henny. Dziewczęta same również uginały się pod ciężkimi tobołami, nawet te najmłodsze; wszystkie wpatrywały się z zaciętymi twarzami w wyboistą nawierzchnię starego rzymskiego traktu. Maffeo splunął, gdy je mijali, a Dolfin uniósł się w siodle i odsłonił przyrodzenie. Teraz najprawdopodobniej nie żyją, zabite podczas najazdu przez wojska Mustafy Lali Paszy. Albo trafiły do haremów, albo chowają tureckie bękarty, albo żyją tak, jak dotychczas. Owego ranka dalekie cedry porastające góry Troödos rzucały na zachodzie zielone cienie; Crivano pamięta, że odwrócił głowę

i wpatrywał się w nie w skupieniu, bez jednego mrugnięcia.

Mocne ramiona tamtych dziewcząt były po łokcie zabarwione henną, podobnie jak ich stopy i łydki. Każdy paznokieć na każdym palcu jaśniał niczym niesamowity, różowawy opal w obwódce koloru sepii i chyba dlatego – dochodzi do wniosku Crivano – ta zuchwała dziewczucha wydała mu się dziś znajoma.

Późny poranek tonie w nieprzyjemnej bieli: ciężka zasłona dymu więzi światło w dusznym powietrzu ponad dachami budynków. Canale Grande to nieruchawa rzeka płynnego srebra. Słońce dotyka lekko czarnych szat Crivana, rozgrzewa go aż do kości i z każdą chwilą mężczyzna czuje się coraz bardziej nieważki, jakby miał lada moment unieść się w górę niby chiński lampion. Od tysięcznego roku Hidzry wyznawców dzieli zaledwie kilka miesięcy i nagle bardzo łatwo jest sobie wyobrazić, że Prorok kręci się w swoim grobie. Taki dzień jest jak zwiastun końca świata.

Crivano osłania dłonią oczy i rozgląda się za jakimś wolnym traghetto. Posiwały przewoźnik przyzywa go szorstkim gestem i Crivano wstępuje na pokład czystego sandolo o czarnym kadłubie. Do Palazzo Contarini, rzuca. Na Campo San Samuele.

Odpowiedzią jest ruch uniesionych palców i zwierzęce pobekiwanie: przewoźnik nie ma języka. Crivano odlicza dla niego garść miedziaków, po czym siada w cieniu pod daszkiem. Długie wiosło tnie wodę i Crivano ogląda się za siebie: we mgle majaczy niewyraźny zarys nowego mostu, którego pojedynczy łuk wznosi się niczym powieka zanurzonego w wodzie lewiatana. Zaraz też znika mu z oczu, gdy dziób sandolo skręca ostro na zachód.

Powierzchnia szerokiego kanału upstrzona jest złotymi odpryskami słońca, które jasnością przewyższają samo niebo. Ciągące się przy brzegu parapety okienne i balustrady zdobią kobierce o wielobarwnych wzorach z Kairu, Heratu i Kaszanu, lecz w rzędach okien za nimi widać jedynie niezgłębioną pustkę. Dochodzące z okolic Riva del Vin okrzyki cichną w oddali, tylko od czasu do czasu słychać śmiech i ściszone głosy niewidocznych cór Republiki, rozjaśniających w słońcu swoje loki na ukrytych przed wzrokiem Crivana tarasach gdzieś nad jego głową.

Rozleniwiony kołysaniem łodzi Crivano walczy z ogarniającą go sennością, rozmyślając, jakież to bluźnierstwo mógł popełnić gondolier i wobec kogo się go dopuścił, że zasłużył na obcięcie języka. W tym mieście bluźnienie jest wśród gondolierów na porządku dziennym, przekleństwa stanowią ich swoistą lingua franca, narzędzie równie niezbędne jak wiosło; bardziej prawdopodobne, że prostak ów jest albo był oszczercą. Myśl ta krzepi Crivana: dobrze wiedzieć, że w tym mieście również obmowa nie uchodzi płazem. Uśmiecha się do siebie i wystawia twarz do słońca.

Nie ma pewności, czy Narkis pochwaliby jego decyzję, aby spędzić większą część dnia w gościnie u senatora Contariniego – dzisiejsza wycieczka w niczym nie przysłuży się ich misji – niemniej jednak Crivano czuje, że to zasadna wizyta.

Senator jest jego jedynym autentycznym kontaktem, człowiekiem władnym przedstawić Crivana jako znamienitą osobistość i wprowadzić go w kręgi, które zgodnie z wolą Narkisa ma spenetrować; znajomość musi być zatem kultywowana. Jeżeli zaś Crivano przejawia coś więcej niż pełną posłuszeństwa rezygnację wobec perspektywy spożycia wyśmienitego posiłku w towarzystwie najtęższych umysłów całego chrześcijańskiego świata – no cóż, Narkis chyba nie może mieć mu tego za złe? Jak zresztą Crivano miałby spędzić to popołudnie? Zamknięty w wynajętej izbie, w oczekiwaniu na odpowiedź Narkisa, która może nadejść dopiero za kilka tygodni?

Pałac Contarinich wyrasta na wewnętrznym łuku skracającego na południe Canale Grande, a jego imponująca fasada jaśnieje na tle sąsiednich budynków. Są już blisko brzegu, gdy spod bramy wodnej odbija smukła gondola odpychana przez wysokiego Etiopa w bogatej liberii i Crivano zadaje sobie pytanie, ilu jeszcze gości zaproszono na ucztę.

Pod szerokim tympanonem bramy wita go uściskiem Marco, najmłodszy syn senatora. Wielki to zaszczyt was gościć, dottore, mówi młodzieniec, kierując go ku schodom. Niebiosa zesłały nam dzisiaj piękną pogodę, więc ojciec zdecydował się wyprawić ucztę w ogrodzie.

Jeden z siostrzeńców Marca, pulchny chłopczyk w wieku około siedmiu lat, ujmuje Crivana za dłoń i wiedzie go po schodach na piętro, do wielkiej sali na piano nobile. Jej wystrój Crivano zna z poprzednich wizyt: zbroje, tarcze i puklerze, ułożone promieniście miecze oraz włócznie, a wokół nich wystrzępione sztandary, na których widnieją znane mu z dzieciństwa godła i herby. Dziś jednak to wszystko zostało stłoczone w odległej części pomieszczenia, zaś pod ścianami przy wejściu piętrzą się drewniane parawany i zwinięte czarne kotary. Kawałek dalej widać cały czas wznoszone podwyższenie. Zanim Crivano zdąży lepiej mu się przyjrzeć, chłopczyk wyciąga go na zalany słońcem wewnętrzny dziedziniec.

Ocieniony parasolami długi stół ciągnie się między dwoma równymi rzędami drzewek migdałowca. Ich gałęzie uginają się pod ciężarem zielonych owoców. Około tuzina sług – dwukrotnie liczniejszy zastęp niż zwykle, w którego skład wchodzi tymczasowa pomoc najęta z okazji Festa della Sensa – rozkłada nakrycia na jego dębowym blacie: kielichy i naczynia. Wśród kręcących się po wewnętrznym dziedzińcu gości Crivano rozpoznaje kilka osób zapamiętanych z oficjalnych bankietów i wcześniejszych spotkań, lecz większość twarzy jest mu obca.

Sam senator stoi na skraju trawnika. Wygląda na wypoczętego i prezentuje się majestatycznie w aksamitnej szacie obszytej rysim futrem. Swoje wielkie dłonie kładzie ciężko na ramionach Crivana. Cieszę się, że widzę was w dobrym zdrowiu, mówi Crivano.

Contarini odpowiada mu w języku dworu, nie Republiki, a zatem wśród

gości muszą być cudzoziemcy. Zawdzięczam to wam i waszej sztuce, dottore, uśmiecha się. Takeście mnie wzmocnili, że sam siebie nie poznaję.

Senator odwraca się do mężczyzny po prawej stronie, wychudłego i łysawego neapolitańczyka o bladej twarzy. Oto ów zacny człek, o którym ci wspominałem, mój drogi przyjacielu, mówi. Dottore Vettor Crivano, podobnie jak ja dziecię Cypru, który latami cierpiał niewolę u niewiernych, salwował się śmiałą ucieczką z Konstantynopola i dopomógł Republice odzyskać szczątki dzielnego Marcantonio Bragadina. W równej mierze oddany wiedzy, co mężnym uczynkom, z wyróżnieniem ukończył uniwersytet w Bolonii i przybył do naszego miasta, aby rozpocząć karierę medyka. Dottore Crivano, nie znacie jeszcze, jak sądzę, signore della Porty?

Crivano i neapolitańczyk wymieniają uprzejme ukłony.

Ojciec dottore Crivana, ciągnie Contarini, był nadwornym sekretarzem mego krewniaka, szlachetnego Pietra Glissentiego, ostatniego szambelana Cypru, i wiernie mu służył, dopóki obaj nie padli ofiarą rzezi po zdobyciu Famagusty. Jakby to poświęcenie nie wystarczało, aby uczynić z rodu Contarinich jego dłużników, dottore Crivano uleczył mnie ostatnio z bezsenności, na którą zapadłem długo przed Wielkim Postem. Szczerze ci radzę, Giovan, zwróć się do niego ze swoimi dolegliwościami. To najlepszy lekarz pod słońcem.

Źle się czujecie, signore? – pyta Crivano.

Głos neapolitańczyka jest cichy i suchy jak szelest papieru. To drobiazg, mówi. Nic mi nie jest.

Contarini nachyla się do ucha Crivana i zniża głos. Męczy go kaszel, wyjaśnia. Do tego stopnia, że czasami lękam się, iżby serce nie wyskoczyło mu z ust na podobieństwo ropuchy. Najgorzej jest po posiłku, dlatego nie chce on z nami ucztować. Trudno uwierzyć, dottore, że tak okropne dźwięki mogą się wydobywać z płuc tak niepozornego człowieka.

Wybaczcie mi, senatorze, ten brak dwornych manier, wtrąca neapolitańczyk, lecz jakeście niewątpliwie zauważyli, słońce stoi już niemal w zenicie. Pozwólcie, że się oddalę, aby dopilnować dzieci.

Della Porta przechodzi przez wewnętrzny dziedziniec i znika w przepastnym przedsionku. Contarini poklepuje Crivana po ramieniu i mruga doń porozumiewawczo, po czym odwraca się do innego gościa. Przez chwilę Crivano nie wie, gdzie ma się podziać; zagłębia się w tłum i rozgląda za znajomymi twarzami. Rozmyśla przy tym o dziwnym neapolitańczyku. Della Porta. Z Neapolu. Z czym mi się to kojarzy?

Słudzy zaczynają rozsadzać gości. Crivano ląduje pomiędzy ponurą, mocno zawoalowaną panną a wiekowym szlachcicem o nazwisku Barbaro – prokuratorem z San Marco, głuchym jak pień – który głośno zlorzeczy cechowi hutników, dopóki na stół nie wjedzie pierwsze danie. Huty szkła należące do Medyceuszy,

pokrzykuje stary Barbaro, wytwarzają soczewki dobrej jakości, gdzie im tam jednak do holenderskich warsztatów. A skąd tamci biorą swoich najlepszych rzemieślników? Stąd! Traktujemy członków cechu jak udzielne księżęta, ci zaś zachowują się jak ostatnie ladacznice!

Crivano chce się grzecznie sprzeciwić – bezsensowny odruch, jako że prokurator i tak go nie usłyszy – i właśnie przetrząsa zakamarki pamięci w poszukiwaniu tej odrobiny wiedzy, którą posiadał w dziedzinie optyki, kiedy spływa na niego nagłe olśnienie. Najmocniej przepraszam, o pani, szepcze do dziewczyny w gęstym welonie. Ów neapolitańczyk, który dopiero co tutaj był, niejaki della Porta – czy to nie Giambattista della Porta, autor *Magiae naturalis*, słynnej księgi poświęconej fizjognomii?

Panna świdruje go wzrokiem spod obłoku szarej koronki, ale milczy.

A może, próbuje dalej Crivano, zna go panna jako dramaturga, nie zaś jako wybitnego uczonego? Autora popularnej komedii *Penelopa*, jak również *Białogłowa* oraz *Olimpia*?

Dziewczyna odpowiada ledwie słyszalnym kontraltem, wymawiając słowa z największą precyzją. Przyznaję, że signore della Porta to człek wybitny, mówi. I z pewnością uczony. Przypuszczam więc, że nazywanie go wybitnym uczonym jest w pełni uzasadnione.

Wątpi pani w uczoność signore della Porty?

Ależ nie, dottore. Jako osoba, która z wielkim zapałem przeczytała oba wydania *Magiae naturalis*, nie ośmieliłabym się niczego podobnego sugerować. Poza tym skąpa nauka, jaką odebrałam w szkole klasztornej, nie upoważnia mnie do wypowiedzania się na ten temat. Mogę jeno bezmyślnie powtarzać to, co zasłyszałam z rozmów moich lepiej wykształconych kuzynów.

Czyli co dokładnie, jeśli mogę spytać?

Dziewczyna wbija spojrzenie w blat, jej głos robi się jeszcze mniej słyszalny. Gdyby porównać społeczność uczonych do rodziny instrumentów muzycznych, mówi, można by wówczas przyrównać Giambattistę della Portę do kościelnego dzwonu. Jego słowa charakteryzuje godna pozazdroszczenia dźwięczność, lecz nie subtelność ani rozmach.

Crivano śmieje się, czym ściąga na siebie poirytowany wzrok starego prokuratora. Gdy biedzi się nad zgrabną repliką – jakąś żartobliwą pochwałą dla celnych spostrzeżeń, w których tkwi ziarno prawdy – słudzy wnoszą olbrzymie półmiski z wędzoną szynką duszoną w winie z dodatkiem kaparów, ozorkami wieprzowymi i świeżymi winogronami, marcepanem oraz korzennym ciastem. Crivano zaciera ręce, odwraca się do sąsiadki, aby skomentować jakoś te przysmaki, lecz w tej samej chwili ona podnosi gęstą woalkę.

Zupełnie jakby na podobieństwo Ikara runął z nieba i spadał tak długo, z tak olbrzymiej wysokości, że zapomniał o spadaniu, a teraz wreszcie zanurkował

w wodzie! Crivano nie jest w stanie zaczerpnąć powietrza, ręce i nogi ma jak galareta, zupełnie nad nimi nie panuje. Zdaje sobie sprawę, że wraz z innymi wstaje do modlitwy i do toastu, który wznosi sam Contarini, że jego dłoń chwytła kielich mozelskiego wina, lecz jego uszy nie odbierają niczego poza szumem wzburzonej krwi.

Nie potrafi pojąć, co jest źródłem tak głębokiego wzburzenia. Nigdy wcześniej nie spotkał owej dziewczyny, nie domyśla się nawet, kim ona może być. Kremowy odcień skóry, ostre rysy twarzy, zawzięte spojrzenie – trudno ją uznać za piękność, chyba żeby wziąć pod uwagę młodość i żywotność, które zawsze są piękne. Może to jej zapach? Crivano jest nie tyle oczarowany, ile przerażony. Nie ma odwagi spojrzeć dziewczynie w twarz, skupia więc wzrok na słojach drewnianego blatu, niemal wypala je spojrzeniem; jego oczy są niczym straszliwe soczewki Archimedesesa skupiające promienie słoneczne. Nie potrafi przy tym uwolnić się od wizji zmasakrowanego ciała Skowronka, obrazu różowych strzępów rozniesionych przez kulę armatnią po całym pokładzie rufowym „Czarno-Złotego Orła”. Co przywołało tak koszmarne wspomnienie?

Wiekowy prokurator znowu ciska gromy; strużka brunatnego sosu ścieka mu z podbródka. Naszym hutnikom brakuje lojalności i odpowiedniego kształcenia! – grzmi. Z łatwością mogliby zmiażdżyć konkurencję we Florencji i Amsterdamie, ale nie chcą się uczyć, nie chcą nic zmieniać, odrzucają naukę. Zobaczcie: dlaczego gród Świętego Marka stoi wyżej niż gród Świętego Piotra? Ponieważ nie ma pogańskiej przeszłości! Dlatego też przodujemy w sztuce wyrobu szkła: w żadnej innej dziedzinie współcześni artyści nie przewyższyli swoich pogańskich przodków. Warsztaty na Murano powinny pękać w szwach od malarzy, inżynierów i architektów. Uczni mężczyźni powinni pójść w ich ślady. Czym się tymczasem trudnią? Wyrobem zwierciadeł! Ślicznych płaskich lusterek dla dam i sodomitów!

Goście czyszczą półmiski, a na stół wjeżdżają już kolejne: przepiórki pieczone z bakłazanem, smażone grasice cielęce z sokiem z cytryny, zupa z pokrzewek i słodka pasta z migdałów. W miarę jak majolikowe naczynia się opróżniają, spod okruchów i sosów wyłaniają się nagie popiersia Annoni, Felicitas i Junony Monety, niemo błogosławiących możny ród Contarinich. Służba wnosi gotowane cielę i dwie nadziewane gęsi. Są też pasztety drobiowe i golonki wieprzowe, gulasz z gołębi z mortadelą i całymi przejrzystymi cebulkami; w ciemnym rosolu pływają ślepe oka. Crivano niemal niczego nie tyka. Jego sąsiadka, siedząca prawie nieruchomo na skraju jego pola widzenia, je chyba jeszcze mniej.

Z miejsca u szczytu stołu wstaje Contarini, podnosi w górę dłoń, władczo zaciska pięść. Jest szczytem grubiaństwa, mówi, przynaglać gości do skończenia posiłku. Stąd moje najszczerze przeprosiny. Jednak nasz szacowny kolega, signore della Porta, właśnie mnie poinformował, że jeśli mamy obejrzeć część rozrywkową

w całości, musimy zacząć natychmiast. Wygląda na to, że owe szykowane dla nas uciechy zależą w znacznym stopniu – jak zapewne wszystko na tym świecie – od natężenia promieni słońca w samo południe. Nie powiem nic więcej, żeby nie narazić się na gwałtowny gniew naszego małego neapolitańczyka. Dość zatem! Przejdźmy przez dziedziniec do sali, gdzie czekają na nas wygodne miejsca!

Crivano mamrocze pod nosem słowa przeprosin skierowane do siedzącej obok panny, zrywa się od stołu i pośpiesznie przecina dziedziniec. Korzysta z okazji, aby umknąć i odzyskać równowagę. Krew dudni mu w skroniach i wnętrznościach, puls ma stłumiony i nierówny niby uderzenia młota robotników wbijających drewniany pał w gęstą glinę. Czuje się chory, obawia się, że to wina bagiennych miazmatów. To zwykły zbieg okoliczności: jego złe samopoczucie nie ma nic wspólnego z tajemniczą dziewczyną. Nie kończy tej myśli, bo wyobraża sobie siebie w roli nieprzygotowanego aktora, wygłaszającego te zapewnienia przed niewidzialną publicznością w mrocznym teatrze swojego umysłu. Gdzieś w głębi serca musi już znać prawdę.

Żołądek ma pusty, więc nic nie spowalnia działania wina, które niepohamowanie rozlewa się po całym ciele, czyniąc jego kroki ciężkimi i chwiejnymi, kiedy Crivano wchodzi do sali. Wielkie pomieszczenie opróżniono do końca ze wszystkich zbędnych przedmiotów. Drewniane parawany rozstawiono, a zwinięte kotary rozwieszono, zasłaniając całkowicie wychodzące na dziedziniec okna. Jedynym zakątkiem, do którego dociera światło dzienne, jest loggia w drugim końcu sali: mieniący się blask drży na freskach sklepienia niby dalekie echo niewidocznej, rozmigotanej powierzchni biegnącego w dole Canale Grande. Skądś w pobliżu – trudno powiedzieć skąd – dobiega delikatne pobrzękiwanie metalu o metal i stłumiony śmiech dziecka.

Crivano mruga i stąpa niepewnie, zaskoczony tą nieoczekiwaną ciemnością. U jego boku pojawia się służa z lampą, aby go zaprowadzić do przyległej komnaty. Tutaj także okna zasłonięto kotarami, a przed nimi ustawiono polptyk pustych płócien na sztalugach. W bladym świetle kandelabrow Crivano widzi cztery rzędy rozkładanych foteli zwróconych w stronę płócien. Środkiem biegnie szerokie przejście i Crivano podąża nim do wolnego miejsca na przedzie. Siadając, zauważa stojący obok sztalug nieduży pulpit, pod nimi zaś na podłodze podłużną drewnianą skrzynię, której jeden koniec ukryty jest za kotarą. Rozmyśla, co by to miało oznaczać, podczas gdy do sali ściągają pozostali goście i ktoś zajmuje nagle sąsiedni fotel. Crivano nie musi się nawet odwracać; wie, że to tamta dziewczyna.

Zjawia się Contarini, zasiada majestatycznie na swoim miejscu, za pulpitem staje zaś della Porta. Senatorze Contarini, mówi, szlachetni panowie i panie, moi znamienici przyjaciele: dziękuję, że w łaskawości swojej daliście mi dzisiejszego popołudnia możliwość zaprezentowania kilku pryncypiów nauki, która od dawna mnie zajmuje. Zanim zaczniemy, pragnę uprzedzić, że obrazy, jakie wkrótce

ujrzycie, mogą niektórymi z was wstrząsnąć. Jeśli są wśród nas kobiety albo osoby o delikatnej konstytucji lub wrażliwym umyśle, może powinny się w tym momencie oddalić. Zapewniam wszakże, że wszystko, co dziś zobaczycie, będzie wynikiem zastosowania najszlachetniejszej odmiany magii naturalnej i dokona się dzięki nabożnemu zgłębianiu przeze mnie ukrytych tajemnic boskiej duszy świata. W tym momencie nie dodam już nic więcej, odsyłając zarazem wszystkich zainteresowanych do rozszerzonego wydania mojego dzieła *Magiae naturalis*, które dostępne jest u sławetnych księgarzy w waszym pięknym mieście. Tekst, który usłyszycie, to poemat mojej własnej kompozycji. Proszę o zgaszenie światła.

Della Porta zaczyna wygłaszać napuszony prolog dotyczący dawnej chwały Republiki i zainteresowanie Crivana gaśnie wraz z płomykami świec. Jego uwaga skupia się kolejno na dziewczynie, na Contarinim, na pozostałych gościach, na złocistym splendorze sali, w której się znajdują, na dziwnej skrzyni na podłodze i znów na dziewczynie. Z zamyślenia wyrывa go dochodzący zza kotary niespodziewany łoskot; na płóciennym ekranie pojawia się niezwykła panorama.

Z ust sąsiadów Crivana wyrывają się zdumione westchnienia, a także kilka stłumionych przekleństw; dziewczyna tężeje i przysuwa się bliżej. Wszyscy mają wrażenie, jakby ściana sali rozstała się przed nimi, odsłaniając mroczny krajobraz: pod zachmurzonym niebem widać polanę otoczoną skarłałymi drzewami. Obraz jest tak wyraźny i szczegółowy, a kolory tak żywe, że najlepsze i najsprytniej pomyślane dzieła malarstwa iluzjonistycznego w zestawieniu z nim zdają się być zaledwie bazgraniną ograniczonego dziecka. Teraz liście sztucznych drzew zaczynają drzeć, jakby poruszane delikatnym powiewem. Przez widownię przetacza się kolejna fala westchnień.

Gdy pierwszy szok ustępuje, Crivano przypomina sobie rozdział w książce della Porty – oraz podobną, choć znacznie bardziej uczoną rozprawę na ten sam temat pióra Ibn al-Hajsama – i uśmiecha się, bardzo z siebie zadowolony. To camera obscura, szepcze. Ta skrzynia na podłodze. Oglądamy nic innego, jak znajdujący się za tą ścianą dziedziniec.

Dziewczyna przez dłuższy czas nie odpowiada. „Potem przemówił mądry Dandolo – recytuje monotennie della Porta – lata zaś nie ujmują mu zapału”.

Przecież jesteśmy zwrócenii twarzami do dziedzińca, szepcze dziewczyna. A obraz nie jest odwrócony, chociaż powinien być.

Tsss, syczy przez ramię Contarini.

Dziewczyna ma rację: to nie camera obscura, przynajmniej nie tylko. Crivano dokonuje w myślach przeglądu swojej wiedzy z zakresu optyki i znajduje rażące luki. Może druga soczewka? – zastanawia się. Wypukłe zwierciadło?

Zgiełk cymbałów i niesamowity dźwięk szafamał przerywają te rozważania. Przed zebranymi ukazują się dwie grupy wojowników; ostrza pałaszów i lśniące hełmy rozsiewają po sali fantazyjne błyski. Zajmują oni pozycje po obu stronach

mur obronny, który wylania się z mroku – Bizantyńcy po lewej, krzyżowcy po prawej – i wygrażają sobie uniesioną bronią.

Neapolitańczyk kontynuuje mozolną relację dobrze znanego wydarzenia: fanatycznego ataku ociemniałego doży na mury Konstantynopola. „A oto i inni książęta spojrzeli i ujrzeni męstwo siwego starca, i wielki ich wstyd ogarnął, gdyż ten, którego czynów byli świadkami, wzroku był pozbawion”. Pomimo nieudolnego pióra della Porty i roztaczanych przez autora fantastycznych wizji Crivano łapie się na tym, że jest nie tyle rozbawiony, ile zdjęty niepokojem. Coś w tej projekcji rodem ze snu sprawia, że opadają go straszliwe wspomnienia bez żadnego związku, a zarazem zakorzenione niejako jedno w drugim; przychodzą znikąd, by stanąć mu przed oczami i równie szybko ulecieć. Zatoka Patraska, cała we krwi i ogniu; jak okiem sięgnąć, gęsto od strzał, tarczy, odrąbanych kończyn i białych turbanów. Stodoła w Tyflisie pełna zwłok parujących na mrozie. Skowronek przeładowujący broń na pokładzie rufowym, nucący sprośną piosnkę; po chwili huk, dym i Skowronek przestaje istnieć. Przywiązany do słupa na rynku w Lepanto kapitan Bua wrzeszczy jak opętany, aż do ramion odarty ze skóry. Wygarbowana skóra Bragadina na biurku konsula. Biała dłoń Verzelina, wystająca spod parcianego worka. I znowu Skowronek, rozkładający w świetle pałającego ognia swoje sfatygowane świadectwo immatrykulacji. „Matka nigdy nie uwierzy, że umarłem. Może to ją przekona”.

Mur obronny pęka, krzyżowcy obezwładniają Greków, publiczność klaszcze i radośnie pokrzykuje. Della Porta występuje naprzód i kłania się z dumą, pochyła się nad drewnianą skrzynią – jego patykowata ręka przecina na moment promień światła, w którym wiruje pył i na płótno pada jej monstrualny cień – po czym zamyka wieko. Panorama ciemnieje.

Dziewczyna mamrocze coś o aperturach, obustronnie wypukłych soczewkach, misach z lustrzanym dnem. Crivano przeprosza ją i potykając się, wychodzi z komnaty. W wielkiej sali służący zdejmują z okien kotary i składają parawany, wpuszczając do środka światło. Z dziedzińca nadbiegają dzieci, roześmiane i rozkrzyczane, poprzebierane we fragmenty zbroi swych ojców, wymachujące tępymi mieczkami. Crivano przemyka wśród nich na wewnętrzny dziedziniec, przestępując nad skleconym byle jak z gipsu murem obronnym. Wciąga do płuc ciepłe powietrze.

Inni służący uprzątają stół po bankiecie; mija ich, kierując się na odległy skraj dziedzińca, gdzie niski bukszpanowy żywopłot tworzy koncentryczne kręgi. Pośrodku stoi owalny zegar słoneczny. Gładki marmur sieneński spoczywa na szarej podstawie z wapienia; jego żelazna wskazówka, umieszczona u szczytu analemmy, wskazuje, że zbliża się pora dwudziestego pierwszego dzwonu. Wiatr się wzmaga i mgła się rozproszyła; wysoko na niebie widać kilka obłoczków, przesuwających się w zaskakującym tempie w stronę horyzontu. Crivana opada

nagle znużenie. Przysiada na rzeźbionej ławie i patrzy, jak cień wskazówki pełźnie przez lśniącą marmurową płytę. Tkwi tam, dopóki nie odnajdzie go znów dziewczyna.

Przygląda mu się zza żywopłotu, z twarzą spowitą welonem, nerwowo splatając palce. Crivano wstaje, zdejmując czapkę i patrzy na nią, dopóki dziewczyna doń nie dołączy. Przez dłuższą chwilę oboje siedzą w niezręcznym milczeniu. Dziewczyna jest starsza, niż sądził – prawdopodobnie skończyła już dwadzieścia lat. Coś w jej wyglądzie przypomina mu Cypr, ale nie potrafi stwierdzić, o co chodzi. Kim, panna, jesteś? – pyta.

Na imię mi Perina. Jestem kuzynką senatora Contariniego.

A kim jest ojciec panny?

Moi rodzice nie żyją. Nie znałam mego ojca. Wychowałam się w tym domu.

Dzwony w całym mieście wybijają godzinę: jasny, pulsujący, zwielokrotniony echem dźwięk przywodzi na myśl odgłos kropel uderzających o dach podczas ulewnego deszczu. Ręce Crivanowi trzęsą się tak bardzo, że musi zacisnąć je na kolanach, aby się uspokoić. A zatem, mówi, jesteś, panna, zakonnicą.

Dziewczyna robi kwaśną minę. Postulantką, precyzuje. W szkole klasztornej Santa Catrina. Nie składałam żadnych ślubów.

Przełożona musi się spodziewać, że to rychło nastąpi. W przeciwnym razie nie pozwoliłaby pannie poruszać się tak swobodnie.

Przez lata, odpowiada Perina, siostry z Santa Catarina korzystały z hojnych zapisów rodu Contarinich. To daje pewne przywileje.

Rozumiem.

Nieopodal stołu bankietowego jakieś dziecko naciera na oślep z pochyloną głową; hełm z brązu zderza się z pniem migdałowca. Chłopiec pada na wznak na trawę, hełm toczy się dalej ze szczękiem. Po chwili malec siada i zaczyna głośno zawodzić. Crivano się uśmiecha.

Podobno, odzywa się Perina, walczyłeś, waść, z Turkami pod Lepanto. To prawda?

Inni chłopcy śmieją się z łkającego kolegi. Starsza dziewczynka ucisza ich i pochyla się, aby opatrzeć nieszczęśnikowi krwawiący nos. „Walczyłeś, waść, z Turkami pod Lepanto” – powtarza w myślach Crivano. Nie: „Walczyłeś, waść, pod Lepanto”. Interesujące uściślenie. Owszem, przyznaje. To prawda.

Rada bym usłyszeć o roli, jaką odegraliście w owej bitwie, dottore Crivano. O ile zechcecie mi o niej opowiedzieć.

Nad dachem zawisa stado czarno-żółtych sikorek; jak szarańcza spadają na drzewa w poszukiwaniu gąsienic. Urządzają powietrzne akrobacje nad głowami dzieci, nie zwracając na nie żadnej uwagi; malcy również nie zważają na ich ćwierkanie i furkot.

To było bardzo dawno temu, odpowiada Crivano. Obawiam się, że wraz z upływem czasu moje wspomnienia uległy pewnemu zniekształceniu. Lepiej zaufać słynnym relacjom spisanych przez weteranów tej bitwy – nie wątpię, że już je, panna, czytałaś – choćby dlatego, że owi mężowie chwycili za pióra, zaraz jak tylko wypuścili z rąk miecze.

Oczywiście. Mimo to bardzo interesują mnie wasze osobiste doświadczenia. Byłabym niezmiernie wdzięczna, gdybyście zechcieli się nimi ze mną podzielić.

Większą przejrzystość i lepsze zrozumienie tematu, ciągnie Crivano, znajdziesz, panna, w dziełach współczesnych historyków Republiki, których tam nawet nie było, którzy nigdy nie wachali prochu i poza wnętrzem własnej biblioteki nie znają innego terytorium. Prawdziwe znaczenie takiego wydarzenia najtrudniej dostrzec, będąc w samym jego środku. Moje wspomnienia spod Lepanto są głównie utkane z dymu, zgiełku oraz martwych i umierających ludzi. Jestem pewien, że tego jakże ważnego dnia dokonano wielu mężnych czynów, lecz ja w żadnym z nich nie brałem udziału, żadnego też nie byłem naocznym świadkiem. Dla mnie i mnie podobnych była to długa, mozolna i bynajmniej nie chwalebna walka o to, aby utrzymać się przy życiu, przez większość z nas zresztą przegrana. Nie warto żałować takich wspomnień, moja panno, bo to żadna strata. Nie sądź także, iż historie owych poległych zostały wraz z nimi pogrzebane. Są bowiem niczym innym jak ziemią, która skruszyła ich kości.

Gdy Crivano kończy mówić, ma wrażenie, że jego głos dobiega z daleka, jakby zza ściany. Jego pole widzenia znacznie się zawężyło i obejmuje teraz tylko wybrane szczegóły fizjonomii dziewczyny: jej złożone ręce, upudrowane piersi, ukrytą za woalką twarz.

Nie rozumiecie, dottore? – mówi ona i zaciska dłoń na jego przedramieniu. Właśnie ten chaos, ten obłęd chcę poznać!

Woalka jest tak gęsta, że Crivano nie ma pewności, ale wydaje mu się, że w oczach dziewczyny lśnią łzy. Świadom chłodnego dotyku jej palców na swoim nadgarstku i nagłego, bolesnego skrętu w trzewiach zamyka oczy, zaciska szczęki. Dlaczego? – pyta.

Dziewczyna rozluźnia uścisk; Crivano czuje, jak przesuwają się na ławce. Dlatego, mówi, iż pojęłam, że w takim bezładzie mieszka prawda.

Sikory furkoczą im nad głowami. Cicibej, nawołują, cicibej.

Proszę o wybaczenie, odzywa się Crivano. Chętnie kontynuowałbym naszą rozmowę, nie chciałbym też wyjść na grubianina, ale może mogłabyś mi, moja panno, wskazać najbliższe ustronne miejsce? Obawiam się, że nie czuję się najlepiej.

Dziewczyna zrywa się poruszona i ciągnie go za ramię; Crivano pozwala się prowadzić długim korytarzem na tyły pałacu. Z powodzi przeprosin, propozycji pomocy i wyrazów szczerzej troski wyłuskuje wskazówki, jak trafić do pałacowego

wychodka, i czym prędzej się zegna.

Niewiele brakowało, a zabrudziłby odzienie. Zawiesiwszy płaszcz obywatela Republiki na kołku, z nogawicami opuszczonymi na cholewy butów, siada nad otworem w wytartej drewnianej desce i wypróżnia się, z głową wspartą o mur. Na przemian to się poci, to dygocze z zimna. Czuje niemal natychmiastową ulgę, zaraz jednak robi mu się głupio i gdy się podciera, przeszywa go nagłe pragnienie, aby już na zawsze pozostać w tej cuchnącej klitce: ukryty przed wzrokiem innych, bezpieczny nawet od własnych machinacji. Głęboko wciąga powietrze, zamyka oczy i postrzega siebie jako poczwarkę złożoną w żyznej glebie, podczas gdy wokół uwija się cały owadzi świat.

Gdy w końcu wychodzi, dziewczyny już nie ma, za to na korytarzu stoi młody Marco Contarini. Czy czujecie się na tyle dobrze, aby pomówić z moim ojcem, dottore? – pyta. Ma nadzieję, że poświęćcie mu kilka minut swojego cennego czasu.

Prywatne komnaty senatora znajdują się na półpiętrze poniżej piano nobile, po stronie pałacu, która wychodzi na Canale Grande. Crivano czeka w przedsionku, aż Marco porozumie się z ojcem. Przegląda wydanie octavo dzieła Cardana *De rerum varietate*, które znajduje otwarte na stoliku, nasłuchując uporczywego chlupotu fal uderzających o mury palazzo i stłumionej pieśni przepływającego akurat gondoliera. Pieśni, którą zna, a przynajmniej znał w młodości.

Szczęka rygiel, ciężkie wewnętrzne drzwi otwierają się i wypada przez nie Verzelin. Zatacza się na swoich martwych nogach, oczodoły ma wyczyszczone przez kraby, całun z parcianego worka jest cały pokryty zosterą. Z otwartych oskarżycielsko ust wylewa się potok czarnego szlamu i spływa mu na pierś; w błocku roi się blade, rozedrgane robactwo.

Crivano odskakuje do tyłu – jego łopatki natrafiają na ścianę, octavo wysuwa mu się z rąk na posadzkę – lecz to wcale nie Verzelin, rzecz jasna, tylko młody Marco wychodzący z ojcowskiej biblioteki. Na przenajświętszą Panienkę! – woła. Cóż się właści stało?

Nic! – bełkocze Crivano. Zupełnie nic. To tylko pozostałość drobnej dolegliwości. Wczoraj wieczorem zjadłem w gospodzie nieświeże mięso przepiórki, czego skutki odczuwam do dzisiaj. Najmocniej przepraszam. Nie ma powodu do obaw.

To prawdziwy pech, dottore. Szczerze wam współczuję. Zatrzymałeś się, waszmość, Pod Białym Orłem, prawda? To miejsce cieszy się akurat niezłą renomą, ale żadna gospoda nie jest całkiem bezpieczna, zwłaszcza w czasie święta. Powinniście rozważyć propozycję gościny u mego ojca.

Bardzo waszmość uprzejmy, odpowiada Crivano i schyla się, aby podnieść upuszczoną książkę. Jednak gospoda Pod Białym Orłem odpowiada moim wymaganiom, nie śmiałbym zresztą nadużywać gościnności tak tłumnie obleganego domostwa. Bądź co bądź nieświeża przepiórka może się trafić w każdym zajeździe.

Marco mruży oczy, przekrzywia głowę. Mam nadzieję, mówi, że moja niemądra kuzynka nie powiedziała nic, co mogłoby właści urazić.

Przez plecy Crivana przelatuje dreszcz. Kto? – pyta.

Moja kuzynka Perina. Panna, z którą waszmość...

No tak, oczywiście! Nie, skądże znowu! Jest urocza. Wielce wytworna. I bystra.

Istotnie. Cóż zatem... Ojciec prosił, abym usprawiedliwił go przed waszmością za tę zwłokę. Niedługo was przyjmie, jeżeli tylko zgodzicie się tutaj na niego zaczekać.

Crivano chętnie na to przystaje i Marco odchodzi. Crivano przez chwilę zbiera myśli, po czym rozpoczyna inspekcję komnaty, w której się znalazł. W uczonych kręgach apartamenty te cieszą się największą sławą w całym chrześcijańskim świecie. Szepcze się o nich zazdrośnie od Warszawy aż po Lizbonę. Wielu wystawiłoby na szwank swoje dobre imię albo wręcz popełniło przestępstwo, żeby choć zerknąć na to, co Crivano może teraz podziwiać do woli. Bogactwo wystroju – kominek z serpentynu i marmuru, złożony fryz z alegorycznymi przedstawieniami pędzla jakiegoś znakomitego malarza – błędnie w zestawieniu z tym, co zaścięła blaty i pokrywa ściany tego pomieszczenia. Szkliwione skorupy greckich waz. Fragmenty rzymskich posągów. Drewniane skrzynki wypełnione rzadkimi okazami minerałów, niezwyklejmi kryształami, skórami nieznanymi zwierząt. Przyprawiająca o zawrót głowy kolekcja mechanizmów do przeprowadzania pomiarów i obliczeń. Wykonane w odpowiednio pomniejszonej skali modele machin obłężniczych i galeasów. Kasetony zdobione z wielką wyobraźnią i prawdziwą wirtuozerią. Olśniewające obrazy.

Nie śmiejąc niczego dotykać, Crivano podąża ku tym ostatnim. W pierwszej kolejności jego uwagę zwraca portret brodatego patrycjusza, zepchnięty w kąt przez sąsiadujące z nim większe dzieła. Spękane ze starości płótno przedstawia podobiznę namalowaną z taką dbałością o szczegóły, że można ją przez omyłkę wziąć za twarz w oknie albo lustrzane odbicie. Choć niewątpliwie imponujący, obraz poraża chłodem i martwością – model robi wrażenie wypreparowanego zoologicznego okazu – co tłumaczy być może, dlaczego w zestawieniu z nim sąsiednie malowidła zyskują na wyrazistości.

Poczesne miejsce na najdłuższej ścianie zajmuje coś zgoła odmiennego, utrzymana w kolorach kamieni szlachetnych scena z Owidiusza: jasnowłosa Europa o nagich piersiach wygina się w tył, siedząc na śnieżnobiałym byku. Zwierzę jest przystrojone girlandą. Obok w ramach wiszą inne przedstawienia byków i wołów – jedno z nich szczególnie zwraca uwagę Crivana: bukoliczna scena jesiennych żniw. Gdy Crivano porównuje je z własnymi wspomnieniami roku spędzonego w wiejskim gospodarstwie w Anatolii – czternastego roku swojego życia; było to rok po Lepanto i na rok przed pojmaniem go przez janczarów – obraz wydaje mu się nieskończenie naiwny, naszkicowany pod wpływem kaprysu przez malarza pozbawionego umiejętności lub chęci wiernego oddania wiejskiej rzeczywistości. Niczym nieróżniący się od siebie wieśniacy, chybotliwa sterta skrzynek z jabłkami, przypadkowe i nietrafnie dobrane narzędzia – pomimo całej swojej absurdalności scena ta naprawdę go fascynuje. Każdy szczegół wydaje się tak pomyślany, żeby zaprzeczać jego osobistym doświadczeniom, zastąpić wyblakłe wspomnienia jakąś abstrakcyjną prawdą, do której dostęp kontroluje sam twórca. Śmiały pędzel owego rzemieślnika umieścił

nawet centaury w dalekich obłokach – tak mrocznych i zielonkawych, że siłą rzeczy przypominają upiorny pejzaż wyczarowany przez urządzenie della Porty.

W drugim końcu komnaty rozlega się łagodny basowy głos senatora. Dosięga Crivana niczym spadająca na ramię dłoń. Bez względu na swoje niedostatki, rzecz Contarini, to moje ulubione płótno. Wielce ubolewam nad losem tego człowieka.

Crivano odwraca się z uprzejmym ukłonem. Mówicie o autorze? – upewnia się. Nigdy o nim nie słyszałem.

Senator Contarini zamienił aksamitną szatę na czarną tunikę z adamaszku; podchodzi, staje obok Crivana i opiera się o krawędź stołu. Malarz ów, mówi, wywodzi się z Bassano del Grappa. Osiągnął wysoką pozycję w pracowni swego ojca Jacopo, słynącego z takich jak ten rustykalnych obrazków. Wiele starych rodów lubi przywoływać wspomnienia swoich dalekich posiadłości ziemskich, które w znacznym stopniu stanowią źródło ich obecnego bogactwa. Jeżeli zdarzyło wam się odwiedzić w tym mieście dom jakiegoś patrycjusza, założę się, że wisiały w nim dzieła starego Jacopo.

Senator sięga do kłębówiska różnych instrumentów i wyjmuje szkło powiększające, które następnie przykłada do płótna, aby przyjrzeć się z bliska centaurovi pośród obłoków. Po wielkim pożarze w Pałacu Dożów, ciągnie, Francesco – tak bowiem zwie się człek, który namalował ten obraz – przeniósł się tutaj z zamiarem utworzenia w naszym mieście własnej pracowni. Wielka Rada poruciła mi odnowienie pałacu, ja zaś zleciłem mu kilkanaście prac. Sądziłem, że dostrzegam w jego dziełach zapowiedź geniuszu. Geniuszu nieoglądanego w tym mieście, odkąd zaraza zabrała wielkiego Tycjana. Niestety, ów dostrzeżony przeze mnie potencjał nie ma obecnie szans na urzeczywistnienie. Któż jednak może śmiało powiedzieć, że się pomyliłem? Albo żem kiep, bo zamiast galeriami, uzbrojeniem, fortyfikacjami czy innymi maczugami Republiki zajmowałem się takimi błahostkami jak obrazy?

Crivano przestępuje z nogi na nogę, przygląda się sunącej po powierzchni płótna kryształowej soczewce. Jeżeli ktoś pragnie sprawować władzę, odzywa się, musi także sprawować kontrolę nad wizerunkami władzy. Tak przynajmniej wmawia nam pewien florencki urzędnik.

Contarini chichocze. To samo sobie powtarzam, mówi. I to często. Naturalnie ten sam florentczyk przestrzega nas przed ludźmi, którym roją się idealne republiki, jakie nigdy dotąd nie istniały. Owi głupcy – jak też on to ujmuje? – cierpią udręki przekonani, że to, jak żyjemy, wielce się różni od tego, jak żyć powinniśmy. Z tego powodu odrzucają wszystko, co jest robione, na rzecz tego co powinno być zrobione. Tym samym sprowadzają upadek na siebie, swoje królestwa, rodziny. Czasami mam poczucie, że sam również zaliczam się do grona tych marzycieli. Lecz owo podejrzenie jakoś nigdy nie napawa mnie wstydem.

Szkło powiększające wędruje po powierzchni obrazu: zielone chmury, czerwone jabłka, spokojne brunatne krowy. Co się z nim stało? – pyta Crivano.

Z kim?

Z owym malarzem, senatorze.

Contarini prostuje się, opuszcza dłoń, wyciera soczewkę o rękaw. Wbrew radom swojego ojca, odpowiada, Francesco zadał się z grupą uczonych młodych arystokratów. Agresywnych politycznie, rozdrażnionych nauczaniem papieża, zaangażowanych w poszukiwania wiedzy tajemnej. Nie byli to bynajmniej ci sami ludzie, którzy zapewnili dostatek jego rodzinie. Ów konflikt lojalności niepokoił Francesca, jego zaś temperament źle znosił wszelki niepokój. Z perspektywy czasu nie ulega wątpliwości, że musiał słabować na umyśle. Jeżeli wierzyć jego nieszczęsnej żonie, był przekonany, że dybią nań sbirri nasłani przez Radę Dziesięciu i zamierzają go skrzywdzić. Twierdził, iż zaatakowali go we śnie przy użyciu demonicznej magii i wymazali oraz pozmieniali jego wspomnienia. Tak przynajmniej zeznała jego żona. Według mnie jest równie prawdopodobne, że człek ów szukał po prostu ucieczki od tego świata, jak wielu przed nim i po nim. W każdym razie jakieś pół roku temu wyskoczył z najwyższego okna domu, który wynajmował. Nie zabił się, ale okropnie poturbował i pomimo wysiłków naszego drogiego dottore de Nis do dzisiaj pozostaje przykuty do łóżka, niezdolny wykonać bodaj najprostszych czynności. W swoim niezmiernym miłosierdziu Bóg nie dopuścił, aby w tym konkretnym przypadku naturalny porządek rzeczy został zaburzony: w lutym zesłał zrozpaczonemu staremu Jacopo wieczny odpoczynek. Lada dzień spodziewam się, że Francesco podąży za ojcem do grobu.

Crivano marszczy brwi i bada wzrokiem obraz, jakby mógł w nim odnaleźć cień obłędu autora, ale wiejska scenka nie uległa zmianie. Nie sądzę, mówi, by obawy malarza mogły być uzasadnione?

Te dotyczące sbirri? – upewnia się Contarini ze złowieszczym uśmiechem. Czy te odnoszące się do demonicznej napaści na jego uśpiony umysł?

Dotyczące sbirri.

Senator unosi brwi, kręci głową, odwraca wzrok. Rozpytywałem tu i tam, przyznaje. Przypuszczam, że jako główny mecenas tego biedaka czułem się za niego w pewnym stopniu odpowiedzialny. Oskarżenia żony wydawały się mało prawdopodobne, ale – zważywszy na szczególne zainteresowania niektórych młodych przyjaciół Francesca – niewykluczone. Inkwizycja utrzymuje, że nigdy o nim nie słyszała. Ministerstwo Nocy również wypiera się wszelkiej wiedzy o nim.

A co z Radą Dziesięciu?

Contarini składa delikatnie dłonie w miseczkę, jakby łapał muchę, po czym łączy je i powoli pociera jedną o drugą. Od Rady, mówi, doczekałem się jedynie tradycyjnego mydlenia oczu. Jak dobrze wiecie, oni nigdy niczemu nie zaprzeczają.

Ich potęga zasadza się na powszechnym przekonaniu, że wszędzie mają swoje oczy i uszy. Zaprzeczenie mogłoby sugerować, że nie mają pojęcia, o czym mowa. Stąd prawda musi pozostać na wieki zamknięta w ich lwich paszczkach, tak jak sekret zniekształconych wspomnień Francesca może znać tylko...

Contarini wybucha śmiechem, klepie Crivana po ramieniu. Chciałem powiedzieć, że znać go może tylko Somnus i jego trzej milczący synowie, kończy. Lecz wy, dottore, jesteście chyba w zażyłych stosunkach ze skrzydlatym Somnusem, prawda? Z pewnością, skoroście przywrócili mnie tak szybko do jego łask.

To oczywisty wybieg, aby porzucić niewygodny temat, Crivano zaś nie potrafi temu dyskretnie zapobiec. Zmusza się więc do uprzejmego uśmiechu. Miło mi to słyszeć, senatorze, mówi. To dla mnie zaszczyt, że mogłem być użyteczny w takim drobiazgu.

Dla cierpiącego na bezsenność to bynajmniej nie drobiazg, zauważa Contarini i gestem wskazuje mu drzwi w kącie komnaty, te same, przez które wszedł. Pofatygujecie się ze mną do biblioteki? – pyta. Panuje w niej pozałowania godny bałagan, ale chętnie was po niej oprowadzę, dottore. Jeśli wpadnie wam w oko coś, co może wam pomóc w waszych studiach, z pewnością się dogadamy.

Zbytńioście łaskawi, senatorze, kryguje się Crivano. Nie śmiałbym...

Lecz senatora już nie ma; oddalił się, nie pozostawiając mu wyboru: należy za nim podążyć. Gdy Crivano podchodzi do drzwi, ze środka rozlega się starczy głos. Dziwna sprawa, mówi senator. Nie wiem – może wy mi powiecie, dottore – czy to jeszcze zasługa owej nalewki z kaczęńca, czy też skutek wcześniejszego zmęczenia, ale od kilku nocy nawiedzają mnie wyjątkowo wyraziste sny.

Przez chwilę Crivano stoi jak sparaliżowany na progu biblioteki, oszołomiony bogactwem bijącym z wewnątrz. Dopiero potem odważa się zrobić krok naprzód. Komnata jest większa od przedsionka, z którego właśnie wszedł, lecz tak wyładowana, że wydaje się znacznie mniejsza, rozmiarami zbliżona do byle pakamery. W pierwszym momencie można odnieść wrażenie, że ściany zbudowano w całości z papieru i skóry: nowe wydania octavo, stare quarto, wiekowe kodeksy – niektóre ułożone płasko, inne ukazujące spięte opaskami okładki, jeszcze inne nową modą zwrócone grzbietem do patrzącego, żadne zaś nie są przykute łańcuchem. Trzeba się dobrze wpatrywać, aby w tym gąszczu zmaterializowały się skrawki dębowego drewna, prostokąty półek i przegródek, które to wszystko podtrzymują. Pozostałą niewielką wolną przestrzeń zajmują wykresy, schematy, rysunki inżynierów oraz architektów umieszczone w prostych drewnianych ramkach. Wzrok Crivana prześlizguje się po nich – rejestrując rzeczywiste i wymyślone konstrukcje, które oko i ołówek artysty naniosły na krajobraz zatopiony w bieli – dopóki nie natrafi na znajomy widok: idealnie symetryczną fasadę kościoła Najświętszego Zbawiciela.

Odkrycie to przyprawia go o istny zawrót głowy. Myśli sobie: owa nieziemsko biała świątynia na Giudecce była niegdyś zaledwie tym – kilkoma liniami na papierze, koncepcją rozkwitłą w umyśle człowieka. Podobnie jak pałac, w którym Crivano się znajduje, niezliczone woluminy, pod którymi uginają się półki biblioteki oraz czarna łódź, która go tutaj przywiozła, a nawet całe miasto: wszystko to wyrosło z ziaren zasianych na przestrzeni wieków w tysiącach umysłów. To samo dotyczy złodziejskiego spisku, który sprowadził go tutaj w pogoni za doskonałym zwierciadłem – on również wyklął się w żyznej glebie intelektu *haseki sultan*. A także planu, który spowodował śmierć nieszczęsnego Verzelina, wstrętnego owocu jego własnego knującego umysłu. Wreszcie wszystkiego, co piękne i rozumne pod słońcem, a co niegdyś było jedynie zamysłem Boga.

Tuż obok stoi ciężkie krzesło z orzechowego drewna; jego poręczce i oparcie pokrywają wyszukane rzeźbienia. Crivano wspiera się na nim, bo nogi odmawiają mu posłuszeństwa, po czym robi krok naprzód i opada na siedzenie. Przed sobą ma masywne biurko zasłane rozmaitymi dokumentami. Contarini porządkuje je, nie przerywając rozmowy.

Te sny, ciągnie, to nie nudne odtwarzanie wydarzeń całego dnia, tylko erupcje wydobywające się z najgłębszych zakamarków mego serca. Twarze, które w odległej przeszłości zakrył przede mną welon śmierci, i te znane jedynie z nieudolnych portretów, na które latami nie zwracałem najmniejszej uwagi. Twarze mojej matki i ojca, braci i sióstr, moich własnych zmarłych dzieci, nawet mamek i ulubionych sług z domu mego dzieciństwa – te właśnie twarze nawiedzają mnie we śnie, równie wyraźne i rzeczywiste jak wasze oblicze, *dottore*. Wiodą mnie przez krąganki wspomnień do dawno zapomnianych czasów i miejsc, gdzie spędzam całe noce, napawając się szczegółami, które mi umknęły, gdy byłem tam po raz pierwszy. Najbardziej zdumiewa mnie jednak pośpiech, z jakim owe mary senne pierzchają w popłochu przed pierwszymi promieniami słońca, zanim te padną na me słabe oczy. To, co we śnie zdawało się czyste, staje się naraz śmieszne i prymitywne. Nie sądzicie bynajmniej, że chciałbym się od tych snów uwolnić. Przeciwnie, budzę się z nich na wskroś przepełniony spokojem, z werwą, która przydaje moim krokom sprężystości. Dziwuję im się jeno, jak dziwować mógłby się kto komecie albo jakiej chimerze, i usiłuję je zrozumieć. Udzielicie zatem ciekawskiemu starcowi rady w tak błahej kwestii?

Crivano słucha tego wywodu jednym uchem; unosi się delikatnie na siedzeniu i zmienia pozycję. Istnieje pokaźny korpus literatury poświęconej snom, mówi, lecz moje własne doświadczenia w tej materii są nad wyraz skąpe. Pozwólcie mi zagłębić się w owo zagadnienie, pomyśleć nad nim kilka dni, zanim postawię diagnozę. Być może istnieje jakaś metoda, która pozwoli wyjaśnić owe przywidzenia.

Naturalnie, dottore. Płonę z ciekawości, lecz rzecz sama w sobie nie jest pilna. Sam też poszukam pism, o których, waść, wspomniałeś. Muszę zresztą przyznać, że już dałem się uwieść słynnemu dziełu *Oneirocritica* Artemidora z Efezu, księdze, której użyteczność w mojej bibliotece sprowadzała się do niedawna do prostowania zwiniętych arkuszy papieru w parne popołudnia. Dziwna to rzecz i cudowna, dottore, dla człowieka w mym wieku budzić się co rano młodszym, z poczuciem, że oto skąpany w świetle dnia świat nabiera na jego oczach ostrzejszych zarysów i wyrazistszych barw. Zdumiewa również fakt, że ożywcze działanie owych marzeń sennych ma tak ścisły związek ze wspomnieniami przeszłości, chociaż są one niekiedy zniekształcane przez śniący umysł. Wspominanie rzadko bywa lekarstwem starców, zgodzicie się ze mną, dottore?

Crivano zwraca uwagę na silnie ściągnięte siwe brwi senatora i zwleka chwilę z odpowiedzią. Sądzę, mówi, że to zależy od przedmiotu wspomnień. Dottore de Nis mówił mi o człowieku, którego porady moglibyście w tej kwestii zasięgnąć. Jego specjalnością jest sztuka zapamiętywania, on sam zaś wywodzi się z Noli i gości obecnie w domu szlachetnego Zuanne Moceniga.

Contarini wybucha chrapliwym śmiechem. Tak, mówi, poznałem Nolanusa, o którym, waść, opowiadasz. Interesujący, niemiły i według mnie niespełna rozumu. Od znajomych z Padwy słyszałem, że ubiegał się o posadę w tamtejszej katedrze matematyki. Biorąc pod uwagę poglądy tego człeka, wydaje się to równie nieprawdopodobne, jak zamiar wyboru głównego astrologa tureckiego sułtana na nowego papieża. Zacząłem już pisać listy poparcia dla jednego z jego rywali – syna słynnego lutnisty Vincenza Galilei, niedawno osiadłego w Pizie – który pomimo stosunkowo młodego wieku wydaje się całkiem obiecujący. Mówicie, że o Nolanusie usłyszeliście od Tristão?

Tak jest, senatorze.

Rozumiem, mruczy Contarini. Mam nadzieję, że wybaczycie mi, jak mniemam, to starcze gderanie, Vettorze, ale zalecam wam ostrożność w kontaktach z dottore de Nis.

Crivano posyła senatorowi szeroki, sztuczny uśmiech. Jak zawsze przyjmuję waszą radę z wdzięcznością, odpowiada. Nie dostrzegam wszakże w postępowaniu dottore de Nis niczego, co zasługiwałoby na potępienie.

Wcale mnie to nie dziwi. Ja również niczego takiego nie dostrzegam. W istocie zawierzyłbym – zresztą już zawierzyłem – Tristão de Nis własne życie. Sęk nie w tym, co my widzimy, ale co widzi inkwizycja.

Crivano przygląda brodę, przesuwa kciukiem po ściągniętych wargach. Mówiono mi, rzecze, iż władza inkwizycji jest znacznie osłabiona na terytoriach Republiki. To prawda?

Jak najbardziej. Inkwizycja zaś jest świadoma owej słabości i niby

wygłodniałe zwierzę rzuca się na wszystkich słabszych od siebie. Żydzi i Turcy są w tym mieście całkowicie bezpieczni, pod warunkiem że się ujawnią i będą przebywać w granicach wydzielonych im dzielnic. Podobnie wszystkie stare chrześcijańskie rody nie mają się czego lękać. Jednak nowym chrześcijanom pokroju Tristão – tak jak wszystkim, którzy żyją w naszym mieście na pograniczu różnych kultur – wciąż grozi niebezpieczeństwo. Odkąd król Manuel wymusił na portugalskich Żydach, aby się ochrzczili, szczerść wiary tamtejszych chrześcijan będzie tu zawsze podważana. Dottore de Nis jest w zażyłych stosunkach z wieloma uczonymi mężami z getta, z których kilku cieszy się niechlubną sławą alchemików oraz magów. Wiem także, że zna się z tureckimi uczonymi. Wielka przyjaźń, jaką darzą go tutejsze rody szlacheckie – a w pierwszej kolejności członkowie tego domostwa – pozwalała mu dotychczas unikać zarzutów. Jeśli jednak doniesie na niego niewłaściwa osoba, może być z nim bardzo źle.

Sądzicie, senatorze, że Tristão szczerze wyznaje naszą wiarę?

W ostatecznym rozrachunku nie będzie się liczyło, co sędzę ja, wy czy ktokolwiek inny.

Oczywiście, zgadza się Crivano. Doskonale to pojmuję. Pozwolę sobie jednak pokornie ponowić swoje pytanie: uważacie, że dottore de Nis wierzy szczerze?

Cień irytacji chmurzy twarz Contariniego, lecz zaraz znika. Senator wyciąga rękę i sięga po duży heksagonalny kryształ – idealnie czysty, jeśli nie liczyć kilku delikatnych żyłek w kolorze złota – służący na biurku za przycisk do papieru. Przekłada go w zadumie z ręki do ręki. Czytaliście Boccaccia, dottore? – pyta.

Ostatnio lata temu.

Ale być może przypominacie sobie opowieść, którą Boccaccio wkłada w usta Żyda Melchizedeka. Melchizedek opowiada sułtanowi o niezwykle zamożnym starcu, w którego rodzinie jest taki obyczaj, aby w każdym pokoleniu obdarowywać wybranego syna starożytnym pierścieniem. Kiedy przychodzi czas, aby spisać testament, starzec nie jest w stanie wybrać spośród swoich synów, bo każdy odznacza się jednakową prawością. Wzywa więc biegłego w swej sztuce złotnika i każe mu wykonać dwie kopie pierścienia. Są one tak doskonałe, że po śmierci starca nikt, nawet sam złotnik, nie potrafi wskazać oryginału. Tak samo, oznajmia Melchizedek, jest z chrześcijanami, muzułmanami oraz żydami. Jak rozwikłać tę łamigłówkę? Skoro trzy pierścienie rzeczywiście są identyczne, czemuż by bluźniercami nazywać tych z nas, śmiertelników, którzy w wątpliwość podają istnienie jakichkolwiek różnic między nimi? I tych, którzy nie sądzą, aby to w ogóle miało jakieś znaczenie?

Oniemiały niby uczeń, Crivano wpatruje się w insygnia wyryte na biurku senatora, niezdolny sformułować żadnej stosownej odpowiedzi poza jedną: „Już nie żyjesz, starcze”. Wybiera zatem milczenie.

Senator ustawia kryształ pod światło i obraca wzdłuż pionowej osi. Na blacie biurka niczym szprychy niewidzialnego koła wirują kolorowe promienie. Na gładkich ściankach kryształu Crivano dostrzega opalizujące zawijasy linii papilarnych senatora.

Dzisiejszego popołudnia, podejmuje Contarini, poznaliście moją kuzynkę.

Perinę. Owszem.

Zadawała waści pytania.

Istotnie.

Contarini bierze głęboki wdech i wypuszcza powietrze. Po raz pierwszy tego dnia wygląda naprawdę staro. Prosiłem ją, mówi, aby była delikatna i okazała wam najwyższy szacunek, zgodnie z tym, co wypada młodej damie o jej pozycji. Obawiam się jednak, że gdy dorastała, zabrakło jej w tym domu kobiecych wzorców, stąd często język jej śmielszy jest, niż wypada. Za to należą się wam moje przeprosiny.

Przeprosiny są zbyt cenne, senatorze. Rozmowa była wielce przyjemna...

Contarini ucisza go ruchem ręki. Proszę, mówi. Pozwólcie staremu dyplomacie na krótką chwilę szczerości, aby mógł ulżyć swemu sumieniu. Perina chciała wypytać was o bitwę pod Lepanto z powodów, które być może już odgadliście. Pozwoliłem jej na to, nie tylko aranżując dzisiejsze spotkanie, ale także zatajając przed wami wiedzę o jej zamiarach. Zastawiłem na was pułapkę, przyznaję. Sądziłem, że nie wyniknie z tego nic wielkiego – ot, niewinny podstęp, aby przełamać waszą rezerwę i zachęcić was do swobodnej rozmowy o swoich dokonaniach – lecz teraz widzę, że była to z mojej strony zwykła arogancja.

Senator odkłada ciężki kryształ na biurko; promień słońca rozpina na blacie delikatną tęczę, która sięga białej płaszczyzny niedokończonego listu. Crivano dostrzega staranny szkic Piazzzy i widocznie odwrotnie pozdrowienie w języku francuskim. Słońce zachodzi za kanałem, wydłuża cień Contariniego. Rozszczępione przez kryształ światło stopniowo blednie.

Nigdy nie byłem na wojnie, wyznaje Contarini. Kiedy jak wielu znanych mi senatorów osiągnąłem wiek męski, w historii Republiki nastąpił akurat czas pokoju. Powinniśmy być za to wdzięczni losowi, tymczasem przepełnia nas zazdrość. Widzimy tych wszystkich młodzieńców, naszych synów i kuzynów, którzy osobiście poznali smak wiktoria pod Lepanto i mogą odtąd reagować na wszelkie nasze pretensje, jakie z racji wieku rościmy sobie do bycia wszechwiedzącymi, mówiąc: „Ale to my tam walczyliśmy!”. Wzdychamy wówczas i marzymy o chwale, jaka stałaby się naszym udziałem, gdyby tylko Fortuna uśmiechnęła się do nas tak jak do nich. Krótko mówiąc, wyobrażamy sobie wojnę jako tygiel, w którym wytapia się wiekopomna sława. A przecież tak nie jest. Wojna to spustoszenie i potworność – konsekwencja największych porażek odzianych w atłasy mężów stanu mojego pokroju – a zazdrościć komukolwiek, że się z nią

zetknął, niegodziwością jest i głupotą.

Senatorze, odzywa się Crivano, z wielkim zapałem prowadzicie tę wymierzoną w siebie orację. Gdyby wojny nie były dla wielu źródłem chwały, dawno przestano by je prowadzić.

O, zaiste, wojny są źródłem chwały. A gdy chwały zabrakło, zawsze można się o nią zatroszczyć po fakcie. Przyznawanie takich spóźnionych laurów to interes jak każdy inny. Jeśli widziałeś, waść, nowe malowidła w Pałacu Dożów – autorem jednego jest ów nieszczęsny Francesco – to wiesz, że sam też brałem udział w tym brudnym handlu. Taka jest cena władzy, jak powiedział ów florencki urzędnik: koszt budowania *imago urbis*. Ale kiedy siedziałem dziś w tamtej zaciemnionej komnacie, słuchając żalosego panegiryku signore della Porty, pojąłem, jak wstrętne muszą być jego słowa komuś, kto widział bitwę na własne oczy, nie zaś jako niewyraźne odbicie w zwierciadle. Wielki Boże, cóż to był za poemat! Czy to nie dziwne, że po tylu stuleciach wciąż wysławiamy ślepego dożę? Krzyżowca, który wydał wojnę chrześcijanom, którego duch ni mniej, ni więcej, tylko przywłókł niewiernych pod bramy tego miasta? Tymczasem nasi poeci i malarze windują go na piedestał, przez wieki przedstawiają w nimbie bohatera swoich czasów, aż w końcu zaczynamy widzieć w nim symbol męstwa Republiki. Tym samym staje się on pusty i płaski niczym doskonale zwierciadło, w którym przegląda się nasza pycha. Obawiam się, że z czasem tak samo będzie z Bragadinem. I z Lepanto. Może już się to dzieje.

W Bolonii, wtrąca Crivano, często słyszałem, jak bezmyślne usta wypowiadały jednym tchem oba te miana. Tutaj jednak zda się otaczać je zmowa milczenia, lepiej wręcz wcale o nich nie wspominać. Przyznaję, że z tego powodu mam w głowie zamęt.

Senator kiwa głową. Liczyłem, że nasze miasto zgotuje wam cieplejsze powitane, Vettorze, mówi. Że wdzięczność wobec was będzie wyrażana bardziej otwarcie. Z trudem jednak wyegzekwowałem nawet owe marne gesty, których byłeś świadkiem.

Nie twierdzą, że rozczarowało mnie tutejsze przyjęcie, senatorze. Chciałem tylko wyrazić swoje...

Zaskoczenie. Całkiem zresztą zrozumiałe. Lecz wyjaśnienie jest bardzo proste: gdyby waszej galery nie przechwycili Turcy – albo gdybyś, waść, zdołał powrócić ze szczątkami Bragadina najpóźniej rok po Lepanto – wżeniłbyś się zapewne w jakiś znamienity ród i chowałbyś teraz synów na przyszłych dożów. Ponieważ tak się nie stało, w czasie długiego uwięzienia waści Republika zawarła po cichu pokój z sułtanem, zrzekając się wszelkich praw do Cypru. Sułtan umarł, a w jego miejsce nastał nowy, który sprzyja nam w kwestii handlu. Dzisiaj szczątki męznego Bragadina, które waść z takim poświęceniem zdobyłeś, przypominają nam jedynie, że człek ów cierpiał i umarł na darmo. Co gorsza, dla podobnych mi

dyplomatów Lepanto stało się niedogodnością, o której najlepiej zapomnieć. Z punktu widzenia historii Republiki bitwa ta nie przyniosła nam nic poza chwałą i tysiącami trupów, więc równie dobrze mogłaby się wcale nie rozegrać. Lepiej niech zajmują się nią poeci i malarze. Przypuszczam, że słyszał waść o tym, co spotkało Polidora? Pamiętacie Polidora, dottore?

Crivano od lat nie wymawiał tego imienia. Jego mięśnie pamiętają je lepiej niż umysł: zanim ten ostatni się zorientuje, ciało sztywnieje ze strachu. Oczywiście, że go pamiętam, odpowiada. Ten człowiek wykradł szczątki Bragadina z tureckiego arsenału. Potem przekazał szczątki mnie, ja zaś po swojej ucieczce oddałem je w ręce konsula w Galacie.

Polidoro również uciekł. Wiedziałaś, waść, o tym? Turcy go schwytali i okrutnie torturowali, lecz o dziwo kilka tygodni później puścili go wolno. Mieszka obecnie w Weronie, swoim rodzinnym mieście. Przed kilku laty wystąpił do senatu z prośbą o miesięczną pensję w wysokości szesnastu dukatów, powołując się na swoje męstwo w służbie Republiki. Senat przyznał mu pięć dukatów.

Contarini bacznie mu się przypatruje. Crivano wzrusza ramionami. Polidoro to dla mnie jedynie para rąk w ciemnościach, mówi, nic więcej.

To bardzo dobrze, stwierdza Contarini. Bo to pospolity złodziej. Za kradzież trafił na pokład jednej z naszych galer. Gdy galera ta została zaatakowana i przejęta na morzu, wiosłował dla Turków. Zimą znalazł się w arsenale, gdzie przechowywane były szczątki Bragadina. Dzięki ich kradzieży wrócił na łono Republiki. Przyznaję, że sam głosowałem za tym, aby mu nic nie płacić. Dlaczego Republika miałaby wynagradzać złodzieja za to, że jest złodziejem? W ubiegłym tygodniu zmija ugryzła mojego wroga. Dzisiaj przypelzła do mego ogrodu. Mamże jej podać pokarm na złotym półmisku? Nie. Powinienem sięgnąć po kij.

Głos Contariniego stracił nieco ze swego jedwabistego brzmienia, słysząc w nim narastające zmęczenie. Nie będzie dziś zwiedzania biblioteki. Crivano bada spojrzeniem zmarszczki na suchym obliczu starca, zwraca uwagę na lekkie drżenie mocnej lewej dłoni. Jakże wspaniałe sny muszą nawiedzać tę siwą głowę, myśli.

Chciałbym was prosić o drobną przysługę, dottore, odzywa się senator.

Oczywiście.

Jutro wraz z rodziną chcemy wyjechać z miasta. Lato już blisko, a upalne tygodnie przyjemniej spędza się w zdrowszym powietrzu, w naszej willi na stałym lądzie. Dzisiejszego wieczoru moja ordynarna młoda kuzynka wraca do szkoły klasztornej przy zakonie Świętej Katarzyny. Byłbym ogromnie zobowiązany – a ona jeszcze bardziej – gdybyście zechcieli poświęcić kilka godzin swojego cennego czasu i odwiedzić ją podczas naszej nieobecności. Domyślam się, że tego popołudnia dała się waści mocno we znaki, lecz daję wam słowo honoru, że potrafi być czarująca. Niezależnie od tego, czy ją odwiedzicie, czy nie, chciałbym, abyście korzystali śmiało z tej biblioteki, kiedy mnie nie będzie. Odźwierny Rigi wpuści

was do środka.

Słońce załamuje się pod łukiem okna i widać teraz tylko zarys ciemnej sylwetki senatora. Crivano mruży oczy, spogląda na biurko. Z całego widma rozszczepionego przez kryształ pozostał jedynie pomarańczowy odprysk, wyłaczający ząbkowaną krawędź blatu. Wielki ciężar przygniata pierś Crivana; kurczy się ona i zapada niby pomarszczona skórka wyschłego owocu.

Bardzoście łaskawi, senatorze. Z przyjemnością spełnię waszą prośbę. Mogę tylko zadać wam jeszcze jedno pytanie?

Proszę.

Dlaczego Perina pragnęła mówić ze mną o Lepanto?

Ciemna sylwetka senatora przez dłuższą chwilę pozostaje nieruchoma. Sama wam tego nie wyjaśniła, dottore? – pada wreszcie pytanie.

Nie.

Byłem pewien, że to uczyni.

Za oknem przepływa kolorowo przystrojona galera zdążająca do Bacino. Młodzieńcy w jaskrawych rajtuzach śpiewają i podskakują na tylnym pokładzie. Crivano przypomina sobie, że to ostatnia noc Festa della Sensa.

Perina, odzywa się senator, miała brata, który zginął pod Lepanto. Brata, którego nigdy nie poznała. Była wtedy jeszcze bardzo mała. Nie powiedziała wam... kim jest?

Crivano stara się zapanować nad oddechem i tonem swego głosu. Ma wrażenie, że konające za oknem jaskrawe słońce zalewa go całym swoim światłem. Powiedziała tylko, że jest waszą kuzynką, mówi. Nic poza tym.

To prawda. Jest najmłodszą córką mego krewniaka Pietra Glissentiego, którego, jak mniemam, dobrze pamiętacie z czasów młodości na Cyprze. Ojciec wasz był jego nadwornym sekretarzem.

Wielkie nieba...

Słucham?

Jej brat...

Na imię miał chyba Gabriel. Umarł bardzo młodo. Dziś byłby, jak sądzę, w waszym wieku, dottore.

To niemożliwe!

Słucham?

Córkę szlachetnego signore Glissentiego zabrała zaraza. Ona i jej matka zbiegły z Cypru przed tureckim najazdem, przybyły tutaj i obie umarły podczas epidemii, siedemnaście lat temu. Tak mi przynajmniej mówiono.

Wszystko się zgadza, dottore. Dotyczy to jednak starszej córki signore Glissentiego. Młodsza Perina opuściła Cypr w łonie swej matki i urodziła się już tutaj. Miała pięć lat, kiedy jej matka i siostra zmarły. Ojciec i dwaj starsi bracia polegli w Famaguście, a młodszy od nich Gabriel zginął, jak już wspomniałem,

w bitwie pod Lepanto. Ale jeśli się nie mylę, wyście go dobrze znali, prawda?

Crivano otrząsa się gwałtownie. Dociera do niego, że przez cały ten czas wpatrywał się w zachodzące słońce. Kiedy odwraca się do senatora, twarz starca spowija sieć zielonkawych rozbłysków. Od czasów dzieciństwa Gabriel był mi najdroższym przyjacielem, wyznaje. Razem przyплыliśmy tu z Cypru, aby studiować na uniwersytecie w Padwie, usłyszawszy zaś o upadku Nikozji, zaciągnęliśmy się do wojska jako łucznicy. Stałem tuż obok, kiedy zginął. Kula armatnia rozerwała go na strzępy.

Rozumiem. Mam prośbę, dottore: kiedy będziecie opowiadać o tym Perinie, zechciejcie z łaski swojej pominąć ten ostatni szczegół.

Nie wierzę, szepcze Crivano. Po prostu nie do wiary.

A jednak wierzy bez wahania. Wie, że to prawda. Albo coś bliskiego prawdy.

Może teraz, mówi Contarini, zrozumiecie, dlaczego tak mi zależało, abyście się z Periną poznali, choć samą intrygę przeprowadziłem co najmniej nieudolnie. Stanowicie dla niej jedyny namacalny łącznik z przeszłością, której jest niepomniecie ciekawa. Dodam też – o ile wybaczycie mi ponownie mą szczerość – że i dla was bliska znajomość z Periną może się okazać cenna. Jestem już stary i niewiele lat mi pozostało, przejdę więc wprost do rzeczy. Perina znajduje się pod moją opieką i mam dla niej wiele uczucia, ale nie jest moją córką. Posag, jaki jestem jej w stanie przekazać, nie wystarczy, aby przyciągnąć szlachetnie urodzonego zalotnika, ja zaś dotychczas nie zdołałem znaleźć wśród mieszczan odpowiedniego kandydata na jej męża. Jak już powiedziałem, posag nie dorówna posagowi żadnej z panien rodu Contarinich, lecz będzie to znaczna suma, zwłaszcza dla kogoś takiego jak wy: nie starego, ale i nie młodego, któremu zależy na zdobyciu w tym mieście odpowiedniej pozycji. Nie zapominajcie również, że Perina jest ostatnią ze szlachetnego rodu Glissentich. Jej potomstwo zasiądzie w Wielkiej Radzie. Ale o tym starczy! Dość już powiedziałem. Odwiedźcie ją. Pomówcie z nią w cztery oczy. Rozważcie moją propozycję.

Gdziekolwiek spojrzeć, Crivano widzi pulsujące zielonkawe kształty – upiorne powidoki słońca, które wszystko zamazują. Posadzka pod krzesłem zdaje się poruszać, jakby pałac ześliznął się z podtrzymujących go pali i kołysał swobodnie na falach. W uszach słyszy taki dźwięk, jakby ktoś delikatnie w nie dmuchał.

Senatorze, szepcze, przecież owa panna jest zaślubiona Chrystusowi? Czy nie tak?

Nie. Są dopiero po zrękowinach, a ja wcale nie jestem pewny, czy Chrystus byłby dla niej najlepszym mężem. Naturalnie żaden człek nie dochowa jej większej wierności, nietrudno wszak sobie wyobrazić, że wielu okazałoby jej więcej czulej troski. Dobrze się czujecie, dottore? W tym świetle wyglądacie okropnie blado.

Kiedy Crivano odzyskuje siły – wyrwany z omdlenia szczyptą soli trzeźwiących z laboratorium senatora i wzmocniony kieliszkiem mocnego winiaku – słońce już prawie zaszło, on zaś jest spóźniony na bankiet w Accademia degli Uranici. Przeprasza zatem gospodarza, żegna się, narzuca płaszcz i opuszcza pałac bocznym wyjściem od dziedzińca, gdzie siwy odźwierny pakuje skrzynie przed podróżą na stały ląd. Wiekowy Rigi obrzuca Crivana sceptycznym spojrzeniem, gdy ten mija go w pośpiechu.

Palazzo Morosini znajduje się w połowie drogi do Riva del Vin, na tym samym brzegu Canale Grande co pałac Contarinich. Najszybciej można tam dotrzeć łodzią, lecz Crivano woli się przejść. Musi pomyśleć, przewietrzyć głowę, pozbierać się. Jeśli w związku z tym ominie go uczta – no cóż, w tej chwili nie jest szczególnie głodny.

Szalona Festa della Sensa dobiega końca. Z każdego pałacu w mrok ciągną jego mieszkańcy: zwinni chłopcy w opinających pośladki rajtuzach, pulchne panny chłodzące górne półkule piersi w wieczornym powietrzu. Zataczając się, wsiadają do łodzi, paradują przez ustronne zaułki. Wszyscy mają na twarzach maski. Wkrótce rozlegnie się pierwszy nocny dzwon, chłopcy z pochodniami wylegną rzeźbić płomieniami mrok i miasto po raz kolejny pograży się w wielkim zapomnianiu: o tym, co dozwolone i co zakazane. Na ruchliwych ulicach Crivano znów czuje się niewidzialny, niczym tessera zlewająca się z innymi tworzącymi mozaikę.

Stopy niosą go w tempie jego myśli, obok przeszklonych okien, zdobionych freskami murów, okiennic trzaskających na nieznanym mu arteriach miasta. Jednak bez względu na to, dokąd i jak daleko wybiega myślami, te wracają stale w jedno i to samo miejsce: do Periny i pytania, jakie budzi sam fakt jej istnienia. Jak to możliwe? Jak to możliwe? Jak to możliwe?

Wspólnie ze Skowronkiem opuścili Nikozję na około dziewięć miesięcy przed jej upadkiem, niemal dwa lata przed tym, jak ich ojcowie i bracia zginęli w obronie Famagusty. Wiadomość o ich śmierci dosięgła dwóch przyjaciół, kiedy flota cumowała w Guiscardo; szykowano się do wpłynięcia w głąb łądu po zapasy słodkiej wody. Skowronek czyścił akurat panewkę swojego arkebuza i przedmuchiwał lufę. „Moi chłopcy, dotarli do nas wieści o upadku Famagusty”. Kapitan Bua stał na pokładzie rufowym, a głos trząśł mu się z wściekłości. „Generał Bragadin, niech Bóg zlituje się nad jego duszą, z honorem poddał się Lala Mustafie, a ten sukinsyn kazał mu obciąć nos oraz uszy. Potem niewierne dzikusy obdarły go żywcem ze skóry, wypchały ją słomą i tak uczynioną kukłę obwoziły na krowim grzbiecie ulicami miasta. Obiecuję wam, że ciężko odpokutują za to, co

uczynili”. Wyraz twarzy Skowronka – pełen udręki i przerażenia, wściekłości i ekscytacji zarazem – stanowił żywe odbicie uczuć targających sercem Crivana. Obaj utracili ojców. Każdy z nich w wieku trzynastu lat stał się ostatnim z rodu.

Aż do dzisiaj Crivano ani razu się nie zastanawiał, co musiały wtedy przeżywać kobiety: teraz wyobraża sobie, jak szukają w porcie w Kyrenii genueńskiego albo ragusańskiego kapitana, który zgodziłby się wziąć je na pokład. Następnie, ściśnięte jak sardynki w ciemnych zakamarkach rozkołysanego statku, między roztrzaskanymi skrzyniami i belami tkanin, zakrywają dłońmi mokre twarzyczki swoich dzieci, żeby Turcy przypadkiem niczego nie usłyszeli, bo jaki los by je wówczas czekał? Podczas płądrowania Tunisu w 1574 roku do ordy Crivana dotarła pogłoska, jakoby żona hiszpańskiego dowódcy zabarykadowała się wraz z pięcioma córkami w budynku na skraju portu. Rechoczący janczarzy potrzebowali aż godziny, żeby wyważyć drzwi; kobieta ich ubiegła: metalowym kołkiem roztrzaskała córkom czaszki, a sama podcięła sobie gardło. Jakich opowieści wysłuchiwała Perina z rozgoroczonych ust swojej matki i siostry, zanim zabrała je zaraza? Czy coś z nich jeszcze pamięta? Jak to w ogóle możliwe?

Czy Narkis wiedział? Mało prawdopodobne. Jeżeli nawet, jakie to mogło mieć znaczenie? Jako idealny wytwór osmańskiego systemu dewszirme, wcielony we wczesnym dzieciństwie w szeregi janczarów nigdy do końca nie pojął, czym dla cywilizacji frankońskiej są więzy krwi „po mieczu”. „Pochodzę z Macedonii, z wysokich gór. Zanim zabrali mnie Turcy, nigdy nie widziałem kościoła ani meczetu. Ani żadnego pisma. Nie znałem złota ani szkła. W dorosłym życiu podróżowałem do Mekki, Pendżabu, Katmandu i Chin. Nie myślę o swojej rodzinie. Jeżeli nawet oni myślą czasem o mnie, nigdy nie zdołaliby zrozumieć, kim się stałem”. Podobnie Narkis nigdy nie zrozumiałby, kim dla Crivana jest Perina. Lecz kim ona jest w istocie? Skoro nie wie tego nikt poza Crivanem, czy jest możliwe, aby była, kim tylko on zechce? Aby inni uwierzyli, że absolutnie nic dla niego nie znaczy?

A jeśli wie o niej *haseki sultan*? Myśl ta sprawia, że Crivano staje jak wryty, jakby mur, przy którym idzie, runął, odkrywając labirynt ukrytych przejść; na moment Crivano czuje się zagubiony, wyrwany z objęć prądu, który niósł go dotąd, nieświadomego własnych kroków, przez ulice miasta. Chwilę wcześniej przeciął jakiś most. Czy był to most za Ca' Garzoni czy ten za Palazzo Corner? Stoi przez pewien czas niezdecydowany na ciasnym skrzyżowaniu, dopóki zza północnego narożnika nie wypadnie kilku świętujących – czterech uróżowanych młodzieńców w perukach i kobiecych sukniach, za którymi podąża piąty, pulchny i całkiem nagi, jeśli nie liczyć wielkiej pieluchy między nogami – i nie zacznie się obok niego przeciskać. Crivano rzuca za nimi przekleństwo i rusza w stronę, skąd tamci przyszli.

On i *haseki sultan* spotkali się tylko raz. Wezwała go do siebie na kilka

miesiące przed jego pierwszym spotkaniem z Narkisem. Z początku Crivano niczego nie podejrzewał: układała się właśnie z grupą genueńskich bankierów, sądził więc, że potrzebuje go jako tłumacza. „Dotarły do mnie na wasz temat bardzo pochlebne opinie, messer Crivano”. To, że zwróciła się do niego dawno nie używanym mianem – nie „tardżuman”, przydomkiem nadanym mu przez wezyrów – sprawiło, że pod bogato zdobionym kaftanem ciało Crivana pokryło się gęsią skórą. „Urodziliście się na Cyprze, prawda? Opowiedzcie mi o tym”.

Choć osiągnęła już wiek średni, wciąż była olśniewająco piękna, gdy spoczywała umoszczona niczym klejnot na miękkich poduszkach. Wyszywana złotą nitką szkarłatna entari, wydymające się niby żagle rękawy gömlek, delikatne jak pajęczy jedwab. Przerazająca i groteskowa, jak wszystko, co musi być piękne z konieczności. „Po tym, jak flota powróciła z Tunisu, wasza orda ruszyła na wschód walczyć z Safawidami, czyż nie?” Wypytywała go przez godzinę, wszystkie pytania padały w jego ojczystym języku. Mowa *haseki sultan* była mozolna i pozbawiona wdzięku, ale wyraźna i bezbłędna. Tego dnia genueńscy bankierzy już się nie pojawili i w stosownym czasie Crivano został odprawiony. Przypuszczał, że *haseki sultan* chciała poćwiczyć się przy nim w wymowie – po co jednak miałyby się wprawiać w nowym dla siebie języku lub takim, którym od lat się nie posługiwała, tego nie potrafił odgadnąć. Naturalnie docierały do niego różne pogłoski: ulubiona konkubina sułtana była córą jednego z najstarszych rodów Republiki, porwaną do haremu przez piratów z pokładu rodzinnego okrętu w wieku zaledwie kilku lat. Crivano zawsze traktował je jako mało wiarygodne. Po rozmowie z *haseki sultan* utwierdził się w przekonaniu, że wywodzi się ona raczej od dalmatyńskich rybaków, a nie z frankońskiej szlachty. Niemniej jednak to istotnie niezwykle, jak niemal z dnia na dzień Republika powróciła do łask sułtana. I to po tym, jak owa dziewczyna urodziła mu zdrowego syna.

Pogłoski znalazły więc nową pożywkę. A gdzieś po kątach nieśmiało szeptano o czymś jeszcze bardziej fantastycznym. Jeżeli *haseki sultan* istotnie była córą Republiki, to czy tak trudno sobie wyobrazić, że jej rzekome porwanie zostało od początku zaaranżowane przez Radę Dziesięciu? Jeśli tak było, to ów nieprawdopodobny spisek, aby umieścić w sułtańskim haremie swojego szpiega, przeszedł najśmielsze oczekiwania swoich autorów. Oto ich wysłanniczka stała się *de facto* władczynią wszystkich Turków, w dodatku powiła sułtanowi dziedzica. Cudowna, a zarazem perwersyjna wizja: oto tam, gdzie przez wieki rycerstwo chrześcijańskie niczego nie wskórało, zwycięstwo odniosła ponętna niegdyś białogłowa. Nic dziwnego, że Lepanto tak szybko popadło w zapomnienie.

To nedorzeczny scenariusz, lecz – podobnie jak pijak, który daremnie usiłuje stawiać równe kroki – im bardziej Crivano stara się go nie rozważać, tym bardziej obsesyjnie powraca do niego myślą. Jeżeli to wszystko prawda – choć to przecież niemożliwe – co z tego wynika dla niego, Crivana? Załóżmy, że długie

sznurki, za które pociągają jego mocodawcy, nie kończą się w Konstantynopolu, lecz poprzez dłonie *haseki sultan* sięgają aż dotąd, w te ciemne ulice, po których teraz stąpa – czy zmienia to jakoś charakter jego misji? W którym miejscu swojego misternego planu nieznany autor umieściłby Perinę? I w jakim celu? Jak to w ogóle możliwe?

Jakkolwiek Crivano stara się rozwikłać tę łamigłówkę, jej elementy uparcie nie chcą się ułożyć w żaden kształt, pozostają bezładną zbieraniną. Tym, co najbardziej zaprzęta go w owych rozważaniach o *haseki sultan* – domysłach na temat kobiety, która, na ile Crivano potrafi to ocenić, chorobliwie pożąda płaskich zwierciadeł i pragnie, aby wytwarzali je jej poddani – są obecne w nich echa jego własnej historii. Dziecię Republiki na wodach opanowanych przez piratów, uprowadzone i wbrew swojej woli poddane przeobrażeniu. Kto odgadnie, co dzieje się w sercu chrześcijańskiego dziecka, gdy bije ono pokłony w kierunku Mekki? A gdy po latach słyszy ojczysty język i widzi twarz rodaka, jakie myśli rodzą się w jego głowie? Które z nich można odrzucić? Których uniknąć?

Jak to w ogóle możliwe? Głupie pytanie. Istnienie dziewczyny tylko dlatego wydaje się nieprawdopodobne, że nigdy nie brał tego pod uwagę. Tak długo obywatel się bez wieści o domu i rodzinie, tak długo nie poświęcał im żadnej myśli. Nie miał innego wyjścia; od tego, od tej pozornej obojętności, zależała cała jego przyszła wolność. Kiedy potrzebował podpowiedzi i drogowskazów, nie szukał ich w otaczającym go świecie, tylko w na wpół zapomnianych mitach i legendach z dzieciństwa, które dopasowywał do bieżących potrzeb. I zawsze je znajdował. Czy jego obojętność była jedynie grą pozorów? Jeżeli tak, co takiego skrywała? To już lepsze pytania, lecz umykają jego uwadze równie szybko, jak rtęć umyka ze szklanej płytki, a Crivano nie ma serca za nimi gonić.

Na campo słychać wrzaski: grupa tęgich szlachciców przebranych za dzikusów z Nowego Świata – z drewnianymi pałkami, w futrzanych przepaskach na biodrach, z gałązkami i suchymi liśćmi we włosach – goni za chłopakami z gminu, wykrzykując sprośne propozycje. „Pokaż nam swojego nieopierzonego kutasa, ty mały diable!” Chłopcy zanoszą się śmiechem, biegnąc w kierunku Crivana; przystojny wyrostek na ich przedzie kopie od niechcienia skórzaną piłkę. Jego twarz oświetla padające przez okno pobliskiego kasyna światło pochodni i na ułamek sekundy chłopak staje się Skowronkiem, który, zmęczony kopaniem piłki, przystaje, żeby złapać oddech, ściąga dojrzałe nieszpułki ze straganu w dzielnicy Rialto, tańczy galiardę na pokładzie „Czarno-Złotego Orła”.

A potem chłopak ów gwałtownie zwalnia, czubkiem stopy zatrzymuje toczącą się piłkę, wykonuje kilka podskoków na boki, kiwa na swoich towarzyszy i nagle przestaje być Skowronkiem. Przestaje być też młodzieńcem i okazuje się ostrzyżoną do skóry dziewczką widzianą poprzedniego wieczoru, tą z kurzajką na stopie i zabarwionymi na ciemno rękami. Crivano zauważa, że dziewczynie

towarzyszą inne młode kobiety, również przebrane za chłopców, niewątpliwie po to, aby zaspokajać rzadkie gusta.

Kiedy ostatnia z nich przebiega obok niego, spojrzenie Crivana powraca do twarzy pierwszej dziewczyny. Dobry wieczór, dottore, odzywa się ona i tłumiąc śmiech, uchyla przed nim czapki. Wymierza piłce solidnego kopniaka i już jej nie ma.

Chwilę później opada go zgraja przebierańców w strojach dzikusów. Przepychają się i pohukują jak małpiszony; sklecone z deseczek i sznurka sandały znacznie spowalniają ich kroki. Jeden z nich – łysy i przysadzisty, z twarzą niedorozwiniętego dziecka – bez przekonania zamierza się pałą, celując w głowę Crivana; ten uchyla się, po czym wymierza napastnikowi cios w żebra swoją laską. Uderzeniu towarzyszy głuchy, tępy dźwięk, lecz mężczyzna niezrażony toczy się dalej w ślad za umykającymi ladacznicami, zbyt pijany, aby odczuwać ból. Jutro w najlepszym razie będzie miał na ciele paskudnego siniaka, ale nie zdoła sobie przypomnieć, jak go zdobył. Crivano liczy skrycie, że w nocy ten kundel straci przytomność w jakimś sottoportego i przez nikogo niezauważony zadławi się własną krwią.

Wasze światło, dottore!

W ciemności sunie ku niemu chwiejna pochodnia, rozsiewająca wokół ogniste paciorki płonącej smoły, które gasną w zetknięciu z wilgotnym brukiem. Pochodnię ściska w dłoni niespełna siedmioletni chłopiec. Po drugiej stronie campo, pod rozgwieżdżonym niebem barwy indygo, Crivano dostrzega pomarańczowe pochodnie w rękach innych wyrostków, prawdopodobnie braci pierwszego.

Szukam domu signore Morosiniego, mówi Crivano.

To niedaleko stąd, odpowiada chłopiec, po czym mruży obwiedzione sadzą oczka. Ale niełatwo go znaleźć, podkreśla. Zaprowadzę was, dottore.

Crivano wzdycha. Jest spóźniony, zmęczony i nagle ogarnia go wilczy głód. Sięga więc do sakiewki i na uniesioną dłoń małego urwisa wysypuje garść pokrytych zielonkawą patyną miedziaków.

Palazzo Morosini znajduje się na Riva del Carbon, nieco na północ od kościoła Świętego Łukasza Ewangelisty; jest nieduży lub taki się wydaje w cieniu górującego dwa budynki dalej Palazzo Grimani. Z każdego okna na każdym piętrze sączy się blask świec. Crivano przypatruje się jasnym i ciemnym sylwetkom, przemykającym przez jego podcienia, nasłuchuje dobiegającego ze środka gwaru toczonych jednocześnie rozmów i przypomina mu się wiklinowa klatka z kolorowymi ptaszkami, którymi handlował dzikooki somalijski żeglarz w delcie Nilu, gdzieś nieopodal Heliopolis.

Dwie osadzone w specjalnych uchwytach pochodnie płoną jasno po obu stronach otwartej bramy od strony lądu; Crivano mija chłopca, który oświetlał mu drogę, i wchodzi do środka. Zastanawia się, czy zważywszy na doznany wstrząs, zdoła zamienić choć kilka rozsądnych zdań ze swymi uczonymi kolegami. Gdyby nie Tristão, w ogóle by tu dzisiaj nie przyszedł; ledwo o tym pomyśli, czuje, jak za sprawą wymienianych automatycznie pozdrowień i wyrazów wdzięczności opada z niego dotychczasowe napięcie.

Od strony bramy wodnej śpieszy mu na powitanie pacholek i zaraz znika, by powrócić z majordomusem, muskularnym Prowansalczykiem o stoickim wyrazie twarzy, z krótką czarną bródką. Dobry wieczór, dottore, mówi, kłaniając się w pas. Bracia Morosini was oczekują.

Wybaczcie spóźnienie, prosi Crivano, oddając mu laskę i płaszcz. Czy bankiet już się skończył?

Majordomus szerokim gestem zaprasza go na górę. Służba właśnie sprząta ze stołu, wyjaśnia. Wkrótce rozpocznie się przemówienie.

Z pustego żołądka Crivana dobiega stłumiony koci pomruk. Rozumiem, wzdycha. Jeżeli zostały jeszcze jakoweś esculenta, byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby mi je udostępniono. Obawiam się, że nieprzewidziane okoliczności nie pozwoliły mi wcześniej spożyć posiłku...

Naturalnie, mówi majordomus, gdy wchodzi na piano nobile. Z pewnością uda się coś przygotować. Proszę mi wybaczyć, dottore, ale jak brzmi wasze nazwisko?

Crivano. Vettor Crivano.

Mężczyzna przystaje w pół kroku, chrząka, bierze głęboki wdech. Jego stentorowy głos odbija się echem od belkowanego sklepienia. Szlachetni panowie! – oznajmia. Dottore Vettor Crivano!

W wielkiej sali zebrały się niemal dwa tuziny gości, podzielonych na luźne dwu-, trzy- i czteroosobowe grupki. Kilka osób odwraca się w stronę Crivana z uprzejmym skinieniem głowy. Crivano rozpoznaje wśród nich szlachciców

i mieszczan, prawników i medyków, uczonych i zakonników; słyszy rozmowy toczone po niemiecku, francusku, angielsku, po łacinie oraz w języku dworu, jak również w ojczystym języku Republiki. W tle szmeru głosów rozlega się cichy brzęk strun, lecz nigdzie nie widać muzyków. Nigdzie też Crivano nie dostrzega dottore de Nis.

Nieopodal dwóch młodych patrycjuszy dyskutuje zawzięcie z trzecim, nieco starszym od nich mężczyzną z komiczną burzą włosów na głowie, odzianym w ostentacyjny, usztywniany hiszpański kubrak, o jakim nawet Crivano wie, że dawno wyszedł z mody. Ależ signore Mocenigo, argumentuje jeden młodzian, uskokowie dają się znacznie bardziej we znaki tureckim okrętom niż naszym. Winę za to muszą chyba ponosić habsburscy książęta, którzy dostarczają im broń i złoto?

A zatem, myśli Crivano, ten nadęty bufon to Zuanne Mocenigo, patron i gospodarz Nolanusa. Obrzuca spojrzeniem komnatę, usiłując odgadnąć, który to może być ów Nolanus. Starszy z rozmówców Moceniga przerywa w pół słowa i podchodzi do Crivana. Witajcie dottore! – rzecze, chwytając go za ramię. Muszę przyznać, że Tristão znakomicie mi waszą miłość opisał, od razu waści poznałem.

Jeżeli w czym minął się z prawdą, odpowiada Crivano, to zapewne z dobroci serca. Wasza wielmożność jesteście, jak mniemam, jednym z moich szlachejnych gospodarzy, choć dalibóg z żalem przyznaję, że nie wiem którym.

Zwę się Andrea Morosini, a ów, który rozprawia z signorem Mocenigą, to mój brat Nicolò. Pójdźmy, to waszmości przedstawię.

Darujcie, jaśnie panie, wtrąca majordomus, ale dottore jeszcze nie wieczerzał. Za waszym przyzwoleniem zabiorę go do kredensu i za chwilę zwrócę waszej łaskawości.

Naturalnie. Proszę pójść z Hugonem, dottore, już on dopilnuje, aby wasza miłość nie chodził głodny. Nasz Nolanus lada moment rozpocznie prelekcję, lecz przy odrobinie szczęścia uda mi się nieco ją opóźnić. Aha, dottore!

Andrea ujmuje odchodzącego Crivana za łokieć. Jest od niego trochę niższy. Atletycznie zbudowany, gibki jak akrobata, lecz delikatny. Nachyla się blisko i mówi:

W Konstantynopolu dokonaliście, waszmość, wielkiej rzeczy. To nie podlega kwestii. Brat mój i ja dumni jesteśmy, że możemy waszą miłość gościć w naszym domu.

Zanim Crivano zdoła odkryć, co podyktowało owe słowa pochwały, majordomus wiezie go już przez wielką salę, obok długiego stołu, teraz niemal pustego. Ciemna posadzka z terrazzo jest cętkowana, nakrapiana zielonkawymi szarościami i żółciami przywodzącymi na myśl dziób kosa. Kamień jest gładki niczym powierzchnia podziemnego stawu. Odbija się w nim niewyraźna sylwetka Crivana; sunie niby cień na wodzie, poprzedzana rojem leniwych robaczek świętojańskich – odbitych w posadzce płomyków świec mosiężnych zyrandoli.

Po prawej stronie, przez uchylone drzwi komnaty dziennej, Crivano dostrzega muzyków: krzepkiego czarnobrodego lutnistę i braciszka z zakonu serwitów, dzierżącego masywny teorban. Przerwali grę i toczą właśnie dobroduszną sprzeczkę. Nie, sprzeciwia się ten z lutnią, szarpiąc wciąż tę samą strunę. Niżej, nalega, o ton niżej.

Crivano jest już kilka kroków dalej, gdy dobiega go odpowiedź serwity. Niżej? – denerwuje się braciszek, wprawiając w drżenie basową strunę. Głuchyś jak pień! Posłuchaj ino tego brzmienia!

Głos wydaje mu się znajomy. Dlaczego? Crivano przystaje, zawraca i tuż przed wejściem do komnaty napotyka spojrzenie innego zakonnika. Mężczyzna ma na sobie tunikę i sukienny szkaplerz; Crivano nie kojarzy tego stroju z żadną znaną sobie wspólnotą. Ostre rysy twarzy śledziennika, nierówna kasztanowa broda i krucha konstytucja chorowitego chłopca. Rozprawia po łacinie z węgierskim baronem, a przygląda im się niemiecki młodzieniec o fizjonomii mola książkowego. Zakonnik spostrzega wzrok Crivana i w jego oczach pojawia się błysk; słabe szczęki zaciskają się, on sam zaś odpowiada gniewnym łypnięciem.

Głód wprawił Crivana w podły nastrój; już ma wyprężyć pierś i wezwać tamtego do wyjścia na dziedziniec, gdy majordomus bierze go za łokieć. Dottore, odzywa się. Tędy. Zanim najęte do pomocy dziewczki kuchenne wyniosą wszystko, co się nadaje do jedzenia.

Crivano pozwala się prowadzić. Po kilku krokach spływa na niego olśnienie: ów zmizerniały i drażliwy zakonnik – myśli – ów pompatyczny osioł to z całą pewnością Nolanus!

Najemna służba przeniosła już wszystkie półmiski do kredensu w pobliskim korytarzu. Majordomus klaśnięciem w dłonie odsyła dziewczęta i rzuca kilka ostrych słów w języku friulijskim. Zaraz dla waszmości nakryje, mówi.

Nie trzeba, powstrzymuje go Crivano, wyjmując nóż z pochwy zawieszanej u paska. Zostawcie mnie. Nie zabawię tu długo.

Natychmiast też zabiera się za tylną ćwierćtuszę zająca, po czym przechodzi do barweny w glazurze z czarnego pieprzu, której mięso rozwarstwia się na soczyste płatki. Dziwnym trafem potrawy te wzmagają jedynie jego głód, poczynając więc sobie coraz śmieiej: solidny kawał pasztetu z gołębi, sałatka z rukoli i portulaki, miska makaronu z cynamonem i tartym serem, napoczęty donżon cukrowego zamku, pieczone pawie udko. Po drugiej stronie pomieszczenia koścista Mauretanka, która została, aby pozbierać kości do jednego naczynia, śledzi nerwowo jego posunięcia. Po chwili wyciera zatłuszczone ręce w fartuch i wychodzi na palcach, pozostawiając Crivana samego.

Ten dalej sobie folguje. Skóra napina mu się na brzuchu, więc ogranicza się do kęsa z każdego dania; wędruje od półmiska do półmiska, wzdłuż zastawionego stołu, w poszukiwaniu smaku, który zapełni dręczącą pustkę w jego trzewiach.

Orzechy włoskie. Gotowana kałamarnica. Miękki ser żółty. Duszona pigwa. Purpurowa róża kandyzowana. Galareta rybna. Jakies ziele o białych łydźkach, którego nie potrafi rozpoznać. Wspomina oblężenie Tunisu, gdy w starej medynie przetrząsali dom za domem, szukając zbiegłych Hiszpanów. Otepiająca, rozpaczliwa, idiotyczna czynność. Co takiego w nim tkwi, co tak bardzo pragnie być nakarmione?

Przypuszcza właśnie atak na wędzoną mediolańską kielbasę, gdy do kredensu wpada Tristão. Na jego urodziwej twarzy maluje się wyraz nieufnej determinacji, jakby spodziewał się zastać w środku gromadę zamaskowanych skrytobójców. To dość charakterystyczne, że wygląda na kogoś uwikłanego w wielką i tajemniczą przygodę. Vettorze! – wybucha. Tutaj jesteś! Więc jednak przyszedłeś.

Nóż tnie pokrytą meszkiem pleśnią skórę kielbasy; gdy Crivano się odzywa, ma wciąż pełne usta. Istotnie, przyznaje. Gdzieżeś się ukrywał, do licha? Nie znam żadnego z tych Uranitów. Jak sobie wyobrażasz...

Chodźmy, ponagla go Tristão. Ino prędko. Nolanus zaraz zacznie przemawiać.

Za chwilę, jeśli łaska. Nie skończyłem jeszcze jeść.

No chodźże! – Tristão jedną ręką chwyta Crivana za rękaw, drugą wskazuje drzwi. Chodźże już, chodźże!

Crivano zawija w kromkę chleba cienkie plasterki kielbasy i podąża za Tristão na korytarz. Nie skręcają jednak w stronę wielkiej komnaty, tylko w głąb pałacu. Nie zwalniając kroku, Tristão wyciąga zza poły kubraka złożony arkusz, rozkłada go i podaje Crivanowi. Masz, mówi. Zobacz.

Z boku żółtej stronicy widnieje naszkicowany podłużny kształt, węższy z jednego końca. Wygląda to jak zdeformowana gruszka albo figa na długiej szypułce. Crivano wpatruje się w rysunek, obraca go w rękach, ale z niczym mu się on nie kojarzy.

To się musi udać, mówi Tristão. Nie sądzisz?

Crivano spogląda nań skonsternowany. Tristão odwzajemnia spojrzenie. Można pomyśleć, że nawiązuje do jakiejś rozmowy, której Crivano sobie nie przypomina. Co mianowicie musi się udać?

Tristão uderza w papier długim palcem. To, mówi.

A cóż to ma być? Macica?

Tristão zatrzymuje się, obrzuca go lodowatym wzrokiem i wrywa mu rysunek. Następnie przykłada go do ściany, z fałd szaty wydobywa ołówek, liże jego czubek i zaczyna mazać, zaciemniając liniami przestrzeń po obu stronach szerszego końca gruszki, jakby zaznaczał warstwę endometrium. Twój człowiek na Murano, odzywa się. Ten, co ma hutę szkła. Zrobi dla mnie coś takiego. Z tym, no jakże... nie pomnę, jak to się nazywa.

Ze srebrzeniem, podsuwa Crivano. Chcesz, żeby ci zrobił alembik?

Właśnie! Alembik. A cóż by innego?

Alembik z lustrzanego szkła. Srebrzony od środka.

Nie, zaprzecza Tristão. Nie od środka. Od zewnątrz. Alembik z czystego szkła. Żebym mógł schwytać weń światło. Rozumiesz? Nie sądzisz, że to się uda?

Nigdy dotąd Tristão nie rozmawiał tak otwarcie z Crivanem o swoich doświadczeniach alchemicznych. Gdyby podsłuchała ich niepowołana osoba – Mocenigo albo jakiś pobożny sługa – mogliby się narazić na gniew inkwizycji. Tristão byłby torturowany albo wygnany. Crivano z niedowierzaniem otwiera usta, lecz na twarzy Portugalczyka nie widać oznak zdenerwowania: jest zniecierpliwiony, lecz poza tym spokojny.

Ja... sam nie wiem, odpowiada Crivano. Od miesięcy nie miałem dostępu do laboratorium. Nigdy też nie rozważałem takiej możliwości...

Zerka nad ramieniem Tristão na rysunek, który tamten wciąż trzyma przyłożony do ściany i przygląda się, zmrużywszy oczy. Czy światło jest wytwarzane w trakcie dokonywania się Wielkiego Dzieła? – pyta. Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

Nie wiem, czy jest wytwarzane, odpowiada poirytowany Tristão. Przypuszczam, że nikt tego nie wie. Pisma nie wypowiadają się jednoznacznie na ten temat. Choćby z tego powodu należy przyjąć takie założenie. Czy wiedzielibyśmy o istnieniu gwiazd, gdyby słońce nigdy nie zachodziło, Vettorze? Nie. Nie wiedzielibyśmy.

Crivano nie wie, co odrzec. Spogląda to na Tristão, to na rysunek, wreszcie w dół, na ścisną w dłoni kromkę chleba z kiełbasą. Podnosi ją do ust i zmieszany nadgryza niewielki kęs.

Nozdrza Tristão rozszerzają się; chowa ołówek wraz z rysunkiem z powrotem za poję kubraka. Gdy znów się odzywa, robi to ścisłym głosem, w którym pobrzmiwa ostry ton udęzonego nauczyciela. W jaki sposób oceniamy stopień doskonałości substancji w procesie Wielkiego Dzieła? – rzuca.

Crivano wzrusza ramionami, żuje, przelyka. Po zmianie barwy, rzecz jasna.

Zaiste. Mówimy o zaczernieniu, wybieleniu, pawim ogniu, wreszcie o ostatecznej czerwonej przemianie, w wyniku której otrzymujemy pożądany eliksir. Uczni autorzy rzadko się ze sobą zgadzają, jednak w tej kwestii są wyjątkowo zgodni: barwy mają znaczenie. Być może większe, niż nam się zdaje.

Nie rozumiem, do czego zdążasz, mój uczonego przyjacielu.

Kto wie, mówi Tristão, czy barwy to nie jeno cechy materii, lecz produkty jej przemiany? Może ich przeznaczeniem, zamiast cieszyć oko alchemika, jest trafić do zamkniętego naczynia, gdzie nietknięte ludzkim wzrokiem staną się kluczem do powodzenia całego procesu? A co więzi barwy równie dobrze jak glina, drewno, metal albo szkło więżą rozmaite płyny?

Zwierciadło.

Tylko ono i nic poza nim! Uczeń zajmujący się zjawiskami optyki i perspektywy opisują je jako narzędzie wspomagające możliwości ludzkiego postrzegania, ale to nieprawda. Co najwyżej dzieje się tak przez przypadek. Zwierciadło to niewidzialny przedmiot. Narzędzie służące do niewidzenia. Osobiście uważam, że kryje się w nim sekret uzyskania przemiany, na której nam obu tak bardzo zależy.

Crivano marszczy czoło, dotyka kciukiem warg. Interesujące, stwierdza. To bez wątpienia świeże spojrzenie na tę sprawę. Muszę jednak przyznać, drogi Tristão, że nigdzie w pismach poświęconych alchemii nie znalazłem potwierdzenia twojej teorii.

Tristão unosi lekko brwi. Czyżby? – pyta. Pozwól zatem, że odeślę cię do fundamentalnego tekstu wszystkich alchemików, dzieła samego Hermesa Po Trzykroć Wielkiego, zatytułowanego *Tabula Smaragdina*.

Crivano tłumy śmiech. Do *Tablicy Szmaragdowej*? – powtarza głośniej, niż zamierzał. Rozgląda się po korytarzu, przysuwa do Tristão i szepcze: Chyba żartujesz. W jakim fragmencie jest tam mowa o zwierciadle?

W samym tytule, Vettorze. W słowie „szmaragd”. Starożytni Grecy, za nimi zaś Rzymianie, określali tym mianem każdy oszlifowany kamień zielonej barwy. Szmaragdy, jaspisy, niektóre granity. U Pliniusza Starszego czytamy o cesarzu Neronie, który, jako że wzrok mu szwankował, przez oszlifowany szmaragd oglądał wyczyny gladiatorów. Nasi historycy widzą w owym szmaragdzie soczewkę, lecz według mnie było to zaokrąglone jaspisowe lustro. Co więcej, uważam za całkiem prawdopodobne, że oryginalny tekst *Tablicy Szmaragdowej* wyryty został na podobnym zwierciadle, które zaginęło gdzieś niewątpliwie w zamęcie dziejów. Bądź co bądź, jest w nim mowa o zasadzie lustrzanego odbicia – „jako w górze, tak i na dole” – a do tego wszak sprowadza się funkcja zwierciadła.

Im dłużej Tristão przemawia, tym bardziej jego entuzjazm gaśnie; rzecz nie w tym, że opadły go nagle wątpliwości, raczej w tym, że przytaczane argumenty są dlań tak oczywiste, że zaczynają go nużyć. Crivano słucha ze zdumieniem. Każdy wykształcony człowiek – od Suezu po Sztokholm, od Lizbony po Lahore – przynajmniej raz w życiu słyszał o *Tablicy Szmaragdowej*, choćby jako o godnym potępienia bezbożnym wynalazku, którego należy się wystrzegać. Każdy uczoney zgłębiający wiedzę tajemną zna na pamięć trzynaście tajemniczych zdań na niej zapisanych. Lecz przez całe lata nauki – w tym i poprzednim życiu, frankońskim i osmańskim – Crivano nigdy nie natknął się na tezy głoszone obecnie z taką beztroską przez Tristão ani choćby na twierdzenia im pokrewne. Po raz pierwszy przychodzi mu do głowy, że jego urodziwy przyjaciel jest nie tyle ekscentryczny czy nieostrożny, ile zwyczajnie szalony. Zastanawia się, czy Narkis

też to wie i dlaczego w ogóle polecił mu nawiązać znajomość z Tristão.

Tristão zdaje się pogrążony w myślach; Crivano chrząka z cicha, aby zwrócić na siebie jego uwagę. A więc, mówi, to jest owa rzecz, którą chciałeś mi pokazać?

Nie, rzecze Tristão. Chciałem ci pokazać to.

Robi krok naprzód i otwiera drzwi prowadzące do innej pakamery, tym razem pełnej zakurzonych skrzyń oraz beczek. Na stole stojącym pośrodku pali się lampa; jej światło pada na szkatułę z drzewa bukowego z solidnym zamkiem. Tristão zdejmuje z szyi zawieszony na rzemieniu kluczyk, otwiera ją i unosi wieko.

Wewnątrz błyszczą monety: srebrne dukaty i złote cekiny. Sądząc po wymiarach szkatuły, jest ich tam dobrze ponad tysiąc. Tristão zamyka wieko, przekręca kluczyk w zamku i podaje go Crivanowi. To dla twojego hutnika, mówi. Przekaż mu to, proszę, i dostarcz mi lustro.

Crivano odkłada na stół niedojedzony chleb z kielbasą, bierze kluczyk i wiesza go sobie na szyi. Następnie łapie uchwyty szkatuły i próbuje ją unieść, lecz ta ani drgnie.

Dziś wieczorem, mówi Tristão, kiedy będziesz stąd wychodził, pomoże ci Hugo i któryś z pacholków. O moim przedsięwzięciu nie wiedzą niczego, co miałyby jakkolwiek wagę, można zatem polegać na ich milczeniu. Bardzo jestem ci wdzięczny za tę przysługę, Vettorze.

Schyła się i dmuchnięciem gasi lampę.

Crivano głośno przełyka resztki posiłku, gdy śpieszą z powrotem korytarzem. Znów słychać dźwięki lutni i teorbenu; w wielkiej sali służba gasi świece, Uranici zaś gromadzą się w komnacie dziennej. Prędko, ponagla go Tristão. Jest tu dzisiaj ktoś, komu uroczyście obiecałem cię przedstawić.

Większość zebranych otoczyła dwóch muzyków; oklaskami i okrzykami zachęty reagują, gdy tamci przystępują do niezwykle zawilej fantazji, z każdą chwilą coraz mniej prawdopodobnej pod względem harmonicznym. Lutnista gra tak, jakby miał dodatkowe palce. Crivano widzi wydłużoną szyjkę teorbenu, która kołysze się w rytm melodii, lecz sami muzycy nikną w tłumie.

Tristão zmierza na drugi koniec komnaty, gdzie rząd tchnących nocnym powietrzem okien wychodzi na wody Canale Grande. Stoi tam dwóch mężczyzn pogrążonych w rozmowie; Crivano stwierdza z niezadowoleniem, że jednym z nich jest signore Mocenigo. Gdy podchodzą bliżej, z półmroku wyłania się głupawe oblicze tego ostatniego. Mocenigo jest czymś wyraźnie urażony, jego twarz przybrała konspiracyjny wyraz. Do Crivana dolatują jego słowa. „Chcesz, waść, rzec, że w całym Frankfurcie nie napotkaliście nikogo, kto z powodzeniem stosowałby głoszoną przez Nolanusa tak zwaną sztukę zapamiętywania?”

Jego rozmówca, wysoki, dobrze zbudowany sieneńczyk, robi wrażenie niewzruszonego napastliwością Mocenigi, za to z uśmiechem przyjmuje nadejście

Tristão i Crivana. Dottore de Nis! – odzywa się. Jak zawsze w waszej obecności wszyscy zdają się w mig brzydnąć.

Mocenigo parska z irytacją i oddala się sztywnym krokiem. Messer Ciotti, mówi Tristão, pozwólcie przedstawić sobie dottore Vettora Crivana, który niedawno przybył do nas z Bolonii. Dottore Crivano, to jest messer Giovanni Battista Ciotti, znany wam już być może jako właściciel Minervy, najlepszej księgarni w tym mieście.

Ciotti oraz Crivano wymieniają dworne ukłony. Crivano istotnie zna księgarnię Ciottiego: słyszał o niej, zanim jeszcze opuścił Bolonię, i postarał się ją odwiedzić wkrótce po swoim przyjeździe tutaj. Jest znakomita i oferuje liczne pozycje poświęcone wiedzy tajemnej, z którymi Crivano nie ośmieliłby się otwarcie pokazać na ulicy. To dla mnie wielka przyjemność i zaszczyt poznać waszą miłość, mówi.

Uprzejmą odpowiedź Ciottiego zagłusza burza oklasków. Lutnista dwukrotnie zwiększył tempo gry w stosunku do basowych pomruków teorbanu, a spod śmigających po gryfie palców sypią się dźwięki, których ucho Crivana nie jest w stanie odróżnić. Kończy z rozmachem, śmiałym akordem i w komnacie rozlega się gorący aplauz. Gdy cichnie, słychać stłumione „Brawo!” z przepływającej kanałem łodzi i wszyscy wybuchają śmiechem.

Goście schylają się, aby pogratulować grającym, tłum rozstępuje się i Crivano dostrzega zmieszanego lutnistę, który wbija wzrok w stwardniałe czubki swoich palców. Niewiarygodne, mówi. Kim jest ów człek?

Nie widziałem go wcześniej, odpowiada Tristão. Zręczny z niego muzyk.

To uczony z Pizy, wtrąca Ciotti. Przypuszczam, że gry wyuczył się od swego sławnego ojca, który niestety niedawno zmarł. Ten był dopiero zawołanym lutnistą, waszmościowie.

Nolanus stoi przy kominku. Rozmawia z innym uczonym z Padwy, który ma go przedstawić zebrany. Obok nich kręci się ów młodzian z Niemiec. Messer Ciotti, odzywa się Tristão, podczas naszego ostatniego spotkania wspomniałeś chyba, że poszukujesz kogoś, kto zna i potrafi odczytać arabskie pismo. Kogoś, kto potrafi zachować dyskrecję. Czy nadal doskwiera wam brak takiej osoby?

Ciotti milczy przez chwilę, zaskoczony. Istotnie, rzecz w końcu. Wszedłem w posiadanie pewnego arabskiego dokumentu, manuskryptu traktującego o wiedzy ezoterycznej, który ostatnio kazałem przetłumaczyć. Zanim wszakże tłumacz otrzyma należną mu zapłatę, chciałbym porównać łaciński przekład z oryginałem.

Ten oto człowiek, rzecz Tristão, kładąc dłoń na ramieniu Crivana, biegle porozumiewa się i pisze po arabsku. Zna także mowę Greków, Persów oraz Turków Osmańskich, którzy przez wiele lat więzili go i wykorzystywali jako tłumacza, polegając na jego umiejętnościach oraz doświadczeniu. Sądzę, że dottore Crivano – o ile oczywiście zechce – mógłby wam służyć w tej sprawie cenną

pomocą.

Crivano i Ciotti spoglądają na siebie. A potem obaj naraz zaczynają mówić, milkną i uśmiechają się zażenowani. Zaszczycem będzie dopomóc waszmości, deklaruje Crivano. Czy mogę spytać, jak długi jest ów manuskrypt?

Niezbyt długi. Zaledwie dziesięć tysięcy łacińskich słów.

Crivano kiwa głową, nagle nieufny i czujny, jakby zwęszył pułapkę. Może mi to zająć kilka godzin, mówi. Nie przypuszczam, abyś mi, waszmość, pozwolił wynieść ze sklepu oryginał i tłumaczenie?

Ciotti się uśmiecha. Pozwoliłbym chętnie, rzecz, gdyby manuskrypt ów do mnie należał. Ale nie ja jestem jego właścicielem.

Mówiąc to, odwraca się do Tristão. Dottore de Nis, kiedy gawędziliśmy po raz ostatni, sugerowałeś, że zadanie to mogłoby najrychlej wykonać dwóch współpracujących ze sobą tłumaczy. Czy któryś z waćpanów zna jeszcze innego uczzonego, władającego biegle językiem arabskim?

Crivano zerka na Ciottiego, potem na Tristão, który przygląda im się bacznie niczym dziecko obserwujące schwyte do słoja skorpiony. Tak się składa, mówi Tristão, że znam takiego człowieka.

Zacni panowie! – od strony paleniska rozlega się piskliwy głos, przemawiający bezbłędnie po łacinie. Członkowie Accademia degli Uranici! Wielce szanowni goście! W imieniu naszych gospodarzy, szlachetnych Andreasa i Nicolausa Morosinich, pragnę wam podziękować za przybycie. Nazywam się Fabius Paolini i przypadł mi dzisiaj w udziale zaszczyt powitania na naszym zgromadzeniu Filoteusa Iordanusa Brunusa Nolanusa. Nie pierwszy to raz doktor Brunus będzie do nas przemawiał. Wypełnił tę komnatę już podczas swojej poprzedniej wizyty i ci, którzy go wówczas słuchali, z pewnością pamiętają równie dobrze jak ja ożywną debatę, jaka się potem wywiązała. Pozwolę więc sobie uznać, że mówca nasz znany jest większości z tu obecnych – czy to ze swoich słynnych publikacji na temat filozofii, kosmologii, pamięci i magii, czy to z mojego poprzedniego, rozbudowanego wprowadzenia – i nie będę go już ponownie przedstawiał. Dzisiejszego wieczoru doktor Brunus przybliży nam, jak mniemam, sztukę zapamiętywania, rzecz niezwykle interesującą dla wielu tu zgromadzonych. A zatem, doktorze, z pokorą oddaję wam głos.

Nolanus przesuwa się na miejsce zwolnione przez Paoliniego i powoli zatacza nieduży krąg, jakby badał wytrzymałość posadzki. Chód ma bardziej koci niż ludzki. Przypomina małe, drapieżne zwierzątko; porusza się na ugiętych kolanach i przednich częściach stóp, a jego niewielkie, głęboko osadzone oczka z nieskrywaną pogardą omiatają komnatę. Crivano przypomina sobie derwisza, który w Tyflisie zaatakował z pochodnią w ręku ich składnicę prochu; janczarscy łucznicy tak go naszpikowali strzałami, że gdy wreszcie umarł, ich drzewca utrzymywały jego ciało nad ziemią. Twarz derwisza podczas natarcia miała

identyczny wyraz jak ten malujący się teraz na obliczu Nolanusa. Dla takich ludzi, myśli Crivano, świat to za mało.

Kiedy zakonnik w końcu przemawia, głos ma szorstki i przenikliwy, jakby schrypnięty od częstego pokrzykiwania. Bardzo wam dziękuję, doktorze Paolini, mówi. Nie będę mówił dziś wszakże o pamięci, gdyż już raz to robiłem w tej samej komnacie, szkoda więc mojej fatygi. Nieprzekonanych i tak nie przekonam bez względu na przytaczane argumenty. Zamiast więc rozprawiać o sztuce zapamiętywania, sam ją waszmościom zademonstruję. Być może takie doświadczenie zamknie usta niedowiarkom, którzy mają ową sztukę za błagę, stratę czasu, za zwykły wymysł. Zacni panowie, wzywam was zatem, abyście mi podsunęli jakiś temat. Wszyscyśmy tutaj w pismach uczeni, czyż nie? Wybierzcie dowolną dziedzinę, ja zaś bez przygotowania podejmuję się o niej mówić.

W komnacie zapada pełna zaskoczenia cisza. Nolanus rozgląda się po zebranych z chłodną drwiną. Cisza przeradza się w stłumione pomruki; rozlega się kilka parsknięć, nerwowe szuranie nogami. Paolini chrząka.

Dalejże, śmiało, panowie! – przynagla słuchaczy Nolanus. Skąd ta zwłoka? Wybierajcie! Bądźcie odważni! Jesteście wszak uczonymi, prawda? Każdy z was ma swoją ulubioną, bliską sercu dziedzinę. Słucham więc! Możliwe, że nie dorównam wam erudycją nabytą podczas długich godzin ślęczenia nad światłymi księgami, zważcie jednak, że rozprawiać będę, nie uciekając się do żadnych pism poza tymi, które mają mieszkanie w mojej głowie. Doktorze Paolini, z wielką znajomością tematu pisaliście, jeśli się nie mylę, o okultystycznych wątkach u Wergiliusza. Mamże o tym rozprawiać? A może o matematyce? Jestże wśród nas jaki geometra, który zaprezentowałby nam przenikliwość swojego umysłu?

Nolanus patrzy znacząco na lutnistę i w odpowiedzi otrzymuje melancholijny uśmiech. Słysząc coraz głośniejsze szydercze uwagi; pełne zażenowania napięcie robi się niemal namacalne. Niemiecki młodzian krzyżuje na piersi blade ramiona i robi krok w stronę zakonnika, jakby chciał go obronić. Crivano i Ciotti wymieniają rozbawione spojrzenia.

Niczym niezrażony Nolanus nie rezygnuje. Z wielką łatwością mogłem się zawczasu przygotować, aby stawić czoła wybranym przez waszmościów tematom. Pragnę jedynie sprostać wyzwaniu, przez nie bowiem najjaśniej objawia się prawda. Niechże więc ktoś wymieni dziedzinę inną niż te, które przywołałem! Jeżeli Nolanus ma polec, to przez zaskoczenie!

Zwierciadło, rzuca nagle Tristão. Mówcie o zwierciadle.

W jego łagodnym i zazwyczaj nijakim głosie pobrzmiwa niespodziewanie ostry ton, który ucisza zebranych. Nolanus jest skonfundowany: mruży oczy, jego spojrzenie skacze od twarzy do twarzy. Który z waćpanów przemówił? – dopytuje się. Kto to powiedział?

Tristão milczy. Oblicze ma puste, obojętne; zachowuje się jak szuler, który

dokonał zakładu i teraz czeka, jak się potoczą kości. Oczy słuchaczy odrywają się od Nolanusa i zwracają ku niemu.

Po dłuższej chwili w imieniu Tristão odzywa się Ciotti. Mój przyjaciel dottore de Nis, mówi, poprosił was, abyście się zajęli tematem zwierciadła.

Nolanus się krzywi. Zwierciadła, powtarza. Muszę przyznać, że jestem tym żądaniem nieco zakłopotany. Nie pojmuję bowiem, dlaczego przyjaciel waszmości kieruje taką prośbą do mnie, uczonego, zamiast poprosić o wyjaśnienia niepiśmiennego rzemieślnika. Sądziłem, iż na tym forum zajmujemy się wyższymi sprawami.

Z przeciwległego końca komnaty słychać znajomy głos drugiego z muzyków, braciszka serwity, Crivano zaś przypomina sobie, gdzie go już słyszał: to głos alchemika szarlatana z wczorajszego przedstawienia, które oglądał na Campo San Luca na krótko przed pojawieniem się Doktora Czarnej Śmierci. Tyle że to niemożliwe. Zakonnicy, zakładający maski, aby odgrywać prześmiewcze sztuki na ulicach?

Darujcie śmiałość, mówi serwita. Jeżeli doktor Brunus odrzuca zwierciadło – jego konstrukcję i funkcję – jako temat pozbawiony głębi naukowej, nadający się wyłącznie, aby go roztrząsać w obrębie cechów rzemieślniczych, to zapewne znajdzie się wielu, którzy mu przyklasną. Ja sam nie mogę się wszakże zaliczyć do tego grona. Filozofowie tęsknią do świata, w którym technika twórcy wynikałaby zawsze z zastosowania rozumu, jednak o wiele częściej zdarza się, że jakaś metoda po prostu staje się faktem, a wówczas to my, myśliciele, musimy za nią podążyć, aby wydobyć sens z przypadku i pomysłowości. Płaskie zwierciadła wytwarzane w ostatnim czasie przez rzemieślników z Murano mogą stanowić tego przykład. Kto z nas tu obecnych nie spoglądał w takie lustro, nie odczuwając w równej mierze podziwu i niepokoju?

Teraz odzywa się Paolini, mówi szybko, z zapalem. W *Fajdroście* Platona, jak doktor Brunus zapewne doskonale wie, znajduje się taka oto wypowiedź króla Tamuzza do boga Thota: „Jeden potrafi płodzić to, co do sztuki należy, a drugi potrafi ocenić, na co się to może przydać”¹¹. Tak też rzecz może się mieć ze zwierciadłem, co zasugerował przed chwilą brat Sarpi. Tamuz nawiązuje naturalnie do wynalezienia pisma przez Thota – a zatem do dziedziny wam bliskiej, doktorze Brunusie, Tamuz bowiem twierdzi, że wynalazek ów nie przysłuży się wcale ćwiczeniu pamięci Egipcjan, przeciwnie, doprowadzi do zaniku pamięci. Pismo nie służy zapamiętywaniu, lecz przypominaniu; nie jest źródłem mądrości, a jedynie jej pozorów. W swoim poprzednim wykładzie przedstawiliście nam wyższość pisma rysunkowego Egipcjan nad alfabetami Greków, Rzymian i Żydów, tłumacząc, że oddaje ono czysty sens zamiast dźwięków. Przybliżyliście nam swój system zapamiętywania słów w oparciu o figury i wzory, dzięki którym zdyscyplinowany mag jest w stanie wyobrazić sobie cały wszechświat, zyskując tym samym władzę

nad spajającymi go więziami. Teraz zaś dottore de Nis przytoczył przykład prostego wynalazku, który w sposób precyzyjny, choć zarazem ulotny, przechwytuje wizerunki umieszczonych przed sobą przedmiotów. Czy powinniśmy się obawiać tego, że wynalazek ów jest tak wszechobecny w naszych domostwach? Czy jego obecność nie osłabi potencjału naszej wyobraźni, od której zależy tworzenie różnorodnych obrazów? Przyznacie, doktorze, że dla filozofa nie są to błahe kwestie.

Wśród zebranych przetacza się pomruk poparcia. Rośnie w siłę. „Dopóki Akademia dopuszcza do wystąpień takich szalbierzy – słyszy gdzieś z boku Crivano – dopóty nie zasługujemy, aby nas poważnie traktowano. Jak to możliwe, że aż dwukrotnie zaproszono tu tego nadętego błazna? Przypuszczam, że to wina tego dumia Mocenigi”.

Nolanus pąsowieje, spuszcza oczy, zaciska powieki. Po chwili odwraca dłonie wnętrzem do góry, wznosi wzrok ku niebu i z wolna wspina się na palce, jakby ćwiczył wniebowzięcie mające go ocalić przed prymitywnym nieuctwem ziemskich dręczycieli. Na jego twarz spływa spokój; zakonnik opuszcza pięty na podłogę i posyła zebrany smutny, męczeński uśmiech.

Przez krótką chwilę na jego kościste ciało pada różowy blask flar wystrzelonych z pokładu przepływającego okrętu, lecz nikt zdaje się nie zauważać tych małych, oszukańczych komet, kreślących ogniste łuki na nocnym niebie, by z sykiem zgasnąć w zetknięciu z wodą kanału.

Bardzo proszę, przyjaciele! – woła Nolanus. Zgodnie z obietnicą przyjmuję wasze wyzwanie. Pomówmy o zwierciadle.

SVBLIMATIO

16 marca 2003

„Mówię o amerykańskich pustyniach i miastach, które nie są miastami, ale pustyniami także nie... Brakuje w nich oaz, lecz zabytków również, są autostrady, ale minerały też; niczym nieograniczony *travelling* przez niezróżnicowaną przestrzeń... Wszędzie: w Los Angeles i Twentynine Palms, w Las Vegas i Borrego Springs... ”

JEAN BAUDRILLARD, *Ameryka*, przełożyła Renata Lis

We śnie Curtis ma zabandażowaną głowę, oczy zasłonięte kłębkami białej gazy, mimo to wszystko widzi.

Oddala się od swojego przewróconego humvee, który leży pogięty na brukowanej ulicy i syczy – chociaż w istocie wypadek zdarzył się na drodze gruntowej na południe od Gnjilane, w kompletnie innym miejscu. Włoscy marines z batalionu San Marco kucają w cieniu rosnących rzędem palm i przyglądają mu się z ponurym współczuciem. Curtis podnosi dłoń w geście powitania i nagle orientuje się, gdzie jest: w chorwackim Splicie w ramach ćwiczeń NATO w 1998 roku, trzy lata przed wypadkiem.

Przed nim rozpościera się błękitna zatoka. Na tle nieba przelatują ciężkie śmigłowce transportowe, lekki wietrzyk niesie warkot wirników. Na północy widać zielone pasmo gór. Ponad połacie dachówek wybijają się dwie dzwonnice. Na wprost wznosi się Brama Żelazna Pałacu Dioklecjana w otoczeniu niskich łuków. Kamienne płyty są śliskie pod stopami obutymi w miękkie kapcie, wytarte przez stulecia stąpania.

Jest tam ktoś jeszcze, kogo nie może zobaczyć. Ta osoba prowadzi go z lewej strony. Z początku to Danielle; zaraz jednak Curtis przypomina sobie, że jeszcze jej nie poznał, od pobytu w szpitalu w Bethesda wciąż dzieli go wiele miesięcy i kilometrów. Ta myśl wprawia go w podniecenie: porusza się o własnych siłach, bezpieczny i pozbawiony lęku sunie przez szeroki, zmieniający się świat. Prowadząca go osoba mówi coś cicho, ledwo słyszalnie. Curtis nic z tego nie rozumie. Głos wskazuje drogę niby srebrna nić w labiryncie.

W szybkim tempie pokonują kręte uliczki, mijają bizantyńskie łuki gotyckiej loggii, przechodzą obok białej dzwonnicy i przez starożytny dziedziniec wewnętrzny. Bliźniacze kamienne lwy. Granitowy sfinks. Przejścia się zwężają. Mury niczym ścianki żołądka pokrywa połyskująca warstewka śluzu. Wszędzie czuć intensywny zapach morza.

Szczyt drugiej wieży – ceglanej, kwadratowej, zwieńczonej ostrym stożkiem; pojawia się i znika w przestrzeniach między dachami. Im bliżej podchodzą, tym wyższa i masywniejsza się wydaje. Czubek stożka zielenieje. Pokonują nefrytowe kanały, brną przez zalane wodą korytarze i wychodzą na otoczony kolumnadą plac rojący się od białych gołębi. Spłoszone zrywają się do lotu, niczym spieniona fala marszczą szare niebo. Ich cienie padają na potężną dzwonnice. To miejsce także jest Curtisowi znane.

Jest teraz sam, przemieszcza się między dzwonnice a połączanymi kopułami bazyliki, skręca za róg wielkiego gmachu i ma przed sobą wzburzone morze. Na wprost, na nabrzeżu, widzi garstkę obszarpanych graczy, którzy zgromadzili się

między dwiema marmurowymi kolumnami i grają w kości pod cuchnącymi ciałami wisielców. Podeszedłszy bliżej, w przykucniętym nad toczącymi się kośćmi człowieku Curtis rozpoznaje Stanleya. Stanley podnosi głowę i uśmiecha się, a Curtis uświadamia sobie, że jego przyjaciel jest martwy: ma obwisłą skórę i puste czarne oczodoły. Uschniętą ręką podaje Curtisowi kości, ten odmawia. Martwy Stanley odwraca się i ciska nimi z ogromną siłą, celując w wyspę na dalekim skraju laguny. Jeśli nawet wpadają do wody, to Curtis nie widzi żadnych rozbryzgów.

Gracze znikają. Curtis przeciska się przez gęsty tłum turystów z aparatami fotograficznymi na szyjach, boleśnie świadomy swojego stroju; w szpitalnej koszuli przekracza most u wejścia do Pałacu Dożów i znów jest w kasynie, na lewo od automatów na wyższe stawki. Kieruje się do wind, marząc o powrocie do łóżka. Przechodząc obok Oculus Lounge, rozgląda się po stołach za Veronicą, potem za Stanleyem, wreszcie za gówniarzem, którego gonił poprzedniego wieczoru. Sięga pamięcią wstecz, odtwarza w myślach to wydarzenie i czuje się zażenowany w imieniu ich obu: Świstaka z jego lusterkiem i ścigającego go nieporadnie Curtisa. Dorośli faceci, a bawią się w detektywów, szpiegów, kryminalistów. Wstyd mu też za Damona, za jego intrygi i fakty. Ale najbardziej wstyd mu za Curtisa – świadka nieszczęść i śmierci w siedmiu różnych krajach, zdruzgotanego i byle jak posklejanego – który na tym etapie powinien mieć już więcej oleju w głowie. Tak, najbardziej w świecie wstydzi się za Curtisa.

Teraz już nie śpi.

Potrzebuje minuty, żeby odszukać w pościeli książkę. Większość minionej nocy spędził na lekturze: najpierw w pokoju Veroniki po tym, jak dziewczyna usnęła na kanapie, później tutaj, dopóki sam nie odpłynął. Pociera powieki, wyciąga rękę i zapala lampkę na nocnym stoliku.

Złodziej luster – Curtis kompletnie nie potrafi się połapać, o co w tej książce chodzi. Na ile zdążył się zorientować, mowa jest głównie o jakimś Crivano, kimś w rodzaju czarodzieja. Są tam jeszcze inni: jakiś Hermes, jakiś Nolanus. Książyc też występuje i nawet potrafi mówić. Są wątki łączące się w sensowną całość, ale potem zaraz trafia się sześć- czy siedmiostronicowy wiersz – o alchemii, tajnikach wytwarzania szkła albo związkach metali i planet – i fabuła grzęźnie w martwym punkcie. Wszystko to ma być bardzo mądre i poważne, a jednocześnie jest w tym coś z głupawej gry. Przypomina Curtisowi *Lochy i smoki*.

Chuć i wojna! Zabójczy wzrok Gorgony

w kamień obraca trzewia –

cudzołożnicy, omotani jedwabną nicią,

podobną tym, które pająki rozpinają na krokwiach.

Motający sieci, zwierciadlnicy, Atena

Partenos i jej zdeformowane rodzeństwo

bronią dostępu do zaklęć i sztuki:

odbity blask, krąg zatoczony

wstecz po własnych śladach

niby logarytmiczny zapis skorupy łodzika.

Crivano porusza się po takiej samej spirali.

Curtis jest przekonany, że umykają mu jakieś tropy. Na przykład na początku jedna ze stroniec została usunięta – druga w kolejności, tytułowa, z informacjami o dacie wydania na odwrocie – wycięta równiutko jakimś ostrym narzędziem tuż przy grzbiecie, tak że pozostał tylko strzępek papieru. Rano, kiedy otworzą księgarnie, zorientuje się, czy nie znajdzie gdzieś nienaruszonego egzemplarza.

Zrzuca z siebie kołdrę i ścieli łóżko. Tym razem nie ma żadnych faksów ani nieodebranych wiadomości. Odślania zasłony, opada na podłogę, robi dwie dwuminutowe serie pompek i przysiadów. Szybko, bez liczenia. Kontroluje czas na pasku w CNN. Na ekranie widać Chińczyków w maseczkach na twarzach. Buldożer przejechał jakąś dziewczynkę w Palestynie. Wojny jak nie było, tak nie ma. Curtis siada i pilotem przerzuca kanały: BET, USA, Disney, PAX, History, Travel, TV Land.

Bierze prysznic, goli się i ubiera – luźne szare spodnie, brązowy sweter z dekoltem w łódkę – po czym przegląda się w lustrze w części wypoczynkowej. Przypomina sobie dziwne wizje, których doświadczył w nocy, myśli o martwym Stanleyu ze swojego snu. Przysuwa się bliżej lustra i przez dłuższy czas wpatruje we własne odbicie, jakby oczekiwał, że udzieli mu rady. Niebo nad Las Vegas Strip ma głęboką barwę ultramaryny. Wysoko wisi kilka cirrusów, a z lewej strony, tuż obok nosa Curtisa, w ukośnym świetle wstającego dnia widoczny jest ostry sierp księżyca. Curtis zakłada okulary i księżyc gaśnie za ich cienką czarną oprawką.

Przechodzi do sypialni, ściąga pościel i ponownie ścieli łóżko. Tym razem mocniej naciąga prześcieradło – tak mocno, że gdy rzuca na nie pamiątkową ćwierćdolarówkę z symbolami Luizjany, moneta się odbija. Potem siada w fotelu przy oknie, żeby się zastanowić. Wprawia monetę w ruch obrotowy na drewnianym blacie stolika. Początkowo chce tylko zająć czymś ręce; później po prostu robi to mechanicznie. Strzela ćwierćdolarówką z paznokcia kciuka, śledzi jej lot i próbuje pochwycić w powietrzu. Nasłuchuje przy tym delikatnego brzęku – dźwięk jest doskonały, o ile dobrze się trafi. Moneta z plaśnięciem spada w jego zgiętą dłoń: orzeł czy reszka? Fajnie byłoby podejmować w ten sposób decyzje. „Wymyśla jakieś nowe tajemnicze systemy, które nie mają nic wspólnego z rachunkiem prawdopodobieństwa, kompletnie bez sensu”. W przypadku rzutu monetą prawdopodobieństwo wynosi zawsze pięćdziesiąt procent; a jakie są szanse, żeby w blackjacku dostać w rozdaniu dwadzieścia jeden punktów? Pięć procent? Curtis nie potrafi sobie przypomnieć. „Według Stanleya chyba najnudniejszą rzeczą, jaką

można robić przy stole do blackjacka, jest wygrywanie pieniędzy”. Curtis rozprasza się, upuszcza monetę, schyla się, żeby ją podnieść. Przesuwa opuszkami kciuka po zarysach małego pelikana i jeszcze mniejszej trąbki. Myśli, żeby zatelefonować do ojca, ale tego nie robi.

O dziesiątej do jego drzwi puka pokojówka. Curtis zakłada marynarkę i wpuszcza ją do środka. Zagaduje po hiszpańsku. Kobieta milczy, ma czujny wzrok policjantki. Jeżeli nawet dziwi ją widok starannie zasłanego łóżka, nie daje tego po sobie poznać. Kiedy znika w łazience, Curtis przypina do paska kaburę z rewolwerem, zamyka sejf i zjeżdża na dół poszukać Stanleya.

W automacie nieopodal miejsca, gdzie wczoraj zauważył Świstaka, wymienia banknoty na monety i przez Pałac Dożów wychodzi na ulicę, żeby złapać autobus jadący na południe. Wyszedłszy na chodnik, zamienia zwykłe szkła na przyciemniane, zaskoczony porannym chłodem. Kładką dla pieszych dostaje się na stronę Wyspy Skarbów, gdzie mijają dwie fregaty unieruchomione przez flautę w Zatoce Piratów i uśpiony wulkan-fontannę. W lustrzanych oknach hotelu Mirage odbija się zwiłokrotniony refleks jego masywnej, złamanej fasady. Curtis chowa się pod daszkiem hotelowego portyku, żeby poczekać na autobus. Słońce dopiero pnie się w górę po niebie, które – płaskie i mętne, w kolorze cytryny – przypomina rozpostarty za szczytami ekran. Gdzieś na wschodzie szaleją burze piaskowe. Curtis wspomina obraz wiszący w jego pokoju hotelowym, przytłumione kolory i niewyraźne kształty. Po drugiej stronie bulwaru, ponad palmami i bijącą z fontanny mgiełką wznosi się wieża jego hotelu, zbudowana z ryflowanej cegły. Od frontu pada na nią blask odbity w lustrzanych szybach Mirage; Curtis obserwuje grę złotych świateł na jej murach. Przy krawężniku zatrzymuje się autobus, po chwili odjeżdża, a Curtis wciąż stoi tam, gdzie stał, potrzęsając monetami w zaciśniętej pięści.

Dobrze zrobił, że wybrał ten hotel. Za to wszystko, co później zrobił, było błędem. W tym mieście nie ma ani jednego centymetra chodnika, po którym nie chodziłby Stanley, jednego stołu, przy którym nie wygrałby pieniędzy. Ilekroć Curtis się tutaj budzi, wchodzi wprost do głowy Stanleya. Pora, żeby zaczął słyszeć echa, dostrzegać duchy.

Tyle że to już nie jest Vegas Stanleya. Dawne miasto skryło się za maską, zapadło się w siebie. Curtis pamięta narzekających na to starych facetów; pamięta, jak siedzieli spowici papierosowym dymem w mieszkaniu jego ojca na Irving Street, w kamienicy bez windy: Carlos Huerta, Jim Press, Cadillac LaSalle. „Ci przekłeci deweloperzy wykończą to miasto swoimi palmami i przeklętymi wulkanami”. Henry Tsai kiedyś dostał w Haciendzie kolejno pięć asów z buta, w którym znajdowało się sześć talii kart. Wygrał sześć tysięcy dolarów na rękę, odszedł od stołu i nawet się nie uśmiechnął. „Trudno teraz znaleźć przyzwoity stolik. Cholera, większość graczy nawet nie patrzy w karty”. Powolny Tony

Miczek, który w 1966 roku wolał stracić kciuk niż oddać swój udział lichwiarzowi. Wyszedł ze szpitala i jeszcze tego samego dnia, po szesnastu godzinach gry, zgarnął cztery razy tyle w kasynie Sands Hotel. Co dwie godziny wymykał się do łazienki z butelką płynu znieczulająco-odkażającego i świeżym opatrunkiem na zmianę. Uregulował dług. Nie miał żalu o ucięty palec. „Studenciaki. Rodziny z dziećmi. Praworządne cieniasy”. Stanley, wyglądający przez brudną szybę okna uniwersyteckiej wieży zegarowej, za którym widać kopułę Kapitolu i biały obelisk. Milczy, po chwili się odzywa. „Nie sposób już grać, bo teraz wszystko jest grą”. I ten jego suchy, gdaczący śmiech. „Teraz już nawet śnią za nas. Niczego nie pozostawia się przypadkowi”.

Z prawej strony wyrasta posąg cesarza Augusta, spojrzenie gipsowych oczu jest utkwione w hotelu Flamingo po przeciwległej stronie ulicy. W świetle dnia wiekowy hotel robi wrażenie skromnego. Niektóre z tych neonowych rurek wiszą tu od trzydziestu lat. Udekorowany piórami pastelowy fronton tonie w cieniu, chłodny i pusty niczym wieko sarkofagu. Curtis idzie dalej.

Wczoraj był wykończony po całym dniu łażenia, lecz dziś czuje się znakomicie i cieszy się ze spaceru. Ponad rok temu dostał od lekarzy zielone światło, jeśli chodzi o powrót za kierownicę – pod warunkiem że zainstaluje w wozie alarm kolizyjny i dodatkowe lusterka – ale od wypadku jeszcze ani razu nie prowadził samochodu. Nie boi się – no dobra, może trochę się denerwuje – więc przy odrobinie praktyki znów mógłby się poczuć swobodnie za kółkiem. Po prostu nie jest jeszcze na to gotowy. Zabawne, że w ogóle nie tęskni za prowadzeniem. Fakt, że musi się obywać bez samochodu, jest dla niego źródłem satysfakcji. Dzięki temu, że wolniej się porusza, odkrył nieznany sobie świat, który dotychczas ignorował, a teraz dopiero zaczyna poznawać. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale jest wdzięczny losowi za tę przymusową naukę cierpliwości, za całkiem nową świadomość odległości i przestrzeni.

W połowie następnej przecznicy, zaraz za teleskopowym wejściem do Bally's, sterczy wieża Eiffla. Kiedy Curtis był ostatnio w Vegas, Bally's dopiero otwarto. Wspólnie z Damonem i grupką chłopaków wybrali się specjalnie taksówkami aż z North Strip, żeby go obejrzyć. To bardzo dziwne miejsce: mnóstwo sztucznych drzew i wykładzina jak nieostre obrazy Moneta, do tego wszechobecny zapach bagietek. Standardowe sztuczne niebo znajduje się nie tylko w kasynie, na innych piętrach też; dziwne uczucie, tak grać na zewnątrz, chociaż wcale nie byli na zewnątrz. Zaczęli od wizyty w barze, a potem wjechali windą na najwyższe piętro, gdzie chwając się, patrzyli, jak dolinę stopniowo wypełniają światła. Młodszy żołnierz błaznowali, odgrywając postać rysunkowego skunksa Pepé Le Swąd. Damon stał zapatrzony w majaczący na dole karłowaty Łuk Triumfalny. „Napoleon, człowieku! – powtarzał. – Pieprzony Napoleon!”.

Curtis przecina Harmon Avenue. Na wprost po prawej wznosi się New York

– New York Hotel & Casino. Stanley wyrósł w cieniu tych budynków: AT&T, Century, Chrysler, Seagram, Empire State. Co sobie myśli, widząc je tutaj? Co wtedy wspomina?

Przechodząc tędy w piątek, Curtis natknął się na barmankę – właśnie kończyła dzienną zmianę – która od razu skojarzyła Stanleya. Widziała go raptem tydzień wcześniej. Do początku dziennej zmiany została jeszcze godzina, ale Curtis uznaje, że może zaczekać.

Przy wejściu na oślepiająco jaskrawym telebimie ledowym wyświetlane jest zbliżenie łopoczącej flagi; na jej tle widnieje żółty napis: ZGODA BUDUJE. Curtis po raz kolejny zastanawia się, co z tą wojną. W kasynie robi zwyczajową rundkę zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Sala gier udaje Central Park; i znowu wszędzie to sztuczne niebo. Nie widząc żadnych znajomych twarzy, Curtis wchodzi schodami na antresolę. Kupuje dwa hot dogi u Nathana w Coney Island Pavilion i zjada jednego, nasłuchując zgrzytania i turkotu kolejki górskiej nad swoją głową. Drugiego kończy już po drodze, wędrując kolejno Bleecker Street, Hudson Street i Broadwayem, sycąc oczy widokiem schodów przeciwpożarowych, pary buchającej ze studzienek włazowych, usmarowanych graffiti budek telefonicznych i kamienic z porośniętą bluszczem elewacją z piaskowca.

Kiedy przystaje przed jednym z lokali z muzyką na żywo na Times Square, dostrzega ją stojącą za barem: rudowłosą, korpulentną, może z pięć lat starszą. Jest w niezłej formie. Rozmawia z dwoma delegatami na jakiś zjazd; w jej głosie pobrzmiewa soczysty akcent ze Staten Island, któremu najprawdopodobniej zawdzięcza tę posadę. Nie poznaje go, kiedy Curtis siada, dopiero po chwili. Jest tak blisko, że widzi ciemny błysk jej rozszerzających się źrenic: trafił we właściwe miejsce.

Ona uśmiecha się do niego, kładzie przed nim papierową serwetkę. Witaj, kolego, mówi. Jak leci?

Trudno powiedzieć. Ostatnie dni były jakieś dziwne.

Coś o tym wiem. Podać ci coś, skarbie?

Tylko sok pomarańczowy. Widziałaś Stanleya?

Ona zamiera na wpół odwrócona do baru, ucieka wzrokiem w bok. Nie pokazywał się, mówi. W ten weekend ma duże wzięcie.

Nie tylko ja go szukam?

Śmieje się, wzrusza ramionami. Jakby to był żart. Nalewa mu soku.

Zaglądała tu Veronica?

Ona stawia przed nim plastikowy kubek, wyjmując mu z palców banknot dziesięciodolarowy, idzie do kasy. Nie odpowiada. Już się nie uśmiecha.

A taki kurdupel z przerwą między przednimi zębami? Widziałaś tu kogoś takiego?

Ona wraca i wciąż trzyma w ręku tego dziesiątaka. Kładzie go na barze, a na

nim sfatygowaną dwudziestkę. Pożyczyłeś mi kiedyś dwadzieścia dolców, mówi. No to zwracam. Dzięki. A sok jest na koszt firmy.

Tamta dwudziestka to był napiwek, nie pożyczka.

Aż tak dobrych koktajli nie robię, kolego.

Nachyla się nad kontuarem, zagląda mu w oczy. Gdyby to był film, mówi, zgarniałabym forszę od całej masy takich jak ty. Rozgrywałabym was między sobą i się bogaciła. Ale to nie jest film. Powiem coś i komuś stanie się krzywda, a ja nie chcę mieć nikogo na sumieniu. Wyglądasz mi na sympatycznego faceta i dalej chcę cię za takiego uważać. Dlatego nie będziemy już o tym więcej rozmawiali. *Capice?*

Nikogo nie zamierzam skrzywdzić.

Nie myślałam o tobie.

Znowu się uśmiecha, tym razem z lekkim smutkiem. W jej oczach nie widać lęku, tylko troskę. Od dawna mieszka w Vegas. Kto jeszcze tutaj przychodził? – dopytuje się Curtis.

Ona bierze głęboki wdech, głośno wypuszcza powietrze. Ten mały z zębami, przyznaje. I jeszcze jeden gość. Wysoki. Chyba z Południa. Mały był przyjezdny, wysoki tutejszy. Już go widywałam. Koleś zwiastuje kłopoty.

A Veronica? Też tutaj była?

Ona spuszcza głowę, zamyka oczy. Przytakuje.

Curtis upija łyk soku. Kręci zawartością kubka. Szukali siebie nawzajem? – pyta.

Co masz na myśli?

Wszyscy wypytywali o Stanleya? Czy może pytali też o siebie nawzajem?

Przez moment się zastanawia. Ten wysoki pytał mnie o dwoje pozostałych, mówi. O Veronicę i tego kurdupła. Z kolei ten ostatni wypytywał tylko o Veronicę. A Veronica i mały wypytywali o ciebie.

Curtis uśmiecha się. I co im o mnie powiedziałaś?

Że widziałam cię tutaj w piątek wieczorem, pod koniec zmiany. Tylko tyle.

Dałaś któremuś z nich numer mojej komórki?

Nie. Nie miałam go wtedy przy sobie.

Ale gdzieś go masz?

Tak. Pewnie, że mam.

Gdyby pojawił się tutaj Stanley, mówi Curtis, nie dzwoń do mnie. To nie jest bezpieczne. Jeżeli będzie chciał, daj mu mój numer. Opowiedz mu o wszystkich, którzy go szukają. Powiedz mu to samo, co powiedziałaś mnie.

Czy coś mu grozi?

Tak uważam.

Curtis bierze do ręki oba banknoty, spogląda na nią, wsuwa je do portfela. Tym samym ją rozgrzesza. Odtąd musi działać sam.

Gdyby ktoś znów o mnie pytał, mówi, powiedz mu prawdę. Nie będę cię

więcej nachodził.

Wstaje i odwraca się do wyjścia. Ale zaraz się cofa. Jak on wyglądał?

Kto? – pyta ona.

Ale wie, o kogo mu chodzi. Nie za dobrze, odpowiada po chwili. Właściwie to bardzo kiepsko.

Po wyjściu z baru Curtis przekracza sztuczny strumyk wypływający z atrapy Central Parku i wpadający do atrapy Greenwich Village. Podąża w górę strumienia, w stronę stołów do gry. Porusza się powoli, niepewny, dokąd zmierza; rozmyśla o tym, co powiedziała mu barmanka, gdy nagle wyczuwa na sobie czyjeś spojrzenie. Staje, rozgląda się. Odruchowo odwraca się w lewo.

I widzi Albeda, który z szerokim uśmiechem przygląda mu się z odległości kilku metrów, znad stołu do gry w kości. Kiwa na Curtisa, a trzymany przez niego w palcach papieros kreśli w powietrzu tajemnicze znaki.

Curtis zamiera na ułamek sekundy. Albedo zmienia pozycję, rzuca żeton krupierowi i wstaje z miejsca. Dopija zawartość plastikowego kubka, odstawia go na wyściełające blat sukno. Się masz, stary, mówi, podchodząc powoli do Curtisa ze swoją wielką, miękką dłonią wyciągniętą na powitanie. Curtis mruga, otrząsa się, ściska jego rękę. Myśli. A przynajmniej stara się zmusić do myślenia.

Uciałeś sobie w barze pogawędkę ze starą, poczciwą Rudą? – pyta Albedo.

Curtis tylko na niego patrzy.

Klasa babka, ciągnie tamten. Dobrze się znamy. Albedo wsuwa papieros między wąskie wargi. Słuchaj no, nie wracasz przypadkiem na North Strip? Za godzinę mam kurs do Sahary, dwie dziewczynki na raz. Mógłbym cię podrzucić.

Dzięki, nie trzeba. Mam tu jeszcze coś do załatwienia.

Albedo spogląda za siebie na bar, przysuwa się trochę bliżej. Curtis czuje zapach paczuli i morskiej wody. Posłuchaj mnie, mówi Albedo. Mam dla ciebie wiadomość. Od Damona. Rozmawiałem z nim dzisiaj rano. W Atlantic City sprawy poważnie się skomplikowały. Musimy pogadać. Chodź, przejdziemy się.

Rozmawiałeś z Damonem? Przez telefon?

Albedo zwraca ku niemu przekrwione oczy. Nie, Curtis, mówi. Porozumieliśmy się telepatycznie. Pewnie, że przez telefon, kurwa. Co ty pieprzysz?

Jaka to wiadomość?

Może się jednak przejdziemy? Powoli muszę się zbierać.

Curtis mu się przygląda. Albedo założył dziś podkoszulek bez rękawów z logo Metalliki. Za luźny dekolt wetknął okulary przeciwsłoneczne. Jest bez marynarki, džinsy ma zbyt ciasne, aby w nogawce mógł ukryć coś większego od noża. W porządku, zgadza się Curtis. Chodźmy.

Przechodzą do wyjścia na skróty, między automatami do gry. Curtis musi przyspieszyć, żeby nie zostać w tyle. Damon kazał ci przekazać, że przez kilka dni będzie nieuchwytny, mówi Albedo. Trudno byłoby ci się z nim skontaktować, masz się więc w tym czasie nie wychylać i zachować spokój.

Przez kilka dni? To znaczy ile?

Nie wiem, stary. Kilka. Potem się do ciebie odezwie.

Powiedział ci to dziś rano?

Uhm. Około dziesiątej. Obudził mnie, skubany.

To się nie trzyma kupy. Sprawa, którą mam dla niego załatwić, nie może czekać.

Tak, Damon wspomniał mi, o co chodzi. Albedo zerka na swój masywny zegarek. Zostało ci sześćdziesiąt godzin, nie? Właściwie nawet mniej. Powiem ci, co masz robić. Szukaj dalej Stanleya, tak jak to dotychczas robiłeś. A jak go namierzysz, od razu dzwoń do mnie. Skontaktuję cię z Damonem. Nie masz się czym przyjmować.

Curtis kręci głową. To kompletnie bez sensu, mówi. Dlaczego Damon sam do mnie nie zadzwoni? Co się dzieje w Atlantic City?

Sprawy wymknęły się tam spod kontroli. W związku z tym karcianym przekrętem kierownictwo The Point postanowiło urządzać nagonkę w stylu samego Joe McCarthy'ego. Lincz wisi w powietrzu. Damon musi pilnować własnego tyłka, uważać, z kim rozmawia. Ciebie też to dotyczy.

A ciebie nie? Dlaczego?

Albedo parska śmiechem. Nie bądź taki zazdrosny, chłopie, mówi. Nie do twarzy ci z tym.

Przechodzą pod zadaszeniem przy głównym wejściu i kierują się do miejsca, gdzie parkingowi wydają gościom samochody. Albedo wyrzuca niedopałek, podaje stojącemu tam młodemu Wietnamczykowi zwinięty banknot i wymienia z nim szybki, skomplikowany uścisk dłoni. Rozmawiają, czekając, aż ktoś inny podstawia auto. Curtis milczy wściekły. Wpatruje się w zamkowe blankowania i balustrady położonego naprzeciwko hotelu Excalibur; odwraca się dopiero na okrzyk chłopaka: „Ale fura!”.

Wóz wjeżdżający na podjazd jest ogromny, lśniący i ogłusza rykiem silnika. Dominują czerń, srebro i chrom. Kanciasty, z kilkoma podłużnymi wgłębieniami w tylnej części karoserii, przypomina nacięty od niechcenia frezarką kawał drewna. Z przodu ma cztery reflektory oraz zderzak, który wygląda na cięższy od całego saturna Danielle. Przednia szyba jest ustawiona pod takim kątem, że zdaje się wychodzić przed maskę, na której błyszczy posrebrzany emblemat: wpisane w okrąg szerokokątne V. Piękny, co? – zagaduje Albedo.

Parkingowy gapi się z wybałuszonymi oczami. Co to, kurwa jest, człowieku?

Mercury montclair phaeton sedan, mój drogi przyjacielu. Wyprodukowany w roku pańskim tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym.

Biały kruk?

Skąd, macha ręką Albedo. Czasami jeszcze się je widuje.

Wręcza napiwek wysiadającemu z auta chłopakowi, odsuwa fotel kierowcy

do samego końca, pochyla się i zwalnia blokadę w drzwiach od strony Curtisa. Sam go pan wyremontował? – pyta dzieciak z podziwem.

No coś ty, synu, odpowiada Albedo, sadowiąc się za kierownicą i błyskając poźółkłymi zębami. Gównu wiem o samochodach. Rok temu w czerwcu wygrałem jackpota progresywnego w Caesars i trochę zaszalałem. Kupiłem go już odpicowanego na eBayu.

Curtis otwiera drzwiczki auta i wsiada do środka. Albedo wrzuca bieg, włącza się do ruchu. Curtis sięga za siebie, żeby zapiąć pas, i stwierdza jego brak. Sorry, chłopie, mruczy Albedo. Nie chciało mi się montować uprząży od strony pasażera. Dziewczynki i tak zawsze jeżdżą z tyłu.

Curtis wykręca szyję w lewo i widzi, że Albeda faktycznie chroni nie tylko standardowy pas biodrowy, ale dodatkowo przymocowane do oparcia lotnicze pasy szelkowe. Ale nic się nie martw, dodaje tamten, wyjmując zza dekoltu okulary przeciwsłoneczne i wsuwając je na nos. Obiecuję, że się nie rozbijemy. Wracasz do swojego hotelu?

Curtis próbuje wymyślić jakąś zagrywkę – fałszywy trop, który mógłby podrzucić, żeby przejąć kontrolę nad sytuacją i podstępem przekonać Albeda do wyjawienia mu wszystkiego, co wie – ale nic nie przychodzi mu do głowy. Tak, przyznaje po dłuższym milczeniu. Zatrzymałem się w...

Wiem, gdzie się zatrzymałeś, stary. Damon mi powiedział.

Większość zjeżdżających z autostrady samochodów skręca na Strip i przyśpiesza zaraz za pierwszymi światłami. Curtis wierci się na siedzeniu; bez zapiętego pasa bezpieczeństwa czuje się nagi. Wnętrze auta jest brudne i zagracone: na wszystkich płaskich powierzchniach poniewierają się papierki po M&M's, jednorazowe kubki, puste opakowania po hamburgerach. Curtis musi przesunąć nogą komplet przewodów rozruchowych, cienką aktówkę oraz otwarty i popodkreślany egzemplarz miesięcznika „Soldier of Fortune”, żeby zrobić stopom trochę miejsca na lepkim dywaniku.

Jeszcze jedna rzecz, mówi Albedo. Damon chce, żebyśmy przycisnęli Veronicę.

Curtis mruga powiekami zaskoczony. Że co?

Veronicę, stary. Tę chudą zdzirę, która kręci się koło Stanleya.

Wiem, kim jest Veronica.

No więc Damon uważa, że powinniśmy ją trochę przycisnąć. Dziewczyna jest słaba. Parę dni bez Stanleya i zacznie pękać. Wystarczy ją postraszyć i wszystko wyśpiewa.

Curtis gapi się na Albeda – na jego przypominający ptasi dziób nos, na wąskie wargi. Co Damon w ogóle o niej wie, do kurwy nędzy? Nie zamierzam wymuszać na nikim zeznań tylko dlatego, że... Dobra, dosyć tego pieprzenia. Jeśli Damon chce dalej w to grać, pora odsłonić karty. Za moimi plecami dzieją się

rzeczy, o których nie mam pojęcia.

Albedo parska śmiechem, naciska zapalniczkę na desce rozdzielczej. To ci się udało, stary, mówi. Ale wierz mi: lepiej dla ciebie, że nie wiesz wszystkiego. Chryste Panie, Curtis, co się z tobą dzieje? Skąd to nagle parcie, żeby poznać szczegóły? Myślałem, że jesteś z piechoty morskiej.

To nie ma nic do rzeczy.

Czyżby? Czym wojna w Zatoce różni się od tego tutaj? Tam też chodziło o to, żeby zatroszczyć się o swoich i pieprzyć całą resztę. Dobrze mówię? Zresztą sam znasz odpowiedź, stary.

Zapalniczka wyskakuje. Curtis drga lekko; ma nadzieję, że Albedo tego nie zauważył. Albedo wyciąga ją, przykładając rozżarzoną spiralę do czubka papierosa i wydmuchuje dym przez uchyloną szybę. Curtis odwraca się, wygląda przez okno. Stoją na światłach na Koval Lane, nieopodal granicy lotniska. Boeingi i airbusy czekają w kolejce na start, żar bijący z ich silników zakrzywia światło, wprawia powietrze w drganie.

Zaglądałeś na spotkania AN? – zagaduje Albedo.

Słucham?

Anonimowych Narkomanów, stary. Panna Veronica miała mały problem z kokainą, zanim Stanley sprowadził ją na właściwą drogę. Jeśli jego nieobecność będzie się przedłużać, dziewczyna może wrócić na mityngi. Warto spróbować. Albo wiesz co? Ja się tym zajmę. Mam spore znajomości w tym towarzystwie. Ty dalej rób swoje. Jeśli dziewczyna się pojawi, dzwoń, a ja już wszystko załatwię.

Albedo skręca ostro w lewo, na północ. Dyndające pod lusterkiem wstecznym ozdóbki kołyszą się na boki, dzięki czemu Curtis może im się lepiej przyjrzeć: sznur zielonych koralików na Mardi Gras z Nowego Orleanu, mała lustrzana kula, komplet nieśmiertelników na metalowym łańcuszku kulkowym. Curtis sięga po nie, aby obejrzeć je z bliska; liczy, że dowie się w końcu, jak się pisze „Albedo”, ale nieśmiertelniki należą do kogoś, kto nazywa się L. ALLODOLA, grupa krwi 0 dodatnia, który nosi średni rozmiar maski przeciwgazowej i nie deklaruje przynależności do żadnego wyznania. Curtis wypuszcza je z ręki.

Hej, chcesz zobaczyć coś naprawdę fajnego? – odzywa się Albedo. Podnieś tę teczkę, którą masz pod nogami. Otwórz to cholerstwo.

Curtis bierze teczkę z podłogi. Sądząc po wadze, domyśla się, co znajdzie w środku, ale i tak ją otwiera, żeby zerknąć. Pistolet maszynowy, kalibru dziewięć milimetrów, długi na czterdzieści centymetrów, w piankowej wyściółce. Ma to wyglądać bardzo profesjonalnie, coś w stylu Jamesa Bonda, ale wieko teczki jest popękane, w kilku miejscach sklezione srebrną taśmą izolacyjną, a piankowe wypełnienie pożółkłe i nierówne, jakby wyrwane z wnętrza starej kanapy. Sam pistolet wygląda tak samo jak wszystkie pistolety: groźnie i głupio, niczym

uwięziona w pokoju osa. Obok spoczywa tłumik i dwa zapasowe magazynki, które przesuwiają się, ilekroć Albedo szarpie kierownicą, czyli dosyć często. Tłumik przypomina efekt pracy jakiegoś licealisty, który niezbyt się przykładał na zajęciach praktyczno-technicznych. Curtis zatrząskuje wieko teczki.

Cudo, nie? – rzuca Albedo. Założę się, że przywołał parę wspomnień.

Nie.

Nie? Zaraz, czekaj – to Damon pracował jako ochroniarz w ambasadzie, a nie ty. Dobrze mówię? Wszystko mi się poplątało. Jeżeli o mnie chodzi, wystarczy jeden rzut oka na tę małą ślicznotkę, żeby przywołać wspomnienia starych, dobrych czasów w kompanii zwiadu. Znam gościa, który zaraz za Searchlight prowadzi niedużą strzelnicę. Całkowicie *sub rosa*. Wiedzą o niej tylko wtajemniczeni. Wybieram się tam za parę tygodni, żeby narobić trochę huku. Możesz się ze mną wybrać, jeśli jeszcze będziesz w mieście.

Nie będę, ucina Curtis. Zerka ukradkowo na Albeda. Akurat, myśli sobie. Gość służył w zwiadzie tak jak ja w służbach specjalnych.

A ty co nosisz pod marynarką, stary? – pyta Albedo. Curtis nie odpowiada. Co jest, wstydzisz się? No, śmiało, co tam chowasz?

Rewolwer krótkolufowy kalibru.357.

Magnum? Kurde, człowieku! Nie przyjechałeś tutaj się patyczkować.

Używam naboju do trzydziestki ósemki, mówi Curtis. To daje lepszą kontrolę.

Albedo spogląda na niego; uniesione brwi wystają znad oprawek ciemnych okularów. Po chwili wybucha śmiechem. Nie obraż się, brachu, mówi, ale to cały ty. Mały gość, duża splota, średnie naboje. Coś pięknego. W końcu cię rozgryzłem.

Możesz się śmiać, rzuca Curtis z grymasem niezadowolenia na twarzy. Strzelałeś kiedyś nabojami do magnum w zamkniętym pomieszczeniu, na przykład w pokoju hotelowym? W samym środku strzelaniny głuchniesz i ślepniesz, a potem tracisz przytomność. Taka zabawa w Schwarzeneggera to nie dla mnie.

Nie spieram się z tobą, stary. Wcale się nie spieram. Dasz popatrzeć?

Że jak?

Pokaż mi ten swój rewolwerek. Nie daj się prosić.

Zatrzymują się na światłach na skrzyżowaniu Koval i Flamingo, na ukos od hotelu Westin. Curtis wpatruje się w Albeda, stara się dostrzec jego oczy w półmroku. Nie ma szans, żeby teraz wykręcił jakiś numer. Przecież prowadzi. A Curtis jest pewien, że przy wsiadaniu dokładnie zlustrował tylne siedzenie. Prawie pewien.

Rozgląda się z zakłopotaniem na boki: kierowcy sąsiednich samochodów zdają się gapić na wóz Albeda, a nie na siedzące w nim osoby. Pochyla się do przodu i wyciąga rewolwer zza paska. Trzyma go blisko siebie, przy udach. Kręci

bębenkiem, otwiera komorę i wysypuje na prawą dłoń pięć naboju śliskich od smaru.

Potem podaje broń Albedowi. Ten bierze ją do ręki i ogląda. Rewolwer niemal znika w jego szerokiej dłoni. Smith & Wesson, co? Niezły. Jaka to amunicja? Speer Gold Dot?

Chyba tak, wzrusza ramionami Curtis. Kupiłem na przecenie.

Światło się zmienia. Albedo oddaje rewolwer, kładzie dłoń z powrotem na kierownicy. Jak uważasz, stary, co powinienem zrobić z tym maleństwem na podłodze? – pyta. Myślisz, że dostanę za niego ze dwa kawałki?

Nie znam się na tym, odpowiada Curtis. Przeładowuje broń i chowa ją z powrotem do kabury. Z lewej strony zbliża się centrum konferencyjne; tylne wejście do hotelu Curtisa jest tuż za nim.

Zastanawiam się, czy go nie zatrzymać, zwierza mu się Albedo. Paru moich znajomych w Karolinie Północnej – kumpli z Zatoki – szuka właśnie odpowiednich ludzi. Kiedy w Iraku zaroj się od naszych i starego dobrego Saddama szlag trafi, zacznie się tam prawdziwa gorączka złota. Wiesz chyba, że ten cholernik Cheney wszystko sprywatyzował: okupację, odbudowę, pilnowanie porządku, kradzież ropy. Wszystko to będą prywatne przedsięwzięcia, prowadzone przez prywatne korporacje.

Nie mów.

Rzecz w tym, że te zafajdane liczykropy nie za bardzo lubią, kiedy się do nich strzela. Potrzebują takich jak my, żeby im zapewnili ochronę, prowadzili operacje skierowane przeciwko rebeliantom i tak dalej. Nie myśl, że zadrzy im ręka, kiedy będą wypisywali czeki. Człowieku, to są ogromne pieniądze. Nie zrozum mnie źle: zabawa w wojenkę wcale mnie nie bawiła – miałem swoje powody, żeby odejść – ale byłyby o wiele bardziej znośna, gdyby mi za nią płacili sto pięćdziesiąt kawałków rocznie. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Poza tym ci ludzie nie zwracają sobie głowy hierarchią. Nie to, co w korpusie piechoty morskiej: gówna wypływają na wierzch, rozdęta biurokracja, na każdym kroku Bizancjum. Odpada też nadzór rządowy. Pewnie, trzeba znosić humory paru tłustych dupków z Halliburtona, ale pieprzyć to, stary. Grunt, żeby czeki spływały na czas.

Zajeżdżają przed zadaszone wejście. Parkingowi wykręcają szyje, żeby się przyjrzeć błyszczącej furze. W każdej chwili mogę cię skontaktować z tymi chłopakami, proponuje mu Albedo. Masz to, czego szukają. Tylko powiedz słowo. Otwórz usta i przesyłabizuj.

Dzięki za podwiezienie, rzuca Curtis i otwiera drzwi auta. Na chodnik wypada pusty styropianowy kubek i jakaś wygnieciona, zwinięta w harmonijkę kolorowa broszura.

Mówię zupełnie poważnie, stary. Najbliższych kilka lat będzie dla

prywatnych agencji ochrony tym, czym Święto Dziękczynienia jest dla supermarketów. Zapamiętaj moje słowa.

Curtis zatrzaskuje drzwi, podnosi kubek oraz broszurę, kieruje się do wejścia. Ej, Curtis! – woła za nim Albedo.

No?

To twoje zlecenie? Damon, robota w Spectacular? Możliwe, że nie wszystko ułoży się po twojej myśli, przyjacielu. Mówię ci to z prawdziwą przykrością. Ta sprawa skończy się źle albo wcale się nie skończy. Ty to wiesz, ja to wiem i tyle na ten temat. Lepiej, żebyś zaczął sobie planować coś nowego. W porządku? Co złego, to nie ja.

Albedo unosi w górę dwa palce, wsuwa ciemne okulary wyżej na nos i wrzuca bieg. Curtis stoi z jego śmieciami w rękę, odprowadza wzrokiem odjeżdżający samochód. Broszura cała się lepi. Curtis przygląda się jej, dostrzega słowa SIN CITY ESCORTS, a poniżej parę wydętych uszminkowanych ust.

Obok automatycznie otwieranych drzwi znajduje kosz, po czym wchodzi do lobby. Palce lepią mu się do przycisku, gdy ściąga w dół windę, potem do kciuka, gdy próbuje je wytrzeć. Przed drzwiami pokoju trochę marudzi, zanim wyciągnie portfel, wydobędzie z niego kartę-klucz i przesunie ją przez czytnik – wszystko to bez używania prawej ręki. Kiedy tak się gimnastykuje, korytarzem mija go biały mężczyzna mniej więcej w jego wieku. Gruby, łysawy, w workowatych kąpielówkach. W rękę niesie okulary do pływania i małej aparat fotograficzny do robienia zdjęć pod wodą. Wymieniają z Curtisem zmieszane spojrzenia. Co się dzieje w Vegas, zostaje w Vegas, myśli Curtis.

Gdy wchodzi do pokoju, swędzi go już całe ciało. Zrzuca ubranie i wskakuje pod prysznic, podkręcając temperaturę wody na tyle, na ile porafi znieść, a po chwili, kiedy organizm się przyzwyczai, puszcza prawdziwy ukrop. Metodycznie, zaciekle szoruje całe ciało: skórę głowy i twarz – spłukać – lewe ramię – spłukać – prawe ramię – spłukać – tak jak ich uczyli na obozie szkoleniowym dla rekrutów, dopóki nie dojdzie do podeszew stóp; wtedy zaczyna wszystko jeszcze raz, od początku. Gdy kończy, w łazience unoszą się kłęby pary, która skrapla się na marmurowych kafelkach i w postaci drobnych strumyczków spływa po lustrach.

Curtis wkłada szlafrok i wychodzi do przedpokoju; para wylewa się przez otwarte drzwi łazienki niczym galareta z formy. Na podłodze leży cienka biała koperta, którą ktoś wsunął przez szparę pod drzwiami. Curtis schyla się, żeby ją podnieść. Na wierzchu znajomym charakterem pisma, spiczastymi drukowanymi literami wypisano jego imię. W środku znajduje się bilet do muzeum na dole – na wystawę SZTUKA NA PRZESTRZENI WIEKÓW – z dopiskiem „Arcydzieła malarstwa od Tycjana do Picassa”. Oprócz tego jest jeszcze liścik skreślony na papeterii hotelu Quicksilver.

Czekam o trzeciej

Nikommu nic nie mów

V.

Odkąd się tu zameldował, przynajmniej dwa razy dziennie przechodził obok tego muzeum, nie zwracając na nie szczególnej uwagi. Nie sądził, aby miało dla Stanleya jakiegokolwiek znaczenie – już prędzej wyobrażałby sobie, że przyjaciel uzna je za nowobogacki wymysł, stratę czasu i pieniędzy, nagrodę pocieszenia dla sztywnych żon graczy albo uczestników konferencji – ale może coś mu umknęło. Czy Veronica nie mówiła, że Stanley ostatnio interesował się sztuką? A może chodziło o historię – Curtis nie może sobie teraz przypomnieć. Zresztą to wcale nie musi być istotne: Veronica chyba nie rozumie Stanleya lepiej niż Curtis.

Książka leży tam, gdzie rano Curtis ją zostawił, na stoliku nocnym. Bierze ją do ręki, przenosi na stół pod oknem. Kiedy ubiegłej nocy ją czytał, był półprzytomny, nadal lekko oszołomiony burbonem Veroniki, i w sumie niewiele zapamiętał. Wydaje mu się, że natrafił na jakiś wiersz o sztuce albo o malarzu – w każdym razie tak go odebrał – przerzuca więc kartki, ale nie może go znaleźć. Mało prawdopodobne, żeby przegapił go w książce liczącej mniej niż osiemdziesiąt stron, zaczyna więc podejrzewać, że sam go wymyślił. Może jakiś fragment skojarzył mu się z czymś, co usłyszał od Veroniki albo dawno temu od Stanleya – ewentualnie z czymś, co sam widział podczas przepustki w którymś z europejskich muzeów. Niczego nie jest już pewien.

Dziewka z Koryntu

nacina nożem cegły,

obrysowuje cień

wiarołomnego kochanka.

Gdyby zwierciadło miało duszę,

dostrzegłoby obrazy, które przechowuje.

Winogrona Zeuksisa

kuszą podniebne ptaki,

Parrasz gestem

wskazuje zasłonę.

Gdyby zwierciadło miało duszę,

dostrzegłoby obrazy, które przechowuje.

W piecach na Murano

hutnicy leją

płynne srebro

na roztopioną cynę.

Gdyby zwierciadło miało duszę,

dostrzegłoby obrazy, które przechowuje.

Oto prawdziwa alchemia: zasłona

skrywa samą siebie

dziewka zaś miłuje cień

bardziej niż żołnierza.

Mija niedługa chwila i Curtis przestaje czytać, zamiast tego zamyśla się, wpatrzony w reprodukcję w ramach nad kanapą: z żółto-brunatnego chaosu nieba i morza sterczą cienkie maszty żaglowców. Coś przerażającego jest w tym obrazie. Dziwne, że wcześniej tego nie zauważył.

Zerka na wyświetlacz komórki: kwadrans po drugiej. Ma mnóstwo czasu, żeby przed spotkaniem z Veronicą rozejrzeć się po muzeum. Zamyka książkę, wstaje od stołu i już ma wyjść z pokoju, gdy zauważa nowy faks.

Faks jest od Damona, sprzed czterech godzin. Całą kartkę zajmuje rysunek wielkiego fallusa z gracją wygiętego w znak zapytania. W miejscu, gdzie powinna być kropka, wiszą dwa owłosione jądra. Wewnątrz fallusa, w okolicy wygięcia, pogrube drukowane litery układają się w pytanie: NO CO JEST, KURWAAAA???

Curtis rozkłada kartkę na biurku i pomagając sobie ostrym kantem blatu, drze ją w poprzek na cienkie paseczki. Następnie składa je razem i ponownie rwie w poprzek, uzyskując garść czarno-białego konfetti. Za każdym razem drący się papier wydaje przyjemny, przewidywalny dźwięk. Miło jest być czegoś pewnym.

Przed wyjściem na korytarz Curtis wsypuje konfetti do sedesu, sika na nie i spuszcza wodę.

Muzeum przypomina ciemny stalowy tunel łączący lobby hotelowe z salą kasyna. Curtis zatacza krąg w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i pokazuje bilet strażnikowi przy wyjściu. W środku robi rutynową rundkę, aby upewnić się, czy przypadkiem Veronica nie zjawiała się tu przed nim. Rekonesans nie zajmuje mu wiele czasu, bo pomieszczenie nie jest duże: trzy ścianki dzielą je na cztery galerie, w każdej z nich znajduje się około dziesięciu obrazów. Połączenie sztucznie skorodowanej stali zdają się unosić w powietrzu, nie dotykać podłogi ani sufitu; przez szczeliny w dole Curtis dostrzega cienie i stopy innych zwiedzających. Ukradkiem przesuwając palcem po powierzchni jednej ze ścian, nie dowierzając, że to naprawdę stal: metal ma kolor czekolady, a pokrywająca go glazura sprawia, że wydaje się mokry i śliski. Curtis odnosi wrażenie, że znalazł się w środku luksusowej skórzanej damskiej torebki, ewentualnie we wnętrzu zdrowej nerki.

Popołudniowe słońce sączy się przez otwory w zewnętrznej ścianie tunelu; światło dzienne miesza się z blaskiem reflektorów zawieszonych pod sufitem na szynach z drewna klonowego. Na dworze pogodny poranek przechodzi w pochmurny dzień: niebo jest płaskie, bladożółte. W muzeum kręci się trochę ponad dwadzieścia osób i jeszcze kilka w sklepiku z pamiątkami. Żadną z nich nie jest jednak Veronica. Curtis przesuwając się wzdłuż ścian, dzieląc uwagę między obrazy a zwiedzających. Cały czas zachowuje czujność. Z łatwością zauważy wchodzącą Veronicę, ale obawia się, że gdzieś może się czaić Świstak, i wątpi, czy go od razu rozpozna, o ile w ogóle.

Wystawa ułożona jest w porządku chronologicznym; kończy ją warczący rysunkowy pies z 1965 roku. Curtis idzie pod prąd, podróżując wstecz w czasie. Ledwo rzuci okiem na obrazy. Nigdy nie przepadał za sztuką nowoczesną z jej kolorowymi plamami, rozbryzgami farby i monochromatycznymi kwadratami. Przed jednym z eksponatów – czarnym sześcianiem na gładkim białym tle – musi się aż zatrzymać i pokręcić głową z niedowierzaniem.

Kiedyś, przed laty, gdy był jeszcze mały, podczas jednej ze swoich krótkich niezapowiedzianych wizyt ojciec przez całe popołudnie opowiadał mu o czarnoskórych malarzach – Raymondzie Saundersie, Franku Bowlingu, Beaufordzie Delaney, Almie Thomas – i o tym, jak Picasso ściągnął pomysły na swoje najlepsze obrazy, zainspirowany afrykańskimi maskami oglądanymi w Musée de l'Homme. W następną sobotę Curtis wziął swój rower z odzysku i przejechał ponad trzy kilometry – szybko poszło, miał z górki – do nowo otwartej biblioteki imienia Martina Luthera Kinga, gdzie spędził kilka godzin na przeglądaniu opasłych albumów w twardych okładkach, oszołomiony widokiem

jaskrawych plam i niedbałych maźnięć. Gdy wiele miesięcy później ojciec ponownie go odwiedził, tematem kolejnego wykładu byli czarnoskórzy abstrakcyjniści, którzy małpują prace białych, zamiast rzucać swoimi pracami wyzwanie ich kulturze. Ze słów ojca wynikało, że jazz to jedyna w pełni rewolucyjna sztuka afroamerykańska. Curtis uśmiecha się na to wspomnienie, ciekaw, co teraz usłyszałby od ojca. Prawdopodobnie coś o tym, że islam zakazuje przedstawiania ludzkich wizerunków. „Nasz święty Prorok, pokój niech będzie z nim, naucza, że w Dniu Zmartwychwstania wszyscy artyści otrzymają rozkaz, aby tchnąć życie w to, co stworzyli. Jeżeli nie zdołają tego uczynić, zostaną ukarani. Pomyśl o tym, synu. To ma sens. Każde żywe stworzenie pochodzi od Boga, który uczynił nas na swoje podobieństwo. Dlatego nie godzi się nam tworzyć podobizn Boga”.

Gdy Curtis dochodzi do obrazu przedstawiającego omdlewającą Venus z nagim biustem, przypominającą króliczki z rozkładówek „Playboya” z końca lat pięćdziesiątych, zaczyna zwracać baczniejszą uwagę na eksponaty. Te dzieła pochodzą z XVIII wieku, czyli są starsze niż Stany Zjednoczone. Widać, że malarze z większym realizmem, bardziej precyzyjnie starali się oddawać otaczającą ich rzeczywistość. Oto i anioł z płonącym mieczem. Blade książątko, samym swoim wyglądem przyprawiające patrzącego o gęsią skórę. Groźny wilczarz o inteligentnych, bursztynowych oczach. Curtis nachyla się, aby lepiej przyjrzeć się psu, szczególnie jego sierści, obroży, łańcucha. On i Danielle często rozmawiali o tym, że po przeprowadzce do East Lansdowne powinni sprawić sobie psa. Najlepiej dużego. Tymczasem mieszkają tam już prawie od czterech miesięcy, a psa jak nie było, tak nie ma. Curtis lepiej czułby się na wyjazdach, wiedząc, że Danielle ma przy sobie takiego obrońcę.

Nieopodal wejścia do muzeum zaczyna się renesans. Curtis rozpoznaje nazwiska zapamiętane ze swoich wypadów – w ramach przepustki – nad Morze Śródziemne: Lotto, Tintoretto, Tycjan. Szczególnie jeden wielki obraz wydaje mu się znajomy, chociaż nazwisko malarza – FRANCESCO BASSANO, 1549-1592 – nic mu nie mówi. Płótno nosi tytuł JESIEN i przedstawia grupę wieśniaków zbierających jabłka i ugniatających stopami winogrona w niesamowitej zielonkawej poświacie padającej z zachmurzonego nieba. Curtis nie jest pewien, co konkretnie zwróciło jego uwagę – może galopujący wysoko w obłokach centaur z błyskawicą w dłoni, który przypomina trochę te brodate bóstwa z mapy w lobby hotelowym. Przygląda się z bliska obrazowi, usiłując sobie przypomnieć, czy widział we Włoszech oryginał; dopiero po chwili dociera do niego, że oryginał ma właśnie przed sobą.

Ogląda najstarszy eksponat wystawy, portret poważnego kupca z 1436 roku, gdy do środka wpada Veronica. Na sam jej widok Curtisa ogarnia zdenerwowanie. Drzemka ucięta poprzedniego wieczoru na kanapie niewiele jej pomogła: nawet

z drugiego końca sali widać, że kobieta ma sińce pod oczami. Porusza się niezgrabnie, jak marionetka, jakby prowadziła ją niewidzialna ręka, a każdy kolejny krok zagrażał upadkiem. Sunie ku niemu, szurając stopami po jasnym parkiecie.

Ma na sobie białe buty do biegania i różowy dres w stylu Jennifer Lopez, który nie najlepiej się prezentuje na jej figurze; dodatkowo kłóci się z potarganymi włosami oraz bladością niewyspanej twarzy. Szeroki uśmiech ma być w zamierzeniu rozbajający, lecz za bardzo kojarzy się z małym grymasem, więc efekt jest dokładnie odwrotny.

Veronica podchodzi do Curtisa i skinieniem głowy wskazuje mu portret kupca. Już się takich nie widuje, co? – zagaduje.

Curtis ponownie przygląda się płótnu. Oczy kupca błyszczą przenikliwie w przydymionym półmroku, wpatrują się w niego, choć dzieli ich pięćset pięćdziesiąt lat. To prawda, przyznaje. Wygląda, jakby to było zdjęcie.

Bo to było zdjęcie, zaskakuje go Veronica.

Curtis mruga, patrzy na nią, przenosi spojrzenie na dębową deskę. W okolicy nosa i czoła kupca widać delikatne pęknięcia farby. Jak to? – pyta.

Ten obraz wykonano przy użyciu czegoś w rodzaju aparatu. Camera obscura, obrazy wyświetlane w zaciemnionym pomieszczeniu – mówi ci to coś? Oczywiście potem portret został namalowany. W piętnastym wieku nie znano sposobów chemicznego utrwalania obrazów. Van Eyck przy pomocy jakiegoś przyrządu optycznego dokonywał projekcji wizerunku modelu na płótno, a następnie malował to, co się wyświetliło.

Veronica odpycha Curtisa na bok i przysuwa się do ściany. Przeciąga dłonią przed płótnem, jakby pokrywała je farbą w spreju z niewidocznej puszką. Popatrz na te ramy, mówi. Zobacz, jak on jest oświetlony. Zwróć uwagę na tę miękkość, na te cienie. To samo znajdziesz w technice *sfumato* Leonarda, a później u Giorgione'a, Halsa, Rembrandta, Canaletta i Vermeera, z tym że to było już znacznie później. Ci kolesie mieli do dyspozycji różne sprytne soczewki. Van Eyckowi musiało wystarczyć wklęsłe zwierciadło. Ale zasada jest taka sama. Widzisz, jak gradacja tonalna wydobywa postać modelu i dodaje portretowi głębi? Od razu wiadomo, jaką techniką posłużył się artysta. Jeśli porównasz ten obraz z pracami hiszpańskich albo sienneńskich malarzy z tego samego okresu, przekonasz się, że są płaskie i jednowymiarowe jak król kier.

O czym ty mówisz? – gubi się Curtis.

Nie słyszałeś? Wszyscy wielcy malarze, wszystkie znane nazwiska – van Eyck, Leonardo, Giorgione, Rafael, Holbein, Caravaggio – korzystali w swojej pracy z przyrządów optycznych. To żadna nowina, kolego. Mówili o tym z rok temu w programie *60 minut*.

Curtis patrzy na nią zirytowany, po czym ponownie przygląda się kupcowi.

Spojrzenie sportretowanego zdaje się podążać za nim krok w krok.

Veronica cofa się w głąb pomieszczenia, balansując dziecinnie na poduszkach stóp. Tycjan ani Tintoretto nie posługiwali się wynalazkami optycznymi, mówi, wskazując na ściany galerii. Mimo to w ich obrazach widać wpływ sztuki optycznej. Ciemne tło? To też optyka. Obrazy otrzymywane dzięki camera obscura zawsze mają ciemne tło. A van Dyck? Kurczę blade, spójrz tylko na te marszczenia kryzy! Złudzenie optyczne jak nic! To samo masz u Lotto, chociaż akurat on sprytnie je ukrywa. A teraz popatrz na tego Pontorma. Zobacz, jak spieprzył proporcje. Posłużył się ciemnią optyczną, żeby dobrze namalować twarz i dłonie Marii, główkę małego Jezusa i jego rączkę. Reszta płótna jest jakby z innej bajki. Dłonie i twarze nie pasują do ciał. Gdyby ta Maria mogła zejść z obrazu, nadawałaby się na silnego skrzydłowego w NBA. Jej ręce mają gdzieś z półtora metra długości.

Veronica bierze Curtisa za łokieć i ciągnie go do następnej sali; mówi przy tym podniesionym głosem i szeroko gestykuluje. Gdy wychodzą z za załomu ściany, przed obrazem przedstawiającym wilczarza stoi jakaś młoda para w identycznych bluzach oraz spodniach khaki. Na widok rozprawiającej z ożywieniem Veroniki marszczą z przyganą brwi, jakby się znajdowali w Kaplicy Sykstyńskiej albo innym podobnym miejscu. Curtis rzuca im spojrzenie mówiące: „Pilnujcie lepiej własnego nosa”.

Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałem, odzywa się. Chcesz powiedzieć, że wszystko to zostało...

Tylko nie mów: „odrysowane”. „Odrysowane” brzmi lekceważąco, a przecież sama technika jest o wiele bardziej skomplikowana. Trzeba odpowiednio oddać tony i kolory. To wszystko nie jest takie proste. To nie tak, że ci kolesie oszukiwali. Musisz pamiętać, że rozmawiamy o Średniowieczu. W tamtych czasach malarstwo nie było tak jak dzisiaj czymś w rodzaju szlachetniejszej alternatywy dla fotografii, środkiem wyrazu pozwalającym na przekazywanie trudnych do opisanie słowami, nieprzemijających prawd. Nie. Dla tych ludzi był to jedyny sposób na utrwalanie obrazów. Nikt nie dbał o to, czy van Eyckowi udało się uchwycić indywidualną istotę modela: nie istniało wtedy pojęcie „indywidualnej istoty”. Jego współczesnych obchodziło jedynie, czy to coś na portrecie wygląda jak wujek Hubrecht, czy nie.

Veronica zwalnia kroku. Jej spojrzenie przesuwają się z płótna na płótno. Nigdy nie zrozumie, mówi, dlaczego ludzie tak nad tym wydziwiają. Wielkie rzeczy, malarz posłużył się przyrządem optycznym! Dlaczego robimy z tych gości superbohaterów? Studiowałam na Columbii, kiedy Hockney jako pierwszy zaczął o tym mówić i wierz mi, nikt nie chciał go słuchać. Wszystkich interesowała tylko czysta teoria: Bataille, Derrida, Lacan. Nikt nie dbał o to, jak te obrazy rzeczywiście powstawały. Jeśli ktoś próbował przytaczać argumenty odwołujące

się do nauki, technik malarskich, obserwacji empirycznych, patrzono na niego, jakby przyszedł naprawić kserokopiarkę. Nie chodziło o to, że nikt mu nie wierzył, po prostu nie miało to dla ludzi żadnego znaczenia.

Wyraźnie traci impet i koncentrację. Napięcie ściąga jej twarz, napina mięśnie ramion. Zapomniałem, że studiowałaś sztukę, wtrąca Curtis.

Historię sztuki, poprawia go Veronica. Nie sztukę. To dwie zupełnie różne dziedziny, o czym zresztą szybko się przekonałam.

Przez jakiś czas poruszają się w milczeniu. Zatopiona w myślach Veronica wbija wzrok w parkiet. Curtis idzie obok, rozgląda się po ścianach. Wcześniej wyobrażał sobie, że obrazy z nią rozmawiają, powierzają jej swoje sekrety w języku, którego on nigdy nie zdoła zrozumieć ani nawet usłyszeć. Teraz, gdy Veronica nie patrzy na nie, zdają się ciemnieć jedne po drugich jak okna starych kamienic.

Często tutaj przychodzisz? – zagaduje ją. Do tego muzeum?

Veronica śmieje się, podnosi głowę. Od tygodnia co wieczór jestem w tym kasynie, mówi. Za każdym razem spędzam tu przeciętnie sześć godzin i gram za minimum stówę. Wypiłam tyle darmowych drinków, że jedną z wież powinni nazwać moim imieniem. Bokiem wychodzi mi już tutejsze ossobuco i foie gras. Więc kiedy trafiają się darmowe bilety do muzeum, myślę sobie: „Czemu nie?”. Lubię to miejsce. Jest cicho i można się tutaj ukryć.

Ukryć? Przed kim?

Veronica uśmiecha się, kręci głową. Właśnie sobie przypomniałam, mówi, że od rana nic nie jadłam. Skoczmy razem na lunch? Mam masę różnych voucherów.

Już jadłam, ale mogę ci potowarzyszyć. Bezpiecznie się tutaj czujesz? Uśmiecha się krzywo – trochę jak wariatka – i przysuwa bliżej Curtisa. Jest może z centymetr wyższa od niego. No cóż, odpowiada, wiem, że mnie obronisz. Mam rację?

Curtis staje. Veronica odwraca się do niego. On bada wzrokiem jej twarz w poszukiwaniu czegoś, co zdradzi jej zamiary – jakiejś poszlaki świadczącej o tym, że dziewczyna próbuje go w coś wkręcić – choć dobrze wie, że jego wysiłek pójdzie na marne. Veronica przewyższa go pod każdym względem. Jeżeli nawet go rozgrywa, to trudno: pozwoli się rozgrywać. W tej chwili tylko taki ruch może zrobić.

Posłuchaj, mówi. Pytałaś mnie wcześniej, czy jestem jedynym człowiekiem przysłanym tu przez Damona, żeby odnaleźć Stanleeya, a ja potwierdziłem. Tak mi się wtedy wydawało, ale nie miałem racji. Jest jeszcze ktoś. Miejscowy. Biały, wysoki. Na oko kawał sukinsyna. Każe sobie mówić Albedo. Znasz go?

Jej twarz pochmurnieje; Veronica kręci głową. Curtis widzi, że dziewczyna nie kłamie.

Wobec tego powinnaś uważać i trzymać się od niego z daleka. Gość chce ci narobić kłopotów.

Damon go nasłał?

Tak.

Ale nasłał też ciebie.

Veronica zaciska szczęki, marszczy czoło. W jej spojrzeniu widać więcej wściekłości niż strachu. Przez ułamek sekundy Curtis spodziewa się, że dziewczyna go pogryzie. Ucieka wzrokiem w bok.

Więc po jaką cholerę mnie przed nim ostrzegasz, skoro gracie w jednej drużynie?

Chcę to załatwić po mojemu, wyjaśnia jej Curtis. Tylko tyle. Ona obraca się na pięcie, w milczeniu robi kilka kroków i znów się zatrzymuje, wpatrzona w podłogę. Po chwili podnosi głowę i spogląda ponad ramieniem Curtisa na płótna wiszące po jego prawej stronie. Jest spokojniejsza, opiera dłoń na wysuniętym biodrze. Jej postawa przywodzi mu na myśl podróżnika badającego zdradliwą dolinę. Kojarzy mu się też z pewną dziewczyną z Santa Barbara, z którą chodził przez kilka tygodni podczas swojego jedyne go semestru na kalifornijskim Uniwersytecie Luterzańskim.

Zobacz, co się dzieje po roku 1839, odzywa się ona.

Curtis podąża za jej spojrzeniem, omijając wzrokiem roznegliżowaną Venus, na którą się wcześniej gapił. Veronica patrzy na dwa późniejsze obrazy: jeden przedstawia stóg siana, drugi kwitnącą łąkę. Spomiędzy drzew prześwituje staw. Zamaszyste maźnięcia pędzlem tworzą mozaikę jaskrawych kolorów. Curtis przygląda im się przez moment, usiłując dostrzec coś, co najwyraźniej widzi jego towarzyszka; potem jednak jego wzrok przesuwa się po płaszczyźnie sztucznie skorodowanej stali i znów pada na Venus. Na jej wysoko upięte włosy i drobne białe piersi. Na jej leniwy uśmiech. Skądś dosięga ją promień przedpołudniowego słońca i w jego świetle kobieta na obrazie zdaje się przeciągać, budzić ze snu. Pulchne, uniesione ramię przesłania częściowo twarz. Jedyne widoczne oko spogląda na niego z nieskrywanym pożądaniem.

Tysiąc osiemset sześćdziesiąty piąty i tysiąc osiemset osiemdziesiąty rok, mówi Veronica. Corot i Monet. Po raz pierwszy od czterystu lat obrazy zaczynają się spłaszczać. Rok tysiąc osiemset trzydziesty dziewiąty to początek fotografii chemicznej. Ręczne odtwarzanie projekcji z camera obscura przestaje być nagle doceniane. Odtąd wyzwaniem jest przedstawianie świata takim, jakim odbiera go umysł, nie oko. Nie chodzi już o to, aby uchwycić jakiś obiekt, ale o sam akt postrzegania. Tradycja monokularna – oko i kciuk, płaszczyzna obrazu i soczewka, złudzenie głębi – odchodzi do lamusa. Teraz liczy się para oczu i mózg między nimi. Płaskie źrenice i płaskie płótna. Oko, które samo siebie oszukuje. Oto narodziny sztuki współczesnej.

Curtis zerka na nią niepewnie, lecz ona wcale na niego nie patrzy. Jej spojrzenie śmiga po ścianach w górę i w dół w pogoni za jakąś myślą, za zapisaną tam opowieścią. Mówi coś sama do siebie. Trudno osądzić, ile wie o Curtisie, ile już zdążyła zapomnieć.

W końcu jej uwaga skupia się na Wenus; Veronica szczyrzy zęby w wilczym uśmiechu. Ale z niej ślicznotka, co? – mówi. Widać, że już sto lat przed wynalezieniem fotografii ludzie się nudzili. To sztuczka stara jak świat: ty patrzysz na nią, ona patrzy na ciebie. Usiłuje ci zaleźć za skórę przez oczy. Co jak co, ale stare sztuczki są najbardziej żenujące. Joshua Reynolds miał camera obscura, którą można było złożyć i powstawała książka.

Przez dłuższy czas stoją ramię w ramię, całkiem nieruchomi. Curtis niemal czuje w klimatyzowanym powietrzu jej szybkie, równe tętno.

Pojedyncze oko Wenus składa się z samej źrenicy, szerokiej i bezdennej. Namalowane za nią czerwone zasłony zamarły wydęte wiatrem; w ich fałdach ciemniej zaplątane plamy mroku. Jej poza – prawy łokieć wzniesiony nad głowę – nie wygląda na zbyt komfortową. Jasnowłosy Kupidyn, ciągnący za koniec szarfy, którą jest przepasana, nigdy jej nie rozwiąże. Zastaniająca oblicze dłoni nigdy nie opadnie.

Chodźmy, odzywa się wreszcie Veronica. Wjedziemy na górę. Kupię ci pączka.

Przestrzeń pomiędzy automatami do gry a Pałacem Dożów roi się od grupki facetów w średnim wieku, ubranych w koszulki polo oraz identyczne, czerwono-białe czapki z daszkiem i logo sklepu Ace Hardware. Niektórzy ciągną walizki na kółkach, inni mają policzki zaczerwienione od popołudniowych drinków, wszyscy zaś przekrzykują się między sobą z prymitywną uciechą nieuków w ostatnim dniu roku szkolnego. Curtis i Veronica przeciskają się między nimi. Veronica idzie pierwsza, kawałek przed Curtisem; jest czujna i opanowana, obraca głową raz w jedną, raz w drugą stronę jak polująca lwica. Curtis dostrzega rytmiczny ruch jej łydek oraz barków i wraca myślami do piątkowego wieczoru, gdy zobaczył ją przy stole do blackjacka: jej kręgosłup niczym antena nachylał się w stronę kart.

Wchodzą na schody ruchome. Veronica opiera się o gumowaną poręcz i spogląda w górę na wielkie, owalne malowidło na suficie: przedstawia ono krzepką, jasnowłosą królową na tronie z chmur, koronowaną przez lewitującego nad nią aniołka. Curtis stoi dwa stopnie niżej, z głową na wysokości żeber Veroniki. Dzięki temu dostrzega, że suwak jej winylowej torebki jest w dwóch trzecich rozsunięty, i przypomina sobie małego SIG-a, z którego poprzedniego wieczoru w niego celowała. Fakt, że jest uzbrojona, powinien go niepokoić, ale tak nie jest; Curtis sam nie wie, dlaczego odczuwa ulgę. A potem na ułamek sekundy ogarnia go przekonanie, że nie ujrzy już Stanleya Glassa wśród żywych. Uczucie to rozwiewa się jak dym, gdy Curtis podąża za Veronicą do Wielkiej Sali.

W drodze do sztucznego nieba mijają kolejny żywy posąg – a może ten sam, który widział minionego wieczoru, trudno powiedzieć: ta sama biała twarz, te same szaty, ta sama okrągła czapeczka na głowie. Od przechodzących oddziela go marmurowa balustrada usłana wymiętymi banknotami. Veronica nawet nie zerka w jego stronę.

W wydzielonej części gastronomicznej wstępują do Krispy Kreme, gdzie Veronica wymienia voucher na pół tuzina pączków z lukrem. Wracają z nimi nad Canale Grande, żeby pospacerować wzdłuż bariery i posłuchać okrzyków oraz śpiewów gondolierów kursujących w dole po chlorowanej wodzie. Ile kosztuje taki rejs? – chce wiedzieć Curtis.

Pewnie z piętnaście dolców. We Włoszech za podobną przyjemność wybuliłyś stowę.

W ich stronę zmierza trupa aktorów commedia dell'arte – kurtyzana i tchórzliwy pyszałek Scaramuccia w masce na twarzy, napastujący postać przypominającą Napoleona – Veronica gwałtownie skręca w lewo, na most, żeby ich wyminąć. Przytulające się nad kanałem starsze małżeństwo drga przestraszone.

Kobieta z trwałą ondulacją spogląda na Curtisa, na Veronicę i znów na Curtisa. Mruży oczy. Jej mąż – opalony, siwowłosy, w narzuconym na ramiona swetrze – kładzie dłoń na jej plecach, przesuwa ją na bok.

O rety, chichocze Veronica, czyżbyśmy zabłądzili na plan reklamy viagry?

Wyjmuje pączka z pudełka i nachyla się, żeby go zjeść, opierając łokcie na marmurowej balustradzie. Lukier osypuje się z jej palców i znika w wodzie. U podstawy kręgosłupa dziewczyna ma spory tatuaż; Curtis zerka na niego ukradkiem, odwraca wzrok, znowu zerka. Tatuaż przedstawia drzewo z siedmioma konarami, z których każdy jest w jakiś sposób oznakowany: wizerunkami Słońca i Księżyca, symbolami męskim i żeńskim, czymś, co przypomina czwórkę, a może dwójkę oraz czymś, co wygląda jak bemol albo małe b. Symbole wydają się znajome, lecz Curtis nie potrafi ich skojarzyć. Najwyższy siódmy konar jest ukryty pod koszulką. Pod drzewem widnieją dwie postacie; znad paska wystają tylko ich głowy. Rysunek wykonano czarnym tuszem na podobieństwo starego drzeworytu. Curtis myśli o własnych tatuażach – orle z kulą ziemską i kotwicą na prawym ramieniu, piekielnym psie marines na lewej piersi – których zarysy zatarły się z czasem. Drzewo Veroniki ocenia na minimum osiem, dziewięć lat.

Spójrz na nich, odzywa się Veronica i ruchem głowy wskazuje ową starszą parę, która, trzymając się za ręce, przechadza się teraz pod kolumnadą. To takie pospolite, że aż się chce rzygać. Przyjeżdżajcie do atrapy miasta! Doświadczcie atrapy kultury! Kupujcie i konsumujcie własne reifikowane emocje! Hurra! Kolejne nieudane małżeństwo uratowane! Cholera, gwarantuję ci, że pierwszą rzeczą, jaką ten koleś zrobi, kiedy przyjedzie tu znowu w listopadzie na targi komputerowe, będzie przebranie się w puchaty biały szlafrok i zamówienie dziewiętnastoletniej call girl na rozkoszne pół na pół. Wróci do tego hotelu, bo przecież spędził tu tak przyjemnie czas ze swoją żoną, nie dostrzegając żadnej sprzeczności we własnym postępowaniu. I będzie miał rację.

Kończy pączka, oblizuje czubki palców. Nie cierpię tego miejsca, Curtis, mówi. A najbardziej nie cierpię tego, że ma swoje zalety i że czasami mi się tu podoba. To taka ulga uprawiać outsourcing swoich myśli i uczuć. Nie musisz się martwić, czy będziesz oryginalny, bo coś takiego jak oryginalność zwyczajnie tu nie istnieje. Wszyscy trzymają się gotowego scenariusza. Całkiem jak na balu maturalnym, tyle że dochodzą jeszcze hazard i zakupy.

Słuchaj, odzywa się Curtis, mogę ci zadać jedno pytanie?

Pewnie.

Chciałaś się ze mną spotkać z jakiegoś konkretnego powodu czy żeby po prostu pogadać? Jedno i drugie mi pasuje, ale jeśli mamy ubić interes, wolałbym mieć to już z głowy.

Veronica śmieje się cicho, prostuje plecy i tatuaż znika. Zaprosiłam cię tutaj z konkretnego powodu, przyznaje. A mianowicie żeby pogadać. Z rana

zadzwoiłam do paru osób w Filadelfii i Waszyngtonie, żeby cię sprawdzić. Wszyscy zasadniczo powtarzali to samo: honorowy gość, trochę konserwatywny. Niezamieszany w nic poważnego. W Atlantic City nikt o tobie nie słyszał, co uznałam za dobry znak. Najpierw jednak, zamiast wymachiwać ci bronią przed nosem, chciałam sama cię wy badać.

Doceniam to. I jak wypadłem?

Nieźle. Potrafisz słuchać. Gdybyś jeszcze popracował nad poczuciem humoru, byłoby już całkiem dobrze. Kiedyś uszczęśliwisz jakąś młodą damę.

Dzięki. Mogę zapytać, z kim rozmawiałaś w Philly i D.C.?

Zapytać możesz. Ale ja ci nie powiem.

Uśmiecha się do niego, ale umyka spojrzeniem w bok i Curtis zaczyna ją uważniej obserwować, pewien, że jest blisko ważnego odkrycia. Od lat nie poruszali się z Veronicą po tej samej orbicie, więc dziś rano mogła rozmawiać tylko z jednym człowiekiem.

Ona odwraca się do niego tyłem, przechodzi przez most i drugim brzegiem kanału wraca tam, skąd wcześniej przyszli. Curtis zrównuje się z nią, idzie z lewej strony.

Gdzieś z tyłu za nimi Napoleon i kurtyzana, przesadnie gestykulując, śpiewają w duecie gościom restauracyjnego ogródka. Ich głosy mieszają się i kłócą z sączącym się przez głośniki Vivaldim, szmerem rozmów przechodniów i stłumionym szumem klimatyzacji w tle. Dokładnie na wprost nich niemiecka rodzinka – *ein Papa, eine Mama und zwei Kinder* – pilnie studiuje podświetlaną mapę centrum handlowego; ostre rysy ich uduchowionych twarzy błyszczą w padającej od dołu złotej poświacie, jakby zaglądali do wnętrza świętego przybytku.

Uważam, że powinieneś wracać do domu, Curtis, mówi Veronica. Teraz, zaraz. Nie ma powodu, żebyś tutaj był. Lepiej się w to nie mieszaj.

W nic się nie mieszam, tylko szukam Stanleya. Próbuję mu pomóc.

Dziewczyna rzuca mu spojrzenie pełne irytacji – takim samym spojrzeniem mierzy go często Danielle, kiedy ją czymś wkurzy; na tę myśl trudno mu powściągnąć uśmiech. Nie osłabiaj mnie, Curtis, mówi Veronica. Damon Blackburn? Człowieku, przejrzyj w końcu na oczy. Wiem, że to twój dawny kumpel z wojska czy coś w tym rodzaju, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że to szemrany gość.

Nie, nic o tym nie wiem. Może mnie oświecisz?

Veronica robi głęboki wdech, otwiera usta, żeby coś powiedzieć, i po cichu wypuszcza powietrze. Powtarza się to kilka razy. Zwalnia kroku, zwiesza głowę, garbi ramiona. Przez ułamek sekundy Curtis obawia się, że dziewczyna zaśnie na stojąco na chodniku.

Chciałabym się dowiedzieć, odzywa się wreszcie Veronica, co dokładnie

powiedział ci Damon. O kredycie, którego udzielił Stanleyowi, i o szulerach, którzy obrobili The Point. Chciałabym też wiedzieć, co dokładnie masz dla niego zrobić i dlaczego.

Curtis zastanawia się, jak najlepiej odpowiedzieć. Nie ma wiele do ukrycia i dochodzi do wniosku, że nic się nie stanie, jeśli wyłoży karty na stół. Damon gadał, że w imieniu kasyna pożyczył Stanleyowi dziesięć kawałków, mówi. Wkrótce potem szulerzy obrobili The Point i kilka innych kasyn. Stanley przestał odbierać telefony od Damona, a ten boi się, że jeśli Stanley nie spłaci długu w terminie, kierownictwo Spectacular uzna, że miał coś wspólnego z szajką szulerów i wywali go za sfinansowanie przekrętu. Poprosił mnie, żebym odszukał Stanleya i poinformował go o tym. To wszystko.

A ty mu uwierzyłeś.

Właściwie to nie.

Dlaczego nie?

Curtis waży słowa. Damon i Stanley się ze sobą przyjaźnią, mówi. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby Stanley pożyczał kasę od przyjaciela.

Veronica zamyka oczy i się uśmiecha. Najwyraźniej udzielił właściwej odpowiedzi, czeka więc, co się teraz wydarzy. Ona wciąż się chwieje, kołysze z boku na bok i Curtisiowi przychodzą na myśl pacjenci z urazami kręgosłupa poznani podczas fizjoterapii, a także japońskie tancerki widziane kiedyś na Okinawie.

Te dziesięć kawałków to nie była ze strony Damona żadna uprzejmość, odzywa się Veronica. Ta kwota miała pokryć koszty zmontowania ekipy przez Stanleya.

Curtis mruga powiekami. Cholera, mówi.

Stanley i ja odwaliliśmy całą czarną robotę. Damon pomógł przy rekrutacji. On także wniósł większość pieniędzy. Nikt poza Stanleyem miał nie wiedzieć o jego udziale, ale oczywiście Stanley powiedział o tym mnie, na wypadek gdyby coś miało się stać.

Głos Veroniki jest płaski i zmęczony, wypowiedź precyzyjna, ale nie przećwiczona. Słuchając jej, Curtis czuje się jak na przejażdżce kolejką górską: puls mu zwalnia, żołądek faluje. Nie spodziewał się tego, ale z drugiej strony nie jest też zaskoczony. To wszystko ma sens.

Było nas dwanaścioro, ciągnie Veronica. Pracowaliśmy w dwóch zespołach. Wielkie kasyna wyćwiczyły się w namierzaniu ekip szulerów, ale my nie daliśmy im żadnych szans. Przemieszczaliśmy się między stołami jak ameby, niewidoczni. Przezroczyści. Gdy tylko jakiś inspektor zaczynał za bardzo węszyć, zmienialiśmy kształt. Tamci wiedzieli, że coś się kroi, ale ilekroć zgarniali jednego z naszych, gdzie indziej robili miejsce dla kogoś innego. I tak w kółko. W dodatku Damon wyłożył olbrzymią kasę. Ja sama zaczęłam dzień z dwustoma tysiącami w torebce

od Betsey Johnson. A byłam tylko pionkiem.

Zaczekaj, mówi Curtis. Twierdzisz, że Damon pomógł wam zmontować ekipę. Skąd pomysł, żeby obrobić własne kasyno? To się nie trzyma kupy.

Nie obrobiliśmy Spectacular.

Curtis kręci głową, żeby zebrać myśli. Przecież The Point straciło więcej niż...

Posłuchaj mnie uważnie. Na The Point nie zarobiliśmy nawet dziesięciu centów. Spodziewali się nas i natychmiast wykluczyli od gry. Ochroniarze obstąpili nas, ledwo przekroczyliśmy próg kasyna. Za każdym razem, gdy wartość kart w talii rosła, obniżali limit dla danego stołu do minimum, żeby przyciągnąć drobnych graczy. Ilekroć namierzyliśmy słabego krupiera, zaraz go wymieniali. Zupełnie jak z grą w kółko i krzyżyk: musielibyśmy spędzić tam całą noc, żeby wyjść na czysto. Po godzinie się poddaliśmy. Kierownik zmiany czekał na nas przy wejściu, żeby nam wręczyć te tandetne koszyczki z szamponem, balsamem i tym podobnym szajsem. Szeroko się przy tym uśmiechał. Więcej szczęścia następnym razem, dupki.

Ale...

Słuchaj dalej. Mieliśmy z Damonem taką umowę, rozumiesz? The Point miał być naszym ostatnim przystankiem, mieliśmy wejść i pozwolić się zidentyfikować. Później tego samego dnia Damon miał się pojawić w pracy ze zrzucenymi z monitoringu zdjęciami nas wszystkich, palnąć przed szefostwem krótką mówkę w stylu „jesteśmy świetni, byle tak dalej” i zostać okrzykniętym bohaterem. Za rozbicie szajki szulerów należało mu się natychmiastowe wprowadzenie do galerii sław kasyna. „Spectacular – jedyne kasyno, którego nie zdołali obrobić!” Wyobrażasz sobie te nagłówki? Pamiętaj, że Stanley i ja jako jedyni wiedzieliśmy o jego udziale w całej sprawie. Reszta ekipy odbijała się od stołów i pieniała z wściekłości. Nie mogli zrozumieć, dlaczego tak szybko nas namierzono. Nie musieli nawet udawać zaskoczonych.

Veronica, wtrąca Curtis. Ale tej samej nocy kasyno Spectacular *zostało* obrobione przez szulerów.

Nie przez nas.

W takim razie co tam się, do cholery, stało?

Dziewczyna teatralnie wzrusza ramionami. Ostatnie wieści z Atlantic City są takie, mówi, że szefostwo The Point zawiadomiło gliny. Wiesz równie dobrze jak ja, że zazwyczaj kasyna unikają podejmowania tak ostatecznych kroków, muszą być zatem pewne, że mają zdrajcę w szeregach. A jak to tłumaczy Damon?

Nie mam pojęcia. Ze mną nie chce o tym gadać.

Kiedy ostatni raz rozmawialiście?

Od czasu mojego wyjazdu z Philly? Ani razu. Damon nie przepada za telefonami. Woli się kontaktować za pośrednictwem faksów. Co jest zresztą

zabawne, bo nie znam drugiego takiego dyslektyka jak on. Za cholere nie potrafi literować.

Zaczyna go boleć czoło od ciągłego marszczenia. Zsuwa w dół okulary, żeby sobie rozmasować skronie. Próbuje się odprężyć. Nawet jeśli to była robota sterowana przez kogoś z wewnątrz, mówi, ktoś od was musiał o tym wiedzieć. Działania musiały być w jakiś sposób skoordynowane. Stwierdziłaś, że wasza ekipa spędziła w The Point godzinę, dopiero potem się poddaliście. Potrafisz powiedzieć, gdzie każdy z was był i co dokładnie robił?

Veronica długo zastanawia się nad odpowiedzią. Curtis dochodzi do wniosku, że się nie doczeka, i zaczyna układać w myślach inne pytanie, gdy ona w końcu się odzywa.

Ekipa była podzielona na dwa zespoły, mówi. Ja kierowałam jednym, a drugim jakiś koleś – mówił, że nazywa się Graham Argos. Nie znałam go wcześniej i Stanley też go chyba dobrze nie znał. Ale koleś był niezły, naprawdę niezły. Jeden z tych bystrzaków z MIT, przynajmniej twierdził, że tam studiuje. Świetny szuler i pierwszorzędny aktor. Całkowicie wtapiał się w tłum. Rozmawiałam z nim pięć czy sześć razy – to były naprawdę długie rozmowy – mimo to wciąż nie wiem, czy rozpoznałabym go na policyjnym okazaniu. Za każdym razem, kiedy go widziałam, wyglądał trochę inaczej.

Veronica patrzy Curtisowi prosto w twarz, ale wzrok ma rozbiegany i nie sposób stwierdzić, czy zamiast niego nie widzi kogoś innego. Może coś wspomina? Jakiś kwadrans po naszym wejściu do kasyna, ciągnie, Graham gdzieś przepadł. Zobaczyliśmy go dopiero po powrocie do apartamentu w Resorts, gdzie mieliśmy się podzielić zyskami. Już na nas czekał. Opowiedział historyjkę o tym, jak go dopadła ochrona Spectacular. Grozili mu i nie chcieli się odczepić, więc zwyczajnie przestraszył się i zwiął. Wtedy mu nie uwierzyłam. Uznałam, że poddał się wcześniej od nas i po prostu nie chciało mu się czekać na pozostałych. Teraz nie jestem już tego taka pewna.

Nadal jesteście w kontakcie? Rozmawiałaś z nim ostatnio?

Nie, zaprzecza Veronica. Ale ty – owszem.

Świstak! Ten gówniarz z przerwą między zębami.

Veronica kiwa głową. Ma takie nakładki, których czasami używa. To się chyba nazywa licówka. Nie licz więc za bardzo, że go rozpoznasz po tej przerwie.

W głowie Curtisa jak na tablicy dworca kolejowego przy Trzydziestej Ulicy przeskakują kolejne zakładki. Próbuje przypomnieć sobie wszystko, co Świstak – Argos – powiedział mu wczoraj przez telefon. Cały czas powracają te same zdania: „Wiem, co się wydarzyło w Atlantic City. To mnie tak naprawdę szukasz”. Veronica, odzywa się Curtis, skoro ani ty, ani Stanley nie znaliście wcześniej Argosa, to skąd się wziął w waszej ekipie?

Veronica uśmiecha się, ale głos ma szorstki, zagniewany. Damon wypatrzył

Grahama w The Point jakieś pół roku wcześniej, wyjaśnia. Pracował wtedy w duecie ze słabszym partnerem. Tylko dlatego Damon go spalił. Widział, że Graham jest dobry. Zamiast wyrzucić go z kasyna, wciągnął go na swoją listę płac jako gracza pozycyjnego. A kilka miesięcy później pewnego wieczoru zagadnął Stanleya, czy nie miałby ochoty zmontować wspólnie z nim ekipy do blackjacka. Przez wzgląd na dawne czasy. Bo poznał akurat tego młodego bystrzaka – reszty możesz się sam domyślić.

Kurwa mać, mamrocze Curtis.

Sięga pamięcią daleko wstecz, przesiewa lata wspomnień. Wraca myślami do Damona w Leonard Wood, w Twentynine Palms. Napływają strzępki tego, co mówił, wyraz jego twarzy w pewnych momentach. To, że zawsze zdawał się trzymać trochę z boku, podkrecał innych i patrzył, jak się zagryzają. Curtis łączy w swoim umyśle różne fakty, dostrzega związki, których dotąd nie umiał albo nie chciał zobaczyć.

Curtis, mówi Veronica. Ja nie żartuję. Powinieneś wracać do domu.

On w tej chwili o niczym innym nie marzy. Nos go swędzi, a twarz czerwienieje, gdy poraża go pewne wspomnienie: coś, o czym nie myślał ze dwadzieścia lat albo i dłużej. Chodzi o wspólny wypad nad ocean z ojcem, Stanleyem oraz ich kumplami od kart. Curtis nie mógł mieć wówczas więcej niż sześć, siedem lat. Ktoś opowiedział mu historię pirackiego skarbu, więc znalazł zardzewiałą puszkę, wybrał dogodnie miejsce na plaży i spędził całe popołudnie, przerzucając piasek, podczas gdy pozostali wyglupiali się w wodzie. Kiedy wykopał dół sięgający do pasa, pobiegł po Stanleya, lecz zanim wrócili, dół napełnił się wodą. „Przestań biadolić, mały. To na nic. Musisz znaleźć mapę. Wierz mi na słowo: opowieść a mapa to dwie różne rzeczy”. Curtis nie ma mapy. Przez te wszystkie lata wciąż się niczego nie nauczył. Wystarczy odpowiednia bajeczka, żeby zaczął kopać.

Mruga oczami, podnosi głowę. Dochodzą do końca pasażu pod sztucznym niebem. Curtis myśli o broni przy pasku, o ślubnej obrączce zamkniętej w sejfie na górze, o Albedzie kursującym po Las Vegas Strip w swoim wielkim czarnym aucie. Miał szczęście. Wszystko mogło się ułożyć znacznie gorzej.

Ale jeszcze nie skończył. Gdzie był Stanley? – pyta.

Hm?

Kiedy wasza ekipa krążyła po Spectacular. Gdzie wtedy był Stanley?

Przez krótką chwilę Veronica wygląda, jakby czegoś nie rozumiała. Był w hotelu, mówi. W Resorts. Graham i ja kierowaliśmy zespołami w terenie. Stanley towarzyszył nam na samym początku, w kilku pierwszych kasynach, ale to wszystko. Szybko się zmęczył.

Krzywi się i odwraca wzrok, udając, że zainteresował ją manekin na wystawie sklepowej. Stanley nie jest tak sprawny jak dawniej, dodaje. Żeby móc

dobrze funkcjonować w takim zespole jak nasz, trzeba się szybko ruszać. On nie daje już rady.

Jest bardzo chory, prawda?

Nie wiem. Nie chce pójść do lekarza. Stale go namawiam, żeby się przebadał. Groziłam, że po prostu wezwę pieprzoną karetkę. I pewnie powinnam była to zrobić. A teraz...

Mówi spokojnym tonem, ale cały czas odwraca wzrok. Dłonie ma zaciśnięte w pięści. Sztuczne niebo niknie gdzieś za nimi. Z przodu za marmurową balustradą tkwi żywy posąg – plama czystej bieli, samotna świeca wśród mroku.

Wydaje mi się, że on się po prostu nudzi, odzywa się Veronica. Pragnie wyzwania, które byłoby go godne. Obawia się, że zmarnował swój jedyny prawdziwy dar.

Curtis przytakuje z roztargnieniem; jego myśli wciąż krążą wokół tego, czego nie pojmuje. Nagle zauważa grymas niezadowolenia na twarzy Veroniki.

Nie mam na myśli hazardu, mówi dziewczyna. Tylko patrzenie.

Przez moment milczy, a potem pyta. Znasz Franka Stellę?

To szuler?

Malarz. Postabstrakcjonista. Jeden z moich profesorów mi o nim opowiadał. Stella uważał, że Ted Williams – ten z Galerii Sław, pałkarz drużyny Red Sox – otóż Stella uważał go za najwybitniejszego żyjącego Amerykanina. Miał go za geniusza, ponieważ Williams dostrzegał wszystko szybciej od innych. Potrafił policzyć przeszycia na przelatującej przez boisko piłce rzuconej z prędkością stu czterdziestu czterech kilometrów na godzinę. Frank Stella pokochałby Stanleya Glassa. Dla Stanleya patrzenie to działanie. Czyste, bezcielesne zjawisko. Zamach i uderzenie nie są nawet potrzebne. Samo spojrzenie zapewnia zaliczenie wszystkich baz.

Ponownie są w Wielkiej Sali Pałacu Dożów. Wzrok Veroniki jest utkwiony w suficie: w korpulentnej królowej i jej alegorycznym orszaku unoszącym się nad widzami. Jeźdźcy w zbrojach galopują na rącznych ogierach. Heroldowie i anioły dmą w trąby. Skrzydlaty lew z kamienia tkwi na swoim postumencie. Między białymi spiralnymi kolumnami wiszą szare cumulusy. Curtis idzie w milczeniu obok, odruchowo podąża za spojrzeniem Veroniki, mimowolnie rejestrując treść olbrzymiego malowidła. Rozmyśla o sztuczce, jaką zwykł wykonywać Stanley: ojciec Curtisa rzucał talią kart przez całą długość pokoju – „Zagrajmy w pięćdziesiąt dwie karty!” – Stanley zaś je zbierał, odgadując kolejno wartość każdej, zanim ją odsłonił.

Zjeżdżają w dół schodami ruchomymi. Zachodzące słońce płonie pomarańczowo w otwartych drzwiach Pałacu Dożów. Kolesie z Ace Hardware zdążyli się rozejść i w holu zrobiło się nieco luźniej. Kręci się tam teraz zamaskowany mattacino: pręży bicepsy i porównuje je z bicepsami jednego

z ochroniarzy.

Wzrok Veroniki jest wciąż zwrócony w górę. Veronese, mówi, wskazując palcem. Miał gość jaja, nie? Zwróć uwagę na tę wymuszoną perspektywę. Zobacz, jak muskularni są ci faceci w dole obrazu. Założę się, że kiedy odsłonięto oryginał w Sali Wielkiej Rady, ludzie bali się pod nimi stawać. Widziałeś go kiedyś?

Oryginał? – upewnia się Curtis. Tak mi się zdaje. Parę lat temu, jak byłem we Włoszech na przepustce. Stanley nadal mówi o tym, żeby tam pojechać?

Owszem, bez przerwy.

No to dlaczego nie pojedzie? Brakuje mu kasy?

Nie. Pieniądze nigdy nie stanowiły dla niego problemu. Po prostu nigdy nie miał paszportu.

Veronica schodzi ze schodów ruchomych i szybkim krokiem kieruje się do wyjścia. Curtis idzie za nią, niepewny, dokąd ona właściwie zmierza. Mattacino spostrzega przechodzącą dziewczynę i uchyla przed nią czapki z piórkiem – *Come sta, bella?* – lecz Veronica wymija go, nie zwalniając kroku. Olewa faceta, nie zaszczycając go choćby jednym spojrzeniem, i chwilę potem jest już na zewnątrz.

Curtis dogania ją przy balustradzie nad zewnętrznym kanałem. Słońce zsuwa się ku górom – wielkie i miękkie, niczym żółtko na przechylonej patelni – niebo zaś jest żółtą płataniną smug kondensacyjnych, tu i ówdzie przetykaną delikatnym różem. Veronica ssie paznokcie kciuka, ręce ma skrzyżowane na piersi. Niewidzącym wzrokiem wpatruje się w zacumowane gondole. Chryste, wzdryga się. Nie cierpię takich jak ten tam. Ludzie w maskach przypominają mi o gęsią skórce.

Curtis marszczy brwi, lecz zaraz się uśmiecha i zerka na jej profil. Chyba że chodzi o ciebie. Tobie wolno nosić maskę. Zgadza się? Veronica przytakuje. Kiedyś tak, mówi. Jak byłem mała, w tygodniu, w którym przypadało Halloween, codziennie chodziłam w masce. Nie chciałam jej zdejmować nawet przed wejściem do wanny. Mama przynosiła do domu takie niebieskie maseczki żelowe ze spa, w którym pracowała, a ja w nich spałam. Tylko tak potrafiłam usnąć. Bez maski przez całą noc przewracałam się z boku na bok i zastanawiałam, jak odtąd mogę być pewna, kto jest kim. Albo że ja to ja. Moja biedna mama stale prowadziła mnie do jakichś terapeutów. Test MMPI zaliczyłam chyba ze sześć razy, zanim w ogóle usłyszałam o teście kompetencyjnym dla uczniów szkół średnich.

Curtis opiera się o balustradę po lewej stronie Veroniki, patrzy w dół na wodę. Jakiś facet z długim aluminiowym drągiem zakończonym siatką wyławia z powierzchni kanału śmieci. Przesuwa go w przód i w tył, przez co wygląda jak gondolier bez łodzi.

Veronica zmienia pozycję, przysuwa się bliżej Curtisa. Musiała rano wziąć prysznic w pokoju na górze, zanim wyszła, bo pachnie hotelowym mydłem. A co ty robiłeś? – zagaduje go. Za kogo się przebierałeś w Halloween, jak byłeś mały?

Curtis nie patrzy na nią. Moi dziadkowie byli świadkami Jehowy, odpowiada. Nie pozwalali mi się bawić w Halloween.

Jednocześnie przypomina mu się przyjęcie, na które wybrał się kiedyś w Springfield z chłopakami z Leonard Wood. Ciemne okulary, grafitowy garnitur, w którym był na pogrzebie babki. Między jego uchem a wewnętrzną kieszenią marynarki wił się przewód słuchawki. Damon też tam był, w wojskowym fraku i dwurożnym kapeluszu na głowie – licho wie, skąd to wytrzasnął. Głupich rzeczy pragniemy. Głupio jest pragnąć czegokolwiek.

Co teraz zrobisz? – pyta Veronicę.

Teraz? Pójdę zagrać. Potrzebuję kasy. Moje fundusze zaczynają się powoli...

Nie o to mi chodzi. Pytałem ogólnie.

Veronica udaje, że się śmieje, odrzuca włosy w tył. Serio? – mówi. Nie mam zielonego pojęcia. A ty?

Curtis lekko się uśmiecha. Liczyłem, że Damon załatwi mi fuchę w ochronie Spectacular, mówi. Ale teraz wydaje się to mało prawdopodobnie.

Ciągle służysz w marines?

W styczniu przeszedłem w stan spoczynku. Odsłużyłem dwadzieścia lat i odszedłem.

Dwadzieścia lat? – powtarza ona. Chryste. Co tam robiłeś przez tyle czasu?

W wojsku? Byłem w żandarmerii. Takiej policji wojskowej.

Serio?

Serio.

Kurczę, wzdycha Veronica. Czyli to nie jest tylko zabawa w detektywa. Ty działasz na poważnie.

Curtis śmieje się, kręci głową. W wojsku niczego takiego nie robiłem, przyznaje. Chodziło raczej o kwestie bezpieczeństwa. Trzymanie warty. I tak dalej.

Veronica odwraca się i mierzy go wzrokiem. Czyli przez dwadzieścia lat byłeś zwykłym ochroniarzem? – pyta.

Pilnowałem porządku w bazie, zabezpieczałem tyły na polu walki, zajmowałem się jeńcami. Inne rzeczy też robiłem, ale w ochronie faktycznie czułem się najlepiej.

Jestem pod wrażeniem, stary.

Curtis tylko się uśmiecha, nie podejmuje zaczepki. W dole czyściciel kanału wylawia bukiet czerwonych goździków; ociekając wodą, zawisają na krawędzi jego szerokiej, płaskiej siatki.

Co cię w tym kręciło? – chce wiedzieć Veronica.

Curtis zastanawia się nad odpowiedzią. Kilka razy otwiera usta i zaraz je zamyka. Lubię stawać w poprzek, wyznaje po dłuższej chwili. Chyba po prostu lubię wchodzić innym w paradę.

Veronica śmieje się, kręci głową. I tyle? – pyta.

W zasadzie tak.

Chrzaniisz.

Curtis wzdycha, prostuje się, znowu wzdycha. W osiemdziesiątym pierwszym, mówi, kiedy postrzelono Reagana, byłem jakieś pięć kilometrów dalej na szkolnym boisku. Akurat trwał trening. Zgarnęli nas wszystkich do środka. A potem telewizja stale pokazywała moment zamachu. Pamiętasz?

Byłam wtedy – niech pomyślę – w trzeciej klasie podstawówki.

Ten koleś, Tim McCarthy z tajnych służb, którego trafiła czwarta kula. Rzucił się i zasłonił prezydenta własnym ciałem, przyjmując strzał na siebie. Pamiętam, że nie mieściło mi się w głowie, jak można zrobić coś podobnego.

Veronica rzuca mu dziwne spojrzenie. Sceptyczne. Curtis dostrzega to kątem oka. Nie jest pewien, dlaczego w ogóle jej o tym opowiada. Nie odrywa wzroku od kanału.

Grałeś w liceum w futbol? – pyta go Veronica.

Tak. W ofensywie.

Nieprawda.

Prawda. Grałem w ataku.

Chodziłeś do szkoły w Waszyngtonie, co nie?

Do Dunbar. Przez całe cztery lata.

Veronica przygląda mu się uważnie. Ile masz wzrostu, Curtis? O ile mogę spytać?

Możesz. Metr siedemdziesiąt trzy.

Metr siedemdziesiąt trzy. A pozostali gracze...

Uhm, jasne. Każdy miał dobrze ponad trzy metry.

To ją rozbawia. Okej, mówi. W porządku. A po wyjściu ze szpitala? Po długiej, mozolnej fizjoterapii? Co wtedy robiłeś?

Curtis też się śmieje. Poszedłem na studia, mówi. Zabawiłem tam może minutę. A potem zaciągnąłem się do marines.

Przez jakiś czas milczą. Veronica spogląda w prawo, poza fasadę Ca' d'Oro, na wieżę zegarową – na tarczę z dwudziestoczworogodzinną podziałką i złoty krąg znaków zodiaku – oraz na pulsującą światłami tablicę powyżej. Odwraca się, żeby zmienić pozycję, i biodrem – chudym, kościstym, rozpalonym jak w gorączce – opiera się o udo Curtisa. Ten patrzy w dół na jej tatuaż, teraz bardziej widoczny. Dwie postacie pod drzewem to brodaty starzec i młodzieniec z mieczem. Na tę scenę nałożone są dwa trójkąty: jeden skierowany czubkiem w górę, drugi czubkiem w dół. Skórę Veronica ma opaloną, ale to opalenizna rodem z solarium.

Myślisz czasami o powrocie na studia, Curtis?

Moja żona bardzo by tego chciała.

Pewnie ogromnie się cieszy, że tutaj jesteś, co?

Uhm. Kiedy wyjeżdżałem, właściwie się do mnie nie odzywała. Mocno się

wkurzyła.

Włosy zsuwają się Veronice z pleców przez lewe ramię. Dziewczyna spuszcza głowę i reszta włosów opada jej na twarz. Z tyłu za nią na hotelowym billboardzie wyświetla się żongler, a pod spodem miga niebieski napis: PAW O TYSIĄCU OCZU!

Curtis, odzywa się Veronica. Dlaczego nie nosisz obrączki?

On bierze głęboki wdech i lekko się odsuwa.

To złe pytanie?

Nie, odpowiada on. Dobrze. I szczerze ci na nie odpowiem. Ona prostuje się, spogląda na niego. Gdy stacjonowałem za granicą, stale trafiałem na koleśków z wywiadu. Przesłuchiwali jeńców. Czasem to byli wojskowi, czasem nie. Żadnego z nich bliżej nie poznałem, ale z kilkoma się spotykałem, lubili gadać o swojej pracy. O tym, co robią. W rezultacie odkryłem, że istnieje pewien typ ludzi, którzy sprawdzają się w tej branży. Zorientowałem się, jak funkcjonują, jak patrzą na świat. Dla takich jak ty i ja obrączka na palcu oznacza, że Kocham swoją żonę. Dla tamtych gości to informacja: jest ktoś, kogo można skrzywdzić, żeby się do mnie dobrać. Zawsze wolałem myśleć, że takich ludzi praktycznie się nie spotyka. Ale jak już nauczysz się ich rozpoznawać, stwierdzasz, że są wszędzie. Tak czy inaczej, jadąc tu, nie wiedziałem, czego mam się spodziewać. Uznałem więc, że lepiej zbyt wiele o sobie nie ujawniać. To tyle.

Veronica przytakuje. Rozumiem, mówi. Mądry z ciebie gość. Ostrożny.

Curtis uśmiecha się i wzrusza ramionami.

No cóż, mówi ona. Powinam już iść. Krucho u mnie z kieszonkowym.

Wracasz do kasyna?

Nie. Tutaj nie mogę grać. Ktoś, kto dużo wygrywa albo dużo traci, ściąga na siebie uwagę. Personelowi kasyna płaci się właśnie za to, żeby zwracał uwagę, co się dzieje na sali. Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie tutaj zapamiętał.

Wyłączając oczywiście niżej podpisanego.

Oczywiście. Poza tym ten cholerny zapach mnie wykańcza.

Zapach? – dziwi się Curtis. Chyba przestałem go zauważać.

Pompują go przez kratki wentylacyjne, jak wszystkie kasyna przy Strip, ale tutaj jest zdecydowanie najgorszy. Jakby fretki pieprzyły się w potpourri.

Curtis wybucha śmiechem. Veronica też się uśmiecha, ucieka wzrokiem w bok.

Dzięki, że ze mną pogadałaś, mówi Curtis. Serio. Dziękuję.

Nie ma sprawy. Cała przyjemność po mojej stronie. Mam nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży.

Podaje mu rękę. Potem wymija go i rusza w stronę mostu prowadzącego na bulwar.

Veronica?

Ona zatrzymuje się, zamiera w półobrocie.

Czy Stanley w końcu ze mną pogada?

Przez krótką chwilę Veronica wpatruje się w niego, mrużąc oczy w słońcu. Otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć.

Wiem, że wczoraj z nim rozmawiałaś, wchodzi jej w słowo Curtis. Nie musisz mi mówić, gdzie on jest. Nawet o to nie pytam. Pytam, czy twoim zdaniem zechce ze mną porozmawiać.

Veronica spogląda na niego wyzywająco, lecz bardzo szybko w jej oczach pojawia się coś na kształt współczucia. Tak myślę, mówi. Ale nie teraz. Nie jest jeszcze na to gotowy.

Już ma odejść, lecz znów się odwraca. Nie powinieneś tu na niego czekać, Curtis, mówi. Wracaj do domu.

Jej długi cień pada na słupki balustrady mostu niby ruchomy promień ciemności. Curtis odprowadza ją wzrokiem. Z samego rana mógłby pojechać na lotnisko. Kupić bilet bez rezerwacji. Powinien zadzwonić do Danielle i ją zawiadomić.

Słyszy trzepot skrzydeł: stado śnieżnobiałych gołębi zrywa się do lotu z podziemnego parkingu, rozlewa się niczym piana po niebie wokół dzwonnicy. Nad miastem rozciąga się migotliwa chmura, przesłania słońce; na tle jego tarczy białe skrzydła ptaków robią się czarne. Curtis wypatruje w oddali Mount Charleston, lecz w ostrym blasku górskie szczyty zlewają się w bezkształtną masę, zdają się kurczyć i nie jest w stanie dostrzec zarysu charakterystycznej sylwetki.

W drodze do pokoju wyciąga z kieszeni komórkę, żeby zatelefonować do żony, lecz ostatecznie wybiera numer Waltera Kagamiego.

Na północ od hotelu i kasyna New Frontier bulwar Las Vegas Strip robi się coraz bardziej zaniedbany, mimo to Curtis decyduje się iść na piechotę. Potrzebuje czasu i spokoju, żeby pomyśleć.

Przecznicę dalej zaczyna się Old Vegas: Circus Circus i neonowi klauni, Stardust i psychodeliczna chmura w kształcie wielkiego grzyba, Westward Ho i jego rozjarzone trzepaczki do jajek. To ulubione kasyna żołnierzy, dobrze znane Curtisowi. Połowa budynków to pustostany czekające na wyburzenie. Fasada katedry Anioła Stróża w kształcie równobocznej litery A wychodzi wprost na ryczącą gardziel głównej magistrali; błękitna mozaika na zachodniej ścianie świątyni jest lekko podświetlona od dołu, smukła, wolnostojąca wieża nawiązuje do tej w odległym hotelu Stratosphere.

Wieczór jest chłodny – temperatura nie przekracza dziesięciu stopni – i lekki wietrzyk szeleści pierzastymi koronami palm, roznosi woń spalin. Curtis trzyma się blisko krawężnika po wschodniej stronie bulwaru, po lewej stronie mając jedynie osiem pasów ruchu. Idzie szybko, choć nigdzie mu się nie śpieszy: Kagami może się z nim spotkać dopiero późnym wieczorem. Mimo to żwawo maszeruje, stale wydłuża krok, jakby próbował dopędzić myśl, która mu umyka. Jest wkurzony, głównie na samego siebie, gotów się stąd zwijać.

Tę odrobinę wiedzy, którą posiada na temat gry w blackjaka, zdobył w kasynach takich jak te tutaj – Slots-A-Fun, Riviera, Westward Ho – po latach bezowocnych lekcji udzielanych mu przez Stanleya i ojca. „Inspektorzy w kasynach nie wierzą, że czarni potrafią liczyć, więc nikt cię nie nakryje. Daję ci klucze do królestwa, synu. Dzięki mnie nie przepracujesz w życiu ani jednego dnia”. Tyle że nauka blackjaka z ojcem była jak nauka jazdy z Richardem Pettym: Curtis już na wejściu nie miał żadnych szans. Nawet wtedy Stanley grał zupełnie inaczej.

Dopiero Damon ostatecznie wpoił mu zasady strategii podstawowej; Curtis dobrze pamięta poranki, kiedy obaj z trudem trzeźwieli przy stolikach w Slots, gdzie można było grać za góra dwa dolary. Zanim Curtis trafił do bazy piechoty morskiej w Lejeune, zaliczył wszystkie kasyna przy North Strip i nauczył się, jak przez kilka godzin zapewnić sobie stały dopływ darmowych drinków. Nawet co nieco wygrał, choć kwota wygranej nie przekraczała minimalnej pensji. W każdym razie wyjeżdżając do Karoliny Północnej, orientował się już znacznie lepiej, co właściwie robią w życiu jego ojciec i Stanley – choć już jak to robią, nie było dlań tak oczywiste. Trzeba przyznać, że tyle przynajmniej zawdzięcza Damonowi.

Dokładnie dwa tygodnie temu Curtis odebrał telefon. Kiedy jechał na południe Broad Street Line do Marconi Plaza, a potem szedł niecały kilometr do

Penrose Diner, mijając po drodze boiska do gry w bocce i składnicę wojskową, w głowie huczało mu od pytań, których nie ośmielał się sobie zadać, a które – tego akurat był pewien – Damon zrozumie, być może nawet będzie w stanie na część z nich odpowiedzieć. Co powinien teraz zrobić? Wrócić na studia? Przy jego niezdolności do pracy i trzydziestoprocentowym uszczerbku na zdrowiu czesne pokryłby Fundusz Rehabilitacji Zawodowej. Może nawet zwróciliby mu koszty utrzymania? Pytanie tylko, czy gra jest warta świeczki? Czy Curtis głupio zrobił, żeniąc się tak szybko po wypadku? Czy zważywszy na rosnące zagrożenie wojną, wariactwem byłoby myśleć o ponownym zaciągu? Marines znowu będą potrzebni...

Ostatecznie nigdy nie zadał Damonowi tych pytań i wygląda na to, że może ich już nie zadać. Ani na sekundę nie uwierzył w historyjkę, którą tamten mu opowiedział. Ale też jej nie zakwestionował. Przez lata Damon nieraz wciskał mu kit, lecz Curtis nigdy nie czuł się przez niego okpiony ani wykorzystany. Aż do tej chwili.

Rozświetlona jak choinka fasada Rivieri i różowe parabole La Conchy są już za jego plecami. Curtis mija stacje benzynowe i udekorowane krzykliwymi neonami restauracje serwujące fast food, mija nowe osiedla wybudowane na miejscu dawnych kasyn. PAMIĄTKI, T-SHIRTY, PODARUNKI, BIŻUTERIA HINDUSKA, MOKASYNY, ALKOHOLE. Wychodzi wprost na ciemny i cichy aquapark Wet'n'Wild: dziwne, pokręcone sylwetki zjeżdżalni wznoszą się na tle zabudowań hotelu Sahara. Curtis ma teraz przed sobą cebulową kopułę kasyna, która mniej mu się kojarzy z Egiptem, a bardziej z Persją; mniej z Persją, a bardziej z Bizancjum. Po zachodniej stronie bulwaru ciągną się głównie puste działki, zahibernowane w oczekiwaniu na kolejny boom budowlany. Jest tu wystarczająco ciemno, żeby móc dojrzeć na niebie kilka gwiazd: wysoko na południowym wschodzie jaśnieje Jowisz. Bez rewolweru Curtis czuje się słaby. Nie podoba mu się to uczucie ani fakt, że go doznaje.

Na chodniku gromadzą się ożywione grupki. Curtis obserwuje je kątem oka, przechodząc wyłapuje urywki rozmów. Mężczyźni o ujmującej powierzchowności, która przywodzi mu na myśl wyznawców scjentologii, podbijają ceny domów wakacyjnych w systemie timeshare. Dalej zatacza się paru facetów w czapkach z logo Ace Hardware, może nawet tych samych, których widział wcześniej w hotelu. „Co za palant dobiera przy twardej 12 przeciwko 6 krupiera? Przez tego idiotę straciłem sto dolców!” Uliczny kaznodzieja z zawieszoną na szyi tablicą wrzeszczy coś o apokalipsie do dwóch gliniarzy na motocyklach, którzy mierzą go kamiennym wzrokiem. A oto gromada gości weselnych w całej krasie: drużbowie z fryzurami na czeskiego piłkarza, pulchne drużby w powodzi organzy, panna młoda z uniesioną do góry ręką, do której są uwiązane balony; światła przejeżdżających samochodów odbijają się od ich gładkiej, polietylenowej

powierzchni na podobieństwo rozbieganych oczu. Cztery młode Japonki z włosami ufarbowanymi na różowo i w kolorowych okularach śmieją się radośnie; wyglądają, jakby wybrały się zbierać słodczyce w Halloween. Spalony na brąz żebrak z laską w jednej ręce i kubelkiem na monety w drugiej ma na nosie okulary przeciwsłoneczne podobne do tych, jakie nosi Curtis. JEŚLI JESTEŚ TAKĄ ŚWINIĄ, ŻEBY OKRADAĆ NIEWIDOMEGO, TO SIĘ NIE KRĘPUJ. Czarnoskóry dzieciak, na oko trzynastoletni, rozdaje ulotki reklamujące usługi agencji towarzyskiej. „*Azar é palavra que não existe no meu dicionário*, kumasz, o co biega?” Pijak w wymiętym garniturze z marszczonego lnu, który właśnie odlał się pod palmą – z rozporka nadal sterczy błydy fiut – tańczy na parkingu fokstrota z niewidzialną partnerką, podśpiewując głębokim, czystym głosem *It's Only a Paper Moon*.

Obok kasyna Holy Cow Curtis przechodzi na przeciwległy chodnik i kieruje się na północ. Przy wietrze wiejącym z odpowiedniej strony można usłyszeć dobiegający z przodu łoskot platformy Big Shot i kolejki High Roller oraz głośne krzyki pasażerów. Curtis jest zbyt blisko wieży Stratosphere, aby zobaczyć ją w całości bez zadzierania głowy: zwieńczenie przypominające odwrócony abażur, podświetloną reflektorami podstawę w kształcie trójnoga. Usiłuje rozpoznać międzynarodowe flagi, których neonowe zarysy widnieją ponad tablicą świetlną przy wejściu, po czym przypomina sobie, że zostały wymyślone. Nieistniejące flagi nieistniejących państw. „Wszystkie kraje to wytwory naszej wyobraźni”, mawiał Stanley. To przypomina Curtisowi o czymś innym – o czymś, co usłyszał od Veroniki w odpowiedzi na pytanie, czemu Stanley nie był dotąd we Włoszech: „Po prostu nigdy nie miał paszportu”. Dlaczego „nie miał” zamiast: „nie ma”?

Z naprzeciwna chodnikiem biegnie prostytutka – ruda peruka, czarne kabaretki, metr dziewięćdziesiąt wzrostu na dziesięciocentymetrowych obcasach, najprawdopodobniej transwestyta – usiłująca jednocześnie włożyć płaszcz i zatrzymać taksówkę. Co chwila ogląda się przez ramię na kasyno Aztec Inn, jakby się spodziewała pościgu. Podryw jej nie wypalił, skubnęła klientowi portfel albo ten dostał zawału, kiedy mu obciągała, i teraz musi czym prędzej wiać. Jej mina świadczy o tym, że może być już tylko gorzej. Curtis schodzi jej z drogi, unika kontaktu wzrokowego.

Równy strumień taksówek zatrzymuje się przed zadaszonym wejściem do kasyna. Wysadzają i odbierają pasażerów: studentów UNLV na podwójnych randkach, gości ze Środkowego Zachodu w wiatrówkach i butach do biegania. Wyjechawszy na Strip, wszystkie taksówki zawracają na południe. Curtis wchodzi do środka, ściąga z głowy bejsbolówkę i zatyka ją za pasek spodni, tam gdzie powinien tkwić rewolwer; daszek obja mu się o kość ogonową.

Za dziesięć dolców kupuje bilet na taras widokowy. Dopiero po dłuższej chwili orientuje się, gdzie są windy, ale samo oczekiwanie na wjazd nie zajmuje

wiele czasu. Tak jak uprzedzał Kagami, czoło kolejki zatrzymuje się przed bramką do wykrywania metali – nowiutkiego urządzenia firmy Garrett. Ochroniarze przeszukują torby i saszetki na biodrach wchodzących, lecz nie spowalnia to ruchu bardziej, niż fotograf pstrykający cyfrówką fotki wszystkich udających się na górę. Stojący przed Curtisem facet – podpity, lekko się zataczający, podkreścone do góry wąsy i koszulka z hasłem BUCK FUSH, zastraszona żona oraz dwójka milczących dzieci – obsobacza fotografa. Oto całe Vegas, bracie, zwraca się do Curtisa. Zawsze muszą człowiekowi coś wcisnąć.

Robią zdjęcia, wyjaśnia mu Curtis, żeby mieć rejestr tych, którzy wjeżdżają na górę. Jeżeli okaże się, że ktoś z nas ma pas wyładowany semteksem i wysadzi kasyno w cholerę, przyspieszy to znacznie identyfikację ciała. A jeśli przy okazji mogą trochę zarobić na sprzedaży pamiątkowych fotek, to trudno im się dziwić, że z niej korzystają.

Facet śmieje się i patrzy na Curtisa, ten jednak zachowuje powagę, nawet się nie uśmiecha. W końcu koleś milknie i odwraca wzrok.

Taras widokowy znajduje się na sto ósmym piętrze, prawie dwieście pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Wjazd windą trwa mniej niż minutę. Curtis jest na miejscu przed umówionym czasem, więc dwukrotnie obchodzi cały taras, najpierw zgodnie z ruchem wskazówek zegara, potem odwrotnie. Ziemia przy tym szeroko, żeby odetkać uszy. Jak okiem sięgnąć, aż po góry rozciąga się rozświetlona dolina tonąca w pomarańczowej poświacie lamp sodowych i błękitie neonów; pojedyncze światła przypominają kryształy rozsypane w kopalni.

Curtis znajduje wolną ławkę pomiędzy dwoma teleskopami na monety, siada i próbuje zebrać myśli. Z przyzwyczajenia zastanawia się, gdzie teraz podziewa się Stanley, chociaż wie, że to pytanie jest – i od początku było – źle postawione. Powinien raczej dowieść, dlaczego tak trudno go znaleźć, albo jeszcze lepiej, dlaczego Damon tak bardzo chce odszukać Stanleya. Jeżeli Veronica mówiła prawdę – a Curtis jest o tym przekonany – wówczas liczba możliwych odpowiedzi na to ostatnie pytanie jest stosunkowo ograniczona, zaś żadna z nich mu się nie podoba.

Miasto wciąż go rozprasza: charakterystyczne punkty na znajomej siatce ulic. Z tej wysokości teren, na którym stał niegdyś Desert Inn, zaje pustką jak dziura po wyrwanym zębie. W miejscu, gdzie Strip skręca na południe, Curtis dostrzega swój hotel; jego dzwonnica sterczy niczym środkowy palec na tle rozjarzonego billboardu hotelu Caesars. Lądując tutaj we wtorek, był w stanie rozpoznać z góry Luxor, New York – New York, Mandalay Bay; gorzej z północną częścią miasta, samolot za szybko się zniżał.

Leciał po raz pierwszy, odkąd półtora roku temu ewakuowano go rannego śmigłowcem z Niemiec; był wtedy tak naćpany demerolem, że niczego nie zapamiętał. Na podróż do Vegas Damon zarezerwował mu miejsce po lewej burcie

boeinga 757, ale Curtis zgłosił się na odprawę dość wcześnie, aby zamienić je na fotel pod oknem po prawej stronie. Kiedy samolot zwiększał wysokość, zataczając po starcie szeroką pętlę ponad lotniskiem, Curtis wypatrzył z góry całe połacie zalanych wodą pól żurawinowych w lasach na południowy wschód od Evesham. W promieniach słońca przypominały jeziora rtęci, jakby ziemia w tym miejscu pluła wewnętrznym ogniem. Gdy tak siedział – obok niego nikogo nie było – i obserwował kontynent, rozpościerający się pod nim niczym dywan, czuł, że ogarnia go podniecenie, a zarazem spokój, jakiego od lat nie doświadczył. Trwało to aż do lądowania w Las Vegas i nadal trwa: Curtis jest czujny, a jednocześnie zdystansowany, jakby to, co się wokół dzieje, w ogóle go nie dotyczyło ani nie obciążało, jakby obserwował wszystko przez szybę, w dodatku z olbrzymiej odległości. Nie jest to przykre uczucie, ale powoli zaczyna budzić jego nieufność.

Na nocnym niebie uwijają się helikoptery – w większości przypadków to loty charterowe, kursujące na lotnisko i z powrotem rozświetlonym korytarzem ponad miastem. Jeden z nich leci całkiem nisko na południowy zachód. To helikopter policyjny; Curtis patrzy, jak snop światła reflektora pada na Nagie Miasto, osiedle mieszkalne między wieżą Stratosphere a Sahara Avenue, na punkt, gdzie pulsują już czerwono-niebieskie koguty policyjnych radiowozów. Stare budynki zwielokrotniają i rozbijają ich migające światła na podobieństwo kalejdoskopu, odległość i grube szyby tarasu widokowego tłumią wycie syren. Curtis spogląda na zegarek, po czym schodzi do baru, zamawia kawę po irlandzku i podczas gdy barman nalewa mu do filiżanki whisky, patrzy, jak piętro niżej przeszklona restauracja obraca się wokół własnej osi. Na niewielkiej scenie trio jazzowe przygrywa Jobima obojętnym gościom: to *Inútil Paisagem*; wokalistce o czystym, chłodnym głosie bliżej do Astrud Gilberto niż do Wandy Sá. Komunikuje się z kontrabasistą i pianistą delikatnymi zmianami pozycji ciała, ledwie dostrzegalnymi ruchami dłoni. Cała trójka wygląda na zadowoloną z tego, że publiczność ich ignoruje.

Curtis zajmuje nieduży stolik po południowej stronie baru i czekając na Kagamiego, spogląda w dół na Strip. Czasami jego wzrok pada na własne zamglone odbicie w szybie. Przypomina sobie wszystko, co wie o Damonie: zasłyszane, wielokrotnie powtarzane opowieści. Dostrzega w nich cienie, na które nie zwracał dotąd uwagi. Jak wtedy, gdy Damon zarekwirował nowiutkie bmw Z3 jakiemuś świrowi z Simi Valley – po prostu wyjął gościowi kluczyki z ręki – żeby pojechać nim po dziewczynę, którą poznał w Mandalay Bay. Albo jak wtedy, gdy namówił Curtisa, aby ten odwrócił uwagę żandarmów w Twentynine Palms, a sam wywiózł z bazy paru szeregowców ukrytych w ciężarówce z praniem. Albo gdy trzeźwy jak świnia rozpędził pół tuzina kowbojów awanturujących się na parkingu przed barem w Waynesville, wcisnąwszy swoją berettę jednemu z nich w chudy policzek, aż skóra wokół lufy zrobiła się sina. Curtis ma wrażenie, jakby

rozwiązywał krzyżówkę: gapił się na nią od tyłu dni, lecz dopiero teraz zauważa, że pomylił się już, wpisując pierwsze hasła. A może to trochę jak z tymi popularnymi przed laty obrazkami, które robiły się trójwymiarowe, dopiero kiedy spojrzano się pod odpowiednim kątem, w przeciwnym razie stanowiły mozaikę przypadkowych kropek? Curtis wciąż ma poczucie, że nie wystarczająco się skupia. Pamięta, że nigdy sobie nie radził z tymi obrazkami, a teraz oczywiście jest już za późno.

W szybie odbija się postać Kagami: ciemna sylwetka pełna gwiazd, tam gdzie przesłania sobą górne światło. Soczewki okularów przypominają zawieszone w czerni bliźniacze półksiężycy. Curtis odwraca się, wyciąga rękę. Dzięki, że zechciałeś się ze mną spotkać, Walterze, mówi.

Nie ma sprawy, młody. To żaden kłopot. Właśnie skończyłem inne spotkanie w holu na dole. Mam nadzieję, że nie czekałeś długo.

Podziwiałem widoki.

Kagami siada na krześle. Wydaje się roztargniony, jakby wolał być teraz gdzie indziej. Curtis z trudem go poznaje. Marynarkę i krawat zastąpił swetrem w fioletowo-niebieskie wzory; ani śladu biżuterii z wyjątkiem złotej obrączki. Curtis myśli o własnej obrączce zamkniętej w hotelowym sejfie i zsuwa lewą dłoń na kolano.

Spotkanie w niedzielę wieczorem? – dziwi się. Dopinasz jakiś grubszy interes?

Kagami uśmiecha się. Nie chodziło o interesy, mówi. To było spotkanie towarzyskie. Planowaliśmy przyszły weekend.

I co zamierzacie robić?

Och, przez kilka godzin będziemy spacerować w tę i z powrotem po Fremont, wymachiwać chałupniczymi transparentami i krzyczeć: „Dość przelewania krwi za ropę!”. Coś w tym rodzaju. Też możesz przyjść, jeśli chcesz. Tylko przyprowadź ze sobą pięćdziesięciu, sześćdziesięciu kumpli. Wspaniale byłoby mieć wśród nas więcej byłych wojskowych.

Curtis nie jest pewien, czy Kagami go podpuszcza, tak jak ostatnim razem z Guantánamo. Powtarza sobie, że nie wolno mu stracić zimnej krwi. Zaraz jednak dociera do niego, że wcale nie czuje się urażony, i zastanawia się, czy to aby dobrze. W przyszły weekend będę już w Filadelfii, mówi. Ale dzięki za zaproszenie. Myślisz, że zbierze się dużo ludzi?

Kagami wzrusza ramionami. W styczniu przemaszerowaliśmy z Bellagio do Tropicany. Przyszło może ze dwieście osób. Mam nadzieję, że tym razem będzie ich przynajmniej dwa razy tyle.

Jak na Vegas to chyba całkiem nieźle.

Jest tutaj spora grupa przeciwników broni jądrowej. Nic dziwnego, zważywszy na sąsiedztwo starego poligonu atomowego, a teraz jeszcze składowiska odpadów nuklearnych Yucca Mountain. Do tego dochodzą studenci

uniwersytetu, czasami także związki zawodowe. Związkowcy z branży restauracyjnej ściągnęli ponad tysiąc pikietujących na chodnik przed twoim hotelem, kiedy go otwierano w dziewięćdziesiątym dziewiątym. Powinieneś od czasu do czasu zboczyć gdzieś ze Strip, synu. W tym mieście dzieje się mnóstwo rzeczy, o których nie masz pojęcia.

Nie musiałem zbaczać ze Strip, żeby dojść do takiego wniosku, Walterze.

Kagami uśmiecha się krzywo. Nadal szukasz Stanleya?

Już nawet nie próbuję, odpowiada Curtis. Przez chwilę patrzy wprost na Kagamię, licząc, że wyczyta coś z jego twarzy albo mowy ciała, jakąś wskazówkę, choć wie, że to beznadziejne zadanie. Walterze, odzywa się, znasz może Grahama Argosa?

Nazwisko nic mi nie mówi. Co to za jeden?

Należał do ekipy, która obrobiła kasyna w Atlantic City w czasie Mardi Gras. Teraz jest w Vegas. Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie na komórkę.

Coś ci podpowiedział?

Nie. On chyba też szuka Stanleya.

Kagami chichocze, kręci głową. Mam nadzieję, że Stanley ma z tego niezły ubaw, parska. Przez lata wydawał się być stałym elementem tutejszego krajobrazu. Nie doceniano go. A teraz wszyscy nagle go szukają i nikt nie wie, gdzie do cholery się podział.

Wydaje mi się, że ty akurat to wiesz, Walterze.

Twarz Kagamię ani drgnie. Wciąż się uśmiecha.

Myślę, że Stanley zbudował zaporę, ciągnie Curtis, między tymi, którzy wiedzą, gdzie się teraz znajduje, a tymi, którzy znają prawdę o wydarzeniach w Atlantic City.

Kagami siedzi nieruchomo jak posąg, ale jego oczy przesuwają się po twarzy, klatce piersiowej i rękach Curtisa. Przygląda mu się uważnie; Curtis ma wrażenie, jakby go krojono na plasterki, te zaś układano na kupki. Muszę przyznać, odzywa się wreszcie Kagami, że jestem bardzo ciekaw, co tam się stało.

Ja też.

Kagami zmienia pozycję, krzyżuje nogi. Słyszałeś nowiny? – pyta. Począwszy od wczoraj dochodzenia w sprawie Spectacular nie prowadzi już wydział do spraw hazardu, tylko wydział kryminalny.

Curtis mruga powiekami. Jak to? – pyta.

Ano dwa dni temu jakiś stary przyk wybrał się motorówką do zatoki Absecon łowić kraby. Wyciąga jedną z pułapek...

Kagami rozkłada ręce, jakby trzymał w nich piłkę futbolową.

...a w niej siedzi taki wielki krab błękitny. Prawdziwy potwór. I ogryza kawałek ludzkiej stopy. Stopa należała do mężczyzny około trzydziestki, południowo-wschodniego Azjaty, tymczasem zaginiony krupier z The Point to

właśnie dwudziestoosmioletni Koreańczyk. Tak więc do akcji wkroczyli kryminalni.

Curtis czuje, że puls mu przyspiesza, mimowolnie rejestruje niecierpliwe postukiwanie w szyi oraz skroniach. Wygląda przez szybę. Do ziemi jest stąd kawał drogi. To wszystko jest popieprzone, Walterze, mówi.

Nie na to się pisałeś, co, młody?

Curtis gapi się w blat stołu, obraca w palcach pustą filiżankę. Przypomina sobie Damona w Penrose Diner. Jego zaczerwienione oczy. Rozdarty mankiet. Może źle zrobił, zamawiając kawę po irlandzku. Ma wrażenie, że wieża kołysze się na wietrze, chociaż żadnego wiatru nie ma. Walterze, odzywa się. Nie pytam cię, gdzie jest Stanley. Ale odpowiedz mi na inne pytanie: to ty nasłałeś na mnie Grahama Argosa? Dałeś mu mój numer?

Masz jakiś powód, aby tak sądzić?

Usiłował mi wmawiać, że dostał go od jakiegoś barmana czy kogoś z obsługi kasyna. Ale ja sądzę, że ty mu go dałeś. Wiedział, że z tobą rozmawiałem. Wiedział też, że przysłał mnie Damon. O tym wiedzieliście tylko ty i Veronica. A z Veronicą się nie kontaktował.

Do czego zmierzasz, synu?

To nie była dla mnie miła niespodzianka. Ten koleś mnie niepokoi.

Tak? No to wyobraź sobie, Curtis, że mnie też. Miałem nadzieję, że zajmiecie się sobą nawzajem.

Mogłeś mnie uprzedzić. Dlaczego nie zadzwoniłeś?

Bo cię nie lubię, młody. Mam co do ciebie złe przeczucia.

Kagami mówi to cichym, niemal przeproszającym tonem. Krzyżuje ramiona na piersi i odwraca się w bok, żeby popatrzeć na Strip.

Curtis pozwala, aby słowa tamtego zawisły w powietrzu, i przez chwilę spokojnie wdycha i wydycha powietrze. Nic o mnie nie wiesz, człowieku, mówi w końcu.

Powiedzmy zatem, że to, co wiem, nie nastraja mnie do ciebie przychylnie.

Przez jakiś czas siedzą w milczeniu. Curtis zaciska szczęki, znużony Kagami garbi się na swoim krześle. Curtis jest wściekły, ale nie potrafi się pozbyć uczucia, że zachowanie tamtego nie do końca było niewłaściwe. Już ma wstać i wyjść, kiedy Kagami zatrzymuje przechodzącą kelnerkę i zamawia koniak. Czego się napijesz, Curtis? – pyta. Chcesz jeszcze jedną kawę?

Nie, dzięki.

Daj spokój, chłopcze. Zostań jeszcze kilka minut.

W takim razie poproszę o piwo imbirowe, rzuca Curtis i opada na krzesło.

W Nagim Mieście policyjne koguty już nie migają, jeśli nie liczyć jadącej na zachód pojedynczej karetki; obserwują ją z Kagamim, dopóki nie zniknie im z oczu na autostradzie. Wtedy ich spojrzenia powracają na Strip, podążają za jaśniejącą

ścieżką na południe, gdzie światła gęstnieją i robią się wyraźniejsze: wygląda to jak seria pocisków smugowych wystrzelonych w kierunku Los Angeles.

Postaw się na moim miejscu, synu, odzywa się Kagami. Nie wiedziałem, co, u licha, jest grane. Nadal tego nie wiem. Co ty byś zrobił w takiej sytuacji?

Rozumiem. Chciałeś ochronić Stanleya.

Jedyne, czego chcę, to być praworządnym obywatelem Republiki Ludowej Hrabstwa Clark w Nevadzie. Tylko tyle. Chcę bronić niepodważalnego prawa Stanleya do tego, żeby mógł zniknąć, kiedy ma na to ochotę i na tak długo, jak mu się tylko podoba. Traktuję to wszystko bardzo poważnie, Curtis.

Kelnerka przynosi im drinki. Curtis upija łyk piwa imbirowego, potem jeszcze jeden. Kagami kręci koniakiem w szklance, wygląda przez okno. Często tu bywasz, młody? – pyta.

W Vegas? Rzadko. Ostatni raz byłem tu trzy lata temu.

Słyszałeś już o nowym haśle reklamowym miasta? Tym oficjalnym? Co się dzieje w Vegas, zostaje w Vegas? – uśmiecha się Curtis. Tak, słyszałem.

Znakomite, prawda? Wszystko się w nim zawiera. Ludzie nazywają Vegas oazą na pustyni. Błąd! To nie jest żadna pieprzona pustynia. W tym właśnie rzecz. Spójrz tylko na tę dolinę. Wiesz, co tu było przed stu laty? Nic. Garstka mormonów, kilkudziesięciu kowbojów. Paru wkurzonych Pajutów. W roku mojego urodzenia mieszkało tu dziesięć tysięcy ludzi. Dzisiaj jest ich półtora miliona. A minęło zaledwie sześćdziesiąt lat. Tyle co nic, jedno uderzenie serca. Co ich tutaj przyciąga? Hm? Nic. To miejsce jest niczym wielka tablica szkolna, albo jedna z tych nowoczesnych – jakże one się nazywają? – tablic suchościernalnych. Można ją wytrzeć do czysta i narysować na niej, co tylko się chce. Powinieneś poznać lepiej historię własnego kraju, synu. Chcesz, żeby coś zniknęło? Stało się niewidzialne? Przyjedź z tym tutaj. Pustynia to dziura w narodowej pamięci. Projekt Manhattan? Pierwsze słyszę. Amerykańscy Indianie? Serio, nie mam pojęcia, gdzie się podzieli. Hazard. Dziwki. Odpady radioaktywne. Domyślałem się, że widziałeś, co się stało z Desert Inn.

Widziałem, że już go nie ma.

Steve Wynn wysadził go przed dwoma laty. W październiku dwa tysiące pierwszego. W tamtych czasach wyburzanie budynków nie uchodziło już za rozrywkę dla mas, więc zrobił to bez zwyczajowych fajerwerków. Ale pamiętasz imprezę, którą wyprawił w dziewięćdziesiątym trzecim, kiedy wysadzał hotel i kasyno Dunes? Albo tego sylwestra, kiedy wyburzono Haciendę? Wskaż mi inne miasto, w którym rutynowo wysadza się w powietrze zabytkowe budynki. Las Vegas to maszynka do zapominania.

Kagami odstawia kieliszek na stół. Zapalę teraz cygaro, mówi przechylając się w bok i sięgając do kieszeni. Ty też chcesz?

Nie, dziękuję. Wyjmuje brązowy skórzany futerał, a z niego ciemną panatelę

i zaczyna przy niej manipulować złotą obcinarką. Nie jesteś prowincjuszem, Curtis, mówi. Liznałeś trochę świata. Byłeś w Europie, Azji, na Bliskim Wschodzie. My z żoną też staramy się jak najczęściej podróżować. W ubiegłym roku obchodziliśmy dziesiątą rocznicę ślubu i z tej okazji postanowiliśmy zrobić coś wyjątkowego. Na całe dwa tygodnie pojechaliśmy do Włoch. Na północ, tam gdzie spędziliśmy nasz miesiąc miodowy. I wiesz co? Korzystaliśmy z tych samych przewodników, żeby się przekonać, czy da się na nich polegać. Dało się. Te same restauracje, te same hotele. Pamiętam, że raz jedliśmy w tawernie – il bacaro – która funkcjonuje w tym samym miejscu od tysiąc czterysta sześćdziesiątego drugiego roku roku. Nieprawdopodobne.

Kagami chowa futerał i obcinarkę. Z kieszeni wyjmuję dużą zapalniczkę naftową i ją otwiera. Sypie się deszcz iskier, płomień strzela w górę na dobre pięć centymetrów. Kagami kilkakrotnie się zaciąga i zamyka zapalniczkę z głośnym trzaskiem. Brzmi to tak, jakby ktoś rzucił monetą.

No dobrze, mówi. A teraz wyobraź sobie, że ty i twoja lepsza połowa zwiedzacie Las Vegas, mając w rękę przewodnik z dziewięćdziesiątego trzeciego. Jak myślisz, jak by wam poszło? „Och, kochanie, zobaczmy hotel Sands! Przykro mi, złotko. To może Landmark? Teraz jest tam parking”. A El Rancho? Hacienda? Nie zobaczycie Hacienda, już nie istnieje. To miasto stale się zmienia, nieustannie przeobraża. Tyle że jest to zmiana dla samej zmiany i dlatego wciąż pozostaje takie samo. Pojmujesz? Taka jest jego natura, wewnętrzna istota. Niewidzialna. Czysta. Niezniszczalna. Co ci wiadomo o Rodos?

Słucham?

Rodos. Wyspa na Morzu Egejskim. Niegdyś stał tam kolos. Aleksandria? Podobno mieli tam wspaniałą bibliotekę. Nowy Jork? Dwa słynne wysokościowce. Mam na myśli zburzone warownie, synu. Upadłe imperia. Miejsca definiuje się przez to, co utraciły. Gdy coś przepada bez śladu, zyskuje nieśmiertelność. Wszystko, co widzisz tam w dole – absolutnie wszystko! – czeka rychły koniec. Wszystko ulega autodestrukcji. Co chcę powiedzieć: pieprzyć Rzym. Oto prawdziwe wieczne miasto. Czysta idea.

Kelnerka znów wyrasta jak spod ziemi z popielniczką i kolejnym piwem imbirowym, na które Curtis wcale nie ma ochoty. Kagami przysuwa sobie popielniczkę, pociąga łyk koniaku. Trio jazzowe gra teraz smutną francuską piosenkę, której tytułu Curtis do końca nie kojarzy. *Les musées, les églises, ouvrent en vain leurs portes*, śpiewa wokalistka. *Inutile beauté devant nos yeux déçus*.

Kagami powoli obraca cygaro w palcach, na płaskiej tafli rżniętego szkła tworzy się zgrabna szara kupka. Kocham to pieprzone, durne miasto, mówi. W moich żyłach przesypuje się piasek pustyni. Tutaj się urodziłem. Wiedziałeś o tym?

Curtis przecząco kręci głową. Tata mówił, że znacie się ze Stanleyem

z Kalifornii, odpowiada. Sądziłem, że stamtąd pochodzisz.

Moja rodzina wywodzi się z Los Angeles, tam też dorastałem. Ale urodziłem się tutaj, jakieś dwieście czterdzieści kilometrów po drugiej stronie tych gór.

Małym palcem wskazuje Mount Charleston, zanurzoną w ciemności gdzieś za prawym ramieniem Curtisa, poza zasięgiem wzroku. Curtis nawet się nie odwraca.

Wiesz, gdzie jest Owens Valley? – pyta go Kagami.

Niedokładnie. Wiem, że leży gdzieś na zachód od Nellis, poza granicą stanu.

Około dwudziestu czterech kilometrów od Parku Narodowego Doliny Śmierci. To powinno dać ci pewne wyobrażenie o tamtejszym klimacie. Urodziłem się tam, w miasteczku zwanym Manzanar. Słyszałeś kiedyś o Manzanar?

Curtis uśmiecha się kącikiem warg. Kagami nawet na niego nie patrzy. Tak, przyznaje Curtis. Słyszałem.

Urodziłem się tam w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku. Zachowałem jedynie szczątki wspomnień. Zapach wojskowych koców. Wszechobecny brunatny pył. Napelniałeś dzbanek wodą i zanim zdołałeś go donieść na stół, pył osiadał na powierzchni. Pamiętam, jak wirował w dzbanku. Moja matka nie chciała ze mną o tym rozmawiać, ojciec natomiast umarł we Włoszech, jednak przez lata starałem się zdobywać wiedzę na temat tego miejsca. To z kolei doprowadziło mnie do czegoś innego. O ile dobrze pamiętam, Curtis, twój ojciec spędził końcówkę lat sześćdziesiątych i początek siedemdziesiątych w Montrealu, gdzie występował w klubach. Mówił ci kiedyś, co robiłem w czasie, kiedy toczyła się wojna w Wietnamie?

Nie, nie mówił.

Siedziałem w więzieniu. Wszedłem do gmachu sądu z kartą poborową i zapalniczką Zippo, po czym trafiłem na prawie dwa lata na Terminal Island. Nie usiłuję ci wcale dopiec, chłopcze. Nie osądzam cię i nie powiem ci, że powinieneś inaczej przeżyć swoje życie. Lecz jeśli sama idea żandarmerii wojskowej wzbudza we mnie pewną wrogość, to wierz mi, mam po temu powody. To wszystko.

Kagami wkłada cygaro z powrotem do ust. Szary obłoczek unosi się ku górze, rozprasza światło lamp pod sufitem. Dwie kobiety po trzydziestce przy sąsiednim stoliku – modne buty, drogie fryzury, wszystko przyozdobione monogramami – wstają i zdegrustowane przenoszą się na drugi koniec sali, wachlując się ostentacyjnie rękami. Curtis bierze głębokie wdechy, liczy je, dopóki mięśnie jego zaciśniętych szczęk się nie rozluźnią.

Przez dwadzieścia lat służyłem w żandarmerii wojskowej, mówi. Jak bardzo bym się nie starał, nie potrafię wzbudzić w sobie żalu ani wyrzutów sumienia z tego powodu. Niewykluczone, że pewnego dnia – kiedy będę w zupełnie innym nastroju – siądziemy sobie obaj wygodnie i poważnie o tym podyskutujemy. Ale nie dzisiaj. Na razie powiem ci tylko tyle: nie jestem już żołnierzem, Walter, ale

wciąż jestem synem Badrudina Hassana. Synem Donalda Stone'a. I przyjacielem Stanleya Glassa. Ty i ja możemy się w pewnych sprawach różnić, ale w tym konkretnym przypadku zależy nam dokładnie na tym samym. Chcemy, żeby Stanleyowi nic nie groziło.

Może i tak, chłopcze, może i tak. Ale kierują nami całkiem inne pobudki.

Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

Wiem, że tego nie rozumiesz, rzuca z irytacją Kagami. Na tym polega problem. W obecnej sytuacji, Curtis, to w zasadzie jedyna rzecz, jaka ma znaczenie.

Curtis czuje ucisk w karku i skroniach, zwiastujący ból głowy. U nasady języka wyczuwa smak migreny. Na dziewięćdziesiąt osiem procent jest pewien, że traci tutaj czas, lecz brakujące dwa procent wciąż mruga do niego zachęcająco, unosi rąbek spódnicy. Zespół jazzowy zrobił sobie przerwę, a ktoś zapomniał włączyć muzykę z głośników i pomieszczenie wypełnia dziwna cisza.

Mam dosyć, oznajmia Curtis. Wydymano mnie na wszystkie możliwe sposoby. Jestem gotów wrócić do domu i tylko jedno powstrzymuje mnie przed wejściem na pokład samolotu. Jeżeli teraz stąd prysnę, a potem okaże się, że swoim przyjazdem do Vegas sprowadziłem na Stanleya jakieś kłopoty – coś, nad czym nie mam żadnej kontroli – będzie mi bardzo przykro. A mam już czego w życiu żałować. Dlatego chciałbym od ciebie usłyszeć, czy twoim zdaniem Stanley sobie poradzi.

Kagami spogląda na niego z niedowierzaniem. Nie, mówi. Stanley sobie nie poradzi. On umiera, Curtisie. Dociera to do ciebie? I nic, co zrobisz albo czego nie zrobisz, nie ma teraz znaczenia.

Dla mnie ma. Dla mnie to ma znaczenie.

Kagami nie odpowiada. Wpatruje się w noc; jest bardzo smutny i bardzo zmęczony. Z popielniczki unosi się dym z cygara – drżąca, kredowo biała kolumna w kształcie motylej trąbki – i niknie wessana przez system klimatyzacji. Curtis obserwuje, jak wije się do sufitu. Nagle słyszy dobiegający z zewnątrz niski warkot silników turbowentylatorowych. Wygląda przez szybę, szuka świateł na niebie.

Poznajesz? – pyta Kagami.

Curtis uważnie nasłuchuje, kręci głową.

To na pewno ten nowy myśliwiec typu stealth. Jeszcze żadnego nie widziałem.

Odgłos silników gaśnie. Co mówią o wojnie? – pyta Curtis.

Kagami unosi się na krześle, pochyla nad blatem stolika. Curtis widzi, że mężczyzna zbiera się w sobie, w myślach porządkuje fakty, przygotowuje się do kolejnej rundy analiz i podsumowań. Po czym uchodzi z niego całe powietrze, jakby naraz zabrakło mu sił. Powiedz mi coś, Curtis, odzywa się, kiedy ostatni raz rozmawiałeś z Damonem?

Dziś rano przysłał mi faks. Nie rozmawialiśmy, odkąd tu przyjechałem. Nie odpowiada na moje telefony.

Obok stolika przechodzi kelnerka i Kagami gestem prosi o rachunek, skrobiąc cygarem po wymaginowanej podkładce. Następnie unosi je do ust, kilka razy szybko się zaciąga i zgniata niedopałek w popielniczce z rżniętego szkła.

Posłuchaj mnie, chłopcze, mówi. Stanleya już tutaj nie ma. Dzisiaj przed świtem wyjechał z miasta. Osobiście zawiozłem go na lotnisko. Nie mówił, dokąd się wybiera, a ja nie pytałem, ale domyślam się, że wrócił do Atlantic City uregulować swoje sprawy z Damonem. Myślę, że miał już dosyć tego ukrywania się.

Veronica została w Vegas. Niedawno ją widziałem.

Nic w tym dziwnego. Jeżeli oboje ze Stanleyem mają coś na Damona, to rozumiałe, że się rozdzielili. Dzięki temu jedno staje się zabezpieczeniem dla drugiego.

Sądziłem, że będą woleli nawzajem się pilnować.

Kagami kręci głową. Nic nie rozumiesz, mówi. Wciąż traktujesz Stanleya i Veronicę jakby byli zwykłymi ludźmi. Nie są nimi. Kierują się całkiem innymi zasadami, czego innego się obawiają. Wpadłeś, synu, jak śliwka w kompot. Mam uwierzyć, że jesteś porządnym facetem, a nie jakimś zbirem? W porządku. Zachowaj się jak porządny facet. Wracaj do żony. Stanleyowi i tak nie pomożesz. Jesteś na to za słaby. Nie pomożesz mu ani tu, ani tam. Wierz mi, nie ma się czego wstydzić. Najlepszą rzeczą, jaką możesz dla niego zrobić, to zapomnieć o całej sprawie. Nie mówimy tu o starym, dobrym wujciu Stanleyu, który odstawiał magiczne sztuczki. W tym przedstawieniu nie ma roli dla ciebie. Niejedno mógłbym ci powiedzieć, ale nie powiem. Stanley by sobie tego nie życzył.

Kelnerka przynosi im rachunek. Kagami kładzie nowiutki banknot na plastikowej tacy.

Coś ci jeszcze opowiem, mówi. Usłyszałem tę historię na rok albo dwa przed tym, jak poznałem Stanleya. Był wtedy jeszcze bardzo młody, grał w pokera w Pasadenie...

Stanley nie grywa w pokera.

Wtedy grał. Rzadko wygrywał, więc przestał. Żeby grać w pokera, trzeba rozumieć ludzi. Stanley tego nie potrafi. Trochę trwało, zanim to pojął. No więc grał w pokera w Pasadenie. W nielegalnym kasynie, bardzo ekskluzywnym. Marnie mu szło. Stawki okazały się wyższe, niż się spodziewał. Poprosił więc o kredyt. Wyśmiali go. „Wróć, jak będzie cię stać, żeby u nas grać, mały”. W porządku. Stanley wstaje, przechodzi do ruletki – w tej grze wszystko zależy od przypadku, prawda? Nie trzeba żadnych szczególnych umiejętności. Stanley robi zakład za sto dolców – cztery zielone żetony, w tamtych czasach sporo kasy jak na gówniarza – i gdy tylko kulka wpadnie do koła, stawia je na cztery różne numery. Pam, pam,

pam, pam. Robi to tak szybko, że nie widać, aby w ogóle poruszał dłońmi. Numery rozsiane są po całej planszy, ale na tarczy znajdują się obok siebie. Rozumiesz? Wychodzi jeden z jego numerów. Teraz Stanley ma już osiem czarnych żetonów. Gdy krupier ponownie upuszcza kulkę, Stanley rozdziela stawkę na cztery kolejne numery. Znowu położone obok siebie na tarczy. I znowu jeden z nich wychodzi. Stanley wygrywa siedem tysięcy dolarów. Prosi, aby podwoić limit stołu. Wzywają szefa. Ten się zgadza, ale – mówi – wymienimy krupierów. Sprowadzają nowego krupiera, ten rzuca kulką, a Stanley powtarza wszystko od początku. Siedzi teraz na dwudziestu jeden tysiącach i prosi, żeby jeszcze raz podwoić limit. „Nie chcecie odzyskać forsy?” Pewnie, że chcą. Tyle że ani się obejrżeli, Stanley ma przed sobą ponad pięćdziesiąt kawałków. Kasyno jest już nieczynne, gra tylko Stanley. Cały personel lokalu – barmani, muzycy – zebrali się wokół jego stołu. Stanley ponownie prosi o podniesienie limitu. Chce postawić dwadzieścia patyków. Szef namyśla się chwilę i mówi: „Okej, ale musisz zmienić stół”. Nowy stół, nowy krupier. Kulka idzie w ruch. Stanley przesuwając na planszę cztery słupki żetonów. Z trudem mieszczą mu się w dłoniach. W lokalu cisza jak w kościele. Słychać tylko terkotanie obracającego się koła. A potem – jeden wielki wrzask. Stanley Glass w pięciu podejściach wygrał trochę ponad dwieście tysięcy dolarów. Krupierzy patrzą po sobie, zastanawiają się, czy nazajutrz mają po co przychodzić do pracy. To jasne, że jeśli Stanley będzie grał dalej, przejmie kasyno na własność. Odbiera wygraną, patrzy na szefa i mówi: „Wolisz, żebym dalej tu grał, czy dasz mi wrócić do cholernego pokera?”. To wszystko zdarzyło się, jeśli mnie pamięć nie myli, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku. Stanley miał wtedy dziewiętnaście lat.

Kelnerka wraca. Kagami gestem każe jej zatrzymać resztę. Opiera łokcie na stole, wygląda przez okno.

Jak on to zrobił? – pyta Curtis.

Co masz na myśli?

Na czym polegała ta sztuczka?

Kagami posyła mu uśmiech pełen samozadowolenia. Zniża głos, przysuwa się bliżej. Sztuczka polegała na tym, mówi, że nie było żadnej sztuczki. Stanley wiedział, gdzie się zatrzyma kulka.

Curtis mruga zaskoczony. Jak to możliwe?

Kagami wzrusza ramionami, rozkłada dłonie i opada z powrotem na krzesło.

Wszystko to Stanleyowe czary-mary, mówi. Kiedyś myślałem, że chodzi o odwrócenie uwagi. Ale potem stwierdziłem, że to może być rzeczywiście magia – jakby Stanley usiłował z niemożliwego uczynić możliwe. Teraz myślę jeszcze coś innego: w świecie Stanleya dzieją się same niemożliwe rzeczy. Dla niego to chleb powszedni. I sądzę, że prawdziwą magią są jego próby zrozumienia tego świata. Bo że jest on całkiem inny od tego, który my dwaj znamy, to pewne. Stary,

schorowany człowiek może się w nim czuć bardzo samotny.

Curtis kiwa głową, dopija reszkę piwa imbirowego. Zespół wrócił na scenę: grają teraz ledwo rozpoznawalny kawałek Sleepy'ego Johna Estesa. „Panie, nigdy nie zapomnę tego pływającego mostu”. Pianino i kontrabas są prawie niesłyszalne; stłumione, zawieszane w powietrzu nuty płyną ponad szmerem rozmów i szcękaniem sztuczków. „Mówią, że aż pięć minut spędziłem pod wodą”. W tle wielkie szyby drżą odbitym echem dalekich dopalaczy.

Robi się późno, odzywa się Kagami. Pozwól, że cię odwiozę do hotelu.

Sen nie przypomina snu, tylko przerywaną strzępami majaczeń sennych jawę. Curtis znajduje się w wąskiej brukowanej uliczce, która częściowo tonie w ciemności, a częściowo w świetle księżyca. U jednego jej wylotu stoi Stanley, u drugiego Damon. Słysząc stłumiony strzał, jakby przez poduszkę, i Curtis wzlatuje w powietrze, zawieszony w górze niczym jeden z tych cherubinów na podrabianym fresku w lobby hotelowym. A potem skacze, żeby przeciąć drogę nadlatującej kuli. Drga i budzi się gwałtownie, po czym czuje jej uderzenie, niepewny, czy zdążył na czas ani kto do kogo strzelał.

Na zewnątrz jest jeszcze ciemno. Wciska kolejno wszystkie guziki stojącego na nocnym stoliku radiobudzika, zanim dotrze do niego, że to, co słyszy, to sygnał komórki. Odrzuca na bok splątaną kołdrę i sięga po telefon, którego wyświetlacz jarzy się bladoniebiesko na komodzie. Podnosi go, zanim włączy się poczta głosowa, zerka na wyświetlacz – dzwoni Świstak – i odbiera. Tak, mówi.

Dzień dobry, Curtis. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

Curtis wyciąga z gniazdka ładowarkę, chwiejnym krokiem podchodzi do ściany i wymacuje przełącznik światła. Podstawą drugiej dłoni trze zaspane oko. Czego chcesz? – pyta.

Spotkać się z tobą.

Kiedy?

Zaraz. Jestem na parkingu we Flamingo. Poziom szósty. Siedzę w taksówce. Koleś nie wyłączył taksometru, więc nie mam wiele czasu. Lepiej się pośpiesz.

Curtis znów spogląda na budzik, leżący tam, gdzie go porzucił, do góry nogami na materacu: jest czwarta trzydzieści jeden. Dobra, zgadza się. Zaraz tam będę...

Słuchaj, Curtis, tylko do nikogo nie dzwoń i nikogo nie przyprowadzaj. Jeżeli zamierzasz zabrać jakieś towarzystwo, przed wyjściem możesz od razu zadzwonić na policję, bo zastrzelę ciebie i każdego, kogo zobaczę. Nie żartuję. Poza tym weź forszę, przynajmniej ze dwie stówy, bo to będzie bardzo kosztowna rozmowa. Załapałeś?

Tak. Załapałem.

Powtórz wszystko od początku.

Curtis wciąga powietrze. Parking we Flamingo, recytuje posłusznie. Szósty poziom. Taksówka. Dwieście dolarów. Mam przyjść sam. Bez towarzystwa.

Rozłączają się z cichym elektronicznym trzaskiem. Argos, myśli Curtis. Graham Argos. Koleś nie dzwoni z żadnej taksówki, nie gadałby o strzelaniu przy taksówkarzu. To musi być pułapka.

Stoi z głuchym telefonem przyciśniętym do ucha, wpatrzony we własne

odbicie w lustrze nad komodą. Szczeciniasta skóra głowy, wymięte bokserki. Nie prezentuje się zbyt wytwornie. Potrzebuje dłuższej chwili, żeby odsiać sny od wspomnień, przypomnieć sobie, co wie i na czym stoi. Stanley wyjechał z miasta, przynajmniej tak twierdzi Walter. Wygląda też na to, że Damon ma zasadniczo przerąbane. W Atlantic City wypłynął trup; Argos ma z tym jakiś związek. Spotykając się z nim, Curtis niczego nie zyska. Ta myśl sprawia, że spada mu z ramion wielki ciężar. Widzi znajome światelko w tunelu: nie ma już nic do ugrania.

Ubiera się, przypina broń, wrzuca zapasowy magazynek do kieszeni kurtki i w pośpiechu wypada na korytarz. Naciska guzik, żeby przywołać windę. Jeszcze w szkole średniej trenerzy najczęściej posyłali go na boisko, dopiero gdy pustoszały trybuny, a wynik meczu był praktycznie przesądzony. Z początku było to dla niego powodem do wstydu, lecz z czasem się w tym rozsmakował. Reguły gry stawały się dzięki temu bardziej przejrzyste, on sam zaś zyskiwał swoiste poczucie sprawczości, jakiego nie doświadczali zawodnicy z pierwszego składu. Teraz odczuwa coś podobnego, czekając, aż rozsuną się stalowe drzwi o miedzianym połysku: jest zmęczony, trochę zamroczony, ale pewny siebie. Dzisiaj w końcu się czegoś dowie.

Kiedy winda staje, Curtis wstępuje jeszcze do kasy w głównej sali kasyna, żeby spieniężyć dalsze czeki podróżne: wypłaca pięćset dolarów, na wszelki wypadek. Kopertę z banknotami wsuwa do wewnętrznej kieszeni kurtki i przechodzi do galerii. Po drodze mija milczącą karawanę ochroniarzy wędrujących od stołu do stołu, zbierających całonocny utarg. Coś w ich wyglądzie – gładkie puste twarze, bystre, czujne oczy – kojarzy się Curtisowi ze smutną nieodwracalnością nekrologu. Żaden z wykończonych graczy na sali nie patrzy w ich stronę; gapią się w swoje karty jak zaczarowani, zakłęci w kamień, podczas gdy ich pieniądze powoli się oddalają.

Przed wejściem Curtis łapie taksówkę i każe kierowcy wcisnąć gaz do dechy; przejazd na parking podziemny we Flamingo zajmuje im mniej niż trzy minuty. Curtis podaje taksówkarzowi banknot, wysiada na parterze i przechodzi na drugą stronę budynku, gdzie znajduje się klatka schodowa.

Na każdym poziomie wygląda na parking, żeby się rozejrzeć i dopiero potem idzie dalej. Pierwsze dwa poziomy to parking dla gości kasyna, teraz w większości pusty. Na kolejnych dwóch kręcą się ludzie i samochody, lecz im wyżej, tym jest ich mniej. Curtis mija wyjście na poziom szósty i wchodzi wyżej, na dach: poza szarym jak cement chevroletem impalą, na masce którego przysiadła mewa, jest tu całkiem pusto. Księżyc w pełni, wielki i woskowy, zachodzi ponad górami, a zadrzewiony dziedziniec Flamingo tonie w cieniu hotelowych wież. Pomędzy pierzastymi koronami palm lśni szeroki niebieski basen i Curtisowi przypomina się wyświetlacz jego komórki, gdy ta dziś dzwoniła na komodzie. Powinien był

wczoraj wieczorem zatelefonować do Danielle; nie wie, dlaczego tego nie zrobił. Teraz żałuje. Kiedy przechodzi obok chevroleta, mewa odprowadza go wzrokiem, przebierając nerwowo nóżkami zakończonymi błoną pławną.

Curtis schodzi po rampie na szósty poziom. Jest tu niemal tak pusto jak na dachu: kilka sedanów, jeden zaparkowany przy schodach SUV. I ani jednej taksówki. Uwaga Curtisa koncentruje się na SUV-ie; podkrada się ku niemu z dłonią na kolbie rewolweru, przykuca, żeby w jasnym świetle parkingowych jarzeniówek zajrzeć do środka przez przyciemniane szyby. Wygląda na to, że wóz jest czysty.

Z dołu dobiega pisk opon. Curtis obciąga kurtkę, staje pomiędzy SUV-em a klatką schodową, gotów w każdej chwili przemieścić się w jedną albo drugą stronę, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Niewyspany, bez prysznic, mimo wszystko czuje się pobudzony, chociaż nie potrafi stwierdzić, czy to autentyczne pobudzenie, czy też takie, jakie ogarnia człowieka po paru piwach. Zerka na zegarek: jest czwarta czterdzieści trzy.

Błyskają światła reflektorów. To taksówka: biała, z czarną listwą i błotnikami w kolorze fuksji. Zjeżdżając z rampy, zwalnia i jedzie równo przed siebie. W środku widać tylko kierowcę. Zwalnia, ustawia się bokiem, hamuje. Błyskająca na dachu tablica LED informuje Curtisa, że znane są już pary zespołów, które zmierzą się ze sobą w pierwszej rundzie rozgrywek NCAA. Na tylnych drzwiczkach widnieje nazwa korporacji: FORTUNE CAB.

Słychać ciche buczenie i otwiera się szyba od strony kierowcy. Siema, koleś, mówi taksówkarz. Ty jesteś Curtis?

Tak. Gdzie twój pasażer?

Przyjechałem po ciebie, stary.

Okej. Dokąd mam jechać?

Taksówkarz – dredy, siwizna na skroniach, pomarszczona, obwisła skóra barwy orzecha – mierzy Curtisa wzrokiem od stóp do głów. Powiem ci, jak jest, a ty sam zdecydujesz, czy chcesz ze mną jechać. Rzecz w tym, że miałem ci nie mówić, dokąd jedziemy. Poza tym mam ci odebrać komórkę i po drodze w ogóle z tobą nie rozmawiać. I co ty na to?

Curtis zastanawia się nad tymi słowami. Powiesz mi przynajmniej, jak długo będziemy jechali? – pyta.

Powiem ci, ile to będzie kosztowało. Sto sześćdziesiąt dolców. Płatne z góry.

Sto sześćdziesiąt? – powtarza z niedowierzaniem Curtis. Czyli daleko. Przekroczymy granicę stanu?

Taksiarz posyła mu krzywy uśmiezek. To jak będzie, kolego? – rzuca.

Curtis odlicza osiem dwudziestek z koperty w wewnętrznej kieszeni kurtki i wręcza je mężczyźnie. Potem oddaje mu komórkę. Taksówkarz wyłącza ją, a Curtis otwiera tylne drzwiczki i wsiada do auta.

Kierują się do wyjazdu z parkingu i skręcają na południe, ku autostradzie, mijając po drodze rozświetloną hiperboloide przed hotelem Barbary Coast. Kiedy taksówka zjeżdża z rampy i włącza się do ruchu, taksówkarz ponownie się odzywa. Rozsiądź się wygodnie, mówi. Czeka nas półtorej godziny jazdy, może godzina czterdzieści pięć.

Curtis marszczy brwi, przelicza czas i odległość. Strzela na ślepo. Jedziemy do Indian Springs? – pyta.

Taksówkarz nie odpowiada. Curtis kręci się na siedzeniu, poprawia broń, wygląda przez okno. Na jezdni wciąż jest sporo samochodów, przersedzają się dopiero za drogą szybkiego ruchu: większość zjeżdża na North Las Vegas Boulevard. Taksówka trzyma się autostrady międzystanowej. Jeszcze trochę i mijają tor wyścigowy oraz bazę lotniczą. W radiu leci cicho kawałek Anity Baker. Słuchaj, zagaduje kierowcę Curtis. Wiadomo coś nowego o wojnie?

Taksówkarz milczy przez dłuższą chwilę. Nic nie wiem, koleś – mówi wreszcie.

To może poszukałbyś jakichś wiadomości?

Mężczyzna zwiększa odrobinę głośność i dopóty naciska przycisk, dopóki nie natrafi na stację NPR. Właśnie zapowiadają poranne wydanie programu informacyjnego. Stany Zjednoczone przynaglają oenzetowskich inspektorów do opuszczenia Bagdadu; Francja zapowiada weto w sprawie wojny; Bush zapowiada, że i tak ją rozpocznie; Amerykanie popierają inwazję w stosunku dwa do jednego.

Curtis przycisza radio, zanim na antenę wejdzie Bob Edwards. Rano zamierzał zgłosić się do konsjerża, wejść do internetu, poszukać najnowszych wieści z Atlantic City. Jeżeli prawdą jest to, co mu powiedział Kagami – to o zaginionym krupierze z The Point – na pewno będą już o tym pisali w dzisiejszych gazetach. Powinien wczoraj to sprawdzić, zatelefonować w kilka miejsc, ale był zbyt zmęczony i roztargniony. Teraz miałby przynajmniej na czym się oprzeć podczas swojego spotkania z Argosem, który najwyraźniej gra jakąś ważną rolę w tej aferze – albo chce, żeby Curtis tak właśnie uważał. „Wiem, co się wydarzyło w Atlantic City. To mnie tak naprawdę szukasz”.

Sygnal radiowy zanika w miarę, jak autostrada pnie się coraz wyżej. Potem odbija na wchód: niebo jest tam wodnistobłękitne, nad horyzontem bieleje jaśniejsze pasmo. Wokół materializuje się pustynia: poszarpane skały, białe kępy ambrozji i larrei, tu i ówdzie, niczym samotny strach na wróble, majaczy sylwetka jukki krótkolistnej. Czasami światło reflektorów wyławia z półmroku śmigające poboczem skunksy i królaki.

Za brązową tablicą Federalnego Zarządu Autostrad informującą, że zbliżają się do parku stanowego Valley of Fire, taksówkarz włącza kierunkowskaz. Curtis sprawdza numer zjazdu i godzinę: znajdują się trochę ponad pięćdziesiąt kilometrów za miastem, do miejsca przeznaczenia wciąż mają jakieś czterdzieści

pięć minut. Taksówkarz zdejmuje z deski rozdzielczej plik złożonych kartek i rozkłada je na kierownicy: wydruk ze wskazówkami dojazdu. Z tylnego siedzenia Curtis nie może ich odczytać, zresztą chwilę później tamten znów składa kartki.

Dwupasmowa czarna nawierzchnia skręca na południe, potem na wschód. Zza poszarpanego pasma górskiego mruga wschodzące słońce, potem znów odbijają na południe. Droga jest pusta. Po przekroczeniu granicy parku w radiu słychać już tylko trzaski i z rzadka zacinające się głosy: wielostronne poparcie... niewydolność oddechowa... Irlandzko-amerykańskie... nie jest pewne, czy... wywalczyć pokój. Zamiast wyłączyć radio, taksówkarz przekrzykuje zakłócenia, podśpiewując kawałek Boba Marleya. Nuci, gdy zapomina słów, i stale wraca do początku zwrotki – jest tam coś o porwaniu i o tym, że ktoś został sprzedany w niewolę zaraz po tym, jak się wydobył z bezdennej otchłani. Facet ma całkiem niezły głos. Curtisowi piosenka się podoba, ale też nie pamięta tekstu.

Dalej od drogi ziemia wznosi się stromo, nierówna i poszarpana, usiana osmaganymi wiatrem monolitami w kolorze ciemnopomarańczowym, które w ukośnych promieniach słońca rzucają długie cienie. Taksówka jedzie dalej, mija pola kempingowe i tereny piknikowe, informację turystyczną – Curtis znów zerka na zegarek – opuszcza park i wjeżdża na obszar rekreacyjny rozpościerający się nad jeziorem Mead.

Droga kończy się skrzyżowaniem w kształcie litery T: równoległe do jeziora z północy na południe biegnie inna dwupasmówka. Taksówkarz łagodnie hamuje i staje, ponownie zagląda do wskazówek i tym razem dłużej się w nie wczytuje. Zgubiliśmy się? – zagaduje Curtis.

Mężczyzna przerzuca kartki. Z samochodowych głośników dobiega przeciągły pisk, w którym pulsują urywki ludzkiej mowy, lecz żadne słowo nie przebija się przez zakłócenia. Słońce wisi już ponad górami. Przez szybę Curtis dostrzega niebieskie i żółte kwiaty między kępami ambrozji; rosną wszędzie, gdzie tylko jest trochę luźniejszej ziemi. Silnik taksówki przechodzi na bieg jałowy. Z tyłu nie zbliża się żaden samochód, nic też nie przejeżdża przed nimi główną drogą.

Taksówkarz odkłada kartki na deskę rozdzielczą, zdejmuje nogę z pedału hamulca i wóz przetacza się na drugą stronę skrzyżowania, zjeżdża z asfaltu na drogę gruntową, której Curtis wcześniej nie zauważył. Gdy prędkościomierz wskazuje trzydzieści kilometrów na godzinę, taksówką zaczyna telepać, aż Curtisowi szczękają zęby. Auto zwalnia. Z tyłu wznosi się obłok różowego pyłu, rozwiewa go silny wiatr. Nie mają szans dojechać na miejsce niezauważeni.

Ziemny trakt prowadzi ich przez około pięć kilometrów i urywa się nad jeziorem, a raczej nad stromym urwiskiem, którego niegdyś sięgała woda. Taksówkarz zatrzymuje się. To tutaj, mówi.

Curtis prostuje się na siedzeniu, rozgląda na wszystkie strony. Widzi

przenośną toaletę, szeroką zawrotkę dla samochodów – i to by było tyle. Wiatr wieje od jeziora, szarpiąc łodygami kwitnącej bylicy. Super, mamrocze pod nosem.

Wysiada z taksówki, schyla się i zagląda do środka przez otwarte okno. Koleś nie mówił, gdzie ma się ze mną spotkać?

Wiem tyle samo co ty, wzrusza ramionami taksówkarz. Może nawet mniej.

Oddasz mi telefon?

Mężczyzna podaje mu komórkę. Curtis włącza ją, a taksówka odjeżdża w chmurze pyłu. Aparat nie może złapać zasięgu i Curtis znów go wyłącza.

Stąd, gdzie stoi, widać wodę. Jezioro płonie odbitym blaskiem. Po jego powierzchni pływają jakieś duże ptaki, mewy albo kaczki, które wyglądają jak plamy na słońcu. Wszystko to znajduje się w znacznym oddaleniu. Tuż przed nim ziemia opada stromo; szare pasmo mułu znaczy miejsce, dokąd sięgała woda. Wygląda na to, że jej poziom od dawna się nie podnosił. Susza musi trwać już bardzo długo – Curtis przypomina sobie, że coś na ten temat słyszał. Daszkciem z prawej dłoni osłania oczy i lustruje równinę rozciągającą się między urwiskiem a brzegiem jeziora, ale w jaskrawym świetle niczego nie można dojrzeć.

Wiatr świszczuje mu w uszach. Curtis odwraca się raz, drugi. Ilekroć znajduje się na otwartej przestrzeni, boleśnie doświadcza ograniczeń swojego wzroku. Czuje się całkiem bezbronny, wystawiony na strzał. Odruchowo chwyta za rewolwer – zażenowany, jakby właśnie opadły mu spodnie w miejscu publicznym – i jednym szarpnięciem otwiera drzwi przenośnej toalety. W środku nikogo nie ma. Jest czysto, pachnie środkiem odkażającym i perfumami.

Już zaczyna się martwić, jak wróci do miasta, gdy naraz coś nad wodą przyciąga jego uwagę. Z południowej strony błyska: regularnie, ale nie na tyle, aby źródłem światła mogło być jakieś urządzenie. Ktoś ewidentnie sygnalizuje. Curtis wzdycha ciężko na wspomnienie lusterka, którym Świstak posłużył się w kasynie, i rusza przed siebie.

Najpierw musi zbadać skraj urwiska, żeby znaleźć bezpieczne zejście, wystarczająco łagodne, żeby się nie pośliznąć. Gdy zbocze nieco się spłaszcza, wyraźnie widać wydeptaną ścieżkę. Dawniej Curtis zupełnie nieźle potrafił oceniać odległości; od czasu wypadku nie jest to już takie proste. Od migającego lusterka dzieli go na oko dwa kilometry.

Na dole temperatura jest o dobre pięć stopni wyższa niż na urwisku. Większość terenu porastają krzaki i trawy, do tego łuskowate tamaryszki dostatecznie wysokie, aby ograniczać widoczność. Kilka zagłębień terenu wypełnia szlam, gdzie indziej ziemia popękała, tworząc nieregularne płyty wielkości talerza obiadowego; niektóre z nich uginają się pod stopami Curtisa. Szczeliny między nimi mają niekiedy ponad dwa i pół centymetra szerokości, ich głębokości nie sposób ocenić. Każdemu krokowi towarzyszy suchy chrzęst: to kruszy się jasna warstwa alkalicznego osadu, pozostałość odparowanej wody. Szlak rozwidla się

raz, drugi. Ilekroć Curtis dochodzi do wniosku, że się zgubił, migotliwy sygnał lusterka przebija się przez zarośla, prowadzi go. Robi się gorąco. W swojej szafie Curtis posiada ubrania, które mniej nadawałyby się do tej wędrówki niż to, co ma teraz na sobie, ale nie jest ich wiele. Kłujące jak igły rzepy czepiają się jego sznurówek.

Wreszcie dochodzi do szerszej ścieżki nieporośniętej w ogóle trawą ani żadną inną roślinnością, tak prostej, jakby wytyczył ją geodeta. Błyski dochodzą z samego jej końca: widać tam szeroką przesiekę i coś przypominającego płaski głaz. Światło odbija się niemal z poziomu gruntu, stale oślepia Curtisa; już dawno by nie żył, gdyby Argos chciał go zastrzelić. Zbliża się powoli, rozkłada ręce, otwiera dłonie.

Nagle zauważa coś w trawie po prawej stronie: pusty w środku czworokąt zbudowany z cegieł, coś jakby komin, który sięga poniżej kolan. Podchodzi bliżej, odwracając twarz od blasku lusterka, i widzi, że istotnie ma przed sobą podstawę komina: fragment obudowanych cegłą fundamentów niewielkiego budynku. Chwilę później dostrzega w pobliżu więcej ruin: pokryte błotem kamienne płyty, studnie wypełnione szlamem, połamane belki, całkiem białe od osadów. Przed wybudowaniem tamy i utworzeniem sztucznego zbiornika musiało tu być jakieś miasteczko. Latami spoczywało pod wodą, aż w końcu susza odsłoniła pozostałości.

Curtis słyszy głos Argosa; charakterystyczne świszczące tony harmonizują z poszumem wiatru. Idź dalej, Curtis! Bardzo mi się podoba to, co robisz z rękami. Trzymaj je uniesione – o, właśnie tak.

Świstak siedzi na tanim plastikowym krześle ogrodowym obok motocykla motocrossowego. Jakies trzy metry przed nim stoi drugie podobne. Curtis dochodzi do wniosku, że tamto czeka na niego – chyba że na spotkaniu ma być ktoś jeszcze. Oba krzesła są ustawione na gładkiej betonowej wylewce dawno nieistniejącego budynku, którego ściany zmurszały albo zostały zmiecione przez wzbierającą wodę. Jeśli nie liczyć dwóch ukruszonych rogów, skąd wyzierają pręty zbrojeniowe, płyta fundamentowa jak najbardziej nadaje się do ponownej zabudowy. Curtis praktycznie nie widzi Argosa. W blasku płonącego w uniesionej lewej dłoni lusterka jego sylwetka to zaledwie cień postaci.

Cześć, woła Curtis. Mógłbyś przestać tym świecić?

Argos nie odpowiada i nie opuszcza lusterka. Curtis robi jeszcze kilka kroków naprzód. Porusza się wolno, z namysłem. Mruży oczy. Kiedy jest już na wyciągnięcie ręki od wolnego krzesła, lusterko przestaje go oślepiać, Argos podnosi za to drugą rękę.

Tkwi w niej broń: matowy czarny pistolet półautomatyczny. Argos trzyma ją tak, jakby się naoglądał zbyt wielu filmów. Curtis denerwuje się, ale nie bardzo. Bądź co bądź czegoś takiego się spodziewał.

Podejdz bliżej, mówi Argos. Nie opuszczaj rąk. Jeszcze bliżej. A teraz odwróć się, spleć dłonie na głowie. Nogi szerzej. Świetnie.

Curtis wchodzi na fundament. Pozwala Argosowi odebrać sobie rewolwer i dokonać niewprawnego przeszukania. Zdejmuje kurtkę, wiesz ją na oparciu wolnego krzesła i siada.

Mężczyzna ma na nosie okulary przeciwsłoneczne w białej oprawce, z błękitnymi, opalizującymi szklami, zza których nie widać oczu. Ubrany jest w gładki usztywniany kombinezon do motocrossu, idealnie czysty, jakby po przyjeździe na miejsce zdążył się przebrać. Zsuwa się nisko na swoim krześle i kładzie obie pukawki obok siebie, na zamkniętym wieku styropianowej lodówki. Curtis już wie, co miała na myśli Veronica: koleś faktycznie ma całkowicie nijaką twarz. Jest biały, ale nie do końca; Curtis podejrzewa domieszkę krwi azjatyckiej, choć równie dobrze Świstak mógłby uchodzić za Latynosa albo przybysza z Bliskiego Wschodu. Wyteżę wzrok, usiłując dostrzec pod okularami wyraz oczu. Przypomina mu się ilustracja z podręcznika *Wprowadzenia do psychologii*, z którego korzystał na Uniwersytecie Luterańskim: niewyraźny obraz twarzy człowieka, wykonany z nałożonych na siebie fotografii dziesiątek różnych twarzy. Nie pamięta już, czego miała dotyczyć, ale tak właśnie wygląda Argos: niewyraźny od stóp do głów.

Powinienem ci coś powiedzieć, zanim zaczniemy, mówi tamten.

Wal.

Niecałe trzysta metrów za twoim prawym ramieniem, na szczycie wzniesienia, rośnie mały krzew *larrei*. Nie oglądaj się. Musisz mi uwierzyć na słowo. Siedzi tam ukryty mój kumpel w stroju maskującym. Ma karabin z lunetą i w tym momencie jej celownik jest wymierzony prosto w podstawę twojej czaszki. Jestem pewien, że o tych rzeczach wiesz więcej ode mnie, Curtis, ale mój kumpel twierdzi, że trafić tym karabinem z odległości trzystu metrów to dla niego żadna sztuka. Tak więc miej to na uwadze, bardzo cię proszę.

Na ułamek sekundy Curtis tężeje. Czuje mrowienie na skórze, lecz nie trwa to długo. Argos już trzyma go na muszce – po co miałby dodatkowo szachować go ukrytym snajperem? To na pewno ściema: koleś jest sam jak palec i wyraźnie się boi. Całkiem możliwe, że boi się na tyle, żeby być niebezpieczny. Z pewnością jednak nie ma żadnego wsparcia.

Szybko się uwinąłś, chwali go Argos.

Dzięki. Czego chcesz?

Chcę się dogadać. Znudziło mi się robić za zwierzynę łowną. Chcę wrócić do branży, znowu montować ekipy. Nie jestem chciwy i wiem, na czym stoję. Potrzebuję od Damona konkretnych i przekonujących gwarancji, że od tej pory nie będzie mi bruździł i da mi spokojnie pracować.

Co oferujesz w zamian?

Argos szczyrzy zęby w uśmiechu. To uśmiech szaleńca, starannie wykalkulowany. Obliczony na to, żeby zrobić wrażenie. Niczego nie oferuję, mówi. Ja daję. Urządźmy sobie taki mały potlach. Wymianę darów.

W porządku. Co masz do oddania?

Swoją pamięć. Niniejszym wymazuję z niej wszelkie roszczenia co do udziału w zyskach ze skoku na Spectacular. W porządku? Zapominam, co się wydarzyło w Atlantic City. Już zapomniałem. Cholera, mogę nawet zapomnieć, że istnieje takie miasto jak Atlantic City! Moja noga nigdy więcej tam nie postanie. Wszystko to robię z własnej woli, nie oczekując niczego w zamian. Możesz przekazać Damonowi, że to taki mój prezent dla niego.

Patrzą na siebie. Wiatr szeleści w tamaryszkach. Robi sporo hałasu, lecz Curtis prawie go nie czuje.

Ale, dopowiada.

Argos wzdycha. Ale, mówi, zanim to wszystko zapomniałem, napisałem kilka listów – nie powiem ile – i rozesłałem je do kilku swoich znajomych. Bliższych i dalszych. Poprosiłem ich, żeby je zachowali, a ja wynagrodzę ich za to, przesyłając co roku pewną sumkę w gotówce. Oni sami nie muszą nic robić. O ile, rzecz jasna, pewnego roku owa drobna sumka do nich *nie wpłynie*. Wtedy mają przesłać listy dalej, do policji w New Jersey. Jestem pewien, że wiesz, jak ten proces generalnie wygląda, Curtis. Nie muszę ci tego tłumaczyć.

Curtis przytakuje. Rytm jego serca przyśpiesza, ale stara się zachować kamienną twarz. Jest coraz bliżej, tylko jeszcze nie wie, jak kolesia rozegrać. Nagle coś w jego głowie przeskakuje i wszystko staje się jasne. Curtis widzi siebie samego oczami Argosa: wie, za kogo tamten go uważa. Nie jest to miłe uczucie, ale może je wykorzystać.

No cóż, odzywa się, Damon będzie chciał wiedzieć, co się znalazło w tych listach.

Argos krzywi się. O czym ty gadasz, Curtis? Przecież nie opisałem metod, którymi Damon się posługuje, żeby oszukiwać w karty. Dobrze wiesz, o czym tam mowa.

To nie wystarczy. Damon będzie chciał wiedzieć dokładnie, co napisałeś. Mówisz, że wiesz, co się wydarzyło w Atlantic City. W porządku, brzmi to całkiem nieźle. Ale co dokładnie masz w ręku? Musisz odkryć parę kart.

Co? – parska śmiechem Argos. Może jeszcze chciałby, żebym mu wysłał kopię listu? Mam nadzieję, że zagląda do swojej pieprzonej skrzynki.

Powiedz to mnie. Tu i teraz. Powiedz mi wszystko, co powiedziałbyś glinom.

Między nosem a wargami Argosa pojawia się dziwny tik, jakby jego twarz zmieniała kształt. Curtis, mówi, ja naprawdę nie mam czasu...

To go znajdź, przerywa mu Curtis. Jeśli faktycznie chcesz to zakończyć.

Mijają kolejne minuty, czas zdaje się wlec w nieskończoność. Argos siedzi nieruchomo. Wiatr mierzwi jego krótkie brązowe włosy. Dobra, odzywa się wreszcie. Od czego mam zacząć?

Curtis wraca myślami do opowieści Veroniki, stara się przypomnieć sobie wszystkie istotne luki. Stanley i Damon wspólnie zmontowali ekipę specjalistów od liczenia kart, podsuwa.

Ekipę zmontował Stanley, poprawia go Argos. Damon uprzedził, żebym się spodziewał jego telefonu. Tyle że Stanley nie wiedział, co Damon zaplanował w The Point. To wiedzieliśmy tylko ja, Damon i krupier. Chociaż do tej pory Stanley raczej domyślił się prawdy.

Co tam się stało?

Słuchaj, denerwuje się Argos. Czy ja naprawdę...

Mów, do cholery. Co się stało w The Point?

Argos prycha poirytowany. Ekipa się rozdzieliła i weszła między stoły, mówi, jak to było przewidziane w innych kasynach. Zajęliśmy pozycje, a krupierzy zaczęli nas stopniowo wyłapywać, tak jak zaplanował Damon. Gdy mój zespół się rozproszył, dałem nura do kibla, przebrałem się i poszedłem tam, gdzie toczyła się gra o wyższe stawki.

Jego brwi unoszą się nad oprawkę okularów, jakby to, co powiedział, powinno wystarczyć. Dokończ, nalega Curtis. Co potem zrobiłeś?

Usiadłem, rzuca drwiąco Argos. I zacząłem partyjkę blackjacka. Grałem za maksymalną stawkę, która w tym konkretnym rozdaniu wynosiła dziesięć tysięcy dolarów. Przez chwilę starałem się wychodzić na swoje, potem poprosiłem o podwojenie limitu. Limit został podniesiony. Wtedy zacząłem wygrywać.

Jak to ustawiliście?

Przecież to idiotyczne, Curtis.

Jak?

Ale zabawa, nie? Coraz bardziej mi się to podoba. Czuję się trochę perwersyjnie, jak sprzedajna dziwka. Czy jak już z tym skończymy, możemy się jeszcze pobawić w odgrywanie ról? Na przykład w zucha i druha drużynowego? Bierze cię to?

Powiedz mi, jak to ustawiliście, Argos.

Przez moment mężczyzna gapi się na niego z otwartymi ustami. Jak mnie nazwałś?

Curtis jest wytrącony z równowagi tym pytaniem, ale stara się, jak może, żeby w jego głosie nie pojawił się cień wątpliwości. Pod takim nazwiskiem występujesz, prawda? Graham Argos.

Tamten uśmiecha się krzywo, zmienia pozycję na chybotliwym krześle. Jasne, mówi. Jeśli wystawisz czek na Grahama Argosa, bez problemu go zrealizuję. Damon powiedział ci, że tak się nazywam?

Curtis nachyla się do przodu, opiera łokcie na kolanach i mierzy Argosa opanowanym wzrokiem. Chce, mówi, żebyś mi natychmiast powiedział, jak to ustawiliście.

Zapada cisza przerywana tylko przez silny powiew ciepłego wiatru, który podrywa drobny pył z dawnego dna jeziora. Z chrzęstem ciska nim o lodówkę Argosa i buty Curtisa, na krótką chwilę tworzy z niego roztańczoną kolumnę na płycie fundamentowej pobliskiej ruiny. Kilka ziarenek odbija się od szkieł okularów Curtisa.

Krupier był kupiony, mówi wreszcie Argos. Tak to załatwiliśmy. Jeśli mam być szczery, to było coś fantastycznego. Koleś był w swoim fachu równie dobry, jak ja w swoim i nie mówię tego ot, tak sobie. Dokładnie wiedziałem, czego się spodziewać – i na co zwracać uwagę – a mimo to niczego nie potrafiłem dostrzec. Rzadko się słyszy, aby wychwalano tego rodzaju umiejętności, a szkoda. To naprawdę niepowetowana strata, że koleś nie ma już na tym świecie.

Jakim cudem ciebie nie dopadli?

Jak już powiedziałem, koleś był naprawdę dobry.

Nie chrzań, irytuje się Curtis. To, że był dobry, nie miało w tym przypadku żadnego znaczenia. W kasynie trwał stan pogotowia. Wiedzieli, że na sali są szulerzy i że liczą karty; kilku nawet na tym przyłapali. Kto autoryzował podniesienie limitu? Dlaczego nikt nie zwrócił uwagi na to, że zgarniesz taką kasę?

Bo patrzyli nie tam, gdzie trzeba, wyjaśnia Argos. Pewnie, że wiedzieli o zagrożeniu. Na tym polegał cały urok tej sytuacji. Powiedziałem ci, że dosiadłem się do stołu, gdzie obowiązywały podwyższone limity zakładów. Szulerzy przy takich nie działają, bo raz, dwa zostaliby przyłapani na liczeniu kart. Przy tak wysokich stawkach za bardzo zwracaliby na siebie uwagę. Damon przesunął najbardziej czujnych kierowników stołów i najbystrzejszych speców od obsługi monitoringu na zwykłe stoły, z dala od tych z podwyższonym limitem. To tam spodziewano się głównego uderzenia. Damon oferował nagrody w gotówce tym, którzy rozbiją naszą ekipę. Tymczasem ja miałem przy swoim stole przekupionego krupiera i zielonego koleśia nadzorującego grę, robiącego w gacie ze strachu, żeby przypadkiem nie urazić grubej ryby, to znaczy mnie. Do tego garść ochroniarzy wkurzonych, że omija ich zabawa w głównej sali. W dodatku – i to był klucz do sukcesu całego przedsięwzięcia – Damon sprokurował dla mnie fałszywą historię kredytową, dzięki której na papierze faktycznie mogłem uchodzić za grubą rybę. Mogłem wejść do skarbcza z pieprzoną łopata i uszłoby mi to płazem.

Ile wtedy zgarnąłeś?

Argos uśmiecha się nieprzyjemnie. Damon pozwolił ci mnie o to pytać?

To już sprawa pomiędzy mną a nim.

Tak, mówi Argos, pewnie masz rację. Niech ci będzie, Curtis. Przy stawce wynoszącej dwadzieścia kawałków na rozdanie, w niecałe dziesięć minut

sczyściłem ich na milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Żetony o takiej wartości zaniósłem do kasy i z taką kwotą wymaszerowałem z kasyna.

Pozwolili ci tak po prostu wyjść z ponad milionem dolarów w gotówce?

Nie byli tym zachwyceni. Próbowali mnie zatrzymać pod różnymi durnymi pretekstami – na przykład że muszę wypełnić taki to a taki formularz – więc chyba się zorientowali, że coś śmierdzi. Tyle że w tym momencie niewiele już mogli zrobić. Poza tym nie byłem przecież pierwszym lepszym gościem w garniturze, tylko szanowanym graczem.

Curtis spogląda ponad ramieniem Argosa na falujące przy brzegu wysokie trawy; obserwuje wzory tworzące się i znikające z każdym kolejnym podmuchem wiatru. Damon już wcześniej pozwalał ci pracować w The Point, odzywa się. Byłeś jego graczem pozycyjnym. Zanim cię spalił. Zanim to wszystko się wydarzyło.

Tak ci powiedział?

To prawda?

Pewnie, przytakuje Argos. I co z tego?

Czyli etatowo grałeś w pokera w The Point, a potem przyszedłeś tam z całą ekipą, wygrałeś ponad milion dolarów przy stole z podwyższonym limitem zakładów, odebrałeś w kasie gotówkę i nikt cię nie rozpoznał?

Argos wzrusza ramionami. Jestem dobry w tym, co robię, mówi.

Curtis odchyła się na oparcie krzesła i uważnie mu się przygląda. Koleś może mieć lat dwadzieścia pięć, trzydzieści pięć albo czterdzieści pięć. Pod ciemnymi okularami jego skóra jest jednolicie gładka, jakby była zrobiona z plastiku albo gliny. Jest w nim coś odrażającego, nieludzkiego. Przypomina człowieka na tej samej zasadzie co kojot przypomina psa. Curtis już się go nie boi.

Co się stało z tamtym krupierem? – pyta.

Spodziewa się wahania, lecz Argos nie waha się ani sekundy. Właśnie na taką okazję czekał.

Po wypłacie, mówi, schowałem całą kasę w skrytce bankowej i spotkałem się z resztą ekipy w Resorts. Było sporo załamywania rąk, dziwienia się i bluzgania na Spectacular, ale nikt szczególnie nie rozpaczał, bo wcześniej wszyscy sporo zarobili w innych kasynach. Myślę, że Stanley wiedział już wtedy, że został wydymany w The Point i że ja miałem w tym swój udział, ale źle się czuł i nic na ten temat nie wspominał. Trochę to potrwało, wreszcie podzieliliśmy forszę i każdy poszedł w swoją stronę. Ja ruszyłem wprost do skrytki, zabrałem pieniądze i wróciłem do The Point.

Zaraz, zaraz. Wróciłeś tam?

Owszem. Też nie byłem z tego powodu szczęśliwy, ale Damon chciał, żebyśmy właśnie tam rozdzielili łupy, bo ani on, ani krupier nie mogli na dłużej urwać się z pracy. Przynajmniej tak mi powiedział. Dokonałem więc pewnych zmian w swoim wyglądzie i wróciłem do The Point. W kasynie panowała bardzo

dziwna atmosfera. Mnóstwo ludzi z innych lokali zjawiało się z gratulacjami – chcieli wiedzieć, jak ochrona w The Point nas namierzyła. W tym samym czasie do szefostwa Spectacular stopniowo zaczynało docierać, że zostali zrobieni na cacy. Miało się wrażenie, że kasyno to sklep, w którym kilka minut wcześniej doszło do napadu. Albo miasteczko, przez które właśnie przeszło tornado, tyle że nikt tego nie zauważył. Wszyscy byli spięci i podekscytowani. Krótco tam zabawiłem, od razu poleciałem na górę do pokoju.

Do jakiego pokoju?

W hotelu. Zastukałem, otworzył mi jakiś koleś.

Co za koleś?

Nigdy wcześniej go nie widziałem. Z miejsca domyśliłem się, że to pułapka. Skok się udał, zgarnęliśmy kasę. Po co mieszać w to kolejną osobę?

Jak on wyglądał?

Wysoki. Metr dziewięćdziesiąt pięć. Osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć kilo. Napakowany. Wieśniacki akcent. Typowy cyngiel – było widać, że siedział. Wpuścił mnie do środka – nasz krupier już tam był – i wyszedł. Powiedział, że zaraz wróci z Damonem.

Co wtedy zrobiłeś?

A co miałem zrobić? Zwiąłem stamtąd w cholere.

Dlaczego?

Bo mam, kurwa, rozum. Pomyśl: zjawiam się, Damona nie ma, drzwi otwiera mi podejrzany typ, którego nie znam, upewnia się, czy przyniosłem pieniądze, potem każe nam siedzieć cicho i spada. Cholera jasna, Curtis – równie dobrze mógłby rozłożyć na dywanie folię, kazać nam się położyć i czekać, aż wróci.

Przestraszyłeś się.

Może nie miałem stuprocentowej pewności, ale przecucie wystarczyło. Posłuchałem instynktu i patrz, co się stało z krupierem. Został, a teraz robi za przynętę dla ryb w zatoce Absecon.

Nie widziałeś na własne oczy, co z nim zrobili.

Nie, Curtis, nie widziałem. Nie siedziałem w krzakach, gdy Damon i jego cyngiel wkładali zwłoki do bagażnika. I nie pojechałem za nimi do portu jak jakaś pieprzona Nancy Drew. Zresztą masz całkowitą rację. Jestem idiotą. Policja z New Jersey będzie miała w dupie takie zeznania. Przykro mi, że zająłem ci czas. Pięknie jest nad tym jeziorem, no nie? A teraz chodź, weź swój rewolwer i palnij mi w łeb.

Zabrałeś z hotelu pieniądze?

Nie wziąłem żadnych pieprzonych pieniędzy! Damon twierdzi inaczej?

Dlaczego nie? Czemu je zostawiłeś?

Argos wierci się, przeczesuje palcami włosy. Nie wygrałem ich, mówi. Forsa była kradziona. W sumie spoko, tyle że większość wypłacili mi w nowiutkich

banknotach. Nie byłem pewien, co miałbym z nią zrobić. Na dodatek w tamtym momencie plan Damona nie wydawał mi się już taki sprytny. Uznałem, że lepiej będzie się stamtąd zmyć.

Jak na to zareagował krupier?

Próbował mnie zatrzymać. Ze strachu zaczęło mu odbijać. Usiłowałem mu wytłumaczyć, dlaczego chcę wiać, ale słabo mówił po angielsku. Zaczęliśmy się szarpać. Pchnąłem go, a on upadł. Pewnie by za mną wybiegł, ale nie chciał zostać na korytarzu, gdyby drzwi się zatrzasnęły.

Jak się nazywał?

Nie przedstawił się. Pierwszy raz zobaczyłem go tamtej nocy przy stole, a wtedy nie przyszło mi do głowy, aby rzucić okiem na jego identyfikator. Kiedy spotkaliśmy się później w pokoju, nie bawiłem się w uprzejmości. Wczoraj wyszukałem go w internecie i zapisałem sobie nazwisko. Jakieś koreańskie.

Curtis zaciska szczęki, patrzy na jezioro. Zgrzyta zębami. Jest wściekły, tak wściekły, że sam się tego boi. Zastanawia się, jak mógłby odzyskać broń. Słońce stoi teraz wysoko. Kilka dużych ptaków, które wziął za kaczki, okazuje się białymi pelikanami; szybują parę centymetrów nad powierzchnią wody, wypatrując płycizn wśród trzcin, przyciskając do piersi swoje długie dzioby.

A jeśli ten typ nie był wynajętym cynglem? – pyta. Jeśli był tam, żeby odkupić forszę?

Co ty gadasz? – prycha Argos. Ale dobrze wie, o co Curtisowi chodzi: też musiało mu to przejść przez myśl. Można to wyczytać z jego tonu, jeśli nie z wyrazu twarzy.

Sam powiedziałeś, że banknoty były nowe, ciągnie Curtis. Może zadaniem tamtego było wyprać forszę. Może wcale nie miał nikogo zabić. Może cała sprawa się ryła właśnie dlatego, że zwałeś. Wtedy reszta spanikowała. Rzucili się sobie do gardeł. Może to wszystko twoja wina, Argos. Przyszło ci to do głowy?

Mężczyzna uśmiecha się blado, macha lekceważąco ręką. Staram się nie roztrząsać takich rzeczy, mówi. To mnie przygnębia. W tym biznesie liczy się przede wszystkim nastawie...

Uśmiech gaśnie, Argos gwałtownie się prostuje. Co to, kurwa, jest? – rzuca.

Curtisowi szczeka opada ze zdumienia. Chyba żartujesz, mówi. Może mam się teraz obejrzeć za siebie?

Coś jest na drodze.

Argos podnosi pistolet i rewolwer, kładzie oba na betonie i uchyla wieka lodówki: w środku są butelki oraz lornetka, którą przykłada do oczu. To właściwy moment, żeby go zaatakować i obezwładnić, ale Curtis jakoś nie może się do tego zmusić. To pewnie twój wyimaginowany kumpel z karabinem, drwi. Znudziło mu się czekanie.

To samochód. Nikt cię nie śledził?

Nie, nikt, odpowiada Curtis. Choć prawdę mówiąc, ani razu nie spojrziałem w lusterko wsteczne. Mimo wszystko wydaje mi się to mało prawdopodobne.

Dobra, mówi Argos, pora stąd spadać.

Podchodzi do motocykla, otwiera sakwę i wrzuca lornetkę do środka. Nie pękaj, Argos, rzuca Curtis. To pewnie tylko strażnik parku.

To nie strażnik.

Argos wtyka pistolet za pasek, rozładowuje rewolwer Curtisa i wkłada go wraz z nabojami do styropianowej lodówki. Curtis podnosi się z krzesła. Zostawisz mnie tak po prostu na pustyni? – mówi. Jak twoim zdaniem mam wrócić do miasta? Tutaj nie ma zasięgu.

Co, jeszcze nie załapałeś? – śmieje się Argos. Ale z ciebie bystrzak. Dostałeś tę komórkę od Damona, mam rację?

Curtis mruga. A co to ma z czymkolwiek wspólnego?

Mnie też dał komórkę. Całkiem wypasioną. Zabawna rzecz: po tym, jak zostawiłem Damona z jego cynglem w The Point, przez kolejne kilka dni odbierałem dziwne telefony. Siedziałem w restauracji albo gdziekolwiek, podnosiłem głowę i proszę: wsiok już tam był, rozglądał się dokoła tymi swoimi oczkami jak paciorki. Z paru miejsc musiałem się ewakuować przez kuchnie albo okna. Ale wiesz co? Wszystko się skończyło, jak tylko wywaliłem komórkę. Wiem dobrze, co teraz myślisz: korelacja nie uzasadnia związku przyczynowo-skutkowego. Jeśli jednak się zastanawiasz, dlaczego wołałem się z tobą spotkać na takim odludziu, to właśnie jest odpowiedź.

Curtis kręci głową. Masz paranoję, mówi.

Argos chowa pistolet do sakwy wraz z dwiema butelkami wody z lodówki. Na jego twarz powrócił uśmiech szaleńca, tyle że tym razem wydaje się jakby mniej sztuczny. Uważasz, że mam paranoję, tak? W porządku. Pomówmy przez chwilę o twoim kumplu Damonie. Czym zajmował się po wojnie w Zatoce, Curtis? Ochroną ambasad. Gdzie? W Boliwii, Pakistanie. Kto kręci się wokół takich miejsc? Nie powiesz mi, że Damon się z tymi ludźmi nie kontaktował. Daj spokój, Curtis. Damon Blackburn? Koleś posiadał najwyższe wtajemniczenie, ma sekretny sygnet.

Curtis śmieje się z tego, kręci głową, jakby usłyszał kompletną bzdurę, a jednocześnie myśli: w jaki sposób Albedo namierzył mnie wczoraj w New York – New York?

Argos wyciąga z sakwy lornetkę, żeby ponownie rozejrzeć się po wznieśieniu. Tym razem Curtis postanawia zaryzykować i też się ogląda. Faktycznie, od strony drogi widać kolumnę różowego pyłu rozwiewaną przez wiatr. Na ziemi nie zauważa jednak żadnego ruchu.

Na kierownicy motocykla wisi kask; Argos wkłada go, zapina pasek pod brodą. Chowa lornetkę i zamyka sakwę. Zaczekaj, mówi Curtis. Jeszcze nie

skończyliśmy.

Obawiam się, że tak, przyjacielu.

Curtis zbiera się w sobie: musi coś szybko wymyślić, z powrotem wcielić się w rolę. Wciąż nie ma tego, po co przyjechał. Jeszcze nie. W każdym razie nie ma wszystkiego. Zakłamany z ciebie dupek, wiesz? – mówi. Jeśli spodziewasz się, że Damon pójdzie z tobą na układ po tym, co mi tu powiedziałaś, to naprawdę ci odbiło. Nic na niego nie masz. Śmiało, idź ze swoją bajeczką na policję. Damon powie, że wszystko zmyśliłeś. Stwierdzi, że wspólnie z krupierem zrobiliście przekręt, a potem ty sam go sprzątnąłeś. Wszystkiego, o co go oskarżasz – przygotowanie skoku z wewnątrz i tak dalej – mogłeś przy odrobinie dalekowzroczności dokonać z zewnątrz sam. Kto potwierdzi twoją wersję?

Argos wsiada na motocykl, przechyla go, kopnięciem unosi podnózek. Znalazłeś już Stanleya? – pyta. Nie? Tak też myślałem. Do zobaczenia na mecie.

Nikt nie znajdzie Stanleya, Argos. Dobrze o tym wiesz. On cię nie uratuje. Potrzebujesz twardych dowodów przeciwko Damonowi, ale żadnych nie masz. Rzucasz wyzwanie odznaczonemu byłemu żołnierzowi piechoty morskiej, a nie masz nawet prawdziwego nazwiska. Masz tylko głodne kawałki paranoika.

Mam numer, oznajmia Argos.

Słucham?

Numer. Tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt siedem.

O czym, do diabła, gadasz?

To numer pokoju w The Point, w którym spotkałem się z krupierem i cynglem Damona. Nie wiem tego na pewno, ale coś mi mówi, że krupier nie wyszedł stamtąd o własnych siłach. Ze względu na Damona mam nadzieję, że nie zostawili całego sprzątanego hotelowym pokojówkom.

Argos przekręca kluczyk w stacyjce, wrzuca jałowy bieg, naciska sprzęgło i rozrusznik. Mały hałaśliwy silnik krztusi się i łapie rytm. Odezwe się za kilka dni! – mężczyzna przekrzykuje warkot podobny do piły mechanicznej. Lepiej, żebyś miał wtedy dla mnie jakieś dobre wieści!

Rusza naprzód, odbija w bok, otwiera przepustnicę i wchodzi w ślizg na szerokim łuku dawnej zalanej drogi. Spod kół motocykla sypie się drobny żwir i wzbija dławiąca chmura pyłu z białych alkalicznych osadów. Zanim Curtis zdąży unieść ręce, jego klatka piersiowa i twarz biorą na siebie cały impet kurzawy. Odbiera mu dech, jakby ktoś użył gazu łzawiącego. Pluje i przeklina, a potem się uśmiecha. Jazgot silnika zmienia natężenie i ginie w oddali. Pokój numer 1797, myśli Curtis. Znakomicie. To może się udać.

Styropianowa lodówka wciąż stoi otwarta na betonowej płycie. Curtis podchodzi do niej, potyka się, sięga do środka. Zostały dwie butelki. Otwiera jedną, zdejmuje okulary, napelnia wodą zgiętą dłoń i ochlapuje sobie twarz oraz skórę głowy. Przeciera jeszcze na mokro kark, a resztę wody dopija. Potem osusza dłonie

o nogawki spodni i ponownie ładuje broń.

Przejeżdżający drogą pojazd musiał należeć do strażnika parku, ale na wszelki wypadek Curtis woli jak najszybciej się zmyć. Przewiązuje kurtkę w pasie, do kieszeni wkłada ostatnią butelkę wody. Jego lewe oko piecze i łzawi: coś musiało się przedostać przez ochronne okulary, a może zatarł je, kiedy obmywał twarz? Najchętniej od razu by je przepłukał, ale już jest odwodniony i nie chce otwierać drugiej butelki.

Kawałek dalej, za falującą zasłoną utkaną z ostrych źdźbeł trawy, dostrzega nienaruszony fundament budynku, na tyle szczelny, aby mógł zachować większość wody z ostatnich opadów. Gdyby nie szarłaty zebrane przy jego zachodniej krawędzi, wyglądałby zupełnie jak prostokątny basen w rzymskim atrium. Curtis podchodzi bliżej, żeby się w nim przejrzeć, lecz dostrzega jedynie ciemny zarys własnej głowy. Przyklęka, zaciska prawą powiekę i balansując na ślepo, unosi do twarzy deszczówkę w złożonych dłoniach.

Niewiele mu to daje. Nie może tu dłużej tkwić. Punkt informacyjny dla zwiedzających park znajduje się dobre szesnaście kilometrów dalej, część drogi trzeba pokonać na przełaj. Wiatr osusza mu skórę głowy, gdy Curtis wspina się z powrotem na zbocze urwiska, ku drodze.

Chmury, które widział wczoraj na wschód od miasta, musiały przynieść deszcz, bo pustynia cała rozkwitła: płonące żółto nachyłki, strzeliste błękitne facelie i ostrołódki, złote wiesiołki i pozłotki kalifornijskie, do tego trochę smukłych okotijo, których koralowe kwiatostany podskakują nad pomarańczową ziemią niczym flary ostrzegawcze. Curtis brnie między nimi ze zwieszoną głową, po jego lewym policzku sączy się słoń stróżka.

Gdy dociera do asfaltu, robi się jeszcze goręcej, a potem bardziej stromo. Curtis wysąca resztkę wody z butelki. Brązowe jaszczurki pierzchają przed nim w popłochu. Na drodze leżą martwe zwierzęta: węże, świstaki, napoczęta przez kruki kotofretka. Curtis ma sporo czasu, żeby spokojnie pomyśleć. Damon zrobił z niego swojego ogara; miał mu wystawić Stanleya i Argosa, żeby Albedo mógł ich odstrzelić. Nawet nie to: ogar wie, co do niego należy, wie, do czego jest wykorzystywany. Nie był też wabikiem: wabik to coś sztucznego, niewinnego. Curtis bardziej przypomina urządzenia, które przed stu laty służyły do chwytania ptaków śpiewających. Takie kolorowe bączki. Wystarczy go nakręcić i patrzeć, co się wydarzy; zabawa gwarantowana.

Przekroczywszy granicę parku, natrafia na odgałęzienie prowadzące na pole namiotowe i zbacza tam w poszukiwaniu kranu z wodą. Chce się napić i jeszcze raz przepłukać oko. Niestety, to nie pomaga. Curtis znajduje toaletę i przegląda się w lustrze, podciąga do góry powiekę. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Po powrocie do hotelu będzie musiał lepiej się temu przyjrzeć.

Po pierwszej dociera do punktu informacyjnego, czerwono-brunatnego sześcianu z białą osłoną przeciwsłoneczną. Przed nią na rondzie powiewają leniwie flagi Stanów Zjednoczonych i Nevady. Budynek niemal ginie wśród bajkowych, mających oko form z czerwonego piaskowca: kopuł, kolumn, ostańców, chybotków. Curtis podziwia je, sprawdzając jednocześnie, czy kurtka dobrze zakrywa broń. Formacje skalne wyglądają dziwnie organicznie, jakby były żywe. Curtis dostrzega w nich różne kształty: upiorne twarze, otwory kloaczne, podwodne bezkręgowce. Ludzką postać z ptasią głową. Jak to dobrze, że Argos wcześniej wyznaczył mu spotkanie; za żadne skarby nie chciałby tu zostać po zmroku.

Pije wodę z wodotrysku, dopóki go nie zemdli, potem napełnia butelkę. W budynku omija monitory oraz szklane gabloty z próbkami skał i artefaktami, kierując się prosto do automatu telefonicznego. Przetrzęsa portfel w poszukiwaniu od miesięcy nieużywanych starych kart prepaidowych i wizytówki taksówkarza, który zawiózł go na spotkanie z Kagamim, następnie wybiera numer.

Nikt nie odbiera. Rozlega się krótkie powitanie po angielsku i arabsku, a po

nim przeciągły sygnał. Cześć, Saad, mówi Curtis. Pewnie mnie nie pamiętasz, nazywam się Curtis Stone. Dwa dni temu wiozłeś mnie do Quicksilver. Pogadaliśmy sobie o jazzie. Słuchaj, nie wiem, czy dzisiaj pracujesz, ale potrzebna mi twoja pomoc. Tak się złożyło, że wylądowałem sam na pustyni w parku stanowym Valley of Fire i przydałaby mi się podwózka z powrotem na Strip. Zdaję sobie sprawę, że to nie jest twoja zwyczajowa trasa, ale nie pożałujesz. Czekam w punkcie informacyjnym parku. Dzięki.

Następnie dzwoni do biura numerów i prosi o telefon agencji towarzyskiej Sin City Escorts w Las Vegas. Wysłuchuje tandetnej muzyczki i standardowego powitania wygłoszonego ochryplym głosem. Potem rozlega się sygnał i kobiecy głos. Sin City Escorts, mówi. Jak możemy cię dzisiaj uszczęśliwić?

Szukam kolesia, który was wozi, mówi Curtis. Nazywa się Albedo. Jeździ...
Chwileczkę, przerywa mu kobieta.

Curtis czeka przez chwilę. Ociera policzek kawałkiem papieru toaletowego, który zabrał z kibla na polu kempingowym. Nagle słyszy męski głos. Kogo pan szuka?

Gościa, który nazywa się Albedo. Dorabia u was jako kierowca. Jeździ takim wielkim, starym, czarnym samochodem. Usiłuję się z nim skontaktować.

Owszem, znam go. Ale nie mogę panu podać jego numeru telefonu. Nie udzielamy takich informacji. Proszę zostawić swoje nazwisko i numer. Jak nie zapomnę, przekażę mu wiadomość, gdy go znowu zobaczę.

Nie o to chodzi, mówi Curtis. Ja mam jego numer. Chciałem tylko sprawdzić, czy już wrócił z Atlantic City.

Z Atlantic City? – dziwi się tamten. Tak, wrócił. Jakieś półtora tygodnia temu. A co, znowu tam pojechał?

Dzięki, mówi Curtis i się rozłącza.

Ociera policzek, opiera się plecami o ścianę i myśli nad czymś przez chwilę.

Potem dzwoni do recepcji hotelu Spectacular w Atlantic City i prosi o połączenie z biurem rzeczy znalezionych. Dzień dobry, mówi, byłem u was dwa tygodnie temu i chyba zostawiłem coś w swoim pokoju.

W słuchawce odzywa się młody kobiecy głos. Oczywiście, mówi, zaraz sprawdzimy. Czego pan szuka?

Spinki do mankietu, odpowiada Curtis. Złotej, z czarnym kamykiem.

Pamięta pan numer pokoju i daty pobytu?

Zatrzymałem się w pokoju numer tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt siedem, mówi Curtis. Spędziłem w nim jedną noc – kiedy to dokładnie było? Już pamiętam, w ostatni weekend karnawału.

Okej, szczebiocze głos. Proszę chwilę poczekać, zobaczę, co da się zrobić.

W słuchawce rozlega się kliknięcie i włącza się kawałek Eagles. Po zwrotce i refrenie słyhać kolejne kliknięcie. Przepraszam, odzywa się ten sam głos. Jak się

pan nazywa?

Albedo, mówi Curtis. Ale nie wiem, czy rezerwacja była na moje nazwisko. Byłem z większą grupą.

No cóż, panie Albedo, wygląda na to, że mam dla pana dobre wieści. Drugiego marca rzeczywiście znaleziono spinkę do mankietu. Sprawdzę jeszcze w dziale zarządzania ryzykiem.

Eagles znowu grają. Ich piosenka przechodzi płynnie w utwór Fleetwood Mac, następnie zaś odzywa się Norah Jones. Curtis stoi z głową opartą o ścianę, z zamkniętymi oczami. Nagle słyszy za plecami czyjś głos. Ej, woła ktoś. Ty jesteś Curtis Stone?

Curtis obraca się na pięcie, mruga powiekami. Tak, przyznaje.

Przed nim stoi strażniczka parku. Wygląda na poirytowaną. Właśnie dzwonił twój taksówkarz, oznajmia. Już po ciebie jedzie. Powiedział, że to potrwa ze dwie godziny.

Okej, mówi Curtis. Dzięki.

Chcesz z nim pogadać?

W tej chwili nie mogę. Przepraszam. I dziękuję.

Strażniczka przewraca oczami i odchodzi. Curtis wyciera policzek i znowu dotyka czołem ściany. Myśli o Damonie w Penrose Diner. „Na nic się nie narażasz. Nikt tutaj nie łamie żadnych przepisów”. Curtis się krzywi. Norah Jones kończy śpiewać, teraz pora na Eltona Johna. Kolejne kliknięcie. Pan Albedo?

Tak. Czekam.

W głosie dziewczyny słychać napięcie i Curtis wie, że jest już blisko. Bardzo mi przykro, że musiał pan tyle czekać. Mam na linii naszego pracownika ochrony Ramireza. Wyjaśni panu, jak wygląda sytuacja z pańską spinką. Dobrze? Panie Ramirez?

W słuchawce rozlega się męski głos. Halo? Pan Albedo?

To ja.

Zbadałem, hm, sprawę pańskiej spinki i okazało się, że drugiego marca istotnie znaleziono taki przedmiot w pokoju tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt siedem. Niestety nie ma go już w naszym biurze rzeczy znalezionych. Czy ktoś poza panem nocował w tym pokoju i mógł się po nią zgłosić?

Wie pan co? – odpowiada Curtis. To całkiem możliwe. Będę musiał to sprawdzić. Nie prowadzicie rejestru odbieranych przedmiotów?

Prowadzimy, potwierdza tamten. Ale czasami, wie pan, nie wszystkie papiery są wypełniane na czas. Naprawdę bardzo mi przykro. Hm, a skoro już mam pana na linii, pozwoli pan, że zadam panu kilka pytań o zniszczenia, jakie odnotowaliśmy w pańskim pokoju?

Curtis przerywa połączenie. Potem stoi z głuchą słuchawką w ręku, dopóki sygnał nie przejdzie w ciągłe brzęczenie. Wówczas odkłada ją na widełki.

Odtwarza w myślach różne scenariusze. Zestawia fakty, których wcześniej ze sobą nie łączył. Za każdym razem wychodzi mu taki sam wynik.

W końcu myśli: tylko tak pomogę Stanleyowi. Nie ma innej drogi.

Ponownie podnosi słuchawkę i wybiera numer. Słyszy kilka sygnałów i głos ojca z automatycznej sekretarki. Curtis go przekrzykuje. Tato, woła. Wiem, że tam jesteś. To ja, Curtis. Odbierz.

Rozlega się kliknięcie, a potem głos ojca, donośniejszy i bardziej wyraźny. No, co tam, Curtis? Co się stało? Masz jakieś kłopoty?

Z policzka Curtisa kapie łza i robi ciemną plamę na jego stopie. Czarne buty są szaro-różowe od błota i kurzu. Sznurówki, całe w rzepach, przypominają wijące się po rafie szkarłupnie. Wszystko w porządku, mówi Curtis. Nic mi nie jest.

Nie pytałem, czy coś ci jest, synu. Pytałem, co się stało.

Curtis śmieje się cicho. Otóż, mówi, sporo się stało. Na szczęście nic, czemu nie można by zaradzić. Przepraszam, że cię w to mieszam, tatku, ale nie mam innego wyjścia. Nie mogę ci teraz wszystkiego wyjaśnić, ale chciałbym cię prosić o coś, co ci się nie spodoba i zajmie trochę czasu.

W ciszy po drugiej stronie Curtis wyczuwa nadciągający osąd, który jest niczym woda wzbierająca przed tamą. Kiedy ojciec znowu się odzywa, Curtis słyszy w jego głosie napięcie, które ten ze wszystkich sił stara się ukryć. Kocha za to swojego staruszka.

Zgoda, mówi ojciec. Co mam zrobić?

Masz pod ręką coś do pisania?

Tak.

Dobra, mówi Curtis. Prosiłbym cię, żebyś zadzwonił na policję w New Jersey.

Kiedy w końcu zjawia się Saad – w sandałach na nogach, roboczej koszuli z podwiniętymi rękawami i spodniach khaki z brązowymi plamami na kolanach – Curtis jest zaskoczony; nie zauważył taksówki wjeżdżającej na parking przed punktem informacyjnym. Mam dzisiaj wolne, przyjacielu, oznajmia Saad. Przyjechałem własnym wozem. Byłem w domu, kiedy zadzwoniłeś, reperowałem dach. Co ci się stało w oko? Chcesz krople? Mam visine w aucie.

Zaprasza Curtisa do białej hondy i otwiera przed nim tylne drzwiczki. Oczywiście nie ma taksometru, mówi. Odległość zmierzyłem na MapQuest. Należy się sto pięćdziesiąt dolarów. W porządku? Liczę na hojny napiwek.

Jasne. Mam wyrzuty sumienia, że zawracam ci głowę w wolny dzień.

Saad zatrzaskuje drzwiczki i macha lekceważąco ręką. Ha! – mówi. Nie ma sprawy. Powiedziałem ci, że reperowałem dach. A teraz co robię? Jadę samochodem przez piękne góry. Jest szansa, że dasz mi większy napiwek, a wtedy wynajmę kogoś, żeby naprawił dach za mnie, do czego zresztą stale namawia mnie żona. Widzisz? Bardzo się cieszę, że zadzwoniłeś. W dodatku niedługo wyjedziemy z tych gór, a wtedy znajdę w radiu jakiś niezły jazz. Co ty na to?

Honda skręca w lewo, na autostradę biegnącą przez Valley of Fire, i wkrótce przekraczają zachodnią granicę parku. Radio zaczyna trzeszczeć, sceneria na zewnątrz robi się mniej dramatyczna. Widzę, że masz już dość kasyn, zauważa Saad. Ale szczęście wciąż ci nie dopisuje.

Curtis osuwa się na siedzenie. Jest wykończony. Nie chce o niczym myśleć. Intensywne poranne przeżycia, długi spacer o suchym gardle i podrażnione oko sprawiły, że całkiem opadł z sił. Faktycznie, przyznaje. Nie dopisuje.

Więc wyjechałeś z miasta na pustynię, ciągnie Saad. Jak Jezus. Zgadza się?

Dokładnie jak Jezus, przytakuje Curtis. Albo Mahomet. Mahomet też zaszył się na pustyni, prawda? Po tym, jak w Mekce ziemia zaczęła mu się palić pod nogami.

Albo Mojżesz! Mojżesz wyprowadził swój lud z Egiptu, dobrze mówię? Wywiódł ich na pustynię. Dobrze to rozumiem. Ja też wyprowadziłem swój lud z Egiptu. Dwójka studiuje teraz za moje pieniądze na uniwersytecie, a żona pyta mnie codziennie, dlaczego dach nie jest jeszcze naprawiony. Tak, przyjacielu. Czasem dobrze jest się zaszyć na pustyni.

Curtis uśmiecha się, wyciera policzek, opiera czaszkę o zagłówek. Sen wciąga go jak ruchome piaski, ręce i nogi ma całkiem pozbawione czucia. Mnie chyba bliżej do Jezusa niż do tamtych dwóch, mruczy. Kiedy udałem się na pustynię, nikt za mną nie podążył.

Mylisz się, przyjacielu, zaprzecza Saad. Ja podążyłem. Widzisz? Jestem

bardzo lojalny.

Wibracje opon wędrują w górę wzdłuż kręgosłupa Curtisa i wypełniają jego klatkę piersiową na podobieństwo ciepłego płynu. Przez zmrużone oczy podziwia krajobraz. Na północy – gęstwina opuncji i kaktusów drzewiastych, siatka odgradzająca Camp Delta, a za nią karaibski błękit. Na południu – chmura dymu nad Al Burgan, szerniałe, długonogie truchła wielbłądów i jezioro płonącej ropy. Curtis słyszy chrzęst żwiru pod kołami hondy, wyobraża sobie, że ktoś bierze garść takiego żwiru z pobocza i ciska mu nim w oczy. Drga i budzi się gwałtownie. Słuchaj, Saad, zagaduje, możesz mi coś powiedzieć o tym starym miasteczku nad jeziorem?

Nie wiem, o czym mówisz, przyjacielu.

Byłem tam dzisiaj. Poziom wody jest bardzo niski, to pewnie wina suszy, i na osuszonym dnie widać ruiny czegoś, co wygląda jak małe miasteczko. Są tam ulice, kominy, ruiny fundamentów.

A tak, kojarzy Saad. Widziałem w wiadomościach. Zbudowali zapórę Hoovera, woda wezbrała i zalała miasto. Jak Atlantyde, no nie? A teraz wróciło, bo nie było deszczu. Ci, którzy je zbudowali, byli tymi, no, jakże oni się nazywają? Tymi, co budują białe świątynie.

Mormonami?

Właśnie. Mormonami. Ale mówią też o nich jakoś inaczej.

ŚDO, mówi Curtis. Święci Dnia Ostatniego.

Otóż to, cieszy się Saad. Ciekawią mnie ci ludzie. Wożę ich czasami taksówką. Młodszych widuje się często na rowerach. To chrześcijanie, ci Święci Dnia Ostatniego?

To chyba zależy od tego, kogo zapytasz. Mój tata jest czarnym muzułmaninem, a mama była świadkiem Jehowy, więc nie mogę wybrzydząć na mormonów.

Saad pochyla się, kręci gałką radiodbiornika i wydobywa z niego wreszcie jakąś melodię: to Sonny Rollins, *How High the Moon*, sesja nagraniowa z Zachodniego Wybrzeża z Barneyem Kesselem i Leroyem Vinnegarem. W swingujące rytmy wkradają się regularne trzaski zakłóceń i muzyka cichnie. Curtis znowu przymyka powieki.

Ci święci, podejmuje temat Saad, pod pewnymi względami przypominają Żydów albo muzułmanów, prawda? Nie mieli lekko – byli prześladowani, dyskryminowani – więc wynieśli się na pustynię. Może tak to sobie tłumaczyli: „Jesteśmy jak Żydzi!”. Oczywiście nie oni jedni. W tym kraju takie rzeczy są na porządku dziennym. W pewnym momencie mówimy: „Dość! Wyprowadzamy się na pustynię. Założymy własne miasto. Dla nas i dla naszych dzieci. To będzie miejsce święte i sprawiedliwe. Poznamy samych siebie i Boga po tym, jaki kształt ono przybierze”. Budujemy więc miasto. Zjeżdżają się ludzie: jedni, drudzy,

kolejni. Aż pewnego dnia to miasto staje się nam obce. Inne, niż pragnęliśmy. Czasami okazuje się tym właśnie, przed czym chcieliśmy uciec. Wracamy więc na pustynię, lamentujemy i modlimy się, żeby Bóg albo Fortuna zesłali potop na ten kraj, zalali morzem armię faraona i starli nasze pomyłki z powierzchni ziemi. Ale chociaż wody wzbierają, nic nigdy nie ulega całkowitemu zniszczeniu. Nie może. Miasto jest wszędzie.

W którymś momencie głos Saada staje się głosem Stanleya i Curtis wie, że znowu śpi albo prawie zasnął: jedną nogą brodzi w strumieniu snów. Ze wszystkich sił stara się nie stracić równowagi, żeby nie uronić żadnego słowa Stanleya. A potem je widzi: każde słowo jest żywe i niezależne, wyrastają z niego gałęzie okryte strzępiastymi liśćmi, każda zaś gałąź rodzi nowe słowa, wymawiane innymi głosami. Słyszy głos starego poety Wellesa, głos *Złodzieja luster* i głos własnego ojca. Głos Waltera Kagamiego i Veroniki. I Danielle. Głos maga Nolanusa. Głos boga Hermesa. Czysty, cichy głos samego księżyca.

A potem inny, znajomy: „Rodacy – mówi ów głos – wydarzenia w Iraku dojrzały do podjęcia ostatecznej decyzji”.

Curtis prostuje się gwałtownie, zaciska dłoń na zagłówniku Saada. Cholera, mruczy.

Wszystko w porządku, przyjacielu? Zasnąłeś. Już dojeżdżamy na miejsce.

Curtis kręci głową, mruży oczy i wygląda przez okno. Są w centrum miasta, przejeżdżają właśnie pod wielopoziomowym rozjazdem na autostradzie. Zielona tablica informuje, że za czterysta metrów będzie zjazd na Charleston Boulevard. Curtisa boli gardło; przez sen musiał oddychać przez usta. Co się dzieje? – pyta. Wojna się zaczęła?

Prezydent przemawia, mówi Saad. Zrobię głośniejsze, skoro już nie śpisz, okej?

„Pokojowe wysiłki, mające na celu rozbrojenie irackiego reżimu, raz za razem spełzały na niczym, ponieważ nie mamy do czynienia z ludźmi pragnącymi pokoju – płynie z głośnika. – Materiały wywiadowcze zgromadzone przez ten oraz inne rządy nie pozostawiają cienia wątpliwości, że iracki reżim nadal posiada i ukrywa najgroźniejszą broń, jaką kiedykolwiek wyprodukowano”.

Saad skręca w Spring Mountain Road. Saad, rzuca Curtis, co powiesz na to, żebyśmy pokąrzyli trochę po Strip? Chciałbym tego posłuchać.

Oczywiście, przyjacielu. Jak sobie życzysz. Powiedzmy... dolar za pięć minut?

Curtis rozwiązuje rękawy opasującej go kurtki, w jej wewnętrznej kieszeni odnajduje kopertę i zagląda do środka. Może od razu dam ci trzy stowy za całą podróż, proponuje, a ty mi powiesz, jeśli będziesz chciał wrócić do domu.

„Stany Zjednoczone oraz inne narody nie uczyniły nic, czym mogłyby sprowokować podobne zagrożenie, zrobimy jednak wszystko, aby mu przeciwdziałać. Zamiast beczynnie dryfować ku tragedii wytyczymy kurs ku

bezpiecznej przystani. Zanim nadejdzie dzień zagłady, zanim będzie za późno, by działać, to zło zostanie rozgromione”.

Na bulwarze honda skręca na południe, mija hotel Curtisa, okręty pirackie, wulkan i tańczące fontanny przed Bellagio. Po tak długiej wędrówce miło jest siedzieć w aucie, miło jest patrzeć na to wszystko – na neony i jarzeniówki, na podświetlane billboardy i tablice informacyjne, ruchliwe wejścia kasyn i wznoszące się za nimi wieże z lustrzanych tafli, na błyszczące maski i puste oczodoły – i wiedzieć, że nie jest się tego częścią. Dopiero po pewnym czasie znalazł odpowiedni stolik, ale ostatecznie chyba wyszedł na swoje.

„Długie dekady kłamstw i okrucieństwa właśnie dobiegają końca. Saddam Hussein i jego synowie mają w ciągu czterdziestu ośmiu godzin opuścić Irak. Odmowa będzie skutkowałą wybuchem konfliktu. Czas uderzenia wybierzemy sami”.

Okej, Saad, mówi Curtis. Dość już usłyszałem. Możesz zawrócić.

Saad dwukrotnie skręca w lewo i wyjeżdża na Strip naprzeciwko Luxoru, na północ od przyczajonego sfinksa. Jak na poniedziałkowe popołudnie na bulwarze panuje spory ruch. Kiedy mijają światła na Tropicana Avenue, Curtis dostrzega tłum zgromadzony na chodniku pod Statuą Wolności. Ludzie ubrani w soczyście zielone koszulki i plastikowe kapelusze biją w bębny, dują w dudy i Curtis przypomina sobie, jaki to dzień.

„Wielu Irakijczyków wysłucha dziś tłumaczenia tego przemówienia w specjalnej audycji radiowej, mam więc dla nich ważne przesłanie. Jeżeli będziemy zmuszeni rozpocząć atak, będzie on wymierzony w nieprzestrzegających międzynarodowego prawa ludzi, którzy rządzą waszym krajem, a nie w was. Po tym, jak nasza koalicja odbierze im władzę, dostarczymy wam potrzebną żywność i leki. Zmiażdżymy aparat terroru i pomożemy wam odbudować nowy Irak, wolny i bogaty. W tym wolnym kraju nie będzie już wojen ani napaści na sąsiadów, nie będzie fabryk śmierci, nie będzie egzekucji dysydentów, sal tortur ani pokoi gwałtów. Tyran wkrótce przestanie wami rządzić. Bliski jest dzień waszego wyzwolenia”.

Na chodniku na południe od hotelu Curtisa kilku policjantów na motocyklach i ochroniarzy głośno dyskutuje z pięcioma czy sześcioma agitatorami ruchu Lyndona LaRouche’a, którzy dzierżąc transparenty, zaczepiają przechodniów i wciskają im ulotki. Młodzi ludzie pokrzykują i wymachują rękami; jeden z gliniarzy mówi coś do krótkofalówki. METODOLOGIA ZŁA – brzmi hasło na jednym z transparentów. NIE DLA OLIGARCHÓW, IMPEACHMENT DLA DOŻY BUSHA – nawołuje drugi. BOMBA CHENEYA CZY DOLAR GREENSPAN – KTÓRE WALNIE PIERWSZE? Curtis wyobraża sobie Waltera Kagamiego w jego wzorzystym swetrze, jak wrzeszczy przez megafon, podczas gdy policjanci prowadzą go do radiowozu. Sam nie jest jeszcze pewien, co myśli

o tej wojnie, ale nie zazdrości Walterowi. Ciężko musi być tak bardzo czegoś nienawidzić, a jednocześnie zdawać sobie sprawę, że w żaden sposób się temu nie zapobiegnie.

Przemówienie trwa, gdy zajeżdżają na zadaszony podjazd hotelu, ale Curtis zdążył pojąć istotę sprawy. Podaje Saadowi od tyłu kopertę z pieniędzmi i otwiera drzwiczki. Wszystko dobrze z twoim okiem? – pyta szofer. Na pewno? Bo mogę cię zawieźć do lekarza.

Nie trzeba, odpowiada Curtis. Przemycję w pokoju. Pracujesz jutro?

Tak. Jutro tak.

Niewykluczone, że znowu się odezwę. Mogę potrzebować taksówki na lotnisko.

Masz mój numer. Powodzenia, przyjacielu. Trzymaj się z dala od kasyna!

Dzięki! – woła Curtis. A ty z dala od swojego dachu! Ale Saad właśnie odjeżdża i już go nie słyszy.

Kiedy przesuwą kartę-klucz przez czytnik i otwiera drzwi, spostrzega regularne migotanie na nocnym stoliku: ktoś zostawił mu wiadomość na automatycznej sekretarce. Niewątpliwie policja z New Jersey. Najprawdopodobniej od trzech godzin czekają, żeby oddzwonił. Curtis dochodzi do wniosku, że jeszcze kilka minut ich nie zabije. Ani nikogo innego.

Rzuca kurtkę na łóżko, otwiera walizkę, rozpiną suwak kieszonki po wewnętrznej stronie wieka i wyjmuje z niej torebkę strunową, w której przechowuje roztwór soli fizjologicznej, wodę utlenioną oraz przysawkę. Znosi torebkę do łazienki i zapala światło.

Zdejmuje okulary, myje ręce i twarz. Ponownie szoruje ręce, tym razem aż po łokcie. Kiedy kończy, wyciąga z hotelowego opakowania czystą szklankę i rozkłada na umywalce jeden z puszystych białych ręczników.

Doskonale czyste lustro i ostre górne światło nie ułatwiają dotarcia do źródła problemu. To może być reakcja alergiczna, a może zwyczajnie się odwodnił. Odciąga powieki, żeby lepiej się przyjrzeć.

Niezmiennie zadziwia go widok cieniutkich różowych żyłek twardówki w kolorze złamanej bieli, precyzyjnie rozdzielone wiązki mięśniowe w mysioszarej tęczęwce. Okuloprotetyk w szpitalu w Bethesda spisał się na medal. Curtis niewiele pamięta z tego, co się wydarzyło między przejażdżką wyboistą drogą na południe od Gnjilane a tym, jak obudził się ślepy i przerażony w Landstuhl, na pewno zaś nie pamięta samego wypadku. Późniejsze wspomnienia są już wyraźniejsze: wie, że tkwił na pasie startowym bazy w Ramstein i poprzez opary leków przeciwbólowych usiłował zrozumieć, czemu samolot nie startuje. „Nie lecimy, sierżancie, bo nic nie lata. Federalna Administracja Lotnictwa uziemiła wszystkie loty cywilne i wojskowe w przestrzeni powietrznej Stanów Zjednoczonych i wszystkie samoloty, które tam zmierzają. Nie, nikt nie wie

dlaczego, jeszcze nigdy dotąd to się nie zdarzyło”. W tamtym momencie wydawało mu się, że wszystko stracone i nic już nie będzie takie samo. I faktycznie: wszystko się zmieniło. Przy czym zaskakująco łatwo zapomniał, na czym konkretnie polegały owe zmiany, w jakich dokładnie okolicznościach został ranny, co widzi, a czego nie.

Curtis zwilża przyssawkę solą fizjologiczną, ścisną gumową gruszkę i przytyka końcówkę do akrylowej rógówki. Następnie odciąga kciukiem dolną powiekę i proteza wyskakuje na jego wilgotną lewą dłoń.

Wkłada ją do hotelowej szklanki i zalewa wodą utlenioną, po czym ponownie rozchyła powieki, żeby zerknąć na gładką krzywiznę w środku – biały koral implantu oczodołowego pokryty spojówką. Na płycie przy umywalce proteza wpatruje się w niego zza zasłony bąbelków wody utlenionej. Cienka, twarda, zakrzywiona. Niemal trójkątny gładki zarys, jak te kamyki używane do relaksacji.

Kiedy przepłukuje pusty oczodół roztworem soli fizjologicznej, dzwoni jego komórka. Curtis osusza twarz ręcznikiem i wychodzi do sypialni, żeby odebrać. Nieznany miejscowy numer. Przez krótką chwilę myśli o tym, co mu powiedział Argos, potem wciska zielony guzik. Tak, mówi.

Curtis, tu Veronica. Gdzie jesteś?

W tle słychać jednostajny szum, który z niczym mu się nie kojarzy. U siebie w hotelu, odpowiada. A o co chodzi?

Posłuchaj, właśnie rozmawiałam ze Stanleyem. Dziś wieczorem przylatuje z Atlantic City.

Curtis mruga powiekami. Okej, mówi.

Kontaktował się z Damonem. Ten twój kumpel to jakiś pojeb. Ma zakaz przebywania na terenie The Point, a teraz jeszcze mówi się o nakazie jego aresztowania. Wolę sobie nie wyobrażać, o co w tym wszystkim chodzi. W każdym razie Stanley wraca i chce się z tobą spotkać.

Curtis słyszy wygłaszane przez głośniki zapowiedzi, przypomnienia o zasadach bezpieczeństwa. Veronica jest na lotnisku. Przez okno w drugim końcu pokoju sączy się blask zachodzącego słońca, na ścianę po lewej pada złocisty promień. Niewiele z tego światła dociera do Curtisa, który zapala lampkę nocną. W tym samym momencie faks po drugiej stronie pokoju zaczyna pomrukiwać.

Curtis? Jesteś tam?

Tak, jestem.

Dzwonię w złym momencie?

Nie, zaprzecza Curtis. Przechodzi przez pokój i sięga po kartkę, którą właśnie wypluło urządzenie. Wszystko gra. Słuchaj, hm... Mogłabyś do mnie zadzwonić na numer stacjonarny? Do pokoju?

Wybacz, nie mam teraz czasu. Za pięć minut ląduje samolot Stanleya. Możesz się z nim spotkać czy nie?

Kartka, którą Curtis trzyma w ręku, jest w większości zaczerniona. Szeroki margines zdają się na pierwszy rzut oka pokrywać chaotyczne zygzaki – jakby ktoś próbował rozisać tani marker – które z bliska tworzą makabryczny gąszcz części anatomicznych: cipek, członków i jąder, rozwleczonych wnętrzności i roztrzaskanych czaszek, z których obficie wylewa się zawartość. W każdym rogu znajduje się rysunek gałki ocznej, za którą niby ogon latawca ciągnie się nerw wzrokowy. W środku tego całego bałaganu kryje się przesłanie. MASZ PSZEJEBANE ZDRAJCO – czyta Curtis.

Pewnie, rzuca do słuchawki. Mogę się z nim spotkać. Kiedy i gdzie?

W Quicksilver. Walter zarezerwował dla nas pokój. Idź prosto do recepcji i podaj nazwisko. Dostaniesz kartę-kłucz. Jeśli dotrzemy tam wcześniej, podadzą ci po prostu numer pokoju.

Będę przed wami, mówi Curtis.

Ze wzrokiem utkwionym w szybie zgniata faks w ręku. Jakiś samolot, może właśnie ten, którym leci Stanley, schodzi na lotnisko imienia McCarrana. Ponury obraz na ścianie przy ramieniu Curtisa jest cały skąpany w bursztynowej poświacie. Niknie w niej większość niewyraźnych szczegółów, lecz kilka z nich wysuwa się na pierwszy plan. Na przykład potwór morski w dolnym rogu reprodukcji, którego Curtis wcześniej nie zauważył.

Curtis? – mówi Veronica. Jeszcze jedna rzecz. Mogę cię o coś prosić?

Jasne.

Mógłbyś wziąć ze sobą tę książkę Stanleya? Chyba chciałby ją odzyskać.

Nie ma sprawy, odpowiada Curtis, ale Veronica już zdążyła się rozłączyć. Curtis przez kilka sekund wpatruje się w głuchy telefon, po czym chowa aparat do kieszeni.

Złodziej luster leży na okrągłym stoliku, kilka centymetrów od jego ręki. Lektura nie zaowocowała w zasadzie niczym poza bólem głowy, jednak Curtis żałuje, że nie przeczytał więcej. Gdy podnosi książkę, pada na nią słoneczny blask, wyłaczający resztki srebrzeń na jej grzbiecie.

Wracając do łazienki, żeby włożyć protezę, Curtis zauważa ślady, które jego ubłocone buty pozostawiły na hotelowej wykładzinie: jasny alkaliczny pył znaczy każdy krok, jakby przez pokój przemknął duch.

CALCINATIO

Marzec 1958

„I wody gęstsze niż szkło,
Brązowe złoto, blask ponad srebrem,
Wiaderka z farbą w świetle pochodni,
Błysk fali przed okrętami
Srebrne dzioby unoszą się i krzyżują.
Kamienne drzewa, białe, różowobiałe w ciemności,
Tam, koło wież cyprysy,
Pod kadłubami okrętów dryfują nocą”.

EZRA POUND, *Pieśń XVII*,
przełożył Leszek Engelking

Stanleya budzi skrzeczenie mew. Otwiera oczy i widzi drobinki kurzu wirujące w cienkich jak ołówki promieniach słońca, które przenikają przez zabite deskami okno na zapleczu kryjówki. Nie śnił mu się Nowy Jork, jednak światło wydaje się jakieś dziwne, jakby powinno padać z całkiem innej strony. Stanley siada, przeciera twarz, nasłuchuje odgłosów dobiegających z zewnątrz, niosących się wyraźnie w rześkim wiosennym powietrzu.

W niektóre poranki uderza go nagła myśl, ile już kilometrów przebył – wali go jak obuchem, zapiera dech w piersiach – i dziś jest właśnie taki poranek. Dawniej otwierał książkę Wellesa i pełen podziwu zastęgał nad listą egzotycznych miast i dalekich lądów, które przemierzył Crivano. Nikozja, Ragusa, iskenderun – nazwy, które nic Stanleyowi nie mówiły, przywoływały jedynie nieostre obrazy dymu z kadzideł, krętych uliczek, twarzy zakrytych chustami i ostrych noży. Podczas długiej włóczęgi przez kraj często zdarzało mu się udawać, że podąża śladami Złodzieja Luster, i z rzadka tylko docierało do niego, że miejsca, które odwiedza, są dla niego równie obce jak te wymienione w książce, a pokonywane odległości równie dalekie. Siedział wtedy w milczeniu, wyobrażając sobie, że jego własna podróż także została opisana w jakiejś zapomnianej książce; ciekawiło go, czy po latach ktoś znalazłby czas i ochotę, aby ją przeczytać.

Żeby tutaj dotrzeć, potrzebował okrągłych ośmiu miesięcy. Wiódł go szlak nieprzewidywalny i kręty, podobny nieubłaganie do postępującego pęknięcia na szybie. Podróżował autostopem i ukryty w wagonach towarowych, zmieniał autobusy i całymi kilometrami wędrował w słońcu, deszczu i śniegu. Ciężarówka ze zwirem w Indianie, barka rzeczna w Memphis. Miejscowe akcenty zaskakujące niczym obce języki. Z Arkansas do Oklahomy dostał się na pace willysa-overlanda, upchnięty między skrzynkami brzoskwiń, klejący się od soku i przez całą drogę kąsany przez mrówki. Nocował w indiańskim pueblo w Nowym Meksyku, w burdelu w Denver, w areszcie w Amarillo i w klasztorze w Juárez. Przeważnie jednak sypiał pod gołym niebem. Pewnego wieczoru o zmierzchu, kiedy szykował sobie legowisko na porośniętym kaktusami poboczu po tym, jak pewien zboczeniec wyrzucił go z auta, wschodnie niebo rozdarła przerażająca kula ognia; Stanley patrzył, jak zaczarowany na wznoszący się nad horyzontem obłok ciemnego dymu i szalejące wewnątrz niego błyskawice. Dopiero po chwili usłyszał huk i gwałtowny podmuch wiatru dosłownie zmiotł go z nóg, pozostawiając na jego policzkach kryształki soli w miejscach, gdzie popłynęły łzy zachwyty.

Minionej nocy, po tylu miesiącach i przebytych kilometrach, Stanley odnalazł wreszcie to, czego szukał. Odnalazł i nie mógł sobie przypomnieć ani jednego cholernego słowa z długiej przemowy, którą sobie obmyślił – nic, co

świadczyłoby o tym, że odebrał i pojął przesłanie. Wlókł się tylko za Wellesem jak ostatni matoł, podczas gdy staremu usta się nie zamykały, a ten jego parszywy kundel szczał na wszystko, co mu się nawinęło.

Plamy słonecznego światła suną po podłodze, resztki białego proszku migoczą niby czarodziejski pył w kreskówkach Disneya. Stanley słyszy warkot silników samochodowych, daleki motocykl, stłumiony huk wzburzonych fal. Mewy lamentują niczym stare kobiety na pogrzebie.

Claudio ani drgnie, gdy Stanley wstaje i się przeciąga. Wrócili wczoraj bardzo późno, więc dzieciak prawdopodobnie jeszcze przez parę godzin będzie odsypiał. Jednak Stanley nie może dłużej spać. Ma zbyt wiele do zrobienia.

Nogawka dżinsów przywarła do łydki. Stanley szarpie materiał i krzywi się z bólu – zapomniał o ranie. Przechodzi do głównego pomieszczenia, sika do butelki po mleku i zatyka ją, żeby nie śmierdziało. Potem otwiera plecak, bierze łyk wody z manierki i szoruje zęby.

Po tym wszystkim ściąga spodnie, odwija zakrwawiony bandaż i przemywa rozcięcie. Kiepsko to wygląda. Znajduje buteleczkę spirytusu salicylowego, szpulkę nici i czysty biały podkoszulek, który może poświęcić. Następnie zalewa ranę spirytusem, pojękując przez zaciśnięte zęby. W buteleczce niewiele zostało, więc zużywa wszystko do końca. Wyciera podkoszulkiem załzawione oczy, po czym drze go na podłużne kawałki i bandażuje łydkę. Odnajduje przy tym w bólu coś na kształt niezachwianej satysfakcji: przyjemność płynącą z możliwości zatroszczenia się o siebie, przyprawioną szczyptą pogardy dla świata praworządnych mięczaków, którzy tego nie potrafią i załatwiają wszystko za pieniądze. Ostatnio właśnie w takich momentach – nie w rojeniach na jawie, tylko w prostych, codziennych, samowystarczalnych czynnościach – czuje się najbliżej Crivana.

Gdy opatrunek jest gotowy, Stanley odgryza kawałek nitki i zaszywa rozdartą nogawkę dżinsów. Później splucze zaschniętą krew w oceanie.

Na zapleczu Claudio przewraca się na drugi bok i mamrocze coś po hiszpańsku. Stanley opiera się o framugę i patrzy na śpiącego przyjaciela – dziwny, gładki zarys sylwetki pod kocem – następnie sięga do dziury wybitej w panelu gipsowym po coś, co ukrył tam minionej nocy.

Po rozstaniu z Wellesem dopiero po pewnym czasie wrócił po własnych śladach do punktu wyjścia, odnalazł drogę wśród nierównych chodników i podmokłych trawników do zaparkowanego motocykla, porośniętego sitowiem stawu i ulicy, której nazwy nie potrafił sobie przypomnieć: Navarre. Motocykl nadal tam był, podobnie jak stercząca z zarośli para czarnych butów. Po krótkiej chwili wahania, upewniwszy się, że droga jest wolna, Stanley przekradł się bliżej, żeby lepiej im się przyjrzeć. Tak jak przypuszczał, w krzakach leżał martwy motocyklista. Najwyraźniej przedawkował; wychudzona twarz, sine wargi pod

osłoną wąsów, w żyle strzykawka. Intensywna woń moczu zmieszana z zapachem nocnego jaśminu. Stanley wstrzymał oddech, schylił się i bingo: w wewnętrznej kieszonce sztywnej kamizelki tkwiły cztery celofanowe torebki.

Gdy dotarł do kawiarni, dochodziła druga. Ludzie już wychodzili, zespół jazzowy pakował instrumenty, poeci zaś – Larry, Stuart i John – obściskali w kącie Alexa, dyskutując zawzięcie o kimś lub o czymś zwanym Molloy. Chcąc nie chcąc, Stanley napotkał wzrok Alexa, jakby koleś potrafił wywąchać drągi z odległości kilku metrów. Nie przerywając monologu, wyjął skądś ołówek oraz czarny notes, nabazgrał coś na kartce, wyrwał ją i podał przez ramię Lyn, swojej czarnowłosej towarzysze. „De Gaulle odznaczył go Krzyżem Wojennym. Ale jego postawa w czasie wojny nie była żadnym bohaterstwem. Tak się po prostu wtedy postępowo. Żaden czyn podyktowany zdrowym rozsądkiem nie powinien być uznawany za heroiczny. Jego książki – i zawarty w nich nieprzejednany sprzeciw – oto prawdziwy akt bohaterstwa”. Dziewczyna odpłynęła jak duch, aby wsunąć Stanleyowi w dłoń złożoną kartkę. Potem Stanley zgarnął ziewającego Claudia z krzesła przy drzwiach i wyszli w noc, słysząc za plecami dudniący głos Alexa: „Tak, poznałem go w Paryżu. Wydawałem mu książki, kiedy nikt inny nie chciał. Pod pewnymi względami był dla mnie jak ojciec”.

A teraz Stanley wciąga załatane spodnie, wpycha celofanowe torebki do przedniej kieszeni dżinsów i rozwija kartkę z notesu Alexa. Odczytuje adres: 41 CLUBHOUSE AVE. Odsuwa sprzed drzwi sosnową deskę i wymyka się na ulicę.

Clubhouse Avenue znajduje się siedem krótkich przecznic na północ, w kierunku Ocean Park. Na Speedway w zasadzie nie ma ruchu, lecz Stanley i tak wybiera deptak – chce zobaczyć ocean: tego dnia akurat wzburzony. Fale i niebo mają taki sam mętny, niebieski kolor. Linia brzegowa wydaje się zwiotczała; zapadła się w sobie niczym przekłuty balon. Gdzieś nad Pacyfikiem ważą się losy kolejnej ulewy; nie sposób przewidzieć, kiedy nadejdzie. Rtęć w barometrach musiała opaść na sam dół. Stanley ma wrażenie, jakby spęczniały mu zatoki – wydają się za duże dla jego twarzy.

Z tego, co widać, miniona noc na deptaku musiała być dla wielu pełna wrażeń: wszędzie walają się zgubione buty, zużyte prezerwatywy, na piasku widnieją ślady opon motocyklowych. Mewy i rybitwy walczą ze sobą nad kałużami wymiotów. Na rogu Westminster Stanley spostrzega szlaczek zaschniętej krwi – rdzawe krople, rozmieszczone w równych odstępach na deskach deptaka – i podąża tym tropem przez całą przecznicę, do miejsca, gdzie krwawy szlak gwałtownie skręca w bok. Nieliczne napotkane twarze noszą ślady niewyspania i całonocnej pijatyki.

Nie podoba mu się to, jak się czuje: rozchwiany niczym łódź pozbawiona steru. Spotkanie z Wellesem minionej nocy solidnie nim wstrząsnęło, ale nie w sensie pozytywnym, nie tak, jak się spodziewał. Zupełnie jakby pochodnia, ku

której podążał, okazała się jedynie lśniąca powierzchnią, odbijającą blask czegoś innego. Musi się tylko dowiedzieć czego. Wszystko, co powiedział mu wczoraj Welles, to zwykłe mydlenie oczu mające na celu ukryć prawdziwy sekret. Stanley musi poznać odpowiedź na jedno pytanie, a szanse, aby mógł je zadać, stale maleją. Sęk w tym, żeby dowiedzieć się, jak ono brzmi, przed ponownym spotkaniem z Wellesem.

Położone przy Clubhouse Avenue budynki wyglądają, jakby zmieniły przeznaczenie z mieszkalnych na komercyjne, by potem stopniowo powracać do początkowej roli. Pod numerem 41 mieści się witryna niegdysiejszego sklepu. Szydł dawno gdzieś przepadł, drzwi całkiem odarto z farby, a szyby zamalowano na czarno. Ze środka dobiega uporczywy stukot maszyny do pisania. Stanley puka. Maszyna nie milknie, więc puka jeszcze raz.

Stukot ustaje. Następuje dłuższa chwila ciszy, drzwi otwierają się i w szczelinie ukazuje się ostry nos Alexa. W głębi błyszczą jego małe oczka, niczym blaszki miki w ścianie jaskini. Serwis hotelowy, mówi Stanley.

Oczywiście. Zapraszam do środka.

Alex ma na sobie bokserki i biały podkoszulek bez rękawów; obute w sandały stopy szurają po gładkiej cementowej posadzce. Gestem wskazuje Stanleyowi skrzynkę po pomarańczach, nakrytą kocem w indiańskie wzory. Stanley siada. Pomieszczenie jest ciemne i w zasadzie puste. Niewiele lepsze od ich pustostanu przy Horizon Court. W odległym kącie zauważa maszynę do pisania – czarny, obły przedmiot na rozchwianym składanym stoliku. U góry wisi czterdziestowatowa żarówka, osłonięta kloszem z papieru pakowego przyklejonego do rozprostowanych drucianych wieszaków, pomalowanym grubo farbą na czerwono i fioletowo. Żarówka oświetla niemal wyłącznie maszynę do pisania. Z jednej strony stolika piętrzą się skoroszyty z luźnymi kartkami, z drugiej równo ułożona sarta zapisanych arkuszy papieru. Gdy wzrok przyzwyczaja się do półmroku, na podłodze pod stolikiem Stanley zauważa więcej kartek, równie starannie ułożonych, choć w tym przypadku papier wygląda na stary i zużyty, powyginany i wytłuszczony palcami. Ocenia, że sarta z podłogi sięgałaby mu do połowy łydki.

Alex siada na drugiej skrzynce po pomarańczach. Za plecami ma otwarte drzwi, przez które widać nieco jaśniejsze pomieszczenie; rozproszone światło dzienne wpada przez niewidoczne dla Stanleya okno. Widać za to prześcieradła i koce, skraj materaca i zwisające z niego smukłe ramię, które po chwili znika, a w jego miejsce ukazuje się para nagich, posiniaczonych nóg. W drzwiach staje Lyn – ciemna sylwetka na jasnym tle. Błady promień słońca nakreśla zarys jej górnego ramienia i barku, ostry relief żeber, krzywiznę piersi i zagłębienie bioder, które mającą niczym ślady kraterów na sierpie księżyca.

Kto przyszedł? – pyta dziewczyna. Jej altowy głos jest gęsty od snu.

Nasz młody przyjaciel Stanley, odpowiada Alex. Zrób nam herbaty, dobrze? Lyn cofa się i znika za ścianą. Czego chce? – woła.

Alex wyjmuje swój zestaw. Rozwija skórzany futerał i wyklada jego zawartość na niski stolik pomiędzy skrzynkami: watę, kroplomierz oraz igłę. Chce nam pomóc, odkrzykuje. Co dla nas masz, Stanley?

Stanley wstaje, wyciąga z kieszeni zawiniątka, siada i rzuca je na blat stolika. Uderzają o drewno z donośnym plaśnięciem. Alex nachyla się do przodu niczym różdżka radiestety. Nic w wyrazie jego twarzy nie świadczy o podnieceniu, lecz oczy płoną mu tak, jak jeszcze Stanley nie widział. Mogę? – pyta.

Stanley potakująco kiwa głową. Alex otwiera jedną z torebek, zwilża koniuszek palca, zanurza go w środku i liże. Lyn powraca w byle jak narzuconym krótkim satynowym kimonie i za plecami Alexa podchodzi do zlewu. To w zasadzie przybity gwoździami do ściany cynowy zbiornik, nad którym dynda kawałek gumowej rurki. Poły kimona rozsuwają się, gdy dziewczyna się schyla, żeby odkręcić zawór, lecz w ogóle się tym nie krępuje. Napęlnia wodą czajnik elektryczny i włącza go do kontaktu.

Nożyczkami Alex odcina pasek z banknotu jednodolarowego i odmierza proszek na łyżkę. Spodziewałem się, mówi, że wraz z twardełkami na motorach w mieście musi się pojawić nowy towar.

Od strony zlewu słychać plusk i Lyn powraca, aby postawić na stole szklankę z barwionego szkła. Alex zanurza w niej kroplomierz i nalewa wody na łyżkę. Zapala zapalną. Lyn tymczasem włącza stojący w kącie przedpotopowy radiodbiornik marki Zenith w bakelitowej skrzynce i z głośnika zaczyna się sączyć mdła muzyka klasyczna. Widoczne za podziałką skali lampy elektronowe rzucają na ścianę niebieską poświatę.

Od jakiegoś czasu brakowało nam towaru, zwierza się Alex. Ciężko go zdobyć. Stuart i jego kumple mogą co prawda zawsze skombinować jakiś metadon, wyciąg z opium, barbiturany. Ale to oczywiście żaden zamiennik.

Kładzie na łyżce kłębek waty. Podczas gdy roztwór się przez nią przesącza, Alex przymocowuje igłę do kroplomierza przy pomocy oderwanego fragmentu banknotu. Potem zaciska na ramieniu skórzany pasek.

Czajnik gwizdże i Lyn go wyłącza. Stanley, pyta, chciałbyś mleka albo cukru?

Mówi z irlandzkim akcentem z Long Island, choć nie wygląda na Irlandkę. Pojedynczy węzeł paska podtrzymującego poły jej kimona zsunął się poniżej pępka. Stanley zastanawia się, po co w ogóle zawracała sobie głowę ubieraniem. Nie, dziękuję, odpowiada.

Alex ściska końcówkę kroplomierza, zanurza igłę w wacie i nabiera płyn. Następnie wbija igłę w żyłę w zgięciu lewego łokcia. Płyn w kroplomierzu porusza się w górę i w dół w rytm uderzeń jego serca i stopniowo ciemnieje. Alex

kilkakrotnie ściska gumową końcówkę i rozluźnia pasek. Stanley zachowuje chłodny, znudzony wyraz twarzy, ale przez cały czas myśli o tamtym motocyklicście, który przedawkował, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki, gdyby Alex zwał się na posadzkę.

Lecz ten tylko wzdycha i odchyła się do tyłu na skrzynce. Tak jakby dać sobie w żyłę znaczyło dla niego tyle, co wypić szklankę wody. Podaje kroplomierz z igłą Stanleyowi, znacząco unosi brwi.

Nie, dzięki, powtarza znowu Stanley.

Alex w pierwszej chwili robi wrażenie zaskoczonego, potem jego wargi krzywią się w uśmiechu samozadowolenia. Ach, mówi. Rozumiem. Wolisz zawdzięczać uniesienia własnym zmysłom. U kogoś stosunkowo tak młodego jak ty to akurat nie dziwi. Nie jesteś jeszcze w pełni świadomy całej mocy i skali historycznych zawirowań, które sprzysięgły się przeciwko tobie. Być może nawet odniosłeś w życiu kilka drobnych zwycięstw. Całkiem możliwe. Tym, co odróżnia brutalność młodocianego przestępcy od transformatywnych gestów rodem z Cabaret Voltaire, jest właśnie owa świadomość. Kiedy ją w końcu posiadasz, narkotyki zaczną mieć sens.

Stanley obrzuca Alexa chłodnym spojrzeniem: jego niskie czoło, zapadnięte oczy, potargane od snu włosy. Stary, mówi, nie mam zielonego pojęcia, o czym nawijasz.

Serio? Alex uśmiecha się powściągliwie. W takim razie przepraszam. Obawiam się, że wykraczam poza protokół obowiązujący wszystkich ćpunów. Powinienem raczej powiedzieć, że mądrze robisz, bo nie bierzesz, i że głupotą byłoby zaczynać. No cóż. Najwyraźniej ten fragment mojego scenariusza musiał utknąć gdzieś w powielaczu.

Lyn przynosi im kubki z herbatą. Zawiązuje pasek kimona, siada na trzeciej skrzynce, podwija rękaw i przygotowuje się do wklucia. Stanley podnosi kubek, dmucha na wrzątek, upija łyk.

Alex tymczasem otwiera portfel, odlicza plik banknotów, podaje Stanleyowi i odchyła się z powrotem w półmrok. Jego wydatny ostry nos sterczy niczym płetwa grzbietowa rekina. Stanley robi z banknotów wachlarz, po czym składa je i chowa do kieszeni. Kwota jest wyższa od tej, którą spodziewał się dostać w Nowym Jorku, choć pewnie i tak zaniżona w stosunku do wartości towaru. Stanley nie zna tutejszego rynku, a Alex zdaje sobie z tego sprawę, więc nie ma co narzekać. Niedługo wyjeżdżacie – zauważa.

Zgadza się. W najbliższym tygodniu. Do Las Vegas.

No i super. Czego wam trzeba?

Alex wzrusza ramionami. A ile twoje źródło jest w stanie dostarczyć? – pyta.

Dokładnie ci nie powiem. Jeżeli poniżej jednej uncji, to nie powinno być żadnego problemu.

Alex bierze w palce otwartą torebkę i podnosi ją ze stołu. Towar będzie taki sam jak ten? – upewnia się.

Jasna sprawa. Tyle że niedługo koleś się stąd zwija, więc trzeba się śpieszyć.

Domyślam się, że twoje źródło ma coś wspólnego z gangiem motocyklowym?

Stanley upija łyk herbaty.

Aaach, wzdycha Lyn. Skórzany pasek spada jej z ramienia na podłogę, ona sama zaś z mdłym uśmiechem osuwa się na skrzynkę. Poły kimona szczęśliwie się nie rozchylają. Na tej skrzynce nie leży koc, tylko poduszka i Stanley dostrzega z boku odwrócone do góry nogami logo: nazwę firmy, która skupowała pomarańcze zbierane przez nich z Claudiem w Riverside.

Ćwierć uncji powinno wystarczyć, stwierdza Alex.

Będę na to potrzebował dwie stowy. Płatne z góry.

Alex ściąga wąskie wargi. Na tę chwilę mogę ci dać tylko sto pięćdziesiąt, mówi.

Stanley przez krótką chwilę udaje, że się namyśla, potem kiwa głową.

Forsę dostaniesz wieczorem, mówi Alex. Poeci z tutejszego wybrzeża – Stuart, John i paru innych – będą mnie dziś fetować. Urządzają mi swego rodzaju pożegnanie. Wpadnij. Mamy się tutaj spotkać o dziesiątej. Weź ze sobą wiaderko i swojego przystojnego, ciemnowłosego przyjaciela. Wybierzemy się na ryby.

Alex miesza herbatę. Łyzeczka podzwania cicho o ścianki kubka niby poruszane wiatrem dzwoneczki zwiastujące burzę. Lyn papierową serwetką wyciera kroplę krwi. W zagłębieniu łokcia ma zdrowe, wyraźne żyły – bierze dopiero od niedawna. Alex mówi, że jesteś z Brooklynu, zagaduje.

Owszem.

A ja z Hicksville. Wiesz, gdzie to?

Wiem, odpowiada Stanley. Ale nigdy tam nie byłem.

Spokojnie możesz sobie odpuścić, parska Lyn. To kompletna dziura.

Rozpościera serwetkę i unosi ją do twarzy. Między zagnieceniami na papierze widać czerwone kropki różnej wielkości. Alex to największy pisarz swojej generacji, oznajmia Lyn. Może cię to nie obchodzić, ale uważam, że powinieneś wiedzieć.

Stanleya to nie obchodzi, wtrąca Alex. Nie jest sentymentalistą. A czymże jest pisanie, jak nie sentymentalizmem? Chyba że zwaleniem paru solidnych klocków, żeby zaznaczyć swoją obecność. Sam nie wiem, czy mnie ono obchodzi.

Nie mów tak, prosi go Lyn.

Stanley upija jeszcze jeden łyk herbaty. Słyszałem, jak stukales w maszynę, mówi.

To prawda. Stukałem. Podoba mi się to określenie. O wiele bardziej niż „pisanie”. I bardzo się cieszę, że nie powiedziałeś, że „pracowałem”. Tak mówią

Stuart i jego kumple. Wyobrażają sobie, że sympatyzują z proletariatem. Tymczasem prawda jest taka, że pragną, aby ich wysiłki zostały komercyjnie docenione, choćby nawet udawali, że jest inaczej. Trudno jest niczego nie pragnąć, więc ich nie potępiajmy. Ale też nie nazywajmy pisaną pracą. To zabawa, nic więcej. Co najwyżej „minstrelowanie”.

Aha, przytakuje Stanley. I co wystukałeś?

Szczerze mówiąc, nie jestem pewien. Staram się utrzymywać samego siebie w niepewności. Jak to ujął Antonin Artaud? Całymi dniami zamartwiamy się formą, zamiast być jak ci heretycy na stosie, wciąż gestykujący pomimo ogarniających ich płomieni.

Ruchem głowy Stanley wskazuje wysoką stertę kartek na podłodze. Wygląda na to, że sporo już tego masz. Cokolwiek to jest.

Alex marszczy brwi i przygląda się stercie przez przymrużone powieki. Wygląda przy tym jak ktoś, kto patrzy na dziwne zwierzę, które wziął pod swój dach, niepewny, czym je karmić ani jak duże urośnie.

To nie poezja, mówi. Ani powieść, chociaż w swoim życiu pisywałem i wydawałem powieści. To pod żadnym względem nie jest nic artystycznego. Podczas pobytu w Paryżu związałem się z grupą młodych – jakby tu ich opisać? Rewolucjonistów? Awangardzystów? Kryminalistów? Aby załapać się na którąś z tych etykietek, trzeba rościć sobie uzasadnione prawa do obydwu pozostałych. Moi młodzi przyjaciele byli przekonani, że sztuka we wszystkich swoich formach jest kontrewolucyjna. A w największym stopniu dotyczy to tak zwanej sztuki awangardowej. Przed trzydziestu laty dadaści nazwali ją zaworem bezpieczeństwa dla kultury: pozwala uwolnić wewnętrzne ciśnienie, uniknąć transformatywnej eksplozji. Zamiast żądać od życia przygód oraz piękna znajdujemy ich symulakra w filmach i tandetnych powieściach. Zamiast iść na wojnę z gliniarzami i ich kapusiami siedzimy w domach i przed lustrem recytujemy nasze hasła. Najdoskonalsza ewokacja najdoskonalszego społeczeństwa może nam pomóc je sobie wyobrazić, lecz nie przybliży nas do spełnienia. Wręcz przeciwnie. To jedynie substytut. Czyni nasze niezadowolenie bardziej znośnym, podczas gdy nie wolno nam go tolerować. Odrzuciliśmy to wszystko. Praktykowaliśmy swego rodzaju autoterroryzm. Za swój główny cel obraliśmy konstruowanie sytuacji, po czym wyszliśmy na ulice miasta z żądaniem, aby te przybrały kształt naszych pragnień. Czasami – niezwykle rzadko – to się udawało.

Stanley podnosi głowę zainteresowany. Jak? – pyta.

Alex nie odpowiada. Cała trójka siedzi w milczeniu. Powietrze gęstnieje od pary unoszącej się z kubków i elektrycznego czajnika.

Stanley już ma ponowić pytanie, gdy z chodnika na zewnątrz dobiega chrzęst kroków. Pchnięte z całej siły drzwi dygocą we framudze; rygiel przytrzymuje je z głośnym szczękiem. Rozlega się gwałtowne pukanie. Stanley tężeje, odwraca się.

Cień czyjegoś łokcia pojawia się i znika na skraju zamalowanej szyby.

Spogląda na Alexa, potem na Lyn. Dziewczyna bada żyły na swojej ręce. Alex zapala papierosa, gasi zapalkę. Intruz za drzwiami nie ponawia pukania i odchodzi, mamrocząc coś niezrozumiale do siebie. Stanley zna ten głos: to poeta, spec od reklamy, pijak z ławki.

Lyn podnosi głowę, uśmiecha się ze smutkiem. Charlie, mówi.

Tak, potwierdza Alex. Chyba znowu zapomniał.

Nachyla się do przodu niczym drzewo przygięte do ziemi pod ciężarem złodowociałych gałęzi i przysuwa sobie bliżej nakrętkę słoika po majonezie.

Być może, mówi, tworzę jedynie dziennik. Katalog impresji. Atlas psychogeograficzny. Mapę pływów. To nić, którą przeciągnąłem przez niewidzialny labirynt, na wypadek gdyby ktoś chciał odtworzyć moją trasę. Takie relacje nie są pozbawione wartości. Sam często na nich polegałem. Podróżnik, który zdobywa szczyt i klnie, widząc wbity cudzy czekan, nie jest żadnym podróżnikiem, tylko zdobywcą i zbójem. Każda interesująca inicjatywa polega na współpracy, pokoleniowym spisku, serii zakodowanych wiadomości przekazywanych przez lata z jednej anonimowej ręki do drugiej. Taki też był charakter naszego przedsięwzięcia w Paryżu.

Stanley nie potrafi stwierdzić, czy miała to być odpowiedź na jego pytanie. Długi zawijas kwaśnego dymu unosi się z papierosa Alexa; mężczyzna zaciąga się nim tylko na tyle, aby nie zgasł, strząsa popiół do nakrętki słoika. Upływ czasu w pomieszczeniu jest w jakiś niezwykle sposób związany z tym papierosem: tak jakby Alex wypalał zegar do imentu. Stanley kręci się na swojej skrzynce. Już zapomniał, jak bardzo nie cierpi ćpunów.

Jeśli chodzi o metodę, ciągnie Alex, najzwyczajniej w świecie wyszliśmy na ulice. Bez wytyczania miejsca docelowego, bez żadnych oczekiwań wobec biegu wydarzeń. Zdaliśmy się całkowicie na los i przypadek. Nieomylnymi antenami naszych pragnień wychwytywaliśmy echa i sygnały. Jeżeli odnosisz wrażenie, że nie wymagało to od nas żadnego wysiłku, zapewniam cię, że było zgoła odwrotnie. Taka postawa wymagała poświęcenia i olbrzymiego hartu ducha, ponieważ wróg był stale obecny w naszych szeregach. Pożądanie jest zdradliwe, pragnie jedynie zaspokojenia, dlatego też jest zawsze gotowe na zgniły kompromis. Gromadziliśmy swoje marzenia niczym pirackie skarby, te zaś, jak na prawdziwe skarby przystało, generowały mapy. W owych dniach często mówiliśmy o mieście – wyimaginowanym, lecz mimo to osiągalnym – które miałyby powstać w jednym tylko celu: umożliwienia ludziom zabawy. Naturalnie główną przeszkodę stanowiła architektura. Pożądanie jest ulotne, w przeciwieństwie do architektury. A zatem pożądanie musi się do architektury dostosować. Zabawa się profesjonalizuje, przyjemność staje się bezrefleksyjna. Na to nie mieliśmy rozwiązania. Postanowiliśmy, że w mieście naszych marzeń każdy człowiek powinien

zamieszkiwać we własnej katedrze. Lecz jedynym, co udało mi się przez lata wznieść...

Alex wsuwa papieros do ust, podnosi z blatu igłę oraz kroplomierz, przekłada do lewej ręki i ponownie wyjmuję papieros.

...była forteca, dopowiada. Cytadela. Widzisz, najlepsze w nałogu jest to, że zawsze wiesz, czego pożądasz, i że masz to na własność. To całkiem co innego niż marzenie o nowym oldsmobile'u. Wobec nałogu wszystkie pomniejsze pragnienia są jak owady zamknięte w bursztynie – można im się przyglądać chłodnym okiem. Nie zapomniałem o mieście, o którym marzyliśmy. Raz już wędrowałem jego ulicami i wierzę, że pewnego dnia znów będę to robić. Muszę przyznać, że wiązę olbrzymie nadzieje z Las Vegas. Z pewnością spotka mnie rozczarowanie.

Lyn wzdycha, nachyla się i otwiera leżącą na niskim stoliku paczkę lucky strike'ów. Zapala jednego. Wydychając pierwszy kłęb dymu, zatacza głową niczym kochanka gangstera z hollywoodzkich filmów. Potem podnosi z podłogi książkę – Stanley odczytuje z grzbietu tytuł: *Listen, Little Man!* – i wraca do sypialni, rozwiązując po drodze jedwabny pasek. Gdy znika za drzwiami, kimono zsuwa jej się z ramion i spada na podłogę. Alex nie patrzy ani na nią, ani na nic innego. Wkłada papieros do ust i jego czubek rozżarza się w półmroku. Jest wypalony dopiero w jednej trzeciej.

Słuchaj, Alex, odzywa się Stanley, pozwoliłbyś mi na moment skorzystać z kibla?

Zamiast kontaktu w ścianie nad komodą jest dziura. Stanley znajduje na rezerwuarze pudełko zapalek i świeczkę wotywną, zamyka za sobą drzwi. Nie zdąża jeszcze spuścić spodni, gdy zza ściany dobiega go stukot maszyny do pisania: z początku gwałtowne bębnienie, potem sporadyczny klekot klawiszy, przerywany z rzadka świstem przesuwanego wałka. W te dźwięki wkradają się coraz dłuższe chwile ciszy. Wkrótce Stanley jest w stanie z łatwością policzyć litery w każdym słowie; kusi go, aby zgadywać, jak one brzmią. Myśli o Wellesie: wyobraża sobie grubasa siedzącego przy swoim biurku, trójkąt stworzony przez jego oczy, palce i nawiniętą na wałek kartkę. Stanley przymyka powieki, zawiesza wygięte w łuk palce nad nieistniejącą klawiaturą.

Kończy i spuszcza wodę, ściąga kurtkę, koszulę i podkoszulek, po czym obmywa sobie nad umywalką twarz, kark, ramiona oraz klatkę piersiową. Lustro w apteczce jest poplamione; Stanley chce je przetrzeć ręcznikiem, gdy orientuje się, że zacieki to w istocie litery, teraz już ledwo widoczne. Unosi świeczkę, próbuje je odczytać. Pośpiesznie skreślone mazakiem słowa wyglądają znajomo – ten sam charakterystyczny, nierówny charakter pisma widział poprzedniej nocy w kawiarni: wypisano nim hasła na ścianach. OTO MASZ PRZED SOBĄ TWARZ BOGA – brzmi napis na lustrze.

Stanley wyciera się, ubiera i czeka, aż maszyna na powrót się rozpędzi;

dopiero wtedy zdmuchuje świeczkę i wychodzi z łazienki. W prostokącie światła widocznym przez drzwi sypialni spostrzega blade stopy Lyn, jej podwinięte palce na krawędzi materaca. Prawa stopa jest nieruchoma; lewa unosi się i opada niczym żuraw pompowy nad kanałem. Alex nie patrzy w stronę Stanleya, nawet gdy przestaje stukać w klawisze. Zapomniany lucky strike zwisa mu spomiędzy warg, wypalony do filtra. Stanley sam trafia do wyjścia, zanim popiół opadnie.

W drodze powrotnej na Horizon Court Stanley mija niewielki dom towarowy, który właśnie otwiera podwoje: kierownik podpira skrzydła drzwi, wraca do środka i znika w magazynie po towar. Kobieta przy kasie przegląda jakiś katalog. Stanley przykuca między regałami i stolikami; nikt nie widzi, jak wchodzi ani wychodzi z parą nowiutkich niebieskich dżinsów, nową koszulą i brązowymi luźnymi spodniami z gabardyny, które wpadły mu w oko. Dwa budynki dalej kradnie buteleczkę spirytusu salicylowego z drogerii, której właściciel gada przez telefon z bukmacherem. Stanley nie może pojąć, dlaczego ludzie w ogóle za cokolwiek płacą.

Stuka do drzwi pustostanu w umówiony sposób, przećwiczony z Claudiem – oby główniarz już nie spał! – po czym przechodzi na róg ulicy. Upewniwszy się, że ulica jest czysta, stuka jeszcze dwa razy i drzwi otwierają się szeroko.

Chłopak chowa się za framugą; nadal jest w slipach. Gdzie byłeś? – pyta. Bardzo się martwiłem.

Mogłeś zapytać, dokąd idę.

Przecież spałem.

Stanley kładzie na szklanej ladzie tobolek ubrań. Aż tak głęboko nie spałeś, mówi. Patrz lepiej, co zwinąłem. Jak ci się podobają te portki?

To ci zajęło tyle czasu? Szukanie spodni?

Wyluzuj, młody. Załatwiałem interesy. Wieczorem czeka nas zastrzyk gotówki.

Gotówki? Jakiej znowu gotówki?

Grubsza forsa. Sto pięćdziesiąt dolców.

Oczy Claudia rozszerzają się, usta układają w literę O. Co? – nie dowierza. To prawda? Skąd wytrzasnąłeś taką kasę?

Od gościa o imieniu Alex. Pamiętasz go? Był wczoraj w kawiarni. Anglik albo coś w tym guście. Z wielkim nohalem.

Aha, przytakuje Claudio, marszcząc brwi. Pamiętam. Gadałem z nim. Wydało mi się, że z nim i tą jego żoną jest coś nie tak. Dziwni byli.

Bo to ćpuny i kanciarze, ot co. Dlatego łatwo będzie ich przerobić. To od nich będzie ta kasa. Na dragi.

Stanley zdejmuje buty, rozpiną brudne dżinsy i je ściąga. Odkłada dżinsy na ladę i rozprostowuje gabardynowe spodnie.

Słucham? – pyta Claudio. Na co będzie ta kasa? Na dragi?

Dragi, potwierdza Stanley, wciągając spodnie. Prochy, towar, hera. Uaktualnij słownictwo, młody.

Narkotyki?

A ty co nagle, z Komisji Kefauvera? Co myślisz o tych portkach? Szpanerskie, co? Pasują do koszuli?

Stanley, denerwuje się Claudio. O czym ty gadasz? Skąd ty weźmiesz narkotyki?

Cholera, wyluzujesz czy nie? Już mam. Zabrałem w nocy truposzowi.

Truposzowi? Jakiemu truposzowi? I gdzie masz ten swój towar? Tutaj? Jeśli policja...

Ciii, ucisza go Stanley. Chwyta Claudia za żuchwę, kciukami zamyka mu usta. Posłuchaj, mówi. Towar, który znalazłem, już sprzedałem Alexowi. Na tym polega przekręt. Sprzedałem mu prochy za parę dolców i powiedziałem, że mogę zdobyć więcej. Wieczorem ma mi przekazać forszę. W ciągu tygodnia wyjeżdża z miasta.

My zatrzymamy forszę, domyśla się Claudio, i niczego mu nie damy. Taki masz plan? Nie będzie z tego kłopotów?

Myślałem o tym, przyznaje Stanley, i z początku tak właśnie zamierzałem zrobić. Ale teraz mam lepszy pomysł. Jeżeli załatwimy go tak, jak proponujesz, zgarniemy sto pięćdziesiąt dolców i zrobi się kwas. Jeżeli jednak dostarczymy towar, skasujemy przynajmniej tyle samo, o ile nie więcej. Myślę, że gra jest warta świeczki.

Ale jak mielibyśmy to zrobić? Skąd weźmiesz tyle narkotyków? Nie znamy tutaj nikogo, kogo nie znałby też ten cały Alex.

Gówno prawda, młody, gasi go Stanley. A Psy z Wybrzeża?

Claudio mruży oczy; bierze Stanleya za przeguby i delikatnie odrywa jego dłonie od swojej twarzy. O czym ty, do cholery, mówisz? – szepcze.

To genialny plan, przekonuje go Stanley. Rozwiążemy wszystkie nasze problemy. Za jednym zamachem dostaniemy solidny zastrzyk gotówki i pozbędziemy się tych pajaców. Urzadzimy sobie z nimi naradę plemienną, wypalimy fajkę pokoju i ubijemy interes. Wszyscy będą zadowoleni.

Przecież Psy nas nienawidzą. Chcą nas wykończyć za to, że je upokorzyliśmy.

Stanley robi krok do tyłu, rozpina koszulę. Nie rozumiesz tych kmiotów tak jak ja, mówi. Wszystkie bandziory są takie same, jak świat długi i szeroki. Marzą o wielkim skoku, ale brakuje im wyobraźni. Gwarantuję ci, że znają kogoś, kto dostarczy nam czego potrzebujemy, i będą przeschęśliwi, jeśli rzucimy im jakiś ochłap w ramach prowizji. Pogadam z gościem, ustalimy co trzeba, a potem rozstaniemy się w przyjaźni i zapomnimy o całej sprawie.

Z kim konkretnie zamierzasz gadać?

Wiesz z kim, wzrusza ramionami Stanley. Z ich szefem. Tym, którego kopnąłem w jaja. Reszcie tych durni nie powierzyłbym nawet zrobienia kanapki, ale z nim idzie się dogadać. Ma dość oleju we łbie, żeby wiedzieć, jaki jest głupi.

Stanley wkłada nową koszulę, wsuwa poły za pasek spodni. Koszula – kremowożółta, z domieszką sztucznego jedwabiu i wstawkami w kolorze ochry przy opalizujących guzikach z masy perłowej – jest bardzo szykowna, w sam raz na kolejne spotkanie z Wellesem, lecz Stanley będzie musiał uważać, chodząc w niej po ulicy: każdy przeciętnie inteligentny gliniarz od razu się zorientuje, że jest kradziona.

Claudio odsuwa się, krzyżuje ramiona na piersi, kciukiem muska wargi. Nie ma innego sposobu? – pyta. Żeby zdobyć pieniądze?

O co ci chodzi? Sposobów jest mnóstwo, ale ponieważ okazja sama się nadarza, wybieramy ten. Zagrywka jest ryzykowna, to fakt, ale może przynieść nam sporo forsy. Więc trzeba spróbować. Jak wyglądam?

Stanley wygładza materiał koszuli, rozkłada ramiona, obraca się wokół własnej osi. Claudio rzuca mu spojrzenie pełne niepokoju. Ładnie, mówi.

Podobają ci się te ciuchy? Mogę ci takie załatwić. Ci idioci w sklepie...

Twój pomysł ma parę słabych stron, wchodzi mu w słowo Claudio. Gang. Gliny. Nie wiemy, czy temu Alexowi w ogóle można ufać. Popelnimy poważne przestępstwo, Stanley.

Skończysz wreszcie z tym biadoleniem? Słuchaj, ryzyko jest takie samo jak przy przejściu przez ulicę. W każdej chwili może cię potraścić betoniarka. Każdy może mieć śmiertelny wypadek, ale nikt w związku z tym nie rezygnuje z chodzenia po mieście. To dokładnie taka sama sytuacja. Musisz się wziąć w garść, młody, jeśli chcesz się stąd wyrwać. Nie możesz bez przerwy trząść portkami ze strachu.

A co z twoim poetą? – chce wiedzieć Claudio. Z tym pisarzem?

Bo co?

Nie mógłby nam pomóc dostać tego, czego chcemy? W taki sposób, żebyśmy nie musieli łamać prawa?

Stanley się zamyśla. Potem robi krok naprzód, chwyta w palce gumkę przy slipkach Claudia, naciąga i puszcza. Nie ma szans, odpowiada. Od niego chce czego innego.

Później, gdy nowe ubranie wisi na sznurze do bielizny, Stanley coś sobie przypomina, wpatrzony w płytkie zagłębienia na plecach Claudia, poruszających się w promieniach słońca.

W nocy znowu zmieniłem nazwisko, mówi.

Claudio wydaje pytający dźwięk; głos ma zaspany, zachrypnięty.

Mówię, że zmieniłem nazwisko. Teraz nazywam się Stanley Glass.

Dlaczego?

Wsuwa nos między gładkie łopatki przyjaciela, wciąga w nozdrza jego zapach. Bo już była pora, mamrocze.

Mmmm. Ja będę cię nazywał Stanley.

W porządku. Aha, musimy jeszcze ukraść jakieś wiadro.

Wiadro?

Uhm, przytakuje Stanley i zwilża śliną opuszki palców. No wiesz, wiadro.

Na ryby.

Na podświetlanej tarczy zegara w sklepie z artykułami żelaznymi przy Windward odczytują czas: dochodzi dziewiąta. Od godziny leje deszcz i nic nie wskazuje na to, że miałyby wkrótce przestać. Światła samochodów okrążających dalekie rondo przywodzą na myśl odbywającą się w ślimaczym tempie paradę karnawałową, nudziarstwo dla starców i małych dzieci. Od czasu do czasu mija ich jakieś auto; poprzedzające je rozbryzgi wody lśnią w powietrzu niczym zadrapania na ciemnej celuloidowej taśmie.

Stanley i Claudio kulą się pod kolumnadą między sklepami Forty-Niner a Odzieżą Męską Sempera. Wtulają się w mur, ilekroć wiatr mocniej zawieje, i obserwują strużki wody ściekające po roześmianych twarzach zdobionych wykute z żelaza kolumny. Najwyższa pora, żeby Stanley zwinął dla siebie jakiś zegarek: dotychczas w przybliżeniu określał godzinę, polegając na świetle dziennym, ale dzisiejszy zachód słońca został zdmuchnięty przez nadciągającą burzę i naraził ich na zmoknięcie o godzinę za wcześniej. Claudio milczy; wygląda, jakby miał o coś żal. Stanley dochodzi do wniosku, że skoro i tak już przemokli, mogą równie dobrze pójść prosto do siedziby Alexa. Ktoś musi tam być.

Ciągnące się przy deptaku arkady pozwalają im pokonać stosunkowo suchą nogą połowę drogi dzielącej ich od Clubhouse Avenue; później muszą postawić kołnierze na sztorc i przemykać pod markizami. Za zakrętem ich uwagę zwracają trzy postacie przecinające krąg światła ulicznej latarni; w zaciśniętych dłoniach niosą wiadra, głowy mają nakryte gazetami. Kilka kroków dalej postacie zatrzymują się i pokrzykując głośno, walą do drzwi Alexa, po czym zostają wpuszczone do środka.

Stanley garbi się i przyśpiesza kroku. Claudio jest tuż za nim; Stanley słyszy krople deszczu odbijające się z brzękiem o dno cynowego wiadra w rękę przyjaciela. Na wprost, przez zamalowane szyby pustostanu, w miejscach, gdzie odprysła farba, padają na chodnik czerwone i pomarańczowe plamy światła, które znikają, ilekroć jakiś przechodzień rzuci na nie swój cień. Wkrótce Stanley i Claudio są już na tyle blisko, aby słyszeć dobiegające z wewnątrz głosy oraz śmiech.

Pukają i drzwi natychmiast stają otworem. W szczelinie ukazuje się podświetlona od tyłu twarz w okularach i z kocią bródką, z której nie sposób niczego wyczytać. Nie jest to nikt, kogo Stanley by znał. W czym ci mogę pomóc, kolego? – odzywa się nieznajomy.

Stanley ociera deszcz z nozdrzy i ust. Jest Alex? – pyta.

W wejściu pojawia się inna sylwetka, zagląda tamtemu przez ramię: to Stuart, brodaty poeta z kawiarni. Musiał być jednym z trójki nowo przybyłych, bo

koszulę ma tak przemoczona, że aż przezroczystą, a na jego czarnych włosach błyszczą krople. Hej, mówi, ja znam te dwie zmokłe kury.

Z głębi słyhać głos Alexa. Czy to nasz młody Stanley? – woła. Nie stój tak w tych cholernych drzwiach, Tony. Wpuść go do środka.

Pchnięte szerzej skrzydło drzwi uderza w zbieraninę wiader, które szorują o posadzkę i o siebie nawzajem. Stanley zrzuca ociekającą wodą kurtkę; Claudio wylewa deszcz z odwróconego do góry dnem wiadra. Widzę, że macie, co trzeba, zauważa Alex. Ale chyba przyszliście trochę za wcześnie?

Ja i mój kumpel miesiąc wcześniej zmieniliśmy czas na wiosenny, odpowiada Stanley. Staramy się zdystansować konkurencję.

Alex i Stuart chichoczą, Stanley zaś rozgląda się po zadymionym wnętrzu. Wszystkie skrzynki po pomarańczach są zajęte; ci, którzy nie zdołali się na nie załapać – sami młodzi mężczyźni – siedzą na podłodze po turecku, a z ich złożonych dłoni unosi się cierpki dym. Jakiś wyelegantowany Murzyn zajął krzesło przy maszynie do pisania; gdy jego spojrzenie napotyka wzrok Stanleya, koleś posyła mu ostrożny uśmiech. Pozostali reagują podejrzliwością, popatrując to na Stanleya i Claudia, to na Alexa i z powrotem.

Przyjaciele, mówi gospodarz, chciałbym wam przedstawić – tym, którzy ich jeszcze nie znają – Claudia i Stanleya, dwóch młodocianych rzezimieszków, z którymi ostatnio zawarłem znajomość i u których zaobserwowałem początki zainteresowania sztuką, poezją oraz innymi szlachetnymi dyscyplinami. Naszym obowiązkiem, panowie, jest dopilnować, aby ci oto młodzieńcy nie przepadli w otchłani przestępczości.

Z kąta rozlega się głos: może ci dwaj mogliby nas ocalić od sztuki i poezji? I zrobić z nas uczciwych kryminalistów?

To Charlie. Stanley z trudem go poznaje: gość robi wrażenie całkiem albo prawie trzeźwego. Uśmiecha się z wysiłkiem i rzuca im ukradkowe, porozumiewawcze spojrzenie, ale nie wypada to przekonująco. Jego wzrok mówi: „Miałem na ciebie haka, koleś, tylko zapomniałem jakiego”. Stanley zachowuje zimną krew i kwituje żarcik Charliego stłumionym parsknięciem. Nikt poza nim się nie śmieje.

Od lewej, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, kontynuuje prezentację Alex, siedzą: Bob, Bruce, Milton, Saul, Maurice, Jimmy, Charlie, znany wam już Stuart i nasz bramkarz Tony. Stanley, powiedz koledze, żeby zdjął kurtkę, i włączcie do środka.

W sypialni – stłamszona pościel na nagim materacu, krzywo przyklejone do ścian nieczytelne malunki – Alex odbiera od nich kurtki i wręcza Stanleyowi zwitek banknotów. Przelicz, mówi i Stanley wykonuje polecenie: ma w ręku sto pięćdziesiąt dolarów. Kiwa głową, na co Alex wprowadza ich znowu do głównego pomieszczenia.

Stuart i dwóch innych koleśków wszczęło na nowo spór, który wygląda na ich ulubiony. Przemawia jeden z tych nowych – pulchny, o wyglądzie profesorka, najprawdopodobniej pedał – popijając jednocześnie wino z ceramicznego kubka. Oczywiście, że wiersze powinny być jak malowidła! – peroruje. Dlaczego by nie? Ostatecznie *ut pictura poesis*, człowieku: cała historia formy w jednym krótkim zdaniu. Horacy jasno o tym mówi – a przecież tylko cytował Symonidesa. Obraz wzbudzający natychmiastową reakcję, pusta przestrzeń czystej kartki, głębia potencjalnych szczegółów. Czyż nie tego wszyscy pragniemy?

Nie na tym zarabiam, mówi ten kolorowy, Milton. Ilu poetów w tym pomieszczeniu jest malarzami? Prawie wszyscy, o ile się nie mylę. Jeśli spełniasz się w jednym, po co zawracać sobie głowę drugim?

Stojący wciąż w drzwiach Tony gestem przyzywa Alexa i szepcze mu coś do ucha. Spogląda przy tym na Stanleya i Claudia, wyraźnie z czegoś niezadowolony. Stanley nie słyszy, co tamten mówi.

Stuart spiera się z grubym profesorkiem. Bruce, mówi, ominęła cię jedna scena podczas odczytu zorganizowanego przez „Coastlines”. Gdybyś się na nią załapał, nie pieprzyłbyś takich bredni. Ginsberg nie jest malarzem, stary. Weź największy obraz, jaki ci przyjdzie do głowy – dajmy na to, freski w Kaplicy Sykstyńskiej – a i tak będzie mu daleko do tego, co on wtedy czytał. Masz ewidentnie jakiś muzealno-akademicki odjazd, kolego. Napełniasz słoiczki formaldehydem. Kocham malarstwo, ale ono nie istnieje w czasie. Wiersze nie pojawiają się na kartce ot tak, po prostu. Są utkane z żywego oddechu.

Ginsberg? – wtrąca ktoś. To ta gwiazda striptizu?

Tylko teatru, mamrocze pod nosem ktoś inny.

A co jest złego w teatrze? – podejmuje wyzwanie Stuart. Poezja potrzebuje więcej teatru! Więcej muzyki! Przenieśmy ją ze stronicy na scenę! Napuśćmy trochę krwi do tych papierowych żył!

O Chryste, wzdycha Bruce i napełnia kubek winem z czterolitrowego dzbanka na podłodze. Znowu się zacznie gadanie o jazzie, burczy.

W drugim końcu pomieszczenia Alex dobrotliwie kładzie Tony’emu dłoń na ramieniu, unosi w górę palec wskazujący drugiej ręki i Tony milknie.

Poeci i malarze muszą w końcu przestać walczyć z własnymi cieniami, peroruje Stuart i zaczyna małpować jazzową improwizację. Uwolnijmy formę! Zmiećmy sztuczne bariery pomiędzy sztuką a życiem! Tylko w ten sposób dotrzemy do ludzi. To partyzantka. Dzisiaj każdy ma świra na punkcie swojego wizerunku, każdy jest tym zahipnotyzowany. Dlatego atak frontalny nic nie da. Trzeba się dostawać przez ucho, nawiązywać kontakt z wewnętrznym okiem – tym, którego nie oszuka żaden przekaz podprogowy.

Teraz odzywa się Charlie; jego głos brzmi odrobinę za głośno w ciasnym pomieszczeniu. Hej, Karabin, zwolnij trochę! – mówi. Całkiem namieszałeś mi we

łbie. Rozmawiamy o poezji czy o reklamie?

Stuart i Bruce łypią na niego spode łba, rozdrażnieni, skołowani, wybici z rytmu. Zapada nagła cisza i słychać tylko zniżony głos Tony'ego. Poza tym, że handlują prochami, tłumaczy Alexowi, ci dwaj gówniarze to sodomici.

Pozwólcie, koledzy, że zdradzę wam mały sekret, podejmuje wątek Charlie. Ostatecznie w tej branży to ja jestem ekspertem. Wiecie, co jest skuteczniejsze od przekazu podprogowego, jeżeli chce się coś sprzedać? Przekaz nadprogowy! Natarczywość przede wszystkim! Z tego, co mówicie, wynika, że ludzie są jak owce, nie potrafią myśleć na własny użytek. Gdyby nie byli takimi ćwokami, siedzieliby teraz z nami na plaży, malowali obrazy, pisali wiersze, sypiali na piasku i żywili się koniną ze sklepu z karmą dla zwierząt. Tymczasem prawda jest taka, że oni uwielbiają być oszukiwani. Chcą, aby im mówiono, co mają robić, czego chcieć, co lubić. Kochają swoje złudzenia. Zupełnie jak my, prawda? Tyle że my uważamy własne złudzenia za lepsze. Jeżeli chcecie zmienić świat, drodzy panowie, na początek przejrzyjcie dowolne czasopismo pod kątem skuteczności reklam. W biurze mówiliśmy kiedyś: nie sprzedasz niczego komuś, kto nie słucha!

Wianuszek sceptyków otacza Charliego, który uśmiecha się pod nosem, bardzo z siebie zadowolony. To stek cynicznych bzdur, odzywa się cicho Milton.

Daj spokój, parska Charlie. To, że nie damę sobie wcisnąć kitu, który wciskam innym, nie robi jeszcze ze mnie cynika. Wierz mi, bardzo chciałbym się mylić. Mam rację, Alex, czy nie? Jak to mówią twoi lewicowi kumple dewianci? Daj ludziom wybór między miłością a śmietnikiem, to wybiorą śmietnik. Zgadza się?

Alex odwraca się od Tony'ego z bladym, protekcyjnym uśmiechem na ustach. Chyba wyraziłeś już swoją opinię, Charlie, mówi.

Nie próbuję wyrażać opinii, protestuje Charlie piskliwym głosem. Zastłania dłońmi twarz – trochę jak Jack Benny, trochę jak zawstydzone dziecko. Ręce mu się trzęsą. Po prostu chcę wiedzieć, co powinienem robić, mówi. Co powinienem pisać. Chcę być uczciwy, wyrzec się Molocha oraz jego dzieł i nie czynić świata gorszym, niż jest. Jak tego dokonać, Alex?

Gospodarz opiera się o ścianę, krzyżuje ramiona na piersi, przekrzywia głowę. Patrzą na niego wszyscy z wyjątkiem Claudia, obserwującego Stanleya. Ten uświadamia sobie, że wszyscy traktują Alexa, jakby był kimś sławnym. I może faktycznie jest.

Kiedy Alex się odzywa, zwraca się mniej do Charliego, a bardziej do pozostałych. Zadaniem pisarza, oznajmia, jest być kronikarzem swoich czasów. Stać z boku i świadczyć.

Och! – wykrzykuje Charlie; strzela palcami, klepie się po kolanach i wstaje z miejsca. No jasne, to wszystko wyjaśnia! Kurczę, czuję się jak ostatni osioł! Przez cały ten czas usiłowałem coś wykreować. W takim razie chyba powinienem

wziąć się za malowanie. Dobrze mówię, Stuart? Albo wrócić do pracy w agencji reklamowej. Tam mogę być bardzo kreatywny. Słuchaj no, Alex, dasz mi skorzystać z mojego dawnego kibla? Muszę się wysrać.

Ufam, że jeszcze pamiętasz, gdzie jest, rzuca Alex. I jak się go obsługuje.

Charlie przechodzi przez pomieszczenie, omijając na palcach drewniane skrzynki i kubki z winem. Naprawdę wielka szkoda, że nie załapałeś się na tanto czytanie, mówi Stuart, gdy Charlie go mija. Wiesz, że cholerny Ginsberg też kiedyś robił w reklamie?

Ginsberg nadal robi w reklamie, warczy Charlie. Wy wszyscy krytykujecie Larry'ego Liptona za to, że sprzedaje bitników jak mydło, ale tak naprawdę macie mu za złe, że nie jest przy tym odpowiednio zdystansowany. „Poeta zawsze staje nagi przed światem!” Super. Wiesz, Alex, zrobiłem polaroidem kilka fotek swojego krocza. Myślisz, że „Evergreen Review” je opublikuje?

Charlie wchodzi do łazienki, zamyka za sobą drzwi, przeklina i zaraz je otwiera, żeby poszukać świeczki i zapalek. Nie wiem, czego ty, do cholery, chcesz, Charlie, woła za nim Bruce.

Chcę się, kurwa, napić, mruczy Charlie i zatrząskuje się w łazience.

Wszyscy patrzą przed siebie, unikając kontaktu wzrokowego z innymi. Wewnątrz zaczyna śmierdzieć: zbyt wiele tu ciał, które za rzadko się kąpią. Jest cicho, jeśli nie liczyć odgłosów wydawanych przez sikającego Charliego, potem zapada całkowita cisza. Dwie osoby sięgają jednocześnie po dzbanek z winem i obie cofają dłonie ze skrępowaniem. Ktoś – Maurice? Bob? – rusza w kierunku przedpotopowego radioodbiornika, lecz Milton powstrzymuje go uniesioną ręką. Słuchajcie, mówi, chyba przestało padać.

Mężczyźni zrywają się pośpiesznie ze swoich miejsc, wkładają kurtki, rozdają wiadra. Stanley i Claudio trzymają się blisko siebie i niesieni przez innych wychodzą na ulicę. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie unosi się gęsta, lepka mgła. Pędzące po niebie niskie chmury znaczą zielonkawe liszaje księżycowego światła, lecz Stanley nigdzie nie widzi księżycy.

Charlie dogania ich, zapinając po drodze spodnie, podczas gdy Alex zamyka drzwi. Nie wytarłeś lustra! – mówi Charlie, zaciskając dłoń na ramieniu Alexa. Potem podbiega naprzód, a głos załamuje mu się z uciechy. Stuart! – woła. Nie wytarł! Nie wytarł tego, co napisałeś dla mnie na lustrze!

Zmierzają na deptak nierówną kolumną, po dwóch i trzech, wymachując różnie wiadrami. Z głębokich kałuż w dziurawym chodniku mrugają światła latarni i przebłyski czystego nieba. Stanley spostrzega płonące na plaży niewielkie ogniska i krążące pomiędzy nimi cienie.

On i Claudio idą w milczeniu, zamykając pochód. Claudio nie ma pojęcia, o co chodzi. Rzecz nie w tym, że nie zrozumiał planu wyłożonego mu przez Stanleya; chłopak jest całkiem bystry. Po prostu uparł się nie odstępować

przyjaciela na krok, bez względu na przyczyny. Stanley przypuszcza, że powinien być mu za to wdzięczny, ale zamiast tego odczuwa lekką irytację.

Czyli meta Alexa, odzywa się po dłuższej chwili Claudio, była kiedyś metą Charliego? Dobrze załapałem?

Cholera wie, młody.

Przez kilka metrów wloką się w milczeniu. Czoło procesji dotarło do deptaka i właśnie schodzi na plażę.

Claudio próbuje jeszcze raz: Charlie był bardzo wzburzony, mówi. Wiesz dlaczego?

Pewnie boi się, że jest żalonym zarozumialcem.

Ale dlaczego się tego boi?

Nie wiem. Może dlatego, że nim jest. Słuchaj, a może polecisz i sam go zapytasz, co?

Powiedział, że nie chce, żeby przez niego świat stał się gorszy, ciągnie Claudio. Ale jak można kogoś skrzywdzić wierszami? Nic z tego nie rozumiem.

Po wejściu na ciemną plażę kolumna idzie w rozsypkę, miesza szyki niczym puszczona luźno lina. Mijają ich jacyś ludzie: kobieta i dwóch młodszych mężczyzn, wszyscy nadzy, w drodze do wody. Żadne nie zaszczycą ich ponownym spojrzeniem. W kręgu światła padającego od najdalej wysuniętego ogniska obnażony do pasa mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych niezbyt wprawnie gra na dwóch kubańskich bębnach, które wydają dziwne, wysokie dźwięki. Wyglądają i brzmią jak zabawki. Rytm wznosi się wraz z hukiem fal, opada i znowu przyspiesza.

Milton spogląda na zegarek. Za dziesięć minut zacznie się przyplływ, mówi.

Lepiej, żeby ci durnie pogasili ogniska, mamrocze Stuart. Przepłoszą nam wszystkie ryby.

Od strony Speedway dolatuje warkot motocykla zawracającego w stronę ronda. Gdzieś z okolic pola naftowego słychać serię głośnych wystrzałów, które równie dobrze mogą pochodzić z gaźnika albo z broni palnej.

Czyli mamy dziesięć minut? – upewnia się Alex i przetrząsa kieszenie swoich dżinsowych ogrodniczek. Ktoś ma ochotę pograć trochę na flipperach, zanim zamkną salon?

Stanley uśmiecha się; ma wrażenie, jakby tamten czytał mu w myślach. Prowadź, szefie, mówi. Znakomity pomysł.

Wracają na deski deptaka. Claudio, Charlie i ktoś jeszcze – Jimmy? Saul? – odłączają się od pozostałych i podążają za nimi. Stuart woła: idziemy dalej na południe, tam gdzie ciemniej! Alex niedbale macha ręką na znak, że zrozumiał, ale się nie odwraca. Nie zdążą nawet przejść przez deptak, gdy Charlie gdzieś znika; Stanley domyśla się, że wybrał się na poszukiwanie butelki czegoś mocniejszego.

Na flipperach gra się w dawnym salonie Bridgo. Jest mały, obskurny i pełen

automatów wyglądających, jakby wypadły z jakiegoś transportu. Zawieszony pod kolumnadą szylidł nowością jakieś dziesięć lat temu, co i tak czyni go świeższym od tego na sąsiednim, zabitym deskami budynku, który był nowy zapewne w latach trzydziestych. Wnętrze salonu jest wybielone mniej więcej w jednej czwartej, jakby ktoś przerwał pracę w połowie ściany po lewej stronie, bo skończyła mu się farba albo pieniądze – a może stwierdził, że nikt i tak się nie pozna. Przenikliwy hałas wylewa się ze środka oknami, rezonują nim mury: dzwonki i głuche uderzenia, metaliczne gwizdki, tandetne klawiszowe melodyjki.

Wewnątrz zastają tłum zwykłych bywalców: żołnierzy, marynarzy, robotników, *pachucos*, zabijaków. Przy oknach i wejściu kręci się kilka marnie wyglądających dziwek, nagabują wchodzących o parę centów. Członkowie gangu Psów też tu są, chociaż nie w pełnym składzie: Stanley zauważa w kącie trzech wyrostków pochłoniętych grą. Stoją tyłem do drzwi; jest wśród nich tamten albinos.

Stanley wciska Claudiowi garść drobnaków w dłoń i zostawia go przy rozklekotanym flipperze. Zaraz wracam, mówi. Nie ruszaj się stąd.

Przechodzi przez salę i klepie albinosa po ramieniu, zanim tamci go zauważą. Nietrudno ich zaskoczyć. Stanley przesuwając ciężar ciała w tył, rozstawia szerzej nogi, na wypadek gdyby któryś się na niego zamachnął.

Albinos odwraca się i wytrzeszcza oczy. Na ułamek sekundy odmalowuje się w nich niepokój, zaraz jednak chłopak przykleja na wargi swój krzywy uśmiešek hieny. No proszę, mówi. Może jednak ktoś nam dzisiaj obcią...

Stul pysk, głąbie. Szukam twojego szefa.

Albinos napina mięśnie ramion, wysuwa podbródek, nadyma się jak paw, ale głos ma cienki, jakby oddychał wyłącznie przez nos: nie wywinie Stanleyowi żadnego numeru. Mojego *kogo?* – drwi.

Słyszałeś. Gdzie go znajdę?

Pewnie w ostatniej robocie, którą rzuciłem, dupku. Ja nie mam szefa.

Dobra, mądralo. W takim razie gdzie jest ten cwaniak, który za ciebie myśli? Wiesz, o kim mówię. Nie zgrywaj głupiego fiuta.

W tym tygodniu nie ja go pilnuję, smarku. Myślisz, że robię za jego sekretarkę?

W ogóle o tobie nie myślę, koleś. Kiedy go zobaczysz, przekaż mu, że ja i mój kumpel ubijamy na plaży grubszy interes. Jak chce mieć w nim swój udział, niech szybko się do mnie zgłosi. Nie będę za nim latał.

Uśmiech albinosa blednie, na twarz wypływa zmęczenie; najwyraźniej usilnie stara się wymyślić celną ripostę. Stanley powoli się cofa, dopóki tamten nie otworzy ust. Wtedy obraca się na pięcie i odchodzi.

Claudio przygląda się temu z paniką w oczach; robi krok do przodu, wychodzi Stanleyowi naprzeciw. Co ty wyprawiasz? – szepcze. Dlaczego

zaczepiasz tych bandziorów?

Dobrze wiesz dlaczego, młody. Słuchaj, nie możemy teraz o tym gadać. Musisz coś dla mnie przechować.

Wyciąga z kieszeni zwitek banknotów od Alexa i wciska Claudiowi do ręki. Oczy kumpla rozszerzają się, szczęka mu opada. Przestań, upomina go Stanley. Popatrz na mnie. Jeżeli zobaczysz, że tamci ruszają – to znaczy jeżeli spróbują tutaj podejść – natychmiast dasz mi znać. Zrozumiałeś? Jeżeli zaczniesz się bijatyka, zwiewasz i spotykamy się w kryjówce.

W drugim końcu sali Alex i jeden z jego kumpli grają na sąsiadujących ze sobą flipperach – Shoot The Moon i Mercury; ciemne zarysy ich głów wilgotnych od mgły odcinają się wyraźnie na tle gładkich rakiet namalowanych na podświetlanej szklanej tafli. Alexowi nieźle idzie: trąca pudło urządzenia z subtelną wytrawnością gracza, nie przestając perorować. Prawdziwy urok automatów do gry, mówi, polega na tym, że stanowią one ucieleśnienie krępiących nas sztywnych ram społecznych. Wygrać to jakby sponiewierać symbolizującą je kukłę. Automaty i jazz to dwie najwspanialsze rzeczy, jakie nasz kraj ofiarował światu, wywodzą się z tego samego ducha protestu.

Stanley mija ich i podchodzi do flippera, na którym można zagrać w *Opowieści tysiąca i jednej nocy*. Wrzuca dziesięć centów i szklana tafla się rozświetla: widać namalowaną na niej zawołowaną tancerkę brzucha, sułtana w haremie i grono biuściastych niewolnic. Sułtan jest tęgi i zadowolony z siebie, czyta coś na głos z grubej książki; Stanleyowi przypomina się Welles; uśmiecha się pod nosem. Dochodzi do wniosku, że nie ma wiele czasu, więc odciąga wybijk, wypuszcza pierwszą kulkę i pozwala jej spaść. Tak samo postępuje z drugą i trzecią. Dopiero potem zaczyna naprawdę grać, w pośpiechu gromadząc punkty. Zwalnia powoli, gdy wyczuwa za sobą obecność Alexa. Nieźle, chwali go Alex, kiedy gra dobiega końca.

Dzięki. Sam też nie jesteś taki ostatni.

Dawniej w Paryżu sporo grałem. Obawiam się, że zdążyłem trochę zarzewieć.

Stanley wsuwa rękę do kieszeni i wyjmuję monetę. Mamy czas na jeszcze jedną partyjkę? – pyta.

Czemu nie? Ryby mogą chyba zaczekać.

Chcesz odzyskać część swojej forsy czy nie?

Podczas gdy Alex gra – napierając na flippera łokciami i kolanami, gwałtownymi uderzeniami zmieniając tor srebrnych kulek – albinos i jego przygłupi kumple wychodzą. Przedtem jednak pokazują jeszcze Stanleyowi uniesione środkowe palce. Claudio nieco się odpręża. Przez otwarte okna do środka wpada lekka bryza i Stanley dostrzega błysk księżyca na falach; wiatr musiał przegnać deszczowe chmury. Flipper jęczy pod ciężarem Alexa. Na pulpicie

wyświetla się coraz wyższy wynik, urządzenie stukocze i podzwania.

Potem przychodzi kolej na Stanleya. Nawet nie patrzy na wynik końcowy Alexa. Chwilę po tym, jak wypuszcza pierwszą kulkę, Alex wybuchając śmiechem; wyjmując z portfela piątaka, składa na pół i kładzie na pudle flippera. Pieprzony oszust z ciebie, Stanley, mówi. Graj, ile chcesz. Warto wydać piątkę, żeby zobaczyć cię w akcji, mój ty cudowny hultaju.

Stanley nie napiera ciałem na automat – nigdy tego nie próbował i nie do końca wie, jak można w ten sposób wpływać na przebieg gry. Dotyka wyłącznie przycisków. Lewy trochę nawala: czasami Stanley nie widzi, dokąd poleciała kulka, ale nie może nic na to poradzić, co strasznie go wkurza. Spojrzeniem ściga srebrzyste błyski, gdy kulka odbija się rykoszetem od grzybków. Otwory, w które wpada, jarzą się jasnym światłem, urządzenie wypluwa z siebie zdobyty kredyt punktów. Trzy miliony. Cztery. Pięć. Znudzony Claudio wybija opuszkami palców rytm mambo na cynowym wiadrze. Stanley nadal rozgrywa pierwszą kulkę. Słodki Jezu, szepcze Alex do Claudia. W życiu czegoś takiego nie widziałem.

W końcu maszynie kończy się limit. Stanley chowa do kieszeni piątaka, oddziera wydruk z dodatkowymi punktami i wręcza go Alexowi. To co, mówi, kto idzie ze mną na ryby?

Odnajdują Stuarta i innych w pobliżu wejścia do nowego portu. Stuart z Miltonem stoją przy samej wodzie i bacznie obserwują strefę przyboju, wyraźnie widoczną w świetle księżyca, który właśnie wyłonił się zza chmur. Pozostali siedzą dalej na suchym piasku, obok pustych wiader i swoich zrzuconych butów. Grupa powiększyła się o Lyn i trzy inne kobiety, których twarze Stanley pamięta z kawiarni. Jedna z nich gra coś cicho na gitarze. Charlie też tu jest, siedzi nieco z boku i popija alkohol z butelki ukrytej w papierowej torbie.

Jedna z kobiet wita Claudia po imieniu; musieli się poznać ostatniej nocy, kiedy Stanley był z Wellesem. Podczas gdy Claudio do niej zagaduje, Stanley ściąga buty, żeby dołączyć do Milona i Stuarta. Kiedy podchodzi bliżej, Stuart daje mu znak uniesioną ręką, żeby uważał, i sykiem nakazuje ciszę, chociaż Stanley porusza się całkiem bezgłośnie.

Stanley kuca między nimi, patrzy w dół na spienioną wodę. Dwie smukłe srebrne ryby – może piętnastocentymetrowe – pływają w strefie zmywu. Migoczą przez chwilę, potem znikają. Słuchajcie, szepcze Stanley, czego my właściwie wypatrujemy?

Stuart spogląda przez zmrużone powieki na ocean, jego toporna twarz jest czujna i pełna napięcia. Ryb, odpowiada.

Kolejna srebrna rybka śmiga przez płycizny, gładkim grzbietem przecinając powierzchnię wody. Stanley popatruje to na Stuarta, to na Milona. A co zrobimy, jak już je wypatrzymy? – pyta.

Złapiemy, mruczy Stuart.

W co? Mamy jakieś sieci?

Nie potrzeba sieci, odzywa się Milton. Chwyta się je gołymi rękami i wrzuca do wiadra. Same wyskakują z wody.

Stuart tymczasem ze skupionym wyrazem twarzy nadal wpatruje się w białą pianę. Stanley omija go wzrokiem i spogląda dalej: w wodzie pomiędzy miejscem, gdzie stoją, a kamiennymi głazami niedokończonego falochronu krąży ze dwadzieścia, trzydzieści rybek. Odwraca się w kierunku północnym i widzi ich jeszcze więcej. Jak mają wyglądać te ryby? – pyta.

Jak trochę większe sardynki, odpowiada Milton. Do piętnastu centymetrów długości. Srebrzyste i smukłe. Najpierw zobaczysz kilka samców: to zwiadowcy. Przeprowadzają rekonesans na plaży, upewniają się, czy wszystko w porządku. Potem przyplwają panie, żeby złożyć ikrę.

Stanley pokazuje palcem. Czy to przypadkiem nie są zwiadowcy?

Milton i Stuart nachylają się do przodu. Obaj opierają się dłońmi o wilgotny piasek i balansują, wolnymi rękami osłaniając oczy przed światłem księżyca. Przypominają w tej pozycji parę gargulców, ewentualnie kamienne lwy. A niech mnie, mówi Milton.

Stuart ogląda się przez ramię. Szykujcie się! – rzuca krótko. Nadplwają.

Wkrótce piasek roi się od ryb, które wiją się i podskakują. Zebrani na plaży podciągają nogawki spodni i pędzą ku nim z radosnymi okrzykami. Claudio wpada do zimnego oceanu i aż go zatyka z wrażenia; zaraz jednak wchodzi głębiej, żeby napełnić wiadro słoną wodą. Pierwsza fala obmywa nagie kostki Stanleya, przyprawiając go o dreszcze i sprawiając, że traci czucie. Nie sposób postawić stopy, żeby nie nastąpić na śliskie łuski. Słona woda przesącza się przez opatrunek na łydce i rana zaczyna piec. Stanley schyla się, sztywnymi, sinymi palcami chwyta zdobycz i wrzuca do wiadra podsuniętego przez Claudia.

Z każdą kolejną falą przybywa ryb, które podrygują i rzucają się po piasku, wwiercając się weń ogonami. Całe połączenie plaży wzdłuż linii wody połyskuje srebrzyście w świetle księżyca; wygląda to, jakby ktoś rozsypał fragmenty rozbitych lusterek, te zaś nagle ożyły, przybierając półpłynną, ruchliwą formę. Stuart i jego kumple wymijają Stanleya, rozchlapując wodę i zaśmiewając się przez szcękające zęby. Nie bierzcie więcej niż dacie radę zjeść, przypomina Milton. Zostawcie trochę na kolejny połów. Alex trzyma w zgiętej dłoni rybkę, przytrzymuje kciukiem jej łebek i coś do niej szepcze, po czym wkłada ją z powrotem do wody.

Wiadra zapełniają się i ludzie powoli wracają na suchy piasek. Ktoś gra na gitarze bluesa: „Chciałabym być księżycówką, pływać w głębokim, zimnym oceanie – śpiewa. – A wtedy wy, piękni ludzie, uganialibyście się za mną”. Stuart brnie po kolana w wodzie, ściga jedną z kobiet, chcąc wrzucić jej rybkę za dekolt. Charlie gwizdnął buty Alexowi, lecz okazują się dla niego za ciasne. Tańczy więc

na palcach, wymachując w powietrzu butelką, kręcąc biodrami i porykując bełkotliwie ze szkockim akcentem. Jamb i trochej! – drze się. Patrzcie na moje stopy metryczne! Są takie długie jak mój kutas!

Stanleyowi braknie tchu – z zimna, z wysiłku związanego z uganianiem się za rybami i z powodu nieznanego, trudnego do nazwania uczucia. Zupełnie jakby się zbudził ze snu i ogarnął go nagły zachwyt, ulotne wrażenie, że istnieje tu i teraz, doświadczenie umykającej chwili. Niski księżyc przebija się na ułamek sekundy przez chmury i Stanley myśli o widzianej na pustyni ognistej kuli, przypomina sobie, jak się wtedy czuł. Myśli też o *Złodzieju luster* – w sposób, w jaki dawniej zawsze myślał o tej książce, lecz odkąd przyjechał tutaj i zbliżył się do Wellesa, stało się to niemożliwe, jakby Welles samą swoją obecnością postawił temu tamę. Nagle: olśnienie. Są takie momenty, kiedy otwiera się przejście do innego świata – świata, do którego Stanley z całą pewnością należy. Ta książka to mapa, która go tam doprowadzi, hasło, które otworzy wszystkie zamki.

Wraca na plażę, żeby przysiąść na trochę. Claudio stawia wiadro na piasku i kuca obok. Stanley? – pyta. Wszystko w porządku? Źle się czujesz?

Stanley patrzy na niego, po czym odwraca wzrok. Patrzy na zwielokrotnione odbicie księżyca w wodzie, na pogrążony w ciszy budynek przy deptaku. W poświęcie ulicznych latarni i świateł wież wiertniczych opuszczona ruina na nabrzeżu zmienia się w labirynt cieni, niewidoczną pajęczynę łączącą ze sobą rozświetlone sceny. Każda z tych scen lśni niczym oglądana przez dziurkę od klucza diorama, zionie pustką po odwołanym spektaklu, jest aluzją do czegoś, czym usiłowało być niegdyś to miejsce. Stanley czuje wokół wibracje, jakby znalazł się wewnątrz wielkiego dzwonu. Świetnie, szepcze. Czuję się świetnie.

Po chwili wstaje. Wcześniej napełnili rybami wiadro Claudia w stopniu, jaki wydawał im się wystarczający. Teraz Stanley spostrzega leżące nieopodal na piasku zapomniane wiadro Charliego. Podnosi je i wspólnie z Claudiem wypełniają je po brzegi. Co zrobimy z tyloma rybami? – pyta Claudio.

Zjemy je. A jak myślisz? Wyuczymy je cyrkowych sztuczek, jak tresowane pchły?

Niby jak? Nie mamy kuchni.

Zostaw to mnie, młody. Znam jedno miejsce.

Pulsujący srebrem kobierzec nie zmniejsza się, lecz po niedługim czasie wszyscy mają dość. Więcej i tak nie daliby rady unieść. Alex i Lyn robią się niespokojni, najchętniej wróciliby do siebie. Otrzepują się z piasku i ruszają w stronę miasta, pozostali podążają za nimi, zbaczając to tu, to tam i przystając bez wyraźnego powodu. Ich gwałtowne ruchy wywołują popłoch wśród schwytyanych ryb, które uderzają pyszczkami o cynowe ścianki wiader.

Stuart oraz goniona przez niego kobieta zostają nieco z tyłu, kłócą się przyciszonymi głosami. Na Windward rozdzielają się: Stuart zatrzymuje się pod

zadaszonym wejściem do drogerii, żeby zapalić papierosa, ona zaś oddala się deptakiem, dźwigając swoje wiadro. Z wyjątkiem Lyn inne kobiety idą za jej przykładem. Wraz z nimi znika też większość ryb. Mężczyźni stoją razem z rękami w kieszeniach i patrzą za odchodzącymi. Wszystko gra, Stuart? – zagaduje któryś z facetów.

Stuart strząsa zapałkę gestem filmowego twardziela, zaciąga się głęboko i wypuszcza nosem wielki obłok dymu. Możemy pójść gdzieś, gdzie będę mógł się wyluzować i dla odmiany trochę pomyśleć? – burczy. Cholera jasna!

Kończą w czymś mieszkaniu na piętrze starego, zrujnowanego budynku, zajmowanego obecnie przez trzy rodziny, w okolicy, po której Welles i Stanley spacerowali minionej nocy. Wiadra stoją rzędem na półpiętrze; ich gładkie, srebrne powierzchnie co pewien czas pękają i pojawia się maleńka pletwa albo łapiący powietrze pyszczek. W środku na gramofonie obraca się płyta z jakimś nowym nagraniem w stylu bebop. Okładka przechodzi z rąk do rąk: widnieje na niej zdjęcie białego saksofonisty altowego, który pozuje w cieniu drzew ze swoim instrumentem, zdystansowany i obojętny. Wzrok ma utkwiony w czymś, co znajduje się poza kadrem z prawej strony; może to być równie dobrze zachodzące słońce, jak i nadciągający koniec świata, ale koleśowi jest najwyraźniej wszystko jedno. Stuart i Tony siedzą na podłodze obok zbudowanego z pustaków regału, palą i narzekają. „Wracam do domu i stale słyszę: dzieci, rachunki, czynsz. Jak można w takich warunkach stworzyć coś wartościowego? Kobiety nie rozumieją, jak trudno jest uchwycić myśl, zwłaszcza jeśli jest to myśl niebezpieczna, jedna z tych, których nie wolno nam miewać”. Przy kuchennym stole rozsiadł się Alex; rozkłada na nim swoje utensylia: zapałki, kroplomierz, łyżkę, igłę oraz towar martwego motocyklisty. Część zebranych podwija rękawy. Lyn błąka się między pokojami niby cień, przez wszystkich ignorowana. Charlie oparł się w kącie o ścianę i próbuje otworzyć butelkę piwa. Recytuje przy tym swoim radiowym głosem: „Czy ryzykujesz własnym życiem – albo życiem swojego dziecka – i używasz brudnych strzykawek...?”.

Stanleya boli całe ciało, a najbardziej noga. Skórę ma zaczerwienioną i pokrytą suchą warstewką soli. Nie może przestać myśleć o pozostawionych na zewnątrz rybach, o ich pyszczkach postukujących o ścianki wiader, szeroko rozwartych, łapczywie chwytających powietrze. Ulotna chwila, którą wcześniej tak się zachwyił, zdecydowanie minęła. Wymykają się z Claudiem bez pożegnania, taszcząc ciężkie wiadra. Księżyc właśnie zachodzi.

Adrian Welles mieszka w oszalowanym budynku na Wavecrest Avenue. Jak na tę okolicę, dom jest całkiem spory: piętrowy, z żółciutkim okapem dachu i świeżo pomalowaną oblicówką. Wzdłuż piętra ciągnie się długi balkon, porośnięty grubymi jak przegub męskiej ręki pnączami glicynii. Fundament osiadł nierówno przez lata; widziane z poziomu ulicy drzwi zdają się odchyłać od pionu. Są przesunięte pod dziwnym kątem, przywodzącym na myśl gabinet krzywych luster w lunaparku. Budynek tkwi na szerokiej, piaszczystej działce niczym lunatyk na ławce w parku, wystrojony w swój najlepszy garnitur, który nie ma dokąd pójść, nie ma też nic lepszego do roboty jak w milczeniu obdarzać przechodniów krzywym uśmiechem.

Dzień upłynął Stanleyowi i Claudiowi na gorączkowym szykowaniu się do wyjścia: najpierw zatargali swoje brudne ciuchy do pralni samoobsługowej, następnie powędrowali plażą na północ aż do Santa Monica, żeby wziąć prysznic i ogolić się w tamtejszej łaźni miejskiej. Nim wrócili na Horizon Court, skradzione przez Stanleya ubrania zdążyły się ładnie rozprostować. Claudio zaczesał włosy do tyłu i włożył krzykliwą koszulę ze sztucznego jedwabiu. Potem stanęli obok siebie, żeby przejrzeć się w kieszonkowym lusterku Stanleya, trzymanym w wyciągniętej ręce. Można by ich wziąć za saksofonistów z modnego hotelowego zespołu jazzowego – albo za gwiazdy filmu, jak upierał się Claudio. Wyglądamy jak dwaj młodzi hollywoodzcy gwiazdorzy, stwierdził.

Kiedy słońce zaczęło się chylić, ruszyli w górę Pacific Avenue, przez cienistą dolinę sklepów monopolowych, zamkniętych magazynów i nędznych żydowskich piekarni. Szli powoli, uginając się pod ciężarem dźwiganych wiader i uważając, żeby nie zachlapać wodą morską swoich czystych spodni. Największa obawa Stanleya, dotycząca spotkania z Psami, które – w najlepszym razie – zakończyłoby się przewróceniem wiader i wylaniem ich zawartości, nie ziściła się; skręciwszy w ulicę, przy której mieszkał Welles, zatrzymali się na chwilę, żeby odpocząć, rozprostować nadwyreżone palce rąk i nakarmić gromadkę okolicznych kotów garścią ryb, które zdechły minionej nocy.

A teraz stanęli przed jego domem. O tej porze światło pada pod takim kątem, że nie można niczego zobaczyć przez okna: każda szyba staje się niemą płaszczyzną słonecznych refleksów, tu i ówdzie ocienioną przez bladezielone pąki nierozkwitłych jeszcze glicynii. Za niską, drewnianą furtką przez nierówny trawnik ciągnie się ścieżka ułożona z kamiennych płyt, po obu stronach obrośnięta zimozielonym żywopłotem. Pod oknami rośnie wysoki hibiskus, a nad gankiem wiszą dwa koszyki fuksji. Z lewej strony na trawniku znajduje się płytkie poidelko dla ptaków, z prawej zegar słoneczny na betonowym postumencie; zardzewiała

żelazną tarczę zdobi grawerunek okrągłej, roześmianej twarzy. Zza krawędzi postumentu wyłania się fragment jakiegoś napisu: „...jeno imieniem chwyciłem”. Stanley nie może odczytać reszty. W domu ktoś puszcza z płyty koncert orkiestry smyczkowej. Z początku dźwięk jest ledwo słyszalny, potem narasta tak, że wprawia w drżenie okienne szyby; muzyka jest pełna dysonansów, przenikliwa, nie przypomina niczego, co Stanley dotychczas słyszał. Trudno mu sobie wyobrazić, dlaczego ktoś miałby słuchać tego z własnej, nieprzymuszonej woli.

Stanley, przerywa te rozmyślania Claudio, wchodzimy do środka?

Stanley czuje, że coś delikatnie dotyka jego kostki. Spogląda w dół. Jeden z bezpieczeństwa kotów – sama skóra i kości – ociera mu się sklepieniem czaszki o nogę; inny wspina się na tylne łapy, żeby ostrożnie spenetrować zawartość wiadra. Claudio odgania trzy kolejne zwierzęta.

Muzyka niemal ich ogłusza – to otworzyły się drzwi wejściowe. Z ganku dolatuje perlisty śmiech, a potem kobiecy głos. Co ja widzę?

Stanley i Claudio podnoszą głowy. Stojąca w progu kobieta jest szczupła i bardzo wysoka, ubrana w długą, kwiecistą suknię, najwyraźniej własnoręcznie uszytą. Druciane „kocie” oprawki okularów i gładkie włosy spięte w długi kucyk sprawiają, że wydaje się młodsza, a zarazem starsza, niż zapewne jest. Nie ma makijażu, a jej brązowe włosy są przetykane siwizną. Stanley ocenia ją na około czterdzieści lat. Dzień dobry pani, mówi, odgrywając swoją popisową rolę zagubionego chłopca. Czy zastaliśmy pana Wellesa?

Tak, jest w domu. Nazywasz się Stanley? Tak, to na pewno ty.

Kobieta sfruwa ze schodów na ścieżkę. Porusza się zwinnie i szybko; z łatwością można sobie wyobrazić, jak gra w tenisa albo w golfa. Jest boso, a jej opalone przedramiona znaczą rozbryzgi czegoś, co wygląda na białą farbę. W prawej ręce niesie parujący kubek z herbatą, a gdy dochodzi do płotu, przekłada go do lewej, żeby się przywitać.

Mam na imię Synnøve, mówi. Jestem żoną Adriana. Tak się ucieszył z waszego spotkania! Nie mógł przestać o tobie mówić. A to kto?

Na imię mi Claudio, przedstawia się Claudio. To dla mnie wielki zaszczyt, *señora*.

Przepraszam za tę farbę. Cały rano spędziłam w atelier. Wielkie nieba, spójrzcie tylko na te koty! Coście tam przynieśli w tych wiadrach?

Mój przyjaciel i ja, wyjaśnia Stanley, wybraliśmy się w nocy na ryby i...

To księżycówki? Tak wcześnie?

Tak, proszę pani. Nałapaliśmy za dużo, więc pomyśleliśmy, że może pani i pan Welles...

Naprawdę jesteście kochani! W dodatku zjawiacie się w samą porę. Nie miałam pomysłu, co dziś przyrządzić na kolację, a księżycówki po prostu uwielbiamy! Zapraszam do środka, zanim te futrzane bestie was pożrą. Wchodźcie,

śmiało! Jest jeszcze wrzątek na herbatę.

Pani Welles – Synnøve – ma dziwny akcent: skandynawski albo niemiecki, a może duński. Mówi po angielsku tak, jakby uczyła się tego języka w Anglii. Adrian! – przekrzykuje muzykę, otwierając ponownie drzwi wejściowe. Przyszli Stanley i Claudio! Przynieśli nam ryby na kolację!

Jeżeli Welles coś odpowiada, Stanley nie słyszy ani słowa w jazzocie smyczków. Razem z Claudiem wnoszą wiadra do kuchni i stawiają je na podłodze – w ostrym górnym świetle sylwetki ryb przypominają ruchliwe cienie. Synnøve parzy herbatę i gawędzi z Claudiem, Stanley tymczasem rozgląda się dokoła. Ściany i blaty stołów zagracają dziwaczne ozdoby: stare deski ochlapane roztopionym ołowiem, wyrzucone na brzeg kawałki drewna oplecione przędzą, pęknięte ceramiczne jaja, z których coś wykuło się w wielkim pośpiechu. Gdy tak myszkuje, słyszy dobiegający z sąsiedniego pokoju cichy, lecz dobitny męski głos i w pierwszej chwili uznaje, że to Welles. Zaraz jednak dołącza do niego drugi głos i Stanley zwraca uwagę na jego metaliczne brzmienie: to dochodzący z głośnika program radiowy. Stanley zachodzi w głowę, dlaczego ktoś miałby nastawiać jednocześnie gramofon i radio. Na górze skrzypią deski, rozlega się szuranie: ktoś tam się porusza.

Stanley, woła Synnøve, Adrian mówił mi, że przyjechałeś aż z Nowego Jorku i że przywiozłeś stamtąd jego książkę. To prawda?

Tak, proszę pani. Jestem z Brooklynu. A książkę znalazłem na Manhattanie.

Coś wspaniałego! W pewnym sensie chyba każdy poeta marzy o czymś takim. Pisanie jest jak wkładanie liścików do butelek i wrzucanie ich do oceanu. Ja jestem artystką – kiedy coś tworzę, wiem, dokąd potem trafia – więc nie całkiem to rozumiem. Przynajmniej Adrian tak twierdzi. Ale koniecznie muszę ci coś powiedzieć: kiedy wczoraj wrócił z pracy, poszedł na górę i zamknął się w gabinecie. Dzisiaj to samo. Od lat tyle nie pisał. Od lat! I to wszystko twoja zasługa. Sam ci tego nie powie, więc ja muszę. Chcesz mleka do herbaty? Albo cukru?

Nie, proszę pani. Czarna będzie w porządku. Dziękuję.

W sąsiednim pokoju migocze blade światło; Stanley dostrzega jego odbicie w szybie okiennej oraz na krzywiźnie ceramicznej podstawy lampy i zdaje sobie sprawę z tego, że dochodzące zza ściany głosy to nie radio, tylko telewizor. Wchodzi tam, żeby mu się przyjrzeć: to model marki Philco, dwudziestojednocalowy ekran w mahoniowym pudle. Nie pierwszy raz widzi telewizor – właściwie widywał je bardzo często, jednak głównie w sklepach, a nie w prywatnych domach. W tym tutaj leci kronika filmowa – archiwalna, chyba że naziści znowu doszli gdzieś do władzy, a stary dobry Roosevelt powstał z grobu. Jak zawsze Stanley ma problem ze skupieniem wzroku na obrazie: rozprasza go struktura ekranu. Wpatruje się dopóty, dopóki obraz nie rozpadnie się na tysiące

pulsujących światłem punkcików tworzących migotliwą mozaikę. Wtedy mruga szybko powiekami, potrząsa głową i odwraca się ogarnięty nagłym obrzydzeniem.

Kiedy znów widzi wyraźnie, spostrzega parę oczu wpatrujących się w niego z poziomu podłogi. Podskakuje i wydaje odgłos zaskoczenia.

To ta niechlujna blondynka z kawiarni – ta sama, która całowała Wellesa w policzek. Siedzi na grubym, wzorzystym dywaniku z plecami opartymi o podnózek, ramiona nakryła wielobarwną szydełkową kapą i całkowicie wtopiła się w otoczenie. Stanley nie pamięta, aby kiedykolwiek zdarzyło mu się wejść do jakiegoś pomieszczenia i nie zauważyć, że jest tam ktoś jeszcze. Chyba nigdy. Oczy dziewczyny śledzą każdy jego ruch, lecz jej ciało ani drgnie. Wygląda na odprężoną, a zarazem czujną, jak lwica. Wyraz jej twarzy mówi: „Żyjesz tylko dlatego, że nie jestem głodna”.

Synnøve staje za plecami Stanleya, podaje mu filiżankę na spodku. Och! – mówi. Cynthia! Sądziłam, że wyszłaś.

W jej głosie słychać pewnego rodzaju skrępowanie, które każe podejrzewać, że jest równie zaskoczona jak Stanley, a widok dziewczyny wcale jej nie ucieszył. Spojrzenie Cynthii wędruje od Stanleya do Synnøve i z powrotem. Mruga raz, powoli, i nie odpowiada.

Cynthio, mówi Synnøve, poznaj Stanleya i Claudia. To znajomi...

Urywa zniecka, jakby zapomniała, co chce powiedzieć albo się rozmyśliła. To nasi znajomi, kończy. Napijesz się z nami herbaty?

Tak, poproszę, odzywa się dziewczyna.

Ma głęboki, afektowany głos – głos grubaski, myśli Stanley, chociaż Cynthia wcale nie jest gruba. Przypuszcza, że może mieć siedemnaście, najwyżej osiemnaście lat. Jak na swój wiek jest ładnie zaokrąglona, ale to figura z krótką datą ważności: za dziesięć lat będzie walczyła z nadwagą. Oczywiście teraz większość facetów tego nie dostrzega albo ma to gdzieś. O ile jej obecny strój – za duży czarny sweter z dekoltem w łódkę narzucony na czarny trykot, jedwabna szkarłatna chustka na szyi – nie jest tym samym, jaki miała na sobie dwa dni wcześniej, to wygląda niemal identycznie. Widziałem cię w kawiarni, zagaduje ją Stanley.

W kawiarni? – powtarza ona z uniesioną brwią, małpując jego akcent. Zgadza się, koleś. Słyszałam, że przynieśliście nam jakieś ryby.

Dobrze słyszałaś.

Ekstra, rzuca ona. Uśmiech spływa jej na twarz jak rozlane żółtko jajka.

Wraca Synnøve, niosąc jeszcze jedną filiżankę na spodku; Cynthia powoli wstaje, przeciąga się – unosi ramiona nad głowę tak wysoko, aż jej strzela w kręgosłupie – po czym odbiera herbatę. Stanley nie potrafi się zdecydować, czy dziewczyna jest piękna, czy odrobinę groteskowa – więc najprawdopodobniej oznacza to, że jest piękna. Wrzucone hojną ręką kostki cukru podzwaniają w jej

filiżance; Cynthia rozpuszcza część z nich, mieszając herbatę łyżeczką, a resztę zjada – chrupie i dalej miesza. Rozbielony płyn ma ten sam kolor co jej oczy, tylko cieplejszy odcień. Stanley już wie, że on i ta mała nie zostaną przyjaciółmi.

Claudio przepycha się obok niego w drzwiach i wchodzi do pokoju. Cynthia! – woła.

Cześć, gaduło, mówi na jego widok dziewczyna. Chodź się przywitać.

Już się robi, *mija*, śmieje się Claudio i obejmuje ją – serdecznie, ale ostrożnie. Ich filiżanki grzechoczą na spodeczkach. Nie spodziewałem się ciebie zobaczyć, mówi Claudio. Co tutaj robisz?

To moja chata, głupku. Tutaj się dekuje.

Stanley spogląda to na jedno, to na drugie. Ty znasz tę laskę? – zwraca się do Claudia.

To Cynthia, odpowiada Claudio, patrząc na Stanleya, jakby tamtemu brakowało piątej klepki. Moja znajoma z kawiarni. Opowiadałem ci.

Stanley marszczy brwi. Może faktycznie Claudio mu o niej opowiadał – rzecz w tym, że Stanley nie słucha połowy z tego, co chłopak mówi. Przez chwilę przygląda się, jak tych dwoje ze sobą rozmawia – wymieniając imiona ludzi, o których nigdy nie słyszał i których nie ma ochoty poznać – dopóki jego uwagi nie zwróci wielkie płótno wiszące za nimi na ścianie. Z szerokich kolorowych rozbryzgów i naklejonych na nie zasuszonych kwiatów oraz zwitków nasączonej farbą tkaniny powoli wyłania się zarys drzewa. Wśród nagich, sękatych gałęzi gnieźdzą się wycięte z folii aluminiowej sigile. Do pnia tulą się dwie niewyraźne ludzkie postacie.

Z kuchni dochodzi podniesiony głos Synnøve przekrzykującej szum lejącej się z kranu wody. Właśnie sobie przypomniałam! – woła. Dziś zamykają wcześniej piekarnię, a ja potrzebuję chałki na kolację. Cynthia, zabawisz naszych gości, dopóki nie wrócę? Obawiam się, że trudno przewidzieć, kiedy Adrian wyłoni się ze swojej pieczary. Chłopcy, wypatroszycie ryby, jeżeli dam wam swój najostrzejszy nóż?

Ja wypatroszę, odpowiada Cynthia.

Za Synnøve zamykają się drzwi wejściowe, a Stanley i Claudio przestawiają wiadra na słoneczny fragment zadaszonej bocznej werandy. Cynthia gromadzi potrzebny sprzęt: torbę z brązowego papieru, obierak do warzyw, nóż do filetowania ryb o ostrzu grubości włosa, ręczniki plażowe, żeby na czymś usiąść, stare wydania „Mirror-News”, po czym dołącza do nich. Przez całą długość werandy stoją zbite z desek ławki, które Cynthia nakrywa gazetami. Następnie z jednego wiadra wylewa wodę na trawnik – odcedza ryby, żeby łatwiej się je łapało. Sól morska prawdopodobnie wypali trawę, ale Stanley tego nie komentuje.

Cynthia wręcza Claudiovi obierak. Ty się zajmij łuskami, komenderuje.

Sama zanurza rękę w wiadrze, wyciąga podrygującą rybę, z plaśnięciem

kładzie ją na gazecie i rozcina jej brzuch od łba aż po odbył. Jej mały kciuk wsuwa się do środka i wypycha na zewnątrz zbite w kulkę wnętrzności. Potem odcina rybnie łeb tuż za płetwami piersiowymi i podaje tuskę Claudiowi. Mały, smutny pyszczek wciąż dyszy, kiedy Cynthia wrzuca go, wraz z ciągnącą się za nim wstęgą jelit, do papierowej torby.

Claudio zabiera się za skrobanie bezgłowej ryby; nie zadaje żadnych pytań, chyba nawet nie myśli. Wkrótce na gazetę sypie się deszcz srebrzystych łusek. Cynthia tymczasem odcięła łeb następnej rybnie i zabiera się za trzecią. Ta, z którą właśnie skończyła, drga lekko na gazecie. Nóż w ręku Cynthii przypomina Stanleyowi ten, który miał kiedyś w domu: okleił rękojeść taśmą i nosił go na łydce. Później użył noża i musiał się go pozbyć. Od samego patrzenia na patroszone ryby robi mu się słabo. Wstaje, przechodzi przez podwórko za domem do miejsca, gdzie na ogrodzenie napiera krzak pnącej róży, i głęboko wdycha aromat woskowo białych kwiatów.

Nie mija wiele czasu, a na ogrodzenie wskakuje zaniedbany łaciaty kot. Zbliża się do Stanleya, węsząc w powietrzu; drugi miauczy gdzieś w trawie. Na werandzie Claudio rozwija swoją tradycyjną gadkę, gędzi o filmach i gwiazdach ekranu. Dziewczyna z łatwością dotrzymuje mu kroku – cały czas wtrąca coś od siebie: cudzoziemsko brzmiące nazwiska, których Stanley nigdy w życiu nie słyszał, pomieszane z kompletnie dla niego niezrozumiałym bełkotem na temat jazzu – siejąc jednocześnie spustoszenie wśród ryb z obu wiader. Stanley spogląda nad ich głowami na dom i w kuchni widzi Synnøve, która wróciła już z piekarni. Dochodzi do wniosku, że powinien pójść i z nią porozmawiać – o sztuce albo czymś innym – ale tego nie robi. Zamiast tego spaceruje w tę i z powrotem przy ogrodzeniu, przystając co pewien czas, żeby podrapać któregoś z bezpańskich kotów po zmatowiałej sierści na karku albo go przechwycić, gdy zanadto zbliży się do torby z rybiami łbami, i wyrzucić za ogrodzenie. Chociaż ten jeden raz, myśli, jeden cholerny raz coś mogłoby się potoczyć tak, jak bym sobie życzył. To byłaby miła odmiana.

Wreszcie Cynthia zanosí oczyszczone ryby do kuchni, a Claudio przechodzi przez podwórko i dołącza do Stanleya. Stanley – zagaduje. Co ci jest?

Stanley nie odrywa oczu od kotów. Nie podchodź do mnie z tym świństwem na rękach, mówi.

Zaraz je umyję. Źle się czujesz? Jesteś jakiś dziwny.

Czuję się doskonale, odpowiada Stanley. Po prostu mam sporo na głowie.

Claudio milknie i robi tę dziwną rzecz ze swoimi palcami, jak zwykle, kiedy się denerwuje. Stanley słyszy lepkie cmoknięcia, gdy ich opuszki odrywają się od śliskiego kciuka. Cynthia to moja znajoma, mówi. Lubię poznawać nowych ludzi. Uważam, że to całkiem naturalne. Wtedy w kawiarni zostawiłeś mnie samego. Nie powiedziałaś, gdzie idziesz. Stanley, chyba nie myślisz...

Trzaskają wewnętrzne drzwi z moskitierą: to Cynthia wraca na werandę. Robi piruet jak baletnica, doskakuje do Claudia i mierzwi mu włosy. Przez cały czas obserwuje przy tym Stanleya.

Stanley, odzywa się Claudio, Cynthia i ja wybieramy się po kolacji do kina. Pójdiesz z nami?

Obrzuca oboje lodowatym spojrzeniem. Przykro mi, mówi, muszę zamienić słowo z twoim starym, skarbie. W cztery oczy, jak facet z facetem. Ale dzięki za propozycję.

Na twarzy dziewczyny odmalowuje się dziwny wyraz – irytacji zmieszanej z zażenowaniem i odrobiną paniki, jakby Stanley przerwał jej mowę z okazji rozdania dyplomów, zwracając uwagę, że wystaje jej halka – zaraz jednak znika, a w jego miejsce pojawia się cwaniacki uśmiech. O rety, mówi. Nie uważasz, że trochę za wcześnie prosić go o moją rękę? Nie było jeszcze nawet pierwszej randki.

Fakt, przytakuje Stanley. Ale ja działałam szybko. Oby tylko posag był w porę gotowy.

Dziewczyna odrzuca głowę do tyłu i zanosi się sztucznym gardłowym śmiechem. Potem otwartą dłonią uderza Claudia w potylicę. Idźcie myć łapska, dzikusy, mówi. A ja zobaczę, czy mamcia nie potrzebuje pomocy przy garach.

Wracają razem na werandę. Co to za film? – pyta Stanley. Ten, na który idziecie?

Bonjour Tristesse, odpowiada Claudio.

Bo bur co?

Bonjour Tristesse. Nowy film Otto Premingera, z Davidem Nivenem i młodą aktorką Jean Seberg w rolach głównych. W *Świętej Joannie* moim zdaniem nie wypadła najlepiej. Ale może ta rola będzie bardziej udana.

To jakiś zabojadzki film?

Kum, kum, dopowiada Cynthia.

Drzwi otwierają się szeroko; w kuchni stoi Adrian Welles z ręką pieszczotliwie opartą na plecach Synnøve. Odwraca się do nich z szelmowskim uśmiechem.

Jest o kilka centymetrów niższy od żony i nie tak szeroki w pasie, jak Stanley pamięta: tęgi, owszem, ale bardziej muskularny niż nalany. W nocy musiał mieć na sobie kilka warstw ubrań. Posapujący psiak znowu mu towarzyszy; pcha się w otwarte drzwi i jazgocze tak, że mało mu nie odpadnie ten jego szkaradny łeb. Cynthia chwyta go za obrożę i wciąga do środka, aż oczy wylażą mu z orbit.

W kuchni jest duszno, pachnie rozgrzanym tłuszczem, selerem, czosnkiem i rybami. Jasnobłękitne oczy Wellesa połyskują za szklami okularów niczym świeżo przemyte deszczem kryształki kwarcu. Przekrzykując skwierczenie patelni, woła do Stanleya i Claudia: Witajcie, młodzi przyjaciele! Zawdzięczamy wam niespodziewane dary!

Ryby lądują na talerzach obok porcji duszonej zielonej fasolki i kawałków świeżego chleba. Synnøve wyciąga ze schowka w sieni dodatkowe rozkładane krzesło i puszcza w obieg miskę z sałatką ogórkową. Stanley uważnie się przygląda, zanim cokolwiek spróbuje.

Wszyscy zjadają ryby w całości – z ośćmi, jak sardynki – chociaż wcale nie smakują jak sardynki. Stanleyowi przypominają się rybki, które w okolicy świąt Bożego Narodzenia przyrządzali jego włoscy sąsiedzi w czasach, kiedy ojca nie było, matka się nie odzywała, on zaś musiał szukać jedzenia, gdzie popadło. Smakowały podobnie do tych. Przeżuwał, rozmyśla o srebrzystej kipieli na piasku w świetle księżycy i o stojącej przy drzwiach kuchennych papierowej torbie pełnej odciętych łbów – o splątanych wnętrzościach, otwierających się i zamykających niemych pyszczkach, o zamglonych, martwych oczkach; zmusza się, żeby o nich myśleć, ale nie robi to na nim żadnego wrażenia. Ryby są smaczne, a on głodny. Od miesiący nie jadł domowego posiłku.

Welles to wstaje, to znów siada, dolewa jasnozłotego wina do na wpół opróżnionych kieliszków. Soave classico, zachwała. Mam te butelki od ponad roku. Dobrze się składa, że je zachowałem! Do tego dania pasują jak ulał. Ryba w piątek! Wielkie nieba, chyba nie próbujecie zrobić ze mnie na powrót katolika! Bo powiem wam, że to się może udać, psiakrew, naprawdę może się udać!

Koles jest podkreślony i gada jak najęty; nikt z pozostałych nawet nie próbuje z nim rywalizować. Synnøve oraz Cynthia wtrącają parę kąśliwych komentarzy, Claudio zadaje pisarzowi kilka naiwnych pytań, lecz zasadniczo pozwalają Wellesowi się produkować. Stanley ma uczucie, jakby oglądał pojedynek na szable w jakimś starym filmie, w którym bohater – Errol Flynn albo Tyrone Power – odpiera na raz ataki kilkunastu napastników, ale żaden nie stara się go nawet drasnąć. Cynthia głównie unosi do góry brwi i uśmiecha się złośliwie. Welles żywo gestykułuje i prawie nie tyka jedzenia. Dla Stanleya to wszystko jest odrobinę żalosne.

Skoro już mowa o katolicyzmie, mówi Welles. Cytuje wiersz – coś, co właśnie napisał: Stanley zaciska szczęki i wbija wzrok w talerz; z całej siły obejmuje palcami widelec i przesuwa nim zieloną fasolkę. „Tak oto wiara skraca odległość! – deklamuje. Zakrzywiają się ptolemejskie promienie! Uboga zaś Klara dostrzega na ścianie bezcielesny wizerunek kapłana odzianego w szaty liturgiczne”. Błagam, zamknij się wreszcie, myśli Stanley. Nie psuj tego. Przestań głądzić.

Słyszeliście, jak przypuszczam, ciągnie niestrudzenie Welles, że papież uczynił świętą Klarę z Asyżu patronką telewizji. Jakieś dwa, trzy tygodnie temu.

Bardziej to pomysłowe niż mianowanie archanioła Gabriela patronem radia, nie sądzicie? Co prawda Kościołowi zawsze bliska była koncepcja szerzenia bezcielesnego słowa przez przestrzeń oraz czas. Gorzej, jeśli chodzi o bezcielesny obraz postaci. Papież musiał się trochę postarać, żeby wynaleźć odpowiedni boski precedens. Ostatnio, kiedy piszę, pociągają mnie tego rodzaju historie i wygląda na to, że moja nowa książka będzie poświęcona właśnie takim zagadnieniom. Władzy wizerunku. Wizerunkowi władzy.

Psiakość! – rzuca Cynthia. Patrzcie na zegar! Lepiej się zmywajmy, przyjacielu. Kurtyna zaraz idzie w górę.

Ona i Claudio wychodzą do sieni; Claudio składa dłonie i mruczy podziękowania, a Cynthia podaje mu jego kurtkę. Stanley też wstaje, łapie Claudia przy drzwiach i daje mu zwitek banknotów. Na kino, mówi.

Chłopak przyjmuje je z miną winowajcy, która jednak szybko znika. Będziesz tutaj, jak wrócę? – pyta.

Tu albo w kryjówce.

Powinieneś zostać, radzi mu Claudio. Podoba mi się tutaj.

Synnøve sprząta ze stołu; Welles przechodzi przez salon z talerzem w dłoni, żeby nastawić płytę. Cynthia dopada kolejno oboje i cmoka każde z nich za uchem. Lecimy już, mówi. Nie czekajcie na nas.

Uważaj, przestrzega jeszcze Stanley wychodzącego Claudia. Miej oczy dokoła głowy.

Nie idziemy do Foxa, obrusza się przyjaciel, rzucając mu przez ramię poirytowane spojrzenie. Tylko do porządnego kina.

Drzwi się zamykają. Stanley patrzy przez okno, jak Claudio i Cynthia przeganiają z trawnika parę kotów. Czuje dziwne klucie w zatokach, drapie go w gardle, jakby się przeziębził. Zastanawia się, co się z nim, do cholery, dzieje.

Z głośnika gramofonu bucha muzyka: opętany chór śpiewa w jakimś dziwnym języku, towarzyszące mu drewniane instrumenty dęte oraz kotły trąbią i dudnią w tle. Welles wychyla się do sieni i przekrzykuje ten upiorny jazgot. Synnøve i ja pozmywamy, woła. A ty idź na górę i pomyszkuj w mojej bibliotece. Wybierz sobie coś, co cię zaciekawi. Zaraz do ciebie dołączę z dwiema butelkami zimnego piwa. Co ty na to?

Stanleyowi na wąskich schodach kręci się w głowie, więc zwalnia kroku. Rzadko pija alkohol, nie przepada za dopadającym go wtedy uczuciem senności i rozchwianej równowagi. Unosi stopy i znowu je stawia; zraniona noga nieprzyjemnie pulsuje.

Dotarłszy na piętro, zauważa, że powietrze jest tutaj inne: bardziej suche, duszne i zatęchłe. Czuć intensywny odór fajki i jeszcze jakiś słabszy zapach: papieru, tworzywa, kleju, niewidocznych owadów żywiących się takimi rzeczami. Obecność książek wyczuwa, zanim wymaca włącznik lampy na biurku. Z każdym

krokiem stawianym na trzeszczącej podłodze dom zdaje się kołysać, a zawartość regałów przesuwają na półkach. Książki napierają na siebie nawzajem.

W żółtawym świetle słabej żarówki propozycja Wellesa wydaje się absurdalna: Stanley mógłby godzinami szperać w tym pokoju i nie znaleźć dla siebie niczego ciekawego. Są tu książki poświęcone ekonomii, energii nuklearnej i historii Włoch, książki o metalurgii, produkcji szkła i elektronice, książki w obcych językach. Wiele z nich przypomina mu *Złodzieja luster*, ale nie w pozytywnym sensie. Po kilku minutach przeglądania woluminów Stanley traci zainteresowanie. Jego uwaga skupia się na samym pomieszczeniu.

Gabinet Wellesa zajmuje niemal połowę piętra. Drzwi balkonowe w jego zachodniej ścianie, położone między dwoma zasłoniętymi oknami, wychodzą na balkon oświetlony przez księżyc. Centralnie na przeciwległej ścianie znajdują się ciężkie czarne drzwi zamykane na zwykłą zasuwę i dodatkowy zewnętrzny rygiel; przypominają wrota do średniowiecznej fortecy. Zaintrygowany Stanley odsuwa wielgachny rygiel – dobiegająca z dołu muzyka wszystko zagłusza – i pociąga za klamkę, lecz drzwi ani drgną. Zasuwa więc rygiel z powrotem i zajmuje się dla odmiany biurkiem Wellesa.

Jest ogromne: z politurowanego drewna tekowego, bogato rzeźbione. W dolnym prawym rogu blatu zgromadzono kilka dziwnych przycisków do papieru – figurkę pelikana z brązu, przezroczystą szklaną półkulę z maźnięciami koloru w środku, powyginany kawałek metalu wyglądający jak fragment łuski pocisku, który eksplodował – najwidoczniej po to, aby pióra i ołówki nie staczały się z biurka, bo w tym miejscu podłoga jest krzywa. Na suszce spoczywa cienki plik arkuszy różowawego papieru zapisanych odręcznie pochyłym, nieczytelnym charakterem pisma. Obok w rozerwanej kopercie leży list od kogoś przebywającego w waszyngtońskim szpitalu. Stanley nie zwraca na niego uwagi. Jednym uchem nasłuchując odgłosów dobiegających ze schodów, otwiera kolejno szuflady i przetrząsa ich zawartość.

Każda ma elegancki mosiężny zamek, lecz żadna nie jest zamknięta na klucz. Pierwsza, którą wysuwa – środkowa, długa i płytka – kryje w sobie pistolet samopowtarzalny: kaliber.45, z tysiąc dziewięćset jedenastego roku. Stanley domyśla się, że jest naładowany, ale woli go nie dotykać, żeby to sprawdzić. Siedzący za biurkiem na obrotowym krześle Welles ma do niego łatwy dostęp. Dwie szuflady niżej z prawej strony znajduje się jeszcze jeden pistolet, walther P38. Skoro gospodarz trzyma takie rzeczy w gabinecie, ciekawe, co chowa w szufladzie ze skarpetkami? Pewnie pistolet maszynowy. Albo bazookę. Gość pewnie jeździ do pracy czołgiem.

Na ścianie za biurkiem wisi oprawiona w ramkę mapa. W każdym razie Stanleyowi wydaje się, że to mapa: przedstawia miasto położone na wyspie w kształcie maczugi, widziane jakby z przelatującego samolotu, ale nie

bezpośrednio z góry. Perspektywa wydaje się Stanleyowi jakaś dziwna, zwłaszcza że styl wykonania mapy przywodzi na myśl czasy na długo przed wynalezieniem samolotów – tak jakby ktoś, kto ją rysował, musiał zamykać oczy i wyobrażać sobie, że unosi się w powietrzu, aby następnie zapamiętany obraz przenieść jak najdokładniej na papier: ulice, kanały, budowle. Część odtwarzał z pamięci; resztę musiał sobie wyobrazić.

Na schodach słysząc Wellesa – wchodząc, podśpiewuje głębkim, dźwięcznym głosem: *O Fortuna, velut luna, statu variabilis. Semper crescis aut decrescis, vita detestabilis...*

Wpatrzony w mapę Stanley wyszukuje coraz to nowe szczegóły: kopuły i dzwonnice, place i żaglowce. Kilka mniejszych wysepek jest podpisanych; ich nazwy brzmią niemal znajomo. IUDECA – jedna, MURAN – druga.

Za jego plecami rozlega się głos Wellesa. Poznajesz? – pyta.

Pewnie. To miasto z pańskiej książki.

Zgadza się. Nie przypuszczam, abyś tam kiedyś był?

Stanley mruży oczy, nachyla się bliżej. Nosem prawie dotyka papieru. Raczej nie, odpowiada. Gdzie to jest?

We Włoszech. Nad Adriatykiem. Gdybyś tam był, na pewno byś pamiętał.

We Włoszech, powtarza Stanley. To w Europie, prawda?

Owszem. W Europie.

W takim razie nie byłem. Nigdy nie byłem w Europie.

Welles robi krok naprzód, wkłada Stanleyowi do ręki zimną butelkę piwa Goebel. Przy najbliższej okazji powinienes koniecznie się tam wybrać, mówi. Spodobałoby ci się. A w każdym razie mój pobieżny wykład sprzed dwóch dni na temat historii tej okolicy zyskałby szerszy kontekst. To miasto – mam na myśli oryginał – zbudowano w całości na wodzie. W zasadzie nie ma tam mowy o ziemi jako takiej. Tkwi na palach pośrodku laguny. Wiesz, co to jest laguna?

Jasne. Tata był na atolu Enewetak.

W takim razie oczywiście, że wiesz. Słowo „laguna” pochodzi od łacińskiego rdzenia *lacuna* oznaczającego lukę, przerwę, nieobecność. Co być może tłumaczy, dlaczego przez lata to miasto stało się wylęgarnią najróżniejszych pragnień. Celowo umiejscowiło się w próżni.

Stanley odsuwa się od ściany. Piwo jest chyba ostatnią rzeczą, na jaką ma w tej chwili ochotę, mimo to upija łyk z butelki. Ładnie pan mieszka, odzywa się.

Dziękuję. W obecnej chwili Synnøve i mnie stać na awans społeczny, jak to mówią, Ale tutaj czujemy się jak w domu. Blisko do oceanu, nikt nam nie przeszkadza. Zresztą, jeśli mam być szczery, wolę nawet nie myśleć o przenoszeniu tych wszystkich książek w jakieś inne miejsce.

Stanley skinieniem głowy wskazuje zaryglowane drzwi. Co tam jest? – pyta.

To, odpowiada Welles i długo pije z butelki. To pokój Cynthii.

Stanley spogląda na niego z uniesionymi brwiami. Wytrzeszcza teatralnie oczy na potężny rygiel i znów patrzy na Wellesa. Boicie się, że zwieje, jak będziecie spali? – pyta.

Welles zmusza się do śmiechu. Cha, cha, cha! Wiem, że może się to wydawać nieco ekscentryczne. Często się zastanawiałem, dlaczego poprzedni mieszkańcy tego domu uznali za stosowne zainstalować takie drzwi. Agent nieruchomości twierdził, że nic mu na ten temat nie wiadomo. Dawniej wyobrażałem sobie rozmaite zastosowania dla tego pomieszczenia: schowek przemytnika alkoholu, loch, w którym zamykano białe niewolnice, dożywotnie więzienie czyjegoś syna idioty. W tej okolicy wszystko to byłoby możliwe. Dzisiaj już nie zaprzęgam sobie tym głowy. Siądziemy na lanai?

Na czym?

Na lanai, powtarza cierpliwie Welles, otwierając drzwi balkonowe. Martwiłem się, że dziś w nocy znowu będzie padać, ale wygląda na to, że czeka nas piękna noc. Oczywiście w każdej chwili możemy wrócić, jeśli zrobi się nam za chłodno.

Na balkonie znajduje się niski drewniany stół w otoczeniu składanych płóciennych krzeseł – takich, na jakich w filmowych czasopismach Claudia siedzą zawsze sławni reżyserzy. Widok jest nieszczególny, na bok sąsiedniego budynku, mimo to Stanley wyczuwa bliskość oceanu. Po ciemnoniebieskim niebie płynie armada gęstych obłoczków, a księżyc wisi wśród nich niby obite jabłko. Jego doskonała tarcza powoli zaczyna blednąć.

Gospodarz oddaje Stanleyowi najlepsze miejsce zwrócone ku zachodowi. Stanley go nie chce – widziany stąd Welles przypomina wyciętą z czarnego papieru sylwetkę, podczas gdy Stanley wolałby widzieć wyraźnie jego twarz – ale nie odmawia, gdyż według niego byłoby to niegrzeczne. A zatem, mówi Welles, sadowiąc się wygodnie na skrzypiącym krześle. Chcesz mnie o coś zapytać, tak?

Tak, przyznaje Stanley.

Przez pewien czas siedzą w ciszy. Płyta na dole się skończyła. Nad ich głowami narasta i cichnie warkot samolotu.

Nie ma pośpiechu, odzywa się Welles. Zastanów się, co cię...

Chciałem pana zapytać o magię, przerywa mu Stanley.

W porządku. O co dokładnie?

Jak ją uprawiać. Co zrobić, żeby zadziałała.

Welles milczy. Potem zaczyna chichotać. Jego śmiech brzmi zarozumiale, protekcyjnie – i sztucznie. Obawiam się, że pytasz niewłaściwego człowieka, odpowiada.

Jak to?

Nie znam się na czarach, Stanleyu. W wojsku poznałem kilka karcianych sztuczek, ale nawet te już zapomniałem. Przykro mi.

Stanley przekłada butelkę z ręki do ręki. Crivano zna się na czarach, mówi. A pan o nim pisał. Więc musi pan coś wiedzieć.

Welles zdaje się zastanawiać, lecz Stanley widzi, że tylko udaje. To, co powiem, graniczy z banałem, odzywa się Welles, ale Crivano i ja to dwie różne osoby.

Akurat. Niech pan da spokój. Nie mówię przecież o prawdziwym Crivano. Nie interesuje mnie postać historyczna. Mówię o pańskim bohaterze.

Welles otwiera usta i zaraz je zamyka. Nachyla się do przodu, odstawia piwo na stolik, składa palce w piramidkę i ich czubkami dotyka warg. Wygląda na zirytowanego, a zarazem – gdzieś głębiej – zaniepokojonego. Stanley głęboko nabiera powietrza w płuca. Jest już blisko, ale trudno mu będzie pokonać następny zakręt.

Naprawdę chciałeś zapytać mnie o coś takiego? – dziwi się Welles. Chcesz zostać magiem. Alchemikiem. Czarodziejem. Zgadza się?

Zasadniczo tak.

Nie wiem, jak tego dokonać.

Stanley kiwa głową, pociąga łyk piwa. Nie wierzę panu, mówi.

Welles mruga szybko powiekami, usiłując się opanować, nie stracić zimnej krwi. To czysta fantazja – wyrzuca z siebie. Zastanów się, doprawdy. Przecież nie jesteś już dzieckiem. W realnym świecie takie rzeczy nie są możliwe. Istnieją wyłącznie w naszej wyobraźni.

Gówno prawda.

Stanleyu!

Gówno prawda. Gówno prawda! Przepraszam, panie Welles, proszę się nie gniewać, ale tak to właśnie wygląda. Ja wiem. Przeczytałem pańską cholerną książkę wiele, wiele razy i wiem, co jest realne, a co nie. Wiem, że wciska mi pan kit. Wiem też, że magia nie polega na przecinaniu damulek na pół ani na przepowiadaniu przyszłości, ani na zamienianiu coca-coli w 7 upa. Wiem, że chodzi w niej o to, aby dostrzec we wszystkim jakiś wzór. I chcę, żeby mi pan pokazał, jak to się robi.

Welles gapi się na niego. W jego wzroku kryje się ostrzeżenie, którego Stanley nie widział, odkąd po raz pierwszy spotkał się z nim na plaży. Oto nareszcie Welles, z jakim pragnął porozmawiać: Welles z zaryglowanymi drzwiami w swoim domu, Welles ukrywający broń w szufladach biurka.

Przez moment, który zdaje się trwać całą wieczność, ich oczy są ze sobą związane. Potem, bez jednego mrugnięcia, Welles odchyła się na oparcie krzesła i ciężko wzdycha. Splata dłonie za głową. Należą ci się ode mnie przeprosiny, mówi. Istotnie, nie jesteś już dzieckiem. Kres dzieciństwa następuje wówczas, gdy uświadamiamy sobie, że świat jest absolutnie nie do przyjęcia. Mam rację? Bo jest nie do przyjęcia! Zepsuty do szczytu! To padół łez, zadymiona kuchnia, nieustanny

mozół. Co możemy w związku z tym zrobić? Możemy skapitulować. Zrezygnować ze swoich oczekiwań i pogodzić się z tym, co jest. Albo możemy walczyć. Możemy stawiać opór. Stąd, myślę, bierze się nasza potrzeba tworzenia: z głębokiego wewnętrznego obrzydzenia, jakie budzi w nas świat i z doświadczenia życia w nim. Nie mówię bynajmniej o pragnieniu zmieniania czy reformowania świata, tylko o pragnieniu, aby całkowicie go zanegować, zastąpić czymś lepszym, co bardziej by nam odpowiadało. Uświadomienie sobie tego pragnienia stawia nas, rzecz jasna, w zacnym towarzystwie naszych dwóch dobrych znajomych: poety oraz maga.

Welles podnosi się z miejsca, bierze piwo ze stolika i podchodzi do drewnianej balustrady, żeby popatrzeć na ocean. Przyznaję, mówi, że będąc młodym człowiekiem, flirtowałem z ideą poety i maga zjednoczonych w sprzeciwie wobec świata. Wydawało mi się, że nic ich nie różni. Że odpowiednio napisany wiersz może się stać magicznym zaklęciem, które przemieni świat. Później dojrzałem i wiem już, że nie miałem racji. Poeta niczego nie zmienia. Tworzy atrakcyjną alternatywną rzeczywistość i zaprasza innych, aby się w niej schronili. Dzięki temu możemy czasem spojrzeć z góry na naszą szarą, codzienną egzystencję i zobaczyć ją w innym świetle, ale dzieje się tak sporadycznie, więc to nie należy do rzeczy. Poeta trudni się tworzeniem iluzji. Ja jestem poetą.

Dlaczego więc nie zostanie pan magiem?

Bo tak nie można, Stanleyu! To zwykła strata czasu. Gorzej! Można to porównać z sytuacją, gdy dziecko narzuca na siebie koc jak pelerynę i wyskakuje przez okno, przekonane przez telewizję, że potrafi latać. Tak jakby wybrać życie w wierszu, który przestajemy postrzegać jako wiersz. To nie magia, to szaleństwo.

Nie zgadzam się.

W twoim wieku, mówi Welles, prawdopodobnie nawet powinieneś się z tym nie zgadzać. W moim jest już znacznie trudniej. Posłuchaj: nie chciałbym, abyś odniósł wrażenie, że cię lekceważę czy uważam twoje pytanie za niewłaściwe. Uczciwie się nad nim zastanowiłem – wciąż się zastanawiam – i tak brzmi moja odpowiedź. Świat po prostu w ten sposób nie funkcjonuje.

Welles spogląda w dół na podwórko za domem. Łokcie trzyma blisko siebie, dłonie rozstawił szeroko i oparł na drewnianej poręczy. Ciemny zarys jego sylwetki przypomina egipski hieroglif.

A jeśli jest tak, jak pan mówił tamtej nocy? – szepcze Stanley. Jeżeli to wszystko...

Zatacza butelką szeroki krąg, ogarniając okolicę w zasięgu wzroku. Welles stoi plecami do niego, więc tego nie zauważa.

...jeżeli to wszystko nie istnieje naprawdę? Jeśli to tylko odbicie czegoś innego, a gdzieś tam istnieje inny świat?

Welles z początku nie odpowiada. Garbi się lekko, jakby był zmęczony.

Przychodzi ci na myśl jakikolwiek powód, dlaczego miałyby tak być? – pyta.

Po prostu tak czuję, odpowiada Stanley. Czuję, że to możliwe.

Ta wizja wydaje się całkiem prawdopodobna, prawda? I nic dziwnego. Powiem tak: wybierając ją, stawiasz się w bardzo zaszczytnym towarzystwie. Bądź co bądź, właśnie takie oskarżenie Platon wytoczył przeciwko nam, poetom. Że stroimy się w pozory mądrości, naśladujemy to, co samo jest naśladownictwem. I może rzeczywiście tak jest. Kto wie? Może tracimy czas na błahostki, podczas gdy podboju niewidzialnego świata dokonują właśnie współcześni alchemicy w białych kitlach, specjaliści od atomu i inżynierii kosmicznej? Może jesteśmy zwykłymi sentymentalistami: nie potrafimy znieść zbyt dużej dawki realizmu. Twierdzimy, że o niego zabiegamy, ale gdy w końcu się nam objawia i ukazuje nam nasze własne niekorzystne odbicia, wycofujemy się. Uciekamy na nasze wyspy na rzece i lamentujemy niczym Pani z Shalott.

Zabił pan kogoś, panie Welles?

Stanley wciąga powietrze, mruga powiekami. Nie zamierzał zadawać tego pytania, nawet o nim nie myślał. A może?

Na skraju balkonu Welles stoi nieruchomo, w milczeniu. Ledwo zauważalna sztywność przeniosła się z jego łokci na kark. Stanley gwałtownie oddycha, najpierw przestraszony, że powiedział coś niewłaściwego, potem zwyczajnie przestraszony. Sam nie wie, czego się tak boi. Gdzieś w dole świergoli żaba drzewna i nagle słychać w okolicy dziesiątki innych; wcześniej nie zwracał na nie uwagi.

Nie, odpowiada wreszcie Welles. Nikogo nie zabiłem.

Stanleya ogarnia dziwne, trudne do opanowania uczucie, jakby miał zaraz zwymiotować. A ja tak, przyznaje.

Welles odwraca się do niego bokiem, ale wciąż patrzy przed siebie. A więc zabiłeś człowieka, mówi. Rozumiem.

Stanley słyszy własny głos, mówiący: Na świecie znalazłoby się pewnie wielu, którzy powiedzieliby coś takiego tylko po to, żeby zrobić wrażenie. I być może częściowo dlatego panu o tym mówię. Tyle że w moim przypadku to prawda. Kiedy miałem trzyna...

Głos mu się załamuje, milknie. Potem chrząka i zaczyna od nowa.

Kiedy miałem trzynaście lat, mówi, pewien portorykański gówniarz próbował mnie dźgnąć nożem. Złamałem mu rękę żelazną rurką, odebrałem nóż i podciąłem gardło.

Twarz Stanleya płonie, po policzkach ciekną mu łzy. Nie ma pojęcia, skąd się wzięły. Czuje się tak, jakby nic o tym nie wiedząc, nosił w sobie inną istotę: przerażonego dzieciaka, zwiniętego w jego wnętrzościach niczym robak w jabłku.

Welles odwraca się, żeby na niego spojrzeć: odchodzi od barierki, zbliża się powoli ze światłem księżycy we włosach. Nie miałeś wyboru, mówi. Zrobiłeś to

w samoobronie.

Pewnie tak, przytakuje Stanley. Pewnie każdy, kto kogoś zabił, uważa, że się przed czymś bronił. Rok temu zrzuciłem z dachu jednego kolesia. To dwóch, o których wiem. Byli też inni, których mocno pokieraszowałem w bójkach – może także umarli, a ja się o tym nie dowiedziałem. Przed rokiem brałem udział we włamaniu, podczas którego zastrzelono policjanta. Według prawa jego również zabiłem. Głównie z tego powodu musiałem wyjechać z Nowego Jorku.

Welles siada okrakiem na niskim stoliku, twarzą do Stanleya. Chłopak nie podnosi wzroku. Dlaczego mi o tym mówisz? – pyta pisarz. Dlaczego chcesz, żebym wiedział o tych sprawach?

Prawdopodobnie ma pan mnie za mądralę, któremu spodobała się pańska książka, mówi Stanley, i który nabił sobie głowę różnymi głupstwami. Nie winię pana, jeśli pan tak myśli. Na pana miejscu też bym tak myślał. Ale chyba zależy mi, żeby zrozumiał pan, że w swoim życiu widziałem i robiłem różne popaprane rzeczy i cholernie wiele – wybaczy pan – przeszedłem, żeby tutaj dotrzeć. Dlatego tak bardzo chciałbym uzyskać odpowiedzi na swoje pytania, panie Welles. Niewykluczone, że pan ich nie zna. Albo kiedyś je pan znał, ale później wszystko zapomniał. Dużo myślałem o czymś, co mi pan tamtej nocy powiedział – o tym, że książka może wiedzieć więcej niż ten, kto ją napisał – i wydaje mi się, że to dotyczy też pańskiej książki, panie Welles. Moim zdaniem ona wie, że magia, o której mówię, jest naprawdę możliwa.

Welles długo mu się przygląda. Nachyla się bliżej. Przez moment Stanleyowi wydaje się, że pisarz go dotknie, położy mu dłoń na kolanie; nie wie, jak by na to zareagował. Nagle Welles się odzywa.

Ta książka, mówi, jest dla mnie teraz kompletnie niezrozumiała. Napisanie jej zajęło mi dziesięć lat. Mówiłem ci o tym? Zacząłem ją we Włoszech, podczas wojny, będąc jeszcze w stosunkowo młodym wieku. W tym czasie miałem – a przynajmniej tak mi się wydawało – jasną wizję tego, jak ma wyglądać moja praca i jaki kształt ma przyjąć książka. Czuję się tak, jakbym stał na szczycie góry i spoglądał w dół na doliny i lasy, przez które będę w kolejnych dniach wędrował. Wszystko wydawało się takie proste. Naturalnie czym innym jest znaleźć się w środku ciemnego lasu, przedzierać się przez ciernie i ruchome piaski, błądzić po splątanych ścieżkach, bać się wilków, zbójców i Bóg wie czego jeszcze, wiedząc, że nie sięgasz wzrokiem dalej niż kilka metrów naprzód. Zanim skończyłem, zdążyłem prawie całkowicie zapomnieć, dlaczego ją zacząłem, jak miała w zamierzeniu wyglądać i dlaczego w ogóle zainteresował mnie ten temat. Nie myśl, że wykręcam się od odpowiedzi albo ci schlebiam, sugerując, że lepiej ode mnie wiesz, o czym ona jest.

Stanley otwiera usta, żeby odpowiedzieć, lecz Welles znów jest na fali i nie pozwala sobie przerwać; wstaje z miejsca, porzucając na stoliku pustą butelkę.

Widać, że najchętniej zapomnialiby o niedawnym wyznaniu Stanleya. Kiedy przemieszcza się po balkonie, cały dom zdaje się trzeszczeć w posadach.

Nie chodzi o to, że zmienił się mój zamysł książki, ciągnie. Raczej mój stosunek do samego pisania, do tego, co znaczy pisać. Jak już wspomniałem, zarzuciłem wcześniejszą koncepcję wiersza jako magicznego zaklęcia. Zamiast tego przyjąłem nie mniej romantyczne założenie, że poezja ma w sobie coś z uprawiania miłości – to seria gestów, których celem jest doprowadzenie drugiej osoby do spełnienia, orgazmu, szlachetnego uniesienia, a przy odrobinie szczęścia dostarczenie sobie równie przyjemnych doznań. Ostatecznie jednak doszedłem do wniosku, że to nietrafna analogia, a to dlatego, że gratyfikacja drugiej osoby jest odroczone w czasie. W dodatku wszystko odbywa się na dystans i nie jest to doświadczenie wspólne dla obydwu stron. Tobie lektura mojej książki sprawiła swego rodzaju przyjemność, co bardzo mnie cieszy. Ale kiedy trafiła w twoje ręce, zajmowały mnie już inne, nowe kwestie. Jestem zatem zmuszony powtórzyć za Flaubertem, że potrzeba pisania jest zasadniczo pokrewna masturbacji. Onanistyczna. To naturalnie nienowe metafory, ale dosadne i warte rozważenia.

Welles znów staje przy balustradzie, opiera się na łokciach. Stopa w kapciu postukuje o nasadę bejcowanych listewek. Stanley wie, że to jeszcze nie koniec, więc czeka, wycierając twarz żółtym rękawem nowej koszuli.

Dla mnie, mówi Welles, pisanie jest jak sranie. Naprawdę. Udawanie, że jest inaczej, to zwykła głupota. Oczywiście gówno to także nawóz. *Prima materia*. Ale dla srającego gówno jest tylko gównem. Odpowiednio interpretowany, dystans, o którym ci wspomniałem, ten między pisarzem a czytelnikiem – odroczone gratyfikacja – nie wyklucza sukcesu wiersza. W istocie jest niezbędny. Stwierdzam ze smutkiem, że przekonałeś się o tym na własnej skórze. Przeczytałeś moją książkę i w pewien sposób pobudziła ona twoją wyobraźnię. Odnalazłszy jednak jej autora, odkryłeś, że to tłusty burżuj i nadęty pyszałek. Zdałeś sobie sprawę, że – jak to wy młodzi mówicie? – pieprzy jak potłuczony. Nie sposób, aby to spotkanie nie umniejszyło wartości książki. O ileż lepiej byłoby dla ciebie, gdybym pozostał enigmą! O ileż lepiej byłoby, gdyby ta książka mogła pozostać taka, jaką ją sobie wyobraziłeś! Czyż nie jest tak, że dziełami, które najgłębiej nas inspirują i poruszają, są te najbardziej pozbawione formy – najnieodwracalniejsze fekalne? Ponieważ wymagają od nas, abyśmy je uzupełnili, wycisnęli z nich jakiś sens. Ponieważ dzięki nim zawsze spotykamy samych siebie. Z ich chaosu wyłania się stopniowo nasz własny wizerunek, będący wszakże projekcją, a więc nam obcy. I tak to się toczy. Alchemikiem jest czytelnik, nie poeta.

Gardło oraz zatoki Stanleya oczyszczają się i zapach nocy staje się słodszy, bardziej wyrazisty. Nie pamięta już, kiedy ostatnio tak płakał. Na pewno nie po śmierci ojca ani dziadka. Może wtedy, kiedy ojciec wyjechał do Korei. A i wtedy nie zapłakał od razu, tylko później, bez świadków, w samotności. Chcę, odzywa

się, wejść do wnętrza pańskiej książki. Dotrzeć na samo dno. Chcę ją rozerwać na strzępy. Wiedzieć to wszystko, co wie Crivano – i nie obchodzi mnie, czy pan też to wie, czy nie. Chcę, żeby mi pan powiedział, jak to zrobić. Od czego zacząć.

Welles odwraca się, krzyżuje ręce na piersi, opiera się plecami o balustradę, która trzeszczy i ugina się pod jego ciężarem. Przez ułamek sekundy Stanleyowi wydaje się, że listewki pękną i pisarz spadnie, ale tak się nie dzieje. Welles wbija spojrzenie w balkon, marszczy brwi w roztargnieniu, jakby usiłował sobie przypomnieć imiona dawnych szkolnych kolegów.

Potem wsuwa rękę za połę rozpinanego swetra, sięga do przedniej kieszeni koszuli i wyjmuje z niej fajkę. Czekaj, czeka cię sporo czytania, mówi. Na początek naturalnie cały *Corpus Hermeticum*. Poza tym *Picatrix* oraz *Tabula Smaragdina*. Platon i Plotyn, aby umiejscowić tradycję w odpowiednim kontekście: Crivano z pewnością znał oba te dzieła. Kluczowe postacie to Marsilio Ficino i Pico della Mirandola. Kto jeszcze? Na pewno Abulafia. Llull. Reuchlin. Trithemius. Agrippa. Cardano. Oczywiście Paracelsus. Możesz też zajrzeć do Johna Dee i Roberta Fludda, chociaż to współcześni Crivana, więc nie mógł znać ich prac.

Wszystko to są bardzo stare książki, prawda? – upewnia się Stanley.

Owszem. Pamiętaj, że Crivano żył u schyłku szesnastego wieku. Powinienem cię uprzedzić, że większość tekstów wymienionych przeze mnie autorów może być niedostępna w angielskim tłumaczeniu, a jedynie po łacinie lub w różnych niemieckich bądź włoskich dialektach. Niewykluczone, że do niektórych w ogóle nie zdołasz dotrzeć.

Czy ktoś jeszcze zajmuje się dzisiaj takimi rzeczami? Mam na myśli magię?

Z kieszeni spodni Welles wyjmuje pudełko z tytoniem i nieśpiesznie nabija fajkę. Kończy i zapala, ubija zawartość fajki i dokłada kolejną szczyptę tytoniu, napowietrzając go podobnym do igły specjalnym przyrządem.

Ależ tak, odpowiada. Ludzie wciąż się tym zajmują.

Stanley nie spuszcza wzroku z jego twarzy. Rechot żab staje się wręcz ogłuszający – przypomina jazgot tamtej orkiestry smyczkowej, której nagranie słyszeli z Claudiem na dole zaraz po przyjeździe. Kto? – pyta. Kto się tym zajmuje?

Błyska kolejna zapalka i jej płomień odbija się w szklach Wellesa. Nad jego głową unosi się gryzący dym. Tutaj, w południowej Kalifornii, mówi, znajdziesz ich bez większego wysiłku. Wyznawców teozofii i różokrzyżowców, jak również zwolenników dianetyki, Nowej Myśli, Nauki Umysłu, chociaż raczej bym ci to odradzał. W istocie poszukiwania współcześnie praktykujących magię mogą się okazać zupełnie zbędne. Jak sam się przekonałem, kiedy zbierałem materiały do książki: prędzej czy później oni sami siebie znajdą.

Uważa pan, że rozmowa z nimi to strata czasu?

Kiedy zbliżysz się do poznania tradycji, z łatwością odróżnisz szarlatana od zwykłego szaleńca. Przypuszczam, że są wśród nich ludzie poważni, z dużą

wiedzą, lecz tacy zwykle trzymają się z boku. Również ich zainteresowania oscylują raczej wokół industrialnej abstrakcji i popularnego nurtu fantastyki naukowej niż zakurzonych traktatów alchemicznych z czasów renesansu. Może nie uwierzysz, ale z jednym z takich ludzi miałem okazję pracować w Aerojet Corporation. Nazywał się Jack Parsons. Nie miałem pojęcia o jego szelmostwach aż do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku, kiedy to nieopatrznie wysadził się w powietrze przy użyciu dużej ilości piorunianu rtęci. Okazało się, że przez lata wieczorami oraz w weekendy praktykował magiczne rytuały, przyzywając ladacznicę babilońską, żeby spłodzić czarci pomiot. Zważ przy tym, że dżentelmen ów był jednym z założycieli Laboratorium Napędu Odrzutowego. A więc tak: niektórzy nadal uprawiają magię.

W głosie Wellesa pobrzmiewa napięcie – fałszywa nuta – lecz Stanleyowi nie przychodzi do głowy żadne pytanie, przy pomocy którego mógłby zdemaskować pisarza. Wciąż jest rozdygotany, wkurzony na siebie za to, że się rozkleił. Ta lista nazwisk, które mi pan podał, mówi. Nie spamiętam wszystkich. Mógłby je pan zapisać?

Ależ oczywiście. Oczywiście. Z największą przyjemnością.

Stanley podnosi butelkę i dopija piwo. Po ostatnim łyku jego żołądek fika koziółka; robi mu się niedobrze. Pewnie uważa mnie pan za cholernego głupca, rzuca. Mam rację? Dlatego, że chcę to wszystko wiedzieć.

Welles wyjmuje fajkę z ust i powoli wytrząsa jej zawartość. Skądże, mówi. Wręcz przeciwnie. Widzę, że przeżywasz trudny okres. Nie znam cię zbyt dobrze, ale wierzę w ciebie. Pokładam w tobie zaufanie. Dlatego ja i Synnøve chcielibyśmy ci jak najlepiej pomóc.

Stanley znów czuje napływające do oczu łzy, sam nie wie dlaczego; nie jest też pewien, czy są szczere, czy tylko udawane. Przypomina mu się napad z bronią w rękę, w którym dwa lata wcześniej brał udział: on i pozostali mieli na twarzach zrobione z gazy maski na Halloween. Wspomina, jak się czuł, kiedy przystawił upokorzonemu strażnikowi lufę do głowy i spojrzał mu prosto w oczy, wiedząc, że tamten widzi jedynie wstrętną twarz płaczącego klauna. Teraz Stanley czuje się tak samo – wszechwładny, a zarazem zawstydzony – tyle że tym razem maska tkwi w jego wnętrzu i nie ma nad nią żadnej kontroli.

Będę z panem szczery, mówi. Nie myślę o sobie tak, jak pan o sobie myśli. Chodzi mi o to, dlaczego robię różne rzeczy. Nigdy nie było tak, żebym zupełnie nie wiedział, jak postąpić. Dlatego też nigdy nie było takiej sytuacji, w której musiałbym się zatrzymać i pomyśleć. Czasami wydaje mi się, że niegłupio byłoby to zrobić, ale nie wiedziałbym nawet, jak się do tego zabrać. Zaczyna mnie to przerażać, bo ostatnio mam wrażenie, że zmieniam się sam nie wiem w co.

Welles milczy, pyka nerwowo fajkę. Wkrótce jej zawartość spala się na popiół. Może pocieszysz cię fakt, mówi, że nie martwię się o ciebie.

Ja też nie martwię się konkretnie o siebie. Martwi mnie cała reszta. Czasami czuję, że nie pasuję do tego świata.

W gardle Wellesa wzbiera głęboki śmiech. Śmiem twierdzić, że znam to uczucie, oznajmia.

Zaraz mi pan powie, że kiedyś z tego wyrosnę.

To całkiem możliwe. Chociaż mam szczerą nadzieję, że tak się nie stanie.

Welles podchodzi powoli do Stanleya i swoją wielką łapą chwyta go za ramię. Świat, który nam dano, jest tandetny i głupi, mówi. Nie waż się na niego godzić, kurwa. Stwórz swój własny świat.

Prostuje plecy i wkłada fajkę w zęby. A teraz powiedz, rzuca. Nie zapomniałeś przynieść książki?

Nie, proszę pana. Jest na dole, w kieszeni mojej kurtki.

No to biegnij po nią. Ja tymczasem spiszę ci listę nazwisk.

Schodząc, Stanley ma wrażenie, że słyszy dolatujący skądś głos Synnøve, nucącej sobie bez słów. Nie rozgląda się jednak. Otwiera szafę w sieni, wyjmuje z kieszeni *Złodzieja luster* i wraca na górę po schodach.

Welles włączył stojącą na biurku lampę; światło sączy się spod nieprzezroczystego, zielonego klosza. Gdy Stanley się zbliża, Welles teatralnym gestem podnosi z biurka kartkę, na której pisał i wręcza mu ją. To powinno cię na jakiś czas zająć, mówi. Mogę?

Stanley podaje mu książkę, bierze do ręki kartkę i przygląda się jej w słabym świetle lampy: widzi długą kolumnę cudzoziemskich nazwisk, zapisanych równo w jednakowych odstępach jakby odmierzonych linijką. Charakter pisma jest wyrobiony, ale ściśnięty i niewyraźny; Stanley wie, że nielecho się namęczy, żeby go odcyfrować.

Kiedy podnosi wzrok, Welles z wiecznym piórem w dłoni pochyla się nad otwartą książką. Nagle nieruchomieje, a na jego twarzy odmalowuje się wyraz zaskoczenia. No tak, odzywa się Stanley. Zapomniałem panu powiedzieć. Ktoś coś napisał w moim egzemplarzu. Jak już mówiłem, jest używany. Nigdy nie udało mi się odczytać tej dedykacji.

Welles zaczyna się śmiać. To dziwny śmiech: odrobinę histeryczny, smutny i wymuszony. Ach, wzdycha. Nareszcie wszystko zaczyna mi się układać. Mówiłeś, że gdzie się natknąłeś na tę książkę?

Na Lower East Side. Należała do złodzieja, który trafił do paki na Rikers Island.

Wiesz może, jak się nazywał?

Stanley wzrusza ramionami. Wszyscy mówili na niego Hunky. Nigdy go nie poznałem.

Hmmm, mruczy Welles. W takim razie masz ją – policzmy – przynajmniej z trzeciej ręki. Pozwól, że przeczytam ci tę dedykację: „Drogi Alanie – aha, widzę,

że zrobiłem tu literówkę – oddaję honor twojej nagiej odwadze. Z poważaniem, Adrian Welles”.

Och.

Podarowałem ją pewnemu poecie, który dwa lata temu tędy przejeżdżał. Młodemu samozwańczemu wizjonerowi. Taki Blake przefiltrowany przez Whitmana. Wydaje mi się, że to Larry Lipton zaprosił go do nas z San Francisco. Podczas wieczorku poetyckiego wdał się w sprzeczkę z kimś z widowni i chcąc zademonstrować...cokolwiek – swoją autentyczność, zaangażowanie, sam nie wiem co – rozebrał się do rosołu. Pamiętam, że ów gest zrobił na mnie wówczas spore wrażenie.

Welles zamyka książkę i odsuwa się, żeby wyciągnąć szufladę z biurka. Wiesz co? – mówi. Ten egzemplarz jest dość mocno sfatygowany. Mam tu inny, praktycznie nietknięty. Pozwól, że je zamienię...

Stanley szybko kładzie dłoń na książce. Jeżeli nie robi to panu różnicy, mówi, wolałbym zatrzymać ten.

Spojrzenie Wellesa sunie po ramieniu Stanleya i pada na jego twarz. We wzroku pisarza odbija się coś na kształt przykrości. Zaraz jednak znów się uśmiecha.

Wstaje, trzymając w ręku metalową linijkę. Odkłada ją na blat i z górnej szuflady biurka wyjmuje brzytwę. Ponownie otwiera książkę, wsuwa do środka linijkę i jednym błyskawicznym ruchem odcina stronę z dedykacją. Mięśnie Stanleya napinają się; w pierwszej chwili chce skoczyć na Wellesa i chwycić go za rękę. Potem uświadamia sobie, że w sumie nic go to nie obchodzi. Dobrze, że pozbył się tego wpisu.

Welles otwiera stronę tytułową i ponownie bierze do ręki pióro. Podczas gdy stalówka skrobie papier, oczy Stanleya błędzą po pokoju: omiata spojrzeniem góry książek, masywne biurko, ciężkie zaryglowane drzwi. Chwilę później Welles dmucha na atrament, żeby szybciej wysechł, i wkłada otwartą książkę Stanleyowi do ręki. Tym razem starałem się pisać wyraźniej, mówi. Dasz radę odczytać?

Pewnie, mówi Stanley. W większości.

To cytat z Rogera Bacona, trzynastowiecznego angielskiego maga.

Okej. Co to znaczy?

Welles zatyka pióro skuwką i gasi lampę. To znaczy, że cieszę się z naszego spotkania, odpowiada. Naprawdę bardzo się cieszę.

Bierze fajkę i rusza w kierunku drzwi balkonowych, lecz tym razem Stanley nie idzie za nim. Stoi przy biurku z książką w dłoni i wzrokiem utkwionym przed sobą. Dziękuję panu za wszystko, mówi. Serio. Ale na mnie już pora.

Na dole zakłada kurtkę, Synnøve zaś robi wszystko, żeby go zatrzymać. Mam w atelier rozkładane łóżko, mówi, słowo daję, całkiem wygodne. Stanley jednak czym prędzej wychodzi; przyjmuje całusa w policzek i odwzajemnia się

niezgrabnym uściskiem. Zaczekaj! – prosi jeszcze Synnøve. Nie zabierzesz wiader?

Prawdę mówiąc, nie są nasze, wyznaje Stanley.

Welles odprowadza go ścieżką do furtki. Co mam przekazać twojemu przyjacielowi, kiedy wrócą z Cynthią z kina? – pyta.

Wie, gdzie mnie znaleźć. Proszę się tym nie kłopotać.

Welles wyciąga rękę. Stanley ją ściska, a wtedy pisarz przygarnia go do siebie i mocno przytula. Na jedną krótką chwilę chłopak zawisa w powietrzu z uchem przyciśniętym do piersi Wellesa; wdycha gryzącą woń fajkowego dymu, nasłuchuje dobiegających z wnętrza głuchych uderzeń. Potem Welles go puszcza.

Stanley wychodzi na ulicę, odwraca się. Proszę pana! – woła.

Tak?

Kiedy przed dwoma dniami spotkaliśmy się pierwszy raz na plaży, coś pan wtedy do mnie powiedział. Co to było?

Welles oddala się wolnym krokiem, dochodzi do schodków przed gankiem. Dopiero wtedy odwraca się i opiera o drewnianą kolumnkę. Obawiam się, że nie pamiętam, mówi.

To było coś w obym języku, próbuje Stanley. Dwa razy pan to powtórzył.

Na tle otwartych drzwi Welles jest ciemną, pozbawioną rysów sylwetką. Za nim stoi jego żona; wygląda na senną i zasmuconą. W szklach okularów pisarza pojawiają się dwa jasne punkciki. Stanley nie wie, co za światło się w nich odbija.

Przykro mi, mówi Welles. Widocznie moja wymowa była tak niechlujna, że zabrzmiało to z cudzoziemska. Jestem pewien, że zwracałem się do ciebie wyłącznie po angielsku. W dodatku, jak widać, niewyraźnie. Przepraszam.

Stanley kiwa głową. W porządku, mówi. Dobranoc panu.

Dobranoc, Stanley.

W drodze powrotnej na deptak, jakieś dwa domy dalej, Stanley mija zachwaszczone podwórko z kotem. Zwierzę trzyma coś w pysku: zapiaszczony rybi łeb, za którym ciągną się fragmenty wnętrzości. Kot przygląda się Stanleyowi szklistymi zielonymi ślepiami. Chłopak zaciska szczęki i już ma wymierzyć zwierzakowi kopniaka w czaszkę, ale w ostatniej chwili rezygnuje. Kot przypada do ziemi, kładzie uszy po sobie i zwiewa przez trawę pod ganek. Stanleyowi znowu zasnuwa się wzrok; w gardle go drapie, oddech robi się ciężki.

Ogląda się przez ramię na balkon Wellesa, ledwie widoczny przez gęsty żywopłot ze spiczastych krzaków jałowca. Przy barierce majaczy ciemna postać – to z pewnością Welles, chociaż trudno powiedzieć, czy obserwuje Stanleya.

Ty kłamliwy sukinsynu, syczy przez zęby Stanley.

Kiedy nazajutrz budzi się w kryjówce na Horizon Court, Claudia wciąż nie ma. Stanley siada, przeciera oczy, rozgląda się. Może młody pukał w nocy, a on tego nie słyszał? Potem przypomina sobie wczorajszy wieczór – Cynthię i jej zabojadzki film, Synnøve z jej rozkładanym łóżkiem – i już się domyśla, gdzie jest Claudio.

Znowu się kładzie i nakrywa kocem. Usiłuje się nie wkurzyć i prawie mu się to udaje. Młody to mięczak – jasne, że przyjął propozycję noclegu. Trudno go za to winić. Stanley sam do końca nie wie, dlaczego w takim pośpiechu opuścił dom Wellesa. Po części wstydził się swojego łzawego występu, to na pewno. Po części dlatego, że rozmowa przestała mu się opłacać. Ale był jeszcze inny powód: trudny do zdefiniowania niepokój, poczucie niejasnego zagrożenia, narażenia czegoś na szwank. Próby dookreślenia go wprawiają Stanleya w smutek, a smutek zawsze go męczył.

Ponownie budzi się późnym rankiem; nie wie dokładnie, która jest godzina. Claudia nadal nie ma. Stanley zaczyna się czuć tak, jakby źle obstawił: pula jest zbyt mała, karta za długo nie przychodzi. Odrzuca koc, czyści zęby, popija wodę z ojcowskiej manierki. Podarowana mu przez Wellesa lista nazwisk ciągle tkwi w przedniej kieszeni nowej koszuli; Stanley wyjmuje ją, rozkłada na ladzie w pomieszczeniu od frontu i co jakiś czas zerka na nazwiska, nie przerywając ubierania. Równie dobrze mogłaby być napisana po chińsku. Fakt: czasami trudno mu powiedzieć, na co konkretnie liczył, jadąc tu przez cały kraj, ale z pewnością nie na to, do cholery. Welles znowu go okpił – wymknął się niczym jedno z tych śliskich podwodnych stworzeń, pozostawiając Stanleya w chmurze atramentu.

Rozmyśla o długim spacerze odbytym z Wellosem tej nocy, kiedy się spotkali, i o bełkocie serwowanym przez całą drogę. A jeśli pisarz chciał w ten sposób odwrócić jego uwagę? Może sekret nie tkwił w słowach Wellesa, tylko w rytmie jego kroków, w trasie, jaką wybrał pośród tamtych kanałów? Stanley przypomina sobie słowo, które widział owej nocy na tabliczce z nazwą ulicy, słowo, które wciąż do niego powraca: RIALTO. Co to może oznaczać? W *Złodzieju luster* Rialto to miejsce, dzielnica nawiedzzonego miasta; nie jest z nim tożsama, ale też nie do końca odrębna. To słowo coś mu wskazuje. Tylko co?

Może coś z historii, chociaż Stanley w to wątpi. Historia to po prostu jeszcze więcej książek; sekret, którego szuka, nie ma nic wspólnego z książkami. Albo istnieje fizycznie – ukryty gdzieś na świecie – albo nie warto go poznawać. Najbardziej zbliżył się do niego podczas tamtego spaceru: kiedy zaskoczony Welles próbował się tłumaczyć opowieścią o mieście. Napisał tę książkę, to fakt, ale miasta nie zbudował. To ono stanowi klucz. Stanley musi w nie wniknąć,

jeszcze raz się rozejrzeć.

Sznuruje trzewiki i ostrożnie wymyka się na ulicę. Jednym z powodów, dlaczego ma taki pieski nastrój, jest ciśnienie: chociaż niebo rozpościera się czyste, Stanley czuje nadciągający ponownie deszcz. Kiedy skręca na deptak, dopada go kwaśna woń – dziwnie znajoma, współgrająca z zapachami dolatującymi z pola naftowego – i przypomina sobie, że zapomniał zmienić opatrunek na nodze. Samo myślenie o tym przywołuje ból, więc zwalnia, czując, że kręci mu się w głowie. Ostatni raz przemywał ranę wczorajszego popołudnia, w łaźni w Santa Monica. Wtedy wyglądała całkiem nieźle; teraz nie jest już tego taki pewien. Zastanawia się, czy nie zawrócić do kryjówki, ale dochodzi do wniosku, że te parę godzin jakoś wytrzyma.

Nad wodą wybiera miejsce z widokiem na deptak, żeby usiąść i spokojnie pomyśleć. Po chwili, gdy ulice i budynki nie chcą mu niczego zdradzić, odwraca się, żeby dla odmiany popatrzeć na ocean. Słońce ma teraz dokładnie nad głową; woda jest przejrzysta i granatowa. Od czasu do czasu kątem oka dostrzega garbiki śmigające na dnie między skałami; przypominają zagubione wśród fal dojrzałe mandarynki z Riverside.

Z kieszeni dzinsów wyciąga listę Wellesa i ponownie ją odczytuje, nazwisko po nazwisku, dumając nad każdą literą, której nie jest pewny. Jedno zna już z książki – to naturalnie Hermes Trismegistos – lecz cała reszta przypomina bełkot. Stanley wpatruje się w nie w nadziei, że ożyją na stronie i rojąc się na podobieństwo stonóg, przybiorą inny, bardziej zrozumiały kształt. Nie mija wiele czasu i dopada go potworny ból głowy, lista zaś nadal prezentuje się równie enigmatycznie jak wcześniej.

Stanley składa ją, chowa do kieszeni i rusza bosy na północ brzegiem oceanu, blisko fal. Trwa odpływ. Plaża jest szeroka, płaska i gładka, upstrzona tu i ówdzie wyrzuconymi na brzeg żyłkami, za którymi na podobieństwo ogona komety ciągną się prowadzące aż do wody ślady: są tam chełbie modre i niebieskie meduzy z gatunku *Velevella velevella*, muszle pobrzeżki pospolitej i małży nożeńców, obrzydliwe brązowe puste jaja płaszczek i całe kłęby żółtych krasnorostów ściąganych z powrotem przez fale. Kiedy chłopak zawraca w stronę lądu i podcieni biegnących wzdłuż deptaka – gdzie pod salonem Fortune Bridgo tkwi dwóch nieruchomych pijaków, dobrze ubrany wiekowy Żyd niesie futerał na skrzypce, a kobieta z wózkiem ciągnie za sobą dziecko z białym balonikiem w rączce – jego stopa natrafia na coś twardego, zagrzebanego w piasku i Stanley schyla się, żeby to sprawdzić.

Trzyma w ręce czaszkę przedziwnego ptaka: długości przedramienia, z jasnobrązowym dziobem i wielkimi, pustymi oczodołami. Ziarnka piasku podziurawiły i oszlifowały dziób, przyozdobiony mniej więcej w połowie pojedynczą naroślą pąkli. Stanley dokładnie bada czaszkę, po czym spogląda na

pozostawione przez nią zagłębienie w piasku. Wybrzuszony z jednej strony i zwężający się z drugiej przypomina literę jakiegoś starożytnego alfabetu. Pofałdowany przez fale piasek dookoła otworu wydaje się jednolicie zwarty i czysty, choć kto wie, co jeszcze się w nim kryje.

Stanley schyla się i haczykowatym dziobem kreśli na gładkiej plaży głęboką krechę. A potem jeszcze jedną – dłuższą i zakrzywioną – równoległą do pierwszej. Ułożone obok zagłębienia po czasie wyglądają jak przekaz w jakimś nieznanym Stanleyowi języku, którego znaczenia nie potrafi odgadnąć. W *Złodzieju luster* Crivano pisze na piasku, przyzywając księżyc, który wstaje i z nim rozmawia. Książka w żadnym miejscu nie wyjaśnia, o jakie znaki chodzi. Prawdopodobnie Welles sam tego nie wiedział. Ale książka wie.

Stanley znowu się schyla, żeby wyryć w piasku głębokie koleiny. Myśli o swoim dawnym mieszkaniu na Division Street: o białej ścianie na wprost posłania, na którą jego wzrok padał co ranka zaraz po przebudzeniu. Jakżeż nienawidził tej przekłętej ściany! Wielokrotnie błagał matkę, żeby poprosiła dziadka o zgodę, aby coś na niej zawiesić – amulet chroniący przed „złym okiem”, jakiś obrazek, cokolwiek – lecz nie chciała. Ściana zdawała się stale go obserwować, a zarazem całkowicie go ignorować. W końcu Stanley miał dosyć. Przez jakiś czas rozważał zniszczenie białej płaszczyzny przez wypisanie na niej swojego imienia, ale już wtedy nie chciał się z nim utożsamiać, już wtedy pragnął je porzucić. Ostatecznie napisał: GÓWNO, najgorsze słowo, jakie wtedy znał. Chciał oślepić ścianę, żeby ta nigdy więcej go nie osądzała. Kiedy teraz o tym rozmyśla, przypominają mu się odciski stóp oraz dłoni na dziedzińcu Teatru Chińskiego Graumana i uśmiecha się na to wspomnienie. Prostuje plecy, przeciąga się i ciska ptasią czaszkę z powrotem do oceanu.

Przez długi czas spaceruje po mokrym piasku, zerkając to na deptak, to na wodę. Jego cień wędruje przed nim. Niemal wszystko, co widzi po wschodniej stronie, zostało wzniesione ręką człowieka, w przeciwieństwie do tego, co znajduje się na zachodzie; między jednym a drugim zaś jaśnieje pusty bezmiar plaży. Nad głową Stanleya przelatuje mewa, niosąc w dziobie wygiętą w łuk księżycówkę. Stanley myśli o zamieszkujących ocean rybach i zastanawia się, jaka siła wyciąga je z wody na ląd – i czy one same są jej świadome, czy zdarza się, aby kiedykolwiek któraś z nich się wycofała, postanowiła nie brać udziału w tej imprezie i pozostała w głębinach, dumna i samotna.

Gdy dochodzi do mola z uśpionym wesołym miasteczkiem w Ocean Park, dostrzega wędrującego plażą Charliego. Ubrany jest jak biznesmen – w białą koszulę, jedwabny krawat, marynarkę, luźne spodnie oraz fedorę – ale nie ma butów ani skarpetek, a nogawki jego spodni są podwinięte do kolan, co nadaje mu dość niechlujny wygląd. W jednej ręce trzyma zwinięty w rulon papier, w drugiej butelkę. Idzie zygzakiem po piasku. Ej! – woła. Serwus, Stanley! Bwana Lawrence

właśnie o ciebie pytał!

Serwus, odpowiada Stanley i unosi w górę dłoń. Kto taki?

Bwana Lawrence. Lawrence Lipton. Jak herbata w torebkach Liptona. Ten modny elegancik. Przecież wiesz, o kogo chodzi, stary. Mówił, że spotkaliście się ostatnio na koncercie jazzowym.

Stanley mruży powieki, osłania oczy ręką. Taki starszy gość? – pyta.

Starszy gość! Zgadza się. Ale jaki gość! Larry to najgrubsza z makreli, jakie tu pływają, główny pomysłodawca tych koncertów. Stary drań zna się na jazzie jak mało kto. I pragnie cię poznać.

Dlaczego?

Z powodu swojej książki. Słyszałeś o jego *Księdze młodości*, prawda? O tym monumencie nieśmiertelnego intelektu?

Stanley kręci głową.

Nagrywa nas, wyjaśnia Charlie. Wszystkich po kolei. Píše książkę o tym, co się tutaj dzieje.

Stanley spogląda na Charliego, kręci się, próbując ukryć twarz w cieniu. Musi być już po trzeciej. W porządku, mówi. A co takiego się tutaj dzieje?

Och, dezafiliacja i ponowna afiliacja. Dedykowane ubóstwo. Ostatni przyczółek obrony przed Molochem. A do tego sporo trawy i rzadkie kąpiele. Całkiem nowy styl życia. Zależy, kogo zapytać. Larry chce zapytać ciebie.

Dlaczego akurat mnie?

Charlie z szerokim cwaniackim uśmiechem pociąga łyk z butelki. Bwanę Lawrence'a interesuje twoja indywidualna perspektywa, mówi. *Id est*, dlaczego pewien zawzięty gówniarz uparł się przejechać cały kraj, żeby spotkać nikomu nieznanego poetę. *Id est*, w okolicy rozeszły się pogłoski o twojej wizycie u starego doktora Jakmutam. Jeśli mam być szczerzy, to Larry jest chyba zazdrosny.

Tak? A co ja będę z tego miał? – chce wiedzieć Stanley.

Będiesz z tego miał darmową wyzerkę, ot co, wyjaśnia Charlie. I w dodatku nie będziesz musiał kraść, żeby się najeść. Pewnie połowa z tych, którzy gadają z Larrym, robi to dla żarcia, a potem obmawia go za plecami. Prawdę mówiąc, to trochę obrzydliwe. Zawsze im powtarzam: tak wygląda prawdziwy pisarz, więc możecie sobie wsadzić te swoje romantyczne brednie. Larry wydaje powieści. Píše scenariusze dla kina i telewizji. Trzeba przyznać, że nie zawsze udane. I nie zawsze subtelne. A jednak wybrał to miejsce. Nie przywiało go tutaj jak większości z nas. Wierzy, że Molocho to realne zagrożenie i przybył tu, aby mu się przeciwstawić.

Od strony deptaka dobiega przenikliwe zawodzenie – płacz dziecka. Na piasek pada cień czegoś niedużego i okrągłego. Stanley zadziera głowę w samą porę, aby dostrzec przelatujący biały balonik wypełniony helem, który zaraz niknie w słonecznym blasku. W podcieniach stoi kobieta z wózkiem i pochylona tłumaczy

coś lamentującemu dzieciakowi. Nie słyhać, co mówi, bo płacz malca wszystko zagłusza. No cóż, odzywa się Stanley, dzięki za wiadomość. Skontaktuję się z nim.

Zachowanie Charliego drastycznie się zmienia. Wargi poruszają się jak u królika, spod opalenizny wyziera chorobliwa bladość. Larry rozgryzł Molocha, mówi. Rozumie, jak on działa i czego chce. Larry uważa, że Molochowi można wykraść język i wykorzystać go przeciwko niemu. Nie jestem pewien. Myślę, że ten język jest już na dobre zawłaszczony. Widziałem Molocha, wiesz? Widziałem go na tym świecie. Jeśli się wie, nietrudno go rozpoznać. Widziałem go, będąc jeszcze dzieckiem, w bostońskiej bibliotece. Na złocistej mozaice na ścianie. Miał rogi jak byk. I zaciśnięte gorejące pięści. Potem widziałem go w Europie. Spoglądałem z wieżyczki strzelniczej bombowca i on tam był. Wśród ogni piekielnych przyjmował krwawą ofiarę. Podobno przyszedł zgładzić nadliczbowe dzieci, a to znaczy, że wkrótce będzie wszędzie. Możesz do znudzenia powtarzać sobie wszystkie socjologiczne mądrości: ja mówię o autentycznym demonie. Demonie, który karmi się biernością i strachem.

Dzieciak na deptaku tupie nogami w napadzie szału i wrzeszczy, jakby go mordowali; niemowlę w wózku także zaczęło płakać. Stanley przestępuje z nogi na nogę, skrępowany i zniecierpliwiony jednocześnie. Palcem wskazuje papierowy rulon w ręce Charliego. Co tam masz?

Przez chwilę Charlie nie wie, o co chodzi. Potem rozpromienia się; oddaje Stanleyowi butelkę i rozwija rulon. Mój pożegnalny prezent dla Alexa, wyjaśnia. Widzisz?

To afisz reklamujący projekcję filmu *Kowboj* z Glennem Fordem i Jackiem Lemmonem w rolach głównych. Podłużny, żółty plakat przedstawia obu w strojach kowbojskich: ten na pierwszym planie jest wielki, ten w tle – malutki. Stanley nie pamięta, który aktor jest który. Nie mieści mu się w głowie, że ktoś mógł nakręcić film pod równie nudnym tytułem. Hasło na plakacie głosi: „Prawdziwy Zachód to prawdziwa frajda!”.

Ładny, chwali afisz Stanley. Alex lubi westerny?

Charlie zwija plakat, odbiera Stanleyowi butelkę i szczerzy zęby w uśmiechu. Skąd, stary, mówi. Podejrzewam, że w ogóle go nie obchodzą.

Pociąga kolejny łyk. Kobieta z wózkiem uderza zawodzące dziecko w twarz i malec od razu milknie. Stanley słyszy wreszcie dobiegający zza swoich pleców szum fal; przypomina odgłosy dalekich fajerwerków. Będę się zbierał, rzuca. To na razie.

Konieczniesz zajrzyj do Larry'ego Liptona! – woła za nim Charlie. Najesz się za darmo!

Stanley się nie odwraca. Rusza w stronę deptaka, obierając kurs na salon, w którym dwie noce wcześniej w oczekiwaniu na połów ryb grali na flipperach. Przez chwilę zastanawia się, czy Claudio dotarł już do ich kryjówki – czy się

dobrze bawił, skubany, i czy głowi się teraz, gdzie jest Stanley – po czym odsuwa od siebie te myśli. Deptak zdążył się tymczasem zapełnić różnymi typkami ściągającymi do miasta w weekendy: łowcami skarbów z wykrywaczami metali, szacownymi wielbicielami Lawrence’a Welka, oficerami niższego stopnia i ich dziewczynami. Za kilka godzin słońce zajdzie, wytoczy się księżyc i wszyscy ci ludzie znikną, ustępując pola okolicznym wilkołakom.

Salon z automatami do gry tętni życiem, ale w środku nie ma tłoku. Stanley liczy, że natknie się na członków gangu – chciałby ruszyć z miejsca sprawę prochów dla Alexa – ale wokół widać same żołnierskie fryzury, ani jednego kaczego kupra czy przylizanych brylantyną włosów. Dziwne, myśli Stanley. Pewnie później się pokażą.

Rozgląda się po flipperach do gry w Domino, Hayburner, Meat Ball, Dreamy, ale nic go nie kusi. W kącie znajduje rząd przedpotopowych mutoskopów na monety pięciocentowe, na których można oglądać ruchome obrazki erotyczne. Na ścianie powyżej widnieje odryśowany od szablonu napis: TYLKO DLA DOROSŁYCH – KORZYSTANIE PRZEZ DZIECI ZABRANIONE. Ostrzeżenie nie trzyma poziomu – w stosunku do linii cegieł jest przesunięte o dobrych kilka stopni. Stanleya generalnie nie ciągnie do pornografii, ale nie lubi, gdy czegoś mu się zakazuje. Podchodzi do mutoskopu i wrzuca do środka monetę.

Obrazki go nie zaskakują, są może trochę bardziej obleśne niż zwykle: ARTYSTA W SWOIM ATELIER, brzmi tytuł pokazu. Stanley przykładła oko do okularu – musi wspiąć się odrobinę na palce – i kręci korba. Każdemu obrotowi – gdy korba znajduje się mniej więcej na godzinie szóstej – towarzyszy głuchy łoskot, w miarę jak walec przesuwając kolejne fotografie. Brodaty malarz dotyka pędzlem palety i pacnięciami nakłada farbę na płótno; nagie ciało jego modelki w strategicznych miejscach przesłania biała tkanina. Stuk, stuk, stuk – trwa to przez jakiś czas. Modelka ma rumieńce, kręcone włosy i góra dwadzieścia lat. Czyli dzisiaj dobiegałaby co najmniej pięćdziesiątki. Stoi nieruchomo i mruga powiekami, przyciskając do piersi cienką zasłonę. Naraz malarz odrzuca na bok pędzel i paletę, przypada do dziewczyny i bierze ją w objęcia; jednocześnie drzwi za jego plecami otwierają się i wbiega przez nie narzeczony modelki. Opadająca zasłona na ułamek sekundy odsłania jej sutki. Taśma kończy się z głośnym stuknięciem. Od początku do końca całość trwała może minutę.

Stanley odsuwa twarz od okularu, opuszcza pięty na podłogę i rozgląda się wokół siebie. Nikt zdaje się nie przejmować, że korzysta z mutoskopu. Może mają go za starszego, niż jest, chociaż podejrzewa, że podobną obojętność wzbudziłby w tym miejscu widok dzieciaka usadowionego na wysokim krzeselku przed jednym z tych automatów. Napis na ścianie powstał na użytek glin, nie klientów. Nuda daje o sobie znać i Stanley przerzuca się na kolejny pokaz.

Tym razem tytuł brzmi: KSIĘŻNICZKA RADŻA. Bohaterką jest arabska

„księżniczka” w cudacznym stroju, która wije się w tańcu brzucha, a następnie podnosi w zębach drewniane krzesło. Stanley nie uważa się za znawcę arabskich księżniczek ani ich tańców, ale pokaz robi na nim wrażenie żalosnej tandety.

Kolejny mutoskop żąda od niego dziesięcio-, a nie pięciocentówki i Stanley już chce zrezygnować, gdy jego uwagę zwraca tytuł: KĄPIĄCA SIĘ BOGINI, czyta. W KOLORZE!

Jego dziesięć centów ląduje z cichym brzęknięciem na niewidocznej stercie innych monet i zaczyna się pokaz: gładkolicy młodzieniec w todze podpatruje zza krzaków pływającą w stawie kobietę. Nad wodę wystaje wyondulowana głowa, białe ciało jest tylko niewyraźnym zarysem pod powierzchnią. Fotografie zostały starannie ręcznie pokolorowane: policzki postaci są różowe, liście zielone, a woda niebieska. Bogini wychodzi z kąpeli ociekając wodą – przez moment widać jej goły tyłek – po czym odwraca się przodem do widza i ściąga z gałęzi ręcznik, żeby osuszyć piersi. Koleś w krzakach dygocze w ekstazie, gapiąc się na nią z otwartymi ustami. Bogini słyszy go; jej twarz wykrzywia grymas oburzenia i wściekłości. Gniewnie wyciąga ramię w jego stronę, on zaś eksploduje w obłoku żółtego dymu. Rozlega się stukot: to już koniec.

Stanley wrzuca drugą dziesięciocentówkę, potem trzecią. Fotografie obracają się na walcu, a specjalny układ świateł i luster podsuwa je kolejno pod oczy patrzącemu, by po chwili ze stukotem sprzątnąć mu je sprzed nosa. Z czasem Stanley zaczyna wyłuskiwać odrębne zdjęcia – każde z nich jest niczym podświetlony od środka barwny klejnot. Próbuje wolniej kręcić korbą – żeby uchwycić zmieniającą się sekwencję obrazów, oszukać własny wzrok, który płata mu sztuczki – ale w pewnym momencie obraz po prostu ciemnieje. Wrzuca do automatu czwartą monetę. Obraz nagiej bogini nakłada się na siebie, zwielokrotniony na pofalowanej powierzchni stawu. Odziany w togę podglądacz znika, zastąpiony przez obłok dymu. Znikają też otaczające go gałęzie, by zaraz znów się pojawić, tyle że o centymetr dalej w stosunku do poprzedniego położenia.

Urządzenie nie przyjmuje pięciocentówek, a Stanleyowi kończą się dziesięciocentówki. Zaraz poprosi człowieka z obsługi, żeby mu rozmienił dolara, ale w tej chwili została mu ostatnia moneta.

Tabliczka na mutoskopie musiała się zniszczyć albo ją usunięto. Na karcie tytułowej widnieje jedynie data: 4 LIPCA 1905. Dziesięciocentówka Stanleya wpada do środka z głuchym, samotnym szczękiem. Najpierw widzi podłużną czarną łódź płynącą szerokim kanałem. W tle za nią wznosi się potężna kolejka górską. Łódź znika, zastąpiona przez kolejne obrazy: przedstawiające wielbłądy i słonie, miniaturowe tory kolejowe, kąpiące się piękności w dziwnych kostiumach pływackich, mężczyźni w melonikach i ich żony w gorsetach przechadzających się w cieniu kolumnady. Nagle Stanley dostrzega znajomy szyld: HOTEL ŚWIĘTEGO MARKA.

Jego dłoń zastyga na korbie i w okularze zapada ciemność. Stanley zaczyna kręcić i wkrótce jego oczom ukazuje się znajomy widok budynków przy Windward i deptaku, chociaż większość sztydów – bilard u Harry’ego A. Hulla, sklep spożywczy H.C. Burmistera, owoce i warzywa u Frasinellego – jest mu nieznana. Najdziwniejsze jest to, że na tych zdjęciach Windward nie kończy się na deptaku, tylko przecina plażę i przechodzi w tętniące życiem moło z kabinami kąpielowymi, salami tanecznymi i rozświetlonymi kolejkami lunaparku. Gdy maszyna staje, Stanley karmi ją rozmienionymi monetami. Na jednej fotografii widzi budynek, który w przyszłości pomieści salon Fortune Bridgo, a kawałek dalej budynek, w którym się właśnie znajduje. Przyciska twarz do mosiężnego okularu i dalej kręci korbą. Milczące figurki przechadzają się chaotycznie po molu, odziane w czarne stroje i kapelusze z piórami, migotliwe jak duchy, którymi przecież są.

Na krótką chwilę Stanleya ogarnia panika: wrażenie, że ktoś mu się przygląda. Prostuje plecy, odwraca się i rozgląda po sali, ale nie napotyka niczyjego wzroku. Powietrze jest teraz inne, duszne i ciężkie. Widoczne przez otwarte okna niebo nad oceanem poszarzało niczym kamień. Stanley ma niesamowite uczucie, że obok niego przemknęło coś niewidzialnego. Wpatrzony w deptak i plażę zamiera bez ruchu w oczekiwaniu na to, co nadciąga.

Nie musi długo czekać. Przez piasek brnie Charlie, trzeźwy i poważny. Ramieniem obejmuje kogoś w pasie, pomagając mu iść. W zakrzepłym powietrzu ich ruchy są wolne jak w koszmarze sennym.

Stanley wypada na zewnątrz, na deptak. Chce przyjrzeć się z bliska, chociaż już wie. Towarzysząca Charliemu postać potyka się, jakby szła na oślep; i rzeczywiście, powieki ma tak zapuchnięte, że nie sposób ich otworzyć. Do klatki piersiowej tuli delikatnie prawą rękę, niby ptaka, który roztrzaskał się w locie o okienną szybę, i Stanley domyśla się, że jest złamana. Pomimo odniesionych obrażeń postać stara się stawiać równe kroki i iść z wysoko podniesioną głową. To – a także niebieska koszula ze sztucznego jedwabiu, której przód jest w tej chwili cały pokryty zrudziałą, zaschniętą krwią – wystarcza, aby Stanley rozpoznał Claudia.

W pralni samoobsługowej na Market Street Claudio dostaje szklanek wody i woreczek z lodem na rękę. Wodę sączy przez słomkę. W pierwszej chwili Stanley obawia się, że przyjaciel ma złamaną szczękę, ale gdy w końcu się odzywa, mówi całkiem wyraźnie. Dziękuję, zwraca się do Charliego. Możesz już iść, naprawdę. Nic mi nie będzie.

Kiedy oni odchodzą, Charlie niemal we łzach stoi na środku deptaka i załamuje ręce, jakby pokiereszowany Claudio był jego rodzonym synem. Stanley zaciska zęby, jak gdyby chciał coś powstrzymać, chociaż sam nie wie co: przekleństwa czy wymioty. Żołądek ciąży mu jak ołów.

Do kryjówki mają mniej niż sto metrów, ale Claudio nie chce tam wracać. Przejście czterech przecznic deptakiem na Wavecrest Avenue zajmuje im całą wieczność. Tłum rozstępuje się przed nimi, ludzie omijają ich szerokim łukiem. Stanley obserwuje, jak zmieniają się twarze przechodniów na widok Claudia: maluje się na nich zaskoczenie, współczucie, odraza, rozbawienie. Kilku wojskowych na przepustce zatrzymuje się i proponuje pomoc, lecz Stanley macha ręką na znak, że nie trzeba. Na rogu Clubhouse Avenue zatrzymuje ich policjant na rutynowym patrolu i bierze na spytki. Kolega miał wypadek na rowerze, tłumaczy mu Stanley. Wpadł na słup telefoniczny. Nie, nikt inny nie ucierpiał. Wyliże się z tego.

Tak, potwierdza Claudio rozciętymi wargami. Było dokładnie tak, jak mówi mój przyjaciel. Wpadłem na słup telefoniczny.

Przez całą drogę Claudio szepcze, milknie i znowu szepcze. Z uporem powtarza cały czas to samo. Wszędzie cię szukałem, mówi. Cały ranek i całe popołudnie. Miałem ci tyle do powiedzenia. Tyle nowych pomysłów na to, żeby żyło nam się lepiej. Ale nie mogłem cię nigdzie znaleźć. Gdzie byłeś?

Stanley zaciska zęby w milczeniu.

Pierwsze próby dobijania się do drzwi nie przynoszą rezultatów. Kolejne również nie: przedłużające się walenie w końcu ustaje i Stanley już ma zeskoczyć z ganku, żeby pobiec do drzwi kuchennych, gdy koronkowa firanka przesuwa się, ukazując przerażoną twarz Synnøve. Jasną, ubrudzoną farbą ręką zasłania otwarte usta.

Zaraz też otula Claudia szydełkową kapą – tą samą, którą poprzedniej nocy okrywała się Cynthia – przygotowuje nowy okład z lodu i wybiega do drugiego pokoju, żeby zatelefonować. Stanley przykłada Claudiowi lód do twarzy; ten przytrzymuje podobny okład przy złamanej ręce. Czoło ma trupio blade, pod oczami szybko tworzą się ciemne sińce. Gdzie byłeś, Stanley? – pyta. Szukałem cię wszędzie, wszędzie, wszędzie.

Posłuchaj, prosi go Stanley. Przymknij się na moment i powiedz mi, kto ci to zrobił.

Bandziory.

Co ty nie powiesz? Wiadomo, że bandziory. Ale które?

Claudio krzywi usta. Nieważne, mamrocze.

Ważne, młody. Kto to był? Muszę...

Gdzie byłeś? – nudzi Claudio. Do głosu wkrada mu się ostra nuta, pobrzmiwa smutkiem i groźbą.

Młody, przerywa mu Stanley. Mów natychmiast, kto ci to zrobił. Bo jeśli nie, będę musiał sam zgadywać. Dojdę do wniosku, że ten, kto cię pokiereszował, miał sporo rąk do pomocy i narobię większego zamieszania niż to konieczne. No więc kto? Albinos, tak? Ilu jeszcze?

Po co chciałeś ubijać z nimi interes? – narzeka Claudio. Dlaczego uważałeś, że to dobry pomysł?

Kto jeszcze? – pyta Stanley i przykłada Claudiowi łód do drugiej skroni. Obchodzi krzesło i staje na wprost chłopaka. Ich przywódca? Jeśli nie odpowiesz, uznam, że też tam był. Rozumiesz? Wiesz, co to będzie oznaczało?

Claudio zerka na niego spod zapuchniętych powiek. Potem odwraca wzrok. Jego usta otwierają się i zamykają. Za pierwszym razem dobrze odgadłeś, mówi. To był ten z białymi włosami.

Dobra. Kto jeszcze? Szef?

Claudio kręci głową i wzdryga się z bólu.

A tamci dwaj? Ci, których widzieliśmy z albinosem przy flipperach?

Oni też. I więcej nikt.

Stanley unosi okład, żeby odgarnąć Claudiowi włosy z oczu. Chłopak ma wilgotne czoło. Co się właściwie stało? – pyta.

Nie życzę sobie o tym z tobą rozmawiać.

Psiakrew, młody! Dlaczego nie biłeś się tak, jak cię uczyłem? Dlaczego nie...

Claudio wyciąga rękę i nie wypuszczając z niej woreczka z lodem, odpycha dłoń Stanleya. Biłem się, syczy. Tak jak mi kazałeś. I patrz, jak teraz wyglądam.

Krzywi się boleśnie, próbując unieść złamaną rękę. Knykcie ma otarte do krwi. Stanley dopiero teraz to zauważa.

Walczyłem, ciągnie Claudio. Najpierw próbowałem po dobroci, ale nie chcieli mnie puścić. Chcieli, żebym zrobił coś, na co nie miałem ochoty. Próbowali mnie zmusić, więc zacząłem się z nimi bić. Tak jak mnie uczyłeś. Kopałem, waliłem pięściami i znowu kopałem, kiedy mnie rozbolała ręka. Zalałem im za skórę i zwiali.

Stanley kiwa głową. Już dobrze, mówi, dotykając włosów Claudia. W porządku. Dobrze, że im się postawiłeś, młody. Ale gdybyś zrobił to, co ci

powiedziałem – dokładnie tak, jak mówiłem – nie rozwaliłbyś sobie ręki i tak mocno nie oberwał. Masz jaja, chłopie, ale musimy jeszcze trochę nad tobą popracować. Następnym razem...

Nie, odzywa się Claudio. Przekrzywia w bok głowę pod ręką Stanleya i patrzy mu prosto w oczy. A potem zaciska lewą pięść i z całej siły uderza go w przedramię. Cios nie jest w pełni trafiony, ale bolesny. Stanley się cofa. Claudio siedzi wyprostowany, gotów znów go uderzyć, więc Stanley robi jeszcze jeden krok do tyłu. No coś ty, mówi. Wyluzuj.

Dlaczego muszę robić te wszystkie rzeczy? – dopytuje się Claudio. Dlaczego, Stanley? Ja nie chcę. Ty tego chcesz. Mam być twardy? Niech szlag trafi ciebie i twoje pomysły. Nie chcę być twardy, tylko odważny. I piękny. I sławny.

Stanley kołysze się na piętach w ciasnej kuchni, pocierając kciukiem miejsce na przedramieniu po ciosie Claudia. Jutro będzie miał tam siniaka. Słyszy własny głos, mówiący: dobra, niech ci będzie. To się da zrobić. Na pewno są jakieś sposoby.

Claudio odchyła się na oparcie krzesła, bierze woreczek z lodem i ponownie przykładą go do prawej ręki. Są miliony sposobów, mruży. I próbowałem ci o nich mówić miliony razy. Ale ty nie słuchałeś. Nie słuchałeś.

W sąsiednim pokoju słuchawka z cichym szcękaniem opada na widełki i do kuchni wpada z powrotem Synnøve. Otwiera i zamyka szafki. Dodzwoniłam się do Adriana do biura, oznajmia. Wyjdzie dziś wcześniej z pracy. Niedługo będzie w domu i zawiezie cię do szpitala. Na razie przyłożymy ci więcej lodu. Proszę, Stanleyu, masz tu buteleczkę tylenolu. Przynieś Claudiovi coś do popicia, niech zażyje dwie tabletki. Przepraszam, sama bym to zrobiła, ale jestem cała upaprana tą farbą. Muszę się umyć, zanim wróci Adrian.

A gdzie Cynthia? – pyta Stanley, lecz Synnøve wyszła już z kuchni. Otwierając buteleczkę i wytrząsając na dłoń białe tabletki, słyszy, jak żona Wellesa krząta się po domu: napszcza wodę do wanny, otwiera szuflady.

Stawia ociekającą wodą szklankę na blacie przy dłoni Claudia i kładzie obok tylenol. Chłopak wypuszcza z palców woreczek z lodem, bierze kolejno tabletki i wkłada je do ust, po czym popija kilkoma łykami wody. Ruchy ma powolne, oczy zamknięte.

Nie gadasz ze mną, co? – rzuca Stanley.

Claudio garbi się na krześle. Wargi i powieki ma sine. Na czole pulsuje mu żyła: wzdyma się i zapada niczym brzuch węża. Zakrwawiona, opuchnięta twarz dziwnie obwisa na czaszce i przez moment Stanley nie może sobie przypomnieć, jak jego przyjaciel naprawdę wygląda.

Miałem ci tyle do powiedzenia, mamrocze Claudio. Ale ty nigdy nie słuchasz.

Stanley przygląda mu się przez dłuższą chwilę: patrzy, jak pije

z kryształowej szklanki i walczy z opadającą głową. Niespodziewanie powraca wspomnienie długich deszczowych dni, którymi zakończył się dla nich luty: oczyma wyobraźni widzi młodego, jak czyta te swoje kradzione czasopisma o gwiazdach kina, podczas gdy on pochyla się nad *Złodziejem luster*. Kiedy sam wertował książkę w poszukiwaniu tropów, Claudio zwyczajnie zabijał czas. Przynajmniej tak wtedy uważał Stanley. Z perspektywy Claudia było, rzecz jasna, dokładnie odwrotnie. Stanley wiedział to już wcześniej, może nawet od samego początku, Teraz ocenia to inaczej – na chłodno, ostrzej, poważniej – i ma uczucie, jakby dotarł do wysokiego muru albo rozwidlenia drogi. Młody ma swoje ciepłe ciało, żywe i śmiertelne, oraz czarną skrzynkę umysłu, do której nikt nie ma wglądu; to samo dotyczy Stanleya i wszystkich innych. Stanley musi się pogodzić z tym, że nigdy go nie pozna; ledwo zna samego siebie. Ma w głowie tyle pytań, na które nie zna odpowiedzi; książka Wellesa może mu przybliżyć co nieco, lecz nie ułatwi znalezienia tej jednej, konkretnej odpowiedzi. Może najwyżej przekonać go, że tego rodzaju pytania nie mają większego sensu, i Stanley ma nadzieję, że pewnego dnia rzeczywiście tak się stanie.

Staje teraz za Claudiem i wpatruje się w podstawę jego czaszki, wreszcie stwierdza, że dłużej tego nie wytrzyma. Wówczas podchodzi do kuchennych drzwi – gumowe podeszwy jego butów poruszają się bezszelestnie po linoleum – otwiera je i wymyka się na ganek. Ani jedna deska nie skrzypi, kiedy to robi, lecz Claudio musiał wyczuć podmuch powietrza wpadający przez otwarte drzwi. Stanley? – mówi.

Stanley zostawia drzwi uchylone. Ma niemal pewność, że Synnøve jest w łazience, a nie gdzieś, skąd mogłaby zauważyć jego wyjście, mimo to pośpiesznie przecina podwórko, przeskakuje przez ogrodzenie i biegiem pokonuje odcinek dzielący go od Pacific Avenue. Dyszy ciężko. Tętno dudni mu w uszach niczym kroki pogoni.

Zanim dociera do kryjówki, zrywa się wiatr, porywa z koszów na śmieci papiery i kołysze latarniami, wprawiając je w nierówny rytm wahadłowy. Pod wałem nadciągających chmur czerwony ogryzek słońca zanurza się w oceanie. Stanley widzi je przez ułamek sekundy, gdy mija Horizon Avenue; skręciwszy w Horizon Court, ponownie traci je z oczu.

Dzisiejszego ranka przed wyjściem jak zwykle starannie się spakował, dzięki czemu nie traci teraz czasu na szukanie rzeczy. Raz-dwa zbiera na jedno miejsce dobytek Claudia i po chwili znowu jest na ulicy, przemyka między autami na Speedway. Idzie na pamięć, nie rozglądając się, jakby od lat tutaj mieszkał. Nie trzeba braku słońca i nadciągającej ulewy, żeby świat dookoła wydawał się ponury i jakby skurczony. Stanley porusza się po dobrze sobie znanym terytorium smutku i rozczarowania.

Pierwsze krople deszczu dopadają go na deptaku, gdy akurat sadowi się na

ławce; błyskają w świetle ulicznej latarni, pozostawiając na drewnianych deskach mokre, okrągłe rozbryzgi wielkości dolara. Stanley czuje je na całym ciele – zimne i ciężkie jak palce nieboszczyka.

Z odległości jednej przecznicy obserwuje okna salonu z automatami do gry, aż wreszcie jest przemoczony do suchej nitki. Nasiąknięta koszula zwisa mu z ramion niczym luźne fałdy krokodylej skóry. Z tej odległości dość wyraźnie widzi twarze tych w środku: albinos ma spuchniętą wargę i wielką śliwę pod okiem, dwóch jego młodszych przydupasów wyszło z bójki z drobnymi zadrapaniami. Miny całej trójki są posępne, obrażone, jakby mieli żal do siebie nawzajem.

Między Stanleyem a salonem gry przesuwają się stały strumień przechodniów uciekających przed deszczem: część chowa się nierzadko pod wspólnymi parasolkami, inni osłaniają głowy gazetami. Ich ciemne sylwetki migają na tle okien salonu niby przerwy między fotografiami na walcu mikroskopu. Od czasu do czasu ktoś przysiadł się do Stanleya, jakiś pijak, naciągacz albo zboczeniec. Stanley uparcie milczy i nie zaszczyca ich choćby jednym spojrzeniem, więc zrezygnowani kolejno odchodzą.

Myśli o schowanej w kieszeni liście nazwisk Wellesa. Powinien był zostawić ją w kryjówce; jeśli kartka przemięknie, rozmazany tusz będzie nieczytelny. Tyle że w tej chwili już nic nie da się z tym zrobić. Zresztą to pewnie i tak były same bzdury. Stanley popełnił błąd, pozwalając Wellesowi rozegrać tę grę na jego zasadach, zamiast narzucić mu własne. Teraz to rozumie.

Wreszcie jeden z Psów – ten najdalej od drzwi – odrywa się od flippera i idzie do kibla. Stanley wstaje z ławki. Szybkim krokiem – ale nie biegiem – pokonuje odległość dzielącą go od salonu i przed wejściem do środka bierze głęboki wdech. Kilku przechodniów najwyraźniej odgadło jego zamiary po zaciętej minie, bo nerwowo odwracają wzrok i robią mu przejście. Stanley przekracza próg i staje; woda z przemokniętego ubrania kapie na betonową posadzkę. Kilka metrów od niego stoi tyłem jeden z przydupasów albinosa, sam zaś albinos znajduje się dokładnie na wprost, w drugim końcu pomieszczenia. Jest zwrócony twarzą do Stanleya, nie zauważa go jednak, pochłonięty rozgrywką albo własnymi myślami. Jak zawsze w takich sytuacjach przez głowę Stanleya przelatuje myśl: „Nie musisz tego robić. Możesz po prostu stąd wyjść”; paraliżuje go bardziej niż zwykle. Stanley ma wrażenie, że znalazł się na szczycie pierwszego wzniesienia kolejki górskiej; z całej siły zaciska powieki i wyobraża sobie, że jest gdzie indziej. Ale oczywiście nie jest gdzie indziej. Jest tutaj.

Robi kilka kroków naprzód, staje za plecami pierwszego Psa i łokciem wymierza mu cios w nerkę. Z ust tamtego wyrzywa się nieludzki skowyt; kolana mu się uginają. Stanley osuwa się wraz z nim na podłogę, chwyta chłopaka za tłuste włosy i miażdży mu twarz o stalowe pudło automatu.

Następnie, na czworakach, umyka wzdłuż rzędu flipperów do kąta, wstaje i zachodzi albinosa z boku. Kilka osób gapi się na leżące na posadzce ciało, inni z pośpiechem tłoczą się do wyjścia, lecz albinos nadal gra. Nawet nie podniósł głowy. Stanley jest już na tyle blisko, żeby odczytać jego wynik: dwa miliony punktów i jeszcze jedna partia do rozegrania. Koleś jest naprawdę niezły; widać, że zna się na rzeczy.

Stanley staje za nim i zerka mu przez ramię na unoszące się wśród pęcherzyków powietrznych koniki morskie oraz syreny topless namalowane na szklanej tafli, na srebrzyste zygzaki śmigającej kulki. Pozwala albinosowi grać, dopóki tamten nie poczuje na sobie jego wzroku, nie zrozumie, że coś jest nie tak. Traci koncentrację i przy okazji kulkę, która znika w otworze.

Stanley unosi swoją elastyczną pałkę i wymierza nią cios w opartą o krawędź pudła prawą dłoń albinosa. Potem jeszcze poprawia w głowę z boku i bije dotąd, aż tamten nie zwali się na beton jak kłoda. Stojąca kilka urządzeń dalej dziewczyna zaczyna wrzeszczeć.

Trzeci członek gangu wciąż siedzi w kiblu, więc Stanley wchodzi tam, kopniakiem wyważa drzwi kabiny, zamierza się pałką i trafia chłopaka w twarz. Ten zwija się wpół i przewraca na zasikaną podłogę. Przez okrągłą dziurę w ścianie nieco powyżej rolki papieru toaletowego Stanley widzi człowieka w sąsiedniej kabynie, skulonego z przerażenia. O Chryste, słyszy. O Chryste Panie!

Wychodząc, przystaje jeszcze, żeby wymierzyć ostatni cios albinosowi. Musi przy tym uważać, żeby nie wdepnąć w śliską kałużę krwi, która wypływa spod ciała i po krzywej betonowej posadzce sunie w kierunku oceanu.

Stanley potrzebuje mniej niż minuty, żeby wyczyścić kryjówkę ze śladów czyjejkolwiek obecności. Zaraz też wychodzi, dźwigając wojskowy plecak ojca, z workiem żeglarskim Claudia przerzuconym przez ramię. Idzie w zacinającym ukośnie deszczu; gwałtowne porywy wiatru szarpią uliczną latarnią nad jego głową, która jęczy i szamocze się na uwięzi czarnego kabla. Pierwotnie zamierzał pójść wzdłuż Speedway, ale przy Westminster widzi skupisko rozmigotanych świateł radiowozów i karetek – ilu dokładnie, trudno powiedzieć. Tylko jedna przecznica dzieli je od salonu gier. Stanley staje pod cieknącą płócienną markizą i patrzy: pulsujące na czerwono koguty rzucają na ściany pobliskich budynków gigantyczne cienie odzianych w płaszcze przeciwdeszczowe policjantów. Przypominają mu się skorpiony atakujące Mexico City.

Zawraca w kierunku Market Street i rusza w głąb ładu, w głąb miasta, Cabrillo Avenue do Aragon Ballroom, a potem dalej na zachód Abbot Kinney Boulevard. Skręca w lewo w Main Street, gdy przez skrzyżowanie za jego plecami przemyka ambulans na sygnale; zawrocie sprawia, że Stanleyowi nieco poprawia się humor: gdyby delikwent nie żył, nikt nie zawracałby sobie głowy włączaniem syreny. Przynajmniej tak się kiedyś mówiło w jego dawnej dzielnicy.

Od Wavecrest dzieli go kilka przecznic. Kiedy przechodzi przez Pacific Avenue, chmury pękają i na Stanleya spada pędzona wiatrem ściana deszczu. Kompletnie przemoczony chowa się w wejściu pobliskiej piekarni. Prawdopodobnie to tutaj Synnøve kupowała wczoraj pieczywo na kolację; dzisiaj sklep jest zamknięty z powodu szabatu, a widoczne przez okno starannie opisane półki – TEIGLACH טעגליך, CHAŁWA חבלה, HAMANTASZE שמת-חמה – świecą pustkami, wymiecione co do okruszka. Stanley przytyka mokry nos do szyby i wciąga głęboko powietrze, lecz nie czuje żadnego zapachu. Szkło pachnie szkłem, czyli niczym.

Welles i Synnøve musieli zabrać Claudia do szpitala, bo dom wygląda na pusty, na co zresztą liczył Stanley. Żeby mieć całkowitą pewność, wali we frontowe drzwi, kładzie rzeczy na ganku, zbiega ze schodów na podwórze i niewidoczny od strony ulicy przykuca między zegarem słonecznym a gąszczem hibiskusów. Czeka. Nikt nie otwiera. Stanley podnosi się, jeszcze raz puka i jeszcze raz się chowa. Dla zabicia czasu odczytuje napis na obwodzie postumentu pod zegarem, złożony z mosiężnych liter. Nie od razu się orientuje, gdzie jest początek. „Chwyliłem wieczny promień słońca – czyta – i pisałem, aż ziemia stała się jeno imieniem”. Krople deszczu bębnią o plecy Stanleya, gdy chłopak schyla się, by odczytać napis.

Potem prędko obchodzi dom, szukając w oknach zapalonych świateł, lecz

żadnych nie znajduje. Pod osłoną balkonu przemyka przez werandę do drzwi kuchennych. Rynna z bulgotem wypływa na chodnik deszczówkę; ułożony z betonowych prefabrykatów kanał kieruje wodę wprost na rabatę, gdzie już zdążyła się utworzyć spora kałuża. W jej pomarszczonej powierzchni, czarnej pod zielonkawym księżycowym niebem, odbija się ostra jak nóż krawędź spadzistego dachu.

Stanley wyciąga z kieszeni kurtki starą rolkę taśmy maskującej, napuchłej na brzegach od wilgoci. Odrywa kilka kawałków i nakleja na dolną, prawą szybę w drzwiach, tę bliższą klamki, dopóki taśma całkiem jej nie pokryje. Stara się, aby paski zachodziły na siebie – dzięki temu będą się lepiej trzymać. Ręce ma sztywne, lodowate i spierzchnięte od deszczu, więc cała operacja zajmuje mu trochę czasu. Wreszcie kończy, chowa taśmę z powrotem do kieszeni, zdejmuje kurtkę, składa ją na pół i przyciska lewą dłonią do zaklejonej szyby. Zaciska prawą pięść i uderza: zdecydowanie, pod kątem. Szyba pęka z cichym chrzęstem. Kilka drobnych odłamków, mniejszych niż kryształki soli kamiennej, sypie się na werandę i skrzy pod stopami Stanleya. Stanley strząsa kurtkę, zarzuca ją na ramię i odrywa grubą warstwę taśmy klejącej. Wraz z nią wyjmuje większość stłuczonej szyby i odkłada na bok. Następnie wsuwa rękę w wybity otwór i otwiera drzwi od środka.

Powietrze wewnątrz jest suche, ciepłe, pełne dziwnych zapachów, na które wcześniej nie zwrócił uwagi. A może po prostu ich tutaj nie było. Czuje się niczym archeolog, który właśnie otworzył grobowiec. Prędko przechodzi do frontowych drzwi, wiesza przemoczoną kurtkę na poręczy schodów i wciąga do środka bagaże z ganku.

W toalecie na dole znajduje ręcznik i wyciera nim włosy oraz ręce. Potem otwiera plecak i wyjmuje z niego gruby plik banknotów: pieniądze, które dostał od Alexa na prochy plus zyski z karcianych przekrętów zgromadzone w ciągu tygodni. Dokłada do tego drobne, które ma jeszcze w kieszeniach, przelicza całość i dzieli otrzymaną sumę na pół – na tyle, na ile mu pozwalają posiadane nominały. Wypada niemal po równo – różnica wynosi raptem kilka dolców. Stanley chowa cieńszy zwitek do plecaka, a grubszy utyka w płóciennym worku Claudia.

Następnie przeszukuje dom. Pobieźnie rozgląda się po parterze – strzelba samopowtarzalna pod łóżkiem w schludnej sypialni, dziwaczne rzeźby w zagraconym atelier Synnøve, bezkształtne i nagie niczym wyjęte z ciała organy – bo w głębi duszy dobrze wie, co tak naprawdę go interesuje.

Na piętrze, w gabinecie Wellesa, odsuwa rygiel w ciężkich drzwiach, lecz wewnętrzna zasuwka wciąż trzyma. Stanley robi krok w tył, żeby lepiej się im przyjrzeć. W pracowni Synnøve na pewno znalazłoby się coś, przy pomocy czego mógłby przesunąć zapadkę albo wyłamać zamek, jednak takie rozwiązanie wydaje mu się nieeleganckie i amatorskie; nie jest zresztą pewien, czy wystarczy mu czasu. Poza tym coś mu mówi, że Welles chowa klucz gdzieś w pobliżu.

W pierwszej kolejności sprawdza najbardziej oczywiste skrytki: spód biurka i krzesła obrotowego, tylne ścianki szuflad. Biurko nadal jest otwarte, pistolety znajdują się na wyciągnięcie ręki. Welles nie trzyma broni pod kluczem, za to starannie zamyka ciężkie czarne drzwi. Twierdzi, że to „pokój Cynthii”. Akurat.

Stanley wysuwa i wsuwa kolejne szuflady. Ilekroć się nachyla, czuje smród nieświeżego opatrunku na swojej nodze; wciąż nie miał czasu go zmienić. Za każdym razem, gdy prostuje plecy, mąci mu się wzrok i dostaje zawrotów głowy. Chyba ma gorączkę. Na zewnątrz wiatr się nasila: zimny deszcz z sykiem chłoszcze okna i drzwi balkonowe.

Po jakimś czasie Stanley opada na krzesło obrotowe i kładzie głowę na oparciu, żeby spokojnie pomyśleć. Usiłuje wniknąć w masywne, przesycone fajkowym dymem ciało Wellesa, do jego wielkiej głowy. Na próżno. Przesuwa palcami wzdłuż krawędzi biurka, zatrzymując się na dłużej w miejscach, gdzie blat jest wysłużony, a lakier wytarty. Znalezione poprzedniego wieczoru list – ten ze szpitala w Waszyngtonie – leży rozpostarty na blacie i wygląda na to, że Welles zaczął przygotowywać szkic odpowiedzi:

Naturellement każdy człowiek posiadający odrobinę zdrowego rozsądku i odwagi intelektualnej musi być przeciwny Żydom i chrześcijanom –. naziści zgrzeszyli powierzchownym podejściem do wotanimizmu i brakiem pogłębionej wiedzy na temat pogańskich wierzeń swoich germańskich przodków. Nie był to może ich największy błąd, ale też i nie najmniejszy.

W stojącym przy biurku mosiężnym koszu na śmieci Stanley znajduje pięć czy sześć zmiętych kartek z niemal identycznymi wersjami tego samego zdania. Zgniatą je powoli i na powrót umieszcza w koszu. Potem zsuwa się w dół na siedzeniu i jeszcze raz rozgląda po pokoju.

Klucz jest w jakieś przekłętej książce; nie ma innej możliwości. Napisanej prawdopodobnie przez któregoś z tych przeklętych koleśków z cholernej listy Wellesa – tej samej, która tkwi teraz w jego kieszeni, mokra od deszczu i kompletnie nieczytelna. Stanley jest ciekaw, czy uda mu się wypatrzeć klucz, nie ruszając się z miejsca – dostrzec szczelinę między stronicami właściwej książki albo między kartkami a okładką – lecz większość tomów jest ułożona grzbietem do niego, w dodatku w stertach jeden na drugim. Regały sięgają sufitu, a Stanley jest za niski, żeby zlustrować najwyższe półki. Błądzi więc wzrokiem po grzbietach, omiata spojrzeniem ściany z góry na dół i z dołu do góry. W gabinecie są tysiące książek. Która z nich jest tą właściwą?

Nagle prostuje się. Obraca krzesło tak, aby znaleźć się twarzą do ściany, i wstaje.

Ledwo dotyka palcami ramki starej mapy, wyczuwa to, czego szukał: szyba, za którą tkwi pożółkły papier, odstaje nieco od ściany, mniej więcej zaś na środku znajduje się niewielkie wybrzuszenie. Stanley unosi ramkę, wsuwa dłoń pod jej dolną krawędź i znajduje klucz zawieszony w skórzanym woreczku gdzieś na wysokości głównego placu miasta na wyspie. Wyłuskuje go i opuszcza ramkę na miejsce. Dopiero teraz dostrzega na mapie stylizowany rysunek muskularnego boga – nagiego, uzbrojonego w trójzab i dosiadającego groteskowego potwora morskiego – który wpatruje się w miejsce, gdzie wisiał woreczek, jakby przez cały ten czas próbował wskazać je Stanleyowi, zdradzić sekret ukrycia klucza. Wielkie dzięki, stary, szepcze Stanley. Teraz mi to mówisz?

W pierwszej chwili boi się, że klucz nie będzie pasował do zamka, lecz jego obawy okazują się, rzecz jasna, bezpodstawne i zasuwa ustępuje ze stłumionym szcękaniem.

Wejście zasłaniają czarne kotary zawieszane w jednej płaszczyźnie ze ścianą. Stanley znajduje szczelinę, rozsuwa je na boki i staje oko w oko z czernią głębszą niż czerń samych kotar. Zielonkawe światło lampy na biurku wydaje się zbyt słabe, aby sforsować próg pokoju – a może coś je powstrzymuje? Stanley dostrzega przed sobą jedynie kilka centymetrów drewnianej podłogi, takiej samej jak ta, na której stoi – i nic poza tym.

Wślizguje się do środka, a kotary zamykają się za nim. Pomieszczenie, w którym się znajduje, robi wrażenie pustego i przestronnego, znacznie większego od gabinetu Wellesa. Stanley czeka, aż wzrok przyzwyczai mu się do ciemności, lecz gdy to następuje, widzi niewiele więcej niż przedtem. Przesuwa palcami po tkaninie po obu stronach drzwi, ale nie odnajduje przełącznika światła. Panuje tu dziwny zapach: ostry, słodkawy i mdły jednocześnie. Niepokojący. Przyprawia Stanleya o gęsią skórę.

Chłopak cofa się do gabinetu, w szufladzie biurka znajduje pudełko zapalek i wracając, pociera od razu trzy z nich o framugę. Blask bladego płomienia ledwo sięga ścian: pokój zajmuje całą resztę piętra. Kilka kroków przed sobą Stanley z trudem rozróżnia zarysy niskich ław. Tuż za nimi na wysokości wzroku majaczy żyrandol, a dalej w głębi coś dużego i bezkształtnego, na czym udrapowana jest wielobarwna tkanina. Deski podłogi znaczą białe linie. Ściany pomieszczenia ukryto za czarnymi kurtynami, sufit pomalowano czarną farbą. Wszystko jest pomyślane tak, żeby pochłaniało światło.

Zapalki parzą go w palce; Stanley czym prędzej zapala kolejne od gasnących płomyków. Żyrandol na wprost to prawdziwy żyrandol na świeczki, nie na żarówki. Stanley przechodzi między dwiema ławami i wyciąga się do góry, żeby zapalić świeczkę, po czym przy jej pomocy zapala pozostałe. Deszcz już tak głośno nie hałasuje, wytłumiony przez kotary i znajdujący się zapewne wyżej strych. Chłopak zastanawia się, czy w porę usłyszy, że ktoś na dole otwiera drzwi

wejściowe.

Na suficie pojawiają się kręgi żółtego światła, na które niczym pajęczyna nakłada się drżący cień żyrandola. Umeblowanie pokoju wygląda na stare i prymitywne, ręcznie wykonane. Stanley ma uczucie, jakby przeniósł się w przeszłość, poza historię – albo w głąb nikomu nieznaną historii. Przy każdym kroku gładkie drewniane deski poskrzypują, a dźwięk ten kojarzy się Stanleyowi z cykaniem świerszczy.

Bezkształtny przedmiot majaczący w drugim końcu pokoju okazuje się masywnym łóżem z baldachimem i spiralnymi kolumnkami udrapowanymi kawałkami jedwabiu w kolorach czerwonym, czarnym i złotym. Gruby materac zaściewają wyszukane poduszki; w głębi za łóżem górują dwie ciemne szyfoniery. Stanley nie może na to wszystko patrzeć. Nie jest gotów, aby się zastanawiać, co to jest ani co właściwie oznacza. Popułnił bład, nie jest jeszcze tylko pewien, jak duży. Wie, że nie znajdzie w tym pokoju niczego, co by go zainteresowało. Mimo to czuje, że musi się po nim rozejrzeć – żeby mieć to za sobą, zabić w sobie to coś, co go dotąd powstrzymywało, czyniło słabym. To będzie jak wyrwanie zepsutego zęba.

Spogląda w dół, na białe linie pod swoimi stopami, schyla się i przysuwa zapalkę, żeby je lepiej widzieć. Na podłodze ktoś narysował trzy trójkąty, których wierzchołki są wycelowane w jego stronę, podstawy zaś zwrócone ku niskiemu drewnianemu podestowi w prawym rogu pomieszczenia. Przy wierzchołkach trójkątów ustawiono nakryte stoliki, na każdym z nich znajduje się coś innego: zbiornik z wodą, najeżone kadzidelkami metalowe sześciany, nakryta welonem czarna szkatuła. Zarówno podest, jak i trójkąty są położone pod dziwnym kątem w stosunku do ścian, jakby kierowano się wskazaniem kompasu, a nie obrysem budynku. Wszystko wydaje się precyzyjnie rozmieszczone, jakby o wzajemnym położeniu przedmiotów decydowały obliczenia przeprowadzane według jakiegoś sekretne go wzoru. Z lewej strony pokoju usytuowane jest niewielkie podium, dokładnie pośrodku koncentrycznych okręgów wpisanych w koncentryczne kwadraty; puste miejsca między równymi liniami w całości pokrywają znaki nieznanego Stanleyowi alfabetu: nie jest to hebrajski ani rosyjski, arabski ani grecki. Chłopak wyobraża sobie Wellesa na ławie, intonującego niezrozumiałe zaklęcia w tajemniczej mowie. Wszystko to zakrawa na zabawę jakichś porąbanych dzieciaków.

Stanley opada ciężko na jedną z ławek. Kręci mu się w głowie, w uszach huczy mu jego własny urywany oddech. Pochyla się, a świeca w jego ręce przechyla się wraz z nim i kapie na podłogę roztopionym woskiem: przejrzystym, a po chwili białym. Stanley liczy spadające krople, lecz wkrótce traci rachubę.

Na podwyższeniu w kącie również znajdują się różne przedmioty – czerwone świece, naczynia z mosiądzu, zasuszone kwiaty, książka, obraz

czarnego drzewa, którego konary oznaczono runami – ale Stanley nie potrafi wykrzesać z siebie zainteresowania. W oczywisty sposób ma do czynienia z pułapką: nie zastawioną na niego przez Wellesa, tylko taką, w którą wpadł sam Welles. Nie ku temu prowadzi go książka. Najwyższa pora z tym skończyć.

Stanley wstaje i lekko się zataczając, pokonuje rozległe pomieszczenie. Żołądek podchodzi do gardła, wzbiera kwaśną żółcią, mimo to chłopak idzie dalej. Łoże z baldachimem wabi obietnicą odpoczynku. Po obu stronach w masywnych mosiężnych świecznikach tkwią gromnice grube jak męska łydka; z tyłu, pomiędzy dwiema szyfonierami, Stanley znajduje niską staroświecką toaletkę ze zmatowiałym lustrem. Wciąga w nozdrza powietrze, bada palcami czerwoną aksamitną kapę. Nad materacem zauważa drugie lustro, większe i zdecydowanie nowsze od poprzedniego; umieszczone równoległe do płaszczyzny podłogi, zwisa na czterech równej długości łańcuchach przymocowanych do kolumnienek łoża. Stanleya wita odwrócone odbicie jego własnej twarzy, dziecinnej i przerażonej. Szybko odwraca wzrok – po to tylko, aby zobaczyć się ponownie w lustrze nad toaletką. Wśród ciemnych smug i odprysków srebra jego odbicie majaczy niczym umęczony duch.

Stopa chłopaka uderza o coś ukrytego pod falbaną kapy; Stanley schyla się i podnosi szpitalny basen. Odkłada go na kapę i otwiera jedną z szyfonier. W środku oprócz zwykłych bluzek, swetrów oraz spódnic wiszą cudaczne, w zasadzie obsceniczne kostiumy. Są tam także nylonowe pończochy i czarne trykoty, spłowiałe letnie sukienki, dziewczęce biustonosze i majtki. Czyli to jednak jest pokój Cynthii.

Stanley sięga do środka, chwytając rękaw swetra, pociąga i puszcza. Przez chwilę stoi zagapiony na zawartość szyfoniery, po czym jego żołądek gwałtownie się kurczy – Stanley ma wrażenie, jakby coś się w nim wylęgło – i chłopak odwraca się, aby wymiotować do basenu z jasnego tworzywa w marmurkowy wzorek. Zachłystuje się i trzymając w rękach basen, osuwa się na kolana. Na podłodze dopada go kwaśny zaduch nieświeżego opatrunku i ponownie wymiotuje. Od wczorajszej rybnej kolacji niczego nie jadł, zwraca więc czysty płyn, w którym pływa kilka nitek selera naciowego. Jego przepona pracuje jak tłok i Stanley nie może złapać oddechu. Czuje się przeobrażony w ludzkie działo, upodlony niczym pełzający robak. Jakby wraz z wymiotami pozbywał się wszystkich ludzkich cech.

W końcu opada na pięty, chrząka i spluwa. Parą majtek Cynthii ściera z twarzy łzy oraz śluz. Powiniennem puścić to miejsce z dymem, myśli. W pracowni Synnøve znalazłoby się dość łatwopalnych substancji. Chociażby terpentyna. Wyobraża sobie ścieżkę ognia biegnącą schodami na górę i na zewnątrz, przez kuchenne drzwi. Kiedy zajmą się książki, dom spłonie aż po fundamenty. Tylko gdzie wtedy zostawić rzeczy Claudia?

Na dole trzaskają drzwi i ledwie słyszalny głos woła: „Jest tu kto?”

Stanley kamienieje – wstrząs jest porównywalny ze skokiem do lodowatej wody – lecz zaraz rozluźnia się siłą woli i nasłuchuje. Opiera dłonie na podłodze i odpycha się, aby wstać, bo puls wraca mu do normy. Ma wrażenie, że zmienił się w kłęb dymu, lekki i bezcielesny. Wracając do gabinetu, stara się trzymać blisko ścian, w miejscu gdzie podłoga jest najmniej zużyta, a deski solidne. Kilka z nich trzeszczy – nie da się tego uniknąć – lecz Stanley zachowuje spokój i równy oddech. Walczy z chęcią, aby puścić się biegiem, jak walczyłby z nieuchronnym kichnięciem. Jeśli ma być szczery, to nagle najście sprawiło mu ulgę. Jeszcze przed kilkoma minutami czuł się zagubiony, obcy we własnej skórze. Teraz znowu porusza się po znajomym gruncie: włamywacz, który nie zdołał umknąć na czas.

Biurko Wellesa jest znakomicie wykonane: szuflady otwierają się i zamykają całkiem bezszelestnie. Stanley domyśla się, że Walther P38 – pistolet Wehrmachtu – to łup wojenny, którego Welles raczej nie zarejestrował, dlatego go wybiera; czterdziestka piątka i tak byłaby dla niego za ciężka. Przekłada pałkę do przedniej kieszeni spodni, luzuje pasek o jedno oczko i zatyka broń tam, gdzie była pałka, na wysokości lędźwi. Nie jest mu z tym wygodnie, ale to akurat nie problem. Stanley ma niemal pewność, że pistolet jest zabezpieczony, więc nie postrzelił się w tyłek przez nieuwagę.

Na szczycie schodów przystaje i nastawia uszu. W całym domu panuje cisza. Klatka schodowa przypomina pusty ciemny tunel z plamką światła u wylotu, padającego przez szybę w drzwiach wejściowych. Stanley zaczyna mozolną wędrówkę na dół, zerkając pod nogi, żeby nie przeoczyć jakiegoś stopnia. Gdy znowu podnosi głowę, przed nim, na mniej niż wyciągnięcie ręki, stoi dziewczyna.

Stanley zastyga na ugiętych nogach, dłonią szuka oparcia na ścianie. Smukłe palce Cynthii spoczywają na poręczy schodów, na której kawałek dalej wisi kurtka Stanleya; stopę w sandałku oparła na krawędzi stopnia. Ostry podbródek ma uniesiony, plecy i ramiona wyprostowane jak na pokazie piękności. Nie wygląda na zaskoczoną ani przestraszoną widokiem chłopaka. Jej oczy w kolorze karmelu błyszczą, jakby odbijały się w nich promienie księżyca, chociaż jego światło tutaj nie sięga. Przez dłuższą chwilę oboje stoją bez słowa, mierząc się wzrokiem. Kurtka Stanleya nadal ocieka wodą; jej rytmiczne kapanie odmierza sekundy milczenia.

Cynthia pierwsza się odzywa. I co kundlu, mówi półszepem, wężysz?

Stanley otwiera usta, żeby jej odpowiedzieć, lecz z jego podrażnionego wymiotami gardła wydobywa się jedynie chrapliwy zgrzyt. Przełyka ślinę i próbuje ponownie. Co tam się, kurwa, wyprawia na górze?

Twarz Cynthii wykrzywia paskudny grymas, jakby do ust wleciała jej osa. A potem odpływa z niej krew i robi się całkiem pusta. To pustka oślepiająca niczym blask miliona żarówek, przytłaczająca jak ściana zapory wodnej. Stanley widział coś takiego raz albo dwa razy wcześniej: na twarzy kobiety, która

zamierzała skoczyć z mostu Williamsburg i mężczyzny, który za moment miał zastrzelić trzy osoby w barze w Alphabet City. To już nawet nie jest twarz, tylko wypalona maska; jakby sparaliżował ją nadmiar uczuć, dla których nie potrafi znaleźć odpowiedniego wyrazu. Stanley często wyobrażał sobie, że jest na świecie całkiem sam, lecz dopiero teraz widzi, co znaczy prawdziwa samotność, i to go przeraża. Stara się równo oddychać i nie prostując kolan, znaleźć odpowiednie podparcie dla stóp. Wolną rękę zbliża do kolby pistoletu.

Byłeś w moim pokoju? – chce wiedzieć Cynthia.

Stanley nie odpowiada. Mógłby uderzyć ją barkiem i odepchnąwszy na bok, zbiec ze schodów – chwycić kurtkę, plecak i zwiać – ale ma wrażenie, że znalazł się w pułapce. Dom zdaje się kurczyć, a może to dziewczyna się powiększa, rozdyma niczym balon i wypełnia sobą przestrzeń klatki schodowej. Jakaś część Stanleya chce ją zastrzelić. Chłopak wyobraża sobie, że wyszarpuje zza paska broń, a Cynthia znika z wilgotnym młśnięciem.

Wygląda jednak na to, że póki co nic mu nie grozi. Rozbiegany wzrok dziewczyny starannie go omija; krew ponownie napływa jej do twarzy na podobieństwo dzieci powracających do szkoły po fałszywym alarmie bombowym i policzki stopniowo odzyskują zdrowy kolor. Jest wyraźnie rozdygotana i kręci się, żeby to ukryć. Kiedy znów się odzywa, ton jej głosu gwałtownie się zmienia: z przeproszącego w oskarżycielski. Pewnie sobie myślisz, zaczyna i milknie. Posłuchaj, rzuca, ani przez chwilę nie przypuszczałam, że będziesz w stanie zrozumieć...

Masz rację, przerywa jej Stanley. Nie rozumiem.

Cynthia opiera się o poręcz i przybiera trzpiotowatą pozę Audrey Hepburn: usiłuje odzyskać zimną krew, zgrywając twardą sztukę. Głos ma słodki, gęsty i nienaturalny – jak syrop klonowy wylany na włókno szklane. To nie są moi rodzice, oznajmia. Claudio ci chyba powiedział? Pomieszkuję z nimi od dwóch miesięcy. Adriana poznałam na plaży, tak jak ty. Bez względu na to, co myślisz, to dobrzy ludzie. Jeżeli ktoś pyta, odpowiadamy, że jestem siostrzenicą Synnøve. Ale tutaj nikogo to nie obchodzi.

Wbija wzrok w pustą przestrzeń przed sobą, jej palce bawią się wyimaginowanym papierosem. Nikt mnie do niczego nie zmusza, dodaje. Nie rozumiem, o co ci chodzi. Nie ma w tym nic złego, nawet jeśli ktoś twierdzi inaczej. Po prostu jesteśmy inni, rozumiesz? Jak ty i Claudio.

Gównu o nas wiesz.

Cynthia mruga powiekami. Mechanicznym, nieobecny spojrzeniem omiata schody; jej oczy poruszają się jak u porcelanowej lalki. Na koniec patrzy prosto na Stanleya i posyła mu krzywy uśmiech przez łyzy. Dzieciak z ciebie, mówi. Mam gdzieś, co robiłeś i gdzie byłeś. Dla mnie jesteś zwykłym gówniarzem.

Przez kilka oddechów wytrzymuje jego wzrok, po czym odwraca głowę,

jakby się nim znudziła. Między nią a ścianą jest teraz dostatecznie dużo miejsca, żeby Stanley mógł się precyzyjnie przesuwać. Głupio robi, nie ruszając się z miejsca.

Co to ma być? – pyta. Tam na górze? Te wszystkie dziwne meble, znaki na podłodze?

Jej uśmiech staje się jeszcze bardziej nieprzyjemny, okrutny. A jak myślisz? – prychnęła.

Stanley przestępuje z nogi na nogę. Jakies magiczne brednie, odpowiada. Ołtarz.

Założę się, drwi Cynthia, że dużo byś dał, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Mam rację? Chciałbyś być małą muszką na ścianie? Dam głowę, że siedziałbyś na ławie z rączkami złożonymi na podolku, patrzył i ani pisnął.

Przez moment – tylko przez moment – Stanley czuje, że pali go twarz.

Jeśli cię to interesuje, wiedz, że nie wierzę w ani jedno ich słowo, zaznacza Cynthia. Nic nie kumam z tych czarodziejskich zaklęć. Szczerze mówiąc, to czysta głupota. Dziecinada. Tyle czasu i wysiłku, żeby wywołać ducha. Trzeba być niespełna rozumu. Duchów nie ma. W gruncie rzeczy cała ta zabawa jest żalosna. Czytałeś *Atlasa zbuntowanego*? Oto filozofia dla mnie, stary.

Stanley opiera się o ścianę i krzyżuje ramiona na piersi, żeby ukryć drżenie rąk. Skoro w nic z tego nie wierzysz, odzywa się, to znaczy, że jesteś pierdoloną kurwą.

Cynthia otwiera usta ze stłumionym westchnieniem. Nie jest zszokowana, raczej zdziwiona. Jakby Stanley wręczył jej kwiat, który chował dotąd za plecami.

Potem odrzuca głowę do tyłu i zaczyna się śmiać. Śmiech nie jest sztuczny; pobrzmiwa w nim ulga i odrobina szaleństwa. Matka Stanleya też się tak śmiała, gdy umarł dziadek, śmiała całymi godzinami. Był to chyba ostatni dźwięk, który słyszał z jej ust.

Mija trochę czasu, zanim Cynthia złapie oddech na tyle, aby dalej móc mówić. Biedny Adrian! – parska. Myśli, że mnie wyczarował. Claudio ci nie mówił? Nie żartuję. Żalosne, co? To całe pragnienie, żeby zobaczyć! Żeby wiedzieć! Nie ogarniam tego. Niech ci się nie wydaje, że to, co robimy, sprawia mi przyjemność. Szczerze mówiąc, potrafi być cholernie męczące. Ale mam zapewnione domowe żarcie i przyjemne miejsce do spania. Do tego dochodzi kasa na drobne wydatki. Dokonuję w życiu wyborów jak każdy. Uwierz, jest mi tu lepiej niż tam, skąd się wzięłam.

Tak? – rzuca Stanley. A skąd się wzięłaś?

Pytanie gasi resztkę uśmiechu na jej twarzy i znów odmalowuje się na niej ta przerażająca pustka. Nagle Cynthia rozciąga wargi w szerokim złowrogim uśmiechu. Wygląda jak dzieciak, który właśnie odkrył, że przy użyciu szkła powiększającego można przypalać mrówki. Z piekła, mówi. Wzięłam się z piekła.

Ponownie wybucha drwiącym śmiechem. Wstrząsana czkawką zgina się

wpół, ociera załzawione oczy. Kurwa! – chichocze. To ci się naprawdę udało, koleś! I to nie byle jaka kurwa. O, nie! Zaraz umrę ze śmiechu. Normalnie rewelacja, stary.

Tak. Boki zrywać.

Stanley wyciąga pistolet zza paska, odbezpiecza i kieruje cienką okrągłą lufę na twarz dziewczyny. Cynthia patrzy na niego zdezorientowana. Jej szerokie usta zamykają się, pełne różowe wargi ściągają w wyrazie niezadowolenia. Nie wygląda, jakby się bała. Przez chwilę wpatrują się w siebie nawzajem. Cynthia znowu czka: ciche mlaśnięcie w półmroku.

Właż na górę, nakazuje jej Stanley.

Prowadzi ją do gabinetu i dalej, aż do czarnych drzwi. Dokąd idziemy? – pyta ona. Co chcesz ze mną zrobić?

Nigdzie nie idziemy, laleczko. Ja się stąd zmywam. Ale najpierw muszę cię zamknąć.

Gdzie są wszyscy? Pozabijałeś ich?

Zadaje mu pytania łagodnym, lekko zaciekawionym tonem, jakby pytała: „Słyszałeś najnowszą płytę Johnniego Raya?” albo: „Ta nowa koszula, którą masz na sobie – kupiłeś ją u Van Heusena?”. Stanley jest tak zaskoczony, że posłusznie odpowiada. Mój przyjaciel został pobity, mówi. Synnøve i Adrian zabrali go do lekarza. A mnie szukają gliny. Całe mnóstwo glin. Chcę zniknąć, zanim tamci wrócą.

Cynthia odsuwa na bok czarną zasłonę, po czym staje i odwraca się twarzą do niego. Odrzuca do tyłu włosy. Oczy ma rozszerzone, płonie w nich podniecenie. Chodzi o tę akcję na deptaku? – pyta. To twoja robota?

Bo co? Widziałaś coś?

Widziałam gliny. I kilka karetek. Ludzie mówili, że to były porachunki gangów i trzech gości jest poważnie rannych. Był między nimi Claudio?

Nie. Młodemu nic nie będzie. Jest tylko trochę poobijany, to wszystko. A mówili... Słyszałaś, czy ktoś zginął?

Cynthia obraca się na pięcie; nadal męczy ją czkawka. Kurtyna opada na jej lewe ramię i pierś niczym toga. Kręci przecząco głową.

Stanley spogląda na nią i spuszcza wzrok na podłogę. Wzdycha. Dobra, mówi. Właż do środka. Muszę zamknąć drzwi.

Chcą, żebym im urodziła dziecko, odzywa się nagle Cynthia. Claudio ci nie mówił?

Stanley nieruchomieje. Lewą rękę opiera o gładkie ciemne drewno na wysokości klamki. Masywne drzwi łatwo poddają się dotykowi. Co ty powiesz? – mruczy pod nosem.

Jeżeli się zgodzę, ciągnie dziewczyna, kupią mi mieszkanie i opłacą czynsz na sześć lat z góry. A gdybym chciała studiować, pokryją czesne na Uniwersytecie

Kalifornijskim. Muszę tylko urodzić dziecko i im je oddać. Myślisz, że powinnam to zrobić?

Stanleyowi znowu kręci się w głowie. Dygocze jak w gorączce. Pole jego widzenia drastycznie się zacieśnia. Po cholere im dziecko? – wydusza z siebie.

A bo ja wiem? Pytasz niewłaściwą dziewczynę. Nie mam pojęcia, po co komukolwiek dziecko. Chociaż to pewnie część ich...

Przebiera palcami w powietrzu i skinieniem głowy wskazuje oświetlony płomieniami świec pokój za sobą. No wiesz, dodaje i znowu czka.

Zimny pot ścieka po skroni Stanleya i jego zarośniętym policzku. Co oni z nim zrobią? – chce wiedzieć.

Cynthia wzrusza ramionami i wprawia w ruch czarną kurtynę, która faluje niczym poła płaszczka albo peleryna Draculi. Rozszerzone źrenice ma utkwione w twarzy Stanleya. Myślisz, że powinnam to zrobić? – powtarza.

Stanley spogląda na nią, a potem na swoją dłoń, bladą na czarnej krawędzi drzwi, na prześwitujące przez skórę żyły. Wygląda jak oderwana od ciała, martwa. Jakby do niego nie należała. Wszystko wydaje mu się nagle spłaszczone i statyczne, rozmieszczone w równych odległościach od siebie. Jakby cały ten pokój był namalowanym obrazem. Znowu robi mu się niedobrze; jeszcze trochę, a zemdleje.

Własny głos dudni głucho w jego uszach. A kto będzie szczęśliwym tatą? Twój ukochany staruszek?

Cynthia zaciska niewidoczne dłonie na połach kurtyny i naciąga je z obu stron na policzki. Wygląda jak zawieszona w próżni mówiąca maska. To chyba zależy od tego, kogo zapytać, mówi. I w co chce się wierzyć.

Stanley mruga i potrząsa głową. Usiłuje wziąć się w garść. Oderwana od reszty ciała twarz Cynthii zdaje się unosić i przybliżać ku niemu niczym chłodny księżyc na bezgwiezdny niebie. Już to samo przypomina zły sen, koszmar, który latami będzie go prześladował.

Powodzenia, Cynthio, rzuca.

Zatraskuje drzwi tuż przed jej zadartym noskiem i zasuwa rygiel. Potem osuwa się na podłogę; chwytą powietrze ustami i zwiesza głowę, żeby krew z powrotem napłynęła do mózgu. Opiera czoło o gładkie deski.

Zza drzwi dobiega stłumiony głos dziewczyny. Ej, ty tam! – woła. Tak naprawdę nie nazywam się Cynthia! Słyszysz?

Stanley przełyka ślinę, a ta powoli spływa przez zaciśnięte gardło. Tak? – odkrzykuje. No to uważaj: tak naprawdę nie nazywam się Stanley.

Na kilka sekund zapada cisza. Za oknem przestało padać – albo prawie przestało. Głos Cynthii jest teraz znacznie cichszy. W porządku, mówi. Miło cię było nie poznać.

Stanley zamyka oczy, uśmiecha się. Wargi ma jak z gumy, odrętwiałe –

jakby był pijany. Wciska nos w szczelinę między drzwiami a framugą. Skarbie, syczy. Dla mnie to nie była żadna przyjemność.

Chwyta za klamkę i dźwiga się z podłogi. Pokój znika. Stanleyowi robi się czerwono przed oczami, potem biało. Potem następuje eksplozja kolorów, a po niej spływa na niego czerń. Chłopak kurczowo przytrzymuje się klamki, zaciska zęby i bez ruchu przeczekuje zawroty głowy.

Te w końcu ustępują. Wzrok Stanleya wyostrza się i pierwszą rzeczą, na jaką pada jego spojrzenie, jest *Złodziej luster*. Książka stoi na regale może centymetr od niego, na wysokości jego twarzy, jakby Welles odstawił ją tam, otwierając drzwi, a później o niej zapomniał. Stanley wyciąga rękę, żeby jej dotknąć, i zamiera.

Egzemplarz na półce jest identyczny z tym, który targał ze sobą po całym kraju. Jednak w porównaniu z jego sfatygowanym wydaniem wygląda na nietknięty lub bardzo rzadko otwierany: stronice nie są pozaginane i gładko przylegają do siebie, okładka nie jest zniszczona, a srebrne litery nie zdążyły się jeszcze wytrzeć. Równie dobrze mógłby zostać wydrukowany wczoraj. To jego książka, a zarazem nie jego książka – sam fakt jej istnienia w nieużywanym stanie zdaje się sugerować, że egzemplarz, który znalazł na Manhattanie i z którym się od tamtej pory nie rozstawał, także nie do końca jest jego. Mógł trafić w czyjekolwiek ręce. Stanley przypomina sobie słowa Wellesa z ich pierwszego spotkania – „trzysta egzemplarzy, z których setka wciąż tkwi na moim strychu” – i wyobraża sobie uśpione zastępy książek nad swoją głową. Po raz drugi tego dnia nachodzi go chęć, żeby puścić z dymem tę przeklętą chałupę.

Zamiast tego zbiega na dół po schodach. W przylegającej do sypialni łazience znajduje wszystko, czego potrzebuje, żeby na nowo opatrzyć nogę: jodynę, spirytus salicylowy, czystą gazę. Podwija przemoczoną nogawkę dzinsów i ściera cuchnący opatrunek. Rana po drucie kolczastym wygląda fatalnie: ślimaczy się, na brzegach zebrała się ropa. Stanley przemywa ją. Kilka razy musi przerywać: wstrząsany torsjami zgina się nad sedesem, lecz żołądek ma całkiem pusty i nie wymiotuje już nawet płynem. Z lustra nad umywalką patrzy na niego udręczona twarz obcego człowieka: sine wargi, woskowo blada skóra, zapadnięte w głąb czaszki oczy. „Oto masz przed sobą twarz Boga”.

Na laminowanym blacie stoją dwa tanie ceramiczne kubki w kształcie zwierzęcych łbów: biały kot i czarny pies. Stanley napełnia psi łeb wodą z kranu i wypija. Rzyga do umywalki. Ponownie napełnia kubek i pije. W dolnej szafce znajduje szorstki koszyk z wikliny pełen napoczętych fiolek z lekarstwami; niektóre wyglądają na sulfonamidy. Stanley łyka kilka, resztę chowa do kieszeni.

Na koniec staje w sieni i nasłuchuje szumu opon samochodowych na mokrym asfalcie, nerwowych kroków dziewczyny zamkniętej na piętrze. Usiłuje przypomnieć sobie, co jeszcze mogłoby mu się przydać. Gdzieś na wierzchu z pewnością leży gotówka – może nawet biżuteria albo ładny zegarek – ale w tej

chwili Stanley ma forsę pod dostatkiem. Mógłby zabrać parę puszek ze spiżarni, ale nie opłaca mu się ich dźwigać. Nieśpiesznie zatacza krąg, lustrując ściany i meble. Dom wznosi się wokół niczym coś martwego, pusta skorupa zawłaszczona przez dziewczynę na jej własny użytek: zagnieżdżyła się w nim na podobieństwo kraba pustelnika.

Zbyt późno przyjechał. Na tym polega cały cholerny problem. Może gdyby dotarł tu kilka miesięcy wcześniej, zanim ona się pojawiła, byłoby inaczej. Chociaż chyba nie. Pewnie już w momencie, kiedy wypatrzył *Złodzieja luster* w tamtej norze na Lower East Side, było po wszystkim: Welles się poddał, stracił dawny pazur. Cokolwiek pchnęło go do napisania książki, wyrzekł się tego na rzecz pragnień, które łatwiej ogarnąć rozumem, przyziemnych marzeń o domu, żonie, rodzinie. Oblaskawił swoją inność i dzikość, okiełznał ją przy pomocy magicznych kręgów, czarnych kotar i zaryglowanych drzwi. Przestał rozumieć własne dzieło. Ale Stanley je rozumie. Chcąc dojść tam, dokąd prowadzi go książka, musi iść dalej sam – a przynajmniej musi być równie samotny jak Welles, kiedy ją pisał. Albo jak ta dziewczyna na górze. Być może nadejdzie taki dzień, kiedy wyda mu się to ciężką próbą, ale na razie Stanleyowi jest wszystko jedno.

Przy drzwiach stoi wieszak zwieńczony wygiętymi ku górze rogami, na których umieszczono kapelusze. Wśród nich Stanley znajduje tweedowy kaszkiet, który Welles miał na głowie owego wieczoru, kiedy się pierwszy raz spotkali. Stanley zdejmuje go i zakłada. Pasuje lepiej, niż mógłby przypuszczać.

Zakłada mokrą kurtkę, zarzuca na ramię wojskowy plecak ojca i wychodzi kuchennymi drzwiami. Na podwórku mgła oblepia mu nagi kark, a Stanley wyobraża sobie zajeżdżający przed dom samochód: Welles i Synnøve wchodzą na ścieżkę, prowadząc między sobą swojego kochanego chłopca. Claudio ma rękę w gipsie, jego przystojną, posiniaczoną twarz rozpromienia szeroki uśmiech. Cała trójka wstępuje na ganek; spieszo im otworzyć drzwi, uwolnić uwięzioną Cynthię, intonować zaklęcia i obnażać swoje ciała. Spieszo im rozpocząć wspólnie nowe, piękne życie: idealnej rodziny w idealnym świecie. Oczyma wyobraźni Stanley widzi też samego siebie, jak skrada się w ślad za nimi, podąża za odgłosami skrzypiących sprężyn, jęków i śmiechu. W dłoni ciąży mu czarny pistolet, a za plecami tłoczą się wszystkie rozszeptane duchy z plaży.

Przez krótką chwilę doskonale sobie uświadamia, kim jest: swoje obecne wcielenie, inne od poprzednich i tych, które dopiero nastąpią. W przeszłości bez namysłu podpaliłby ten dom. Większość jego przyszłych wcieleń również nie zawahałaby się tego zrobić i Stanley dobrze o tym wie. Po latach – w momentach beczynności, w półśnie – będzie sobie wyobrażał pożar, który mógł tego wieczoru wzniecić, zakończenie, które mógł wówczas dopisać. W tych rojeniach będzie go oglądał z perspektywy przepływającego statku albo przelatującego samolotu: płonącego jak pochodnia dom, który rozprasza mroki wybrzeża i rzuca długie cienie

na wszystkie strony świata. A w samym jego centrum – ona, podsycająca ogień swoim żywym ciałem. Piekło, pomyśli wtedy Stanley. Mogłem ci pokazać, czym naprawdę jest piekło.

Dziś jednak jest kimś innym i odpuszcza. Szkoda.

Odczekuje kilka minut, a gdy samochód nie nadjeżdża, poprawia plecak na ramieniu, otwiera furtkę i wychodzi na mokrą od deszczu wąską ulicę.

REDUCTIO

22 maja 1592

„Tak zatem wszelka boska natura powraca do jednego źródła, tak jak światło powraca do owej pierwszej iskry, która je roznieciła, a odbicia w zwierciadłach – tak liczne, jak liczne są rozmaite substancje – powracają do jednego doskonałego i formatywnego pierwiastka, który stanowi ich źródło”.

GIORDANO BRUNO, *Wypędzenie triumfującej bestii*

Crivano budzi się z urywanym śmiechem, siada i otwiera oczy w przesyconej ciepłem jego oddechu ciemności, usiłując przypomnieć sobie sen, który tak go rozbawił.

Było już późno, kiedy poprzedniego wieczoru wrócił od Morosinich. Mimo to czuje się doskonale wypoczęty i ani myśli znowu się kłaść. Odrzuca na bok koce, wstaje, przeciąga się i wydobywa nocnik spod łóżka.

Sikając, zauważa widoczny przez szparę w okiennicach skrawek nieba barwy indygo i zastanawia się, która jest godzina. W uszach wciąż dźwięczy mu głos Nolanusa – dziwne, zważywszy, że Crivano słuchał wykładu jednym uchem. „W komentarzu Cecco do dzieł Sacrobosco czytamy o demonie imieniem Floron, którego przy pomocy odpowiednich zaklęć można uwięzić w stalowym zwierciadle”. Tak pisał Nolanus. Czy aby na pewno? Może ów głos jeno mu się przyśnił? Może ów wytwór jego wyobraźni przylgnął doń po przebudzeniu na podobieństwo ślimaka, który przywiera do pierwszej gładkiej powierzchni, na którą padnie światło dzienne? Crivano nie ma co do tego pewności.

Rozlega się bicie dzwonów w kościele Sant’Aponal. Zanim wybrzmi dziesięć razy, Crivano zapala lampę, napełnia umywalnię i ochlapuje wodą twarz oraz kark. Za pół godziny wstanie słońce. Punktualnie w południe winien się stawić w księgarni Ciottiego, ma więc dość czasu, aby przespacerować się przez dzielnicę Rialto i obejrzeć nowy most. Wczoraj sen długo nie chciał nadejść. Crivana dręczyły niespokojne myśli związane z dziwnymi wydarzeniami minionego dnia – wspominał rozmowę z Ciottim przedstawionym mu przez Tristão i swoje wcześniejsze niespodziewane spotkanie z Periną – które dziś rano wydają mu się odległe, jakby w jakiś groteskowy sposób sen dał mu ukojenie. Przepęłnia go energia i brawura, czuje się jak pływający z wiatrem okręt.

„Dla mędrców egipskich lustro stanowiło atrybut bogini Hathor, Niebiańskiej Krowy, która opasuje nieboskłon jako Droga Mleczna, Ziemię zaś pod postacią Nilu. Jej greckim odpowiednikiem jest oczywiście Amfitryta”. Poprzedniego wieczoru Nolanus przemawiał przez dwie trzecie godziny, choć wydawało się, że trwało to znacznie dłużej. Crivano poświęciłby wykładowi więcej uwagi, gdyby nie był tak rozdrażniony zachowaniem Tristão: jego nad wyraz niedyskretną wzmianką o posrebrzonym alembiku, tym, że podsunął Nolanusowi temat zwierciadła. Naturalnie z tego właśnie powodu wybrał go Narkis i pokierował ku niemu kroki Crivana – jego nierozważna paplanina o wiedzy tajemnej ma być rekinem, przy którym wykarmi się zwinna podnawka ich spisku – lecz Crivano mimo wszystko czuje się zdemaskowany, narażony na niebezpieczeństwo przez lekkomyślne gesty współnika. W dodatku minionego

wieczoru Tristão opuścił komnatę kilka minut po podrzuceniu Nolanusowi tematu wystąpienia. Szepnął coś jeszcze na ucho Ciottiemu i już go nie było. Choć niewątpliwie był ekscentrykiem, nieuprzejmość nie leżała w jego naturze, nawet wobec takiego pajaca jak Nolanus.

„Hathor to małżonka Ra, boga Słońca. Podobnie jak Izyda, jest również żoną Ozyrysa. A także, jak Seszat, żoną Thota”. Idąc korytarzem, Crivano słyszy dolatujące zewsząd pochrapywania. Najwyraźniej wszyscy goście poza nim jeszcze smacznie śpią. W sali na dole zastaje friulijską służącą w nocnej koszuli, która ziewając, podsyca ogień drewnianymi szczapami. Dzień dobry, panienko, wita ją Crivano. Czy Anzolo już wstał?

Dziewczyna odwraca się, spuszcza wzrok. Nie, dottore, mówi. Mam go zawołać?

Crivano przygląda jej się przez chwilę: cienkie włosy, szerokie biodra, czternaście albo piętnaście lat. Wszystkie one zdają się zawsze onieśmiałe jego osobą, jakby się go bały. Nie potrafi ich olśnić ani zauroczyć tak jak Tristão. Oczywiście głupotą byłoby mu zazdrościć. Nie trzeba, odpowiada dziewczynie. Wystarczy, jak mu przekażesz wiadomość. Wczoraj wieczorem pomógł mi przydzwigać tu pewną szkatułę, którą następnie zamknęliśmy w szafie. Teraz wychodzę i powrócę Pod Białego Orła przed czternastym dzwonem. Będę wówczas potrzebował silnego i godnego zaufania gondoliera, żeby zawiózł mnie wraz z ową szkatułą na Murano. Ufam, że Anzolo się o to zatroszczy.

Z pewnością, dottore. Dopilnuję, żeby otrzymał waści wskazówki.

Na dworze niebo przybiera odcień zabarwionego żółcią błękitu. Trzaskają otwierane okiennice, z parapetów zwieszają się kobierce, a z koszyków niewiast udających się do fornaio czuć zapach ciasta na zaczynie. Crivano tkwi pod szyldem Białego Orła, obmyślając trasę, którą najlepiej dojść do Le Mercerie. Przymyka powieki, przywołując przed oczy obraz miasta, wyobrażając sobie, że szybuje nad nim w powietrzu, a gdy pierwsze promienie słońca rozpalają blaskiem dzwonnice kościoła św. Kasjana, rusza w drogę.

Gdzieś w połowie ulicy Bednarzy na wystawie apteki jego uwagę przykuwa pęk mięty o jasnobłękitnych kwiatkach – do tego stopnia, że przegapia skręt w ulicę Szermierzy. Pomyłkę uświadamia mu dopiero woń pobliskiego targu rybnego, lecz wówczas nie ma już ochoty zawracać. Widzi świetliste powietrze nad kanałem oraz ścianę jasności w miejscu, gdzie kończą się zabudowania, i tam też się udaje. Zapomina na moment o celu swojej wędrówki i rozkoszuje się myślą o nieskończonych możliwościach, poczuciem zawieszenia człowieka, który ani się nie zgubił, ani nie jest pewien dalszej drogi.

„Babilończycy utożsamiają Hathor z Isztar, Żydzi zaś zwą ją Asztarte. Dla Greków to Io, ukochana Zeusa, strzeżona przez stuokiego olbrzymia, którego, rzecz jasna, zgładził Hermes”. Crivano przestępuje nad kałużami słonej wody i stertami

odpadków, lawiruje wśród straganów ciekaw, czym też morze obdzieliło rybaków. Większość tych stworzeń pamięta jeszcze z wypraw na Balık Pazarı w czasach, gdy służył na sułtańskim dworze, lecz wiele jest mu nieznanych, a nazwy innych pozapominał. Patykowate kraby na cienkich nogach, langustynki o koralowym zabarwieniu, żabnice o żabich pyskach. Równe niczym grzbiety księżek rzędy małży nożeńców. Kłębowisko ośmiornic o fioletowych mackach najeżonych białymi przyssawkami. Barweny i dorady sztywnieją w ciepłym powietrzu, oczy zachodzą im mgłą niczym szkło podrzędnej jakości. Widoczna za kramami woda pulsuje barwami na podobieństwo olbrzymiego kobierca; błękitu użycza jej niebo, ochry – wznoszące się nad Canale Grande pałace. Na cumującej przy białym wapiennym nabrzeżu rybackiej łodzi żaglowej trwa wyładunek: połyskujące jak lusterka sardynki spią się wartkim strumieniem.

Crivano mija ukryte w podcieniach ławy wekslarzy i bankierów, po czym podąża dalej na południe przez dzielnicę Rialto, przystając tu i ówdzie, aby przyjrzeć się czerwonej cykorii z Treviso, kołom sera z Asiago, powiązanym w pęki szparagom z Bassano del Grappa. Pochyla się nad cytrynami o jasnej skórce i gorzkimi pomarańczami ze stałego ładu, w tym nad sprowadzonymi z Bergamo aromatycznymi owocami w kształcie łyż; ceny niektórych cytrusów są tak wygórowane, że Crivano nie może się powstrzymać, aby nie zagadnąć kupca o przyczynę. Uskokowie, odpowiada tamten z krótkim wzruszeniem ramion.

Z przyjemnością wciąga w nozdrza gryzący zapach konopi i smoły na placu Powroźników, lecz sam towar go nie interesuje. Zanurza się w wąską uliczkę Poręczycieli i przez sottoportego wychodzi na Campo San Giacometto, wprost na Kolumnę Obwieszceń, i ze zdziwieniem rozpoznaje miejsce, w którym dwadzieścia lat wcześniej wraz ze Skowronkiem usłyszeli o upadku swojego rodzinnego miasta, Nikozji. Szli właśnie przez plac do banku Pisanich, aby spieniężyć papiery wartościowe jego ojca: dwóch ciemnookich młodzików czekających tylko, aby dać się uwieść zepsuciu. Obaj wydają mu się teraz tacy obcy: narwane gołowasy z głowami pełnymi szalonych pomysłów. Stali tam wówczas z rozdziawionymi ustami, a serca waliły im o żebra jak młotem, kiedy usiłowali się przebić przez obcy ich uszom dialekt comandadora przemawiającego ze szczytu porfirowego bloku. W ogólnej wrzawie, jaka potem wybuchła, przedostali się na południe, do dawnego portu, by stanąć pod kolumnadą Pałacu Dożów i łkając z wściekłości, zaczekać, aż urzędnik wpisze ich nazwiska – Gabriel Glissentti, Vettor Crivano – do rejestru pokładowego „Czarno-Złotego Orła” z Korfu. Kierowała nimi typowa dla młodych i uprzywilejowanych żądza samounicestwienia. Był pogodny wrześniowy dzień, a oni zamierzali wcześniej odwiedzić księgarnię. Dzisiaj Crivano ma podobny plan – przynajmniej to jedno się nie zmieniło.

Dzielnica Rialto też wygląda mniej więcej tak samo. Crivano podchodzi

bliżej, żeby przeczytać obwieszczenia wywieszane wokół posągu garbusa u podstawy kolumny. „Handlujący z Dalmacją kapitanowie odkupionych od Republiki galer muszą odtąd cumować w porcie w Spalato¹². Serenissima apeluje do Habsburgów i sultana, aby bezkrwawo rozstrzygnęli przedłużający się spór dotyczący Chorwacji. Uskokowie przechwycili trzy okręty kupieckie, wymordowali ich załogi, a serca kapitanów pożarli zgodnie ze swym pirackim obyczajem”.

Kiedy Crivano odwraca się, aby spojrzeć na tarczę zegara na fasadzie kościoła San Giacometto, spostrzega nowy kamienny most, którego jednoprzęsłowa konstrukcja wznosi się u wylotu ulicy Złotników i spina brzegi Canale Grande. Dodatkowo z obu stron nabrzeża prowadzą na most strome schody. Jeszcze przed chwilą zupełnie o nim nie pamiętał – teraz śpieszy w tamtym kierunku, jakby się obawiał, że most lada moment rozplynie się w powietrzu.

Gdy po raz pierwszy przybyli do miasta ze Skowronkiem, często byli świadkami rozmów o potrzebie wybudowania stałej przeprawy łączącej dzielnicę Rialto z placem Świętego Marka, godnej chrześcijańskiej potęgi Republiki, szybko się jednak zorientowali, że podobne dyskusje toczą się tu od dobrych pięćdziesięciu lat. Wyglądało na to, że epidemie zarazy, pożary, wojny oraz zapiekły sprzeciw reakcjonistów z Wielkiej Rady w nieskończoność odwlekać będą budowę mostu. Lecz oto jest! Crivano wspina się wzdłuż południowej balustrady, obserwując z góry rozładunek łodzi wiosłowych i żaglowych: na lewym brzegu żelazo i węgiel, na prawym beczułki wina. Staje na szczycie pod podwyższonym łukiem i spogląda w dół na Canale Grande, na którego powierzchni igrają pierwsze odblaski wschodzącego słońca. Gdy wiatr zmienia kierunek, przez bijący od wody słonawy zaduch przebija intensywna woń świeżych wapiennych bloków.

Schodzi środkiem mostu, szerokim przejściem między dwoma rzędami kramów, żeby obejrzeć wystawy złotników i jubilerów. Przy końcu mostu napotyka wystawę sklepu z wyrobami ze szkła, na niej zaś paciorki imitujące perły: są więcej niż doskonałe, w dodatku w cudownych, niespotykanych kolorach, i gdy Crivano na nie patrzy, zaskoczony spostrzega własne odbicie w płaskim zwierciadle zawieszonym na bocznej ścianie kramu. Wykonano je z prostokątnej tafli najwyższej jakości szkła pochodzącego z pracowni rodziny Del Gallo, długości zaledwie kilkunastu centymetrów, i osadzono w zdobionej zawijasami ramce z chalcedonu; Crivano mógłby przysiąc, że to szyba okienna, gdyby nie to, że ze środka spogląda nań jego własna twarz. Cofa się gwałtownie, by po chwili przyjrzeć się uważniej swojemu odbiciu: zmarszczkom na skórze, nierównym zębom, oczom szakala. Przypomina sobie po raz kolejny, kim i czym jest.

Księgarnia Ciottiego mieści się nieopodal Campo San Salvador; mały drewniany szyld z napisem MINERVA pojawia się i znika, przesłaniany przez wzdymane wiatrem czerwone jedwabie na sąsiadującym z księgarnią straganie

kupca bławatnego. W drzwiach stoi sam Ciotti i płynnie konwersuje po niemiecku z jakimś człowiekiem, najprawdopodobniej swoim drukarzem. Kiedy Crivano się zbliża, Ciotti klepie tamtego po ramieniu i z szerokim uśmiechem na ustach daje mu znak, aby wszedł do środka.

W pomieszczeniu od frontu Crivano napotyka drobnokościstego chłopca w wieku około trzynastu lat, który nieufnie go pozdrawia. W głębi, za niskim przepierzeniem, przy stole pod oknem dwóch korektorów w okularach pochyla się nad stertą luźnych kartek. Jeden ledwie słyszalnie czyta na głos, drugi sprawdza wydrukowany tekst. Obaj poruszają wargami, więc trudno stwierdzić, który z nich milczy, a który czyta.

Czekając na Ciottiego, Crivano przygląda się wyłożonym w księgarni wydaniom w formacie octavo. Na dwóch wąskich stołach piętrzy się około pięćdziesięciu tytułów: są wśród nich dzieła historyczne, biografie oraz tomy poezji. Większość wydrukowano w językach pospółstwa, głównie miejscowym i tokańskim; tylko kilka ksiąg jest po łacinie. Na tych z wyższej sterty – antologia korespondencji misyjnej z Chin oraz Japonii – widnieje pieczęć własna drukarni. Z boku na dalszym stole Crivano znajduje dwie prace Nolanusa. Jedna to octavo, które Tristão pokazywał mu podczas wieczerzy Pod Białym Orłem, druga natomiast to dialog filozoficzny napisany w języku tokańskim, w stylu Lukiana. Z godła na frontyspisie wynika, że wydrukowano ją w tym mieście, co niepomnie rozbawia Crivana: gołym okiem widać, że książkę składał angielski drukarz, któremu być może marzyła się sława tutejszej drukarni Aldusa Manucjusza. Crivano jest ciekaw, czy owo drobne oszustwo nie dokonało się przypadkiem na prośbę samego Nolanusa.

Kiedy wchodzi Ciotti, Crivano schyla się, pozorując zainteresowanie stertą książek na stole. Podziwiałem właśnie rękę rzemieślnika, który wykonał ów mebel, odzywa się. Dźwiga zarówno pisma jezuickie, jak i dzieła Nolanusa, nie skłaniając się w znaczący sposób ku żadnej ze stron.

Ciotti wybucha śmiechem. Doceniam waszą spostrzegawczość, dottore, mówi. Nie zawsze łatwo uzyskać taką równowagę. Szczególnie w tym mieście, gdzie nazbyt często ziemia zdaje się nam usuwać spod nóg.

Crivano odwraca się, aby wymienić powitalny ukłon oraz uścisk dłoni ze sieneńczykiem. Gdyby nie okulary o grubych szklach, zawieszzone na szyi na łańcuszku, można by go wziąć za zamożnego rzemieślnika, piekarza albo stolarza.

Zaskoczyło mnie godło waszmości na frontyspisie zbioru pism jezuickich, rzecze Crivano. Przyjaciel waszmości, szlachetny Mocenigo, musiał być temu wielce rad.

Uśmiech księgarza blednie i zmienia się w czujny uśmieszek. Nie osądzajcie mnie zbyt surowo, przyjacielu, mówi. Zgodzicie się zapewne, że żołnierze papieża są nieocenieni, jeśli chodzi o dostarczanie nam relacji z dalekich wypraw. Moich

zaczynających klientów niezmiernie ciekawią zamorskie obyczaje. Poza tym, rzecz jasna, wszystkich obywateli Republiki interesują doniesienia o hiszpańskich wyprawach w najdalsze zakątki świata. Tych zaś z nas, których z kurją łączą zarówno sprawy doczesne, jak i duchowe, zawsze cieszy widok dostępnych w druku pism Towarzystwa Jezusowego. Zauważcie wszakże, dottore Crivano – jak ja sam zauważam z przykrością, ilekroć otwieram lub zamykam podwoje swojej księgarni – iż rzeczona sterta jest dość wysoka, w porównaniu z sąsiednimi, które regularnie maleją. Zechcecie przejść ze mną do mojej pracowni? Rekomendowany przez dottore de Nis tłumacz powinien wkrótce do nas dołączyć.

Ciotti prowadzi Crivana do niedużego, zagraconego pomieszczenia na zapleczu księgarni i zamyka za sobą masywne drzwi. Crivano zajmuje miejsce przy stole zasłanym luźnymi mapami i odbitkami korektorskimi. Ciotti siada naprzeciwko niego. Przy ścianach ciągną się dębowe półki, tak wyładowane, że próżno szukać na nich wolnego miejsca.

Przeszedłem się po kamiennym moście, odzywa się Crivano. Robi wrażenie.

Ciotti rozpromienia się z radości i dumy, jakby własnoręcznie go wybudował. Istotnie, przyznaje. Niedawno go ukończono.

Tylko jedno przeszło, ciągnie Crivano. Zaskakujące rozwiązanie. Dalekie od klasycznych wzorców.

Ciotti posyła mu znaczące spojrzenie. Rozumiem, że masz waszmość na myśli wzorce rzymskie.

Jakże się zwie architekt?

Bardzo stosownie: Antonio da Ponte.

Crivano kręci głową. Nie słyszałem o nim, mówi.

To inżynier. Niegdyś kierował Magistratem Solnym, ostatnio zaś dał się poznać jako budowniczy. Ten pompatyczny dureń, Marcantonio Barbaro, robił wszystko, co w jego mocy, aby przedsięwzięcie zlecono Vincenzo Scamozziemu. Szczęśliwie łaska boska uchroniła nas przed kolejnym popisem niekompetencji tego pyszałka. Narobił już dostatecznie dużo szkód na placu Świętego Marka. Signore da Ponte ledwo zdołał przekonać Senat, aby ten zabronił mu dobudowania trzeciego piętra w gmachu biblioteki. Wyobrażasz to sobie waść? Panowie Morosini pokazali mi szkice mostu Rialto do projektu Scamozziego. Były szkaradne. Do znudzenia geometryczne. Absurdalne zdobnictwo. Pytam was: czy most to świątynia? Nie. Most to most.

Crivano uśmiecha się. Poznałem signore Barbaro wczorajszego popołudnia, mówi, na uczcie w domu wielmożnego Giacomo Contariniego. Z jego słów wywnioskowałem, iż oskarża hutników szkła z Murano o narażanie na szwank przyszłości Republiki. Zamiast wzorem florentczyków skupiać się na produkcji soczewek, zajmują się wytwarzaniem luster.

Tak. To jego konik.

Po wieczerzy pewien słynny neapolitański uczoney mimochodem podważył jego argumentację, udowadniając zebrany, że soczewki mogą wyczarowywać obrazy równie lub wręcz bardziej frywolne od tych, które potrafi wyczarować tafla srebrzonego szkła.

No cóż, mogę jedynie żałować, że nasz opętany zwierciadłami przyjaciel, Tristão de Nis, nie był świadkiem owego widowiska, mówi Ciotti i mruży oczy z ciekawością. Jeżeli mogę zapytać, dottore – jak odebraliście wczorajsze wystąpienie Nolanusa?

Crivano wzrusza ramionami. Zakładając, że jego intencją było zademonstrowanie niezwykłych możliwości swojej pamięci, przypuszczam, że odniósł sukces. Jeżeli jednak zamierzał podzielić się z nami konkretną wiedzą na zadany temat, to muszę przyznać, że jego występ pozostawił we mnie niedosyt.

Ciotti odchyła się na oparcie krzesła; prawą dłoń kładzie na spoczywającej obok na stole płytkiej drewnianej tacy. Zaiste, mówi, trzeba rzadkiego daru wymowy, aby móc ze znajomością tematu wypowiadać się w jakiejś kwestii, a zarazem siać zamęt w umysłach słuchaczy. Czasami wydaje mi się, że umiejętność ta graniczy z magią. Sądzę, że przyznacie mi rację, gdy powiem, że Nolanus w pełni ją posiadał. Mimo wszystko nie mogę go uznać za szarlatana.

Na podstawie tego, co mówił mi o nim Tristão, wtrąca Crivano, spodziewałem się ujrzyć oszusta albo szaleńca. Tak jakby te dwie kategorie wzajemnie się wykluczały.

Ciotti przytakuje; drewniana taca grzechocze pod jego palcami. Pionowe deszczułki dzielą ją na kwadratowe przegródki, a w każdej z nich umieszczone są wąskie sztabki jakiegoś matowego metalu. Ich dźwięk przypomina grzechot kości do gry. Podążając za wzrokiem Crivana, Ciotti bierze kilka z nich w palce i podaje gościowi w dłoni zakrzywionej niczym ptasi dziób. Proszę, mówi. Widzieliście już coś takiego, dottore?

Crivano wyciąga rękę. Metal ślizga się po jego pobrużdzonej, pełnej odcisków skórze. Każdy kawałek, cieńszy niż palec noworodka, ma kształt prostopadłościanu i jest odlany ze stopu ołowiu. Na każdym też widnieje grecka litera – Λ H Θ H – wytłoczona w formie płaskiego reliefu przy węższym końcu sztabki. Ruchomy druk, odgaduje Crivano. W Bolonii widziałem kiedyś prasę drukarską, ale pierwszy raz widzę coś takiego.

Nazywamy je czcionkami, wyjaśnia Ciotti. Przenosi się je do formy drukarskiej, z której następnie jest odbijany tekst. Nie robimy tego tutaj. Opłacam drukarza, który zazwyczaj odlewa własne czcionki. To człek dyskretny i godny zaufania, lecz nieobyty z greką. A jako że ostatnio podjąłem się wydrukować *Enneady* Plotyna, musiałem zamówić greckie czcionki. Kiedy zaczynałem, posługiwałem się wyłącznie alfabetem łacińskim. Ale po tym, jak Brucioli odniósł sukces, drukując księgi po hebrajsku, nie sposób było dłużej ignorować taki rynek

zbytu. Niektórzy z członków naszego cechu – pozwolicie waszmość, że nie wymienię ich nazwisk – zaskarbili sobie przywilej drukowania w języku arabskim i zarabiają teraz krocie, sprzedając Turkom święte pisma Mahometa.

W oku Ciottiego błyska coś na kształt nadziei – a może zachęty? – i Crivano z trudem powstrzymuje grymas obrzydzenia. W Konstantynopolu nieraz zdarzało mu się widywać frankijskie wydania Koranu: pozbawione wyrazu i urody, pełne szokujących błędów. Ich niechlujstwo mniej irytowało muftich niż sam fakt ich istnienia: myśl, że zamiast żywego oddechu Proroka i jego uczniów czy wprawnej ręki kaligrafa mają do czynienia z bezduszną maszyną, która w tajemniczy sposób powieliła doskonale słowo ich Boga. Crivano woli jednak nie dzielić się tymi przemyśleniami z Ciottim. Nachyla się do przodu i kładzie czcionki na zgiętej dłoni sieneńczyka.

Ciotti przygląda im się, dźgając metal palcem wskazującym; przypomina przy tym rolnika badającego garść ziaren. Myślałem o nich ubiegłej nocy, wyznaje. Takie skojarzenie z czymś, co powiedział Nolanus. Mówił o świetle odbitym w lustrze, o tym, jak różni się od naszego świata. Jak on to dokładnie ujął? Pamiętasz może, waść?

Crivano nie pamięta. Otwiera usta, żeby zaprzeczyć, kiedy rozlega się ciche pukanie do drzwi. Ciotti wstaje, aby otworzyć, i w szparze między drzwiami a framugą ukazuje się blada twarz chłopca. Jakiś Turek chce z wami mówić, maestro, informuje.

Znakomicie. Wprowadź messera bin Silena.

Na dźwięk tego nazwiska Crivanowi wilgotnieją pachy, serce zaczyna mu żywiej bić, lecz twarz pozostaje spokojna, a ciało odprężone. Jest czujny, ale nie odczuwa lęku. W pewnym sensie tego się spodziewał.

Zresztą Ciotti nawet na niego nie patrzy. Zamknąwszy drzwi, stoi zwrócony twarzą do nich, z nosem zbliżonym na szerokość dłoni do sękatego drewna. W lewej ręce wciąż trzyma metalowe czcionki i bezwiednie nimi potrząsa. Ich delikatne pobrzękiwanie wypełnia pokój niczym stłumiony dźwięk tamburynów dolatujący zza murów pałacu.

Człek, który zapoczątkował ruchomy druk, odzywa się nagle Ciotti, trudnił się wcześniej wyrobem luster. Przynajmniej tak mówią. Wiedziałeś o tym waszmość? Od tamtej pory minęło wiele lat. Człek ów, niemiecki złotnik, sprzedawał lusterka pielgrzymom nawiedzającym kaplicę w Akwizgranie. Owi prości ludzie wierzyli, że są one w stanie pochwyć i przechować niewidoczne błogosławieństwa emanujące z tamtejszych relikwii. Jestem pewien, że pod względem jakości nie mogły się równać z tymi z Murano. Były wykonane ze stopu ołowiu oraz cyny – składem zbliżone w istocie do moich czcionek – i płaskie, w związku z czym odbicie musiało być odwrócone. Lubię sobie wyobrażać, że właśnie to poddało owemu niemieckiemu złotnikowi pomysł stworzenia czcionek:

rzędów maleńkich odwróconych liter, lustrzanego odbicia niewydrukowanej jeszcze karty. Nolanus stwierdził wczoraj, że zwierciadło nigdy nie pokazuje świata takim, jakim on jest naprawdę. Pomaga go wszakże lepiej poznać i pod tym względem nie różni się chyba tak bardzo od książki.

Ponownie rozlega się pukanie do drzwi. Ciotti pociąga za klamkę z kutego żelaza. Messer bin Silen, mówi. Dziękuję, że zechcieliście podzielić się ze mną swoim doświadczeniem. Giovanni Battista Ciotti, do usług. Witam w moich skromnych progach.

Wchodzący do środka Narkis zdaje się sunąć sztywno kilka centymetrów nad podłogą, jakby popychała go naprzód jakaś zewnętrzna siła. Przypomina słomianą kukłę na jarmarku. Ma na sobie błękitne spodnie i wyszywany kaftan w kolorze gotowanej pigwy. Nawet w turbanie jest tylko trochę wyższy od eskortującego go chłopca. Wielkie oczy trzyma utkwione w jednym punkcie na podłodze jakieś dwa metry przed sobą: charakterystyczna poza tureckiego wygnańca we wrogim mu mieście. Mówi cichym, chrapliwym głosem. Witam, messer Ciotti. Dziękuję za gościnne przyjęcie.

Gospodarz serdecznie się uśmiecha, ale wydaje się skrępowany, najchętniej zaraz by się pożegnał. Co rusz zerka w stronę głównego pomieszczenia księgarni, jakby chciał się upewnić, kto tam jest i czy widział przypadkiem wchodzącego Narkisa. Niewątpliwie troszczy się o zachowanie pozorów.

Pozwól waść, że mu przedstawię Vettora Crivana, mówi, który będzie nam dzisiaj służył swoją pomocą. Dottore Crivano pochodzi z Cypru i przez wiele lat mieszkał wśród waszego ludu. Dottore Crivano, oto Narkis bin Silen, który przybywa do nas z Fondaco dei Turchi.

Crivano i Narkis wymieniają sztywne ukłony.

Moi czcigodni przyjaciele, mówi dalej Ciotti, nie chciałbym zajmować wam więcej czasu niż to konieczne. Moja prośba jest prosta. Pewien młody szlachcic i mój znajomy zlecił mi wydrukowanie – w ograniczonym nakładzie – łacińskiego przekładu krótkiego traktatu muzułmańskiego alchemika Gebera. W jego ręce trafił arabski oryginał, który przekazałem uczonemu mężowi z Padwy celem wykonania tłumaczenia. Naszą troskę – moją i mojego klienta – budzi jednak wierność przekładu. Ów padewski uczony to podobno tęga głowa, lecz jest też poniekąd poetą, ze skłonnością do upiększania tekstu kosztem jego jasności. Obaj panowie macie tę przewagę nade mną, że władacie ojczystym językiem wielkiego Gebera i nieobce są wam praktyczne aspekty alchemii. Proszę jedynie, abyście porównali wersję łacińską z oryginałem i ocenili jej przydatność pod wspomnianym kątem. Wysilek wasz wynagrodzę brzęczącą monetą albo towarem, który mam na sprzedaż. Przy czym usilnie zachęcam was, abyście wybrali to drugie.

Ciotti przegania z księgarni obu korektorów – daje im po garści miedziaków i posyła ich do kasyna, które znajduje się jedną przecznicę dalej – a sam rozkłada na masywnym stole oba manuskrypty. Słońce stoi już na tyle wysoko, że jego promienie nie wpadają przez okno; odbijają się jednak od świeżo otynkowanego muru po przeciwnej stronie uliczki, dzięki czemu Crivano i Narkis mają dość światła do pracy.

Ciotti wraca na zaplecze, pozostawiając otwarte drzwi. Crivano szuka

w twarzy Narkisa wskazówek, jak ma się zachować, lecz spojrzenie tamtego jest tak obojętne, że na chwilę opadają go wątpliwości. Czy to aby na pewno Narkis? A może jego identyczny brat bliźniak, o którym nikt nigdy nie słyszał? Niski Macedończyk przypatruje mu się wzrokiem, w którym ciekawość w równej mierze miesza się z odrazą – tak samo mógłby spoglądać na martwego ptaka nieznanego gatunku, znalezione pod świeżo oszklonym pałacowym oknem.

Siadają. Ledwie dostrzegalnym ruchem gałek ocznych Narkis daje Crivanowi znak, aby ten wziął do rąk oryginalny dokument. Crivano poprawia się na krześle i zaczyna czytać na głos. Tekst nie jest długi, więc czyta powoli. Narkis przysuwa sobie kałamarz i spod półprzymkniętych powiek śledzi łaciński przekład.

Traktat dotyczy transmutacji metali. Jego treść nie byłaby godna uwagi, gdyby nie napisał go wielki Abu Musa Dżabir Ibn Hajjan, znany Frankom jako Geber. Ciotti musi zdawać sobie sprawę, że to niemal na pewno fałszywka – późniejsze naśladownictwo albo, co gorsza, arabski przekład wcześniejszej łacińskiej podróbki. Nie jest to jednak kwestia, w której mają się dzisiaj wypowiedzieć.

Nie przerywając lektury, Crivano od czasu do czasu zerka ukradkowo na Narkisa. Ich spotkanie w aptece celowo było przelotne; teraz wreszcie ma okazję przyjrzeć mu się z bliska, pierwszy raz od spotkania w Rawennie kilka miesięcy temu. Twarz Narkisa jest gładka jak u dziecka, pozbawiona zmarszczek i jaśniejsza niż oblicza Crivana i Ciottiego. Niezależnie od okoliczności towarzyszy mu poczucie niczym niezmaconego spokoju. Kursującą między manuskryptem a kałamarzem dłoń zdobi wytatuowany na skórze czarny ptak, symbol jego ordy; Crivano jest ciekaw, na ile inaczej potoczyłyby się jego własne losy, gdyby zrządzeniem Fortunyznaczono go w taki sam sposób zamiast na piersi i nodze, w miejscach ukrytych pod odzieniem.

Przez pół godziny ślęczą nad tekstem. Sporadycznie Narkis przerywa mu, aby zadać jakieś pytanie albo zanotować coś na marginesie. Napięcie staje się trudne do zniesienia. Crivano zaczyna się zastanawiać, czy Narkis nie czeka przypadkiem na jakiś sygnał z jego strony, lecz nie wyobraża sobie, co by to mogło być. Język mu się płacze; niektóre wersy powtarza po kilka razy, inne zaś pomija, aż Narkis musi go delikatnie upominać.

Nagle, nie podnosząc wzroku znad traktatu, Narkis wykonuje szybki ruch prawą ręką i dotyka palcami warg. To ișaret, język głuchoniemych, znany każdemu, kto służył na wewnętrznych dziedzińcach sułtana, gdzie obowiązywała reguła milczenia. Crivano nigdy nie zdołał go w pełni opanować, a wiele z tego, co kiedyś umiał, po prostu zapomniał. Rozumie jednak znaczenie znaków na tyle, aby wiedzieć, o co z grubsza chodzi. „Mów – nakazuje mu Narkis. – Opowiadaj”.

„Wziąwszy dowolną ilość skruszonego kamienia – czyta Crivano – ucierać go z siarczanem żelaza, salmiakiem rodzimym i wodą, póki nie czernieje”.

Zarówno hutnik szkła, jak i zwierciadlnik zgodzili się na współpracę i są gotowi w ciągu kilku godzin opuścić miasto. Czekamy na dalsze instrukcje. „Następnie całość lekko podgrzewać, aż wyda woń męskiego ejakulatu”.

Crivano stara się czytać monotonie, ze stałą modulacją. Żołądek mu się ściska, gdy składa swój raport, chociaż poza Narkisem w zasięgu głosu nie ma nikogo, kto rozumiałby arabskie słowa; słyhać jedynie nieprzerwaną recytację.

Dłoń Narkisa znowu przemawia. A co z tym zabitym?

Spoczywa w lagunie. Nikt go nie znajdzie. Nie słyszałem, aby jego zaginięcie wzbudziło czyjkolwiek niepokój. „Kiedy pojawi się ów zapach, zdjąć z ognia i przepłukać delikatnie czystą wodą, po czym prażyć na wolnym ogniu do czasu uzyskania widocznej pary”.

Narkis kiwa głową i odzywa się głośno, również po arabsku. Odmowa hutnika opuszczenia Murano bez żony i synów to poważny problem, mówi. To byłoby niepotrzebne ryzyko. Nie da się go przekonać? Nie możesz mu obiecać, że rodzina w stosownym czasie do niego dołączy?

Tak bowiem brzmiał zasadniczy warunek postawiony przez Serenę w jego sekretnej wiadomości i główny punkt zaszyfrowanego sprawozdania Crivana. Liczył, że spełnienie żądania hutnika nie nastęrczy większych trudności – skoro Narkis mógł zorganizować ucieczkę trzech mężczyzn, cóż to za kłopot włączyć do grupy uciekinierów kobietę z dwójką chłopców? – lecz najwyraźniej jego nadzieje były płonne. Hutnik nie jest głupcem, odpowiada teraz. Musimy zrobić, czego żąda. Nie martw się o rodzinę. Znajdę sposób, aby ich ukryć, nie narażając na szwank naszego planu. „W ten sposób pozbedziemy się wody, masa minerału zaś zostanie zredukowana bez szkody dla jego istoty”.

Znalazłem statek, zdradza Narkis. Za trzy tygodnie wypływa z portu w Spalato.

Tym razem to Crivano się denerwuje. Ze Spalato? Dlaczego nie stąd? – pyta. „Zdjąć z ognia, ponownie zalać wodą, rozdrobnić i raz jeszcze uprażyć jak przedtem. Czerń powinna ustąpić”.

„To zbyt niebezpieczne – pokazuje na migi Narkis. – Podróż musi się zacząć na lądzie”.

Crivano uświadamia sobie, że Narkis obawia się uskoków. „Zdjąć suchy kamień, gdy ten wchłonie wodę” – czyta. Nie obędzie się bez problemów. Rzemieślnicy wierzą, że jadą do Amsterdamu, nie do Konstantynopola. Zwłaszcza zwierciadlnik jest zdesperowany i niełatwo będzie go kontrolować. Obawiam się, że jak tylko znajdzie się na lądzie, zechce na własną rękę czmychnąć do Niderlandów. „Utrzyj z czystą wodą i ponownie praż, aż uzyska kolor zielony, czerń zaś całkiem zniknie”.

„Przekonaj go, żeby współpracował” – daje mu znaki Narkis. A głośno mówi: Dzisiaj ja przyjmę zapłatę w monetach, a ty w księgach. Potrzebne ci

informacje ukryję w łacińskim przekładzie *Kitab-al-Manazir* na stole bliższym wejścia. To druga księga na tej stercie. Wraz z rzemieślnikami bądźcie gotowi za trzy dni wyruszyć z Cannaregio na stały ląd.

Narkis podnosi wzrok znad manuskryptu i napotyka spojrzenie Crivana. Przez chwilę patrzy mu w oczy, po czym spogląda w dół i już się nie odzywa.

W ciągu godziny korekta jest skończona. W milczeniu obaj przeglądają księgi w głównym pomieszczeniu, podczas gdy Ciotti w skarbczyku odlicza zapłatę dla Narkisa: nieduży stosik złotych monet. Crivano pokazuje księgarzowi wybrane przez siebie pozycje: nowy przekład Galena, jeden z traktatów Nolanusa oraz *Kitab-al-Manazir*. Narkis wychodzi, zanim Ciotti wykreśli je ze swojego spisu.

Południowe słońce rzuca dziwne cienie na plataninę uliczek handlowych, wiosenny wietrzyk furkocze wystawionymi na sprzedaż tkaninami. Bruk nosi ślady wczorajszych nocnych hulank: nie sposób zrobić kroku, żeby nie natknąć się na rozlane wino, ubłoconą wstążkę albo skorupki jajek. Gdy Crivano spogląda na południe w kierunku placu Świętego Marka, wydaje mu się, że dostrzega turban Narkisa, pojawiający się i znikający między kramami niby księżyc wśród chmur, nie ma jednak pewności. Kilku robotników ze statku węglowego mija Crivana, śmiejąc się w głos; białka ich oczu błyszczą w uczernionych twarzach niczym skorupy małży. Grupka bravi kręci się na rogu ulicy, obserwuje robotników oraz Crivana. Twarz jednego z opryszków, prawdopodobnie weterana wojen we Francji, jest tak zmasakrowana, że nie sposób nazwać jej twarzą: w gąszczu blizn widać jedynie szczelinę ust i jedno łpiące oko. Crivano wzdryga się i zbacza w przeciwną stronę.

Pomysł z zaokrętowaniem w Spalato wcale mu się nie podoba. Będzie musiał poszukać Obizza i przekazać mu nowiny, ale najpierw trzeba pomyśleć, jak najlepiej przedstawić mu całą sprawę. Nie wyobraża sobie, jak miałyby zapanować nad Obizzem, kiedy już znajdą się na lądzie. Tak niewiele o nim wie. Przed czterema laty skazano go na galery za pomoc starszemu bratu w ucieczce z Murano; od tamtej pory żyje w ukryciu, jego brat natomiast z powodzeniem prowadzi zakład szklarski w Amsterdamie – mieście, do którego Obizzo sam spodziewa się wkrótce udać. Oczywiście srodze się zawiedzie. Crivano wie o tym, wie także, że Obizzo nie zawaha się przed popełnieniem morderstwa. Obaj z Obizzem poznali się już od tej strony.

Opuszcza Le Mercerie i prostą, szeroką arterią udaje się w stronę Canale Grande. Tutaj nie ma już takiego tłoku, ludzie szybciej się przemieszczają. Śpieszno mu powrócić Pod Białego Orła; liczy, że zanim będzie musiał popłynąć na Murano, zdąży przejrzeć nowe książki – przyłożyć drewniany szablon, odczytać zaszyfowaną wiadomość i przekonać się, co zaplanował Narkis. Lecz na Riva del Ferro niespodziewanie przystaje.

Znowu ten most. Większość łodzi jest już załadowana, rozładowana albo

w drodze na ląd, dzięki czemu nic nie zasłania jasnego przęsła, znakomicie widocznego z nabrzeża. Odbite kolory sąsiadujących z mostem fasad sprawiają, że biały wapień nabiera lekko złocistego odcienia, który przywodzi na myśl mięso przegrzebka. Od spodu na wielkim łuku igrają świetliste zygzaki. Crivano wyobraża sobie budowlę, która mogła powstać w tym miejscu – opisane mu przez Ciottiego nieudolne naśladownictwo rzymskiej świątyni – i uśmiecha się pod nosem. Nowy most jest tak praktycznie pomyślany, że aż zapiera dech w piersiach, i tak dobrze dopasowany do podskórnego rytmu oraz niewidocznej tkanki dzielnicy, że niemal się w nią wtapia, znika patrzącemu sprzed oczu.

W mieście, które potrafi wybudować coś podobnego, myśli Crivano, z pewnością można dokonać wielkich dzieł.

Chociaż obaj najęci przez Anzola gondolierzy są ewidentnie pijani – a może właśnie dlatego? – okazują się energiczni i szybcy: sprawnie przeciągają bukowe wiosło przez żelazne uchwyty szkatuły Tristão i przenoszą ją na pokład łodzi niczym upolowanego jelenia. Następnie usadzają Crivana na ławce ze szkatułą między nogami i ile sił w ramionach wiosłują w stronę kanału Cannaregio, przerzucając się zwrotkami przedziwnej barkaroli o nieszczęsnej damie, co tka zaczarowaną sieć. Wkrótce przepływają pod Mostem Iglic – kolejną nową jednoprzęsłową przeprawą – i przez oblepione błotem nowe dzielnice miasta wydostają się na otwarte wody laguny. Dziób łodzi wskazuje północ, potem wschód. Crivano odдыcha przez przyłożoną do nosa chustkę i nachyla się nad szkatułą; ilekroć jakaś zabłąkana fala zakołysze kilem, żołądek podchodzi mu do gardła.

Po wodzie niesie się głuchy wystrzał i biały obłoczek dymu wznosi się znad przepływającego przed nimi sandolo: to dwóch myśliwych poluje na kaczkę. Drugi obłoczek ukazuje się nieco dalej, u bagnistych wybrzeży San Cristoforo della Pace, a ułamek sekundy później rozlega się odgłos następnego wystrzału. Po stronie sterburty załoga złożona z pokrzykujących robotników otacza barkę, która w czasie odpływu osiadła na mieliźnie; mężczyźni wbijają drewniane pale w szlam, zmieniając płyciznę w stały ląd, rozbudowując miasto w głąb laguny.

Wioząca Crivana łódź ponownie obiera kurs na północ, ku ujściu Kanału Hutników, gdzie na tle pustego nieba wznosi się smuga dymu z hutniczego pieca. Wysiliwszy wzrok, Crivano dostrzega zielony cień u brzegów wyspy – skupisko dębów w miejscu, gdzie zmiądzzył Verzelinowi tchawicę. Zastanawia się mimowolnie, czy zniknięcie zwierciadlnika zostało zauważone i odbiło się szerokim echem, lecz prędko traci zainteresowanie tymi spekulacjami i ponownie zwraca oczy ku miastu. Przez gęstwinę wierzb porastających sąsiednie wysepki prześwituje nieziemska bryła kościoła San Francesco della Vigna i Crivana ogarnia nagle zadziwienie. Powraca wspomnienie uczucia, które wzbudził w nim widok tego miasta oglądanego po raz pierwszy. Dwa dni wcześniej w starym porcie nie potrafił go w pełni przywołać: pozostawało wyraźne, lecz martwe niczym własna namalowana podobizna. A i teraz Crivano dociera doń okrężną drogą, przez inne, późniejsze wspomnienie: karawany pewnego żądnego przygód młodego wezyra, z którą podróżował po Drodze Królewskiej. Zboczyli wówczas do ruin dawnej stolicy Nabatejczyków, Petry, położonej na południe od Morza Martwego. Przechadzając się wśród różanych monolitów opuszczonych świątyń wykutych w ścianach kanionu, Crivano nie potrafił przestać myśleć o chwili, gdy wraz ze Skowronkiem po raz pierwszy ujrzeli kopuły bazyliki zbudowanej na wodzie.

Wzniesiono ją – podobnie jak całe to niemożliwe miasto ich przodków, utkane z morskiej mgły – z materiałów, których próżno byłoby szukać na tych bagnach.

Gondolierzy cumują łódź na wolnym miejscu obok innej łodzi, wyładowanej aż po brzegi drewnem olchowym, jaskrawo pomarańczowym w promieniach słońca. Powietrze przesycza aromat świeżo pociętych pni. Podczas gdy oni wiążą liny do pachołka i szykują wiosło, aby dźwignąć szkatułę, Crivano zeskakuje na nabrzeże i śpieszy ku drzwiom oznaczonym godłem syreny – chimery z witrażowego szkła o kształtnych nagich piersiach i szponach drapieżnego ptaszyska – zawieszonym w ramie z ciemnego drewna. Wewnątrz półki uginają się od towarów wyprodukowanych w przyległym warsztacie: kryształowych dzbanów w kształcie żaglowców, szerokich, płaskich kielichów do czerwonego wina oraz smukłych karafek ze szkła tak przejrzystego, że widać je tylko dzięki pokrywającym je filigranowym zdobieniom. Można tam także znaleźć urny, półmiski oraz naczynia z chalcedonu w rozmaitych zaskakujących odcieniach. Dziewczyna za ladą słucha potulnie słów tęgiej matrony w eleganckiej symarze barwy szafranu; gdy Crivano wchodzi, obie odwracają się ku niemu i dwornie dygają. Na widok czarnych szat lekarza w oczach starszej pojawia się błysk niepokoju i kobieta zaciska usta. To żona Sereny. Wie, kim Crivano jest i co go sprowadza. Witam, odzywa się Crivano. Szukam maestro Sereny.

Dźwięk jego głosu wprawia w drżenie kruche kielichy na półkach; ich wysokie, dźwięczące tony przydają mu łagodności. Ciszę, jaka zapada po tych słowach, wypełnia delikatne dzwonienie. W odpowiedzi kobieta mamrocze pod nosem, co nie wywołuje już żadnej reakcji zebranego wokół szkła. Dobrze trafiłście, dottore, mówi. Znajdziecie tu aż czterech mężów o tym nazwisku.

Crivano się uśmiecha. Kobieta doskonale wie, o kogo chodzi, lecz ma dość oleju w głowie, aby się z tym nie zdradzić. Podczas ucieczki z pewnością nie będzie dla nich ciężarem, przeciwnie, może się nawet przydać. Narkis nie ma się czego obawiać. Mam sprawę do Boetia Sereny, wyjaśnia. Przynoszę zapłatę za zamówiony u niego przedmiot, który pragnąłbym odebrać.

Mona Serena zwraca się do dziewczyny. Zaprowadź dottore do warsztatu, mówi.

Dziewczyna wiedzie Crivana przez boczne drzwi, w głąb korytarza, gdzie prosi go, aby zaczekał, po czym z wysiłkiem ciągnie za ciężkie, okute żelazem drzwi – przez szczelinę bucha żar i zapach spalonego powietrza – otwiera je i znika za nimi. Chwilę później wraca z młodym Alessandrem, chłopcem poznanym przez Crivana w Salamandrze. Włosy i twarz Alessandra pokrywa popiół; w miejscu, gdzie zmieszał się z potem, zarys szczęki podkreśla czarna linia. Młodzieniec wyciera ręce w lnianą ścierkę z miną człowieka, który rad by wrócić do swoich spraw. Dottore Crivano, mówi z ukłonem. To zaszczyt was gościć.

Crivano odwzajemnia pozdrowienie. Młody paniczku, rzecze, chciałbym

zamienić słówko z twoim ojcem.

Przygotujcie wsad, odpowiada chłopak, ale niedługo powinien skończyć. Zaprowadzę was do komnaty, gdzie będziecie mogli na niego poczekać. Chyba że ja mógłbym wam pomóc?

Wyraz jego twarzy świadczy o tym, że nie jest to tylko grzecznościowe pytanie: zakres obowiązków Alessandra obejmuje najwyraźniej wszystkie aspekty funkcjonowania zakładu. Chłodne spojrzenie i swobodny sposób bycia przywodzą na myśl Skowronka. Crivano już wie, dlaczego Serena postanowił przyłączyć się do spisku: chce wywieźć rodzinę z Murano. Przypomina sobie, że hutnik ma dwóch starszych braci, ci zaś mają wielu synów. Alessandro wykonuje rodzinny fach nie dlatego, że pilnie się w nim kształcił – choć zapewne tak było – lecz ponieważ ma do tego wrodzony talent. Mimo to nie poprowadzi w przyszłości tego warsztatu.

Na ulicy zostawiłem dwóch gondolierów, zwraca się do chłopaka. Łatwo ich znaleźć, bo śpiewają na całe gardło i zataczają się pijani, na barkach zaś dźwigają okutą żelazem szkatułę z zapłatą dla twego ojca za wykonane zlecenie. Odbierz ją proszę i przekazaj im moje podziękowania. Nie kłopotuj się jednak szukaniem zamówionego przedmiotu. Chętnie poczekam na twego ojca. Mam sprawę niezwiązaną z zakupem, którą chciałbym z nim omówić.

Jak sobie życzy, dottore. Zaprowadzę was teraz do komnaty.

A czy możliwe jest, abym zamiast tego poczekał w warsztacie? – pyta Crivano. Wielce ciekaw waszego rzemiosła. Chyba że sama moja obecność mogłaby zagrozić pilnie strzeżonym sekretom?

Alessandro rozważa to przez chwilę, po czym się uśmiecha. Mogłoby się tak stać, odpowiada, gdyby wasza miłość posiadał sztukę zagładania do ludzkich głów i wykradania ukrytych w nich tajemnic. W przeciwnym razie nie widzę żadnego zagrożenia. Wpuszczę was do środka, dottore, ale trzymajcie się z dala od pieców i rozgrzanego szkła – chyba że chcecie aplikować sobie później swoje własne medykamenty.

Słowom tym towarzyszy nerwowy uśmiech i przez ułamek sekundy chłopak wygląda na swój wiek. Prędko jednak przywołuje się do porządku i otwiera przed Crivanem ciężkie drzwi.

Crivana zaś opadają wątpliwości, czy nie powinien był jednak poczekać na zewnątrz: powietrze pali go w oczy i nos, niemal całkowicie tłumiąc zapach nasączonyj wonnym olejkiem chustki. Pomieszczenie, w którym stoi, wypełnia gorączkowa krzątanina. Ciemne sylwetki mężczyzn uwijają się na tle miedzianej poświaty bijącej od dwóch pieców umieszczonych w drugim końcu pomieszczenia; ich rozpalone brzuchy przypominają piekielne grobowce najzawziętszych heretyków. Alessandro prowadzi Crivana ku stercie złożonych w kącie skrzynek i gestem daje mu znak, aby usiadł. Ojciec zaraz podejdzie, dodaje.

Serena we własnej osobie pracuje nieopodal: wielką chochlą nalewa wodę do wanny, a inny robotnik miesza jej białą zawartość. Stojący w głębi mężczyzna formuje białe gomółki z masy szklanej zaczerpniętej z drugiej wanny i odkłada je do przestygnięcia na stojak obok mniejszego pieca. Nagle Serena wybuchając śmiechem, mierzwi brudne włosy mieszającemu, po czym przechodzi przez cały warsztat, mijając nakryte szmatami drewniane tace, na których stygną bryły masy szklanej, aby zamienić słowo ze spoconym robotnikiem, kruszącym owe śnieżnobiałe bryły żelaznym młotem. Serena przerywa mu na chwilę; nachyla się, aby podnieść szklany odłamek, ogląda go z każdej strony i wypuszcza z palców. Potem podchodzi do większego pieca, aby skontrolować pracę człowieka, który ładuje pokruszoną frytę szklaną do tygli, oraz innego, który miesza i wygładza roztopione szkło, wreszcie trzeciego, który przelewa je do zbiorników z czystą, parującą wodą. Tam także Serena nachyla się, aby zaczerpnąć porcję wystudzonego szkła, po czym unosi je do światła przenikającego przez otwory pieca.

Crivano dolicza się w sumie dziesięciu robotników: młodych mężczyzn i chłopców, którzy mieszają surowce, przygotowują zestaw szklany, dokładają do pieców, rąbią drwa. A przecież to tylko przygotowania do właściwego procesu: nikt nawet nie zaczął nadawać szkłu ostatecznego kształtu. Domyśla się, że to zadanie przypadnie w udziale starszym braciom Sereny oraz ich wybranym synom; w Konstantynopolu zajmie się tym Obizzo. Ale kto zadba o to, by podtrzymywać ogień w piecach, i zdecyduje, jaka temperatura jest odpowiednia? Kto wybierze właściwy rodzaj drewna, by je opalać, kamień, by je zbudować, i glinę, by je uszczelnić? Człowiek, który w długim piecu wygładza powierzchnię masy szklanej w tyglach, używa do tego metalowej łyżki z długim trzonkiem; Crivano nie widział niczego podobnego u żadnego blacharza. Czy takie narzędzia trzeba będzie wykonać we własnym zakresie? Kto będzie wiedział, jak się za to zabrać? Czy *haseki sultan* ma jakieś wyobrażenie o tym, co jest niezbędne do uruchomienia wytwórni?

Upór Sereny, aby zabrać ze sobą rodzinę, wygląda mu coraz mniej na egoistyczny kaprys czy decyzję podjętą z pobudek sentymentalnych, a coraz bardziej na przemyślane działanie wynikające z absolutnej konieczności. Hutnik z pewnością obmyślił już, skąd weźmie surowce po przeprowadzce do Amsterdamu – tyle że ich celem nie jest Amsterdam. Pytanie, czy Narkis wziął to pod uwagę. Jeżeli Serena prędko nie rozpocznie pracy, zacznie się niecierpliwie i odczuwać frustrację. Niewykluczone, że zechce wtedy po raz kolejny dopuścić się zdrady, którą to pokusę hiszpańscy i genueńscy szpiedzy w Galacie niewątpliwie skrzętnie wykorzystają. No i Obizzo! Obizzo w takiej sytuacji zmieni się w szalejącą bestię.

Narkis musi przemyśleć kwestię narzędzi, surowców, miejsca na warsztat.

Cały wysiłek włożony w uprowadzenie rzemieślników z Republiki pójdzie na marne, jeżeli ich umiejętności pozostaną niewykorzystane. Czy poczyniono już jakieś przygotowania na przybycie Sereny i Obizza? Czy Narkis zna się w ogóle na wytapianiu szkła? Co należy mu powiedzieć?

Rozgląda się pobieżnie po skrzynkach i workach, wśród których siedzi. Niektóre z nich są otwarte i w większości na wpół wypełnione migotliwym proszkiem przypominającym w dotyku grubo mieloną mąkę. Crivano domyśla się, że to piasek kwarcowy niespotykanej czystości, bardziej jednolity niż ten spotykany na najbielszych egipskich plażach. W workach znajdują się także magnezja biała i niewielkie ilości różnych soli. Poza tym pewna ilość białego proszku znacznie drobniejszego niż ziarna kwarcu, prawdopodobnie jakiś topnik. Crivano zwilża śliną opuszkę palca – suche powietrze niemal natychmiast wysysa wilgoć z bruzd skóry – i zanurza palec w proszku, aby go posmakować. Tajemnicza substancja jest chłodna, ostra i cierpka. Śliska w zetknięciu z językiem. Crivano próbuje jeszcze raz.

Jeśliście głodni, dottore, poproszę bratanicę, żeby przyniosła wam coś słodkiego.

Serena podchodzi do niego, wycierając czoło bawełnianą szmatką. W lewej dłoni wciąż trzyma bryłkę surowego szkła, ugniatając ją jak talizman. Crivano wstaje i odwzajemnia ukłon. Oglądałem właśnie wasze surowce, maestro, wyjaśnia. To potaż, prawda?

Popiół sodowy, poprawia go Serena. Z Lewantu. Nasz cech zamawia go wspólnie z mydlarzami i wytwórcami majoliki, bo ci również zeń korzystają. Powstaje podobno z popiołów rośliny, która karmi się słońcą wodą jak najczystszym deszczem i potrafi przenosić się z wiatrem z miejsca na miejsce, rozsiewając nasiona. Ale czy to prawda, tego nie potrafię waści powiedzieć.

I owszem, prawda; Crivano pamięta całe furgony wyładowane suchymi, okrągłymi krzakami, przemierzające wybrzeże Syrii i także krzaki, pędzone wiatrem przy poboczach dróg. W Trypolisie widział palących je robotników, którzy szykowali transport popiołu sodowego na Zachód. Nazywali go al-qaly. A skąd pochodzi piasek kwarcowy? – pyta.

Z koryt Ticino i Adygi. Magnezję zaś sprowadzamy z Piemontu. Istnieją, rzecz jasna, inne źródła, lecz te...

Przez zgiełk warsztatu przebija gniewny głos Alessandra, który, zaprowadziwszy gondolierów Crivana do magazynu, powrócił i właśnie łaje robotnika, który zagrabia zawartość mniejszego pieca. Nieszczęśnik zagapił się najwyraźniej na Serenę oraz Crivana i przestał uważać na to, co robi; blednie teraz i posłusznie skupia się na swoim zajęciu.

Serena uśmiecha się krzywo. Przez pięć godzin kalcynujemy wsad w mniejszym piecu, mówi. I przez cały ten czas musi być zagrabiany, żeby się

równy podgrzewał i nie rozpuściwszy się, zmieniał we frytę szklaną. Stopiony staje się beużyteczny. Może nawet uszkodzić piec. Każdy, kogo tutaj widzicie, dottore, może w dowolnej chwili doprowadzić naszą rodzinę do ruiny. Dlatego widuje się tylu bezzębnych hutników szkła o zapadniętych oczach i skrwawionych knykciach.

Obawiam się, że swoją osobą wprowadziłem niepotrzebne zamieszanie.

Zniszczona prawa dłoń Sereny wykonuje lekceważący gest, lecz hutnik minę ma nietęgą. Nie troskajcie się tym, dottore, mówi. Niemniej jednak może zechcielibyście odpocząć od tego skwaru? Przejdźmy do kantorka, pokażę wam, co zakupił ode mnie wasz przyjaciel.

Wiedzie Crivana ku bocznym drzwiom wyposażonym w imponujących rozmiarów niemiecki zamek. Do jego otwarcia służy ciężki klucz. Samo pomieszczenie jest nieduże i schludne; światło wpada przez umieszczone nad biurkiem średniej wielkości okno. Crivano siada i nachyla się, aby zaczerpnąć świeżego powietrza; w tej samej chwili uświadamia sobie, że w oknie tkwi szyba. Jednolita i bezbarwna, daje się zauważyć, dopiero gdy osiada na niej para oddechu. Po czym znika, gdy Crivano się odsuwa.

Na posadzce za biurkiem znajduje się skarbczyk; wygląda, jakby cały budynek wybudowano wokół niego. Serena nachyla się, aby otworzyć zabezpieczające go rygle, po czym prostuje plecy, unosi wieko i sięga do środka.

Kiedy się odwraca, na jego szerokiej piersi płonie słońce. Crivano podnosi rękę, aby osłonić oczy, a gdy blask gaśnie, opuszcza je, by ujrzeć własną skrzywioną twarz zawieszoną między owiniętymi w szmaty dłońmi Sereny.

Hutnik kładzie zwierciadło na stole i Crivano schyla się, aby je obejrzeć, zasłaniając dłonią własne odbicie. Szklana tafla Verzelina jest większa i czystsza, niż to zapamiętał, zaprojektowana zaś przez Serenę rama została obsadzona tak umiejętnie, by zajmować jak najmniejszą powierzchnię lustra. Wykonano ją z trzech splecionych na podobieństwo warkocza pasm szkła chalcedonowego, doskonale symetrycznych, owiniętych siedmioma nitkami drutu. Szklane pasma, kremowobiałe, o identycznej strukturze powierzchni, opalizują w promieniach słońca, ukazując mieniące się kolorami wnętrza. Oko Crivana dostrzega ognistą czerwień, bliski czerni odcień indygo, błękity i zielenie jak z pawiego ogona. Sama rama musiała zostać rozpięta na czymś w rodzaju ukrytego zbrojenia, ponieważ podtrzymuje także kilkadziesiąt medalionów wielkości złotej monety, które przylegają do jej zewnętrznej krawędzi. Każdy z nich zdobi jakiś symbol – sylwetki nagiego łucznika, dwóch walczących psów, mężczyzny dosiadającego lwa, chłostanej kobiety – i Crivano bez liczenia wie, że jest ich trzydzieści sześć. Serena nie bez kozery chce się wydostać z Murano.

Czy to zwierciadło spełni oczekiwania waszego przyjaciela, dottore?

Tak, odpowiada Crivano. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Serena odwraca się, aby zamknąć wieko skarbczyka, i układa na nim

kolejno: szpagat, arkusze grubego papieru, surową bawełnę, drewniane listewki, suche, szarozielone zielsko. Nie jestem pobożnym człowiekiem, dottore, mówi, jak zapewne zdążyliście sami zauważyć. Ale teraz, kiedy jest już po wszystkim, szczerze się wypowiadam i złożę świętemu Donatowi w ofierze kilka z tych monet, które dostałem od waszego przyjaciela. Mając pod swoim dachem coś takiego, nie mogłem spokojnie zmruznąć oka.

Maestro, przez wzgląd na samego siebie ośmielam się mieć nadzieję, że wasza spowiedź będzie krótka, mętna i skoncentrowana na sprawach bieżących.

Serena odwraca się z uśmiechem i mruga doń porozumiewawczo. Nie powinienem też wspominać o czekającej mnie podróży, jak mniemam? – rzuca. Bez obaw, dottore, te grzechy wyznam dopiero, jak je popełnię. W Amsterdamie z pewnością znajdzie się jakiś wyrozumiały ksiądz.

Mina Crivana musi wyrażać lęk, bo Serena wybucha śmiechem. Podnosi zwierciadło i odwraca się z nim do skarbczyka. W tym pomieszczeniu możemy rozmawiać zupełnie swobodnie, dottore. Nikt nas nie usłyszy przez zgiełk warsztatu. Możecie śmiało przedstawić mi swój plan.

Crivano ze zmarszczonymi brwiami wpatruje się w szerokie plecy hutnika. Po pierwsze, mówi, za pieniądze, których nie oddacie świętemu Donatowi, moglibyście kupić swej czcigodnej małżonce jakieś klejnoty. Diamenty, rubiny, szmaragdy. Cokolwiek lżejszego od złota, co da się wygodnie przewieźć.

Ma ona zatem wraz z synami zagwarantowany transport?

Naturalnie.

Kiedy wyruszamy?

Za trzy dni, maestro, przepawicie się z rodziną do miasta i spędzicie noc w gospodzie Pod Cerberem. Znajdziecie ją na Fondamenta de Cannaregio. Stamtąd was zabiorę i wspólnie dopłyniemy do zakotwiczonego w lagunie trabaccolo, na pokładzie którego dotrzemy do Triestu.

Do Triestu? Dlaczego tam?

Bo stamtąd wyprawimy się łądem do Spalato, gdzie będzie nas oczekiwał holenderski statek.

Chyba nie wszystko pojmuję, dottore. Skoro mamy podróżować łądem, dlaczego nie udać się wprost do Trydentu? To przecież po drodze. Spalato leży w przeciwnym kierunku.

Po raz pierwszy Crivano wyczuwa w głosie hutnika cień niepokoju, a w jego postawie – napięcie. Murano stanowi dla niego wygodną złotą klatkę. Prawdopodobnie nigdy wcześniej nie postawił stopy na stałym lądzie; niewykluczone, że raptem kilka razy w życiu zdarzyło mu się przepłynąć lagunę, aby dotrzeć do miasta. Serena to nie Obizzo – ma wiele do stracenia.

W każdym zajeździe, odpowiada Crivano, w każdym mieście, przez które będziemy przejeżdżać, i przy każdej obranej przez nas drodze czaić się będą

szpiedzy Rady Dziesięciu. Całą *terra firma* oplata pajęczyna informatorów Wielkiej Rady, równie mocna i niewidzialna jak sieć Wulkana, zaś drogi stanowią nitki owej sieci. Jeżeli którąś z nich muśniemy, natychmiast się zdradzimy i sbirri dopadną nas jeszcze przed zachodem słońca.

Nie możemy popłynąć do Ragusy i tam poszukać jakiegoś holenderskiego statku?

Z powodu pirackich ataków jedynymi okrętami, które mogą bezpiecznie żeglować wzdłuż dalmatyńskiego wybrzeża, są galery będące własnością Republiki i przez nią uzbrojone. Ze zrozumiałych względów wybór takiej jednostki byłby dla nas ryzykowny.

Do uszu Crivana dobiega szelest szorstkiego papieru i zaciąganego szpagatu; chwilę później Serena kładzie przed nim gotowe zawiniątko. Supły na sznurku opasującym gruby papier są wykonane niemal tak pieczołowicie jak lustro, które zabezpieczają, i z podobnym artyzmem. Opakowałem je w wodorosty, wyjaśnia Serena, żeby nie uległo zawilgoceniu. Jak już wspominałem, wasz przyjaciel również powinien tak robić. Można je dostać w byle aptece. Winiaku, dottore?

Crivano twierdząco kiwa głową. Serena wyjmując z szafki pękatą karafkę z błękitnawego szkła oraz dwie proste szklanice niespotykanej urody z przejrzystego kryształu. Odkorkowuje karafkę i napełnia je, po czym siada i wznosi toast. Wobec tego za Triest, mówi.

Za Triest, przytakuje Crivano. Szklanice się ze sobą stykają – delikatne dzwonięcie rozchodzi się wdzięcznym echem.

Pierwszy łyk prawie odbiera dech: moc alkoholu da się wyczuć już w powietrzu, wystarczy przysunąć nos do szklanicy. Z Triestu, ciągnie Crivano, odchrząknąwszy, udamy się do Fiume, a stamtąd do Karlstadu i dalej górami aż na wybrzeże Dalmacji. W Spalato musimy być przed Świętym Antonim. Przewidujesz waść jakieś komplikacje? Żona i synowie dadzą radę przebyć tak dużą odległość?

Serena upija łyczek, kiwa głową i ponownie unosi szkło do ust. Nie patrzy na Crivana.

Ten zaś przygląda się trzymanej w dłoni szklanicy, obraca ją wolno i podsuwa pod światło. Czy moglibyście, maestro, odzywa się po chwili, do czasu uciezki odsunąć obu synów od pracy przy piecach?

Zapewne tak. A czemu miałyby to służyć?

Przed nami długa i ciężka droga, wiodąca częściowo przez nieuczęszczane szlaki. Wiem z doświadczenia – mówię to jako lekarz – że młodzieńcy ze świeżymi oparzeniami źle znoszą przedłużające się zmagania z żywiołami.

W oczach Sereny odbija się coś na kształt udręki. Tak, mówi. Teraz rozumiem.

Opróżnia szklanice i ponownie ją napełnia. Obraca ją w dłoni, wprawiając w ruch jej zawartość. Alkohol pokrywa ścianki tłustawą warstewką. Zwierciadła,

rzuca. Mówicie, dottore, że będziemy wyrabiać zwierciadła?

Owszem, wiosną, potwierdza Crivano, a przez resztę roku będziecie mogli robić, co tylko zechcecie. Takie są nasze warunki.

Nie potrafię srebrzyć luster. Ani wytwarzać płaskich tafli szkła.

To już wiemy.

Serena kołysze karafką na blacie w przód i w tył. Alkohol zasnuwa mu oczy mgiełką. To znaczy, mówi, że musicie mieć kogoś jeszcze.

Zgadza się. Jest ktoś taki.

Dottore, zmienia temat Serena, czy tamtego wieczoru udało się wam odnaleźć Verzelina?

Crivano podnosi oczy, lecz hutnik nadal ucieka wzrokiem; z przebiegłym półuśmieszkiem wpatruje się w rozkołysaną karafkę. Crivano upija łyk winiaku, zanim mu odpowie. W przetyku czuje miarowe pulsowanie. Tak, przyznaje, znalazłem go.

Tak też sądziłem, stwierdza Serena. Od tamtej nocy nikt na Murano już go nie widział. Gdy ludzie Motty pytali mnie o niego, odpowiedziałem, żeście go wtedy szukali.

Winiak wzbiera Crivanowi w gardle.

Z całą pewnością wiedzieli już o tym od gospodyni Salamandry, ciągnie Serena. Pozwoliłem więc sobie dodać, że spotkaliśmy się później na Campo San Stefano i powiedzieliście mi wówczas, że wasze poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Coś mi mówiło, że powinienem tak postąpić. Mam nadzieję, że nie macie mi tego za złe, dottore.

Crivano z ulgą wypuszcza powietrze z płuc. Westchnienie przechodzi w śmiech, a potem w nerwowy chichot. Crivano unosi szklanicę w niemym toaście; ponownie rozlega się brzęk szkła. Przez dłuższą chwilę piją w milczeniu.

Dottore, zagaduje go w końcu Serena. Co o tym powiecie?

Podaje Crivanowi karafkę. Jest banalna, lecz dobrze wykonana. Szkło mogłoby być czystsze i bielsze, mimo to o niebo przewyższa wszystko, co widział niegdyś w pałacu sultana. Wzrusza ramionami z aprobatą i przesuwa karafkę w stronę Sereny.

Zrobiłem ją jako dwunastolatek, wyznaje rzemieślnik. Moja pierwsza karafka. Karafki to chleb powszedni hutnika. Akurat ta nie była dość dobra, abym mógł zostać mianowany czeladnikiem. Ale byłem jeszcze młody.

Crivano potakuje, osusza szklanicę i jeszcze raz ogląda ją pod światło. Przechyla ją pod kątem, przysuwa bliżej twarzy.

Zauważyliście, dottore? – pyta Serena.

Crivano przygląda się uważniej i widzi: ledwo dostrzegalną smugę bąbelków na dnie, cieńszą niżli rzęsa. Pojedynczych bąbelków nie sposób rozróżnić. Macie na myśli ten drobiazg? – upewnia się. Dlatego nie jest na sprzedaż?

Zgadza się. Nie sądźcie chyba, że mógłbym sprzedać towar z tak oczywistą skazą? Muszę jednak powiedzieć, że kształt mi się udał. Zresztą akurat potrzebowałem dwóch szklanic.

Crivano odstawia naczynie na blat i Serena znów je napełnia. Crivano czuje, że palą go policzki, jakby stał zbyt blisko pieca. I w zasadzie tak było. Wyrabiacie tutaj prawdziwe cuda, maestro, zauważa.

Serena posyła mu dziwne spojrzenie. Zatyka karafkę i odsuwa ją na bok. Nie, dottore, odpowiada. To nie tak. Ja wyrabiam to.

Chwyta coś z blatu i rzuca do Crivana. Ten łapie ów przedmiot, nie wiedząc, czym jest. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że trzyma w ręku gomółkę surowego szkła, którą Serena zabrał z suszarni w warsztacie: gładką, podłużną, z jednej strony spłaszczoną, z drugiej wypukłą, tu i ówdzie usianą drobnymi bąbelkami. Szkło jest matowe i zielonkawe, ale przepuszcza światło. Kształtem coś mu przypomina, ale Crivano nie potrafi powiedzieć co.

Moi robotnicy wyrabiają piękne rzeczy, ciągnie Serena. Być może pewnego dnia, kiedy dorosną, moi synowie również będą je wyrabiać. Ale ja? Ja wytapiam szkło.

Pochyla się, wyjmując bryłkę z palców Crivana i z powrotem opada na krzesło. Bryłka tkwi na jego prawej dłoni niby wilgotna żaba w cieniu trzech pokrytych bliznami palców.

Dbam, aby się równo topiło, mówi. I żeby się dawało formować. Żeby było wytrzymałe i elastyczne. Kiedy trzeba, dbam, aby było czyste i przejrzyste. A gdy chodzi o wywołanie efektu tajemnicy, sprawiam, aby igrało ze światłem. Liczę przy tym, dottore, że inni uczynią je pięknym. Ale to ich zadanie. Nie moje.

Kiedy traghetto podpływa do San Cristoforo della Pace, płosząc stado brodzących po płyciźnie czarnoskrzydłych szczudłaków i długonogich szablodziobów, Crivano zwraca za burtę większość winiaku Sereny i powoli odzyskuje dobre samopoczucie. Przyjmuje od gondoliera flaszkę, żeby przepłukać usta, sadowi się w cieniu płóciennego daszku i wsparłszy skroń o drążek, przygląda się ptactwu u brzegów wyspy oraz sieciom rybaków schnącym w popołudniowym słońcu. Głowa ciąży mu jak kamień. Wyobraża sobie, że wypełnia się niczym bańka klepsydry, a każde ziarnko piasku to jakaś myśl, wspomnienie albo sekret.

Gondolier cumuje łódź. Crivano płaci mu i wysiada na nabrzeże, przyciskając do piersi cenne zawiniątko. Tak bardzo skupia się na tym, aby je chronić, że zapomina o swojej lasce. Gdy jest już prawie na Campo Santa Giustina, dopędza go gondolier; Crivano dziękuje mu i ponownie wynagradza go za jego trud.

Nie było jego zamiarem wstępować do kościoła, lecz nogi same go tam niosą. Przemyka po splekanej posadzce nawy, między ukośnymi promieniami słońca, w których wirują drobinki kurzu, i myśli o Lepanto. Kapitan Bua staje mu przed oczami jak żywy, w napierśniku i hełmie. „Święta Justyno, modlimy się do ciebie w dniu twego święta, abyś się za nami wstawiała i wypraszała łaskę bożą tym, którzy walczą dziś w obronie przeczystej Republiki, aby niewierni jej nie skalali”. Crivano ściska mokrą od kropli morskiej wody dłoń Skowronka, a wokół nich flota formuje szyk bojowy: to ostatni moment, zanim po falach przetoczy się dźwięk bębnow i cymbałów, na który odpowiedzą rogi z pokładów chrześcijańskich galer, zanim szyk pójdzie w rozsypkę i zacznie się prawdziwa jatka. A oto i pierwszy człowiek, którego zabił: roztrzaskana kulą głowa w turbanie, krwawa miazga na falach. Crivano strzelił, gdy tamten przeskakiwał na pokład ich statku. Pamięta, że stopy ślizgały mu się na zakrwawionych deskach, gdy brodził po kostki w ludzkich wnętrznościach. Kule armatnie z jękiem cięży powietrze, a Skowronek okładał martwego janczara czyimś odciętym ramieniem. Pamięta ogłuszający huk, gdy na pokładzie „Chrystusa Zbawiciela Świata” wybuchł skład prochu, druzgocząc pobliskie osmańskie galery. Przez chmurę dymu posypał się wtedy na nich deszcz drewna, kawałków żelaza i strzępów ciał. Zatoka była pełna płonących wraków, dryfujących w pożodze ognia niczym płatki kwiatów na powierzchni stawu i zbijających się w gromady niczym kryształy magnetytu zanurzone w rtęci. Turcy szturmowali okręt, on zaś w ciemności i we łzach na oślep szukał pod pokładem dyplomu immatrykulacji Skowronka.

Koniecznie musi coś zjeść. Na zewnątrz, za pękniętą apsydą kościoła, znajduje się niewielkie kasyno, gdzie podają koźlinę z różną, gliniastą chleb i byle

jakie czerwone wino. Poza nim jedynymi klientami tego przybytku jest czterech robotników ze stoczni Arsenau o twardych, zaciętych twarzach. U ich stóp leżą wypełnione wiórami węzelki. Kiedy Crivano wchodzi, przerywają grę w kości i niespiesznie chowają kubek oraz monety, w milczeniu łypiąc spode łba na nowo przybyłego. Zważywszy na to, że w całym mieście jak grzyby po deszczu powstają zamknięte lokale, w których można uprawiać hazard, Crivana dziwi ten widok. Fakt, że wcale się nie kryją ze swoją grą w miejscu publicznym, świadczy o tym, jak podupadła jest to dzielnica. Mężczyźni nie przestają wrogo mu się przyglądać, więc czym prędzej kończy posiłek, wstaje i – czując się pokrzepiony jedzeniem oraz ośmielony winem – podchodzi do ich stołu. Przyjmiecie zakład od medyka, dobrzy ludzie? – pyta.

Pozwoliwszy im wygrać od siebie niedużą sumę, Crivano zamawia wino dla wszystkich i zagaduje o stan kościoła. Robotnicy zgadzają się, że woła o pomstę do nieba; nie tak powinna wyglądać świątynia upamiętniająca zabitych pod Lepanto. Jeden z tej czwórki sam brał udział w bitwie, a przynajmniej tak twierdzi: jako wioślarz okrętu flagowego Vincenzo Quiriniego własnoręcznie przebijał piką tureckie bebechy. Do domu wrócił wolny, z łupem wynoszącym kilka dukatów i opowieściami, których nikt nie chce słuchać. Tylko głupcy chwalą się tym, że walczyli na próżno, mówi, więc ja wolę się nie przechwalać. Nasi dyplomaci nigdy nie zamierzali odbić Cypru. Teraz to już całkiem jasne, zgodzicie się chyba? Bitwa jeszcze się nie rozpoczęła, a oni już się układali z sułtanem. Mimo wszystko broniłem swoich współtowarzyszy i sporo Turków posłałem do piekła. Nie zhańbiłem się tchórzostwem, więc mogę być z siebie zadowolony. Reszta się dla mnie nie liczy.

Słońce stoi nisko, kiedy Crivano ponownie wychodzi na ulicę. Przy schodach kościoła napotyka młodego księdza, który jest bardziej pijany niż on. Z ogarkiem w dłoni skrada się, aby zapalić nieliczne świece w środku. Jego blade kark nosi świeże ślady choroby hiszpańskiej. Przez moment Crivano ma ochotę pójść za nim i złoić nędznikowi skórę laską, ale się rozmyśla. Zadziwia go własny gniew. Dlaczego miałoby go obchodzić, że bitwa pod Lepanto popadła w zapomnienie? Czyż sam nie usiłował o niej zapomnieć?

Wspomina Perinę: jej nagłe pytania, rozszerzone, poszukujące oczy. W jakimż ona jest klasztorze? Czy nie u Świętej Katarzyny? To niedaleko stąd, za Zanipolo, obok kościoła krucyferów. Jak ona to ujęła? „Właśnie ten chaos, ten obłęd chcę poznać, bo w bezładzie mieszka prawda!” Ach, tylko młodość może wypowiadać takie słowa ze szczerym przekonaniem! Rozbawiła go, zaniepokoiła, zawstydzila. Zupełnie jakby patrzył na dzieci bawiące się mieczami swoich ojców. Chce ją zobaczyć, chce z nią pomówić. Fakt, iż zamierza dopuścić się aktu zdrady, nie zwalnia go chyba z obietnicy danej senatorowi?

Ruchliwa brukowana ulica wiedzie go na Campo San Zanipolo, gdzie mija

obwoźnych handlarzy zgromadzonych pod odlanym z brązu posągami konnym Bartolomeo Colleonego i przystaje przed gmachem Scuola Grande di San Marco, żeby rozeznąć się w okolicy. Dziwna iluzjonistyczna fasada z pelikanami, feniksami i skrzydlatymi lwami wzmagają jedynie zamęt w jego głowie, przyłącza się więc do tłumu i pozwala nieść się na zachód. Z początku, kierując się charakterystycznymi sylwetkami wiekowej, przysadzistej dzwonnicy kościoła krucyferów oraz smukłej, nakrytej cebulową kopułą kampanili bazyliki Świętych Apostołów, jest w stanie wytyczyć kierunek marszu, lecz wkrótce wchodzi między wysokie mury szpitali i nowych pałaców, gdzie za punkt orientacyjny ma już tylko słońce. Nadzieja znalezienia właściwej drogi niemal go opuszcza, kiedy przekracza szeroki kanał, a przed nim wyrasta podłużna, ażurowa fasada Palazzo Zeno. Klasztor Świętej Katarzyny jest tuż za nim.

Choć słońce jeszcze nie zaszło, przy wejściu do klasztoru pali się latarnia. Crivano pociąga za klamkę i stwierdziwszy, że drzwi są zamknięte, stuka gałką laski. Pakunek mu ciąży; odstawia go i zaraz podnosi, chwiejąc się na kamiennych stopniach. Po chwili ponawia pukanie.

Zgrzyta odsuwany rygiel, drzwi uchylają się i w szparze ukazuje się twarz zakonnic: opuszczone kąćki warg, zwiędłe policzki, cierpliwe spojrzenie. Wybaczenie, dottore, odzywa się, ale po zachodzie słońca nie wolno nam przyjmować gości. Mam nadzieję, że możecie wrócić nazajutrz.

Crivano zdaje sobie sprawę z tego, że bełkocze, więc stara się przywołać na pomoc swój talent krasomówczy. Dzień, droga siostrze, istotnie się nachylił, rzecz. Lecz słońce, choć wisi nisko, wciąż pali me oczy żywym ogniem. Przebyłem daleką drogę, aby się zobaczyć z signoriną Periną Glissenti, którą jako postulantkę powierzono waszej pieczy. Proszę mnie zatem wpuścić.

Oczy kobiety zwięzają się, lecz ton pozostaje uprzejmy. Niestety, mówi. Niezmiernie mi przykro, dottore, ale to absolutnie wykluczone. Nawet za dnia naszym postulantkom wolno się widywać jedynie z najbliższą rodziną. Pod żadnym zaś warunkiem nie wpuszczamy do środka osób nietrzeźwych. Dobrej nocy, dottore.

Zakonnica chce zamknąć drzwi, ale Crivano wkłada lewą rękę w szczelinę przy framudze. Drewniana krawędź wrzyna mu się w palce. Jest wygladzona dotykiem wielu rąk, jakby w portalu nieraz rozgrywały się podobne sceny, on sam zaś był ostatnim z długiej sukcesji dobijających się do wrót klasztoru. Nietrzeźwych? – prychnął pogardliwie, wsuwając nos w szczelinę. Siostrze, jestem medykiem. Byłbym wdzięczny, gdyby to mnie pozostawiła siostra ostateczną diagnozę. A teraz proszę natychmiast otworzyć i sprowadzić signorinę. Muszę z nią pilnie porozmawiać. Chodzi o sprawę niezwyklej wagi, dotyczącą bezpieczeństwa państwa.

Zakonnica lekko dociska drzwi, aby pokazać, że nie żartuje, i Crivano

krzywi się boleśnie. Na plecach czuje czyjś wzrok. Chętnie was ugościmy, dottore, mówi stłumionym głosem zakonnica. Przyjdźcie jutro z krewnym dziewczyny albo pisemnym nakazem Rady. A teraz życzę wam dobrej nocy.

Jestem jej krewnym! – woła Crivano. To prawda! Jestem bratem tej młodej damy.

Nacisk na jego dłoń odrobinę maleje. O ile wiem, odzywa się zakonnica, żadne z rodzeństwa signoriny nie żyje.

Owszem, przyznaje Crivano. Ma siostra rację. Jak widać, jestem trupem. Jednak dzisiejszego wieczoru wstałem ze swego grobu na dnie morza, aby złożyć wizytę młodszej siostrze i byłbym wielce zobowiązany, gdyby w tej chwili mnie do niej wpuszczono.

Po raz kolejny życzę wam dobrej nocy, dottore.

Chwileczkę, czcigodna siostro, łagodni swój ton Crivano. Przychodzę z polecenia kuzyna młodej signoriny, senatora Giacomo Contariniego, którego nazwisko z pewnością nie jest wam obce. Osobiście prosił mnie o tę przysługę, musiał więc także wydać zgodę na moją wizytę. Jeśli trzeba, proszę spytać ksieni i podać jej moje nazwisko. Zwę się Vettor Crivano.

Po dłuższej chwili milczenia drzwi powoli się otwierają.

Nie zadając sobie trudu, aby odebrać od gościa płaszcz, zakonnica prowadzi Crivana do dwóch drewnianych krzeseł z wysokimi, rzeźbionymi oparciami i trapezowymi siedziskami. Zapala lampkę oliwną na stojącym między nimi lichtarzu i oddala się sztywno mrocznym korytarzem, pozostawiając Crivana samego. Jeśli nie liczyć kilku podobnych krzeseł i niskich stolików, przestronna komnata jest całkiem pusta. Nad wygasłym kominkiem wisi klasyczne malowidło przedstawiające Katarzynę Aleksandryjską: w świetle lampki lśni złocona aureola świętej, koło zębate – atrybut jej męki – jest wytarte od dotyku licznych rąk. Crivano sadowi się na krzesło, kładzie na podolku zwierciadło Tristão, a na wierzchu układa w poprzek laskę.

Niemal natychmiast zasypia, by przebudzić się gwałtownie, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Nad jego głową i nad całym miastem dzwony biją na zachód słońca; z przyległej do komnaty kaplicy dobiega przez ścianę echo śpiewanych nieszporów. W głębi korytarza słychać jakieś zamieszanie: rozlega się stukot kroków i szepty. Nadchodzi Perina z depczącą jej po piętach zakonnica. Porusza się żwawo, długimi krokami, zupełnie nieprzystającymi damie; jasne dłonie zakonnicy trzepoczą przy jej twarzy, usiłując poprawić welon.

Kiedy wzrok dziewczyny pada na ciemną sylwetkę Crivana, w jej oczach pojawia się błysk radosnego zaskoczenia. Wargi układają się, aby wypowiedzieć jakieś słowo, które jednak nie pada. Rozpoznała jego rysy w słabym świetle lampki i na jej obliczu odmalowuje się wyraz niepewności, a potem przestachu. Dottore Crivano? – odzywa się.

Laska stacza się na podłogę, gdy Crivano wstaje z miejsca i przytrzymując się oparcia krzesła, składa głęboki ukłon. Tak, signorino, mówi. To ja.

Cóż za miła niespodzianka, odpowiada ona. Wielcem rada was widzieć. Jakaż to niecierpiąca zwłoki sprawa sprowadza was o tak późnej porze?

Pobożna panno, muszę coś wyznać: skłamałem. Zechciej mi to łaskawie wybaczyć. Pilna potrzeba, jaka mnie tu przywiodła, wynika li tylko ze słabości mego ducha. Winienem być może szukać pomocy księdza, lecz nogi przyniosły mnie tutaj w nadziei, że otwarłszy przed tobą serce, uporządkuję zarazem udręczony umysł. Piękna Perino, natknąłem się niedawno na człeka, który bił się pod Lepanto. Spotkanie to obudziło we mnie wspomnienia, które rad bym powierzyć twemu uchu i życzliwej uwadze. Zechcesz poświęcić mi trochę czasu?

Siadają. Z wielkim wysiłkiem Crivano podnosi laskę z podłogi. Proszę się śpieszyć, upomina go zakonnica. Perino, zwraca się do dziewczyny, ufam, że nieobce ci są reguły zachowania obowiązujące w rozmównicy i że zapoznasz z nimi swojego gościa.

Zakonnica przechodzi przez komnatę, żeby zapalić drugą lampę, po czym siada, bierze wrzeciono, koszynek z wełną i zaczyna prząść. Spojrzenie jej nieruchomych oczu kole Crivana w półmroku.

Po naszym ostatnim spotkaniu, mówi Perina, byłam pewna, że będziecie mnie odtąd unikać jak ognia. Obawiałam się, że uraziłam was swoimi natrętnymi pytaniami. Tym bardziej cieszę się z tych odwiedzin, dottore. Choć żałuję, że nie uprzedzono mnie o waszej wizycie.

Crivano patrzy na nią z uśmiechem. Jest sobą ogromnie rozczarowany: jak w ogóle mógł być zaskoczony, słysząc od senatora, kim ona jest! Ma w sobie tyle z Cypru, chociaż jej stopa nigdy tam nie postąpiła i już nie postanie. Pobrzmiwają w niej echa, których sama nie jest w stanie usłyszeć. Przebywając tak blisko niej, Crivano w skrytości ducha odczuwa niezdrowe podniecenie, jakby przyglądał się jej, samemu będąc niewidzialnym. Jej wygląd ma na to dodatkowy wpływ: ciemna wełniana suknia, brak ozdób, prosty welon upięty naprędce, bez szczególnej staranności, a jednak zachwycający, bo nieprzeznaczony dla męskich oczu. To akurat go cieszy. Mógłby jej powiedzieć wszystko.

Senator wyjaśnił mi, kim panna jesteś.

Dziewczyna przełyka ślinę. Na jej szyi igrają cienie.

Opowiem ci o Lepanto, mówi Crivano, choć niewiele jest rzeczy, których byś nie wiedziała. Wraz z twoim bratem byliśmy w drodze do Padwy, kiedy doszły nas wieści o upadku Nikozji. Postanowiliśmy zaciągnąć się na galerę jako łucznicy. Obaj byliśmy młodzi, młodszy niż panna jesteś teraz. Żaden z nas nie znał żołnierskiego rzemiosła, to pewne. Jednostką, która przyjęła nas na pokład, był pochodzący z Korfu statek o nazwie „Czarno-Złoty Orzeł”. W Mesynie dołączyliśmy do floty Ligi Świętej i w dniu bitwy znaleźliśmy się na prawym

skrzydle. Z początku szczęście nam sprzyjało, lecz gdy oczom naszym ukazała się cała turecka potęga, rozpoczęły się beładne manewry. Nasi admirałowie zwątpili w siebie nawzajem, szyk się załamał i straciliśmy z oczu pozostałe chrześcijańskie statki. Zwyciężyliśmy w kilku bezpośrednich zwarciach – brat twój niestety poległ w jednym z nich – jednak wkrótce zostaliśmy całkowicie otoczeni. Nasz kapitan, niejaki Pietro Bua, postanowił się poddać. Wycofujący się Turcy odholowali nas do portu w Lepanto i pognali na główny plac miasta. Porażka ich rozwścieczyła, a utrata tylu mężów wywołała ogólną rozpacz. Chrześcijanie szlachetnego rodu zostali oddzieleni od reszty. Sądziłyśmy, że chodzi o okup, lecz Turcy ścięli ich wszystkich, kapitana zaś żywcem obdarli ze skóry. Ci, którzy ocaleli, trafili do niewoli.

Jak zginął mój brat?

Od kuli armatniej. Wystrzelonej z folgierza ustawionego centralnie na pokładzie osmańskiej galery. To był wielki kamień, musiał ważyć dobre pięćdziesiąt funtów. Po wystrzale najpewniej rozpadł się w powietrzu, gdyż na pokładzie znalazłem wiele wapiennych odłamków, wyznaczających tor lotu pocisku. Gdyby okręt nieprzyjaciela znajdował się w zagłębieniu między falami, nie zaś na ich szczycie, kula roztrzaskałaby kadłub i zginęłoby znacznie więcej członków załogi. A tak przeleciała górą. Twój brat w jednej chwili stał przy mnie, w następnej już go nie było.

Zdołałeś waść odnaleźć jego szczątki, zanim wasz statek został przejęty?

Próbowałem, ale trudno tu mówić o jakichkolwiek szczątkach. Bardzo mi przykro.

Perina kiwa głową. Cała jej postawa wyraża głęboki żal, lecz na twarzy nie maluje się rozpacz, tylko ożywienie, a potem wyczerpanie. Stracono wszystkich szlachciców, mówi. Więc Gabriel i tak by zginął.

Istotnie. Czasami sam pocieszam się tą myślą. Nieprzyjacielska kula oszczędziła mu cierpienie i upokorzenia.

Dziewczyna milczy; pociera dłońmi o uda, jakby chciała je rozgrzać, chociaż w komnacie nie jest chłodno. A może jest? Crivano nie potrafi tego ocenić. Całkiem otwarcie wpatruje się w Perinę, usiłując zapamiętać każdy, nawet najdrobniejszy szczegół – usta, stopy, czoło – lecz wszystko natychmiast ulatuje i rozplywa się bez śladu, niczym krople deszczu padające na rozgrzany kamień. Dobrze wie, że oko rzadko karmi pamięć. Tłumi chęć, aby przywrzeć nosem do skóry jej głowy, ująć w ręce delikatne dłonie, zobaczyć, co zdoła odczytać ze splątanej sieci znaczących je linii. Po dzisiejszym wieczorze nie planuje więcej się z nią spotkać.

A co się stało z wami, dottore? – pyta dziewczyna. Po tym, jak Turcy was pojмали?

Crivano wzrusza ramionami. Miałem szczęście, mówi. Nie przykuto mnie do

wioseł, jak wielu innych marynarzy z naszego statku. Ze względu na młody wiek oddano mnie janczarom. Wraz z nimi znosiłem trudy przygód w dalekich krajach, o których istnieniu nigdy nawet nie śniłem. Nauczyłem się ich mowy oraz języka Arabów i z czasem zostałem tłumaczem.

A potem uciekłeś waść.

Tak. Zdradziłem zaufanie, które przez lata udało mi się zdobyć, i umknąłem. Chciałbym móc wyznać, że była to łatwa decyzja, ale nie. Blisko pół życia spędziłem wśród Turków. Straciłem dom rodzinny oraz wszystkich bliskich. Ziemia, na której zamierzałem się schronić, była mi całkiem obca. Świat, w którym się urodziłem, nie poznał mnie ani ja jego.

Bez rodziny, zauważa Perina, jest się tutaj nikim. Gorzej niż nikim. Jest się trupem. Kukłą. Duchem.

Twarz ma spokojną i głos opanowany, ale Crivano wyczuwa w jej tonie wściekłość tak czystą, że prawie niedostrzegalną, jak bardzo gorący płomień. Istotnie, przytakuje. Panna z pewnością dobrze to rozumiesz.

Dlaczego waść wróciłeś?

Crivano spogląda na swój podolek, potem na posadzkę. Upojenie stopniowo ustępuje, odbierając mu energię i bystrość umysłu. Grozi mu, że się zapomni, zagubi we własnych kłamstwach. W miarę, jak się starzejemy, odpowiada dziewczynie, czasami dochodzimy do wniosku, że najważniejsze decyzje, które w życiu podjęliśmy, nie zostały przez nas zauważone. Dostrzegamy jedynie chaos błahych wyborów, które są jak kamyki wielobarwnej mozaiki. Potrzeba dystansu, aby z chaosu wyłonił się spójny obraz. Pewnej nocy zgłosił się do mnie człek, który oznajmił, że wykradł skórę Marcantonia Bragadina, bohaterskiego obrońcy Famagusty. Poprosił mnie o pomoc, a ja się zgodziłem. Ta jedna rozmowa zaważyła na moich dalszych losach.

Przez pewien czas siedzą w milczeniu. Korytarz rozbrzmiewa echem głosów śpiewających *Magnificat*. W przeciwległym końcu komnaty zakonnica nawija i splata przedzę. Jej zniecierpliwienie ciąży nad nimi niby mgła.

Ja też muszę niedługo podjąć ważną decyzję, odzywa się naraz Perina.

O złożeniu ślubów?

Dziewczyna przytakuje. Mam już dwadzieścia lat, mówi, a postulanką jestem, odkąd skończyłam osiem. Większość z nas przed szesnastym rokiem życia albo wychodzi za mąż, albo przywdziewa zakonny habit. Obawiam się, że przysparzam trosk matce przełożonej. Przekazała mi, że wybrała już dla mnie nowe imię i z niecierpliwością czeka, aż je wkrótce przybiorę. Powtarza mi to regularnie od ponad roku, ale jej nieskończona cierpliwość jest na wyczerpaniu. Brak mi słów, aby wam opisać, dottore, jak gorąco pragnę opuścić ten bezpłodny harem Chrystusa. Nie ma takiej rzeczy...

Oczy, żarliwie utkwione w jego twarzy, lśnią pod welonem na podobieństwo

obsydianu.

...której bym nie zrobiła, żeby się stąd wyrwać. Możecie mi wierzyć.

Crivano zerka nerwowo na zakonnicę, lecz udręczony wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę.

Nie musicie się zanadto obawiać siostry Perpetuy, dottore, komentuje jego spojrzenie Perina. Jest bardzo bogobojna, ale też nieco przygłucha. My, więźniarki Świętej Katarzyny, mamy szczęście, że wyznaczono ją na naszą furtiankę.

Rozumiem, mówi Crivano, że nie czujesz panna powołania do stanu zakonnego.

Możecie przetrząsnąć ten gmach cegła po cegle, dottore. Znajdziecie może tuzin takich, które mają prawdziwe powołanie. Większość z nas stanowią nadliczbowe córki możnych rodów Republiki, które bez narażania się na hańbę i zbędne koszty wyswatano Chrystusowi. W czasie nieprzeznaczonym na modlitwę oddajemy się marionetkowym intrygom, które pochłaniają nasze rodziny w świecie poza klasztornym murem – z tym że nasze nie wywołują równie poważnych konsekwencji. Nieliczne z nas, którym Bóg nie poskąpił rozumu, unikają równych sobie stanem. Wolą się raczej zadawać z pokutującymi nierządnicami, które wiedzą co nieco o życiu, znają najlepsze piosenki i najciekawsze opowieści oraz nie szczędzą nam dosadnych nauk, jak najlepiej zadowolić męża lub kochanka, kiedy w końcu przyjdzie nam walczyć o własną pozycję w tym świecie.

Crivano zdaje sobie sprawę, że słucha z otwartymi ustami, i prędko je zamyka.

Ja naturalnie rzadko uczestniczę w podobnych rozmowach, ciągnie Perina. Całe dni spędzam wśród książek, które uda mi się zdobyć, albo na wstydliwych rojeniach. Chcielibyście usłyszeć te najbardziej gorszące, dottore? Oto marzenie, któremu od kilku dni oddaję się na jawie i którego nie ośmieliłabym się wyznać nikomu poza wami: otóż wyobrażam sobie, że okręt wiozący z Cypru moją matkę i siostrę nie dotarł bezpiecznie do laguny. Zamiast tego opadli go tureccy korsarze, ja zaś nie przyszedłam na świat w bezpiecznym przybytku Contarinich, tylko w Konstantynopolu, gdzie zostałam następnie odaliską w seraju. A potem, rzecz jasna, wyobrażam sobie młodego sułtana, który – doceniając tę odrobinę dowcipu, jaką posiadam, i stawiając go wyżej od urody, której mi brakuje – czyni mnie swoją faworytą. Rumienicie się, słysząc te rzeczy, dottore, chociaż ja prawie o nich bez rumieńca wstydu. Czy osądzicie mnie mniej surowo, jeżeli urozmaicę nieco tę fantazję i dodam, że chciałabym się urodzić w seraju jako chłopiec i – krótko mówiąc – wieść takie życie jak wy? Może to dziwne pragnienie, ale nie potrafię się go wstydzić.

Crivano w wielkim napięciu wytrzymuje jej spojrzenie. Ręce ciężą mu niczym mokra wełna; nie jest pewien, czy nogi poniosą go stąd, kiedy przyjdzie pora wstać. Nie wybieramy swoich fantazji, moja panno, mówi.

Pomożecie mi stąd uciec? Tylko uciec. Nic więcej.

Crivano powoli kręci głową. To błąd: choć zaraz przestaje, komnata nadal wiruje. Nie wiesz, o co mnie prosisz, moja panno, mówi. Dokąd się udasz?

Jest tyle miejsc, odpowiada ona. I tylu różnych ludzi. Proszę, dottore.

Wirujące ściany przyprowadzają go o mdłości, zamyka więc oczy i głęboko oddycha. Śmieje się pod nosem. Tak łatwo jest mu w tej chwili wyobrazić sobie, że ta oto dziewczyna wyśniła go i powołała do życia. Że jest cieniem rzuconym przez jej dłonie, poruszające się przed niewidocznym źródłem światła.

Dottore? – niepokoi się Perina. Czy znów coś wam dolega?

Twoje nowe imię, szepcze Crivano. Wiesz już, jak będzie brzmiało?

Nie. Ale zawsze mogę je wymyślić.

Crivano otwiera oczy. Na myśl o odrzuceniu dawnego imienia krew od razu żywiej krąży w żyłach, prawda? – pyta. Nie jest to jednak coś, co można zrobić ot, tak sobie. W przeciwnym razie może się okazać, że jesteśmy nikim.

Perino, wtrąca się zakonnica. Już pora. Odprowadź gościa do drzwi.

Dziewczyna wstaje i pociąga go delikatnie za nadgarstek; Crivano jest jej wdzięczny za pomoc. Chciałbym ci opowiedzieć więcej o twoim bracie, mówi.

Mam tak wiele pytań. Odwiedzicie mnie wkrótce?

Kochali go wszyscy, którzy go znali, odpowiada na to Crivano. Do momentu swojej śmierci dodawał nam wszystkim odwagi. Po dziś dzień jest dla mnie wzorem honoru i męstwa.

Przez oblicze Periny przemyka cień; dziewczyna spuszcza wzrok. Potem bierze Crivana pod rękę i wiedzie go w stronę wyjścia. Mówiono mi, odzywa się, że w młodości mój brat skłaniał się ku samotności i melancholii. I że to dzięki wam zmienił swoje usposobienie.

W jej głosie pobrzmiewa niepewność, obawa, którą czym prędzej od siebie odsuwa. Otrzeźwia go to niczym uderzenie kulą śniegową w kark. Muszę przyznać, mówi, że lata trudów i smutków nie pozostały bez wpływu na mój temperament. Z trudem więc przypominam sobie owego radosnego młodzieńca, o którym, panna, mówisz. Jeżeli jednak zdołałem w jakiś sposób ulżyć twojemu bratu w jego krótkiej pielgrzymce przez ten świat, poczytuję to sobie za zaszczyt.

Dziewczyna uśmiecha się pod osłoną welonu. Ze wzrokiem utkwionym w kamiennych płytach posadzki prowadzi Crivana do drzwi. Zakonnica znów depcze jej po piętach.

Perina ściska ukradkiem przedramię Crivana. Pomożecie mi, prawda? – szepcze.

Ja... Spróbuję.

Drzwi otwierają się i do wnętrza wlewa się noc, cicha i rześka. Ciemne sylwetki dzwonnicy i kominów oraz połączone krytymi płytkami dachów rysują się na tle zachodniego nieba, w dole zaś, na ulicach, gromadzą się cienie. Powierzchnia

kanału odbija resztki światła – błękitne niebo, pomarańczowe latarnie – i Crivano z mozołem wlecze się w tamtą stronę. W połowie schodów klasztornych przystaje i wsparty ciężko na poręczy odwraca się. Perina stoi w otwartych drzwiach. Twój kuzyn. Senator. Mówił coś o mnie?

Dziewczyna jest wyraźnie zaskoczona pytaniem i nie wie, co odpowiedzieć. Niewiele, mówi wreszcie. Tyle co nic.

Zadbał jednak, abyśmy się spotkali.

Tak, przyznaje Perina. Sama go o to prosiłam.

Stojąca za nią zakonnica kładzie jej dłoń na ramieniu, drugą opiera o framugę. Ukryte pod welonem oczy dziewczyny toną w mroku.

Skąd w takim razie, dopytuje Crivano, wiedziałaś, że znałem twojego brata? I że walczyłem pod Lepanto?

Milczenie dziewczyny się przedłuża. Delikatny wietrzyk szeleści koronami pini rosnących na kościelnym dziedzińcu. Od dottore de Nis, pada wreszcie odpowiedź. Dottore de Nis mi powiedział.

Dobrej nocy, dottore! – woła furtianka, zatrzasnąwszy drzwi. Uważajcie na siebie po zmroku.

Rygiel zasuwa się z głośnym łoskotem. W ciszy, która zapada, Crivano wpatruje się w szare dębowe deski drzwi klasztornych, dopóki przez szczeliny pomiędzy nimi prześwituje światło lampy. Kiedy ono znika, ze znużeniem sprawdza, czy niczego nie zapomniał – pakunku, laski – i udaje się na południe, w stronę bazyliki Świętych Apostołów i rozciągającej się za nią dzielnicy Rialto. W oddali stojąca na piazzy dzwonnica jaśniej niczym rozpalone żelazo na tle rozgwieżdżonego nieba; wokół niej migają białe ptaki nocne, polujące na owady, które przyciąga ogień.

Kiedy dochodzi do kanału Świętej Zofii, robi kilka chwiejnych kroków i zatrzymuje się tuż nad wodą. Odkłada na ziemię pakunek oraz laskę i rozchyła szaty, aby oddać mocz na nabrzeże. Niemal bruka przy tym ubranie, zapatrzoney w migotliwe rozbłyski na powierzchni kanału. Chciałby się zastanowić nad tym, co usłyszał, ale teraz nie może: musi odnaleźć Obizza i przekazać mu nowiny. Nie powinien był tu w ogóle przyjeżdżać. Jakie лихо go podkusiło? Jaka przewrotna potrzeba, zrodzona w nim samym albo – być może – w tych krętych zaułkach, które złośliwie zdają się mieszać mu szyki, odwracając uwagę dziwnymi widowiskami, wprawiając go w nagłą zadumę i budząc obce mu dotąd instynkty? Nawet w tej chwili stawiane z wysiłkiem kroki nie przybliżają go ani trochę do Rialto: Crivano widzi połyskujący między murami pałaców Canale Grande, nie znajduje jednak ścieżki, która by go tam doprowadziła.

Na Campo Świętego Jana Złotoustego ostatecznie się poddaje i skręca w ulicę, która – jest o tym przekonany – wiedzie ku Le Mercerie; zamiast tego trafia za Fondaco dei Tedeschi. Nareszcie jest nad Canale Grande, nieopodal miejsca, gdzie wznosi się nowy most. Śpieszy na Riva del Carbon, rozglądając się po twarzach wolnych gondolierów w nadziei, że gdzieś dostrzeże Obizza. Gdy jest już prawie przy pałacu Morosinich, gdzie ubiegłego wieczoru jednym uchem wysłuchał wykładu Nolanusa, odwraca się. Nowy most przypomina rozwartą nad wodą, najeżoną zębami paszczkę. Szerokie przesło oświetlają pochodnie, których ruchliwe płomienie migoczą zwielokrotnione na falach kanału.

„W dziełach Hermesa Po Trzykroć Wielkiego czytamy o podwójnej istocie Boskiego Człowieka, o tym, jak spojrzął w dół ze sklepienia niebios i zakochał się w Naturze, ujrzawszy jej odbicie w swoich świętych wodach”. Wspinając się środkowym przejściem na most, Crivano zauważa znajomą postać wspartą o marmurową balustradę: ulicznicę z kurzajką na stopie. Jest sama, zmęczona i zapewne głodna, lecz poza tym nic zdaje się jej nie dolegać. Spogląda w dół na miasto: na rzędy pogrążonych w tajemniczym mroku pałaców i na latarnie mrugające ponad czarnymi zarysami łodzi. Wyraz jej twarzy przywodzi mu na

myśl młodość spędzoną w szeregach janczarów; widywał go czasami, aczkolwiek rzadko, u wieśniaków przepędzonych ze swoich domostw przez maszerujące armie. Jakże cudowne jest to, co mnie niszczy, zdawały się mówić ich spojrzenia.

Crivano odłącza się od nielicznych przechodniów i staje niezauważony obok – dość blisko, aby móc się przyjrzeć ścięgnom jej karku i ramion, poczuć ostrą woń wielodniowego potu, którym przeniknięta jest skóra dziewczyny. Brązowy barwnik na jej dłoniach i przedramionach zdążył nieco wyblaknąć. Dziewczyna porusza się, zmienia ułożenie ciała i Crivano oddala się z pośpiechem.

„Wszechświat, w całym swym nieuporządkowaniu i różnorodności, stanowi zwierciadło, w którym odbija się nieznaną dotąd wizerunek Człowieka. Lecz w owym pozornym chaosie kryje się jedność: oto Amfitryta, bogini morza, utożsamiana także z wodami, w których kąpała się naga Diana, gdy ujrzał ją Akteon, oraz z intelektem”. Crivano zmierza na południe, ku wylotowi Riva del Vin, a następnie na północ, w stronę targu rybnego, który o tej porze od dawna świeci pustkami, lecz wciąż intensywnie cuchnie. Po nabrzeżu kręcą się gondolierzy: zaczepiają przechodniów, proponując swoje usługi, albo czekają na swoich panów, śmiejąc się przy tym donośnie i przeklinając pospołu. Obizza nigdzie nie widać. Przechodząc przez plac Powroźników, Crivano uświadamia sobie, że wizerunek, który ma przed oczami – wychudła twarz, której wypatruje nad brzegami kanału – nie należy wcale do krzepkiego Obizza, tylko do martwego Verzelina. Przez cały ten czas szukał zamordowanego przez siebie człowieka, którego rysy pomylił z innymi. Dzisiejszego wieczoru być może z tuzin razy minął Obizza i nawet go nie poznał.

Opiera się o filar kolumnady, zamyka oczy i oddycha przez chusteczkę. Jest trzeźwy, ale obolały i wyczerpany. Gospoda Pod Białym Orłem wydaje się taka odległa. Tajemniczy ciężar, który przez cały dzień nad nim wisiał, w końcu go przytłoczył, on zaś wciąż nie zna jego źródła. Oto cel wszystkich jego knowań jest dosłownie w zasięgu ręki: za kilka dni zadanie będzie wykonane. Skąd zatem bierze się to poczucie zagubienia, nieznośne przeszkody, które zdają się brać swój początek w jego własnym wzburzonym umyśle? Nawet teraz, gdy próbuje przywołać przed oczy oblicze Obizza, widzi jedynie ukrytą pod welonem twarz Periny i jej błagalny wzrok. „Chcę tylko stąd uciec – powiedziała. – Nic więcej”.

Crivano może jeszcze obrać inny kurs. Ta myśl wprawia w drżenie jego serce. Obizzo z łatwością mógłby dołączyć do Verzelina na dnie laguny: jako uciekinier i tak jest już praktycznie martwy. Potem wystarczyłoby przesłać sekretną wiadomość do senatora – „Rozpoznałem w mieście pewnego Turka, głównego dręczyciela w czasach mojej niewoli i muszę się zemścić” – aby zyskać ochronę przed szpiegami sułtana. Umówić się z Narkisem w jakimś odludnym miejscu, wbić mu sztylet w serce. Serena milczałby; cóż zresztą miałby zrobić? Dwoma zdecydowanymi posunięciami Crivano unicestwiłby cały spisek. I wreszcie

zwieńczenie przewrotnego planu: w końcu mógłby zrzucić maskę udawanej przyzwoitości i w istocie stać się człowiekiem przyzwoitym. Jak jaszczurka gubiąca własny ogon.

Ma przecież błogosławieństwo senatora. Mógłby poślubić tę nierozważną, uroczą dziewczynę. Co może go powstrzymać? Kto miałby się temu sprzeciwić? Mógłby zejść z dotychczasowej ścieżki, zamienić jedną zdradę na inną, większą i jeszcze bardziej odrażającą, jakiej żaden człowiek przed nim jeszcze nie popełnił. Myśl ta nie jest mu niemiła: stać się nareszcie oszustem doskonałym.

Ktoś mu się przygląda. Crivano otwiera oczy.

To znowu ta dziewczka. Stoi zwrócona plecami do kanału, kilka kroków od niego. Twarz ma pustą, obojętną. Jestem, mówi.

Do tej pory brał ją za prowincjuskę, za kilka dodatkowych monet sprzedającą swe wdzięki podczas święta, lecz wszystko wskazuje na to, że mógł to być pochopny wniosek. Dziewczyna starannie wybrała moment: zdaje się nie mieć żadnych wątpliwości, jak Crivano postąpi, choć on sam nie jest jeszcze tego pewien. Zastanawia się, jak to możliwe.

Chowa chustkę i podchodzi do niej; dziewczyna dwornie mu się skłania. Pyta o jej nogę, ona zaś odpowiada, że kurzajka ciągle sprawia jej ból. Zagaduje, czy ma gdzie spać, ona zaprzecza: nie ma noclegu, ale z pewnością coś znajdzie. Wtedy on pyta ją o cenę.

Pod Białym Orłem przerywa wieczerzę Anzolowi i wręcza oberżyscie zawiniątko od Sereny. Trzeba to przed zmrokiem dostarczyć do rąk dottora Tristão de Nis, mówi. Znajdziecie go w domu Andrei i Nicola Morosinich. Posłańcy winni być dobrze uzbrojeni i całkowicie zaufani, niezwiązani w żaden formalny sposób z twoją gospodą. Wartości tego zawiniątka nie sposób oszacować, a jego zawartość może być niezgodna z prawem. Udam się teraz na spoczynek i nie chciałbym być niepokojony przed czternastym dzwonem. Aha – niechże służąca przyniesie mi dużą miednicę, czystą szczotkę do mycia i dodatkowy dzban wody do mojej izby. A także zapasową lampę. Zaraz, jeśli łaska.

Kiedy rozlega się pukanie do drzwi, dziewczka właśnie zdejmuje spódnice. Crivano uchyła je na tyle, aby odebrać przyniesione przez służącą rzeczy, zaraz też je zatraskuje i zasuwa rygiel, mamrocząc pod nosem podziękowania. Napelnia miednicę wodą, zapala lampę i sam również się rozbiera, podczas gdy ulicznica się myje. Dziewczyna zatrzymuje spojrzenie na dwóch symbolach wytatuowanych na skórze Crivana – kluczu na piersi oraz mieczu Proroka na łydce – lecz nie zadaje żadnych pytań. Jej długi cień pada na ściany, raz wyraźniejszy, raz zamazany w migotliwym świetle.

Kiedy kończy, Crivano chwyta ją za kark i ponownie myje, szorując jej skórę szczotką, aż się zaróżowi pod opalenizną. Dziewczyna nie protestuje. Crivano wyciera ją do sucha i wskazuje posłanie. Przysuwa bliżej lampę i zaczyna

skrupulatnie badać jej ciało, wypatrując brodawek oraz wrzodów wenerycznych. Oczy ma suche i zmęczone. Dziewka leży nieruchomo, w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w sufit. Z ulicy dobiegają czyjeś stłumione głosy, a gdzieś z daleka pohukiwanie puszczyka.

Wreszcie Crivano prostuje się, myje ręce aż do łokci i każe jej usiąść. Następnie nachyla jej głowę do światła i wkłada jej palce do ust. Język, policzki i gardło są wolne od oznak choroby. Popycha ją znów na wypchany wełną materac, ugina jej nogi w kolanach i wsuwa zwilżone śliną palce do odbytu i pochwy. W zamierzeniu miało to stanowić podyktowany rozsądkiem wstęp do kopulacji, lecz wkrótce staje się celem samym w sobie: tego właśnie pragnie, to chce jej robić, po to ją tu przywiódł. Wspomina najazd na Gruzję i piękne młode ciała złożone w stodole w Tyflisie, przenikliwy chłód, który tłumiał odór śmierci. Cóż to były za niezwykle konstrukcje! Jeszcze doskonalsze po tym, jak uleciała z nich dusza. Godzinami mógł je badać, całymi dniami ciąć je na kawałki.

Włoski pokrywające jej ciało są zaskakująco delikatne, tak samo rude jak szczecina na głowie, a na goleniach niemal złote. Cienka haczykowata blizna, dobrze zagojona, znaczy dolną krawędź lewej łopatki. Crivano naciąga jej palce u nóg, bada uważnie zagłębienia pach, przeciąga knykциями po szorstkiej kurczajce na stopie. Szczypie jej wargi, sutki oraz płatki uszu: miękkie ciało czerwienieje i nabrzmiewa. Kciukami wygładza jej brwi, muska zamknięte powieki. Gdy jej oczy się otwierają – a źrenice kurczą – długo w nie zagląda. Mają ciekawy kolor, zielono-szaro-brązowy. Niczym głęboki i wartki strumień, wzburzony butami żołdaków.

Ona powoli zaczyna się niecierpliwić, denerwować, niepewna jak to wszystko się skończy. Wyciąga ręce, próbuje go nakłonić do zrobienia czegoś, co będzie potrafiła zrozumieć. Ilekroć to robi, Crivano odpycha jej dłonie: z początku łagodnie, później coraz silniej, choćby po to, aby poczuć, jak tajemna struktura mięśni i ścięgien stawia mu opór. Oto dar nowej niewidzialności, cieplej od krwi i bezmyślnej, ukrytej głęboko pod skórą. Innej niż ta pożądana przez alchemików. Każde kolejne odkrycie zostaje natychmiast zapomniane.

Trwa to, zdawałoby się, wiele godzin, chociaż Crivano nie przypomina sobie, aby słyszał w tym czasie dzwony. Dopiero, gdy ruchy ich obojga stają się niezdarne, nieporadne, ospałe, pozwala jej się dotknąć. Dziewczyna kładzie mu rękę na brzuchu i dłonią wykonuje mechaniczne gesty. Po wszystkim Crivano wstaje, aby się obmyć.

W jakimś momencie nocy budzi go jej chrapanie; nie jest pewien godziny, ale w komnacie panuje ciemność. Lampa na stole do cna się wypaliła; ta druga, nowsza, nadal migocze w kącie. Crivano wysuwa się z łóżka, napełnia zbiorniczek lampy, igłą nastawia knot, dopóki nie uzyska równego płomienia. Wtedy otwiera swoją skrzynkę medyka.

Układa na stole kwadratową marmurową płytkę i dwie cynowe szpatułki, obok stawia zamknięty słoik pszczelego wosku i dokonuje przeglądu ziół. Kora brzozy. Żywica figowca. Glistnik jaskółcze ziele. Dwuletni lulek czarny zakupiony od aptekarza na krótko przed tym, jak pierwszy raz ujrzał tę dziewczynę. Po co kupił go aż tyle? Wystarczyłoby, aby wytruć wszystkich Pod Białym Orłem i wielu innych. Czy taka transakcja nie wzbudzi przypadkiem niczyich podejrzeń?

Odsuwa od siebie wątpliwości, wybiera składniki i odmierza je na płytkę. Nabiera wosku na szpatułkę, zmiękcza go nad lampą i rozsmarowuje po rozsypanych ziołach, miesza i uciera, aż powstanie maść. Przekłada ją do fiolki, ponownie pochyla się nad skrzynką i wyjmuje z niej długą, cienką brzytwę, po czym budzi dziewczynę.

Ta cofa się gwałtownie na widok ostrza. Crivano zakrywa dłonią jej usta, nim dziewczka zdąży krzyknąć. Palcami ściska jej nos i wgniata czaszkę w materac, aż trzeszczą podtrzymujące go sznury. Potem zaczyna jej szeptać do ucha i nie przerywa, dopóki dziewczyna nie przestanie się szarpać, nie zrozumie i nie przystanie na to, co Crivano zamierza jej zrobić.

Wtedy ją puszcza, chwytając za udo i szybkim ruchem przewraca na brzuch. Siada na niej okrakiem, wspierając pośladki na jej pośladkach i zgina jej nogę w kolanie, jakby podkuwał konia. Odchyła podeszwę stopy w stronę lampy, żeby lepiej widzieć i zaczyna ciąć.

Krwi jest mało, tyle co nic. Gdy strzępki odciętego nagniotka sypią się na prześcieradło, wierzchem dłoni zmiata je na podłogę. Oczyściwszy okolice kurzajki, nakłada okład z maści i ciasno bandażuje stopę. Co wieczór ją oczyszczaj, nakazuje. I co rano nakładaj maść. Nie chodź, jeżeli nie musisz. Jeżeli będziesz tak postępować, w ciągu miesiąca powinna zniknąć.

Wstaje i uwalnia dziewczynę. Ta przekręca się na bok, ugina nogę i dźga palcem bandaż. Potem patrzy na niego. Dottore, mówi.

Nie dodaje nic więcej. Chwilę później kładzie się na brzuchu i podciąga kończyny, przybierając pozycję sfinksa; wsparta na kolanach i łokciach kołysze się sennie w świetle płomienia lampy. Crivano przygląda się temu przez jakiś czas. Z gardła wrywa mu się chrapliwe westchnienie; podobny odgłos mogłoby wydać umierające albo rodzące się zwierzątko. Wdrapuje się na łóżko i poczyną sobie z nią na modłę Greków, tak jak czasami poczynali sobie z nim janczarzy albo jak on sam zabawiał się za młodu ze Skowronkiem, w owe długie, leniwe dni, gdy wszystko było jak zawsze i nic nie wskazywało na to, że ów cudowny sen miałyby się kiedyś skończyć.

Gdy się budzi, słońce wciska się przez zasłony, a dziewczyna wciąż śpi obok niego.

Kiedy znowu otwiera oczy, promienie słoneczne padają już pod innym kątem, światło jest łagodniejsze, a po dziewczce nie ma śladu. Crivano usiłuje z pewnym powodzeniem ponownie zapaść w drzemkę, ale wspomnienia minionej nocy – a także obawa o to, co dziewczyna mogła mu ukraść oraz potrzeba opróżnienia pęcherza – ostatecznie podrywają go z posłania.

W nocniku są mocz oraz stolec. W dzbanku zostało dość wody, aby Crivano mógł się obmyć. Stos monet, które dla niej odłożył, zniknął, rzecz jasna, lecz w sakiewce nadal coś pobrzękuje, gdy bierze ją do ręki. Gruba sterta papierów ukrytych w podwójnym dnie jego kufra – papiery wartościowe genueńskiego banku, dokument poświadczający otwarcie dla niego rachunku przez Narkisa – sprawiła, że dość swobodnie podchodził dotychczas do kwestii funduszy. Wysypuje zawartość sakiewki na stół, aby ją przeliczyć. Złote zecchino, srebrne dukaty i soldy, trochę miedziaków. Kilka lirów i groszy. Jedna porysowana i wytarta giustina z inskrypcją MEMOR ERO TUI IVSTINA VIRGO na rewersie. Cudzoziemskie monety: papieskie skudy, angielski półgrosz, ćwierć écu z podobizną Henryka IV. Jedna jest niebieskozielona i Crivano nie umie jej zidentyfikować. Rozsuwa zasłony, krzywi się i unosi ją do światła. To dukat. Wybity z konieczności podczas oblężenia przez miejscowego skarbnika z pierwszego lepszego dostępnego metalu. Jedna strona jest całkiem wytarta i nieczytelna, na drugiej widnieje skrzydlaty lew oraz rok 1570.

Crivano czuje nagły skurcz i ramię drętwieje mu, jakby uraził nerw łokciowy; dukat wypada mu z palców i z brzękiem toczy się do kąta. Drżący Crivano schyla się, aby go podnieść. Potem siada nagi przy stole i przesuwa opuszkami palców po reliefie monety, podczas gdy oczy zachodzą mu łzami. Myśli o swoim ojcu. „Masz natychmiast zakończyć te głupie dąsy. Podjąłem już decyzję. Maffeo i Dolfin zostają ze mną. Masz rację: jeżeli pokonamy Turków, mój majątek im dwóm przypadnie w udziale. Tyle że my ich nie pokonamy. Nie pojmujesz tego? Sultan zwycięży w tym roku, za rok albo za dziesięć lat, ale zwycięży. Wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. Maffeo i Dolfin odziedziczą moje ziemie i cały dobytek, który nie jest nic wart, gorzej, stanie się ich przekleństwem i zgubą. Tobie zaś oddaję nazwisko i miejsce w Wielkiej Radzie. Posyłam was ze Skowronkiem do Padwy nie dlatego, że tu, na Cyprze, nie ma dla ciebie dziedzictwa, ale dlatego, że twoim jedynym dziedzictwem tutaj jest śmierć”. Crivano ociera policzki, osusza twarz wiszącą na kołku koszulą i się ubiera. Przez krótką chwilę żałuje, że nie ma już zwierciadła Tristão: chciałby odczytać ze swojej

twarży historię, którą tak starannie ukrywał i o której tak bardzo usiłował zapomnieć. Historię, której nie zrozumiałby nikt poza nim samym.

Słysząc bicie dzwonów, lecz Crivano prędko traci rachubę. Musi być dosyć późno. Obizzo, myśli. Zostało mi niewiele czasu.

Przed wyjściem zagląda jeszcze do zwykle zatłoczonej sali jadalnej i odnajduje Anzola przy drzwiach prowadzących do kuchni. Dzień dobry, messer, odzywa się. Czy mój pakunek...

Ach! Dzień dobry, dottore!

Anzolo – to do niego całkiem niepodobne – śpieszy ku niemu z teatralną usłużnością i kładzie Crivanowi obie dłonie na ramionach. Wielcem rad was widzieć, dottore, mówi. Muszę wszak przyznać, iż liczyłem, że trochę dłużej pośpicie. Znając waszą słabość do minogów, zamierzałem posłać rankiem służącą na targ rybny, lecz w swoim niedbalstwie dopiero teraz sobie o tym przypomniałem.

Crivano jest kompletnie zaskoczony, bo nie cierpi minogów. Zechciej mi wybaczyć, jaka się, ale nie sądzę, abym zamawiał...

Dottore, tak ceniony gość jak wy nie musi u nas niczego zamawiać. Raczcie przyjąć moje najszczerze przeprosiny. Minogi będą jutro, taką przynajmniej mam nadzieję. Dzisiaj natomiast mamy w piecu wybornego turbota, który niedługo będzie gotowy. Mam nadzieję, że uczynicie mi ten honor i zjecie chociaż kawałek, zanim się oddalicie.

Anzolo trzyma go mocno za ramiona i przytrzymuje na miejscu, nie pozwalając mu odwrócić się i odejść. Crivano czuje, że robi się purpurowy na twarzy; z niezadowoleniem wygina górną wargę. Przed chwilą chciał jedynie zapytać o los przesyłki dla Tristão, teraz odruchowo przesuwa palce po trzonku laski, gotując się do zadania temu durniowi ciosu w mostek. Ponownie otwiera usta, aby zaprotestować.

Bardzo proszę, dottore, mówi Anzolo. Nalegam.

Wargi oberżysty rozciągają się w rozanielonym uśmiechu, lecz w jego oczach płonie wściekłość i – Crivano zauważa to dopiero teraz – strach. Krew, która przed momentem napłynęła mu do twarzy, teraz z niej odpływa, a włoski na karku i przedramionach stają dęba. Naturalnie, bąka. Dziękuję.

Zza jego pleców dobiega nieznany głos. Może przyłączycie się do mnie, dottore?

Anzolo rozluźnia swój uchwyt i puszcza Crivana, a ten odwraca się na pięcie.

Z miejsca przy stole w rogu podniósł się mocno zbudowany, żyłasty mężczyzna. Pozdrawia Crivana uniesioną ręką. Odzienie ma proste, utrzymane w szarościach i czerniach, uszyte z dobrej jakości materiałów. Liczne pierścienie na palcach oraz srebrny wisior świadczą o tym, że nie przywykł liczyć się z kosztami

– chyba że jest obywatelem Republiki albo szlachcicem, w co jednak Crivano zdecydowanie wątpi. Fryzura i broda sugerują hiszpańskie pochodzenie, swobodny zaś sposób bycia wskazuje na żołnierza.

Właśnie skończyłem posiłek, dodaje ów człek, a tak się składa, że w tym pięknym dniu nie mam nic lepszego do roboty, jak siedzieć tu i nawiązywać nowe znajomości. Przypuszczam, że to wstyd tak się wałkonić, lecz życie towarzyskie samo w sobie potrafi być rodzajem użytecznego zajęcia, zgodzicie się ze mną, dottore? Proszę, siadajcie.

Jego przyozdobiona klejnotami dłoń opada, by wskazać stojące przed nim krzesło. Z tyłu za nim wiatr porusza koronkowymi zasłonami; wydymają się zgodnie, jakby były połączone jedwabną nicią, po czym bezwładnie opadają. Za oknem, w cieniu płóciennego zadaszenia nad warsztatem stolarza po przeciwnej stronie ulicy, Crivano spostrzega dwie stojące tyłem postacie. Obie mają narzucone na ramiona nowe płaszcze identycznego kroju, lecz w różnych odcieniach. Mężczyzna za stołem również ma taki płaszcz – nie odwiesił go do szafy w jadalni, chociaż w środku jest całkiem ciepło. Kiedy tak patrzy, jeden z mężczyzn po drugiej stronie ulicy drga i odwraca się, Crivano zaś rozpoznaje wybałuszzone oko, ciemną szczelinę ust oraz płataninę blizn biegnących od czoła aż do podbródka i od jednego ucha do drugiego. To ten sam zabijaka, którego widział wczoraj rano na Le Mercerie nieopodal księgarni Ciottiego. Crivano powoli wciąga powietrze do płuc i zaciska zwieracze, żeby się nie zesrać.

Chyba się nie znamy, rzuca.

To się wkrótce zmieni, odpowiada tamten z ukłonem. Nazywam się Lunardo. Vettor Crivano.

Tak, dottore. Wiem.

Lunardo ponownie wskazuje wolne krzesło, unosząc dobrotliwie brwi. Crivano się uśmiecha. Ostatecznie ma swoją laskę i sztylet w cholewie buta. Na pewno jest ich więcej – na zewnątrz, ale i tutaj, przy innych stołach. Jeżeli nawet gospoda ma drugie wyjście, to on go nie zna; powinien był wcześniej się rozejrzeć.

Podchodzi do stołu i siada. Lunardo także sadowi się na swoim miejscu. Trzech mężczyzn przy sąsiednim stoliku jest bez płaszczy, ale Crivano czuje na sobie ich wzrok. A zatem sześciu opryszków, może więcej.

Kim waszmość jesteś? – pyta. I czego ode mnie chcesz?

Jestem jedynie dumnym mieszkańcem dzielnicy Rialto, odpowiada Lunardo, zatroskanym o bezpieczeństwo w swojej okolicy. W związku z tym mam do was kilka pytań, dottore. Bardzo prostych pytań.

To sbirri, domyśla się Crivano, na usługach Rady Dziesięciu. Znakomicie. Gdyby byli skrytobójcami, prawdopodobnie poderznęliby mu gardło już wczorajszego wieczoru, na ulicy. Od jak dawna go śledzą? Kogo widzieli? Dziewkę, którą tu sprowadził? Perinę w klasztorze? Serenę w jego warsztacie?

Kiedy po raz pierwszy ujrzał ich na Le Mercerie, obserwowali jego czy Narkisa? Jaką pułapkę na niego zastawili?

Pytaj więc waść, mówi.

Z przyjemnością. Gdzie jest wasz dom, dottore?

Przybyłem do miasta niedawno, z Bolonii. Dopóki nie znajdę czegoś na stałe, ta gospoda jest moim domem.

Studiowaliście w Bolonii?

Owszem.

A wcześniej, docieka Lunardo, gdzie był wasz dom?

Jestem pewien, że dobrze wiecie. Przejdźmy do rzeczy, bardzo was proszę.

Lunardo się uśmiecha. Gdzie słuchacie mszy?

Crivano marszczy brwi. Ostatnio u Świętego Kasjana, odpowiada. Albo w kościele Sant'Aponal. A o co chodzi?

Znacie szlachetnego Andreę Morosiniego? Albo jego brata, czcigodnego Nicolò? Zajmują pałac na prawym brzegu Canale Grande.

Crivano uważnie lustruje twarz Lunarda. Oczy mężczyzny są bystre i czujne, wyraz twarzy przywodzi na myśl pysk podstępного zwierzęcia, które wie, jak najlepiej osaczyć zdobycz.

Palazzo Morosini, odpowiada Crivano, znajduje się na lewym brzegu kanału. Byłem tam dwa dni temu i poznałem wówczas obu braci.

Anzolo przechodzi przez salę, niosąc w jednej ręce pełen półmisek, a w drugiej kielich. Jego friulijskie służące niepewnie trzymają się z boku. Ufam, żeście kontenci, waszmościowie? – zagaduje dwóch gości siedzących w drugim końcu jadalni. A wy, szlachetni panowie? Niczego wam nie brakuje? – to pytanie jest z kolei skierowane do trzech mężczyzn przy sąsiednim stoliku: oberżysta najwyraźniej wskazuje Crivanowi, gdzie siedzą sbirri. A zatem jest ich ośmiu. Na stole ląduje półmisek. Smacznego, dottore, mówi Anzolo. Jeno uważajcie na drobne ości.

Lunardo czeka, aż Crivano zacznie jeść. Ten, chociaż nie ma apetytu, bierze do ręki łyżkę i jak najlepiej markuje głód. Ma przed sobą piezzonego turbota w panierce z bułki tartej i sera, do tego gotowany ryż z dodatkiem drobnych winogron.

Skoro nie znaliście wcześniej braci Morosinich, podejmuje Lunardo, co sprowadziło was do ich domu?

Crivano powoli przeżuwa. Nie śpieszy się z odpowiedzią. Bracia Morosini często goszczą uczonych, jak mniemam, odzywa się wreszcie. A ja jestem uczonym.

Zaprosili was do siebie?

Owszem, otrzymałem zaproszenie.

Lunardo wydaje się rozbawiony jego słowami – najwyraźniej niewiele jest

rzeczy, które go nie śmieszają. Pierścienie na jego palcach nie pasują do siebie i Crivano zdaje sobie sprawę, że musiały należeć niegdyś do różnych ludzi, którzy gniją teraz w więzieniach, spoczywają w ossuariach albo zanieczyszczają lagunę swoimi truchłami. Ciężki srebrny wisior na szyi ma kształt klucza. Najprawdopodobniej to tylko atrapa. Trudno się zorientować, co – jeśli w ogóle – oznacza. Crivano myśli o kluczu wytatuowanym na własnej piersi, symbolu swojej ordy. Ubiegłej nocy nie uszedł uwagi dziewczyny. Czy zdążyła o nim komuś opowiedzieć?

Co dwa dni temu wydarzyło się w pałacu Morosinich, dottore?

Nie wątpię, że doskonale wiecie.

Wiem, przyznaje Lunardo. Ale chciałbym to usłyszeć od was.

Odbył się wykład zakonnika z Kampanii.

Jak się nazywał ów zakonnik?

Nie pomnę. Mówią o nim – i sam też tak się przedstawia – Nolanus.

Czego dotyczył wykład?

Ość kłuje Crivana w policzek. Językiem przesuwają ją po zębach, aby ściągnąć słodkawe białe mięso, po czym wypycha ją przez ściągnięte wargi i wyjmuje palcami. Zwierciadeł, odpowiada. Nolanus mówił o zwierciadłach.

I cóż takiego miał ów Nolanus do powiedzenia na temat zwierciadeł, dottore?

Crivano unosi kielich, upija łyk. Niewiele pamiętam, rzecz, ale nawet tej odrobiny nie zdołalibyście nijak pojąć.

Lunardo wybuchają śmiechem i ze smutkiem potrząsa głową. Potem nachyla się nad stołem. Wczorajszej nocy, mówi, brat Giordano Bruno, znany wam jako Nolanus, został aresztowany przez miejscowy trybunał inkwizycyjny pod ciężkim zarzutem herezji. Jeżeli nie potraficie mi wyjaśnić słów Nolanusa, dottore, gotujecie się zdać sprawę przed trybunałem, gdyż z całą pewnością zostaniecie wezwani na świadka. Do tego czasu pod żadnym pozorem nie wolno wam opuszczać miasta. Zrozumieliście, co wam powiedziałem?

Przez chwilę Crivano siedzi oszołomiony. Później ze wszystkich sił stara się nie pokazać po sobie ulgi. Inkwizycja aresztowała Nolanusa? – dziwi się.

To właśnie rzekłem, dottore.

Oczy Crivana zachodzą łzami, przepona kurczy się gwałtownie. Ukradkiem wbija czubek noża w podstawę dłoni, żeby zapanować nad ogarniającą go wesołością. Zarzut herezji! – myśli. Ten pyszałkowaty dureń musi być wniebowzięty!

Tak czy inaczej, to na pewno pułapka – nawet jeśli prawdą jest wszystko, co mu powiedział Lunardo. Kto posyła ośmiu sbirri, aby przepytali świadka w tak błahej sprawie? Coś większego musi być na rzeczy, coś, o czym Lunardo jeszcze się nie zająknął. Dobry człowieku, zwraca się do niego Crivano. Zapewniam cię, że

w mojej obecności Nolanus nie dopuścił się żadnej herezji. Owszem, plótł trzy po trzy i o tym chętnie zaświadczę. W kwestii swoich rzekomych talentów zwyczajnie mydlił nam oczy. Ale to wszystko. O herezji nie może być mowy.

Lunardo kiwa głową. Rozumiem, mówi. Opowiedzcie mi o tym wykładzie, dottore.

Jak już rzekłem, wywód był mętny. A miejscami zgoła fałszywy.

Zwierciadła budzą wasze szczególne zainteresowanie, prawda?

Oczy Crivana rzucają gniewne błyski; udaje, że zalewa go żółć, żeby nie było widać, jak bardzo się boi. Nie powiedziałbym, odpowiada. Nie wydaje mi się, abym miał wiele szczególnych zainteresowań. Jak przystało na prawdziwego uczonego, moje zainteresowania mają raczej uniwersalny charakter.

Wczoraj na Murano, odzywa się Lunardo, odwiedziliście warsztat rodziny Serenów.

Crivano bierze do ust kęs ryby i niecierpliwie popija ją winem.

Po co tam poszliście?

A po co się odwiedza warsztat szklarski, mój panie? Kupowałem szkło.

Szkło, dottore? Czy zwierciadło?

Zwierciadła, jak być może wiecie, są często uczynione ze szkła.

Zleciliście Serenie wykonanie zwierciadła?

Tętno Crivanowi przyśpiesza; serce trzepocze niczym ptak uwięziony w przewodzie kominowym, żyły na szyi pulsują. Ma nadzieję, że jego kryza jest dość wysoka, aby to ukryć. Zmienia pozycję na krześle i rozsuwa szerzej nogi, żeby nie uderzyć kolanem o spód stołu, gdy uniesie stopę, aby wydobyć sztylet z cholewki. Nie, zaprzecza. Serena wykonał jedynie ramę do niego. Zwierciadło zaś sporządził rzemieślnik z warsztatu rodziny Motta, niejaki Alegreto Verzelin.

Opiszcie mi go, dottore, z łaski swojej. Tego Verzelina.

Wysoki, mówi Crivano. Szczupłej budowy ciała. Niechlujny i – jeśli mam być szczery – całkiem szalony. Doskwiera mu jakaś choroba, powodująca odkrztuszanie wielkich ilości flegmy. Przypomina przez to wściekłe zwierzę. W całej swojej karierze medyka nie miałem do czynienia z podobnym przypadkiem. Dlaczego o niego pytacie?

Kiedy ostatni raz widzieliście maestro Verzelina?

Crivano spogląda na blat stołu, stuka w drewno palcami, jakby coś sobie obliczał. Przed czterema dniami, mówi. Odebrałem swoje zamówienie i przekazałem je do wykończenia robotnikom Sereny.

I od tamtej pory nie rozmawialiście z maestro Verzelinem?

Wtedy także z nim nie mówiłem. Widziałem go jeno w gospodzie. Wydawał się wielce udręczony ową dziwną chorobą. Kiedy usiłowałem go zagadnąć, pośpiesznie się oddalił. Szukałem go po ulicach, ale nie znalazłem.

Bardzo chciałbym zobaczyć owo zwierciadło, któreście zamówili, dottore.

Nie wątpię, odpowiada Crivano, jednak to niemożliwe. W tej chwili musi być już w połowie drogi do Padwy, jak mniemam. Stamtąd zaś ma dotrzeć do Bolonii.

Do Bolonii?

W rzeczy samej. Pewien uczony z tamtejszego uniwersytetu prosił, abym zlecił jego wykonanie mistrzom z Murano.

Kto taki?

Tego wam nie powiem.

A możecie mi opisać owo zwierciadło?

Mogę, przyznaje Crivano, lecz tego nie uczynię.

Lunardo uśmiecha się, jakby go to autentycznie uradowało. Sięga za połę kubraka i wyciąga jakieś wygniecione zawiniątko. Rozprostowuje je na blacie: to para znoszonych giemzowych rękawiczek w cielistym kolorze, znakomitej jakości. Nalegam, abyście dobrze przemyśleli swoją odmowę, dottore, ostrzega Crivana. Ja was nie zmuszę do mówienia, obawiam się jednak, że trybunał potrafi to zrobić.

Trybunał? Czy Rada Dziesięciu?

Lunardo nie reaguje na zaczepkę. Powoli, ostrożnie i z wielką cierpliwością wsuwa palce w rękawiczki, które nie różnią się odcieniem od skóry jego dłoni. Powiedzcie mi, dottore, odzywa się w pewnym momencie, przyjemnie spędziliście minioną noc? Nie pamiętam, czy miałem okazję samemu wypróbować tę dziewczkę. Bądź co bądź, miasto jest ich pełne.

Naszą rozmowę uważam za zakończoną, oznajmia Crivano, odsuwając krzesło i wstając od stołu. Żegnaj wam i jego kamratów.

Przyznaję, że osobiście bym jej dla was nie wybrał, dottore, choć zapewne można mieć pewną satysfakcję z obcowania z najtańszą ulicznicą, gdy ma się świadomość, że stać człeka na lepsze. Oczywiście o ile ona również zdaje sobie z tego sprawę. Słusznie mówię, dottore? Cóż za entuzjazm!

Jesteście gorsi niżli pies i nie zamierzam dłużej z wami przestawać. Powiedzcie swoim panom, o ile będą mieli do mnie jeszcze jakąś sprawę, że znajdą mnie tutaj, Pod Białym Orłem. A gdybyście planowali ponownie wejść mi w drogę, nie zapomnijcie włożyć tych wstrętnych rękawic i bacźcie na swoje życie.

Crivano się odwraca. Powoli omiata spojrzeniem jadalnię i ulicę na zewnątrz, zatrzymując wzrok na każdej napotkanej twarzy: chce się upewnić, że w przyszłości rozpozna każdego z tych ludzi. Kilku Bogu ducha winnych gości odsuwa się na krzesłach, umykając przed okiem Crivana i pozorując obojętność, pochyla się nad swoimi nakryciami.

Lunardo podnosi głos, woła za odchodzącym Crivanem. Doskonale pojmuję, dlaczego tak wam było wczoraj pilno wziąć sobie dziewczynę! Sam nie potrafię przejść obok klasztoru, żeby mi kutas nie stwardniał jak kamień! Zresztą większość z nich to i tak zwykłe zamtuzy. Zgodzicie się ze mną, dottore?

Crivano waha się, czy powinien stawać plecami do Lunarda, choć wątpi, aby tamten chciał go zaatakować. Gdyby sbirri zamierzali go skrzywdzić, dawno by to zrobili. Wyraźnie czegoś od niego chcą, czekają, aż się z czymś zdradzi. Tylko z czym?

Przechodząc przez salę, napotyka wzrok Anzola. Będę u siebie, rzuca, mijając go.

Lunardo również wstaje, ale donikąd się nie śpieszy. Czyście się przypadkiem gdzieś nie wybierali, dottore? – woła.

Owszem, odpowiada Crivano. Ale zmieniłem zdanie.

Chwilę później jest już w sieni i na schodach, zamyka się w izbie i rygluje drzwi. Przechadza się niespokojnie między posłaniem a ścianą – ściskając głowę dłońmi, niezdolny o niczym myśleć – dopóki nie rozlegnie się pukanie Anzola. Wybaczcie mi, dottore, mówi oberżysta, wchodząc prędko do środka. Próbowałem was ostrzec.

I ostrzegłeś. Dziękuję. Oby tylko z utarczki z owymi łotrami nie wynikła dla was jaka bieda.

Anzolo krzywi się i niecierpliwie macha ręką. Wszyscy oberżyści to ludzie wyjęci spod prawa, dottore, mówi. Nie może być inaczej. Z przyjemnością sprzeciwiłem się tym sbirri. Nienawidzę ich! Cała dzielnica Rialto ich nienawidzi. Niestety niektórzy zdesperowani biedacy sprzedają im na usługi swoje uszy i oczy. Kiedy stąd wyjdziecie, musicie się liczyć z tym, że będziecie śledzeni.

Crivano znowu zaczyna się nerwowo przechadzać. Nie zrobiłem nic złego, zapewnia. Możecie mi wierzyć.

To bez znaczenia, dottore.

Muszę stąd wyjść, mamrocze Crivano, po części do Anzola, po części do siebie. Mam sprawy do załatwienia. Ale jak tego dokonać? Jak mam się swobodnie poruszać po ulicach?

Anzolo przestępuje z nogi na nogę, przysuwa się bokiem do drzwi; współczuje swojemu gościowi, ale pragnie zachować dystans. Trudno go za to winić. Poślę wiadomość do Rigiego, proponuje. Odźwiernego w domu Contarinich w San Samuele. O ile dobrze pamiętam, znacie senatora Giacomo Contariniego, prawda? Znakomicie. To powinno ułatwić sprawę. Rigi przyjdzie po wasze rzeczy i ukryje was do czasu, aż wszystko się wyjaśni. Tam będziecie bezpieczniejsi niż tutaj, w Rialto, dottore. Znacznie bezpieczniejsi.

Crivano potakuje. Dobrze, mówi. To mądre rozwiązanie. Ale nie posyłajcie po niego, dopóki nie wyjdę. Wolalbym odwrócić uwagę sbirri od mojego dobytku.

Jak sobie życzyacie, dottore. Po waszym wyjściu z pewnością przeszukają tę izbę, a ja nie zdołam ich powstrzymać. Postaram się, aby niczego nie zniszczyli ani nie ukradli, choć najprawdopodobniej moja rola sprowadzi się do spisywania, co zaginęło.

Crivano podchodzi do okna, rozsuwa zasłony i spogląda na ulicę Bednarzy. Tłumy ludzi przetaczają się nieśpiesznie od nabrzeża do nabrzeża. Dzisiaj żydowski szabat: nigdzie nie widać czerwonych kapeluszy ani żółtych turbanów. Po przeciwnej stronie ulicy stoi postać w długim płaszczu; wygląda młodo i krzepko, a zarazem nieporadnie i głupio. Crivano opuszcza zasłonę.

Sądziś waść, że to owa dziewczka im o mnie doniosła? – zwraca się do Anzola.

Ten milczy przez chwilę. Gawędziłem z nią dzisiaj rano, mówi. Dałem jej coś do jedzenia. Była radosna, opowiadała, jacy byliście dla niej dobrzy. Myślę, że zanim cokolwiek powie, zechce odczekać czas jakiś, aby mieć pewność, że jej słowa wam nie zaszkodzą. Nikt nie pogardza sbirri bardziej niż ulicznice, dottore. A to była dobra dziewczyna.

Żałuję, że ją tu sprowadziłem, Anzolo.

Powiedzcie to swojemu spowiednikowi, dottore, nie mnie. Gdybym zabraniał takim jak ona wstępu do gospody, interes prędko by upadł. Dlatego pierwszy nie rzucę kamieniem. Powiniennem już iść, dottore. Będą mnie wyglądali.

Po jego wyjściu Crivano ponownie rygluje drzwi i nasłuchuje odgłosu niknących kroków na korytarzu. Dobiegające z dołu rozmowy tłumi wkrótce bicie dzwonów; jest później, niż przypuszczał.

Czy to możliwe, aby sbirri widziani w pobliżu Minery śledzili Ciottiego, nie zaś jego ani Narkisa? Ostatecznie księgarz sprzedaje pisma Nolanusa; z pewnością musiał się wydać inkwizycji podejrzany. Czyżby naprawdę chodziło wyłącznie o Nolanusa? Spisek Crivana i zwierciadlników połączył z herezjami tamtego czysty przypadek, a dokładniej obecność Crivana na wykładzie zakonnika. Do tego doszedł jeszcze niefortunny wybór tematu wystąpienia. Co za licho podkusiło Tristão, żeby podsunąć to zagadnienie?

Podstępny sbirro na dole wydawał się wielce zainteresowany zwierciadłem wykonanym przez Serenę i Verzelina. Chciał, aby Crivano mu je opisał. Dlaczego? Czyżby odgadł, jakie jest jego przeznaczenie? Może rzeczywiście chodzi o herezję – w każdym razie o wiedzę tajemną. Może to kolejna potyczka między Republiką a papieżem: Rada Dziesięciu chce policzyć wszystkich magów w mieście, zanim w sprawę wmiecha się inkwizycja. Może nikt nie ma pojęcia o planowanej rychłej ucieczce hutnika i zwierciadlnika.

Obizzo nadal nie zna ich zamierzeń. Jak go powiadomić, nie doprowadzając jednocześnie sbirri pod drzwi jego kryjówki?

Crivano otwiera kufer i wyjmuje z niego gęsie pióro, dwa kałamarze oraz arkusz papieru. Następnie siada i przez dłuższą chwilę wpatruje się w pustą kartkę. Wreszcie wstaje i znów zaczyna chodzić w tę i z powrotem po izbie.

Na podłodze pod oknem promienie słońca pełzną w głąb izby po drewnianych deskach. Crivano odsłania zasłony i do środka wlewa się potok

światła. Potem ponownie nachyla się nad kufrem. Ze skrytki w drugim dniu wyjmuje papiery wartościowe oraz drewniany szablon i wsuwa wszystko za połą kubraka, na ich miejsce zaś wkłada księgi ezoteryczne. Sbirri z pewnością je odkryją – niech im się wydaje, że coś znaleźli. Crivano będzie jak jaszczurka gubiąca własny ogon.

Wydobywa ukryty w kufrze pistolet skałkowy i podnosi go do światła. Żałuje, że w ciągu ostatnich kilku dni nie znalazł czasu, aby zabrać go na Lido i poćwiczyć się w strzelaniu. Miał taki zamiar, a teraz będzie musiał działać na ślepo.

Siłując się ze sprężyną, odciąga kciukiem kurek, po czym umieszcza w jego szczękach świeży kawałek krzemienia. Pociąga za spust: sypie się deszcz iskier i rozlega głośny trzask. Crivano aż mruga powiekami. Od ostrego zapachu kręci go w nosie.

Czyści mechanizm i lufę, udrażnia otwór zapalowy igłą i silnym dmuchnięciem. Potem sypie ziarna czarnego prochu na panewkę, zamyka ją i dosypuje więcej prochu do lufy. Nie wie, jaka ilość jest właściwa, lecz skłania się ku nadmiarowi. Odcina kawałek przybitki, kładzie na niej ciężką, ołowianą kulę i wyciorem wciska całość w głąb lufy. Później luzuje pas i wtyka zań broń tak, aby rękojeść znajdowała się na wysokości rozcięcia w jego szacie, w zasięgu prawej ręki. W popołudniowym słońcu jego sylwetka rzuca cień na podłogę; Crivano przygląda mu się, szukając wybrzuszenia pod szatą, które mogłoby go zdradzić. Dopóty poprawia pistolet, dopóki nie jest w pełni usatysfakcjonowany.

Ponownie siada przy stole i ujmując w dłoń arkusz papieru, przedziera go równo wzdłuż krawędzi blatu, potem jeszcze raz, do uzyskania malutkiego kawałka. Zanurza pióro w pierwszym kałamarzu – w którym tusz jest bezbarwny jak woda – i pisze. Dmucha na papier, dopóki cały tekst nie zniknie, po czym czyści końcówkę pióra, otwiera drugi kałamarz i znowu pisze, tym razem tuszem w kolorze głębokiej czerni. Wiadomość jest krótka, zawiera kilka zwięzłych instrukcji. Crivano stawia drobne litery w równych, starannych rzędach.

Zwija papier w wąski rulon, obwiązuje kawałkiem gazy ze skrzynki medyka. Potem podchodzi do okna – przestępuje ponad posłaniem i wsuwa się do kąta, cały czas z pochyloną głową, żeby nie zobaczył go nikt z ulicy – i przypina zwinięty papier do fałd zasłony, od wewnętrznej strony, w miejscu zetknięcia tkaniny ze ścianą.

Teraz – być może – jest gotowy.

Wychodząc, zostawia klucze w zamkach kufra i skrzynki medyka. To dobre, drogie zamki; szkoda byłoby, gdyby ktoś je wyłamał.

Świat zewnętrzny wita Crivana z bezwzględną wyrazistością koszmaru. Słońce pełźnie w dół po firmamencie, a nad horyzontem wisi blada kropka księżycy. Między budynkami hula wiatr, jego podmuchy atakują z zaskoczenia, a delikatne, zmieniające się co chwila chmury mkną niczym anioły zemsty na wschód. Niebo w kolorze ultramaryny, po którym się przesuwają, może zwiastować każdy rodzaj pogody. Wszystko, co poniżej, wydaje się ulotne, prowizoryczne, skazane na zagładę.

Każda mijana twarz razi go w oczy, jakby oglądał ją w zbliżeniu, przez soczewkę; powierzchnie przedmiotów zdają się szorstkie, niemal czuje, jak ranią mu skórę. Wiele lat upłynęło od czasu, odkąd przerażenie ostatni raz wyostrzyło mu zmysły w podobny sposób. Najbardziej martwi go, jak niewiele uwagi poświęcają mu zwykli mieszkańcy miasta: zachodzą mu drogę niby lunacy, czuje się wśród nich bezcielesny jak zjawa.

Wrogowie natomiast z łatwością go odnajdują. Czasami są to sami sbirri, którzy wcale się nie kryją, bezczelni w swoich identycznych płaszczach. Kiedy indziej Crivano czuje wbite w siebie spojrzenie – żebraka, nosiwody albo ladacznicy – które umyka, gdy tylko napotka jego wzrok. Czasami zwyczajnie czuje się obserwowany przez niewidoczne oczy albo wyczuwa podejrzaną ciszę na ulicy. Czyżby był śledzony od dnia swojego przyjazdu i dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę?

Idzie równym, pewnym krokiem. Końcówką laski gniewnie wali o bruk, wzniesając przy tym kurz. Sprawia wrażenie człowieka, który dobrze wie, dokąd zmierza, choć w istocie nie ma o tym pojęcia; jego jedynym celem jest zirytować sbirri i przy okazji rozeznąć się w ich taktyce. Stopy niosą go przez całą dzielnicę, przemierzają każdą ulicę co najmniej dwukrotnie. Wstępuje do sklepów i kościołów, gwałtownie skręca w boczne uliczki, zaskakując nieraz samego siebie. Rozszyfrowawszy strategię sbirri – jeden podąża w ślad za nim przez odległość jednej przecznicy, po czym znika i zastępuje go inny – przecina nowy most, zagłębia się w Le Mercerie i krąży po uliczkach handlowych, dopóki dzwony nie obwieszczą zbliżającego się końca dnia. Wchodzi wówczas na pokład traghetto i ponownie przepływa Canale Grande. To jedyny moment wypoczynku tego długiego popołudnia: Crivano ugniata palcami obolałe łydki pod płóciennym daszkiem, podczas gdy nagle porywy wiatru marszczą toń wody, tworząc na niej tajemnicze wzory. Sbirri zaś podążają w ślad za nim brzegiem kanału.

Musieli się już domyślić, że czeka, aż zrobi się ciemno. I w zasadzie się nie mylą: chwile dzielące go od pierwszego dzwonu zwiastującego zachód słońca to ostatnia szansa na kontakt z Obizzem; Crivano jest zdeterminowany nie przepuścić

nadarzającej się okazji.

W całej dzielnicy Rialto zamykają się okiennice, wózki obwoźnych sprzedawców z turkotem toczą się na noc do domu, z parapetów okiennych znikają dywany i kobierce. Crivano wstępuje do kramu ze sztucami, wypija kubek wina w kasynie. Czeką, aż światło nabierze złotego odcienia. Jego eskorta trzyma się teraz znacznie bliżej i niemal zawsze są to mężczyźni w płaszczach. W końcu tracą cierpliwość – przekonani, że umknął im jakiś kluczowy gest albo że Crivano celowo ich zwodzi – i wtedy zaatakują. Nie ma w zanadru żadnych wiarygodnych kłamstw, które mógłby wyznać na torturach, nie ma też czasu, aby je na poczekaniu wymyślić i przećwiczyć. Jeżeli go pojماją, powie wszystko, co wie.

Nareszcie widzi to, na co czekał: poświęcę na dzwonnicy bazyliki Santa Maria Gloriosa dei Frari. Śpieszy tam ulicą, zygzakiem toruje sobie przejście ku wielkiemu zgromadzeniu na Campo Sant’Aponal. Rzut oka przez ramię upewnia go, że niedaleko za nim są dwaj prześladowcy w płaszczach. Nie odstępują go ani na krok.

Na campo Crivano usiłuje wmieszać się w ruchliwy tłum. Wstrzymuje oddech, dopóki ich nie zobaczy: chłopców z pochodniami zebranych na schodach kościoła. W oczekiwaniu na zapadnięcie zmroku śmieją się i przepychają między sobą, oddając się jakimś prostackim zabawom. Crivano podąża w ich stronę. Hola, nocne marki! – woła, zacierając dłonie. Który chciałby jeszcze przed zachodem słońca zarobić srebrnego dukata?

Chłopcy oblegają go ciasno. Crivano przykuca, otwiera sakiewkę i wyjmuję z niej błyszczącą monetę. Spojrzenia wyrostków kierują się ku niej niczym igła kompasu ku północy. Oczy nieruchomieją. Taki dukat to więcej, niż ich ojcowie zarabiają w tydzień – o ile którykolwiek ma ojca. Najmłodszy nie wie nawet, z jakim majątkiem ma do czynienia, dopóki jakiś starszy chłopak mu tego nie wytłumaczy, szepcząc coś krótko do ucha.

A zatem, odzywa się Crivano, który z was zna szlachetne domostwo Contarinich na Campo San Samuele?

Rozlega się chóralny szczebiot. Okazuje się, że wszyscy znają to miejsce.

Spokojnie, urwisy! – upomina ich Crivano i wręcza dukata najwyższemu chłopcu z zajęczą wargą. Srebra wystarczy dla wszystkich. Ty, nicponiu, aby zapracować na swoją monetę, dostarczysz wiadomość Rigiemu, odźwiernemu Contarinich. A teraz, kto wie, jak znaleźć Palazzo Morosini na Calle San Luca?

Wśród rozentuzjasmowanych okrzyków wydobywa nowego dukata. Chłopięce palce wyciągają się chciwie po monetę. Wyrostek z zajęczą wargą trwa na wpół obrócony, na wpół w przysiadzie, gotów w każdej chwili puścić się biegiem; przez ogólny rozgardiasz przebija się jego nosowy, przypominający gęganie głos. Jak brzmi wasza wiadomość, dottore? – pyta.

Cierpliwości, hultaju: niedługo się dowiesz. Ty tam! Weź tę monetę.

Odszukasz Hugona, odźwiernego Morosinich.

Od kilku godzin powtarzał sobie w myślach te polecenia, uczył się ich na pamięć niczym magicznych zaklęć – którymi mogą się zresztą okazać. Posyła teraz trzeciego chłopca do Ciottiego, do księgarni Minerva, czwartego do furtianki w klasztorze Świętej Katarzyny, piątego zaś do niewielkiego kasyna za kościołem Santa Giustina, gdzie pijany rozmawiał z robotnikami o Lepanto. W sakiewce ma więcej dukatów, niż jest posłańców. Kolejnemu z nich każe się udać do aptekarza, który sprzedał mu ziele lulka czarnego. Innemu poleca odnaleźć gondoliera, który ostatnio wiózł go z Murano, jeszcze innemu – właściciela kramu ze szkłem na nowym moście Rialto. Przed oczami ma mapę miasta: nie takiego, jakim istotnie jest, ale jakim zdążył je poznać w ciągu ostatnich kilku tygodni. Złożoną z jego wędrówek i wspomnień, przystającą do namacalnej rzeczywistości z marmuru i cegły, a zarazem zanurzoną pod tym, co widoczne. Wraz z każdym kolejnym dukatem wyprawia małych uliczników w jej wymaginowane zakątki.

Najpilniejszą sprawę powierza chłopcu cichszemu od innych, który ze spokojem odwzajemnia jego spojrzenie, słucha i myśli. Nie należy ani do najmłodszych, ani do najstarszych z całej gromady. Widać, że nie będzie długo biegał z pochodnią. Ty natomiast, mówi Crivano, wkładając mu w dłoń monetę, pójdiesz do Anzola, do Białego Orła. Znasz tę gospodę?

Wkrótce wszyscy posłańcy otrzymują swoją zapłatę. Crivano prostuje się, zerka ponad ich głowami: w odległości dwudziestu kroków z tłumu wypatrują go dwaj sbirri w ciemnych płaszczach. Crivano gestem przyzywa do siebie chłopców i szeptem przekazuje wszystkim tę samą wiadomość: „Zajrzyj za zasłonę”.

Za jaką zasłonę, dottore?

Ludzie, których odszukacie, odpowiada Crivano, będą wiedzieli, o jaką zasłonę chodzi. Albo i nie. To bez znaczenia.

Co mamy powiedzieć, kiedy zapytają, kto nas przysłał?

Tylko tyle, ile wiecie: przysłała was jasnowłosa dottore z rozwidloną brodą. To wystarczy. Bądźcie jeno szybcy i zwinni, moi drodzy, gdyż są tu sbirri, którzy będą was chcieli zatrzymać. Rozejdziecie się jednocześnie, na mój rozkaz! Gotowi?

Na dźwięk głośniego kłaśnięcia chłopcy rozbiegają się niby spuszczone ze smyczy psy myśliwskie. Sbirri musieli się spodziewać jakiegoś fortelu, lecz mimo to nie wiedzą, jak zareagować; bez przekonania podejmują próbę zatrzymania przebiegających najbliżej chłopców, po czym rozwścieczeni zwracają się w stronę Crivana. Ten bacznie lustruje tłum – na obrzeżach campo dostrzega jeszcze kilka rozproszonych postaci w płaszczach, puszczających się w pogoń za jego małymi posłańcami – następnie zaś rzuca się w prawo, okrąża dzwonnice i znalazłszy się za apsydą kościoła, zawraca w kierunku Campo San Silvestro. Dottore! – woła jakiś głos, lecz Crivano go ignoruje.

Słońce już zaszło i słyhać bicie pierwszego dzwonu: na zachodzie, w Santa Maria Gloriosa dei Frari oraz na południu, w bazylice Świętego Marka. Dźwięk rozchodzi się niczym kręgi na wodzie, dobiega z kościołów San Polo, Sant’Aponal i San Silvestro. Crivano ponownie zawraca, bez konkretnego planu czy celu. Mija sbirro z okaleczoną twarzą, który jeszcze przed momentem go śledził. W przerwie między kramami miga mu jeden z jego posłańców, ale Crivano nie potrafi sobie przypomnieć, dokąd go skierował. Jest bardzo zmęczony. Chciałby wrócić Pod Białego Orła, ale nie może. Jeszcze nie teraz.

Thum rzędzie wraz z zapadającym zmierzchem; Crivano obawia się, że niedługo jedynymi ludźmi na ulicach będzie on i ścigający go sbirri. Wyszukuje najkrótsze i najwyższe przejścia, ograniczające pole widzenia jego prześladowców. W duchu obiecuje sobie: „Kiedy rozlegnie się drugi dzwon, wrócę do gospody, żeby się zdrzemnąć. Ale nie wcześniej”.

Oglądając się przez ramię, pokonuje właśnie ciasny zakręt, gdy z mijanej bramy wysuwa się silna dłoń i chwyta go za łokieć. Crivano szarpie się, próbuje unieść laskę, aby zadać cios, lecz w ostatniej chwili spostrzega kaftan i turban. Spokojnie, odzywa się Narkis. Tędy, prędko!

Śliskie, porośnięte wodorostami stopnie prowadzą w prawo. Crivano zapewne przechodził tędy z sześć razy, lecz schody zauważył dopiero tuż przed zachodem słońca, a i wówczas wziął je za starą bramę wodną wychodzącą na czynny niegdyś kanał, obecnie jednak od dawna wypełniony mułem i szlamem. Dopiero teraz, gdy niecierpliwie szarpnięty przez Narkisa usiłuje odzyskać równowagę, widzi, że ma przed sobą sottoportego wiodące na ciasny podwórzec, zamknięty ze wszystkich stron wysokimi murami. Nawet w jasnym słońcu południa przejście spowijałby półmrok; o zmierzchu panują tam niemal egipskie ciemności. Na najniższym stopniu jakieś zwierzątko pozostawiło bryłkę odchodów; obsiadły je gęsto błyszczące czarne muchy, które pierzchają, gdy Narkis z Crivanem tamtędy przechodzą. Owady roją się na wszystkie strony: im wyżej, tym wolniej się poruszają, by zniknąć w mroku niby wzlatujące znad ogniska iskry.

Narkis ciągnie za sobą Crivana, szepcząc mu do ucha po turecku. Jak zawsze wyraża się ze wszech miar elegancko. Zdemaskowali cię, *tardżuman effendi*, mówi.

Zdyszany Crivano wyrzuca z siebie odpowiedź w miejscowym języku; jego wzburzony umysł nie potrafi odnaleźć tureckich słów. Wiem, do kroćset! – charczy. Sbirri od rana depczą mi po piętach. Ledwo zdołałem zawiadomić Obizza.

Obizza?

Zwierciadlnika.

Narkis zamiera, jakby ktoś zamienił go w kamień. Potem kładzie Crivanowi dłoń na piersi. Temu służyła ta szopka pod kościołem z chłopcami od noszenia pochodni? – chce wiedzieć. W ten sposób go zawiadomiłeś? Postradałeś rozum? Co będzie, jeśli strażnicy przechwycą wiadomość?

Crivano zamyka oczy, oddycha głęboko. Wraca myślami do swojego poprzedniego życia: wspomina widok z pałacu sułtana w Galacie, roześmiane twarze janczarów wokół obozowego ogniska, dotyk jedwabnego kaftana na swojej skórze, kołysankę śpiewaną mu kiedyś przez pewną albańską dziewczynę. Gdy znów się odzywa, z jego ust wydobywają się słowa w dawnym języku. Masz mnie za głupca? – pyta. Byłem ostrożny. Chłopcy niczego nie wiedzą. Jeden z nich uruchomi prawdziwego posłańca.

Kogo?

Mego oberżystę.

Jesteś pewien, że można mu zaufać? Skąd możesz to wiedzieć?

Oczywiście, że jestem pewien, odpowiada Crivano, choć wcale tak się nie czuje. Może dzisiejszego ranka Anzolo grał rolę przed nim, a nie przed Lunardem? Chociaż nie: oberżysta na usługach sbirri prędko straciłby klientów. Prawda?

Zostawiłem w izbie liścik, wyjaśnia. Dobrze ukryty. W nim zaś poinstruowałem oberżystę, gdzie znajdzie Obizza.

Jaką wiadomość mu posłałeś?

Taką, jaką mi kazałeś, Narkisie. Za dwa dni ma pod osłoną nocy powiosłować przez lagunę na zachód od San Giacomo in Paludo i wypatrywać zakotwiczonego trabaccolo z dwiema czerwonymi latarniami na pokładzie. To wszystko.

W błękitnawym świetle padającym z podwórca ledwo widać zarys głowy Narkisa, przez dłuższy czas zastygłego w bezruchu. Z tyłu słychać stłumione pokrzykiwania, lecz na schodach nie rozlega się stukot butów – jak dotąd. Chodźmy, nakazuje Narkis i pociąga Crivana za sobą.

Crivano trafia stopą w kałużę i wraz z głośnym pluśnięciem w powietrze wzbija się intensywna woń morza. Dobrze się spisałeś, chwali go Narkis. Być może nasz plan ma jeszcze szansę powodzenia.

Nie wiem, jak sbirri udało się do mnie dotrzeć. Chcą, abym myślał, że ich obecność ma związek z pewnym aresztowanym heretykiem, ale ja w to nie wierzę.

Chodzi o zwierciadlnika, mówi Narkis. Tego, którego zabiłeś.

O Verzelina?

Znaleźli jego zwłoki. Wczorajszego ranka wypłynęły przy Lido. Musiały długo dryfować. Mewy wskazały miejsce ich spoczynku. Ciało zostało poważnie naruszone przez rozmaite stworzenia, lecz straży udało się ustalić tożsamość topielca po pierścieniu, który miał na ręce: szklanym, z podrabianą czarną perłą. Powinieneś być zdjąć mu go z palca, jak mniemam.

Crivano zatrzymuje się w pół kroku. Twarz mu tężeje, jakby ją wychłostał lodowaty wicher. Z niedowierzaniem kręci głową. Verzelin nie miał na palcach żadnych pierścieni; Crivano zauważyłby je, gdy pętał sznurem nadgarstki trupa. Bez wątplenia nie umknąłby mu tak ważny szczegół. Jesteś zupełnie pewien,

zwraca się do Narkisa, że ów trup to Verzelin?

Powtarzam jeno, co sam słyszałem. Cech zwierciadlników ogłosił, że ciało należy do człeka, któregoś zgładził. Uważa się powszechnie, że z powodu choroby wpadł w rozpacz i się utopił. Niektórzy wszakże wątpią, jak w swojej słabości zdołał zaciągnąć pewne węzły. Poza tym na Murano nie zaginęła żadna łódź. Trudno to wyjaśnić.

Oskarżają mnie.

Owszem, wydaje się to całkiem prawdopodobne. Podejrzewa się rozległy spisek.

Co zatem mam robić?

Trzymaj się z dala od hutnika i zwierciadlnika, których zwerbowałeś, dopóki nie zdołają bezpiecznie zbiec. Do tego czasu powinieneś uniknąć aresztowania. Jeśli straż cię zatrzyma, będziesz torturowany, a wówczas się przyznasz. Jak wszyscy.

Ale co...

W ciasnocie przejścia głos Crivana brzmi nagle chropawo, jak głos obcego człowieka. Zaciska kurczowo palce na fałdach kaftana Narkisa.

...powiniennem zrobić?

Narkis przez chwilę ani drgnie. Potem wzdycha. Nie wiem, *tardżuman effendi*, odpowiada. Na mnie także polują. Dziś po południu w fondaco zjawili się dwóch strażników. Wymknąłem się oknem i uciekłem po dachach. Crivano poluznia uścisk. Sbirri widzieli ich obu w księgarni Ciottiego; to jasne, że szukają również Narkisa. Czy zatem wszystko stracone? – chce wiedzieć. Kto zorganizuje ucieczkę rzemieślników? My sami nie możemy nic teraz uczynić.

Bądź pewien, odpowiada Narkis, że inni się o to zatroszczą.

Jego tajemniczy ton jest jak zgrzyt w uszach Crivana: nowym niepokojem podsyca panikę, nad którą i tak już z trudem panuje. Skoro tak, rzecze, powinniśmy być może rozważyć, jak najłacniej ratować skórę. A gdyby tak jeszcze tej nocy wyruszyć na ląd? Dysponując kilkudniową przewagą, zdążymy wsiąść na statek w Trieście, a stamtąd popłyniemy do Spalato.

Niewykluczone, że nasi rzemieślnicy nie udadzą się ostatecznie do Spalato, *tardżuman effendi*.

Ewentualnie, podsuwa Crivano, moglibyśmy zaryzykować spotkanie z uskokami i popłynąć wprost do Konstantynopola.

Tam również nie trafią.

Crivano szczeka zębami; nagle zrobiło mu się zimno. Taka tu wilgoć; ma się wrażenie, że człowieka połknął lewiatan. O czym ty mówisz? – pyta.

Narkis milczy. Rusza z miejsca i kieruje się na podwórzec. Crivano, potykając się, podąża za nim. U wylotu przejścia dostrzega rzeźbioną cembrowinę niewielkiej studni i zaścielające bruk połamane dachówki. Stary druhu, powtarza,

pytam cię jeszcze raz: o czym ty mówisz?

W zorganizowaniu ucieczki obu rzemieślników, odpowiada Narkis, pomocą służyły mi inne zainteresowane osoby. Pod wpływem ich sugestii nasz plan może pod pewnymi względami ulec zmianie.

Jakie znowu osoby? O kim ty mówisz?

Mówię o wysłannikach Wielkich Mogołów.

Crivano znowu staje. Narkis robi kilka kroków, zwalnia, odwraca się. Wygląda na zmieszanego. *Tardżuman effendi*, prosi. Chodźmy.

Coś ty, na Boga, powiedział?!

W ostatnim czasie Mogołowie zaatakowali naszych safawidzkich wrogów na ich wschodniej granicy, podbili Gudżarat oraz Bengal. Wydaje się, że...

Czy dobrze rozumiem, wchodzi mu w słowo Crivano, że zamierzasz wywieźć naszych rzemieślników nie do Konstantynopola, lecz na drugi koniec świata, do Hindustanu? Chcesz, aby zamieszkali wśród dzikusów, w miejscu gdzie nikt nie włada ich językiem i nikt ich nie zrozumie? To właśnie planujesz, Narkisie? Jeżeli tak, to doszczętnie oszalałeś.

Mów ciszej, *tardżuman effendi*. Proszę.

W słowach Crivana pobrzmiewa histeria; głos mu drży i załamuje się jak u nieopierzonego młokosa, mimo to nie zamierza milczeć. Jakże Mogołowie mogą nam pomóc, na święte imię Proroka? Od ziem Franków oddziela ich cały obszar naszego imperium i jeszcze jedno podobne. Dzieli nas nie tylko kontynent, ale i krwawa wojna, której końca nie widać. Cóż więc mogą dla nas uczynić?

Przeprowadzą nas pod eskortą przez ziemie Tatarów oraz Turkmenów i dalej, przez Morze Kaspijskie, w górę dolinę Amu-darii, aż do Kabulu. Nie musimy wcale zahaczać o terytorium Safawidów.

Ach! – na poły wykrzykuje Crivano. Znakomicie! A nie pomyślałeś o cesarzu Japonii? Wszak też mógłby nam pomóc! Takiego rozwiązania nie braliśmy dotąd pod uwagę! Nie zapominajmy też o Nowym Świecie. Można by uwięzić naszych rzemieślników do zaprzęgu papug i niech lecą! Zgadzam się: to wszystko brzmi jak rojenia szaleńca. Pytanie, czy naprawdę nim jesteś?

Narkis robi krok naprzód i policzkuje Crivana. Uderzony cofa się i unosi laskę, która wali o niski strop i ze stukotem wypada mu z rąk. Drżący na całym ciele Crivano osuwa się po śliskiej od wilgoci ścianie; oczy wychodzą mu z orbit, oddycha płytko, urywanie. Po chwili czuje na głowie delikatny dotyk ręki Narkisa. Spokojnie, *tardżuman effendi*. Jest mi naprawdę bardzo przykro. Nie tak to planowaliśmy.

Crivano ustami chwyta powietrze, czka, podnosi laskę. Ruszają w stronę mającego przed nimi podwórca. Jak twoim zdaniem zareagują rzemieślnicy? – pyta, gdy znów odzyskuje mowę.

Wpadną w gniew. To nieuniknione, lecz nie ma innej rady. Bądź co bądź

teraz sądzą, że udają się do Amsterdamu. Czy Lahore zamiast Konstantynopola to rzeczywiście taka wielka różnica?

Według mnie tak. I co z nimi zrobicie? Zamkniecie w klatkach jak bestie w menażerii?

Jeżeli zajdzie taka konieczność, to owszem.

Są już blisko wylotu sottoportego i rysy Narkisa stają się coraz wyraźniejsze: najpierw Crivano widzi jego oczy, w których odbija się błękitne światło z podwórca, potem bladą twarz, a na koniec materię kaftana. Spod krawędzi turbana na policzek i ramię spływa czarna wstążka. Crivano mimowolnie zwraca na nią uwagę: nie widział wcześniej, aby Narkis nosił podobną ozdobę.

Nie popłynę do Lahore, Narkisie, oznajmia. To wykluczone.

Wiem. Spodziewałem się tego.

Dokąd mam się w takim razie udać?

Ukryj się w mieście na kilka dni. Po ucieczce rzemieślników zgłosisz się i będziesz współpracował ze strażą. Potraktują cię wyrozumiale, bo wyznasz im wszystko, co będzie miało dla nich jakąkolwiek wartość. Później możesz tu dalej mieszkać. Znasz jakąś bezpieczną kryjówkę? Masz się gdzie schronić?

Tak sądzę. W domostwie Contarinich.

To dobry pomysł. Senator cię ochroni. Bracia Morosini także. To potężni ludzie, w dodatku przeciwni frakcji zawiadującej obecnie Radą Dziesięciu. Dasz sobie radę.

Nie mógłbym wrócić do Konstantynopola?

Narkis milczy przez dłuższą chwilę. To byłoby trudne, odpowiada wreszcie.

Wychodzą na podwórzec, omijają sterty rozbitych dachówek i opierają się o cembrowinę studni. Jej ośmiokątną podstawę zdobi herb jakiegoś starego rodu, który okrył się hańbą lub przepadł w pomroce dziejów. Crivano nie zwraca nań większej uwagi. Ponad ich głowami lśni miedziany Mars w otoczeniu kilku jasnych gwiazd, których blask przyćmiewa poświata księżyca między kwadrą a pełnią. Niebo wciąż pokrywają smugi gęstych, rozproszonych chmur, ciemnoszarych na granatowym tle.

Kim my jesteśmy, Narkisie? – pyta Crivano. Kogo zdradziliśmy i na czyje polecenie? Czyimi jesteśmy szpiegami?

Podbródek Narkisa przylega ściśle do jego piersi; czubkiem buta mężczyzna przesuwając w tę i z powrotem odłupany kawałek terakoty. Jesteśmy szpiegami *haseki sultan*, mówi. I wysłannikami władcy Mogołów. Nie reprezentujemy nikogo. Reprezentujemy samych siebie. I – jako że obaj jesteśmy uczonymi – uważam nas za wysłanników prawdy. Naprawdę tak myślę, *tardżuman effendi*.

Crivano dopiero teraz widzi, że to, co wcześniej wziął za wstążkę, to w istocie krew spływająca po twarzy Narkisa z głębokiej rany na czole, centymetr albo dwa od jego skroni. W świetle księżyca brunatna strużka kontrastuje z żółtym

jedwabiem kaftana, plami materiał na ramieniu i niknie w zagłębieniu pachy.

Kiedy byłem młodzieńcem, ciągnie Narkis, wielki wezyr wybrał mnie spośród innych członków gwardii sułtańskiej. Dołączyłem do ekspedycji udającej się na dwór cesarza Akbara, który w owym czasie również był jeszcze młodym człowiekiem. Niełatwa to była wędrówka. Dziesiątkowały nas choroby oraz głód, watahy wilków, Safawidzi i Kozacy. Niektórzy z nas spadli w przepaście, innych poraziły pioruny. Jednego z naszych pożarł tygrys: był to straszliwy, choć w pewnym sensie imponujący widok, którego nigdy nie zapomnę. Została nas garstka, gdy w końcu stanęliśmy w Delhi przed obliczem cesarza. Powitał nas ze zdumieniem i okazał swoje współczucie. Cóż to za niezwykły człowiek! Kompletny analfabeta, obdarzony wszakże doskonałą pamięcią. Umiarkowany w jedzeniu, żywi się niemal wyłącznie owocami i odrobiną mięsa. Ciekawy świata. Zdolny do nadzwyczajnej wielkoduszności. Muzułmanin przyjaźnie nastawiony do chrześcijan, hindusów oraz wyznawców mniej rozpowszechnionych religii. Podobnie jak my uważa, że różne wierzenia oraz praktyki religijne mają za wspólną podstawę jedną prawdę i oddaje się jej poszukiwaniom, poświęciwszy temu celowi znaczne zasoby swojego imperium. Zaiste, niezwykły z niego człowiek. Spędziłem na jego dworze kilka lat.

I zostałeś jego szpiegiem.

Wysłannikiem prawdy, jak już rzekłem.

Crivano spogląda w górę na mury otaczające podwórzec. W kilku oknach zauważa stłumione światło lamp. Czego chce twój cesarz od naszych rzemieślników? – pyta.

Interesują go zwierciadła. Ma ich pokaźną kolekcję. Te, które mi pokazał, były bardzo stare i pośledniejszej jakości od wyrabianych obecnie na Murano. Zwierzył mi się, że marzy o wybudowaniu pałacu z samych luster, gdzie każdy byłby zawsze obserwowany i mógł w każdej chwili zobaczyć samego siebie. Gdzie nic nie zdołałoby się ukryć. Wielki, choć niepiśmienny umysł cesarza sam przypomina lustro, *tardżuman effendi*. Wszystko znajduje w nim swoje odbicie, jak na powierzchni zwierciadła, a zarazem on sam pozostaje nieskalany błędem ani fałszem. Osobiście widzę w nim władcę doskonałego. Człowieka wiedzionego przez Boga, którego zwiastują hadisy.

Na dłuższą chwilę zapada milczenie. Od strony ulicy znów dobiegają stłumione okrzyki i u wylotu sottoportego błyska światło latarni. Crivano zastyga przerażony, lecz Narkis w ogóle nie reaguje. Po chwili światło przesuwają się dalej i głosy cichną.

Niedługo zawrócą, odzywa się Narkis. I sprowadzą posiłki. Wiedzą, żeśmy się tutaj schronili.

Jest stąd inne wyjście?

Owszem. Jedną chwilę.

Twarz Narkisa przepelnia znużenie, a może rozczarowanie albo smutek. Crivano nie zna jego wieku, lecz w tym momencie wygląda naprawdę staro. A co z tobą? – pyta. Gdzie ty się ukryjesz?

W jakimś opuszczonym budynku, odpowiada Narkis. Ponieważ nie znam dobrze miejscowej mowy, trudno mi będzie zorganizować ucieczkę z miasta. Być może poszukam schronienia wśród tutejszych Greków i zbiegnę do Dalmacji na pokładzie któregoś z ich statków.

Co ci się stało w czoło, Narkisie?

Mężczyzna podnosi głowę, dotyka policzka, spogląda na czubki swoich palców. To? – mówi. To nic. Jakies szczeniaki obrzuciły mnie kamieniami. Chyba usiłovali strącić mi turban. To się często zdarza. Nie chcieli zrobić mi krzywdy.

Crivano przygląda mu się z mieszaniną smutku i odrazy. Tego roku muzułmańskie kraje ogarnęła milenijna gorączka w związku ze zbliżającym się tysiącleciem Hidzry, nigdy by jednak nie przypuszczał, że dotknie ona także Narkisa. Przypomina mu się coś, co Tristão powiedział o Nolanusie – o jego poszukiwaniach filozofa-króla na chrześcijańskich dworach. Może powinien udać się dalej na wschód. Skąd biorą się tacy łatwowierni głupcy?

Przypomina mu się coś jeszcze. Czy Tristão również jest zagrożony? – zwraca się do Narkisa.

Kto?

Dottore de Nis. Ile on właściwie wie o naszym spisku?

Oczy Narkisa zwężają się w półmroku, gładkie czoło marszczy się ledwie zauważalnie. Nie znam nikogo o tym nazwisku, mówi.

Ależ na pewno znasz. Portugalski alchemik. Przechrzta. Kiedy się spotkaliśmy w Rawennie, wyraźnie poleciłeś mi się z nim skontaktować. Stwierdziłeś, że jego działalność odwróci uwagę od naszego spisku. Że dzięki niemu będziemy jak jaszczurka, która gubi własny ogon. Musisz to pamiętać!

Narkis przytakuje z wahaniem. Owszem, mówi. Istotnie. Jego nazwisko podsunęła mi sama *haseki sultan* za pośrednictwem jednej ze swych dwórek. Przyznaję, że to wspomnienie zatarło się w mojej pamięci. Od tamtej pory moją uwagę zaprzętały inne sprawy.

Musisz go przecież znać! – nie daje za wygraną Crivano. To on zaaranżował nasze spotkanie w księgarni. On przedstawił mnie Ciottiemu. On zasugerował cię na tłumacza. Jestem pewien, że sbirri obserwowali nas, kiedy opuszczaliśmy Minervę, dlatego sądziłem, że...

Crivano milknie. Zmarszczka na czole Narkisa pogłębia się, napina skórę, otwiera zablizniającą się ranę, lecz oczy Turka są szeroko otwarte. Tłumaczenie zlecił mi sam księgarz, mówi. Nigdy nie spotkałem człowieka, o którym mówisz.

Od strony dalekiego wylotu sottoportego niesie się chrzest podeszew butów; od śliskiej ściany odbija się płomień na wpół osłoniętej latarni. Crivano słyszy

szepty i głuche pomrukiwania. Nadchodzą, ostrzega.

Nim zdąży się odwrócić, Narkis jest już w narożniku podwórca, w miejscu gdzie o mur stoi oparta gruba sosnowa deska. Turek wspina się na nią i chwyta pętlę sznura zwisającego z wąskiego okna powyżej; Crivano podsadza go i Narkis wślizguje się do środka. Następnie Crivano podaje mu swoją laskę i idzie w jego ślady; zahacza czubkiem buta o ząbkowany ornament, by – zawisłszy na linie – drugą nogą kopnąć i przewrócić deskę. Potem podciąga się do góry i przytrzymywany za ramiona przez Narkisa wpełza przez okno. Sottoportego rozbrzmiewa echem krzyków, miga światło latarni – sbirri musieli usłyszeć stukot upadającej deski. Crivano wciąga za sobą sznur.

Znajdują się w ciemnym i zatęchłym magazynie zagraconym pustymi, roztrzaskanymi skrzynkami; wiele z nich zgniło i pokryło się mchem. Nad ich głowami słyhać ciche kroki. Ktoś jest na górze, szepcze Crivano.

Narkis macha lekceważąco dłonią, jakby nie stanowiło to powodu do niepokoju, i zanurza się w mrok. Crivano chwyta go za rękaw i podąża za nim. Wychodzą na korytarz zakończony wiekowymi schodami; ruszają w dół, słysząc, jak stopnie trzeszczą i niebezpiecznie uginają się pod ich ciężarem. Narkis wie gdzie Crivano pod masywne drzwi i zastęga z dłonią na ryglu. Zapewne znajdują się teraz na poziomie ulicy; Crivano słyszy wydawane ochrypłym głosem rozkazy i odgłos ciężkich buciorów na bruku.

Za tymi drzwiami jest sklep, odzywa się Narkis. Na górze przebywa sklepikarz z rodziną; na dźwięk otwieranych drzwi zbiegną na dół, więc musisz się śpieszyć.

Nie idziesz ze mną?

Narkis z pochmurną miną niecierpliwie kręci głową. Przejdziesz przez sklep, ciągnie, i odryglujesz drzwi prowadzące na ulicę. Potem wrócisz do gospody, zabierzesz swoje rzeczy i schronisz się w pałacu senatora.

Gdzie się znajdę, kiedy stąd wyjdę?

Na Campiello del Sale. Wiesz, gdzie to jest?

Naturalnie. A ty dokąd pójdziesz? Nie możesz tutaj zostać.

Narkis nie odpowiada. Z pewnym wysiłkiem odsuwa rygiel i popycha ciężkie drzwi. Przez okiennice z poprzecznych listewek do wnętrza sklepu wpada światło latarni zawieszanej nad wejściem do sąsiedniej gospody. Przez ułamek sekundy Crivano widzi twarz Narkisa: mizerną, udręczoną. W oczach Turka błyszczą łzy. Potem Narkis wpycha go do środka i zatrząskuje za nim drzwi.

Z góry dobiegają gromkie głosy i szybkie kroki: najpierw ciche, a po krótkiej przerwie głośny stukot butów. Crivano przeskakuje przez ladę, przebiega pomieszczenie i odryglowuje zewnętrzne drzwi. Wygląda przez szparę – campiello wydaje się opustoszałe – i wymyka się na zewnątrz. Ledwo jednak jego stopy dotkną bruku, od północnej strony, ulicą, którą zamierzał uciekać, nadbiega dwóch

sbirri; skręca zatem w lewo i znika za rogiem, zanim tamci go zauważą. Coś w widoku strażników zwraca jego uwagę: maszerują razem i obaj mają przy boku broń. Polują, nie śledzą.

Wkrótce ponownie jest na Campo Sant’Aponal – przed kościołem zebrała się grupka szlachetnie urodzonych młodzieńców utyskujących na brak chłopców z pochodniami – skąd okrężną drogą, przez Most Rzeźników, wraca Pod Białego Orła. Po drodze mija dwóch stróżów z Ministerstwa Nocy popijających wino w kasynie, którego okiennice wciąż są otwarte. Nie wygląda na to, aby mieli prędko wrócić do swoich obowiązków. Dzisiejszego wieczoru zrzekli się na rzecz sbirri.

Przed wejściem do gospody albo w sali jadalnej Crivano spodziewa się zastać uzbrojonych w rapiery mężczyzn w płaszczach, lecz nie ma tam nikogo poza jedną z friulijskich służących, która na jego widok umyka wielce przestraszona. Crivano nie zwraca na nią uwagi: śpieszy na górę do swojej izby, wpada do środka i rygluje drzwi. Potem odwraca się, aby oszacować poniesione straty.

Cały jego dobytek zniknął. Sbirri zapewne go skonfiskowali. Nie ma także wpiętego w fałdy zasłony liściku. Kto pierwszy go znalazł?

Wychodząc, niemal wpada na Anzola. Dottore! – syczy oberżysta i wpycha go z powrotem w głąb korytarza, a stamtąd do kuchni, z dala od wścibskich spojrzeń. Czekają na was na ulicy, mówi. Bardzo źle to wygląda. Są wszędzie, dottore, w dodatku wszyscy uzbrojeni. Zaczekajcie, aż sobie pójda, a potem gnajcie zaraz do senatora Contariniego.

Posłaniec w porę cię odnalazł?

Tak, dottore.

A co z gondolierem? Odszukałeś go?

Tak. I przekazałem mu wiadomość od was. Pozwólcie, że teraz wyjrzę na ulicę. Jeśli będzie bezpiecznie, zawołam was.

Dobrze. Dziękuję ci, Anzolo. Aha, moje rzeczy, skrzynka i kufer. Wiesz, dokąd je zabrali?

Oberżysta przystaje w progu. Kto je zabrał, dottore?

Sbirri. To nie oni je skonfiskowali?

Na twarzy Anzola odbija się konsternacja. Sądziłem, że to wyście je zabrali, mówi. Żeście je odesłali do pałacu Contarinich.

Dopiero wróciłem! Nikogo nie posyłałem. Kto je stąd zabrał?

Mnie... tu wtedy nie było. Byłem na Riva del Fabbriche, szukałem waszego gondoliera. W gospodzie została Agnesina. Agnesina!

Kilkakrotnie nawołuje dziewczynę, lecz ta się nie pojawia. Znajdują ją w składziku, ukrytą za stertą skrzyń; to ta, która umknęła na widok Crivana.

Agnesina! Co się stało? Co cię napadło?

Moja panno, odzywa się groźnie Crivano, co się stało z moim kufrem

i skrzynką?

Dziewczyna wciska się jeszcze głębiej w ką, kreśląc dłońmi w powietrzu jakieś skomplikowane znaki. Gesty wydają się Crivanowi znajome, lecz nie może sobie przypomnieć, gdzie je wcześniej widział. Z wielkich oczu dziewczyny wyziera przerażenie. Crivano czuje, że włosy stają mu dęba na karku.

Agnesina! – grzmi Anzolo. Odpowiadaj, kiedy dottore cię pyta! Kto zabrał jego rzeczy? Służąca wreszcie się odzywa, głosem drżącym jakby z zimna. To był on, mówi. On je stąd zabrał. Dygoczący palec celuje prosto w pierś Crivana.

Ależ Agnesino, protestuje Anzolo, to niemożliwe. Dottore właśnie po nie przyszedł. Pytamy o tego, który był tu wcześniej: jak wyglądał? Ilu ludzi ze sobą przyprowadził?

Nikt mu nie towarzyszył, odpowiada dziewczyna. Nikt.

Jesteś pewna? Kufer był za ciężki, aby jeden człek go udźwignął.

Jak on wyglądał? – dopytuje się Crivano. Ma wrażenie, że jego głos dobiega spoza ciała.

Jak wy, łka dziewczyna. Jak wy. Ale nie całkiem. Miał inne... odzienie. Takie, jakie noszą medycy podczas...

Zostawmy ją, przerywa Crivano. Nieważne. Daj jej już spokój, Anzolo.

Czeka w korytarzu, nasłuchując przez drzwi, jak oberżysta na przemian beszta i pociesza dziewczynę. Serce dudni mu w piersi, jakby żyło własnym życiem i wiedziało o potwornościach nieznanym jeszcze reszcie ciała. Po chwili ze składziku wychodzi Anzolo. Unika spojrzenia Crivana. Musicie się pośpieszyć, mówi. Wyjrzą na ulicę.

Co to był za gest? Ten, który wykonała Agnesina?

Nic takiego, dottore. Okropnie się przejęła najściem sbirri. Pomówię z nią, kiedy się uspokoi, i spróbujemy odzyskać wasz dobytek.

Anzolo, nalega Crivano. Co to były za znaki?

Nic takiego. Już powiedziałem. Coś, co robią przesądni wieśniacy.

Po co? Z jakiego powodu?

Nie wiem, dottore. Jestem z miasta.

Anzolo usiłuje się uśmiechnąć, lecz to mu się nie udaje. Crivano spojrzeniem osadza go na miejscu.

Przypuszczam, że chodzi o odpędzenie złego, jąka się Anzolo. Złych duchów.

Złych duchów? – powtarza Crivano. Jesteś pewien?

Oberżysta milczy przez dłuższą chwilę. Stoi w korytarzu z dłonią opartą o ścianę i twarzą zwróconą ku wyjściu na ulicę. On także drży na całym ciele; Crivano widzi to dopiero teraz.

Zarazy, odpowiada wreszcie oberżysta. Kreślą takie znaki, aby odegnać zarazę.

Crivano wciąga głęboko powietrze i wolno wypuszcza je z ust. Jego płuca napędniają się i opróżniają; krew uderza mu do mózgu. Czuje, jak uśpione od lat części jego ciała w końcu się budzą, podczas gdy wszystko, co dotąd było w nim czujne, obojętnieje i zapada w letarg niczym białe robaki w zimowym błocie.

Tak, mówi. Tak właśnie podejrzewałem. Dziękuję ci, Anzolo.

Dwóch sbirri przechodzi obok, po chwili Anzolo daje znak i Crivano wyślizguje się z gospody Pod Białym Orłem. Drzwi zamykają się za nim z cichym stukotem drewna o drewno. To taki ostateczny dźwięk: Crivano jest teraz całkiem sam. Zawsze był sam – przynajmniej od śmierci Skowronka – lecz teraz nie sposób będzie ukryć tę samotność. Jak wbita w mięsień stalowa drzazga nie jest już częścią tego, wśród czego się porusza.

Skreca w prawo, aby wrócić tam, skąd przyszedł, zaraz jednak przy kasynie w głębi ulicy spostrzega kolejnych dwóch sbirri; przystanęli, aby zrugać nocnych stróżów, których wcześniej widział. Crivano chowa się w ciemnej bramie i czeka, aż przejdą. Zamiast tego jeden ze sbirri wstępuje do kasyna – „Klnę się, że z łatwością wytropię tego heretyckiego psa, jak tylko porządnie się wysram” – pozostawiając drugiego na ulicy. Crivano rozpoznaje w nim nieporadnego młodzika, który przez całe popołudnie obserwował okno jego izby. Chłopak wypina pierś i dotyka głowicy swojego rapiera, jakby to była nowa zabawka. Crivano liczy uderzenia tętna; chce dać towarzyszowi wyrostka dość czasu, aby ten dotarł do wychodka i spuścił nogawice. Potem przebiega ulicę – przeskakując z cienia w cień – i uderza chłopaka w twarz żelazną gałką laski.

Młody sbirro wydaje okrzyk bólu i pada na udeptaną ziemię. Strażnicy podnoszą się z siedzeń i zastygają w bezruchu, popatrując to na Crivana, to na siebie nawzajem. Crivano ponownie unosi laskę, na co tamci osuwają się z powrotem na krzesła. Zaatakowany sbirro jęczy, trzymając się za zmasakrowaną twarz, pluje krwią i śluzem. Nie odrywając wzroku od obu strażników, Crivano odpina rannemu raper oraz pochwę.

Oddala się, słysząc wrzaski strażników, ich potknięcia i bieganinę; chcą zaalarmować sbirro w wychodku. Znajduje się już w bezpiecznej odległości i kieruje się na zachód, poza dzielnicę Rialto. Wiatr zelżał, niebo jest bezchmurne, lecz powietrze zgęstniało i schłodziło się bardziej niż zwykle o tej porze roku. Nad ciepłą wodą kanałów unoszą się strzępki mgły; Crivano zauważa je, przebiegając po którymś z mostów. Księżyc wisi nisko, lecz wciąż daje wiele światła. Zbyt wiele.

Do tej pory sbirri z pewnością zdążyli co do jednego wyłapać jego małych posłańców i odnaleźć odbiorców wiadomości, którzy z kolei wyparli się wszelkiej wiedzy o tym, co miałyby ona oznaczać. Tam też będą na niego czekać w nadziei, że się pojawi, dlatego woli się ukryć na nieznanym terenie. Wybiera dzielnicę San Polo, okolice bazyliki dei Frari. Jak zwykle ulice zmawiają się, by skierować jego kroki w inną stronę: na północ, ku górnej pętli Canale Grande. Crivano nie opiera się zbytnio ich zakusom. W tej chwili jest mu w zasadzie obojętne, dokąd zmierza.

Kim jest? Czyim szpiegiem? Co się z nim stało?

Z wielkim trudem przywołuje wspomnienie dwóch młodzików stojących na pokładzie „Czarno-Złotego Orła” – obaj ponieśli tam śmierć, aby odrodzić się na nowo. Całymi latami żył złożoną samemu sobie obietnicą zemsty, myślą, że pewnego dnia Turcy własną krwią zapłacą za to, co uczynili jego domostwu, rodzinie, Skowronkowi. Tak bardzo hołubił w sobie tę żądzę odwetu, że ukrył ją głęboko, w szkatule na dnie serca, umieszczonej dla pewności w innej i w jeszcze jednej; sęk w tym, że gdy po trudach wypraw do Afryki i Persji – po tym, jak zaprzyjaźnił się z ludźmi, z którymi dzielił misę jadła, po porażkach i sukcesach odnoszonych na wszystkich granicach imperium sułtana – otrzymał wreszcie propozycję od Narkisa i pomyślał: „Oto nadarza się sposobność, lepszej nie będzie”, nie potrafił odnaleźć w sobie tamtego złąknionego pomsty wyrostka. Opuszczając Konstantynopol, pocieszał się myślą, że zapodział jedynie klucze do owych szkatulek i pewnego dnia same się znajdą. Teraz wie, że to nieprawda, a szkatułki są puste – zawsze takie były. Jego zimne, zawzięte serce to nic innego jak obwieszony lustrami korytarz, przez który ciągnie procesja nieobecnych, duchów straszących siebie nawzajem.

Przemierzył już z pół tuzina ulic i nigdzie nie dostrzegł ani śladu sbirri. Kilku strażników nocnych odbywa tradycyjny obchód – tych nie zwolniono najwyraźniej z obowiązków; Crivano starannie unika spotkania z nimi, ilekroć się pojawiają. Gdzieś z tyłu sbirri opatrują ранego kamrata i ślą w miasto kolejne patrole. Tylko patrzeć, jak wpadną na jego trop. Wcześniej zamierzał przedostać się okreżną drogą na południe – przekroczyć Canale Grande i schronić w domostwie Contarinich – lecz teraz równie dobrym pomysłem wydaje mu się najęcie gondoliera w górnej pętli kanału, u wylotu Canale di Cannaregio. W zasadzie może to nawet lepsze rozwiązanie: sbirri nie wypatrzą go tak łatwo pod płóciennym daszkiem sandolo. Miło też będzie po raz ostatni przepłynąć swobodnie przez serce miasta, zobaczyć, jak światło księżyca igra na fasadach pałaców. To dobry sposób na pożegnanie się z tym miejscem. Na kilka dni przyczai się u senatora Contariniego, a potem znajdzie statek płynący do Konstantynopola. Albo do Ragusy. Albo do Tunisu. Zresztą każdy port się nada. Bądź co bądź, Crivano jest medykiem, a chorzy są wszędzie.

Na ulicy Farbiarzy kryje się przed dwoma nadchodzącymi strażnikami. Dopiero po chwili zauważa, że zamiast czujnie patrolować okolicę, są pogrążeni w ożywionej rozmowie. Przysiada więc w bramie, żeby posłuchać, o czym mówią.

Czyli to wszystko z powodu tego aresztowanego heretyka? – upewnia się pierwszy. Odkryto jakiś spisek?

A licho wie, odpowiada drugi. Heretyka wydał jego patron, Zuanne Mocenigo, o którym powszechnie wiadomo, że to dureń i dwulicowy tchórz. Podobno zadawał się z magami przyzywającymi demony. Dziś wieczorem jakiś

łajdak wymalował farbą na wrotach jego pałacu przekleństwo po łacinie i teraz jego bramy pilnuje pół tuzina bravi, w pałacu zaś zapalono wszystkie świece, lampy i latarnie, jakie udało się znaleźć. Mocenigo jest przerażony.

A ci dwaj, których ciągle szukają sbirri?

Teraz szukają już tylko jednego, medyka. Turka nie tak dawno znaleźli w kanale Madonnetta.

Martwego?

Rozumie się, że martwego. Myślisz, że pływał tam dla przyjemności? Jeśli idzie o to, jak zginął – z rąk sbirri, swoich współników czy może z własnej ręki...

Tsss! Kto tam?!

Dojrzeli go. Obolałe mięśnie nóg i pleców protestują, gdy Crivano dźwiga się ze stopni, na których siedział, i wychodzi z bramy na ulicę.

Jezu Chryste! To on.

Światło pada na jego twarz; Crivano mruży oczy. Strażnicy wyglądają na ludzi z gminu – niewyspanych robotników albo handlarzy, którzy dla dodatkowego zarobku obchodzą nocami ulice uzbrojeni w pałki i latarnie. Z pewnością mają długi i rodziny do wykarmienia. Wszyscy trzej wymieniają ponure spojrzenia, zaskoczeni sytuacją, której żaden z nich sobie nie życzył. Nagle Crivano przekłada laskę do lewej ręki, a prawą dobywa rapier.

Chodu! – rzuca pierwszy ze strażników, drugi zaś już wziął nogi za pas: pomarańczowe iskry sypią się z rozchybotanej latarni, podczas gdy mężczyzna w biegu wkłada do ust drewniany gwizdek. Ostry, przenikliwy dźwięk przeszywa chłodne powietrze. Crivano słyszy ruch w okolicznych domach.

Puszcza strażników wolno. Sbirri zapewne są już blisko; ci dwaj bez trudu ich znajdą. Od Campo San Giacomo dall'Orio dzieli go nieduża odległość, Canale Grande jest niewiele dalej: w ciągu kilku minut mógłby znaleźć się bezpiecznie na pokładzie jakiejś łodzi. Zamiast tego woli poczekać na campo. Nie ma jeszcze dość; czuje, że nie wszystko skończone. Za nim pogrążone w mroku ulice rozpościerają się niby stronice starego kodeksu, który latami usiłował zgłębiać. Teraz ma wrażenie, że doznał do końca tylko po to, aby odkryć, że przez cały ten czas mylnie interpretował treść: odczytywał dosłownie alegorie, a literalną prawdę brał za przenośnię. Pragnie powrócić do początku, do strony tytułowej i zacząć lekturę jeszcze raz, ze świeżym spojrzeniem – nawet jeśli miałyby to oznaczać, że nigdy się od niej nie uwolni. I nawet jeśli jest już za późno, aby cokolwiek zrozumieć.

Kilka kroków dalej, na najbliższym skrzyżowaniu – w miejscu, gdzie wąska uliczka odbija ku zachodowi – ogarnia go lodowaty chłód; Crivano zamiera, czując, że jest obserwowany. Przez dłuższy czas stoi nieruchomo. Już wie, ale jeszcze nie chce zobaczyć. W końcu z wielkim wysiłkiem przekręca w lewo zdrętwiałą szyję.

Tamten jest jakieś trzydzieści metrów z tyłu, ukryty w mroku bocznej uliczki. Za plecami ma wielką, żółtą tarczę księżycą, lecz sylwetką przesłania całe jego światło. Crivano dostrzega zarys kapelusza z szerokim rondem, jesionowej różdżki, maski zakończonej ostrym dziobem. Nie czuje woni kadzidła, ale widzi dym: cienkie smużki wiją się przed lśniącymi, szklanymi oczami tamtego.

Crivano chce do niego podejść. Chce go zabić. Chce, żeby to się wreszcie skończyło. Lecz kiedy wyciąga rapier, z tyłu rozlega się okrzyk. Odpowiada mu inny – to strażnicy nawołują się nawzajem. Crivano na ułamek sekundy odwraca wzrok, a gdy znowu spogląda uliczka jest pusta. Nieprzyjaciel zniknął.

Crivano nie jest na to gotowy. Śpieszy chwiejnie przed siebie, czując mrowienie w nogach, jakby zbyt długo siedział bez ruchu, jakby zamienił się z kimś na ciała. Na campo przy bocznym wejściu do kościoła płoną pochodnie; pod drzewami drżą niesamowite cienie. Nieprzyjaciel jest teraz wszędzie; Crivano stale widzi go kątem oka. Odwraca się raz, drugi. Węszy w powietrzu.

Drzwi kościoła ustępują pod naporem ramienia i Crivano zanurza się w blasku świec. W środku nie ma księdza ani w ogóle nikogo. Tak jakby miasto przeszło we władanie jego oraz zbudzonych przez niego demonów. Przechodzi na zachodni kraniec nawy, zanurza palce w kropielnicy i kreśli znak krzyża, czując się jak ostatni głupiec. Przesuwa się przy ścianie, mija kolejne kaplice. Oddycha głęboko, aby ochłonać, wyciszyć tętno i umysł. Rozgląda się dokoła, omiata spojrzeniem stępkowe łuki sklepienia, skamieliny ślimaków w płytach posadzki, przywiezioną z krucjaty kolumnę z zielonego marmuru. Malowidła świętych i Maryi Panny. Szczególnie jeden obraz – przedstawiający Jana Chrzciciela przemawiającego do tłumu słuchającego w nabożnym skupieniu – przykuwa jego uwagę, podchodzi więc bliżej, aby lepiej mu się przyjrzeć.

Nie ulega wątpliwości, że wyszedł spod ręki owego szalonego malarza, o którym opowiadał mu senator: tego, który twierdził, że prześladowają go sbirri oraz magowie, i który zginął, rzuciwszy się z okna. Crivano uśmiecha się ironicznie, lecz uśmiech zaraz blednie. Z łatwością potrafi sobie wyobrazić, z jaką pewnością siebie artysta opuszczał Bassano del Grappa i jak wielkie musiało być jego podniecenie, kiedy po raz pierwszy zobaczył przed sobą to miasto. Jakże wielkie brzemień złożył mu na barkach jego mecenas: podtrzymać *imago urbis*, za pomocą kilku maźnięć farby, kilku pociągnięć pędzla dokonać destylacji i sublimacji żywej niczym srebro materii zawartej w ośmiu wiekach historii. Przed oczami staje mu wizja piękna oraz porządku, która wznieciła ogień w duszy artysty, i wyobraża sobie, jaką udrękę musiał odczuwać, gdy się jej sprzeniewierzył tak zewnątrz, jak i wewnątrz. Wszystko to ma przed sobą, oddane z niezwykłą pieczołowitością na ogromnym płótnie: nadzieję płonąca w zwróconych ku górze oczach słuchającej świętego kobiety, pozbawiony źródła mrok, który przytłacza postacie. Crivano zgrzyta zębami na wspomnienie lekkomyślnego Tristão w jego

laboratorium, martwego Narkisa zanurzonego w ciepłej, brudnej wodzie, Nolanusa gnijącego w swojej wytęsknionej celi. „Pożałowania godny przykład Narcyza ostrzega nas przed nazbyt dosłownym traktowaniem zwierciadła, gdyż wówczas oczom naszym ukazuje się jeno nasz własny wizerunek. Z tak zamkniętego kręgu nie może się zrodzić nic dobrego. Przykładem godnym naśladowania jest natomiast szlachetny Akteon, który, zabłąkawszy się do grotu Księżycy, zerknął przypadkiem na srebrzystą taflę wody i ujrzał w niej na wpół zanurzoną boginię w jej nagiej postaci”. Głupcy, myśli Crivano, wszyscy co do jednego głupcy. Żeby pragnąć tego, czego pragnęli. Poszukiwać tego, czego poszukiwali.

Drzwi w bocznym portalu uchylają się i wchodzi jakiś mężczyzna. Ma rapier przy boku, a na ramiona narzucony płaszcz sbirro. Przez kilka długich oddechów spoglądają na siebie z Crivanem oczyma bez wyrazu. Potem mężczyzna ponownie otwiera drzwi i wychodzi na zewnątrz.

Crivano dobrze wie, jak ma stąpać; podeszwy jego butów są miękkie. Chwyta klamkę, nim drzwi całkiem się zatrzasną. Kilka kroków przed nim sbirro daje znaki dwóm kamratom na campo; słysząc zgrzyt zawiasów, odwraca się, a wtedy Crivano wbija mu końcówkę laski w skroń tuż nad uchem.

Dwóch sbirri na campo dobywa rapierów; ruszają na niego. Crivano przechodzi ponad leżącym ciałem, wyciąga ostrze z pochwy i czeka, aż tamci zbliżą się na właściwą odległość. Tak jak się spodziewał, atakują go z furią, bezpardonowo, lecz nie są wytrawnymi szermierzami. Udaje mu się ugodzić pierwszego z nich w nerkę, drugiego zaś w oko.

Ten drugi wydaje głośny okrzyk, porzuca oręż, kryje twarz w dłoniach i znowu krzyczy. A potem puszcza się biegiem na oślep, zderza ze starym wawrzynem i pada, skręcając się niemo w konwulsjach. Pierwszy, zraniony w nerkę, osuwa się na ubitą ziemię – powoli, niczym zdjęty słabością pijak – zanosi się łkaniem i jęczy. Crivano dwukrotnie kopie go w podstawę czaszki, aby uciszyć lament.

Spoza campo dobiegają głośne krzyki: ktoś usłyszał ich szamotaninę. Crivano biegnie wzrokiem w głąb ulicy Farbiarzy oraz Ruga Bella i w pewnym oddaleniu spostrzega latarnie, których płomienie użyczają koloru murom, wydobywają z czerni kształty budynków. Cofa się, okrąża bryłę kościoła, mija bliźniacze półkule apsydy i przemyka przez Campiello dei Morti.

Już ma ruszyć ulicą Szeroką na północ – Canale Grande, choć niewidoczny, znajduje się niecałe dwieście metrów od niego – gdy coś przyciąga jego uwagę: ruch u podnóża starej dzwonnicy. Dwie pochodnie rzucają na mur dwa identyczne cienie ludzkich sylwetek, które nakładają się na siebie, jakby widziane oczami zezowatego. Światło pada przez szczelinę między zabudowaniami, której wcześniej nie dostrzegł. Crivano dopóty wpatruje się w roztańczone cienie, dopóki jego wzrok nie wychwyci wszystkich szczegółów: zarysu zakrzywionego dzioba, ronda

kapelusza w kształcie elipsy, jesionowej różdżki opartej ukośnie na przegubie.

Skrada się na palcach ku prześwitowi, przyciska bark do muru, po czym obchodzi jego załom szerokim łukiem, z rapierem gotowym do zadania ciosu i laską uniesioną dla odparcia napaści. Lecz po drugiej stronie nie ma nikogo – żadnej sylwetki, która rzucałaby cień w świetle pochodni, tych zresztą też nigdzie nie widać – tylko ciemna, wąska ulica ze skromnymi sklepikami. Mniej więcej pośrodku przecina ją kanał, a odbijający się w nim księżyc rozprasza nieco swoim blaskiem ciemności na obu brzegach. Znad wody unosi się mgła, jej pasma układają się spiralnie w powietrzu nad wąskim mostem. Crivano pewnym krokiem zmierza w tamtą stronę; wysunięty naprzód zakrwawiony czubek rapiera prowadzi go poprzez mrok niby macka.

Za zasłoną mgły, na drugim brzegu kanału, ulica zmienia się diametralnie. Dotychczas cicha, teraz pogrąża się w całkowitej martwocie. Nie słychać nawet popiskiwania szczurów, odgłosów chrapania ani chlupotu wody. Witryny sklepowe prezentują się zgoła nienagannie: żadnych wyszczerbionych cegieł ani nadgniętego drewna, wszystkie okna są starannie oszklone. Przypominają dekoracje do jakiegoś rozbudowanego intermedium albo innego podobnego spektaklu: jakby mogły się przewrócić od byle dotknięcia.

Ulica biegnie w lewo, potem w prawo i kończy się ciasnym campiello, które z jednej strony wiedzie na prywatny most prowadzący do zaryglowanej bramy jakiegoś pałacu, z drugiej zaś przylega do kanału Ściecia Świętego Jana Chrzciciela. Crivano znalazł się w pułapce. Co gorsza, sam w nią wszedł.

Za sobą słyszy nadciągających nieubłagane sbirri: ich wzajemne nawoływania i stukot podkutych buciorów. Zapewne domyślili się już, gdzie jest – w ślepym zaułku – i mają nadzieję, że na odgłos pogoni znów rzuci się naprzód i spróbuje pierwszy dotrzeć na most. Chcą, żeby miał kanał za plecami, aby mogli go osaczyć; wówczas nieuchronnie ulegnie przeważającym siłom.

Crivano postanawia ich nie zawieść. Chowa lśniące ostrze rapiera do pochwy, po czym – kryjąc się w cieniu po prawej stronie, zgięty w pół jak małpison – przesuwa się powoli w kierunku kanału. Tym razem sbirri nie mają ze sobą latarni; ledwo ich widzi naprzeciwko: dwóch idzie na czele, przynajmniej dwóch innych podąża za nimi. Crivano spina się w sobie, szykuje do skoku na drugą stronę. Gdy pierwsza para sbirri dociera do mostu, wypada z cienia; musi mrużyć oczy, aby dostrzec we mgle zarysy ich sylwetek obwiedzione księżycową poświatą.

Tamci natychmiast się cofają, licząc, że wyciągną go na środek campiello, gdzie mogliby go oskrzydlić i zmusić do stawienia czoła trzem albo czterem napastnikom naraz, lecz on nie odrywa stóp od drewnianych desek mostu i odpiera ich ataki głębokimi pchnięciami. Na razie walczy z pięcioma sbirri, lecz kolejni są już w drodze: u podnóża dalekiej dzwonnicy migoczą pochodnie; płomienie

chwieją się i sypią iskrami, gdy niosący je przyśpieszają kroku, zaczynają biec. Crivano wykonuje powolne, niemal teatralne zamachy laską i rapierem, parując ciosy atakujących, dając im namiastkę prawdziwej potyczki. Wreszcie po kilku niezdarnych kontrach i niegroźnym potknięciu wycofuje się na most.

Stać! Zawracać! – rozlega się ostrzegawczy krzyk z głębi ulicy, lecz sbirri nie słuchają rozkazu: pierwszy rusza chwiejnie za Crivanem, za nim następny. Trzej pozostali, którzy dotychczas niecierpliwili się na tyłach, depczą im po piętach: również zwęszyli krew, wyczuli słabość przeciwnika i okazję do zadania mu bólu. Crivano cofa się niepewnie, wciąga ze świstem powietrze, pozorując przestrach, dopóki cała piątka nie znajdzie się na moście, on zaś ponownie nie poczuje pod stopami kamiennych płyt nabrzeża.

Wtedy zaczyna ich zabijać. Pierwszy napastnik staje się mimowolną barykadą, zwaliwszy się na deski z poranionymi kolanami i przekłutymi płucami; drugi, usiłując przejść ponad nim, traci równowagę i zwała się do wody, gdy klinga Crivana dosięga jego tętnicy udowej. Na ten widok ogarnięty paniką trzeci sbirro odskakuje do tyłu, zderza się z nacierającym na most czwartym i nawet niedraśnięty wpada do kanału. Ostatnich dwóch atakujących decyduje się na odwrót; wolą najwyraźniej poczekać na nadciągające posiłki.

Szczęk stali rozbrzmiewa echem w uszach Crivana, lecz wokół niego wszystko na moment nieruchomieje: słyhać tylko przyśpieszony, chrapliwy oddech adwersarzy, charkot wydobywający się z gardła umierającego u jego stóp człowieka, chlupot wody w kanale – to obalony sbirro usiłuje odpłynąć na wschód w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby się bezpiecznie wygramolić na brzeg – oraz tupot nadciągającej drugiej fali napastników. Wiele czasu upłynęło, odkąd Crivano musiał ostatni raz walczyć o swoje życie. Nie jest już młody. Zimny pot klei mu koszulę do ciała, strużkami spływa po twarzy. Mięsień piszczelowy w prawej nodze boli go i piecze od ciągłego wykonywania szermierczych wypadów.

Na drugim krańcu mostu staje pięciu nowych sbirri. Jest wśród nich ten mądryla z Białego Orła, Lunardo. Natychmiast też odsyła dwóch swoich kamratów, aby sprowadzili posiłki. Dobry wieczór, dottore! – woła, unosząc rękę. Jak widzisz, założyłem dziś rękawice, jakeś waśc zalecał. A teraz przejdź przez most!

W prawej dłoni trzyma rapier, w lewej sztylet do parowania ciosów; dwóch jego ludzi – jeden to ów łotr ze szramami na twarzy – dzierży okute pałki. Trudno będzie się bronić przed tak różnorodnym rynsztunkiem. Crivano nabiera powietrza w płuca, porusza nogami, aby rozluźnić mięśnie. Ręce mu się trzęsą.

Powiniennem waści uprzedzić, woła znowu Lunardo, że zaraz będzie tu nas więcej. Część moich ludzi przyplynie łodziami i zacumuje od tyłu przy campiello, żeby wziąć was w dwa ognie. Nie zabiją was, dottore. Będą jednak uzbrojeni w pałki i boleśnie was obtłuką, połamią wam ręce i nogi, po czym zawloką przed oblicze Rady Dziesięciu. Rada zaś każe was torturować, potem udusić, a ciało

wrzucić do laguny. Tak jak wyście wrzucili tamtego zwierciadlnika, prawda? Żaden człowiek nie pragnie takiej śmierci, dottore. Ale przecież macie jeszcze wybór. Słusznie mówię? A zatem: czekamy na tamtych czy zabijamy czas, mordując się nawzajem? Zapraszam na most, dottore.

Crivano nie odpowiada. Szacuje obszar, na którym stoi, krokami odmierza odległość między gładkimi drewnianymi krawężnikami oraz między martwym sbirro a brukiem. Od zachodniej strony mrok jakby ciemnieje, zaraz jednak rozprasza go pomarańczowe światło: jakaś łódź mija wylot kanału, długi cień jej kadłuba pada na drżące w wodzie odbicie księżyca. Ktoś na pokładzie trzyma w górze zapaloną pochodnię. Chwilę potem łódź znika im z oczu i znowu robi się ciemno.

Lunardo przykuca nad brzegiem kanału. Uśmiecha się, kołysze na ugiętych nogach, aby rozciągnąć mięśnie. Crivano wyciera krew z ostrza, przestępuje nad ciałem umierającego sbirro i staje na moście. Nie zamierza zrobić ani kroku dalej. Lunardo pozdrawia go, też wchodząc na most, lecz Crivano nie odwzajemnia się tym samym. Drewniane deski pod ich stopami znaczą ciemne, okrągłe plamy.

Zaczynają. Wykonując laską półkoliste ruchy w powietrzu, Crivano odparowuje ciosy rapiera; nie mija wiele czasu, a udaje mu się zadać przeciwnikowi drobne rany w uda, ramiona oraz policzek. Lunardo jest niezłym szermierzem, ale daleko mu do mistrzostwa i chociaż laska ciąży Crivanowi w słabszej lewej ręce, daje mu jednak przewagę zadawania głębokich ciosów. Naciera na sbirro, pragnąc czym prędzej zakończyć pojedynek.

Raz po raz Lunardo wali się na bruk; Crivano korzysta wówczas z okazji, aby zaczerpnąć oddechu i wyrównać krok. W głębi duszy urągają mu te próby wywabienia go na most. W tym momencie Lunardo musi już zdawać sobie sprawę, że nie zwycięży, o ile nie wciągnie do walki swoich ludzi; Crivano wie, jak tamten kalkuluje, może to wyczytać z jego ciemnych jak u gronostaja oczu.

Dochodzi do wniosku, że oponentowi brak odwagi, aby zaatakować, i w tym samym momencie następuje atak: Lunardo ciska sztylet na drugi brzeg kanału i rzuca się naprzód z głośnym okrzykiem. Pada na deski, szybko przyklęka, opiera ciężar ciała na lewej ręce, prawą zaś dźga na oślep rapierem. Crivano dosięga laską czubka jego czaszki, lecz mimo to zmuszony jest się wycofać aż na koniec mostu. Po raz kolejny przestępuje nad ciałem powalonego sbirro. Lunardo kontynuuje atak – wie, że inaczej zginie – i chcąc udaremnić desperacką ripostę Crivana, przyjmuje potężny cios na prawy bark. Ostrze rapiera ześlizguje się po żebrach, przecina skórę, lecz nie czyni większej krzywdy. Walczący wpadają na siebie i rozlega się nieprzyjemny chrzęst kości. Kiedy znów stają na własnych nogach, czują pod stopami bruk.

Przez most pędzi tymczasem wymachujący pałką sbirro: gdy Crivano odpiera zadawane nią ciosy, Lunardo odnajduje na brzegu ciśnięty wcześniej

sztylet. Napastników jest już trzech: na Crivana naciera genueńczyk o dzikim spojrzeniu, uzbrojony w rapier; niedaleko za nim, w połowie mostu, cyklop bez twarzy czeka na swoją kolej. Crivano może jedynie utrzymać pozycję, a i to kiepsko mu wychodzi. Za pas wciąż ma zatknięty pistolet skałkowy, ale nie jest w stanie go wydobyć. Stara się nie tracić zimnej krwi, podtrzymywać zapał tamtych. Walczy jak maszyna, usiłując mieć wszystkich przeciwników w polu widzenia. Gotów zareagować na najmniejszy błąd z ich strony. Jak najszybciej musi zabić któregoś.

Lecz oto w szybach okolicznych okien błyskają światła: odbija się w nich jasność pochodni za plecami Crivana. Przybyły posiłki. Crivano jest pokonany. Ma tylko nadzieję, że starczy mu sił, aby dalej walczyć i zginąć tutaj, na miejscu, uniknąwszy tym samym pojmania. Po wilczych uśmiechach malujących się na twarzach adwersarzy ocenia odległość dzielącą go od nadbiegających sbirri. Przez cały czas naciera, licząc, że w ostatniej chwili, zanim wyzionie ducha pod ciosami pałek, zdoła jeszcze któregoś z nich wybebeszyć. Na śliskim bruku walczą teraz ze sobą cienie – pochodnie są już blisko. Crivano ma się schylić i wykonać obrót wokół własnej osi, gdy w oczach Lunarda dostrzega błysk zaskoczenia i nieruchomieje.

Obok niego przemyka drobna figurka. W wyciągniętej lewej ręce niesie pochodnię, którą podpala włosy genueńczyka, a drewnianym kołkiem do mocowania lin okrętowych miażdży mu stopę. Lunardo otwiera szeroko usta do krzyku i w tym samym momencie rapier Crivana trafia go w mostek; kość zatrzymuje cios, lecz Crivano cofa się i znów atakuje, tym razem laską, której końcówka miażdży grzbiet nosa. Lunardo z jękiem osuwa się na kolana.

Crivano obraca się na pięcie i zabija ogarniętego przerażeniem genueńczyka. Zerka przez ramię, wypatrując innych napastników, lecz nikogo za nim nie ma. Sbirro na moście zamachuje się pałką na postać z pochodnią, ale następuje nagły unik, leci drewniany kołek i postać znów się uchyla, lecz tym razem pałka trafia ją w bok. Narkis! – myśli Crivano (postać z pochodnią jest podobnej postury), lecz to nie Narkis: rozlega się cienki, dziecinny okrzyk bólu. Dziwnie znajomy. Czyżby to któryś z jego małych posłańców?

Crivano słyszy stłumiony brzęk i głośnie trzask: ktoś w pobliżu wystrzelił z kuszy. Crivano odwraca się na pięcie, przeszukuje wzrokiem pobliskie okna i dachy, lecz nikogo nie dostrzega. Sbirro ponownie unosi pałkę, aby zadać drobnej postaci kolejny cios; Crivano doskakuje i dźga go rapierem w pierś. Ostrze przebija tamtego na wylot i wychodzi po wewnętrznej stronie prawej łopatki, po czym pęka kilka centymetrów nad rękojęścią, gdy sbirro potyka się i pada. Drobna postać leży skulona na bruku, trzyma się za żebra i pojękuje przez zaciśnięte zęby. Pochodnia spoczywa obok, sycząc i strzelając iskrami.

Lunardo otrząsnął się tymczasem po zadanym ciosie i znów przyjmuje

bojową pozycję. Twarz ma siną, lewe oko nabiegłe krwią. W rzucanym przez upuszczoną pochodnię migotliwym świetle Crivano rozgląda się za rapierem genueńczyka; spostrzega oręż tuż przy krawędzi kanału.

Mostem zbliża się jednooki sbirro o zmasakrowanej twarzy. W opuszczonej ręce trzyma pałkę. Gdy tylko jego stopy dotkną kamiennych płyt nabrzeża, łotr upuszcza ją z głośnym stukotem, sam zaś zaczyna mówić niskim, dźwięcznym głosem. *Toute leur vie estoit employée non par loix, statuz ou reigles, mais selon leur vouloir et franc arbitre, rzece. Se levoient du lict quand bon leur sembloit, beuvoient, mangeoient, travailloient, dormoient quand le desir leur venoit; nul ne les esveilloit, nul ne les parforceoit ny à manger, ny à faire chose aultre quelconques*¹³.

Lunardo i Crivano spoglądają na siebie, po czym obaj kierują wzrok na sbirro o twarzy pokrytej szramami. Ten mija ich, zataczając się jak pijany. Wciąż przemawia wolno i wyraźnie: *Ainsi l'avoit estably Gargantua*, recytuje. *En leur reigle n'estoit que ceste clause: fay ce que vouldras*¹⁴. Z jego lewej skroni sterczy pierzasta lotka bełtu wystrzelonego z kuszy. Po kilku krokach sbirro wpada na zamkniętą wystawę sklepu, odwraca się, osuwa plecami po murze i siada na bruku. Z jego ust dobywa się teraz pełen smutku szept.

Na ułamek sekundy spojrzenia Crivana i Lunarda ponownie się stykają. Crivano rzuca złamanym rapierem, celując w głowę tamtego, i schyla się, aby podnieść oręż genueńczyka. Lunardo robi unik, uprzedza Crivana i tnie ostrzem rapiera przez jego lewy biceps. Crivano zamiera z laską wzniesioną wysoko i prawą ręką zawieszoną nad upuszczoną na bruk bronią. Udaje mu się zmylić przeciwnika i odparować laską skierowane w dół pchnięcie. Z cholewy buta wydobywa sztylet i wbija go Lunardowi w pierś, trochę na lewo od mostka. Przeciwnik, dotychczas przykucnięty, teraz się prostuje. Przez oblicze przemyka wyraz lekkiej irytacji, a zaraz potem Lunardo pada na wznak do kanału.

Plusk odbija się echem i cichnie. *Car nous entreprenons tousjours choses defendues et convoitons ce que nous est denié*, szepcze sbirro ze zmasakrowaną twarzą.

Dottore, jęczy chłopiec z pochodnią. Pomóżcie mi. Musimy uciekać.

Ręce i nogi paraliżuje bolesny skurcz. Crivano ledwo jest w stanie utrzymać laskę w dłoni. Schyla się i wyciąga rękę do chłopca, aby go podnieść. Brudna twarzyczka wygląda znajomo, nawet bardzo znajomo, lecz Crivano nie potrafi jej skojarzyć. Przypomina oblicze widziane we śnie, w którym rozpoznajemy kogoś nam drogiego; choć rysy są zupełnie inne, głos pozostaje ten sam. Czy to możliwe, aby miał przed sobą Skowronka?

Kim jesteś? – pyta.

To ja, dottore. Perina. Przybyłam najspieszniej, jak mogłam.

Crivano mruga zdumiony, kręci głową, ponownie wyteża wzrok. Drobny

nosek, pełne wargi, uparte spojrzenie. Drżącą dłonią dotyka wygolonej skóry jej głowy. Co się stało z twoimi włosami?

Złożyłam śluby.

Co takiego?

Złożyłam śluby. Nie wiedziałam, co czynić. Nie gniewajcie się, dottore. Nigdy bym was nie odnalazła, nie mogąc poruszać się ulicami po zmroku, to zaś było możliwe jedynie w przebraniu chłopca. Teraz już pojmujecie? Aby móc uchodzić za wyrostka, musiałam mieć krótkie włosy, a zakonnice nie zgodziłyby się na ich obcięcie w innej sytuacji niż złożenie profesji zakonnej. Złożyłam więc śluby. Upozorowałam nagły przyływ bogobożności i dopóty płakałam i błagałam, dopóki matka przełożona nie zgodziła się mnie dopuścić dziś wieczorem do obłóczyn. Potem uciekłam. Przysłany przez was chłopiec sprzedał mi swój przydziewek.

Crivano wpatruje się w nią z otwartymi ustami. W trzewiach czuje narastające drżenie, zapowiedź śmiechu albo łez. Jest bardzo zmęczony. Cyklop z grotem w mózgu umilkł wreszcie i znieruchomiał z brodą opartą na piersi. Powalony na moście sbirro wydał ostatnie tchnienie. Dottore, przynagla Perina, chwytając Crivana za rękę. Musimy się pośpieszyć. Wkrótce będą tu inni.

A zatem, odzywa się Crivano z groteskowym uśmiechem, który – jak sądzi – skrywa w sobie więcej niż krzywą szaleństwa – jak brzmi twoje nowe imię?

Oczy dziewczyny błyskają w mroku. Perina, odpowiada. Tak samo jak wcześniej. Po prostu Perina.

Próbuje odciągnąć go od mostu w stronę campiello, lecz on się opiera. Stamtąd nie ma przejścia, mówi. Trzeba się przedostać na drugą stronę kanału.

Nie, dottore. W łodzi czeka już umówiony człowiek. Wasz znajomy.

Znajomy? Kto taki?

Gondolier. Ten sam, któregoś waść po mnie posłał do Świętej Katarzyny, kiedym uciekała. Nie zdradził mi swego imienia.

Ten, którego ja posłałem? O czym ty mówisz, dziewczyno?

O wiadomości od was, dottore. Kazaliście mi o trzecim dzwonie wymknąć się z klasztoru i odnaleźć gondoliera czekającego na Canale della Misericordia.

Któż ci ją przekazał?

Przysłany przez was chłopiec. Dottore, musimy iść!

Perina ciągnie go za rękę, jakby szarpała za uzdę krnąbrnego muła. Twarz ma poczerwieniałą, wykrzywioną przerażeniem. Porzucona na bruku pochodnia gaśnie niespodziewanie, jakby ktoś zanurzył ją w wiadrze z wodą. Unosi się z niej gęsty kłęb dymu. Powietrze jest nieruchome, noc bezwietrzna.

Czy kazał ci zajrzeć za zasłonę? – chce wiedzieć Crivano.

Kto?

Ów chłopiec. Mój posłaniec.

Perina rozluźnia palce zaciśnięte na jego dłoni. Minę ma skonsternowaną, rozdrażnioną. Za jaką zasłonę? – pyta.

Środkowy odcinek widocznej za jej plecami krętej uliczki wiodącej na campiello spowijają głębokie ciemności – zupełnie jakby zamieszkała tam noc we własnej osobie, jakby mrok krzepł niczym krew w ranie. Crivano odrywa wzrok od oblicza Periny. Chryste miłosierny, szepcze.

Posłuchajcie mnie, dottore. Musimy...

Upuszcza laskę, chwyta Perinę za kołnierz i przyciąga ją do swojej piersi. Z ust dziewczyny wyrywa się zaskoczony okrzyk, gdy twarzą uderza o jego żebra. Palce Crivana przebiegają tkaninę szaty w poszukiwaniu rozcięcia i zanurzają się głębiej, aby namacać gładką rękojeść pistoletu. Gdzieś z daleka dobiega go szcęk jego własnych zębów.

Nieprzyjaciel jest tuż-tuż, sunie gładko, cicho i nieubłaganie niby pikująca po zdobycz sowa. Zdaje się zawieszony w powietrzu, wcale się nie porusza, jakby dzieląca ich odległość samoczynnie malała, kurczyła się jak stopa ślimaka. Dłoń Crivana odnalazła wreszcie pistolet. Gdy go wyciąga, kurek zahacza o tkaninę szaty i rozdziera ją z trzaskiem.

Perina odpycha go, lecz Crivano chwyta ją dłonią za podstawę ogolonej czaszki i brutalnie przyciąga do siebie głowę dziewczyny. Udało mu się wyswobodzić pistolet z fałd szaty, wyciąga go więc i celuje. Od demona dzieli go już tylko kilka kroków. Jesionową różdżkę napastnik trzyma uniesioną wysoko, z ptasiego dzioba bucha dym. Perina odwraca głowę, aby ochronić zmiądzony nos, a Crivano lewą dłonią zakrywa jej ucho. Następnie odciąga kurek – rozdzierając sobie przy tym skórę na wysokości pierwszego stawu kciuka – i naciska spust.

Błyska biały płomień, proch zapala się na panewce. Rozlega się cichy świst, a potem zapada cisza. Oślepiony błyskiem Crivano wbija wzrok w ciemny załom uliczki; wargi stężały mu w głupawym wyrazie trwogi. Oczy wyławiają z mroku jedynie parę szklistych kul, które suną ku niemu zawieszony w pustce, płonąc straszliwym światłem. Są coraz bliżej. Zawsze były o krok od niego, teraz go w końcu dopadły.

Pada strzał. Z lufy pistoletu wylatuje kula ognia, która wszystko przesłania i znika, pozostawiając po sobie jedynie pulsujący powidok wyryty na powiekach Crivana. Lecz huk wystrzału nie cichnie: przenikliwy świst odbija się niemilkącym echem w załomach uliczki, aż Crivano przestaje słyszeć cokolwiek innego. Perinie udało się wreszcie wyrwać z jego uścisku: patrzy na niego, gestykuje, coś krzyczy. Jej głos nie dociera do Crivana w postaci dźwięku, tylko jako delikatny podmuch powietrza odczuwany na twarzy. Dziewczyna chwyta go za lewą rękę i ciągnie. Prawą dłoń, tę z pistoletem, Crivano trzyma uniesioną wysoko nad głową. Ostrożnie ją opuszcza. Dopiero teraz czuje ostry ból: uszy rani

mu przeszywające dzwonięcie, w którym rozpoznaje dźwięk tłuczonych szyb. Ze wszystkich okien wzdłuż ulicy sypią się na bruk szklane odłamki.

Po Doktorze Czarnej Śmierci nigdzie nie ma śladu. Oczy Crivana lustrują pełne dymu powietrze i bruk w miejscu, gdzie wcześniej stał potwór, lecz niczego nie znajdują: ani różowawej mgiełki, ani kałuży krwi, ani maski z ptasim dziobem, ani jesionowej różdżki. Rozerwało go na strzępy, dochodzi do wniosku Crivano, jakby jego pistolet miał siłę rażenia armaty. Rozerwało go na strzępy. Na strzępy. Na strzępy.

Chmura dymu z wystrzału unosi się, zdradzając ich pozycję. Po twarzy Periny spływają łzy czystego gniewu: wykręca mu palce, spogląda nad jego ramieniem. Crivano rozgląda się za upuszczoną laską, dostrzega ją w dłoni Periny. Usiłuje wsunąć pistolet z powrotem za pas, lecz ręka odmawia posłuszeństwa. Słuch stopniowo wraca, poprzedzany przez tępy ból. Crivano rozpoznaje nagłący szept Periny i krzyki dobiegające z Campiello dei Morti. Sbirri właśnie przebiegają most: Crivano widzi trzech, za nimi błyskają kolejne pochodnie. Pierwszy z mężczyzn zamiera, dojrawszy Crivana; strach ożywia jego puste oczy. Biegący za nim sbirro potyka się i w ostatniej chwili unika zderzenia. Stoją teraz obaj na moście, jeden obok drugiego, przebierając nogami niczym psy na uwięzi.

Perina i Crivano odwracają się i rzucają do ucieczki. Dziewczyna jest szybka, on zaś, stary i zmęczony, z trudem dotrzymuje jej kroku. Rozbite szkło pęka i zgrzyta pod nogami ścigających: zaraz ich dogonią. Kiedy Crivano skręca na campiello, sbirri depczą mu po piętach. Jeden próbuje chwycić go za ramię, lecz przewraca się z głośnym jękiem i łomotem, zbijając z nóg swego kompana. Crivano widzi już sandolo, a na tle tarczy zachodzącego księżyca zarys sylwetki Obizza, który opuszcza kuszę i opiera ją na strzemieniu; w zaciśniętych zębach trzyma nowy belt.

Perina zdążyła tymczasem odcumować łódź. Crivano wskakuje do środka, lecz zaczepia stopą o górną krawędź nadburcia i pada twarzą na pokład, miażdżąc swoim ciężarem dziesiątki suchych bukiecików. Nozdrza wypełnia mu ostry zapach lawendy, a chwilę potem żelazista woń świeżej krwi. Sandolo kołysze się gwałtownie, ale na szczęście nie wywraca do góry dnem. Crivano dźwiga się z trudem, ociera złamany nos.

Obizzo znowu strzela, trafia sbirro skaczącego za nimi z nabrzeża; napastnik z pluskiem wpada do wody. Na campiello wybiega reszta pościgu i przezornie zwalnia. Obizzo przekazuje kuszę i kołczan Crivanowi, sam zaś chwyta za wiosło; Crivano wkłada stopę w strzemień kuszy, zaczepia cięciwę o orzech i napina ją przy użyciu dźwigni. Jednocześnie jego palce niecierpliwie szukają beltu. Zanim umieści go w kuszy, od pałek rozwścieczonych sbirri dzieli ich już bezpieczna odległość, lecz mimo to strzela i rani jednego z czystej żądzы odwetu.

Niech was diabli porwą, dottore! – warczy Obizzo. Nie marnujcie pocisków!

Na Canale Grande wciąż czeka na nas caorlina pełna tych łajdaków.

Crivano wydmuchuje nos w dłonie i strząsa krwawą flegmę do wody. Znowu wyraźnie czuje zapach lawendy. Jak mnie znalazłeś? – pyta.

Łatwo nie było, zresztą samiście sobie winni. Wasze wiadomości zdały się psu na budę. Wiosłowałem dopóty, dopóki nie usłyszałem wrzawy, wtedy podążyłem za zgiełkiem. O co, na miłość boską, chodziło z tą zasłoną?

Wiadomości? – powtarza Crivano. Ile właściwie...

Obizzo go ucisza. Na moście przed nimi błyskają pochodnie. Crivano ładuje nowy bełt, zamienia się z Periną miejscami i staje na dziobie łodzi. Po zachodniej stronie miga coś jasnego: w pierwszej chwili Crivano bierze ów blask za światło paleniska padające z otwartych nagle drzwi kasyna, lecz to tylko skrawek nikonącego księżycy zerka na nich ze ślepej uliczki. Powodzenia, zdaje się mówić. Dziś w nocy nie zdołam wam już bardziej pomóc.

Pochodnie na moście gasną, w ich miejsce mającą teraz skulone ciemne postacie. Crivano pociąga głośno nosem, przełyka krew i flegmę, opiera kolbę kuszy na ramieniu. Czarny kil sandolo tnie spowitą mgłą powierzchnię wody, kierując się na północ kanałem Ścięcia Świętego Jana Chrzciciela.

COAGVLATIO

„Raczej obrazy niż sądy, metafory niż stwierdzenia faktów wyznaczają większość naszych przekonań filozoficznych. Zniewalający urok ma dla tradycyjnej filozofii obraz umysłu jako wielkiego zwierciadła zawierającego rozmaite przedstawienia – trafne i nietrafne – zwierciadła, które można badać czystymi, nieempirycznymi metodami. Gdyby nie koncepcja umysłu jako zwierciadła, to koncepcja poznania jako trafności przedstawienia nie byłaby tak sugestywna”.

RICHARD RORTY, *Filozofia a zwierciadło natury*,
przełożył Michał Szczubińska

Gdy Curtis wkracza do hotelowego lobby, pod zadaszonym portykiem trwa akurat rozładunek dwóch wypchanych po brzegi autokarów: przez szklane drzwi wlewa się do środka tłum uczestników jakiegoś zjazdu czy konferencji ciągnących walizki na kółkach i taszczących torby z laptopami. Ich nieprzerwany strumień biegnie od chodnika aż do recepcji. Curtis nie jest dość szybki, aby załapać się na lukę w zwartej kolumnie nowo przybyłych, staje więc pod sferycznym astrolabium, żeby przeczekać najgorszy ścisk. Goście odbierają swoje karty-klucze i odchodzą od kontuaru, po czym zbijają się w wesołe grupki, gdzie zaczyna się ściskanie dłoni i poklepywanie po plecach przy wtórze gromkich nawoływań i strzelania do siebie z dwóch palców imitujących lufę pistoletu. Ktoś niesie ogromną tablicę piankową:

9:00 – Trzy umiejętności kluczowe dla osiągnięcia sukcesu w sprzedaży

9:45 – Jak osiągać rekordowe wyniki w trudnych czasach

10:30 – Sztuka łagodnej perswazji gwarancją, że usłyszysz “TAK!”

11:15 – Cztery sposoby na wyjście poza swoją strefę komfortu

lecz pozostaje niewidoczny: Curtis dostrzega jedynie osiem palców zaciśniętych na krawędziach tablicy i parę białych trampek u dołu.

Sufit nad jego głową pokrywa kolejne iluzjonistyczne malowidło; Veronica bez wątpienia potrafiłaby mu powiedzieć, jakie dzieło zostało tu skopiowane. Fresk przedstawia bohatera na skrzydlatym koniu, gotowego przebić harpunem zięjącego ogniem smoka. Potwór trzyma w paszczy nieszczęśnika w łańcuchach. Dalej koleś ze skrzypcami o popękanych strunach obejmuje ramieniem jakąś gołą babkę. Inny gra na lirze pod grubym murem miejskim, a wokół niego unoszą się w powietrzu kamienne bloki. Curtis domyśla się, że to dźwięki muzyki wprawiają kamienie w ruch, ale nie wie, czy chodzi o budowę muru, czy raczej o jego rozbiórkę. W centralnej części fresku znajduje się połać błękitnego nieba. Na jego tle unoszą się dwa bóstwa: Merkury z laską oplecioną przez węże oraz Minerwa z wyrytą na tarczy głową Gorgony.

Tłum przybyszów rzędzie i Curtis rusza naprzód, lecz trafia wprost na blokujących wyjście ochroniarzy w cywilu. Jeden przytrzymuje drzwi wysokiemu siwowłosemu mężczyźnie w czarnej skórzanej kurtce do bioder, który wygląda identycznie jak Jay Leno, i Curtis potrzebuje dłuższej chwili, aby się zorientować, że to faktycznie jest Jay Leno. Zaraz potem dociera do niego, że stoi tamtemu na drodze. Ręka Curtisa jest wyciągnięta jak do powitania – zamarł w pół gestu, zamierzając pchnąć drzwi – więc Leno chwyta ją i ściska. Cześć! – mówi z szerokim uśmiechem.

O rety. Jay Leno, bąka Curtis.

Zgadza się, odpowiada Leno. Życzę udanej konferencji!

Po tych słowach obchodzi go z lewej strony. Idący tuż za nim ochroniarz delikatnie odsuwa Curtisa na bok. Leno i jego kilkusobowa świta przechodzą przez lobby hotelowe – Leno macha, ściska kolejne dłonie, poruszając się krokiem typowym dla wszystkich celebrytów, których Curtis kiedykolwiek widział, szybkim i niespokojnym, jakby groziło mu, że umrze, jeśli się tylko zatrzyma – po czym znikają w przejściu na lewo od recepcji. Curtis odprowadza ich wzrokiem. Do środka pcha się jeszcze więcej ludzi z bagażami. Mijają Curtisa z obu stron wyraźnie podekscytowani, większość zdaje się mówić: „Patrz, to Jay Leno!”.

Przed hotelem wsiada do pierwszej wolnej taksówki. Ta również należy do korporacji Fortune Cab: karoserię ma w kolorach czerni, bieli oraz fuksji i Curtis jest ciekaw, czy za kierownicą zobaczy tego samego człowieka, który rano zawiózł go nad jezioro. Ale gdy mości się na siedzeniu i odnajduje w lusterku wstecznym oczy taksówkarza, rozpoznaje Saada. Saad? – dziwi się głośno.

Słucham?

Mężczyzna za kierownicą to nie Saad: jest młodszy, bardziej spięty, zresztą to nie Arab. Może pochodzić z Bangladeszu. Siwe włosy i zmarszczki ma jednak takie same jak tamten. Zawiezie mnie pan do Quicksilver? – prosi go Curtis.

To w Henderson?

Nie, na wzgórzach na wschód stąd, na skraju doliny. Nowe kasyno, kilka przecznic od North Hollywood Boulevard, nad świątynią mor...

Okej, przerywa mu taksówkarz. Już wiem. Dzięki.

Szybko przedostają się na autostradę i Lake Mead Boulevard, korzystając z tej samej trasy, którą wybrał wcześniej Saad. Kierowca nie próbuje zagadywać i Curtis jest mu za to wdzięczny. W szybko zapadającym zmierzchu po raz ostatni otwiera *Złodzieja luster*; chce jeszcze trochę poczytać, zanim zwróci książkę Stanleyowi. Nie jest zachwycony tym, jak mu poszło w Las Vegas, dochodzi jednak do wniosku, że mimo wszystko powinien się czuć usatysfakcjonowany. Ale nie jest. Ani trochę. Może to się zmieni, kiedy zobaczy Stanleya.

Nie zdradź się, Crivano! Ten zatruty świat,

pęknięty jak jajko, niczego nie skrywa.

Nie dla ciebie krzyż ani Campo de' Fiori –

nie pożądaj takich pomników,

żałosnych iluzji odroczonego bogactwa. Nic

tutaj nie ocaleje, nic nie jest warte ocalenia.

Wyparować – oto twoja spuścizna,

twoja ekstaza, twoja ucieczka. Wszelka materia

cieniem jest tylko, przemykającym po ciemnym szkle.

Chwila twa, Crivano, właśnie się dokonała: jesteś niby bańka

zawieszona w wolno tężejącym bursztynie historii, ziarno

zanurzone w krzemionce, aby ponownie

nakarmić nim piec. Płoń, złodzieju obrazów,

na morzu zapomnienia!

Czytając, Curtis usiłuje sobie wyobrazić, jak musiał się czuć Stanley, kiedy znalazł tę książkę, odgadnąć tajemniczy wpływ, jaki wywarła na piętnastolatka z Brooklynu, dzieciaka bez ojca, za to z matką wariatką i pięcioma klasami podstawówki. Nie potrafi sobie tego uzmysłowić. Wspomina opowieści własnego taty o dorastaniu w Shaw w latach pięćdziesiątych, myśli o sobie samym w wieku piętnastu lat – jak się wtedy czuł, co mu chodziło po głowie – lecz niewiele pamięta, a odnalezione wspomnienia nie stanowią żadnego klucza do książki. Zaczyna więc dla odmiany rozmyślać o Jayu Leno – o tym, jak życzliwy i pogodny mu się wydał. I o tym, jak ta życzliwość i pogoda ducha zdawały się go otaczać niby kamienny mur, za którym można ukryć dosłownie wszystko. Albo nic. Myśli o uczestnikach konferencji, zgrywających się przed sobą nawzajem w lobby hotelowym i o kelnerkach roznoszących koktajle wśród nadzianych graczy

w Oculus Lounge. Myśli o barmance z akcentem ze Staten Island, pracującej w New York – New York, o Saadzie – „Fundujesz takie kazanie wszystkim swoim pasażerom?” – i o niewyraźnych rysach twarzy Argosa, zatartych przez oślepiające światło odbijające się od powierzchni jeziora. Myśli o sobie w liceum, ćwiczącym pokerowe miny przed lustrem w łazience dziadków. Usiłującym przekonująco wyglądać. Usiłującym przekonać samego siebie.

Każda substancja, rzeczce Hermes,

musi odnaleźć swój własny cel.

Zbirom oligarchii ściągnięto kagańce,

niezmordowanie patrolują zakamarki Rialto.

Aby ukryć coś, czego nikt nie może zobaczyć, Crivano,

umieść to na widoku, w pełnym świetle dnia.

Wszędzie i nigdzie zarazem! Narzędzie

do niewidzenia! Zatop swe imię

obciążone przeszłością. Zawieszony na murze,

zapomniany, jak skóra zdarta z księżycy, czatuj.

Aż pewnego dnia niespodzianie napotkasz

Nieznajomego, którym zawsze byłeś.

Przed kasynem Quicksilver, między kolumnami z rzecznych otoczków, stoją dwie studentki Uniwersytetu Nevady w Las Vegas przebrane za irlandzkie skrzaty; uśmiechają się szeroko i machają, kiedy wioząca Curtisa taksówka zajeżdża przed wejście, po czym schylają się, aby przypiąć plastikowe czterolistne koniczynki do swetrów graczy poruszających się na wózkach. Curtis płaci taksówkarzowi i wstępuje na gumowany chodnik. Na przeciwległym skraju doliny Mount Charleston majaczy błękitnym cieniem na tle fioletowego nieba. Zachodzące słońce rozpala jej ośnieżony szczyt niczym głownię pochodni.

Witamy w Quicksilver! – odzywa się jeden ze skrzatów. Koniczynkę na szczęście?

Nie, dziękuję, odpowiada Curtis. Dzisiaj nie gram.

Z głośników w lobby zamiast fletów i grzechotek w stylu New Age sączą się dzisiaj dźwięki bębnów obręczowych oraz irlandzkich dud, również w stylu New Age. Chłopak w recepcji ma na głowie melonik z zielonego plastiku, zabija czas dokładaniem kolejnych ogniów do prawie dwumetrowego łańcucha ze spinaczy biurowych. Dobry wieczór, wita go Curtis. Nazywam się Curtis Stone. Walter Kagami zarezerwował dla mnie pokój.

Chłopak podaje mu kartę-klucz w małej papierowej kopercie. Ostatnie piętro, mówi. Pierwsze drzwi z prawej strony. To apartament.

Windy znajdują się w głębi sali kasyna. Przy stołach ani przy automatach nie ma zbyt wielkiego ruchu, lecz ci, którzy się między nimi przemieszczają, robią to koszmarne wolno i Curtis nie ma ochoty ich wymijać. Podąża wzdłuż prawej ściany do wykuszowych okien wychodzących na obniżony dziedziniec i przechodzi w ten sposób przez całą długość kasyna. Poniżej zapalają się światła: kolorowe lampki są umieszczone w koronach palm, u stóp fontanny i przy wodospadzie. Perliczki, które tu ostatnio widział, gdzieś zniknęły – udały się tam, dokąd perliczki udają się na spoczynek – lecz na jeden z kamiennych stołów piknikowych wskoczył paw i kiedy Curtis przechodzi obok, ptak rozpościera ogon i potrząsa nim, tworząc rozedrgany, opalizujący wachlarz. Dociera do załomu ściany i natychmiast się spina, wyczuwając zagrożenie, czyjąś niepokojącą bliskość, lecz jest już za późno: ciężki plastikowy kubełek na monety uderza go w zębra, a melodyjny głos szepcze mu do ucha. Nie masz na sobie nic zielonego, chłopie, mówi. Ktoś cię zaraz uszczypnie.

Curtis gwałtownie staje. Albedo ponownie wciska mu kubełek w bok; jego zawartość jest ciężka i masywna. Nie zatrzymuj się, bracie, nakazuje Albedo.

Przez ciało Curtisa przetacza się fala adrenaliny: czuje ją najpierw w kończynach, potem w kroczu i aż się wzdryga; okropnie chce mu się sikać. Bierze głęboki, drżący oddech, wypuszcza powietrze z płuc i rusza przed siebie.

Albedo zaszedł go od lewej, nieco z tyłu: wybrał dokładnie to miejsce, w którym nos Curtisa ogranicza jego widzenie peryferyjne. Wie o jego sztucznym oku, Damon musiał go uprzedzić. Kiedy kilka dni temu spotkali się po raz pierwszy w kasynie Hard Rock, Albedo raz za razem odchyłał się do tyłu na swoim stołku: próbował wy badać Curtisa, ocenić pole jego widzenia. Od początku miał wszystko zaplanowane. Albedo wie, że Stanley jest już w drodze.

Przy oknach najprawdopodobniej nie ma kamer monitoringu. Z pewnością zainstalowano je obok wind, lecz gdy we dwóch tam docierają, Albedo cofa się, dając Curtisowi większą swobodę ruchów. Jeśli nawet Kagami ich teraz obserwuje, nie zauważy nic niepokojącego.

Curtis nie wciska guzika. Liczy na to, że Albedo się do niego odezwie – poleci mu przywołać windę i w ten sposób zdradzi swoją obecność – lecz ten po prostu go wymija i sam naciska guzik. Drzwi windy rozsuwają się niemal natychmiast. Kabina jest pusta. Wchodzą do środka. Nic do mnie nie mów, syczy jeszcze Albedo, przekraczając próg.

Za przyciemnianą szybką panelu dyspozycji widać niewielką soczewkę; być może oprócz kamery jest tu gdzieś także mikrofon. W ponurym milczeniu wjeżdżają na najwyższe – szóste – piętro; przez szybę za ich plecami do kabiny wpadają promienie zachodzącego słońca. Curtis nie odrywa wzroku od stojącego obok mężczyzny. Albedo nie odwzajemnia jego spojrzenia. Ma pusty, obojętny wyraz oczu kogoś, kto za dużo wypił, ale Curtis nie sądzi, aby był pijany. Pod motocyklową kurtką ma jasnozielony podkoszulek. Jego buty i dżinsy pokrywa kurz, nogawki są oblepione rzepami i czymś, co przypomina igielki opuncji. Przez wystrzępiony materiał na kolanach prześwituje otarta do krwi skóra. Uchwyt kubelka na monety wygina się lekko pod ciężarem czegoś w środku, a rozpostarta na wierzchu plastikowa torebka szczelnie okrywa zawartość. Zaciśnięta na uchwycie duża dłoń jest zaczerwieniona i poznaczona licznymi zadrapaniami. Napis na podkoszulku Albeda głosi: „POBIJMY SIĘ – JESTEM IRLANDCZYKIEM!”.

Na piątym piętrze drzwi windy rozsuwają się z cichym dzwonieniem i do środka usiłują wejść obwisłozyci stary przyk w napomadowanym tupeciku oraz krawacie bolo z uwieszoną jego ramienia o kilka dekad młodszą dupą. Albedo zastawia sobą przejście. Na górę? – pyta.

Na dół, odpowiada przyk.

Albedo odpycha go lekko czubkami palców prawej dłoni. W takim razie, psze pana, mówi, warto byłoby nacisnąć na guziczek ze strzałką skierowaną w dół. Wyciągnięta ręka wygląda jak oskrobana obieraczką do ziemniaków. Stary przyk gapi się na nią z otwartą gębą. Drzwi zasuwają mu się przed nosem.

Chyba chodziłem do liceum z tą małą, stwierdza Albedo.

Wysiadają na szóstym piętrze i Albedo natychmiast wyciąga pistolet z kubelka, popycha Curtisa na ścianę, każe mu rozsunąć nogi i unieść ramiona, po czym odbiera mu jego rewolwer i dokładnie go przeszukuje. Działa szybko, interesują go wyłącznie podsłuch i broń. Skończywszy, chwytą Curtisa za kołnierz i popycha przed sobą w głąb korytarza. Otwieraj drzwi, nakazuje.

Curtis guzdrze się trochę z kartą-kluczem. Kiedy w czytniku zapala się zielona lampka, a gałka klamki obraca, Albedo rzuca się i wbija Curtisowi bark między łopatki. Ten przelatuje przez próg i pada twarzą na wykładzinę. Albedo jest już w środku, kopie go w bok i przestępuje nad nim, cały czas trzymając go na muszce małego rewolweru Smith & Wesson. Rozgląda się szybko po apartamencie, trzymając w drugiej ręce wycelowany pistolet. Curtis ze świstem

wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby. *Złodziej luster* leży na podłodze, kilka centymetrów od jego podbródka. Plastikowy kubek Albedo zwisa z uniesionej lewej stopy Curtisa.

Albedo znika na moment w sypialni i zaraz wraca, mierząc w Curtisa z obydwu sztuk broni. Do lufy swojego pistoletu ma doklejony taśmą krótki pękaty tłumik, który wygląda, jakby go zrobiono z puszki po fasolce. Sama broń to matowy czarny półautomat podobny do tego, którym rano wymachiwał Argos. Curtis przypomina sobie słup różowego pyłu widziany na drodze dojazdowej nad jeziorem i już wie, że pistolet nie jest tylko do tamtego podobny – to ta sama broń. Myśl ta sprawia, że robi mu się niedobrze. Czuje strach i wściekłość. Głównie wściekłość.

Jak oceniasz? – odzywa się Albedo. Jeszcze jakieś dwadzieścia, trzydzieści minut?

Wal się, odpowiada Curtis.

Albedo śmieje się cicho. Wydaje się zmęczony, wyczerpany. Tak, mówi. Moim zdaniem jakieś dwadzieścia, może trzydzieści minut.

Curtis kopnięciem zrzuca kubek ze stopy, przetacza się na bok i siada z plecami przy ścianie. Źle to rozgrywasz, rzuca. Spóźniłeś się. Zabicie Stanleya i Veroniki w niczym Damonowi nie pomoże. Policja z New Jersey już wydała nakazy aresztowania w oparciu o fizyczne dowo...

Mnie nie szukają, wzrusza ramionami Albedo. Daj spokój, Curtis, nie zachowuj się jak ostatni przygłup. Nie zamierzam ratować dupy Damonowi. Koleś sam się pograżył. Ma do tego prawo, ale niewiele brakowało, żeby pograżył i mnie. Jak tylko tutaj posprzątam, wynoszę się stąd w cholerę pierwszym samolotem. A stary dobry Damon niech się lepiej modli, żeby gliny z New Jersey dopadły go, zanim ja to zrobię.

Kiepski plan, stwierdza Curtis. Nie uważasz, że...

Pozwól, że dam ci dobrą radę, przerywa mu Albedo. Zamknij ten pieprzony ryj. A przy okazji zacznij się zastanawiać, jak po powrocie do Atlantic City najlepiej podejść Damona. Nie piśniesz ani słowa, dopóki nie wymyślisz jakiegoś niezawodnego planu, w którym odegrasz jedną z głównych ról. Bo w tej chwili, Curtis, stanowisz dla mnie problem.

Albedo czubkiem buta odsuwa krzesło od stołu i siada. Odkłada obie sztuki broni na blat – lufy są ułożone równolegle i wycelowane w Curtisa – po czym zaczyna oglądać swoje poranione dłonie. Długimi palcami wyskubuje igielki kaktusa. Mówiłem Damonowi, odzywa się, mówiłem mu wiele razy, że wciąganie ciebie w tę sprawę to szczyt głupoty. Założę się, że zwłaszcza ty teraz żałujesz – mam rację, Curtis? – że mnie wtedy uważniej nie słuchał. No cóż – nikt nie chce moich pieprzonych rad. Tobie też przecież mówiłem, że to się źle skończy, prawda? I żebyś zmienił plany. I co, posłuchałeś? Akurat. Powtarzałem Damonowi,

że tylko jedna, słownie jedna rzecz może go uratować w tym całym bajzlu, a mianowicie fakt, że nikt, komu nadeptnie na odcisk, nie poleci z jęzorem do glin. I co takiego robi od razu ten genialny sukinsyn? Ściąga nam glinę na łeb.

Albedo podnosi głowę znad blatu, wyraźnie ożywiony, po czym wzdyga się i zamiera. Z otwartymi ustami wpatruje się w ścianę z lewej strony Curtisa: w jego wybałuszonych oczach widać same źrenice. Przez twarz przelatuje mu dziwny grymas, mruga powiekami i mocno potrząsa głową. Potem chwyta ze stołu pistolet Argosa i zaczyna nim wymachiwać, jakby się oganiał od niewidzialnej muchy. Kurwa mać, syczy. Staje twarzą do ściany, spogląda w celownik. Nie, mówi, to niemożliwe. Kurwa!

Strzela. I jeszcze raz. Tłumik wygłusza huk wystrzału, ale nie świst pocisków – jest głośny, jakby ktoś uderzał linijką o stół. Nad głową Curtisa wzbija się w powietrze chmura pyłu z roztrzaskanej płyty kartonowo-gipsowej. Wszędzie migoczą opalizujące drobinki. Ostre jak ziarnka piasku sypią się Curtisowi na czaszkę. Ten przeklina, zasłania oczy. Wolnego, woła. Lewe ucho wypełnia kakofonia przenikliwych trzasków: odgłos pękającego i sypiącego się na podłogę szkła. Albedo strzelił w zawieszony nad toaletką wielkie lustro; ze swojego miejsca Curtis nie miał szans go zauważyć. Jezu, jęczy. Pojebało cię, stary?

Albedo śmieje się cicho. Drży na całym ciele. Kręci głową. Cholera, chłopie, mówi. Niech to szlag. Chyba mi odbija. Mógłbym przysiąc, że...

W tej samej chwili dzwoni telefon. Albedo drga i pakuje w ścianę trzecią kulę; Curtis odruchowo unosi ręce do twarzy. Przy drugim sygnale Albedo wzdycha – z pewnym zażenowaniem – i pękatą lufą pistoletu wskazuje aparat telefoniczny. Domyślam się, że to do ciebie, mówi.

Curtis wstaje z podłogi. Kolana się pod nim uginają; podchodząc do biurka, lekko się zatacza. Dociera do telefonu przy czwartym sygnale i podnosi słuchawkę. Mówi Curtis.

Curtis, tu Veronica.

Kompletnie wytrącony z równowagi z trudem panuje nad głosem. Potrzebuje całej siły woli, żeby się skupić. Wiele zależy od najbliższych kilku sekund. W tle słyszy stłumiony zgiełk i komunikaty nadawane przez głośniki: Veronica znowu dzwoni z lotniska. W jej głosie słychać napięcie: irytację i zmęczenie, ale nie strach. Posłuchaj, mówi. Stanley nas wyrolował. Nie było go w samolocie.

Curtis mruga powiekami. Że jak?

Stanleya nie było w samolocie, którym miał tutaj przylecieć. Zadzwoił, jak byłam już w strefie odbioru bagażu. Nie uwierzysz, ale jest... Przepadł. Już go nie znajdziemy.

Curtis ma takie wrażenie, jakby spadł z urwiska i zawisł w powietrzu niczym ten kojot z kreskówki. Potem czuje dreszcz podniecenia – skrada się w górę wzdłuż kręgosłupa, dociera aż do gardła – i musi się z całej siły powstrzymać, żeby się

nie uśmiechnąć. W porządku, rzuca. Mów dalej.

Chciał mnie ściągnąć na lotnisko, wyjaśnia Veronica, bo zarezerwował mi bilet na najbliższy lot. Za pięć minut zaczynają wpuszczać pasażerów na pokład, a ja muszę jeszcze schować coś do skrytki bagażowej i przejść kontrolę bezpieczeństwa, więc nie mam dużo czasu.

Curtis zamyka oczy i opiera dłoń na blacie biurka, żeby się nie zachwiać. Wydaje mu się, że przez biały szum w słuchawce słyszy śmiech Stanleya, który na podobieństwo rozgrywającego w futbolu amerykańskim wykrzykuje zaszyfrowane rozkazy.

Nie pytaj, o co mu chodzi, dodaje Veronica, bo nie mam zielonego pojęcia. Dzwonię, żeby dać znać tobie i Walterowi, co jest grane. A teraz muszę już...

Curtis otwiera oczy. Walterowi? – powtarza. Walter się tutaj wybiera?

Tak. Według moich obliczeń powinien już u ciebie być. Zwykle kończy pracę o – cholera, muszę pędzić. Słuchaj, Curtis, jest mi naprawdę przykro. I dziękuję. Odezwe się.

W słuchawce rozlega się trzask i połączenie zostaje przerwane. Albedo nie spuszcza wzroku z Curtisa, zmarszczka na jego czole wyraźnie się pogłębia. Curtis skupia spojrzenie na blacie biurka, kątem oka obserwując twarz Albeda. Mój ruch, myśli sobie.

Piłka jest teraz po jego stronie.

Jasne, mówi do głuchej słuchawki. To chyba dobre rozwiązanie. O której ląduje?

W słuchawce słychać głuche stukoty, jakby ktoś wrzucał kamyki do wyschniętej studni.

W porządku, dodaje Curtis. Szukaj mnie w strefie odbioru bagażu. Tylko nie wychodźcie beze mnie. Mogę się kilka minut spóźnić.

Odkłada słuchawkę. Zmiana planów, oznajmia. Lot Stanleya jest opóźniony. Nie przyjadą tutaj. Mam się z nimi spotkać na lotnisku McCarrana.

Albedo gapi się na niego. Nagle wstaje. Jakim cudem to ma być dobre rozwiązanie? – pyta.

Odwal się, stary. Co innego niby miałem zrobić?

Albedo wciąż wygląda na oszołomionego, lecz prędko się otrząsa. Mogłeś na przykład kazać im tutaj przyjechać, kurwa, mówi. Ot, co. Albo wysłać ich w jakieś inne miejsce. Dokądkolwiek. Chryste, Curtis! Cholerny posterunek policji byłby lepszy niż pieprzone lotnisko. Ilu ludzi mam przez ciebie zastrzelić?

Curtis z wysiłkiem przełyka ślinę. Myślę, że Stanley się przestraszył, mówi. Wie, że coś tu śmierdzi. Veronica nie była pewna, dokąd pojedą po tym, jak już odbiorą jego bagaż. Nie wiem nawet, czy Stanley zaczeka na swoje rzeczy. Możliwe, że od razu zechce dać nogę.

Albedo pochmurnieje, zaciska szczęki. Dla ciebie to akurat byłoby fatalnie,

stwierdza.

Tak? – Curtis zmusza się, aby do jego głosu nie wkradła się panika. W takim razie lepiej się pośpieszmy.

Albedo wrzuca pistolet Argosa do kubelka, zatyka rewolwer Curtisa za pasek i ukrywa go pod połą kurtki motocyklowej. Opuszczając pokój, obaj przestępują ponad *Złodziejem luster*, ciemnym okienkiem w neutralnej, beżowej wykładzinie. Curtis ma nadzieję, że ktokolwiek znajdzie tę książkę, będzie wiedział, co z nią zrobić. A w każdym razie wykorzysta ją lepiej niż on.

Boi się, że drzwi windy rozsuną się, ukazując zaskoczoną twarz Waltera – że po tygodniu wzajemnych nieporozumień umrą, mając przed oczami swoje twarze, i będzie to ostatnia rzecz, jaką zobaczą przed śmiercią – ale gdy winda nadjeżdża, kabina jest pusta. Nie natykają się też na niego na dole – w holu jest tylko wymuskana staruszka o różowych włosach, w żakiecie ze złotej lamy, wsparta o aluminiową poręcz swojego balkonika. Jej błękitne oczy są duże i załzawione, źrenice zasnuwa szron ślepoty. Uśmiecha się łagodnie, gdy obaj mężczyźni wymijają ją szybkim krokiem.

Curtis liczy na to, że Kagami zdążył się tymczasem zorientować w sytuacji i przy wyjściu będzie na nich czekała policja, lecz w kasynie wszystko wygląda po staremu. W drodze do lobby spostrzega między stołami dwóch ochroniarzy, lecz żaden z nich raczej nie nosi broni. Wątpi, aby Albedo zawahał się pociągnąć za spust w takim miejscu, więc wbija wzrok przed siebie i nie próbuje żadnych sztuczek. Wciąż jest rozdygotany po strzelaninie w pokoju, prędko jednak odzyskuje władzę w nogach. W głowie mu huczy. Przez cały tydzień bawił się tylko w podchody: teraz grozi mu prawdziwe niebezpieczeństwo. Mimo to wszystko wydaje się nierealne. Stanley nie wpakowałby go w taki szajs, gdyby nie był pewien, że Curtis zdoła sobie jakoś poradzić. Prawda?

G siedemnaście, rozlega się z głośnika w sali do gry w bingo. G siedemnaście.

Niebo na zachodzie jest całkiem ciemne, jeśli nie liczyć niebieskiego pasemka tuż nad horyzontem. Z wyjątkiem kilku miejsc, gdzie zgromadziły się niewidoczne chmury, czarny firmament jest cały usiany gwiazdami jak diamenty, rozsiewającymi zimne, twarde światło. Albedo zawija kwit w dwudziestaka i podaje parkingowemu, mówiąc, żeby się, do cholery, pośpieszył. Potem odwraca się do studentek przebranych za skrzaty. Jesteś Irlandką, skarbie? – zagaduje. Bo nie wyglądasz. Ale naprawdę ładnie ci w zielonym.

Dziewczyna rozciąga wargi w szerokim uśmiechu, który blednie, gdy zauważy poranioną rękę Albedo, rozdarte na kolanach spodnie i wyraz jego oczu, martwy jak u zdechłej ryby. Odsuwa się gwałtownie, gestem przestraszonego dziecka przyciskając do siebie koszyk z plastikowymi koniczynkami. Jej koleżanka – trochę starsza i trochę bardziej pewna siebie – spogląda na Curtisa. Wygląda na

zaniepokojoną, a to znaczy, że w jego twarzy musiała dostrzec strach. „Co się dzieje? – pytają jej oczy. Mogę ci jakoś pomóc?”. Curtis próbuje się uśmiechnąć.

Nie mija moment i słyszy ryk potężnego silnika w samochodzie Albedo, chociaż go jeszcze nie widzi. Kasyno ma własny podziemny parking na północ od budynku; Curtis wcześniej go nie zauważył. Zza rogu wyłania się wielki czarny mercury montclair phaeton i toczy po podjeździe. Bładożółte światło przednich reflektorów przesuwają się po nich niczym snop szperacza. Curtis wciąż nie wie, jak uniknąć tego, co nieubłagane nadchodzi. Nagle doznaje olśnienia i już wszystko wie.

Gdy auto staje przy krawężniku, Curtis zagląda przez szybę; w środku panuje zwykły bajzel – na fotelach walają się gazety i czasopisma, papierowe torebki i plastikowe kubki – ale na tylnym siedzeniu dostrzega nowe, ciekawe rekwizyty: coś, co wygląda jak tablet z odbiornikiem GPS i jakby policyjny skaner nasłuchowy. Ciekawe, ale nie zaskakujące.

Parkingowy otwiera drzwiczki auta i z pośpiechem wysiada. Minę ma wystraszoną i pełną obrzydzenia. Twój rydwan jest gotowy do drogi, bracie, zwraca się do Curtisa Albedo. Chwytaj lejce i w drogę.

Żebyś się przypadkiem nie zdziwił, odpowiada Curtis. Może o tym nie wiesz, ale nie potrafię prowadzić.

Albedo rzuca mu wściekłe spojrzenie. Robi krok naprzód. Wal się, mówi, głównie mnie to obchodzi. W swoim czasie znałem całe mnóstwo jednookich koleśków i wiesz co? Wszyscy świetnie radzili sobie za kółkiem.

No to szkoda, że żadnego z nich tutaj nie ma, stwierdza Curtis. Bo ja sobie nie radzę.

Albedo otwiera drzwiczki po stronie pasażera. Słuchaj, Curtis, syczy. Nie pyskuj, tylko wsiadaj do cholernego wozu.

Curtis nie ma innego wyboru. Musi przesunąć fotel kierowcy o dobre piętnaście centymetrów do przodu, żeby wygodnie umieścić stopy na sprzęgle i pedale gazu. Pasy naramienne są jak dla niego za wysoko zamocowane; nie próbuje ich nawet zapiąć. W samochodzie cuchnie szczynami, głównem i czymś jeszcze gorszym. Oddech Curtisa gwałtownie przyśpiesza, robi mu się niedobrze. Zapina pas biodrowy. Następnie dłuższą chwilę manipuluje przy lusterkach.

Kurwa mać, stary, denerwuje się Albedo.

Będziesz musiał mi pomóc obserwować ruch z lewej strony, uprzedza Curtis. Bo nic nie widzę.

Albedo odstawia kubełek z pistoletem Argosa na zaśmieconą podłogę auta. W prawej dłoni ścisną rewolwer Curtisa. Z lewej nic nie jedzie, informuje. Tutaj w ogóle nic nie jedzie. Wrzucaj bieg i ruszaj.

Curtis spełnia polecenie i mercury odrywa się płynnie od krawężnika. Nachylenie jezdni sprawia, że wóz sam się toczy: obok wapiennej tablicy z nazwą

QUICKSILVER aż do wyciętej w skale wąskiej drogi prowadzącej do wyjazdu na autostradę. Curtis hamuje, zatrzymuje wóz i dłuższy czas czeka z włączonym lewym kierunkowskazem, który miga i cichutko postukuje. Z żadnej strony nic nie nadjeżdża. Przez pomruk potężnego silnika przebija się odgłos przelatującego w górze odrzutowca.

Droga wolna, Curtis, odzywa się Albedo. Lepiej nie będzie, kolego.

Curtis skręca w lewo i kieruje się w stronę migającego czerwonego światła, wrzucając luz, w miarę jak droga robi się coraz bardziej stroma. Zatrzymuje auto sporo przed namalowaną na asfalcie białą linią. Prowadzenie samochodu to łatwizna. Sam nie wie, dlaczego spodziewał się trudności.

Dobra, mówi. Teraz będziesz musiał mi pomóc włączyć się do ruchu.

Z prawej strony ciągnie się długa kolumna świateł samochodowych: korek spowodowany przez jakiś większy pojazd, ciężarówkę albo śmieciarkę. Od lewej, w oddali, także coś się zbliża: na nieostry zarys nosa Curtisa pada coraz silniejsza halogenowa poświata. Po przeciwnej stronie jezdni znajduje się szeroki pas awaryjny i barierka, a za nią pustka: grunt usuwa się, tworząc najwyraźniej głęboki parów. Pojazdy na głównej drodze przemieszczają się z prędkością około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę; nad nimi migają dwa żółte światła. Hamulce walczą z ciężarem stojącego na ostrym spadku samochodu.

Możesz teraz skręcić, mówi Albedo.

To się chyba nie uda, stary.

Przestań się mazgać jak baba. Właśnie przegapiłeś lukę. Przesuń się trochę bliżej, żebym lepiej widział, i włącz kierunkowskaz.

Curtis wrzuca prawy kierunkowskaz i leciuteńko zwalnia hamulec. Mercury skacze o kilka centymetrów naprzód. Z prawej strony pnie się pod górę wielka ciężarówka, za nią tłoczą się niecierpliwie samochody osobowe. Od lewej mijają ich inne pojazdy, widoczne w świetle ich reflektorów: SUV i dwa sedany. Przejazdowi każdego towarzyszy stłumiony, wydobywający się jakby spod wody świst. Można? – upewnia się Curtis.

Jeszcze nie, odpowiada Albedo, wychylając się w przód na siedzeniu. Zaczekaj chwilę. Już prawie...

Wielka ciężarówka – która okazuje się betoniarką – przyśpiesza, wypuszczając kłęb dymu z rury wydechowej. Przez czarną chmurę prześwitują blade gwiazdy i migotliwe światła doliny. Curtis nie ma jednak czasu ich podziwiać. Spogląda przed siebie, wyrównuje oddech. Lusterko wsteczne jest ustawione pod niewłaściwym kątem – ilekroć miga czerwone światło, Curtis widzi porośnięty szczynek własnej głowy. Nie jest pewien, o czym powinien teraz myśleć, o czym chciałby myśleć. Pewnie o Danielle. Próbuje się na niej skupić, ale nie potrafi. Zamiast tego wpatruje się w sklepienie własnej czaszki widoczne w przekrzywionym lusterku. Oto ja, myśli. Tu i teraz.

Pędzące z lewej dwa inne samochody wytrącają go z zamyślenia. W porządku, mówi Albedo. Droga wolna. Jedźmy.

Betoniarka wystaje za linię, protestuje Curtis. Mam za mało miejsca na skręt. Nie potrafię oceniać odległości, stary. Szwankuje mi postrzeganie głębi.

Albedo patrzy w prawo. Nie jest za linią, mówi. Masz mnóstwo miejsca.

Zaczekam, decyduje Curtis.

Spoczywającą na kierownicy prawą dłoń przesuwa na godzinę szóstą, jak najbliższej zapięcia pasa bezpieczeństwa. Potem bierze głęboki wdech, rozluźnia się i moczy spodnie.

Słuchaj, kretynie, irytuje się Albedo, ponownie odwracając twarz w lewo. Kiedy następnym razem powiem ci, że masz jechać, to jedź. Widzisz, teraz znowu robi się ciasno...

Curtis zwalnia zapięcie pasa, zdejmuje nogę z hamulca i pociąga za klamkę, żeby otworzyć drzwi. Czuje gwałtowne szarpnięcie; auto wytacza się na skrzyżowanie, prosto pod migające światła ostrzegawcze. Mokre, ciepłe bokserki drażnią skórę na udach. Kiedy stawia lewą stopę na chodniku, słyszy zduszony krzyk Albeda, pisk hamulców i dudnienie klaksonu betoniarki. Wszystkie kolejne dźwięki nikną w huku wystrzału. Pierwsza kula przebija rękaw kurtki Curtisa i z trzaskiem trafia w drzwi samochodu – słychać, jak pocisk grzechocze między warstwami stali. Chwilę potem, gdy Curtis zsuwa się z fotela i wypada na asfalt, zasypuje go deszcz szklanych odłamków po kolejnym strzale Albeda. Zielononiebieskie okruchy – niczym fragmenty mozaiki – ranią mu dłonie i twarz, gdy upada, mieszając się ze srebrnymi odpryskami rozbitego bocznego lusterka. Chmura opalizujących szklanych okruchów zawisa w zadymionym powietrzu, podświetlona reflektorami nadjeżdżającego pojazdu. Curtis wali się na jezdnię z głuchym łoskotem i natychmiast turla się w bok, żeby uniknąć zmiżdżenia przez tylne koło. Usiłuje się podnieść i jest już w półprzysiadzie, kiedy uderza w niego nadjeżdżający pick-up Toyoty.

Curtis wylatuje w górę i osuwa się na maskę. Wokół niego zapada cisza. Ręce i nogi ma ciężkie, rozrzucone w przeciwne strony, przez co jego ciało skręca się niczym wyżymany ręcznik. Albedo nie przestaje strzelać: z każdą przelatującą kulą powietrze zdaje się kurczyć. Przednia szyba pick-upa ugina się pod ciężarem Curtisa jak elastyczna sieć i oto jego ciało znów jest w powietrzu, obraca się chybotliwie jak źle rzucona piłka. Trzy strzały. Cztery. Lewą dłoń Curtis zaciska na czymś twardym i gładkim. Ląduje na pace pick-upa i z całej siły uderza o zamykającą ją klapę. Przechwycił ostatnią kulę. Wszystko wiruje, po czym się uspokaja. Curtis leży na wznak z rozrzuconymi nogami na poliuretanowej wyściółce i patrzy na drogę. Znowu jest połamany, ale żyje. Kawalek ołowiu chłodzi mu dłoń.

Zgrzyt metalu o metal rani uszy Curtisa i na ułamek sekundy betoniarka

przesłania mu widok. Kiedy przejeżdża, jego oczom znów ukazuje się mercury: samochód obraca się na przednim zderzaku jak bączek, tył ma wgnieciony w miejscu, gdzie grzmotnęła go betoniarka. Przypomina roztańczony znak zapytania. Wiruje powoli, sunąc nieubłaganie ku skrajowi jezdni; w pewnym momencie zdeformowany bagażnik otwiera się i na chodnik wypada martwy Argos. Zakrwawiona folia, w którą był zawinięty, rozwija się niby jakiś starożytny zwój. Mercury wpada na barierkę, przechyla się i przez jego roztrzaskaną przednią szybę jak gówno z worka wylatuje Albedo; na jego bladej, zmasakrowanej twarzy maluje się wyraz zaskoczenia. Mercury tymczasem spada; Albedo zjeżdża po masce niczym dzieciak akrobata ze zjeżdżalni i zanim wóz zniknie w parowie, zsuwa się po zdobitym maskę srebrnym V, by z plaśnięciem wylądować na asfalcie, wsparty plecami o zniszczoną barierkę. Nogi ma niemal od niechcenia skrzyżowane na linii biegnącej wzdłuż jezdni. W prawej dłoni wciąż ściska rewolwer Curtisa z pustym już bębenkiem; oddycha, ale z oczu i nosa bucha mu mnóstwo krwi i Curtis wie, że już po nim.

Nie słyszy huku, gdy samochód uderza o ziemię, lecz po jakiejś minucie z parowu wzbija się w górę chmura czarnego dymu, przesłaniając cały widok na dolinę. Pokazują się też języki ognia. Curtis usiłuje się podnieść, jednak nie jest w stanie drgnąć; wie, że poważnie oberwał, ale to nic. Znowu, po raz pierwszy od lat, znajduje się na dobrze znanym gruncie. Kości ma połamane, ale kręgosłup jest raczej cały: czuje nadciągającą w wielkim pośpiechu falę bólu, z opóźnieniem rejestrowanego przez mózg. Będzie fatalnie, liczy jednak na to, że niedługo straci przytomność. Nieświadomość droczy się z nim; Curtis próbuje przypomnieć ją sobie jak stary numer telefoniczny.

Przechwyił ostatnią kulę – tę, która była przeznaczona dla Stanleya. Tego właśnie chciał. Pocisk w jego dłoni jest wielki i lśniący i Curtis rozgina palce, aby go obejrzeć. Boli go, kiedy nimi porusza, mimo to nie rezygnuje. Powoli je rozwiera, a potem się uśmiecha. Z zagłębienia dłoni wpatruje się w niego szare sztuczne oko.

W chwili, gdy płomienie docierają do zbiornika z paliwem i nad pustynią wyrasta pomarańczowy słup ognia, Curtis już nic nie widzi, czuje tylko żar na przymkniętych powiekach i wyobraża sobie, jak ognisty kwiat wznosi się do góry, a potem czernieje. Ciepło jest takie przyjemne. Pomaga mu zasnąć.

Stanley chciałby wrócić na deptak, zobaczyć go po raz ostatni, zanim się stąd zmyje, postanawia jednak tego nie robić. Gliny wciąż mogą się tam kręcić – szukać go, sprzątać bałagan, którego narobił – a on nie ma ochoty zastrzelić dzisiejszej nocy policjanta. Poza tym w pewnym sensie czuje, że lepiej zapamięta nabrzeże, kiedy na dobre zniknie mu ono z oczu, a pamięć zacznie rozbierać jego wspomnienie na czynniki pierwsze.

Wybiera drogę równoległą do oceanu: przez rondo i okoliczne ulice, którymi spacerowali z Wellesem. Chodniki są niemal puste, co sprawia, że Stanley podejrzanie rzuca się w oczy; stara się więc kluczyć i często zawracać. Gdzieś w mieście Welles i jego żona siedzą w poczekalni, podczas gdy jakiś lekarz opatruje Claudia – a może są już w drodze powrotnej do domu, aby ocalić dziewczynę? Stanley nie potrafi sobie tego wyobrazić ani zmusić się, aby zaczęło go to obchodzić. Myśl o nich nie jest w stanie na dłużej zagościć w jego głowie; coś ją wypycha, jakby ktoś próbował zbliżyć dwa magnesy zwrócone ku sobie tymi samymi biegunami.

Radiowozy patrolują ulice, lecz na jezdni jest też sporo innych pojazdów: korki na głównych arteriach i układ ulic jednokierunkowych sprawiają, że pieszego trudno jest śledzić z jadącego auta. Czasami mijające go wozy policyjne gwałtownie zawracają albo przyśpieszają i objeżdżają przecnicę, lecz w takich przypadkach Stanleyowi zawsze udaje się zniknąć na jakimś podwórku albo ukryć się w klombie i przeczekać, dopóki gliny nie odjadą. Omiatające mokry chodnik snopy jasnych świateł policyjnych reflektorów kojarzą się Stanleyowi ze śladami lżyew Sonji Heine na dziedzińcu Teatru Chińskiego Graumana.

Gdy dociera do pola naftowego i pierwszego ze starych kanałów, ma już serdecznie dość tej zabawy w ciuciubabkę: gorączka wróciła, wstrząsają nim dreszcze i najchętniej schroniłby się pod dachem. Krzyżuje ramiona i obejmuje samego siebie, spuszcza głowę i przyśpiesza kroku, mamrocząc przekleństwa przez szczękające zęby. Przeklina siebie i cały świat, a najbardziej Wellesa. Może mnie też wyczarowałeś, zżyma się. Nie wpadłeś na to, ty tłusty sukinsynu? Może to od początku byłem ja. Może to mnie wymyśliłeś.

Przez dłuższy czas wędruje nieświadomy tego, że idzie. Jego umysł jest gdzie indziej – albo nigdzie; stopy poruszają się mechanicznie, jakby żyły własnym życiem. W pewnym momencie otrząsa się z odrętwienia z uczuciem przebudzenia ze snu i stwierdza zdumiony, że nadal jest w ruchu. Nie bardzo wie, gdzie się znajduje. Przystaje obok zaparkowanego samochodu, odstawia plecak na chodnik, odkręca manierkę i pije. Woda na jego języku ma cierpki, metaliczny posmak starej cyny; Stanley myśli o swoim ojcu w zatoce Leyte i na Okinawie, wykończonym

i zarazem ożywionym długimi godzinami walki, czującym na języku ten sam metaliczny posmak. Pamięta, jak się wysilał, aby dźwignąć ten wojskowy plecak w dniu, gdy ojciec mu go podarował: plecak był wtedy większy od niego. „Jeżeli nie pojedę na tę wojnę, oszaleję. Nic nie wiem o pokoju. Może to wariactwo, ale taka jest prawda. Ludzie nie chcą ze mną przebywać, a ja nie chcę przebywać z nimi. W czasie pokoju jestem nikim. Sam siebie nie poznaję”.

Deszcz ustał, ale chmury wciąż wiszą nisko na niebie – niemal szorują brzuchami o okoliczne dachy. Stanley maszeruje pośród kanałów. Znad wody unosi się zasłona mgły, spowija każdą przecnicę drżącą gazą, która zaciera kontury budynków. Przed nim majaczy most, a za nim w dwóch wieżach wiertniczych płonie gaz ziemny; nad obiema wznoszą się leniwie w górę słupy czystego ognia. Chybotliwe płomienie sprawiają, że każdy przedmiot w kręgu ich światła rzuca na ziemię blade, podwójne cienie.

Na moście są dwie postacie: zwalisty mężczyzna i małe raczkujące dziecko. Mężczyzna opiera się o barierkę; dziecko kuca przytulone do jego nóg. Oboje spoglądają w dół, na oleistą wodę kanału. Stanley zarzuca plecak na ramię, podchodzi bliżej. Dziecko wcale nie okazuje się dzieckiem, tylko krępym psem; uszu Stanleya dobiega jego chrapliwe dyszenie. Jedna z płonących wież znajduje się dokładnie za plecami mężczyzny i jego głowa wygląda, jakby była wycięta z czarnego papieru. Stanley dostrzega w mroku jedynie zarys twarzy oraz ogniki igrające w szklach okularów, będące odbiciem płomieni. Mięsisty podbródek tonie w dymie; w ustach mężczyzny tkwi fajka. Na głowie ma tweedowy kaszkiet identyczny z tym, który nosi teraz Stanley.

To Welles i jego psiak na wieczornym spacerze. Nie ma innej możliwości. Stanley robi jeszcze kilka kroków i stwierdza, że się pomylił. Nie potrafi powiedzieć, co właściwie odróżnia tego człowieka od Wellesa, ale jest pewien, że to ktoś inny. Coś się nie zgadza. Pies wydaje się odrobinę większy. A raczej – widzi to dopiero z bliska – odrobinę mniejszy. Nadal nie dostrzega wyraźnie twarzy człowieka.

Wchodzi na most. Stąpa na palcach, sam nie wie dlaczego. Niski ryk płonącego gazu przypomina łopot flag na wietrze. To musi być Welles: wygląda dokładnie tak samo. Stanley usiłuje tę myśl zrationalizować, choć wie, że to nieprawda. Czy to możliwe, żeby już wrócił ze szpitala? A jeśli nawet, to dlaczego najpierw nie wstąpił do siebie? Może Synnøve sama zawiozła Claudia do lekarza, a Welles został w domu. Ale to przecież nie Welles. Wykluczone, aby to był on. Czy to wzrok płata Stanleyowi figle? A może Welles ma brata bliźniaka? Albo to wreszcie prawdziwy Adrian Welles, tamten drugi zaś – ten, którego poznał Stanley i który podpisał mu książkę – jest zwyczajnym oszustem?

Postać wyjmując z ust fajkę z korzenia wrzośca i opiera dłoń na balustradzie. Coś w widoku tej dłoni sprawia, że Stanley zamiera w pół kroku i włosy stają mu

dęba na karku. Wygląda identycznie jak dłoń Wellesa: zwykła ludzka dłoń. Tyle że nie jest ludzka.

Pies opiera przednie łapy na niższej poprzecznej belce barierki. A potem prostuje się, staje na tylnych łapach i zaczyna chodzić, zataczając się niczym nakręcana zabawka. Odwraca się powoli, żeby spojrzeć na Stanleya. Włochaty pyszczek z wybałuszonymi oczami zwieńczony parą aksamitnych uszu nie należy do człowieka, ale też nie jest całkiem nieludzki. Wargi psa rozciągają się w uśmiechu, ukazując dwa rzędy zaślinionych, bielutkich jak u dziecka zębów.

Zwierzę odzywa się do niego. Cichym, skrzekliwym głosem woła do Stanleya. Nazywa go jego imieniem – prawdziwym imieniem, tym, które nosił od urodzenia i które pogrzebał wraz ze swoim koszmarnym dziadkiem – imieniem nieznanym żadnej żywej duszy z wyjątkiem jego oniemiałej szalonej matki.

A przynajmniej tak to będziesz po latach wspominał.

Stanley potyka się, robi krok naprzód. Psiak niezgrabnie maszeruje w jego stronę. Postać przy barierce odwraca się. Jeżeli Stanley napotka jej wzrok, wszystko, czym jest, bezpowrotnie zniknie. Po to tutaj przybył. Właśnie to próbowała mu powiedzieć książka. Jakaś mroczna istota na tym świecie posługuje się jego twarzą.

Stanley sięga po pistolet, ale broń gdzieś przepadła. Upuścił ją, zgubił, nigdy jej nie miał, schował ją do plecaka i potem o niej zapomniał. Postać przy barierce przemawia nieludzki, wymyślonym przez siebie językiem i tym razem jakaś część Stanleya rozumie każde słowo. Teraz już widzi jej twarz. Szkła okularów rozświetla wewnętrzny ogień, niebędący żadnym odbiciem.

Stanley odwraca się i ucieka. Biegnie, dopóki jego zainfekowana noga nie zacznie krzyczeć z bólu, a i wtedy nie zwalnia, aż w końcu ból ustępuje. Biegnie, dopóki nie przestanie słyszeć niczego poza stłumionym odgłosem własnych kroków na chodniku. Biegnie, dopóki nie zaćmi mu się w oczach. Byle dalej od oceanu i księżycy, który włada przyływami i odpływami, przez kolejne nieznanne ulice, przez labirynt miasta pozbawionego centrum. Biegnie, aż kompletnie straci rozeznanie w tym, gdzie jest i jak się tam znalazł, dopóki nie otrząśnie się ze wszystkich wspomnień wybrzeża i dróg, które mogłyby zawieść go z powrotem, dopóki jego wspomnienia nie zaczną dotyczyć już tylko siebie i książki i nie staną się jak ta wyspa: pełna krętych zaułków, zawieszona w próżni.

Woda musi być gdzieś blisko. Ilekroć Crivano się budzi, słyszy podmuchy wiatru i cichy chłupot fal uderzających o podstawę ściany za swoją głową. Z początku dźwięki te przyjemnie nakładają się na siebie, tworząc płataninę wesołych plusków, lecz wystarczy się skoncentrować, aby z odgłosów wyłonił się pewien wzór albo prawie wzór: słyhać wtedy regularne, nieco nierytmiczne pulsowanie, przywodzące na myśl dziecięce zabawy wymagające klaskania w dłonie w określony, z góry ustalony sposób.

Dociera do niego, że owe z pozoru nieuporządkowane uderzenia mogą kryć w sobie jakiś głębszy zamysł; taki, który – jeśli tylko właściwie odczytać szyfr – mógłby mu podsunąć wskazówki co do rozmiarów budynku, w którym się obecnie znajduje. Oczywiście tego rodzaju dywagacje leżą w jego naturze. Crivano uśmiecha się i wzdryga, czując bolesny skurcz, przebiegający od nosa do podbródka i z powrotem.

Nie pamięta, jak się tu znalazł. Większość wspomnień ubiegłej nocy jest niczym rozlane w jego dłoniach żywe srebro. Przypomina sobie, jak zdjęty strachem i gniewem wymachiwał bronią, ranił i zabijał ludzi – głupców czerpiących odwagę z wina, ignorancji i własnej przewagi liczebnej, choć nie mieli szans sprostać prawdziwemu żołnierzowi, janczarowi, nawet tak wiekowemu jak Crivano. Wspomnienia przemocy zawsze wytrącają go z równowagi, bo nigdy nie jest w nich sobą. Bestia, która w walce wyziera mu z oczu i porusza jego członkami, zdaje się posiadać własną pamięć – dzięki czemu, jak przypuszcza Crivano, zabijanie przychodzi mu z taką łatwością. Istota, która przez niego walczy, podobna jest tej, która przez niego pieprzy albo wydała: Crivano dzieli z nią jedno ciało, lecz ona nie jest nim. Tak przynajmniej sobie powtarza.

Ponownie wraca myślami do Lepanto i Skowronka. Jego przyjaciel nigdy nie przejawiał takiego zapału, jak w owych tygodniach przed bitwą, nigdy też tyle nie śpiewał. Kiedy flotylla okrętów zebrała się w Zatoce Patraskiej, oczy całej załogi „Czarno-Złotego Orła” były na nim skupione; wszystkie twarze promieniały, a serca radowały się jego męstwem. Gdy jednak bitwa się rozpoczęła, Skowronek nie był w stanie wystrzelić. Nie opuścił swojego posterunku na pokładzie rufowym, nie cofnął się, gdy Turcy ruszyli na nich chmarą: nieustępliwie odpierał ataki, dopóki kula armatnia nie rozerwała go na strzępy. Lecz z jego arkebuza nie padł ani jeden strzał, dopóki Crivano – z krwią skwierczącą na rozgrzanej do czerwoności lufie własnej broni – nie chwycił go w dłonie. Ze Skowronka był dobry żołnierz; gdyby tylko przeżył, skończyłby studia w Padwie i został znakomitym medykiem, znacznie lepszym niż Crivano. Ale zabójcą nie był.

Próbuje usiąść, lecz jego obolałe ciało stanowczo odmawia. Pod pościelą

mięśnie nóg kurczą się w agonii, udręczone szermierczą pracą, zeszywniałe po wielogodzinnym siedzeniu w łodzi Obizza. Ramiona nie mniej dokuczają. Udaje mu się wypić nieco wody z glinianego kubka przy posłaniu, lecz brak mu sił, aby podnieść dzbanek i ponownie napełnić kubek. Po chwili zasypia.

W którymś momencie do izby wchodzi dziewczyna – Żydówka – z miską parującej zupy i kawałkiem chleba. Stawia to wszystko obok dzbanka, dolewa wody do kubka i wychodzi, nie próbując nawet budzić Crivana. Ten podnosi się, je i pije – zupa jest gęsta, łagodna w smaku, pływają w niej wielkie oka gęsiego tłuszczu – po czym znowu się kładzie. Nieopodal, może w sąsiednim pomieszczeniu, jakaś kobieta krzyczy z cielesnej rozkoszy i Crivano zaczyna się zastanawiać, czy nie trafił przypadkiem do zamtuzu. Jeżeli tak, to dziewczka za ścianą jest bardzo przekonująca w swoim entuzjazmie.

Gdy znowu się budzi, światło wpadające do izby przez niewielkie okienko płonie przedwieczorną czerwienią. Crivano czuje się już mocniejszy. Siada, wypija wodę – miska po zupie tymczasem zniknęła – po czym odrzuca pościel i staje na drżących nogach. Jest nagi i cały w opatrunkach; luzuje bandaż, aby zbadać odniesione rany. Z prawego kciuka zdarta skóra. Wąska, za to głęboka rana na lewym ramieniu. Cięcie w kształcie półksiężyca przez cały lewy bok, otoczone wybroczyną o żółtawych krawędziach. W uszach nadal świszczę mu echo wczorajszego wystrzału; prawą dłoń i przedramię ma obolałe po odrzucie, którego siła szarpnęła drewnianą kolbę. Na stole, gdzie stała zupa, znajduje stalowe lustro do golenia, podobne do tego, które ma; bierze je do ręki, aby się przejrzeć: nozdrza ma pełne zakrzepłej krwi, a na podbródku siniec w kolorze sadzy. Zwierciadło ukazuje mu jego oblicze w kawałkach. Przy brzegach obraz jest nieco zamazany; uchwyt znajomo leży w dłoni. Uświadamia sobie, że to istotnie jego lustro, подарowane mu przed laty przez ojca na krótko przed opuszczeniem Cypru. Wcześniej spoczywało w jego kufrze z drzewa orzechowego, tym samym, który zniknął spod Białego Orła. Jakim cudem się tutaj znalazło?

Podchodzi do otwartego okna – ostrożnie, żeby nie przyciągnąć niepowołanych spojrzeń. Kiedy staje przy parapecie, powiew wiatru mierzwi mu i tak już potargane po śnie włosy.

W dole widzi nieznane sobie skrzyżowanie szerokich kanałów. Na drugim brzegu różane promienie słońca padają na gładkie fasady stojących rzędem budynków, znacznie wyższych od sąsiednich zabudowań: na jednej z nich Crivano dolicza się ośmiu szeregów okienek między dachem a linią wody. Od kanału nie oddziela ich pas nabrzeża, żadna brama wodna nie daje dostępu do środka. Wyglądają na równie niezdobyte jak mury fortecy albo więzienia. Po lewej Crivano spostrzega cebulową kopułę wieńczącą dzwonicę kościoła pod wezwaniem Madonny z Ogrodu. Obserwacja ta, w połączeniu z kierunkiem padania światła – słońce zachodzi gdzieś za jego plecami – pozwala mu stwierdzić,

że znajduje się na północny wschód od kanału Cannaregio. A zatem ma przed sobą mury getta.

Dopiero teraz słyszy dźwięk: ciche ćwierkanie dobiegające z sąsiedniej izby, powolne i monotonne, które kojarzy mu się ze śpiewem godowym cykady. Odwraca się w stronę wyjścia. Komplet odzieży – nienależącej do niego – wisi na kołkach przy drzwiach: czyste rzeczy z rodzaju tych, w jakich mógłby chadzać zamożny kupiec. Tkanina jest ciężka i szorstka w dotyku. Crivano ubiera się powoli, z wysiłkiem, po czym otwiera drzwi i wychodzi na korytarz.

Odnajduje zagraconą kuchnię, gdzie służąca pośpiesznie przygotowuje prosty posiłek złożony z chleba, sera oraz zielonych jabłek. W drugim końcu pomieszczenia znajduje się stół, przy którym siedzi Obizzo; za nim w kącie stoi kusza. Wielkie dłonie zwierciadlnika są zajęte jakąś pracą i to właśnie owo zajęcie jest źródłem dźwięku, który przywiódł tutaj Crivana.

Obizzo podnosi obojętny wzrok na kuśtykającego Crivana. Dobry wieczór, dottore, wita go. Widzę, że postanowiliście jednak żyć dalej.

Crivano otwiera usta i zaraz je zamyka; nie chce tracić resztek energii na odpowiedź. Przechodzi przez izbę i zbliża się do stołu. Usługująca nie zwraca nań uwagi.

W lewej, pokrytej szramami dłoni Obizzo trzyma bełt ze skórzaną lotką i żelaznym pilnikiem szlifuje ciężki trójkątny grot. Przy każdym ruchu jego ręki na blat stołu sypie się czarny proszek, oprósza gęste włosy na nadgarstkach, przylega od spodu do pilnika przyciągany jakąś delikatną siłą ukrytą w opiłkach metalu. Crivano chwyta za oparcie krzesła i przytrzymuje je z całej siły; obawia się, że raz usiadłszy, nie zdoła więcej wstać. Po chwili jednak siada. Gdzie jesteśmy? – pyta.

Na południe od kościoła Świętego Hieronima. Za granicą Nowego Getta. Niedaleko Cerbera, gospody, w której mamy się spotkać jutrzejszej nocy. Wasz przyjaciel nas tu przyprowadził. Nie pamiętacie?

Mój przyjaciel?

Ano tak. Ów medyk. Żyd hipokryta.

Crivano kiwa głową. Tristão, mówi.

Jeżeli nawet się przedstawił, stwierdza Obizzo, to zapomniałem.

Przerywa pracę i szeroką opuszką kciuka sprawdza czubek grotu. Następnie odkłada bełt na bok i nachyla się nad stołem. Słuchajcie no, dottore, mówi. Cóż to za nowy plan? Nawet mi się podoba, ale mam spore wątpliwości. Jak dla mnie jest zbyt prosty. A wy co myślicie?

Crivano mruży oczy. Nowy plan? – powtarza.

Widzę, że przyjaciel was nie uprzedził. Przestraszył się, że sbirri poznali nasze zamiary. Że wiedzą o czekającym na nas w lagunie trabaccolo. Uważa, że powinienem powiosłować z całą gromadką – to znaczy z Sereną i jego rodziną, tą młodą zbiegłą zakonnica, wami i z nim, znaczy się waszym żydowskim

przyjacielem medykem – do trabaccolo, jak było umówione. Tyle że potem splątamy sbirri figla. Będziemy udawać, że pasażerowie wsiadają i wysiadają. My wszyscy zejdziemy z pokładu mojej łodzi, by zaraz powrócić na nią w innym odzieniu. Potem zawiozę nas do Mestre, skąd już łądem udamy się do Treviso, Bassano del Grappa, Trydentu i przez góry do Tyrolu.

Gdy Obizzo rozprawia, Crivano przygląda się swoim własnym poranionym i zabandażowanym dłoniom opartym o blat stołu. Potem zamyka oczy. Przypomina sobie zalane łzami oblicze Narkisa widziane w mroku podwórca, a następnie wyobraża je sobie martwe, wyłaniające się z wysrebrzonych księżycem wód kanału: ciemny owal, przebijający rozświetloną powierzchnię. Kiedy ostatni raz widzieli się z Narkisem w Konstantynopolu – owego popołudnia, zanim Crivano spotkał się z Polidorem na hipodromie, zanim dostarczył skórę Bragadina w ręce konsula Republiki i nie budząc niczyich podejrzeń, wkupił się na powrót w łaski chrześcijańskiego świata – wypili wspólnie dzbanek słodkiej *kahve* w cichej *kıraathane* w Eyüp, Narkis zaś wyłożył mu zamysły *haseki sultan* i objaśnił, co ich w związku z tym czeka. Trzydzieści lat życia Crivana zawarło się w tamtej jednej rozmowie: trzydzieści lat, które wczoraj dobiegły końca. Po zakończonej rozmowie Narkis odwrócił czarkę Crivana do góry dnem, zdjął mosiężną podstawkę i uniósł ją do góry, ukazując oczom Crivana wzór, w który ułożyły się fusy. Obracając w białej dłoni miedziane naczynie, z powagą odczytywał przepowiednię. „W każdej ulotnej chwili, *tardżuman effendi*, zawierają się wszystkie chwile. Konsekwencje najzwyczajniejszych czynów pełne są znaków zwiastujących to, co Fortuna trzyma dla nas w zanadrzu”. Crivano przyjrzał się z bliska czarnobrazowemu kręgowi fusów – pośrodku znajdowały się dwie półokrągłe szczeliny, brzegi znaczyły ślady ciemnego płynu, a lśniąca powierzchnię metalu brunatny kleks – z całych sił tłumiąc wybuch śmiechu.

No i jak, dottore? – odzywa się Obizzo. Co o tym myślicie?

Crivano otwiera oczy, ale nie patrzy na niego. To dobry plan, oznajmia.

Tak sądzicie? A co jeśli w lagunie czekają sbirri, żeby nas zatrzymać? Co jeśli ich informatorzy na łądzie wypatrzą nas na drodze i zawiadomią Radę Dziesięciu? Co wtedy?

Jeżeli nas zatrzymają, odpowiada z westchnieniem Crivano, zabijemy ich, tak jak zabiliśmy tamtych ubiegłej nocy. Jeżeli odnajdą nas na jednej drodze, wybierzemy inną. Na *terra firma* zdołamy się jakoś ukryć. Na morzu to będzie niemożliwe.

Obizzo marszczy brwi. Znów bierze do ręki pilnik. To dla was nowa pieśń, dottore, mówi. Mam nadzieję, że znacie do niej słowa.

Przez jakiś czas siedzą obaj w milczeniu; pilnik ze świstem szlifuje kanty grota. Przez kuchnię sunie błydy duch: to służąca, idąc, przypina sobie rozłożysty, żółty welon. Kiedy kończy, otwiera drzwi i zbiega po schodach, nie oglądając się

za siebie. Przygotowany przez nią posiłek czeka nakryty na blacie.

Godzina policyjna, wyjaśnia Obizzo. Musi być w getcie przed zachodem słońca, w przeciwnym razie czekają ją kłopoty. I tak miała dość odwagi, żeby zatrudnić się w chrześcijańskim domu, nie uważacie, dottore? O ile to jest chrześcijański dom.

Crivano odsuwa się wraz z krzesłem od stołu, opada ciężko na oparcie. Krzesło trzeszczy i skrzypi, ale dzielnie się trzyma. Zupełnie jak on sam. Gdzie jest Tristão? – pyta.

Trzymanym w rękę bełtem zwierciadlnik wskazuje korytarz po swojej prawej stronie. W swojej pracowni, odpowiada. W każdym razie wygląda na pracownię. Masywne drzwi w końcu korytarza.

Crivano przytakuje. Opiera dłonie o siedzenie i z trudem dźwiga się z krzesła. Nogi ma już mocniejsze, ale wciąż niepewne. Palce nie zaciskają się odruchowo, jakby chwyciły główkę laski albo rękojeść rapiera, udaje mu się nawet prawie je rozprostować.

Drzwi w głębi korytarza są dość szerokie, aby przepuścić sporych rozmiarów wózek ręczny. Przenika przez nie mieszanina ostrych zapachów, w większości niewiadomego pochodzenia, choć niektóre z nich są mu znane z czasów spędzonych w Bolonii, gdzie zgłębiał tajemne procesy alchemiczne: kwaśna, intensywna woń charakterystyczna dla rozpuszczania i rozdzielania składników, gryzący, cierpki zapach substancji poddawanych sublimacji i kalcynacji, niepokojąca słodycz towarzysząca redukcji i koagulacji. Crivano unosi zaciśniętą pięść – ścięgną jego przedramienia wciąż odczuwają skutki wystrzału z pistoletu – i uderza nią w twarde, czarne drewno. Po chwili ponawia pukanie. Wreszcie naciska kłamek.

Drzwi otwierają się z łatwością, pociągnięte nagłym przeciągiem, ukazując oczom Crivana przestronną komnatę. Dwie ściany zajmują okna wychodzące na apsydę kościoła Świętego Hieronima, za którą widać lagunę, ośnieżone szczyty dalekich Dolomitów i czerwoną tarczę słoneczną gdzieś na skraju świata. Wzrok Crivana przyciągają jednak znajdujące się na pierwszym planie liczne sprzęty – słoje i flaszki z barwionego oraz kryształowego szkła, szczypce i łyżki na długich trzonkach, moździerze i tłuczki, skomplikowane konfiguracje alembików, kolb oraz retort, delikatny dwuramienny pelikan – a także niskie półki wypełnione księgami, ziołami oraz fiolkami zawierającymi kolorowe proszki, gliniane tygły i skórzane miechy podobne do tych, które widział w warsztacie Sereny. Na środku komnaty, pomiędzy podłużnym piecem płomiennym a żeliwnym piecykiem, z którego bucha niedający dymu ogień, znajduje się cylindryczny gliniany atanor tradycyjnego typu. Za nim, na drewnianym stojaku, oprawione w wykonaną przez Serenę szklaną ramę, ustawiono owalne zwierciadło Verzelina. Odbity w nim obraz ciemnej komnaty porusza się z każdym ruchem Crivana; po kilku krokach

w lustrze ukazuje się jego blada dłoń. Widok ten jest tak niepokojący, że Crivano odwraca wzrok.

Tristão nigdzie nie widać. Crivano zatrzymuje się i woła go po imieniu.

W kącie na wprost okien, za parawanem z inkrustowanego drewna, na który Crivano nie zwrócił dotychczas uwagi, słychać jakiś ruch, a potem głos Tristão. Ach! Wybacz mi moją karygodną niedbałość, Vettorze. Już wychodzę cię powitać. Pozwolę sobie dodać, że wielcem rad widzieć cię ponownie na nogach. Ogromnie się o ciebie martwiłem. Powiedz, jakże się czujesz?

Crivano nie śpieszy się z odpowiedzią; nie ma ochoty na rozmowę z kimś, kogo nie widać. Źle, mówi w końcu. Wszystko mnie boli i ledwo się ruszam. Za stary jestem do walki.

Wczorajszej nocy biłeś się dzielnie, pada zza parawanu. Tak mi przynajmniej doniosła Perina.

Perina, powtarza Crivano. Co z nią? Mocno oberwała pałką tego sbirro.

Jest trochę posiniaczona, ale nic ponadto. Wkrótce dojdzie do siebie. Osobiście o to zadbam.

Crivano chrząka, kiwa głową, spogląda na parawan. U dołu jest szpara, przez którą widać obleczone w domowe pantofle stopy. Tristão, zagaduje go. Co ty tam robisz?

Brak odpowiedzi. Po chwili Tristão wyłania się z ukrycia. Ma na sobie codzienny strój: ściągniętą paskiem tunikę i nogawice. Wydaje się wypoczęty i ożywiony. W wyciągniętych rękach niesie przed sobą duży mosiężny nocnik i gdy przechodzi przez pokój, w nozdrza Crivana bucha odór fekaliiów. Och, chrząka. Rozumiem.

Razem z Periną opatrzyliśmy twoje obrażenia, mówi Tristão. Perina posiada, jak sądzę, wrodzony dar leczenia ran. Gdybyś zechciał ocenić wyniki naszych starań, z pewnością uznałbyś je za zadowalające.

Oceniłem, rzecze Crivano. Istotnie dobrze się spisaliście, za co z serca wam dziękuję. Powinienem ci chyba również podziękować za zorganizowanie odsieczy minionej nocy. Zanim to jednak uczynię, chciałbym najpierw ustalić, czy to ty w pierwszej kolejności naraziłeś mnie na niebezpieczeństwo.

Tristão zatrzymuje się przy wysokim drewnianym blacie i odstawia nocnik. Przez chwilę stoi nieruchomo zwrócony plecami do Crivana, ze wzrokiem utkwionym w odległym łańcuchu górskim. To trudne pytanie, odzywa się wreszcie. Nie wydaje mi się, abym naraził cię na niebezpieczeństwo. Po części odpowiada za to Narkis bin Silen, po części zaś ty sam. Poza tym, jak zawsze, należy winić Fortunę. Prawdą jest, że mogłem ci służyć lepszą i szybszą pomocą. Mogłem cię lepiej poinformować albo więcej wyjaśnić. Lecz postępując w ten sposób, poważnie naraziłbym samego siebie i własne przedsięwzięcie. Dlatego tego nie uczyniłem. Z ciężkim sercem ci to wyznaję, ale taka jest prawda.

Jego sylwetka ciemnieje na tle okien, obwiedziona ognistą poświatą. Poruszają się wyłącznie usta. Zawartość nocnika zwabiła dwie muchy; krążą nad nim, kreśląc w powietrzu spirale, walcząc ze zmieniającym kierunek wiatrem.

Co właściwie zaszło, na Boga? – chce wiedzieć Crivano.

Tristão się odwraca. Jego oblicze to pojawia się, to niknie w szkarłatnym świetle zachodzącego słońca. Najlepiej będzie, mówi, porównać wydarzenia minionego tygodnia do zapomnianego kodeksu z uszkodzonym grzbietem, którego karty rozsypały się bezładnie. Każda z zainteresowanych stron posiada kilka fragmentów, lecz tylko jeden autor zna wszystko. Choć nawet on mógł zapomnieć pełną treść.

Kimże jest ów autor?

Tego nie wiem.

Crivano marszczy brwi, krzyżuje ramiona na piersi. Ból przeszywa mu kość łokciową, więc czym prędzej opuszcza ręce. Znakomicie, mówi. Wobec tego powiedz mi jedno: na czym tobie zależy? Jak wszedłeś w posiadanie swoich kilku stron?

Z początku Tristão nie odpowiada. Podnosi z blatu drewnianą szczapkę, zapala ją od piecyka i przykłada kolejno do knotów świec zgromadzonych w komnacie. Ich światło rozjaśnia wysoki sufit. Znam wielu uczonych mężów w obu gettach, mówi. Niektórzy z nich należą do tak zwanych niemieckich Żydów z Nowego Getta, inni zamieszkują Stare Getto, gdzie żyją moi pobratymcy. Dzięki nim zacząłem korespondować z uczonymi w licznych miastach, przede wszystkim w Konstantynopolu. Listy te dotyczą zwykle wspólnych dla nas kwestii poszukiwania wiedzy tajemnej, czasami jednak wymieniamy się nowinami albo prosimy o wyświadczenie sobie nawzajem jakiejś drobnej przysługi. W ten sposób wspomniane stronicy trafiły w moje ręce.

Ktoś z Konstantynopola powiedział ci o mnie. Ktoś zdradził, że jestem szpiegiem *haseki sultan*.

Dowiedziałem się, że uważasz się za jej szpiega, owszem.

I poznałeś szczegóły intrygi dotyczącej zwierciadlników.

Wiedziałem tyle co ty, przyznaje Tristão. Wiedziałem także, że Narkis bin Silen zaplanował inną drogę ucieczki. Zrozum proszę, że dla mnie były to sprawy bez znaczenia. I pozostawały nimi, dopóki nie pojąłem, że twojemu przedsięwzięciu grozi katastrofa. Wtedy też wykoncypowałem, jak pomóc tobie i sobie przy okazji. Dopiero wówczas zainterweniowałem.

Zaaranżowałaś moje spotkanie z Narkisem w księgarni Ciottiego. Wiedziałaś, że jest pod obserwacją sbirri. Chciałaś, żeby nas tam zobaczyli. Razem.

Twoje domysły, rzecze Tristão, pokrywają się z rzeczywistością.

Dlaczego to zrobiłaś?

Tristão zapala ostatnią świecę i ciska wypaloną szczapkę do piecyka. Z kosza nabiera w dłonie chrust i dorzuca do ognia. Drewno zajmuje się płomieniem i prędko czernieje na węglach rozpalonych do białości; na moment okrągłe palenisko staje się odbiciem zachodzącego słońca.

Sbirri już wcześniej was śledzili, oznajmia Tristão. Przypuszczam, że z grubsza orientowali się w zarysach waszego planu. Doszedłem do wniosku, że jeżeli za moją sprawą zaczniesz być kojarzony z księgiarnią Minerva, Uranitami i powszechnie znanym magiem, czyli mną, zasięg spisku wyda się władzom szerszy, niż jest w rzeczywistości, i Rada Dziesięciu nie zechce cię zbyt szybko aresztować w nadziei, że pozna więcej szczegółów. Gdyby niespodziewana denuncjacja Nolanusa przez signore Mocenigę nie zmusiła Rady do błyskawicznego działania, ty i twoi zwierciadlnicy zdołalibyście bezpiecznie umknąć z miasta. W najgorszym razie doszłoby do minimalnego rozlewu krwi. Narkis bin Silen, rzecz jasna, sam skazał się na śmierć. Doniesiono mi o jego zamiarze wywiezienia zwierciadlników na terytorium Mogołów. Od razu wydało mi się to beznadziejnym, absurdalnym pomysłem, nie widziałem jednak powodu, aby nie wykorzystać poczynionych przez niego starannych przygotowań w innym praktycznym celu. Zwabiłem go do księgiarni, aby zwrócić nań uwagę sbirri. Liczyłem, że wyeliminują go, zanim przez swoją głupotę narazi na szwank wasze przedsięwzięcie.

Crivano ściąga wargi. Przypuszcza, że powinien być wściekły, ale nie jest. Zakładam, że mówiąc o praktycznym celu, masz na myśli...

Wyłącznie to, że teraz nasi wytwórcy luster i ich rodziny trafią nie do odległego Lahore czy nawet Konstantynopola, lecz do Amsterdamu, tak jak im to od początku obiecywano.

Na obliczu Tristão maluje się wyraz takiej szczerości, całkowicie pozbawionej ironii, że Crivano nie może się nie roześmiać. Kręci głową. Pozwól, że zapytam raz jeszcze, mówi, bo wciąż nie pojmuję: jaki masz w tym interes? Nadal mi tego nie wyjaśniłeś.

Tristão przygląda mu się badawczo. Oczy zasnuwa mu żal albo smutek. W jego wahaniu Crivano nie dostrzega strachu. Niemal wszyscy, których poznał, odkąd tutaj przybył, nie wyłączając senatora Contariniego, traktowali go z nieufnością – wszyscy z wyjątkiem Tristão, którego ambicje przerosły – jak się okazuje – jego własne i który ma jeszcze mniej od niego do stracenia.

Po dłuższej chwili Tristão bierze z blatu łyżkę na długim metalowym trzonku i zanurza ją w nocniku. Nabiera trochę odchodów – ich odór nasila się w rozgrzanym od ognia powietrzu – i przenosi je do szklanej zlewki o grubych ściankach, po czym wypolerowanym drewnianym oskrobuje łyżkę do czysta. Dolewa wody z dzbanka, miesza i odwraca się ku rzędom słoików i fiolek stojących na szafce. Przyświecają mi dwa cele, mówi. Do obu dążyłem z zapalem

przynosząc mi wielką satysfakcję, lecz w obu przypadkach osiągnąłem impas. Twoje ostatnie niepowodzenia, chociaż wielce mnie smuca, dostarczyły mi rozwiązania, które, jak mniemam, ostatecznie załatwi sprawę.

Wybierasz się do Amsterdamu, odgaduje Crivano. Z moimi zwierciadlnikami.

Owszem, taki jest mój zamiar.

Crivano przenosi ciężar ciała z nogi na nogę, od niechcienia przygląda lewą ręką zmatowiałe włosy: prawa za bardzo go boli, aby ją unieść. Musi usiąść. Pod ścianą, tuż przy drzwiach, znajduje krzesło, odwraca je i przyciąga z hałasem po deskach podłogi. Potem osuwa się na siedzenie i patrzy, jak Tristão dodaje błękitne i zielone sole do cuchnącej zawartości zlewki.

Przeprowadzasz pierwszy etap transmutacji, zauważa.

Zgadza się.

Zaczynasz Wielkie Dzieło od gówna.

Być może to nie jedyna metoda, odpowiada Tristão. Lecz moim zdaniem najlepsza. Od czasu naszego wspólnego wybornego posiłku Pod Białym Orłem bardzo dbałem o dietę, jedząc wyłącznie pokarmy przynależne Merkuremu, Marsowi oraz Wenus zgodnie z klasyfikacją Marsiliusa Ficinusa. Lepsze efekty osiągnąłbym, poszcząc przez cały miniony tydzień, lecz naturalnie wydarzyło się zbyt wiele nieprzewidzianych rzeczy.

Trzymasz więc z tymi, dla których *prima materia* to ekskrementy.

Wierzę, że ekskrementy wystarczą, jeśli poczyni się pewne przygotowania. W dziełach Rupescissy *prima materia* jest opisana jako coś bezużytecznego, co można z łatwością znaleźć gdziekolwiek. Z kolei Morienus głosi, że wszyscy ludzie, wysoko i nisko urodzeni, traktują pierwszą materię z pogardą, prostacy zaś sprzedają ją jak błoto. Do czego innego mogą się odnosić owe opisy, jeśli nie do odchodów?

Większość alchemików odczytuje je alegorycznie.

Wiem, odpowiada Tristão. Uważam jednak, że się mylą.

Odmierza odpowiednią ilość czerwonych kryształów – Crivano nie rozpoznaje substancji – na szalkę, dopóki nie uzyska wagi pięciu granów. Następnie przesypuje je do zlewki i miesza wszystko z uśmiechem zakłopotania na twarzy. Oczywiście, odzywa się, my, alchemicy, chętnie uznajemy naszych rywali za błądzących po omacku durniów. Pod tym względem jestem nieodrodnym przedstawicielem swojej profesji.

Drewniane mieszadło wprawia brunatny płyn w ruch wirowy, pobrzękuje o ścianki szklanego naczynia. Przypomina to dźwięk kościelnych dzwonów dobiegający w ciepły dzień przez przestwór spokojnego oceanu.

Chwilę wcześniej, zwraca mu uwagę Crivano, mówiłeś o dwóch przyświecających ci celach.

Tristão z ciężkim westchnieniem odkłada drewniane mieszadło na blat. Mam nadzieję, że wybaczysz mi tę nieudolną powściągliwość, rzecz. Mówienie o całkowicie naturalnych, zwykłych ludzkich sprawach przychodzi mi czasem z ogromnym wysiłkiem.

Chodzi ci o Perinę, jak sądzę.

Tristão podnosi głowę: minę ma zawstydzoną, oczy jasne i pełne ulgi. Ach! – wzdycha. Zazdroszczę ci intuicji, Vettorze, a zarazem jestem za nią wdzięczny. Jak się zapewne domyślasz, kocham ją. Ponieważ to szlachcianka, ja zaś jestem tym, kim jestem, nasz związek nigdy nie byłby możliwy na ziemiach Republiki. Dlatego postanowiliśmy wyjechać.

Uważasz, że w Amsterdamie przyjmą was z otwartymi rękami?

Mniej otwarci niż ci tutaj nie będą, wierz mi, mój przyjacielu.

Z krawędzi paleniska zwisa komplet żelaznych narzędzi do kominka; Tristão sięga po pogrzbacz i dźga nim węgle, po czym za pomocą niewielkiej łopatki przenosi żar do dolnej komory atanora. Powoli porusza miechem, aby uzyskać równy płomień. Zdejmuje z blatu pękata krysztalową kolbę; przez ułamek sekundy jego rozświetlona ogniem twarz odbija się w owalnym zwierciadle; Crivano wzdraga się na ten widok, jakby zobaczył demona w masce bezbożnika. Na zewnątrz, za ciemną bryłą kościoła, przylegające do kanału fundamenta mienia się światłami pochodni; dźwigający je chłopcy kursują tam i z powrotem.

Jaki jest twój drugi cel? – pyta Crivano. Do czego dążysz?

Tristão wzrusza ramionami i przelewa nieczystości ze zlewki do kolby. Chcę kontynuować studia, mówi. Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy w Palazzo Morosini, powiedziałem ci, że zamierzam zbadać zjawiska optyczne związane z Wielkim Dziełem. Obecnie brakuje mi na to środków i nie spodziewam się, aby w tym mieście udało się temu zaradzić. Potrzebuję nieskrępowanego dostępu do zwierciadlników. W Amsterdamie nie będzie z tym kłopotu.

Crivano przygląda się, jak Tristão łączy alembik z kolbą: w pękatym naczyniu umieszcza opuszczoną w dół szyjkę alembiku. Szkło, z którego go wykonano, jest tak doskonałej jakości, że byłoby niewidoczne, gdyby nie odbijające się w nim płomienie świec. Kształt alembiku przywodzi na myśl zakończoną ptasim dziobem maskę Doktora Czarnej Śmierci. Crivano uśmiecha się; powieki wciąż ma ciężkie od snu.

Obizzo powiedział mi o twoim nowym planie ucieczki, odzywa się. Chcesz powiosłować do trabaccolo i upozorować wejście na pokład. Naprawdę sądzisz, że to się uda?

Masz jakieś powody, aby w to wątpić?

Jeżeli Rada Dziesięciu wie, na który statek chcesz się zaokrętować, sbirri będą czekać na was w lagunie. Albo i na pokładzie, żeby was zaskoczyć, jak tylko się zjawicie.

Nie wiedzą, o który statek chodzi, odpowiada Tristão. Poza marynarzami, którzy zresztą nie mają pojęcia o spodziewanych pasażerach, w tym mieście tylko ja jeden znam nazwę łodzi, która nas przyjmie na pokład.

Narkis też ją znał, zauważa Crivano. Podobnie jak mogolscy szpiedzy, z którymi współpracował.

Tristão zajmuje się górną komorą atanora. Umieszcza kolbę w łaźni piaskowej, szklany alembik zaś na ruszcie ponad rozżarzonymi węglami. Narkis bin Silen działał sam, stwierdza. Nawet jego współmieszkańcy z fondaco nie wiedzieli o jego poczynaniach. A jego mogolskich przyjaciół tutaj nie ma. O ile wiem, czekają na niego w Trieście.

Jesteś pewien, że przed śmiercią niczego nie wyznał?

Tak.

Skąd ta pewność, Tristão?

Byłem obecny przy jego śmierci.

Tristão odsuwa dłonie od szklanych naczyń w atanorze: te zachowują równowagę i stoją prosto. Dopiero wtedy dostosowuje wysokość tacy, na której spoczywa żar. Nie patrzy przy tym na Crivana.

Nie zabiłem go, dodaje po chwili. Zrobiłbym to z pewnością, gdyby zaszła konieczność. Wiedział, co jest możliwe, a co nie. Powiedziałem mu, kim jestem. Zrozumiał. Założył sobie pętlę na szyję i powiesił się na moście Madonnetta. Odciąłem jego ciało i wrzuciłem do kanału. To nie była dobra śmierć, Vettorze. Wierz mi, że nie. Ale nic lepszego go nie czekało.

Crivano patrzy na gładką twarz przyjaciela, skupioną w pomarańczowej poświacie. Nie jest pewien, czy może mu wierzyć ani czy ma to jeszcze znaczenie.

Skoro Rada Dziesięciu nie wie, którym statkiem zamierzacie popłynąć, mówi, po co pozorować wchodzenie na pokład? Nikogo nie trzeba będzie wprowadzać w błąd.

Tristão gmera przy glinianym cylindrze, choć nie trzeba już niczego poprawiać, nie ma żadnego zadania do wykonania. To dodatkowy środek ostrożności, wyjaśnia. Sbirri z pewnością będą patrolować lagunę i mogą spostrzec światło. Będą też prowadzić staranny rejestr wszystkich jednostek przepływających przez kanał obok San Nicolò. Zorientowawszy się, że rzemieślnicy zbiegli, mogą wraz z cechem zwierciadlników posłać za nimi najemnych skrytobójców. Wolałbym, aby owe łotry podążyły do Konstantynopola niż do Amsterdamu.

Crivano milczy. Tristão nie przestaje się kręcić wokół atanora, dopóki cała krzątanina nie zacznie wyglądać na jałową. Prostuje się wówczas z westchnieniem i odwraca, by spojrzeć Crivanowi w oczy.

Kłamiesz.

Tristão robi urażoną minę. Skądże znowu, zaprzecza. Dlaczego oskarżasz mnie o coś takiego?

Głupio ryzykujesz, a zysk jest więcej niż niepewny. Sam powiedziałeś, że sbirri patrolują lagunę. Po co się zatem ociągać i bawić w przebieranki, których być może nikt nie zobaczy? Dlaczego nie powiosłować prosto do Mestre?

Tristão milczy, zwilża językiem wargi.

Nie przebieranek wam trzeba, oznajmia Crivano, tylko czegoś, co odwróci uwagę tamtych. Rada Dziesięciu powinna się dowiedzieć, którym statkiem będziemy uciekać. I musi mieć przekonujący powód, aby sądzić, że nim popłynęliśmy.

Trabaccolo, odzywa się Tristão, zwie się „Linkeus”. Załoga naturalnie spodziewa się rejsu do Triestu, lecz wyobrażam sobie, że za odpowiednią sumę skłonni będą popłynąć do dowolnego portu na Adriatyku. Dokądkolwiek sobie zażyczysz.

Crivano wpatruje się w Tristão, a potem spuszcza wzrok na zasłaną sitowiem podłogę laboratorium; jego spojrzenie odnajduje geometryczne wzory w układzie suchych łądyg przesypanych szorstkim piaskiem, które tworzą pod jego stopami wydeptany kobierzec. Coś drobnego się między nimi porusza: chrząszcze, żuki, pchły, polujące na nie małe pajęczki. Z tej wysokości niepodobna stwierdzić, co jest czym. Crivano chętnie zsunąłby się z krzesła na podłogę i zaległ wśród nich: mógłby spędzić resztę życia, śledząc intrygi snute na mikroskopijną skalę. Przy całym swoim ogromie byłby dla tych stworzeń niewidzialny: ot, nowe osobliwe wzniesienie.

W kościele Świętego Jeremiasza odzywa się pierwszy dzwon; chwilę później odpowiada mu echo ze Świętego Hieronima i kolejnych przybytków. Crivano wstaje i wymija Tristão, aby wyrzeć przez wychodzące na zachód okna. Pozbawione słońca niebo przybrało barwę wściekłego fioletu.

W tym momencie, odzywa się, sbirri przeczesują ulice, aby mnie odnaleźć. Jednak Rada Dziesięciu nie wie nic o twoim udziale w spisku. Mam rację?

Owszem.

O Serenie i jego rodzinie także nic nie wiedzą? Ani o Obizzu?

Rada chce aresztować Serenę. Wiedzą, że miał z tobą do czynienia. Ale zarówno on, jak i jego bliscy zdążyli się ukryć – w porę ich ostrzegłem – i ufam, że bezpiecznie zdołają dotrzeć do Cerbera. Obizzo naturalnie również jest im znany; Rada od lat go poszukuje w związku z rolą, którą odegrał w ucieczce swego brata. Nikt jednak nie podejrzewa, że kursuje po kanałach miasta jako gondolier.

A co z Periną? O niej też wiedzą?

Nie.

Jesteś pewien? Odwiedziłem ją w klasztorze. Ktoś mógł mnie tam widzieć.

Odwiedziłeś ją na prośbę senatora. To nie wzbudziło niczyich podejrzeń.

Wczorajszej nocy posłałem do niej chłopca z zaszyfrowaną wiadomością.

Przechwyciłem ją, a chłopaka zastąpiłem własnym posłańcem. Twoja

wiadomość nikogo do niej nie doprowadzi. Bądź spokojny, Vettorze: spośród tutaj obecnych tylko ty jeden jesteś ścigany.

Crivano milknie. Samotny niebieski obłok przesłania niebo ponad górami, pędzony straszliwym wichrem raz po raz zmienia swój kształt. Przez chwilę przypomina robaka rozgniecionego na tafli ciemnego szkła, by zaraz stać się strużką śliny ściekającą z czarnego atlasu. A potem wygląda po prostu jak obłok. Crivano jest znudzony; marzy mu się sen, w którym nie byłby dręczony przez koszmary. Nie chcę jechać do Amsterdamu, oznajmia.

Tak też przypuszczałem. W drodze do Mestre możemy cię wsadzić na pokład „Linkeusa”. Masz pieniądze od *haseki sultan*?

Tak. Papiery wartościowe.

Jeżeli sobie życzysz, proponuje mu Tristão, pošlę swoje sługi do getta, aby je wymienili na kamienie szlachetne. Klejnoty są chyba bezpieczniejsze niż takie papiery. A tutejsze ceny są całkiem rozsądne.

Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Skąd pewność, że sbirri podążą za mną, a nie za wami?

Tristão podchodzi bliżej, kładzie ciepłą dłoń Crivanowi na ramieniu. To nie będzie łatwe, przyjacielu, mówi. Okoliczności zmuszają mnie, abym cię obarczył trudnym zadaniem.

Doniesiesz im, że znajduję się na pokładzie „Linkeusa”.

Dowiedzą się o tym dopiero, jak wszyscy wsiądziemy do łodzi Obizza, szepcze Tristão. Znam informatorów, którzy stale obserwują kanał Cannaregio. Wypływając, zadbamy o to, aby zwrócić na siebie ich uwagę. Po wydarzeniach ostatniej nocy zostaniesz zapewne natychmiast rozpoznany. Lecz nawet mając do dyspozycji licznych posłańców i najbardziej krzepkich ludzi przy wiosłach, sbirri nie zdołają nas powstrzymać przed dotarciem do „Linkeusa”, a gdy dopłyną na miejsce, ujrzą jeno czerwone latarnie wyruszającego na otwarte morze trabaccolo i porzucone na wodzie sandolo Obizza.

Zamierzasz wymienić łodzie?

Naturalnie. „Linkeus” będzie miał przywiązaną do burty płaskodenną łódź rzeczną zwaną topo. O ile Fortuna okaże się dla nas łaskawa, przepłyniemy lagunę podczas przyływu, przy najwyższym stanie wody, z łatwością pokonując mielizny, które z kolei zatrzymają każdego, kto chciałby nas ścigać. Nie sądzę jednak, aby do tego doszło.

Gdyż sbirri będą w tym czasie ścigać „Linkeusa”. A raczej mnie.

Spróbują dostać się na pokład jeszcze w lagunie. Prawdopodobnie zorganizują blokadę przy San Nicolò. Mogą was także ostrzelać z Lido. Załoga „Linkeusa” jest dobrze uzbrojona. To ludzie wyjęci spod prawa, nie zechcą się poddać. Myślę, że uda się wam wymknąć.

Sbirri dojrzą mnie na pokładzie rufowym. Na ten widok dojdą do wniosku,

że na statku są również rzemieślnicy. Szpiedzy Rady Dziesięciu będą mi odtąd deptali po piętach, dokądkolwiek się udam. Wynajęci przez nich skrytobójcy trafią po moich śladach do każdego portu na Morzu Śródziemnym.

Tristão przesuwa rękę z ramienia Crivana na jego kark. Jego dłoń jest sucha i gładka. Lepiej dla ciebie będzie, jeśli na dobre porzucisz ziemię chrześcijan, mówi.

W Konstantynopolu mogę nie być już dobrze widziany.

Świat jest duży, przyjacielu. Zniknąć można w wielu dalekich i odludnych miejscach. Możesz na przykład pożeglować do Aleksandrii. Albo do Trypolisu.

Albo na Cypr.

Tak. Zawsze pozostaje Cypr.

Crivano strąca z karku rękę Tristão i przesuwa się wzdłuż blatu, aby przyjrzeć się z bliska atamorowi. Płyn w kolbie jest nieruchomy, nie zmienił koloru; za to wyżej, w alembiku, ciecz powoli zaczyna się skraplać. Ile to trwa? – pyta. Mam na myśli twoją metodę.

Czas może być różny. Na pewno nie krócej niż trzy tygodnie. Często cała przemiana trwa miesiąc albo dłużej.

Mimo to jutrzejszej nocy zamierzasz wyruszyć w drogę?

Owszem, potakuje Tristão. W wyniku tego procesu już po szesnastu godzinach można uzyskać produkty redukcji i koagulacji w formie stałej substancji, którą łatwo przewieźć. Będą gotowe przed naszym wyjazdem. Gdyby zaś sbirri wdarli się tu jeszcze dzisiejszej nocy, będę mógł im to pokazać, mówiąc: „Wykluczone, abym planował opuścić potajemnie wasze miasto! Proszę – oto właśnie rozpocząłem złożony eksperyment, który potrwa przynajmniej miesiąc!”

Crivano z trudem przywołuje na twarz kwaśny uśmiech. Przykłada knykcie do rozgrzanego szkła kolby i zaraz cofa rękę. Opuszcza wzrok, aby rozeznac się w zbieraniu naczyń i urządzeń, zorientować w panującym wokół chaosie ziół i substancji chemicznych. Choć nie porusza kończynami, jego mięśnie napinają się i rozluźniają w miarę, jak odtwarza w myślach mechaniczne gesty doświadczonego maga. Otworzyć okno wiodące do świata idealnych form, poznać umysł Boga: oto cele przyświecające każdemu uczonemu biegłemu w sztuce alchemicznej. Zaskakuje go, ile jego wspomnień związanych z pracą w laboratorium ma czysto fizyczny wydźwięk; podobnie reaguje na wspomnienie kalisteniki janczarów i kopania piłki w dzieciństwie, gdy uczył się różnych sportów. Ich zasady były całkowicie arbitralne; ćwiczyło się dotąd, aż opanowało się wszystkie ruchy tak, aby później wykonywać je bez namysłu. To także były światy idealne, czyż nie?

Myślałem o twoim lustrzanym alembiku, odzywa się Crivano. I o tym fragmencie z *Corpus Hermeticum*, który Nolanus uznał za stosowne przytoczyć, traktującym o przypadku lustrzanego odbicia, które skłania człowieka do tego, aby zstąpił z nieba i zamieszkał na ziemi. Spogląda w dół i widzi swoje doskonałe

odbicie w jej wodach. Stąd bierze się nasza dwoista natura: śmiertelne ciało i zamieszkujący je nieśmiertelny duch.

Tristão kiwa głową, ale sprawia wrażenie roztargnionego. Sięga po dzban z wodą i przelewa jego zawartość do nocnika; przy okazji splukuje drewniane mieszadło oraz łyżkę na długim trzonku. Następnie unosi nocnik i trzymając go w prawej ręce, wykonuje nim w powietrzu koliste ruchy.

Istotnie, mówi. Z tym że akurat w tej kwestii powinniśmy być bardzo ostrożni. Często powtarza się nam, zresztą słusznie, że możemy poznać Boga, poznawszy najpierw samych siebie, stworzono nas bowiem na Jego obraz i podobieństwo. Mówi się, że nie jesteśmy istotami niskimi, lecz boskimi. Mimo to nawet w swojej niskości, w swoich wydalinach, możemy się dopatrzeć dzieła rąk Stwórcy.

Wszystkie rzeczy pochodzą od Boga, stwierdza Crivano. Nawet gówno można uwznioślić.

Ale czy powinno się to robić?

Tristão posyła swojemu rozmówcy gniewne spojrzenie, po czym podchodzi do okna i jednym szybkim ruchem wyrzuca zawartość nocnika do kanału. Słychać stłumiony plusk, gdy smrodliwy płyn styka się z powierzchnią wody.

Czy powinno się je uwznioślać? – powtarza swoje pytanie Tristão. Czy powinno ulegać transcendencji? Czy gdy tak się dzieje, naszym pragnieniem jest naprawdę poznać Boga? Czy raczej odkryć, że Bóg jest tym, za co Go zawsze mieliśmy: doskonałym destylatem naszego zepsucia? A więc dobrze: zostaliśmy stworzeni na Jego obraz i podobieństwo. Czy kiedykolwiek zastanawialiśmy się, co to właściwie znaczy? Niepoliczone są jaźnie człowieka, pisze Paracelsus, żyją w nim anioły i demony, niebo i piekło. Być może Bóg też taki jest. Czysty i nieczysty zarazem. Czy tak trudno to sobie wyobrazić? Boga z ciała i krwi? Boga, który sra?

Głos go zawodzi, jakby targały nim silne namiętności: wściekłość, smutek, Crivano nie potrafi odgadnąć, o które z nich chodzi. Tristão oddala się, a na spotkanie wychodzi mu jego własne odbicie w owalnym zwierciadle; szklaną tafel stopniowo wypełnia obraz tułowia. Komnata zdaje się maleć w miarę, jak srebrzyste okienko ciemnieje; Crivano przestępuje z nogi na nogę, żeby nie stracić równowagi.

Pragnę się dowiedzieć, ciągnie Tristão, pod jakim względem Bóg jest do nas niepodobny. Odkryć, w jaki sposób nasz wzrok nas zdradza. Czego nie chce zobaczyć. Nie dążę już do transcendencji ani nawet do tego, aby coś zrozumieć. Chcę jedynie ubrudzić sobie ręce. Poczuć woń oraz dotyk. Jak dziecko bawiące się w błocie. Wierzę, że klucz znajduje się tutaj...

Gładzi palcami spoczywającą przed nim tafel szkła; ich opuszki stykają się z opuszkami palców odbitych w zwierciadle.

...lecz nie w tym sensie, jaki inni mają na myśli. Nolanus nas przed tym ostrzegął. Pamiętasz? Powiedział, że odbicie w zwierciadle jest jak senna uluda: głupcy jeno i dzieci widzą w nim prawdziwy obraz świata, lecz taką samą głupotą byłoby lekceważyć to, co się w nim ukazuje. Na tym polega całe niebezpieczeństwo. Czy potrafimy spojrzeć w zwierciadło trzeźwym wzrokiem, jak śmiały Akteon? Czy raczej na podobieństwo Narcyza dostrzegamy w nim tylko to, co sami chcemy zobaczyć? Jak zdobyć pewność? Z sercami przepelnionymi miłością podkradamy się do każdej lśniącej tafli, lecz nieustannie prześladowuje nas nasze własne odbicie.

Tristão unosi rękę i dotyka plecionej ramy lustra. Unosi je oburącz ze stojaka i odwraca się, trzymając zwierciadło przed sobą niby półmisek. Wewnątrz szklanej ramy Crivano dostrzega czubek własnej głowy i cofa się przestraszony.

Chciałbym, abysj je wziął, oznajmia Tristão.

Crivano się krzywi. Nie, odmawia. Jesteś... nazbyt hojny, mój przyjacielu. Tyle za nie zapłaciłeś.

Na nic mi się już nie zda. Potrzebowałem go, aby uporządkować myśli przed czekającym mnie wkrótce wyzwaniem, lecz teraz jestem już gotowy. Poza tym nie mogę z nim podróżować. Stłukłoby się niechybnie podczas przeprawy przez Alpy. Gdyby zaś ktoś je znalazł – sam widzisz, ryzyko jest zbyt duże. Ty zaś na pokładzie statku przewieziesz je całkiem bezpiecznie. Weź je, Vettorze. W przeciwnym razie jutrzejszej nocy będę zmuszony wyrzucić je do laguny.

Nachylona pod kątem tafli zwierciadła odbija spękany tynk na suficie komnaty; drżący obraz rys błądzi po szkle. Crivano zamyka oczy i wyobraża sobie szkatułę pełną monet, którymi za nie zapłacono, oraz wygięte pod jej ciężarem wiosło pijanych gondolierów. Zgoda, mówi. Dziękuję.

Nie wykonuje przy tym żadnego gestu, aby przyjąć zwierciadło. Tristão nadal trzyma je w dłoniach. Na jego twarzy odmalowuje się wyraz rozbawienia, potem odkłada lustro na blat. Odbicie znika; efekt jest taki, jakby ktoś zdmuchnął świecę albo zamknął drzwi. Crivano odczuwa ulgę, a zarazem ma wrażenie, że coś mu zostało odebrane. Każe je dla ciebie porządnie zapakować, mówi Tristão.

Dobrze, szepcze Crivano. Bardzoś łaskawy.

Wszystko w porządku, przyjacielu?

Ramiona Crivana trzęsą się, jakby przemarzył, chociaż nie odczuwa zimna. Wzdycha. Jestem nieco zmęczony, mówi. Powiniennem odpocząć.

Słusznie. Jutro czeka nas ciężki dzień. Kolejne też nie będą łatwe.

Chciałbym zobaczyć Perinę.

Słowa same pchają się na wargi Crivana, w jego głosie pobrzmiwa wyzywająca nuta; przypuszcza, że ta prośba tym właśnie jest: wyzwaniem. W ciemniejącej komnacie mężczyźni przez dłuższą chwilę przypatrują się sobie

nawzajem. W ich oczach lśni ogień, cienie sylwetek drżą na wietrze.

Bez wątpienia niecierpliwi się na spotkanie z tobą, rzecze w końcu Tristão. Zamartwiała się o twoje zdrowie, ale nie chciała ci przerywać snu.

Jeżeli nawet Tristão o wszystkim wie – zna ostatni sekret, który do reszty demaskuje Crivana – nie daje tego po sobie poznać. Może uznał, że przyjaciel został już dostatecznie zdemaskowany.

Znajdziesz ją w izbie sąsiadującej z twoją, wyjaśnia Tristão. Idź do niej zaraz. A potem się zdrzemnij. Śpij zdrowo i pamiętaj, jak jestem ci wdzięczny.

Crivano kiwa głową. Unosi lewą dłoń w geście pozdrowienia i odwraca się, żeby wyjść.

Gdy otwiera drzwi, głos Tristão dobiega go raz jeszcze. Aha, Vettorze! – woła. Pozwoliłem sobie zrobić wyciąg z twoich ziół.

Na wpół odwrócony Crivano zatrzymuje się w progu. Z moich ziół? – pyta.

Tak. W swojej skrzynce medyka miałeś dużą ilość czegoś, co wyglądało na dwuletnie ziele lulka czarnego. Niepokojąco dużą ilość. Uznałem, że lepiej nie podróżować z tak wielkim zapasem suchego ziela i zrobiłem z niego wyciąg, który znacznie łatwiej będzie ci przewieźć. Kiedy zakończę ekstrakcję, przeleję specyfik do butelki i odłożę na miejsce.

Na miejsce?

Do twojej skrzynki. Twój kufer także jest tutaj. Gdybyś ich potrzebował, znajdziesz wszystko w składziku na dole. Jeżeli chcesz, każę przenieść rzeczy do twojej izby.

Po karku Crivana przelatuje kolejny dreszcz. Kiedy je tu dostarczono? – chce wiedzieć.

Nie mam pewności. Służący znalazł je przed bramą wodną wczoraj wieczorem, tuż po zachodzie słońca. Założyłem, że to ty je przysłałeś.

Crivano ściąga brwi, lecz mięśnie twarzy ma zbyt słabe, aby dłużej utrzymać zmarszczkę na czole. Zamiast tego uśmiecha się bladym uśmiechem pijaka, pozbawionym wszelkiej wesołości. Tak, mówi. Chyba musiało tak być.

W mrocznej kuchni znajduje łożową świeczkę i zapala ją przy pomocy szczapki z paleniska: barani tłuszcz skwierczy i kopci, a pomieszczenie stopniowo się rozjaśnia. Z przygotowanych przez Żydówkę sera, chleba oraz jabłek niewiele zostało; Obizzo musiał zdrowo podjeść, a potem zapewne udał się na spoczynek. Na stole Crivano zauważa niesprzątniętą kupkę żelaznych opiłków, rzucającą krótki cień na drewniany blat.

Po trzech delikatnych stuknięciach zza drzwi dobiega stłumiony głos. Słowa są niewyraźne: dziewczyna może go równie dobrze zapraszać do środka, jak i wzbraniać mu wejścia. Crivano naciska lekko klamkę i drzwi się otwierają.

W izbie panuje duchota, zamknięte okiennice nie wpuszczają świeżego powietrza. Nozdrza Crivana wychwytyują dawno zapomniane zapachy rodzinnego

domu. Stoi w progu z przymkniętymi oczami – przebiegając w myślach komnaty i korytarze wielkiego domostwa w Nikozji, którego urodzona znacznie później Perina nigdy nie zdążyła poznać – dopóki jego wzrok nie przywyknie do panujących w środku ciemności.

Perina tkwi wśród pościeli niczym na wpół uniesiony cień: z brunatnego, wełnianego rękawa wyłania się nagie białe ramię, nieco wyżej majaczy głowa z wygoloną tonsurą. Dziewczyna wpatruje się w Crivana, gdy ten zamyka drzwi i od knota swojej świecy odpala dwie inne, stojące na niskiej skrzyni. Nie odzywa się ani słowem.

Obok posłania stoi krzesło; Crivano opada na nie i stawia ogarek na półeczce przytwierdzonej do kolumny łóżka. Perina przesuwa się do tyłu, siada i ujmując jego dłoń. Jak się macie? – pyta. Głos ma zachrypnięty od snu. Szorstka powłoka materaca odcisnęła kratkowany wzór na jej policzku.

Przeżyję, panienko, zapewnia ją Crivano.

Perina się uśmiecha.

Jestem ci wielce zobowiązany, dodaje. Sama zresztą doskonale o tym wiesz. Jak ostatni głupiec wystawiłem się na niebezpieczeństwo, a ty narażałaś życie, aby mnie ocalić. Myśl, że odniosłaś rany, ciąży mi jak głąz.

Moje obrażenia nie są poważne, dottore. Tristão z pewnością ci o tym powiedział.

Istotnie, przyznaje Crivano. Pozwolisz, że je obejrzę?

Jej ogromne oczy w półmroku robią się jeszcze większe. Dziewczyna nie odpowiada i ani drgnie. Wiatr grzechocze okiennicami. Światło blednie, gdy płomienie świec tańczą w jego podmuchach.

Crivano chwyta krawędź koca. Uderzono cię z tej strony, mówi. Prawda?

Perina w milczeniu przytakuje.

Unosi koc na tyle, aby móc zerknąć na ukryty pod nim jasny bok dziewczyny. Poniżej na wpół zakrytej piersi, oddalony od niej mniej więcej na szerokość dłoni, ciemnieje fioletowy półksiężyc w otoczce opuchniętej skóry. Gdyby cios zadano niżej i z większą precyzją, Perina mogłaby już nie żyć. W tym układzie jest wielce prawdopodobne, że za tydzień nie będzie pamiętała o doznanym urazie. Choć raz Fortuna się do nich uśmiechnęła.

Crivano unosi koc wyżej, przysuwa stojącą na półeczce świecę, mruży oczy. Z lekkim zniecierpliwieniem Perina wrywa tkaninę z jego wciąż słabych palców, owija się kocem i podciąga kolana pod brodę.

Zaskoczony Crivano mruga powiekami. Jego uszy wypełnia kakofonia nienaturalnie zwielokrotnionych dźwięków – szum wiatru, chlupot wody, dobiegające z oddali głosy, trzaski i stukoty osiadającego na palach budynku – i ma wrażenie, że zaraz zemdleje. Weź głęboki wdech, mówi – do dziewczyny, do siebie. Nabierz tyle powietrza, ile zdołasz.

Perina postępuje zgodnie z poleceniem i krzywi się w miarę, jak jej płuca się wypełniają. Nie kaszle jednak ani nie krzyczy z bólu, co oznacza, że żebra ma całe. Jej mocne barki wyginają się do tyłu; są niemal identyczne jak ramiona Dolfina. Wzrok go chyba nie myli? Po tylu latach starannego zapominania trudno to z całą pewnością stwierdzić. Podłużne otoczki jej sutek marszczą się w chłodnym powietrzu, a same sutki twardnieją. Przedramiona pokrywa gęsia skórka. Crivano sięga ponad jej podolkiem, aby podciągnąć do góry koc. Pod opieką dottore de Nis, odzywa się, prędko dojdiesz do zdrowia. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Perina spogląda w dół, wygląda koc tak, aby ściśle przylegał do jej ciała, ukazując zarys bioder. Opuszczamy miasto, mówi. I udajemy się do Amsterdamu. Jutrzejszej nocy mamy wyruszyć w drogę. Tristão wam nie mówił?

Owszem, rozmawialiśmy o tym.

Jej dłoń ponownie zaciska się na jego dłoni. Któraś z nich drży, ale Crivano nie wie, która. Może obie. Pojedziecie z nami, odzywa się błagalnie Perina. Prawda?

Spogląda na zamknięte okiennice. Oczywiście, odpowiada.

Nie możecie tutaj zostać. Każdy łotr w lagunie będzie chciał was teraz dopaść.

Crivano cofa rękę i kładzie ją na czarnym puszkę pokrywającym jej wystrzyżoną głowę. Pojadę z wami do Amsterdamu, obiecuje. Na pewno.

Perina łka cicho, lecz głos ma opanowany. Tyle jest rzeczy, o które chciałabym was zapytać, mówi. Tyle rzeczy. Chciałabym, abyście mi opowiedzieli o Gabrielu. Moim utraconym bracie.

Opowiem, szepcze Crivano. Powiem ci wszystko, co będziesz chciała wiedzieć.

Gładzi króciutkie włosy u podstawy jej czaszki. A potem opiera swoją ciężką głowę na ramieniu dziewczyny i zamyka oczy. Po raz pierwszy – i ostatni – pozwala sobie na wspomnienia. Wspomina, jak porwał lont wolnotłący ze śliskiego od krwi pokładu, gdzie cisnął go kapitan Bua. Jak skoczył do ładowni, podczas gdy Turcy przedzierali się przez linię pikinierów. Jak ignorując rozkaz, popędził nie do składu prochu, lecz tam, gdzie wisiały hamaki jego oraz Skowronka. Łzy ściekają mu po nosie, spadają ciężko na fałdy koca. Po chwili czuje na swoim karku dotyk dłoni Periny.

Siedzą tak przez dłuższy czas, na wpół śpiący, pogrążeni w zadumie.

Jak brzmiało wtedy wasze imię? – pyta nagle Perina. Jak was wówczas zwano?

Crivano nie odpowiada. Unosi głowę i siada prosto. Nie otwiera oczu. Nocne powietrze chłodzi jego wilgotne policzki.

Wszystko, co pamiętam, ciągnie Perina, wszystko, co słyszałam od matki

i siostry, zanim zabrała je zaraza, zdaje się mi wymykać. Naturalnie spisuję tyle, ile zdołam, ale przecież wspomnienia nie mogą ot, tak sobie zniknąć, prawda? Po prostu się zmieniają. Stają się czymś innym. I można je już tylko konfrontować ze zmieniającymi się wspomnieniami innych ludzi. Dlatego tak trudno się rozeznąć, co jest prawdą, a co nie.

Owszem, przytakuje Crivano. Słusznie prawisz.

Myśli o wszystkich kłamstwach opowiadanych przez lata innym i samemu sobie. Doskonale pamięta, co zrobił tamtego dnia na pokładzie „Czarno-Złotego Orła”, ale nie potrafi już sobie przypomnieć dlaczego. W owych tragicznych godzinach jego umysł opanowały rozpacz i panika; oderwane, nedorzeczne myśli roily się w nim na podobieństwo larw wykopanych z ziemi łopata. „Matka nigdy nie uwierzy, że umarłem. Może to ją przekona”. Potwornie bał się, że zostanie sprzedany w niewolę albo zasiekany szablami. Chciał wrócić do domu, do rodziny; chciał zniknąć na wieki. Chciał żyć i chciał umrzeć. Jednak żaden z tych powodów nie wydaje mu się teraz wystarczającym usprawiedliwieniem tego, co wówczas uczynił. Ktoś inny zamieszkał w jego ciele. Kimże się stał w tamtej jednej chwili?

Wśród zwycięskiego wycia Turków, wśród huku kul armatnich drących olinowanie, wśród dobiegających z górnych pokładów rozpaczliwych krzyków załogi przetrząsał mroki kajuty z dymiącym lontem w zębach, aż jego palce natrafiły na to, czego szukał: dwa dyplomy immatrykulacji, wystawione na Gabriela Glissentiego oraz Vettora Crivana. Wepchnął za koszulę dokument zabitego przyjaciela, po czym przyłożył czubek lontu do swojego dyplomu, w miejscu gdzie starannie wykaligrafowano jego imię – imię, które nadał mu ojciec – i trzymał dopóty, dopóki pergamin nie szerniał i nie zajął się ogniem.

Nazywano was tak ze względu na wasz głos, dodaje Perina. Mieliście taki cudowny głos i znaliście wszystkie najpiękniejsze piosenki. Matka często mi o tym opowiadała, zawsze z wielkim wzruszeniem. Jak brzmiał ów przydomek, który wam nadano? Nie zasnę, dopóki sobie tego nie przypomnę, pomimo wielkiego zmęczenia. Ulitujecie się nade mną, dottore?

Crivano otwiera oczy. Twarz ma mokrą od łez, lecz wzrok ostry. W drugim końcu izby kolejny podmuch wiatru porusza okiennicami; płonące knoty odchylają się od okien, cienie świec pełzną w ich stronę.

Skowronek, odzywa się Crivano. Wasza rodzina zwała mnie Skowronkiem.

Z szerokim, melancholijnym uśmiechem Perina zsuwa się na wznak na materac. Powieki jej opadają, jakby śpieszyły na spotkanie koca, który podciąga pod samą brodę. Rano, mówi jeszcze, wrócą nam siły. A wtedy porozmawiamy spokojnie i do woli o szczęśliwej przeszłości, a nasze błogie wspomnienia przyniosą nam obojgu pocieszenie. Teraz powinniśmy się zdrzemnąć. Czy uznacie mnie za zachłanną, dottore, jeśli poproszę, abyście ukołysali mnie do snu tak, jak to czyniliście w czasach swojej młodości? Zapewniam was, że wyświadczyjąc mi tę

drobną przysługę, spłacie z nawiązką cały dług, jaki wedle swego mniemania zaciągnęliście u mnie minionej nocy. Więcej, to ja będę wam odtąd dłużna.

Nakryta kocem twarz uśmiecha się do niego. Powieki są przymknięte, jakby dziewczyna spodziewała się rozczarowania. Crivano przygląda się jej uważnie. Tak wiele już utracił, a utracić ma jeszcze więcej: w ogólnym rachunku strat dawne imię nie zajmuje pierwszej pozycji. Lecz odwaga przodków – owa zgubna w skutkach odwaga, której jemu oszczędziła Fortuna – wciąż żyje na tej niegodnej ziemi. Ta dzielna dziewczyna wprawia go w dumę.

Ściska go w gardle. Crivano odchrząkuje, a potem nachyla się, aby zdmuchnąć świecę przy kolumiencie łóżka. Nad miastem niesie się dźwięk drugiego dzwonu, odmierzając czas od rejterady słońca; szczeliny między okiennicami całkiem pociemniały. Crivano nabiera powietrza, uspokaja oddech i próbuje zaśpiewać najpiękniej, jak potrafi.

„Oto wędrowiec w całunie, odarty ze swoich bogactw.
Siedzi na miejskim wysypisku, budząc powszechną odrazę.
Jego złamane serce to wór pełen gówna.
Obfita ulewa, puste lustro”

ALLEN GINSBERG, *The Shrouded Stranger*

Curtisa budzi białe światło, czerń mroku, głos policjanta. To jednocześnie głos trenera Bannera ze szkoły średniej i pułkownika Gandy'ego z Kosowa; nie rozumie ani jednego słowa, ale wie doskonale, co tamten chce mu powiedzieć: „Dobrze się spisałeś, Stone, ale i nawaliłeś”. Nie trzeba mu tego mówić. Źrenice uciekają mu do góry i znowu traci przytomność.

Mija czas: na łopoczącym białym prześcieradle wyświetlają się kolejne slajdy. Lekarze i pielęgniarki w fartuchach i maseczkach chirurgicznych. Rozświetlona sala operacyjna i przyćmione światła sali pooperacyjnej. Zmieniające się odznaki przedstawicieli policji w Las Vegas. Z początku brakuje w tym jakiegokolwiek chronologii – wszystko zdaje się dziać jednocześnie – później jednak zdarzenia układają się w sekwencje i umysł Curtisa ponownie zaczyna tworzyć wspomnienia. Jest niemal pewien, że wieźli ich z Albedem jedną karetką, ale tamten nie dotarł na oddział intensywnej opieki medycznej.

Znowu się budzi i uświadamia sobie, że wcale nie spał. Robi szybki remanent. Przelicza kończyny i gubi się w rachunkach. Ma wrażenie, jakby czegoś brakowało albo coś zostało dodane. Musiał się obrócić w lewo, kiedy uderzył go samochód, bo prawy nadgarstek ma zagipsowany. Temblak w kształcie cyfry 8 opasuje ciasno jego bark; oznacza złamany obojczyk. Na obu stopach tkwią stabilizatory z gąbki, z krawędzi szpitalnego łóżka zwisają ciężarki: wyciąg dba o to, aby obie nogi trzymał wyprostowane. To z kolei oznacza złamanie obu stawów biodrowych.

Curtis nabiera powietrza, wypuszcza je ustami. Boli go gardło, ręka swędzi w miejscu, gdzie tkwi przyklejony wenflon do kroplówki. Wyjdzie z tego. Prawdopodobnie nie wróci do pełnej formy, ale nie szkodzi. Nikt nigdy nie wraca do pełnej formy. Niezależnie co go spotkało. Tak to już jest z tym dochodzeniem do siebie.

Nafaszerowali go jakimiś silnymi prochami. Ledwo o tym myśli, czuje, jak ich działanie słabnie. Zaczyna się odpływ lodowatego odrętwienia. Pewnie dlatego ma otwarte oczy. Ktoś chyba bardzo chce z nim porozmawiać.

Panie Stone?

Wysoki, szczupły Latynos siedzi na krześle ze stalowych rurek obok elektronicznie regulowanego łóżka Curtisa. Jest w jego wieku, może odrobinę młodszy. Wygląda na cierpliwego; w przeciwieństwie do większości znanych Curtisowi glin nie widać po nim ani rozdrażnienia, ani pretensji. Najprawdopodobniej to agent federalny. Ktoś w New Jersey otrzymał jego wiadomość.

Curtis? – powtarza gliniarz, jakby wypróbowywał różne częstotliwości.

Panie Stone? Starszy sierżancie Stone?

Tak, odpowiada Curtis. Jestem.

Własny głos brzmi w jego uszach chropawo i ogłuszająco, chociaż wie, że to niemożliwe, aby mówił głośno. Ma uczucie, jakby coś szarpało mu gardło na strzępy. Chrząka, odkasłuje. Boli go prawy bok.

Latynos przedstawia się – agent Jakiśtam – po czym zaczyna tradycyjną gadkę. Policja w Los Angeles chce wnieść przeciwko panu poważne oskarżenia, mówi. Poprosiłem, aby najpierw pozwolili mi z panem krótko porozmawiać. Wydarzenia, w których brał pan udział, mają szersze tło, którego chyba nikt dotychczas nie dostrzegł.

Owszem, stęka Curtis. Co racja, to racja.

Zechce mi pan wszystko opowiedzieć?

Curtis zwilża wargi. Strzępki przesuszonego naskórka drapią go w język. Gdzieś w środku coś bardzo mu doskwiera; zauważa ten ból raz za razem, niby latarnię poruszającą się w oknach jakiegoś starego domu. Wyciąg w nogach oznacza, że lekarze jeszcze go nie operowali. Może nie leży tutaj tak długo, jak sądził. Chce porozmawiać z żoną, oznajmia.

Agent się uśmiecha. Danielle jest już w drodze, mówi. Właśnie do pana leci. Metropolitalni wyślą po nią samochód. Oczywiście nie wiemy jeszcze, kiedy pozwolą panu się z nią zobaczyć.

Zostałem aresztowany?

Nie. Jak rozumiem, służył pan kiedyś w żandarmerii, więc wie pan, jak to się zwykle odbywa. Zanim jednak powie pan coś więcej, powinienem uprzedzić, że ma pan prawo zachować milczenie i zażądać, aby nasza dalsza rozmowa odbywała się w obecności adwokata. Ma pan prawo do obrońcy, ja zaś mogę tu przynieść dyktafon, żeby atmosfera była bardziej oficjalna. Życzy pan sobie tego?

Curtis zamyka oczy, kręci głową z boku na bok. Jestem naćpany jak bąk, mówi. Żaden sędzia nie dopuści takich zeznań.

Tamten wzrusza ramionami. W rękę trzyma długopis; otwiera kołonoatnik na spirali i wtyka koniec krawata do kieszonki na piersi. Chce pan poczekać? – pyta. Otrzeźwieć?

Curtis znów kręci głową. Nie, mówi. Opowiem wszystko od razu.

I opowiada najlepiej, jak potrafi. Ciężko mówić o tym w prostych słowach. Curtis gubi wątek, myli się, cofa, żeby skorygować własne błędy. Nawet w pełni sił, nie będąc pod wpływem leków, większości z tego zwyczajnie nie ogarniał. Ale stara się jak może.

Opowiada o telefonie od Damona, o ich spotkaniu w Filadelfii, w Penrose Diner, a także o Stanleyu i karcianych oszustach w Spectacular. Opowiada o Albedzie, o Argosie i o zaginionym krupierze, powtarza, co usłyszał od Argosa na pustyni, i wspomina o tym, jak poprosił ojca, aby ten skontaktował się z policją

w New Jersey. W miarę możliwości stara się nie mieszać do tego Veroniki. Nie jest do końca pewien, dlaczego to robi. Dochodzi do wniosku, że zapewne życzyłby sobie tego Stanley, zresztą zdaje się, że dziewczyna od początku nie odgrywała w tej sprawie większej roli. Wiedziała niewiele więcej niż Curtis.

Moment, przerywa mu Latynos, notując zawzięcie. Niech pan chwilę zaczeka. Co właściwie znaczy ten punkt?

Curtis mruga. Słucham? – dziwi się. Który punkt? Kazał mi pan wszystko opowiedzieć, więc opowiadam, punkt po punkcie, do cholery. O który konkretnie chodzi?

Nie, źle mnie pan zrozumiał, wyjaśnia tamten. Stale mówi pan o jakimś punkcie. Oszuści uderzyli w punkt. Pan starał się o pracę w punkcie. Nie wiem, co to ma znaczyć.

Nie punkt, tylko The Point. The Point to Spectacular. Kasyno ma w nazwie, w logo, wykrzyknik. W swojej oficjalnej nazwie. A wykrzyknik ma kropkę, czyli czarny punkcik. Mówi się, że zanim je otworzyli – nie wiem, ile w tym jest prawdy – jakiś koleś z działu PR wyleciał, bo zapomniał dopisać do nazwy wykrzyknik. Z kropką. Później pracownicy kasyna zaczęli je dla żartu nazywać The Point i tak już zostało. Większość tych, którzy używają tego określenia, nie wie nawet, skąd ono się wzięło. Ja usłyszałem tę historię od Damona.

Okej, mówi tamten. Teraz rozumiem.

Końcówka długopisu skrobie po kartce notatnika; Curtis odczytuje do góry nogami: THE POINT = SPECTACULAR, zapisuje agent.

Potem podaje Curtisowi kubek wody. Curtis upija łyżeczek i dalej opowiada. Kiedy robi się zmęczony i bardziej obolały, zaczyna wyjaśniać tamtemu rzeczy, które najprawdopodobniej nie mają żadnego znaczenia. Jednym tchem wymienia zalegające mu w pamięci szczegóły: podarte faksy na papierze firmowym z nagłówkiem SPECTACULAR! Pistolet maszynowy w samochodzie Albeda. Komórkę otrzymaną od Damona. Telefony wykonane z punktu informacyjnego w parku stanowym. Spinkę oderwaną od mankietu Damona. Jaya Leno w hotelowym lobby. Egzemplarz *Złodzieja luster* pozostawiony w apartamencie kasyna Quicksilver. Czy ktokolwiek zabrał stamtąd tę książkę? – dopytuje się Curtis. Ktoś powinien tam pojechać i ją zabrać.

Agent przestał notować; jego mina świadczy o tym, że na coś czeka. Curtis usiłuje odgadnąć, co by to mogło być, wymyślić pytania, na które gotów był odpowiedzieć, lecz nie zostały mu jeszcze zadane. Przychodzi mu ich do głowy całkiem sporo. W tym jedno zasadnicze. Gdzie jest teraz Damon? – chce wiedzieć.

Agent nie odpowiada. Odchyła się powoli na oparcie krzesła, pstryka cicho długopisem, żeby schować wkład.

Nie wiecie, domyśla się Curtis.

Mężczyzna uśmiecha się i nie jest to uśmiech radosny. Po raz pierwszy

Curtis widzi, że tamten od wielu dni nie dosypia. Ma pan jakieś podejrzenia, zwraca się do niego agent, odnośnie do tego, gdzie moglibyśmy go znaleźć?

Curtis mruży oczy, kręci głową. Od tego kręcenia dostaje zawrotów. Sądziłem, że policja z New Jersey już go dopadła.

Agent spogląda na niego oczami pozbawionymi wyrazu. W poniedziałek po południu, mówi, dwóch detektywów policji z New Jersey spotkało się z Damonem w jego domu. Była to kolejna rozmowa: przesłuchiowano go już wcześniej, chętnie współpracował z policją. Damon zaprosił ich do środka, zaparzył kawę, a potem strzelił każdemu w twarz. Jeden zginął na miejscu, drugi leży w szpitalu podłączony do aparatury podtrzymującej życie. Prawdopodobnie z tego nie wyjdzie. Miejscowy patrol znalazł ich po półgodzinie – ktoś musiał się zorientować, że coś jest nie w porządku – a Damon zdążył tymczasem prysnąć.

Curtis próbuje wziąć głęboki wdech, ale krztusi się i przez moment ma pewność, że zwymiotuje. Sala szpitalna wiruje wokół niego niczym restauracja w Stratosphere, a on zamyka oczy, chcąc zmusić ją do zatrzymania. Sięga pamięcią wstecz, próbuje sobie przypomnieć, o której godzinie dzwonił do ojca i o której przyszedł ostatni faks od Damona. Pragnie zrozumieć, co mógł sprowokować albo czemu nie zdołał zapobiec.

Tego dnia Damon nie pojawił się w pracy, ciągnie agent. Dział zarządzania ryzykiem przeprowadził przeszukanie jego biura. Podobno w komputerze nie było nic poza pornosami, a w szafkach na dokumenty znajdowały się same świńskie rysunki. Z tego, co słyszałem, czysta makabra. Wszyscy zastanawiają się teraz, dlaczego tak długo nikt się nie zorientował, że ten facet stanowi problem. Musi być z niego prawdziwy czaruś.

Curtis słyszy szelest kartek przewracanych w notatniku; być może agent przegląda swoje dotychczasowe zapiski. Ma pan jakiś pomysł, ponawia pytanie Latynos, gdzie moglibyśmy go znaleźć?

Curtis nie otwiera oczu, uspokaja oddech.

Muszę powiedzieć, mówi dalej agent, że wybrał doskonały moment na to, żeby zbiec. Od poniedziałkowego wieczoru organy ścigania w całym kraju obowiązuje pomarańczowy alert. Z powodu wojny. Gdy wszyscy grają w obronie, śledztwa siłą rzeczy będą musiały zwolnić. Zarazem podwyższone środki bezpieczeństwa mogą znacznie utrudnić wypożyczenie pojazdu. Damon zapewne zdawał sobie z tego sprawę. Jego audi odnalazło się kilka godzin temu na parkingu w Maryland.

Curtis otwiera oczy. Gdzie dokładnie w Maryland? – pyta.

W College Park. Mamy nagranie z monitoringu, na którym Damon wsiada do pociągu zielonej linii jadącego w stronę centrum. Wiem, co pan pomyślał, ale proszę się nie martwić: pański ojciec i jego żona są bezpieczni. Są teraz w hotelu, a ich dom znajduje się pod obserwacją. Jeżeli Damon się tam pojawi...

Nie pojawi się, przerywa mu Curtis. Już go tam nie ma. Jeżeli Damon wybrał się do Waszyngtonu, to po to, żeby ktoś tam pomógł mu opuścić kraj. Zdobyć wizy, paszporty. Zna ludzi, którzy mogą to wszystko załatwić.

Agentowi nie podoba się ta odpowiedź: wygląda na poirytowanego, zdeorientowanego. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale Curtis go ubiega. Zdaje pan sobie sprawę, z kim ma do czynienia, prawda? Dotarł pan do jego DD dwieście czternaście?

Do czego?

Świadczenia zwolnienia z czynnej służby. Powinien pan przejrzeć jego akta. Sprawdzić, gdzie był i co robił. Człowieku, jego już nie ma w Waszyngtonie! Pojechał na lotnisko, międzynarodowe albo krajowe, tam wsiadł do samolotu i teraz może być dosłownie wszędzie. W Ameryce Południowej. Albo w Azji.

Tamten już-już ma to zakwestionować, ale rezygnuje i zapada się w sobie. Usta przez krótką chwilę trzyma otwarte; potem je zamyka i pociera dłońmi twarz. Curtis współczuje mu, zresztą ogólnie jest mu źle. Nie chce uwierzyć w to, co właśnie usłyszał – jego umysł z przyzwyczajenia wynajduje rozmaite scenariusze i wymówki, które stawiałyby Damona w lepszym świetle – lecz w głębi duszy wie, że to wszystko prawda. Nigdy w całym swoim życiu nikogo nie rozumiał, nawet samego siebie. Samego siebie zresztą może najmniej. Chciałby znowu zasnąć, wymknąć się z tego świata, gdzie możliwe są takie gówniane historie.

Zaraz, zaraz, otrząsa się Curtis. A co ze Stanleyem Glassem?

Oczy agenta otwierają się, długopis ponownie pstryka. Stanley Glass, mówi. Gdzie on jest?

Agent wzrusza ramionami. Nadal w Atlantic City, odpowiada. Z tego, co słyszałem, policja w New Jersey chciała go przesłuchać. Jeszcze go nie znaleźli, ale są coraz bliżej. Jak rozumiem, jest poważnie chory. Ma ograniczoną zdolność poruszania się.

Curtis kręci głową. Jeżeli Stanley żyje, mówi, to policja z New Jersey jest od niego dalej, niż się wydaje. I poważnie wątpię, aby nadal przebywał w Atlantic City.

Dobra. Gdzie w takim razie jest, pańskim zdaniem?

Tam gdzie Damon. I *vice versa*.

Agent robi sceptyczną minę. Wiem, że to się wydaje pozbawione sensu, przyznaje Curtis. Ale z nimi dwoma tak już jest. Jeden ma haki na drugiego. Mają sprawy do uregulowania i je uregulują. Pytanie tylko gdzie.

Długopis tamtego nawet nie dotknął notatnika. Krótko mówiąc, radzi pan, abyśmy, chcąc odnaleźć Damona Blackburna, poszukali Stanleya Glassa. Albo na odwrót. Dobrze zrozumiałem?

Moja rada, odpowiada Curtis, brzmi następująco: obyście mieli więcej szczęścia ode mnie. To w zasadzie wszystko, co mam do powiedzenia.

Agent wyciąga z kieszonki na piersi końcówkę krawata i wygładza go na mostku, a do kieszonki wtyka długopis. Panie Stone, odzywa się. Powinien pan wiedzieć, że z panem nie skończyłem. Do tego jeszcze daleko. Mimo to życzę panu szybkiego powrotu do zdrowia i dziękuję za dzisiejszą współpracę.

Nie ma sprawy, odpowiada Curtis. A przy okazji chciałbym poprosić o drobną przysługę. Zaczyna mnie okropnie boleć, więc jeśli na dzisiaj skończyliśmy...

Jasne, rzuca tamten. Zawołam pielęgniarkę.

Zjawia się pielęgniarka, majstruje przy kroplówce i wkrótce wszystko się spłaszcza, staje się nijakie i niewyraźne. Przez ułamek sekundy Curtis czuje, że znalazł odpowiedź na pytanie agenta – jest taka oczywista; wyobraża sobie egzemplarz *Złodzieja luster* spoczywający na stoliku do kawy w pokoju Veroniki, upuszczony na wykładzinę w Quicksilver – zaraz jednak lek zaczyna działać i odpowiedź mu się wymyka, i dobrze. Bo Curtis chce jak najszybciej przestać myśleć.

Ciepłe łzy wzbierają w jego zdrowym oku. Leży spokojnie i rozmyśla o Damonie, aż wreszcie lek odnajdzie drogę do jego mózgu, a on sam zapomni o wszystkim z wyjątkiem uczucia nieważkości towarzyszącego startom samolotów – z Ramstein, z Filadelfii – aż własna przeszłość stanie się dla niego niewiadomą, czas się zatrzyma, on zaś poczuje, że jest zupełnie nikim.

Curtis. Jeśli zsumować litery imienia, wychodzi czterysta osiemdziesiąt dwa. Czyli jesienne liście. Albo – możesz w to wierzyć lub nie – szkło. Dodaj do siebie te trzy cyfry – cztery, osiem i dwa – a otrzymasz czternaście. Dar albo poświęcenie. Lśnić albo błyszczeć.

Jakiś czas później – trudno powiedzieć z całą pewnością, czy upłynęły minuty, czy całe godziny – gdzieś w pobliżu rozdzwoni się telefon.

Gdy do sali wpadną gliniarze i pielęgniarki, Curtis nie będzie jeszcze świadom tego dźwięku. Zbudzi się niechętnie, mrugając powiekami w oślepiającym blasku lamp pod sufitem, podczas gdy wokół niego będą się gromadzili policjanci: mamroczący do swoich komórek, nastawiający dyktafon, ciągnący przewód szpitalnego telefonu, dopóki aparat nie spocznie na materacu obok Curtisa. Będzie obserwował ich poruszające się wargi, kiedy będą do niego mówili, i przytakiwał, choć nie zrozumie ani słowa. A potem, kiedy czyjś palec naciśnie guzik z napisem GŁOŚNIK, Curtis przekrzywi głowę i wyteży słuch.

Jakimś niewiadomym sposobem od razu się domyśli. Usłyszy upiorne zawrozczenie i syk – połączenie będzie przekazywane z bardzo daleka, przez różne dziwne satelity – i natychmiast zrozumie, kto do niego dzwoni, skąd i dlaczego.

Mimo to i tak zapyta. Nie zdoła się powstrzymać. Stanley? – powie. To ty?

A wtedy, po dłuższym milczeniu, ty mu odpowiesz.

Dzień dobry, młody, rzucisz. Albo pewnie nadal dobry wieczór tam, gdzie

teraz jesteś. Cholernie długo ze sobą nie rozmawialiśmy, prawda? Cieszę się, że słyszę twój głos.

Nie będziesz go długo trzymał na linii. Nie z powodu glin – co mogą ci teraz zrobić? – ale dlatego, że nie masz mu wiele do powiedzenia. Albo raczej jest tego za dużo. Tak czy inaczej, rozmowa będzie krótka. Powiesz „dziękuję”. Dodasz, że jest ci przykro. A potem się pożegnasz.

Kolejny podmuch wiatru: okno hotelowe całe dygocze. Słyszysz bicie dzwonów, krzyk mewy. Podciągasz koce pod samą brodę.

Za minutę lub dwie wstaniesz i wykonasz ten telefon. Naraziłeś chłopaka na kłopoty, przynajmniej tyle możesz dla niego zrobić. Powinieneś też zadzwonić do Veroniki, skoro już o tym mowa. Przekonać się, czy odebrała to, co zostawiłeś jej w skrytce na lotnisku. Swoje dziedzictwo. To będzie cholernie trudna rozmowa, ale zdajesz sobie sprawę, że musisz ją odbyć.

Veronica. Trzysta osiemdziesiąt osiem. Twardy kamień, krzemień albo kwarc. Zastaniać. Ukrywać. Rozpościerać. Zostać uwolnionym.

Ale po kolei: najpierw powinieneś podejść do okna. Zsuń stopy na śliską hotelową posadzkę, chwyć laskę, wstań. Gdzieś tam w dole – wśród sprzedawców owoców i kwiatów na Campo San Cassiano, ciepło opatulonych staruszek na misternie rzeźbionych schodach mostu, wśród czarnych gondoli sunących po szarych niczym śluz wodach kanału – poluje na ciebie Damon. Musi wiedzieć, że kończą mu się możliwości, aby zrobić wszystko tak, jak to sobie zaplanował: z każdą upływającą minutą coraz bardziej mu się wymykasz. Dlatego też wkrótce się zjawi. A ty chcesz być na to gotowy.

W tej chwili Damon głównie cię wkurza. Rozprasza twoją uwagę. Miałeś wielkie plany związane z przyjazdem tutaj, ale zbyt długo zwlekałeś. Liczyłeś, że uda ci się odbyć jeszcze ten ostatni spacer do biblioteki. Bibliotekarki zapewne odetchnęły z ulgą, że udało im się wreszcie uwolnić od twoich pytań. „Co to znaczy po angielsku? Gdzie to znaleźć?”

Chciałbyś, rzecz jasna, trochę więcej zobaczyć. Do tej pory zwiedzanie miasta przypominało głównie wypad do cholernego Disneylandu: aparaty i saszetki na paskach, laminowane mapy, furkoczące gołębie. Ale od czasu do czasu zdarza się taki moment – twój wzrok przykuwa zapamiętana z książki Wellesa nazwa na jakiejś tabliczce, widok kolumnady albo rzędu okien będących odbiciem tych z Windward i deptaka – że zamierasz w pół kroku: usiłujesz zajrzeć w szczelinę, zanim ta ponownie się zamknie, przebić wzrokiem zachodzące na siebie warstwy prawdy i fikcji oddzielające cię od Crivana. Tyle że takie chwile trudno jest uchwycić, trudno być na nie otwartym, kiedy człowiek przez cały czas ogląda się za siebie. I to także Damonowi udało się zepsuć. Wmawiasz sobie, że to bez znaczenia, ale tak nie jest.

Za młodszych lat – nie tak dawno temu – już byś to załatwił. Sączyłbyś

espresso w Caffè Florian, dopóki nie wypatrzyłbyś go w tłumie. Potem śledziłbyś go aż do zachodu słońca. Wokół jest tyle odludnych zakątków. W tym mieście cegły stale spadają ludziom na głowę.

Najdziwniejsze, że jakaś cząstka ciebie czeka na wasze spotkanie. Cieszy się, że Damon jest tutaj. Pożegnalne „wal się”, które zaserwowałeś mu w niedzielne popołudnie w Atlantic City – „A teraz chciałbym opowiedzieć państwu zabawną historię o waszym szefie zmiany, panie Blackburnie” – zabrzmiało tandetnie, nieodpowiednio, jak tania wymówka. Dopiero teraz wszystko wydaje się takim, jakim powinno. Jakbyście obaj na to zapracowali.

Szczęśliwie znalazłeś kilka bezpiecznych miejsc, gdzie nie musisz o nim myśleć i możesz się oddawać poszukiwaniom tego, po co tu przyjechałeś. Nigdy przedtem nie byłeś tak blisko Crivana jak wczoraj – w motorówce, którą wynająłeś, żeby obejrzeć miasto od strony laguny. Widziałeś dzwonnice wyłaniające się z późnozimowej mgły – takie same on musiał oglądać. No, może niezupełnie: za jego czasów na wysepce San Michele nie było cmentarza, zaś Fundamenta Nuove nie zostało jeszcze wybudowane. Sypnąłeś gotówką i łódź okrążyła Sant'Élena, po czym wpłynęła do Canale di San Marco, gdzie oczom twoim nareszcie ukazało się miasto Crivana – odrobinę podtopione, z paroma nowymi budynkami, ale poza tym w zasadzie niezmienione. Właściciel motorówki wyłącza silnik i łódź zaczyna dryfować, a wraz z opadającą mgłą i zapachem morza napływa wspomnienie równie wyraźne jak ból po ciosie zadany prosto między oczy: tego, jak grając z ojcem w karty na promie płynącym ze Staten Island, podniosłeś głowę i zobaczyłeś wyłaniającą się z chmur panoramę Dolnego Manhattanu. Jeśli nie liczyć wody i mew, nie było w tym obrazku niczego naturalnego: czysta fantazja, urojenie, które przybrało fizyczną formę.

Zbyt wiele czasu spędziłeś na wodzie, przemarzłeś, zachciało ci się sikać. Dźwignąwszy się na nogi, oparłeś się o burtę i rozpiąłeś rozporek. Właściciel łodzi zaalarmowany zerwał się z miejsca. „Hola!” – warknął, lecz zaraz się przymknął, widząc, że uderzający o powierzchnię kanału gorący strumień moczu zmienia barwę z żółtej na czerwoną.

Wysadził cię potem na Riva degli Schiavoni, a ty powlokłeś się ku dwóm kolumnom, wciąż lekko się zataczając na wspomnienie rozkołysanego pokładu. Leżąc tutaj teraz, znowu to czujesz: w leniwym rytmie krwi odzywa się echo tamtego falowania.

Pociągasz nosem i wężysz: zesrałeś się. Chciałbyś się przebrać, zanim przyjdzie Damon. Właściwie nie ma co sprzątać – ostatnio i tak prawie nic nie jesz. Dawniej denerwował cię brak kontroli nad czymkolwiek, obecnie już znacznie mniej. Do wszystkiego można się przyzwyczaić albo po prostu przestać się tym przejmować. W miarę postępów choroby nauczyłeś się prawie nią cieszyć: to ciepło i ten ciężar w spodniach są całkiem przyjemne. Takie żywe. Bardziej żywe

niż ty sam. Nieodmiennie dziwi cię, że coś tak dziwnego i żywotnego może się wydobywać z tej resztki, jaka z ciebie została.

Za minutę wstaniesz. Podejdiesz do okna. Wykonasz dwa telefony. Jeszcze tylko chwila.

Miło byłoby znaleźć gdzieś wolny stolik, lecz naturalnie kasyno będzie pierwszym miejscem, do którego skieruje kroki Damon, poza tym masz już właściwie dosyć tej atmosfery. Przejedli ci się gracze z ich systemami obstawiania i rachunkiem prawdopodobieństwa. „Blackjack to jedyna gra stołowa, w której liczy się pamięć”. Walter Kagami – dzieciak jeszcze, chudy i czarnowłosy, w kubańskiej koszuli – tłumaczy ci to chyba po raz setny. „Karty są tasowane i pozostają poza grą, dopóki nie pokaże się karta do przecinania talii. Dlatego liczenie kart przynosi efekty. Rozumiesz?” Ale ty nigdy tego nie pojąłeś, w każdym razie nie całkiem. To nie był świat, w którym żyłeś czy chciałeś żyć. Teraz na samą myśl o graczach – tkwiących przy swoich stołach jak roboty przy taśmie, przyspawanych do automatów za sprawą kart lojalnościowych – tej żalosnej bandzie mającej o sobie jak najwyższe mniemanie, skręca cię w żołądku. Nie powinno się tego nazywać grą. „To nie przypadek kręci światem hazardu – twierdzi Walter. – Tylko ograniczenia. Pięćdziesiąt dwie karty w talii. Sześć ścianek kostki. W hazardzie pociągają nas ograniczenia”. Ty masz już dość ograniczeń. Ograniczenia to bzdura. Bajki wymyślone po to, aby nas ukołysać do snu.

Zresztą kasyno na Lido i tak jest nieczynne – zamknięte na zimę albo i na zawsze. W pobliżu jest podobno inne, gdzieś nad Canale Grande. Musiałeś je mijać rankiem pierwszego dnia po przyjeździe do miasta, kiedy płynąłeś gondolą wynajętą za dwieście pięćdziesiąt euro: piękny gondolier o twarzy zabijaki śpiewał ile sił w płucach, a kolorowe fasady pałaców konkurowały ze sobą niczym prymitywna zapowiedź lokali ciągnących się wzdłuż Las Vegas Strip. Tylko czego miałbyś tam szukać? Byłeś już przecież na Piazzetta, stałeś między słynnymi bliźniaczymi kolumnami sprowadzonymi z Ziemi Świętej łącznie z zarazą. Tam w zasadzie wszystko się zaczęło, prawda? Stoły do gry w kości rozstawiano w miejscu, gdzie odbywały się publiczne egzekucje.

Po spacerze z Riva, gdzie wysadziła cię motorówka, ogarnęły cię mdłości i zawroty głowy. Przytłoczył cię splendor tego miasta, ogrom przestrzeni i całe wieki historii, która je stworzyła i ukształtowała. Atak przyszedł nagle, a ty pomyślałeś: „To koniec”. Cóż by to było za pożegnanie! Co za miejsce, aby się rozstać z tym światem!

Ale to nie był koniec. Kiedy doszedłeś do siebie, klęczałeś na ciemnych trachitowych płytach, zupełnie jakbyś niespodziewanie postanowił się pomodlić. Wokół ciebie zaczynali się gromadzić ludzie. Z początku dzieci, podekscytowane i przestraszone zarazem. W ślad za nimi nadeszło kilkoro matek i ojców. Wiele lat

upłynęło, odkąd ostatni raz zrobiłeś z siebie takie widowisko, czułeś się taki widoczny. Coś w ludzkich spojrzeniach – szeroko otwarte oczy w ładnych, cudzoziemskich twarzach, zaniepokojone szeptami w dziesiątkach obcych języków – sprawiło, że poczułeś cholerną kulę w gardle. Chciałeś, żeby zostały z tobą na zawsze.

Zrobiłeś więc pierwszą rzecz, jaka ci przyszła do głowy: z kieszeni marynarki wyjąłeś talię kart. Twoje ciało natychmiast przybrało znajomą postawę: kolana poszukały mocnego podparcia na chodniku, ręce zaczęły wykonywać automatyczne ruchy. Król kier, siódemka kier, siódemka karo. Każda karta z zagnieceniem biegnącym pionowo przez środek. Podnoszone i upuszczane, karty wznosiły się i opadały, tańczyły w powietrzu. Czterdzieści pięć cholernych lat minęło, odkąd czarowałeś tłum w ten sposób – tamtej nocy, na deptaku, razem z Claudiem.

Claudio. Dwieście osiemdziesiąt siedem. Wydawać aromatyczną woń. Albo siedemnaście. Szczęśliwy. Śnić. Albo osiem. Dyszeć. Tęsknić.

Od czasu do czasu go widywałeś: grywał niewielkie role w filmach i serialach telewizyjnych, jego twarz spoglądała na ciebie z ostatniej strony czasopism poświęconych operom mydlanym. Naturalnie występował pod innym nazwiskiem, więc trudno było mieć pewność, że to faktycznie on. Pojawiał się jednak dość regularnie to tu, to tam, zatem masz prawo przypuszczać, że nieźle mu się żyje. Może być nawet sławny, ale tego już się nie dowiesz. Masz nadzieję, że jest szczęśliwy, gdziekolwiek się znajduje. Że swoimi długimi, smagłymi palcami wyszarpał dla siebie choć odrobinę tego, na czym mu tak zależało.

Wspomnienia tamtych dni poszły w rozsypkę. Gdyby to wszystko było rysunkiem na piasku, zmytym do czysta przez fale, nie byłbyś zaskoczony. Ale nie: zamiast tego nastąpił wybuch.

Księga młodości Larry'ego Liptona wyszła w 1959 roku i wbrew wszelkim oczekiwaniom odniosła olbrzymi sukces. Każdy poeta i malarz od Santa Monica po Marina del Rey był przez krótką chwilę sławny, głównie jako ozdobnik czyjejś puenty. Wkrótce potem ta sława zaczęła ich zabijać: narkotyki, choroby, morderstwa, samobójstwa. Charlie utopił się w sześćdziesiątym siódmym; w siedemdziesiątym czwartym Stuarta wykończył rak. Alex opublikował swoją książkę w sześćdziesiątym pierwszym i później już niczego więcej nie napisał. Jakimś cudem udało mu się wytrwać w narkotykowym nałogu przez kolejne dwadzieścia kilka lat i to było jego prawdziwe życiowe osiągnięcie.

Welles wymeldował się w sześćdziesiątym trzecim, w tym samym tygodniu co Jack Kennedy, ale dowiedziałeś się o tym dopiero wiele miesięcy po fakcie, kiedy nadużywszy gościnności w Palm Springs, przejeżdżałeś przez Los Angeles. Tak czy inaczej, posłałeś Synnøve wiązankę kwiatów; Walter pomógł ci to zorganizować. W odpowiedzi dostałeś od niej sympatyczną kartkę, związała i mało

konkretną, do której dołączono kilka fotek z pogrzebu. Nie odnalazłeś na nich żadnych znajomych twarzy. Cynthii nigdzie nie było widać.

Śmierć Wellesa sprawiła, że wróciłeś do książki, którą kilka lat wcześniej odłożyłeś na bok. W pewnym sensie spodziewałeś się chyba, że czar pryśnie, ale nie – wciąż trwał, chociaż sama książka się zmieniła, wzdłuż niewidocznych uskoków nastąpiło tąpnięcie. A może zwyczajnie w nią wrosłeś w sposób, który Welles z całą pewnością przewidział. „Jesteś hazardzistą! Żyjesz ze swojej zręczności i z łaskawości fortuny”. Wówczas istotnie już tak było. Nawet dzisiaj ten stary drań potrafi ci dopiec, wytrącić cię z równowagi. Musiał wiedzieć, że prędzej czy później tutaj trafisz. To miasto czekało na ciebie jak zastawiona przez niego pułapka, w którą wszedłeś tanecznym krokiem.

W jakim stopniu scenariusz twojego życia był jego dziełem? Choćby ta wczorajsza scena między kolumnami – czysty Welles! Prawdopodobnie miał ją w głowie już tamtego pierwszego wieczoru, kiedy go spotkałeś. „Grałeś z ludźmi w trzy karty przy deptaku. Wygrałem od ciebie dolara”. Mimo wszystko, klęcząc tam, zwrócony plecami do morza, ani razu nie poczułeś się jak frajer albo naiwniak. Trudno było nie czerpać z tego satysfakcji: z przesuwania kart starymi, lecz wciąż zwinnymi dłońmi, z podmieniania ich tak, żeby nikt niczego nie zauważył. Ze świadomości, że przez cały czas tkwisz w samym środku utkanej przez siebie sieci.

Może dlatego aż tak cię to nie zaskoczyło, kiedy podniósłszy wzrok, ujrzawsz obserwującego cię Damona: oparty o marmurową balustradę loggetty jadł *gelato* plastikową łyżeczką, a jego sylwetka to pojawiała się, to znikwała za plecami turystów tłoczących się w kolejce do stoiska pod parasolem. Miał na sobie nowy lniany garnitur i nowy wełniany płaszcz, a na jego twarzy malował się wyraz głębokiego wkurzenia: roztaczał wokół siebie aurę turysty, który wyjeżdżając skądś w pośpiechu, nie zdążył spakować niczego poza gotówką. Na ramieniu, w bliskim zasięgu prawej ręki, miał sfatygowaną skórzaną torbę z odpiętą klapą. Uśmiechnąłeś się do niego, ale nie jesteś pewien, czy to zauważył. Właściwie to nie masz pojęcia, co tak naprawdę widzą inni.

Przez kolejne dziesięć minut – albo i dłużej – przesuwałeś karty. Damon tymczasem skończył jeść lody i zaczął się przesuwać w twoim kierunku. Ledwo pomyślałeś, jak najlepiej dać stamtąd nogę, pojawił się policjant – gibki, opanowany, przystojny jak model z żurnala, odpicowany jakby się wybierał na rządowy pogrzeb – i rozwiązał ten problem za ciebie, pomagając ci wstać i grzecznie przepędzając z chodnika. „Och, dziękuję panu, signore – powiedziałeś, wystarczająco głośno, żeby Damon usłyszał. – Przykro mi, ale nie najlepiej się czuję. A w tym mieście tak łatwo się zgubić! Zatrzymałem się w Aquila Blanca, w San Polo. Powie mi pan, jak się tam dostać?”

Więc teraz możesz spokojnie czekać. Damon najprawdopodobniej zajął już

strategiczną pozycję w bacaro po przeciwnej stronie ulicy: przegląda jakieś czasopismo i zastanawia się, kiedy zejdziesz na dół albo kiedy on powinien wejść na górę. Jest spora szansa, że po lunchu bacaro przez dwie godziny będzie nieczynne; większość lokali zdaje się zamykać wtedy podwoje. Robi się późno. Masz jasne wyobrażenie o tym, co teraz nastąpi: na znak właściciela, który wskaże mu wyjście, Damon dopije resztkę wina, przetrze piekące go z niewyspania oczy, już na ulicy poprawi płaszcz, a kiedy drzwi bacaro się za nim zamkną, kilkoma szybkimi krokami pokona ulicę ułożoną z szarych kamiennych płyt.

Nie wrócisz już do Biblioteca Marciana. Może to i dobrze. Zobaczyłeś wszystko, co chciałeś zobaczyć i po co tu przyjechałeś – w istocie osiągnąłeś punkt, po przekroczeniu którego dalsze wysiłki przynoszą jedynie coraz mizerniejsze efekty. Bibliotekarki na specjalnych tacach przynosiły ci żądane dokumenty, pomagały naciągać białe rękawiczki, abyś nie zniszczył delikatnych stron. Zebrana korespondencja siostry Giustiny Glissenti. Niewiele z niej rozumiałeś, ale wiedziałeś, jakiego słowa szukasz i byłeś przekonany, że go nie przeoczysz.

Tyle że nigdzie go nie było. Przewertowałeś wszystko raz jeszcze, żeby się upewnić: tym razem wstecz, wolniej, wodząc niemal nosem po papierze. Rezultat był taki sam: żadnej wzmianki o człowieku zwanym Crivano. Dlaczego Welles miałby kłamać? I czy rzeczywiście skłamał? Nawet znalazłszy się w ślepym zaułku, zdołałeś jednak natrafić na pewne wskazówki – a raczej informacje, w których można było się dopatrywać wskazówek. Listy zakonnicy kończyły się w roku tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym drugim – tym samym, w którym Crivano rzekomo potajemnie opuścił miasto. Po tej dacie imię siostry Giustiny nie pojawiało się już w klasztornych archiwach, ale i wcześniej nie było w nich wzmiankowane, chociaż udało ci się dokopać do innej Glissenti, być może kuzynki tamtej. Na domiar złego część korespondencji, która miała się znajdować w pudle, zniknęła. Dlaczego? Od jak dawna jej brakuje?

Przypominało to trochę liczenie kart: wypełnianie luk w oparciu o szczątkowe dane. Walter i Donald zapewne poradziliby sobie z tym zadaniem w mgnieniu oka, ale nie ma ich tutaj, a twój umysł tak nie funkcjonuje: jeżeli czegoś nie widzisz, natychmiast się gubisz. Przy czym widzisz niemal wszystko i niemal zawsze.

Wyodrębnianie wzorów: w tym jesteś najlepszy. W wyszukiwaniu konkretnych kształtów w fusach po herbacie. Jesteś absolutnie pewien, że zdołałbyś dostrzec to, czego szukasz, gdybyś miał się na czym oprzeć, dysponował większą ilością kropek do połączenia. Vettor Crivano ucieka stąd tysiąc lat księżycowych po ucieczce Mahometa z Medyny: jedno wydarzenie jest jakimś echem drugiego. Ezra Pound zostaje zwolniony ze szpitala Świętej Elżbiety kilka tygodni po twoim wyjeździe z wybrzeża; umiera i zostaje pochowany niecały

kilometr stąd, na San Michele, w roku narodzin Veroniki. John Hinckley junior ogląda film i strzela do prezydenta – wyznaczając tym samym nowy kurs w życiu Curtisa – po czym również ląduje w szpitalu Świętej Elżbiety. Wszystko to musi coś oznaczać, na coś wskazywać. Kończą ci się możliwości, aby poskładać wszystkie elementy tej układanki w jeden spójny obraz.

A może niedługo wszystko zobaczysz.

W recepcji na dole siedzi tylko właściciel hotelu, widoczny z ulicy przez szybę; Damon z łatwością obejdzie tę przeszkodę. Masz nadzieję, że jest na tyle ostrożny, że się nie zawaha. Oprze się o drewniany kontuar, dopasuje twoje nazwisko do numeru pokoju i chwilę później będzie już na schodach, przykręcając tłumik do lufy pistoletu, ukrywając broń pod kolorowym czasopismem. Staroświecki zamek w drzwiach długo go nie powstrzyma. Dobrze naoliwione drzwi otworzą się, a Damon zobaczy na łóżku podłużne wzniesienie twoich nóg.

Tyle że wtedy ty naturalnie będziesz już w lustrze.

Nie będzie to łatwe, ale przecież ćwiczyłeś. Najpierw były krótkie wycieczki, na kilka sekund: wchodziłeś i wychodziłeś. Potem dłuższe pobyty, gdy głębiej zanurzałeś się w nie-przestrzeń. Przypominało to trochę naukę pływania. Tym, co najbardziej zapadło ci w pamięć z wypraw na drugą stronę, jest jej ogrom. I jedność: po powrocie wszelka myśl o odrębności obu światów staje się śmiechu warta. O ile przechodzenie tam jest trudne, o tyle powroty są znacznie trudniejsze. Bo, szczerze mówiąc, po co właściwie miałbyś wracać?

Mimo to wracasz. Zaglądasz do pokoi Curtisa i Veroniki, do apartamentu w kasynie Waltera. Nabrawszy odpowiedniej pewności siebie, pozwalasz się ludziom zobaczyć. Ich zaskoczenie dowodzi, że to, co czułeś, było prawdziwe. Czegoś w każdym razie dowodzi.

Tym razem będzie inaczej. Zupełnie jakbyś uczył się oddychać pod wodą. Byłeś bardzo cierpliwy. Długo na to czekałeś.

Damon postoi trochę nad twoim ciałem, węsząc w powietrzu cuchnącym gównem. Podejdzie do łóżka, ostrożnie usiądzie na materacu. Przez cały czas będzie cię obserwował. Potem odłoży broń na stertę koców i z całej siły da ci prztyczka w nos. Znajdzie w płaszczu latarkę kieszonkową, uniesie ci kciukiem powiekę i skieruje promień światła na twoją obwisłą, lepka od potu twarz. Westchnie i odwróci się, aby wyrzeć przez okno na położone w dole campo.

W końcu wstanie i podniesie pistolet. I przystawi pękata lufę do twojej głowy, do lewego oczodołu, przytrzymując u góry rozłożone czasopismo, żeby zatrzymało rozprysk. To będzie „Der Spiegel”. Zerkając mu przez ramię, zdołasz odczytać tytuł na okładce: *In göttlicher Mission*.

Przestrzeli ci oczodoły, jeden po drugim. Potem odłoży ci na pierś mokre od krwi czasopismo i wytrze dłonie o koc. Wychodząc, zabierze jeszcze paszport, który załatwili ci jego znajomi z Waszyngtonu: leży na komodzie, więc łatwo go

znaleźć. W drodze powrotnej do swojego hotelu wyrzuci go do kanału przymocowany gumką do kamienia wielkości dłoni.

Nie zdążysz jednak wykonać tych dwóch telefonów.

Jeżeli opuszczając twój pokój, Damon spojrzy w lustro – czy jest typem człowieka, który mógłby to zrobić? – nie pozwolisz mu się zobaczyć. Jeszcze nie.

Lustro. Trzysta dwadzieścia dziewięć: skrupulatny służbista. Albo: wyczerpani głodem. Albo: w zamorskim kraju. Po hebrajsku מהארמ, co razem daje pięćdziesiąt. Niepoślubiony. Pełnia. Cytadela.

Tego od początku pragnąłeś: wolności od wszystkiego, co trzymało cię na tym świecie. Wolności od samego siebie. Mówi się, że przed śmiercią całe życie przelatuje człowiekowi przed oczami. „Przelatuje” – ludzie zawsze używają tego samego określenia. Masz cholerną nadzieję, że to nieprawda. Sporo czasu minęło, odkąd widzenie czegokolwiek było dla ciebie interesujące. Ostatnimi czasy kręci cię to, czego nie możesz zobaczyć: to, jak czar widzenia pryska i jak twój oddech zasnuwa parą szybę, jeśli zanadto się do niej zbliżysz. Przez te wszystkie lata twoje oczy ciągnęły cię za sobą na uwięzi: masz tego serdecznie dosyć. Przeklęty pokaz slajdów! Co to ma być za śmierć? Nie takiego umierania pragniesz. Cokolwiek cię później czeka, jesteś na to gotowy.

Oko. Czteryście dziesięć. Spiętrzony dym. Być krępowanym albo powstrzymywanym. Zastawiać sidła.

W ten sposób umknął swoim wrogom Crivano: u Wellesa wyraźnie jest o tym mowa. Po długim czasie wreszcie to pojąłeś. Chociaż to głupie i sentymentalne, jakaś częśćka ciebie żałuje, że nie przywiozłeś ze sobą *Złodzieja luster*. Curtis zatroszczy się o twoją książkę; tutaj ktoś po prostu by ją wyrzucił. Pamiętasz zresztą każde słowo. Przez lata sam stałeś się tą książką: jej wersy na dobre splotły się z życiem pełnym marzeń i wspomnień.

W pewnym sensie to dobrze, że trop wiodący do biblioteki okazał się ślepą uliczką. Czy nie to właśnie pragnąłeś usłyszeć od Wellesa tamtej nocy na plaży? Że wymyślił Crivana? Że świat opisany w jego książce nie miał nic wspólnego z rzeczywistością? Próby udowodnienia, że jest inaczej, stały się dla ciebie problemem, który latami próbowałeś rozwiązać. Lecz jeśli nawet Welles faktycznie cię okłamał i Crivano nigdy nie istniał, podróż tutaj nie była stratą czasu. Coś się tu kryje: czułeś to, choć tego nie widziałeś. Czy ktoś może być duchem, jeżeli nigdy się nie urodził? Dlaczego miałoby to być niemożliwe? Kto o tym decyduje?

Wczoraj natrafiłeś na ostatni ślad. W rozmowie z bibliotekarką wymieniłeś nazwę statku, którym uciekał Crivano, a ona coś ci przyniosła: list napisany przez młodego kapitana fregaty handlowej do ojca, przekazujący wieści z dalmatyńskiego wybrzeża. „Uskokowie ogromnie nas trapią – przetłumaczyła kobieta na twoją prośbę. – W ubiegłym miesiącu napadli na dwa niewielkie statki zdążające do Spalato i spalili trabaccolo – to taki typ łodzi, rozumie pan? – której

załoga mężnie z nimi walczyła”.

„Linkeus”. Na twoją prośbę bibliotekarki uwijały się aż do zamknięcia, ale niczego więcej nie znalazły: ani daty zatonięcia statku, ani informacji o tym, skąd płynął. Możliwe, że wcześniej zdążył przybić do Splitu i wysadzić Crivana na ląd. Może, gdy jego wrak płonął na morzu, Crivano przemykał już uliczkami chorwackiego portu, wystrzegając się skrytobójców nasłanych przez Radę Dziesięciu i szukając sposobu, aby dotrzeć na ziemię będące pod władaniem Turków. Miasto niewątpliwie jawiło mu się niczym sen: obce, a zarazem znajome. Starożytny pałac Dioklecjana stanowił wszak wzór dla budowniczych Piazzzy; dzwonnice Świętego Marka wzorowano na tej w Splicie. Tam też chętnie byś się wybrał, ale trudno. Jedne miasta uwidaczniają się w drugich, odbijają echem na mapie, tworząc dobrze ci znany wzór.

Wolisz wierzyć, że Crivano spłonął. Taki koniec najlepiej do niego pasuje. Z łatwością go sobie wyobrazasz: uwięzionego pod pokładem, podczas gdy na górze szaleje ogień. Myślni wróciłby zapewne do bitwy pod Lepanto: do tego, co tam zrobił i czego nie zrobił. Jego pełne tajemnic życie zatoczyłoby wówczas przedziwny krąg, rozpoczynając się i kończąc w trzewiach płonącego statku.

Jak przeżyłby te ostatnie chwile w oczekiwaniu na nieuniknioną agonię? Na pęcherze, które pokryją jego przypiekana ogniem skórę i brak tlenu, który go zadusi? Prawdopodobnie sięgnąłby po wyciąg z lulka czarnego, żeby spowolnić tętno, znieczulić zmysły i uwolnić umysł, aby ten błędził swobodnie. Poza tym miał przecież magiczne zwierciadło: to od niego nauczyłeś się tej sztuczki. Kontemplacja zwierciadła – wpatrywanie się w jego taflę – pozwala uporządkować myśli, aby umysł przypominał umysł Boga. Przenikasz poza warstewkę srebra, poza wszelkie ziemskie udręki, do królestwa czystej idei. Wszystkie tajemnice stają się oczywiste.

Przypuszczasz, że po przejściu na drugą stronę nie sposób już dbać o ziemskie sprawy; trudno ci przekonać samego siebie do powrotu i dokończenia dzieła.

Mimo to kiedy Damon wróci do swojego hotelu, będziesz na niego czekał. Możliwe, że nie od razu cię zauważy, zwłaszcza jeżeli unika patrzenia w lustro. Cierpliwie zaczekasz, aż w końcu w nie spojrzy. Korzystając z tego, że posiadasz doskonałą wiedzę, nie będziesz dla niego niemiły. Jeżeli przestrzeli lustro – a nie jest wykluczone, że to robi – pozostaniesz z nim w rozbitych fragmentach. Był taki czas, nie tak dawno temu, kiedy czułeś do niego coś na kształt miłości.

Możliwe jest tylko jedno zakończenie i masz nadzieję, że z łatwością do niego doprowadzisz. Twoje niewidzialne dłonie pokierują lufą pistoletu Damona tak, aby trafiła do jego ust i przytrzymają ją, gdy kciuk będzie naciskał spust.

Potem przyjdzie czas, aby dołączyć do Crivana: stanąć obok jego cienia na poczerniałym pokładzie dziobowym „Linkeusa”, gdy będzie przyzywał księżyc

w pełni. A księżyc odpowie mu poprzez dym: „Wyobraź mnie sobie nie jako zwierciadło, lecz jako otwór, szczelinę, źrenicę, przez którą wpada światło. Wyobraź sobie, że ziemia zakrzywia się wokół ciebie, a nie pod tobą. Wyobraź sobie, że ten świat to oko samego Boga, ocean zaś to jego siatkówka. Wiedz, że zawsze i wszędzie jesteś obserwowany”.

Lecz ty w istocie jesteś zwierciadłem, odpowie wówczas Crivano. Ja zaś, obcy samemu sobie, skryję się w tobie przed ludzkim wzrokiem. Tylko o to proszę, choć nawet na tyle nie zasługuję.

Słup dymu przesłoni księżyc; płomień buchną w górę i go wymażą. Statek spłonie aż po linię zanurzenia: rozlegnie się syk, a potem, gdy wrak całkiem zatoni, zapadnie cisza. Kiedy niebo znów się oczyści, morze będzie wyglądało tak samo jak zawsze. Złodziej luster zniknie.

Zatem ostatecznie pozostaniecie tylko wy dwaj: ty i ocean. Ty i zwierciadło. Ty i historia, którą wyśniłeś.

A teraz posłuchaj: kroki na korytarzu. Dłoń ostrożnie naciska kławkę.

Nie ma czasu na wątpliwości. Tak wygląda twój koniec – tego się obawiałeś, to zapamiętałeś. Wszystko przelatuje ci przed oczami. Twarze i kolory. Patrz uważnie: oto nadchodzą.

Podziękowania

Napisanie tej książki zajęło mi pięć i pół roku, kolejnych siedmiu i pół roku potrzebowiałem, aby znaleźć dla niej wydawcę. W tym czasie korzystałem w olbrzymim stopniu z cierpliwości, wskazówek i życzliwości innych ludzi, bez których to wszystko nie byłoby możliwe. Chciałbym podziękować mojej żonie, Kathleen Rooney; moim rodzicom, Davidowi i Barbarze Seayom; mojemu nieżyjącemu dziadkowi Joe F. Boydstunowi; Michaelowi Seayowi, Jen Seay, Beth Rooney, Nickowi Superowi, Richardowi Rooneyowi, Mary Ann Rooney, Megan Rooney, J. Markowi Rooneyowi, Karen Rooney, Cliffowi Turnerowi, Kelly Seal, Richardowi Weilowi, Hester Arnold Farmer, Andrew Rashowi, Angeli McClendon Ossar, Scottowi Blackwoodowi, Jamesowi Charlesworthowi, Carole Shepherd, Davidowi Spoonerowi, Matthew MacGregorowi, Elisie Gabbert, Johnowi Cotterowi, Carrie Scanga, Jasonowi Skipperowi, Warrenowi Frazierowi, Mitchellowi Brownowi, Bobowi Drinanowi, Olivii Lilley, Shane'owi Zimmerowi, Tovah Burstein, Timothy'emu Moore'owi, całemu wydziałowi i kolegom z magisterskich studiów zaocznych na Queens University w Charlotte oraz moim współpracownikom z Wheeling w Illinois, a zwłaszcza Jonowi Sfondilisowi, Michaelowi Crotty'emu i Lisie Leonteos.

Im luźny stos kartek bardziej przypominał książkę, tym bardziej przydawała mi się pomoc i trzeźwy osąd mojego agenta Kenta Wolfa oraz redaktora Marka Krotova, jak również ich współpracowników z wydawnictwa Melville House, między innymi Dennisa Loya Johnsona, Valerie Merians, Julii Fleischaker, Liama O'Briena, Eny Brdjanovic, Chada Felixa oraz Erica Price'a.

Znaczna część tekstu powstała w Fine Arts Work Center w Provincetown w stanie Massachusetts, gdzie w latach 2005-2006 korzystałem ze stypendium literackiego. Nie sposób przecenić wartości wsparcia oraz słów zachęty, które otrzymałem od tej instytucji, jej pracowników oraz innych stypendystów.

Na koniec jestem dozgonnie wdzięczny Richardowi Peabody'emu za to, że pchnął mnie na ścieżkę, która doprowadziła mnie aż tutaj, a także Jane Alison za pomoc w wyznaczaniu trasy. Ta książka jest w takim samym stopniu ich dziełem, co moim, o ile tylko zechcą się do niej przyznać.

przypisy końcowe

William Blake, *Dwa poematy (z listów Blake'a do Thomasa Buttsa)*, przekład Zygmunta Krukowskiego. [\[wróć\]](#)

Nawiązanie do postaci z *Juliusza Cezara* Williama Shakespeare'a, przekład Leona Ulricha. [\[wróć\]](#)

William Shakespeare, *Wiele hałasu o nic*, przekład Leona Ulricha. W sztuce słowa te wypowiada Klaudio (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)

William Shakespeare, *Burza*, przekład Leona Ulricha. [\[wróć\]](#)

William Shakespeare, *Wiele hałasu o nic*, przekład Leona Ulricha. [\[wróć\]](#)

Ibid. [\[wróć\]](#)

Błędny zapis angielskiego słowa „psy”, który można odczytać również jako „dożowie”. [\[wróć\]](#)

Psalm 95, za Biblią Tysiąclecia. [\[wróć\]](#)

Ibid. [\[wróć\]](#)

We Włoszech aż do połowy XVII w. (a w niektórych regionach nawet do połowy XVIII w.) obowiązywał 24-godzinny system liczenia czasu, przy czym godzina pierwsza zaczynała się o zmierzchu, doba zaś kończyła się wraz z zachodem słońca. [\[wróć\]](#)

Platon, *Fajdros*, przekład Władysława Witwickiego. [\[wróć\]](#)

Spalato – włoska nazwa Splitu. [\[wróć\]](#)

„Całe ich życie było ustanowione nie wedle praw, statutów lub reguł, jeno wedle wolnej woli i własnego uznania. Wstawali z łoża, kiedy im się zdało; pili, jedli, pracowali, spali, kiedy im przysła ochota. Nikt ich nie budził, nikt ich nie niewolił do picia ani jedzenia, ani do jakiegokolwiek innej rzeczy”; François Rabelais, *Gargantua i Pantagruel*, przekład Tadeusza Boya-Żeleńskiego. [\[wróć\]](#)

„Tak postanowił Gargantua. W ich regule była tylko jedna zasada: czyń, co się podoba”; ibid. [\[wróć\]](#)